

CZARNA SERIA

A man in profile, looking out from a tunnel of light. The tunnel is composed of many parallel, curved lines that create a sense of depth and perspective. The lighting is dramatic, with the man's face partially illuminated by a bright light source from the left, creating strong highlights and deep shadows. The overall mood is mysterious and intense.

Poznaj mroczne sekrety
polskiej finansjery, polityki i mediów

MARIUSZ
ZIELKE

Ali-Baba

WYROK

MARILSZ ZIELKE

WYROK

**POWIEŚĆ KRYMINALNA ZE ŚWIATA
FINANSÓW**

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

*Jeśli dobrzy ludzie nie będą nic robili,
to zło zatriumfuje.*

*Edward Burke,
irlandzki filozof i polityk*

Drogi Czytelniku!

W ciągu ostatniego dziesięciolecia w Polsce miało miejsce kilka dużych afer giełdowych, w tym dwa spektakularne bankructwa domów maklerskich. Wskutek tych zdarzeń oszczędności życia zniknęły z kont tysięcy klientów. Ich straty liczone są w setkach milionów złotych. Ani te, ani inne skandale finansowe nie zostały wyjaśnione. Osób odpowiedzialnych nie ukarano, procesy trwają latami, wyroki skazujące przestępców giełdowych należą do rzadkości. Oszukani klienci nieuczciwych finansistów na próżno domagają się sprawiedliwości i pozostają osamotnieni w starciu z biurokracją. Mam cichą nadzieję, że moja książka - pomimo sensacyjnego i fikcyjnego charakteru - stanie się przyczynkiem do podjęcia dyskusji na te ważne dla tysięcy osób tematy.

Powieść WYROK nie jest jednak kontynuacją mojej działalności śledczej ani tym bardziej jej zwieńczeniem. Nie należy jej traktować jako zbeletryzowanej prawdziwej historii. Nie jest to opowieść oparta na faktach, a jedynie historia od początku do końca wymyślona. W niektórych opisach sytuacji czerpałem z własnych doświadczeń i obserwacji, doszukiwanie się jednak w bohaterach mojej powieści prawdziwych osób jest całkowicie nieuprawnione i niedopuszczalne. Wszelkie podobieństwa do osób i firm autentycznych są niezamierzone i przypadkowe. Prawdziwe nazwy instytucji przytoczone w książce zostały wykorzystane wyłącznie w celu umiejscowienia wymyślonej historii w realnym świecie. W końcu nic tak nie uprawdopodobnia intrygi, jak poparcie fikcji kilkoma faktami.

Mariusz Zielke

Prolog

Zawsze odbywało się to podobnie. Spotykali się w hotelu Radisson w Wiedniu, jedli razem obiad lub kolację, po czym udawali się do jednej z kawiarenek przy pobliskim Standparku, gdzie omawiali szczegóły zlecenia. Znali się od dwudziestu lat. Ufali sobie. Zabójca wykonał już na zlecenie pośrednika 14 prac. Zarobił około pięciu milionów euro, które pomnażał na bezpiecznych lokatach i funduszach ulokowanych w trzech międzynarodowych bankach. Dzięki mało ryzykownej strategii oszczędzania przetrwał bez większych strat kryzys rosyjski, problemy po aferach księgowych z początku XXI wieku i ostatni, trwający od końca 2008 r. krach związany ze spadkiem zaufania do instytucji finansowych.

Mimo że miał już pięćdziesiąt dwa lata, nie zamierzał przechodzić na emeryturę.

W kawiarni Pruckel na rogu Rosenbursenstr. i Stubenring poczekali chwilę na zwolnienie ustronnego miejsca w rogu sali, zamówili kawę macchiato, szarlotkę na ciepło z lodami i po kieliszku likieru. Pośrednik w końcu wygrzebał ze skórzanego nesesera szarą kopertę i położył ją na stole.

Zabójca bez słowa wyjął z niej kartkę zapisaną komputerowym drukiem i dwa zdjęcia. Przedstawiły mężczyznę około trzydziestki. Miał wyjątkowo chudą twarz, zmęczone oczy, długie, nierówno przystryżone włosy z wyraźnymi śladami przedwczesnej siwizny.

Pośrednik czekał w milczeniu, aż jego towarzysz przejrzy zdjęcia i przeczyta notatki. Poza nazwiskiem, numerem telefonu i adresem, na kartce były też: marka i numer rejestracyjny samochodu, numery kont bankowych, adresy rodziców, bliższej rodziny i kilku przyjaciół.

Zabójca schował wszystko z powrotem do koperty, którą włożył do swojej aktówki i spojrzał na pośrednika.

- Jaki jest powód?

Pośrednik wbił wzrok w szybę, za którą majaczyły kontury Uniwersytetu Sztuki Użytkowej Kunst in Wien. Pamiętał jak dwadzieścia lat temu po raz pierwszy spotkali się na promenadzie dunajskiego kanaliku zaledwie kilkaset metrów stąd. Długo trwało, zanim mu w pełni zaufał.

- Jest zagrożeniem dla klienta - powiedział ogólnikowo.

Zabójca zdziwił się, że pośrednik nie mówi wprost. Przy większości poprzednich spraw nie miał obaw przed dokładnym opisem problemu, co pomagało w doborze strategii i metod działania. Uznał jednak, że widocznie są tego powody, które w gruncie rzeczy nie powinny go interesować.

Rozstali się około 21. Zabójca patrzył, jak jego niedawny rozmówca rusza w kierunku alei prowadzących na Prater. Wyglądał na prawnika, ale w rzeczywistości kiedyś był konsultantem ds. bezpieczeństwa informacji. W 1988 wyrzucono go z pracy za pomoc w kradzieży danych z banku Raiffeisen. Dostał wilczy bilet i założył małą agencję konsultingową, która - ze względu na poszargane imię właściciela, nie miała najmniejszych szans utrzymać się na rynku. Przez pierwszy rok działalności nie pozyskał ani

jednego kontraktu. Rozpił się, odeszła od niego żona, próbował popełnić samobójstwo. A potem karta się odwróciła - do niewielkiej agencji zaczęły płynąć konsultingowe zlecenia ze spółek celowych działających na obrzeżach wielkich międzynarodowych koncernów i firm zakładanych w rajach podatkowych.

Zabójca wrócił do hotelu, położył się spać i zaraz po śniadaniu zamówił bilety pierwszej klasy na pociąg do Krakowa. Zamierzał spędzić tam dzień lub dwa, a następnie udać się do Warszawy. Nie lubił samolotów ze względu na zbyt dokładne kontrole. Poza tym nie przepadał za lataniem. W Polsce ostatni raz był dziesięć lat temu, przy okazji jednego z najtrudniejszych zleceń.

Tym razem nie spodziewał się większych problemów. Zabójstwa dziennikarzy potrafią wywołać sporo zamieszania i krzykliwe apele mediów. Zwykle jednak gasną one równie gwałtownie jak się pojawiają.

CZEŚĆ PIERWSZA PIENIĄDZ

Rozdział 1

Pieniądze!

*Ze wszystkich wynalazków ludzkości
- ten wynalazek jest najbliższy szatanowi.*

Antoni Makarenko

Jarosław Szrem badawczo popatrzył w oczy dyrektorowi Kozłowskiemu. Ten nie pierwszy raz prosił go o tego rodzaju przysługę, jednak uzasadniał ją zwykle dość precyzyjne. Tym razem jedynie mruknął coś niezrozumiale. Oczywiście Szrem mógł odmówić. Skoro jednak nigdy dotąd nie odmawiał, to dlaczego teraz miałyby się wahać? Ponadto sam problem wydawał się poważny i wymagający ich współpracy. W końcu byli po jednej stronie barykady. Działali w imieniu dobra rynku, inwestorów, drobnych ciułaczy, którzy lokowali swoje oszczędności w akcjach firm giełdowych, licząc na to, że są pod ich ochroną. Pod lupą KNF - Komisji Nadzoru Finansowego, która miała pilnować, żeby pazerni biznesmeni wypełniali właściwie obowiązki informacyjne, przestrzegali przepisów związanych z wykorzystywaniem informacji poufnych czy zakazów konkurencji. Słowem, nie oszukiwali drobnych akcjonariuszy i nie okradali firm, które w momencie wprowadzenia na giełdę przestały być „ICH” firmami i stawały się dobrem wspólnym. Nadzorowanym przez urzędników KNF. - Sprawdzisz? - ponowił pytanie Kozłowski.

Szrem wzruszył ramionami. Teodor Kozłowski był dyrektorem Departamentu Emitentów, który nadzorował

wprowadzanie nowych spółek na giełdę. Szrem kierował działem analiz w Departamencie Nadzoru Rynku, którego zadaniem było m.in. typowanie przestępstw związanych ze spółkami giełdowymi. Nieprzypadkowo ich departamenty organizacyjnie należały do jednego Pionu Nadzoru Rynku Kapitałowego, będącego oczkiem w głowie szefa całej Komisji. Musieli ze sobą współpracować. Jednak tym razem prośba Teodora dotyczyła działań z zakresu bezpieczeństwa obrotu. Dyrektora Departamentu Emitentów takie sprawy w ogóle nie powinny interesować. Z drugiej strony sytuacja była rzeczywiście wyjątkowa.

Szrem odwrócił się do bezpiecznego terminala IBM. Mogła z niego korzystać tylko osoba posiadająca kartę chipową. Wczytał kartę, zalogował się do terminala i czekał na odpowiedź z KSIP*, do którego miał od niedawna dostęp dzięki specjalnemu rozporządzeniu premiera. Premier wydał je z powodu rosnącej fali przestępstw giełdowych udając, że przejmuje się ich wykrywalnością. Rzeczywistość była inna. Przestępstw na rynku kapitałowym nie rozumiał nikt: ani politycy ani sędziowie, ani prokuratorzy, ba, nawet komisarze KNF. Szrem był w walce z nimi osamotniony.

Choć w policyjnych archiwach dyrektor Szrem czuł się trochę intruzem, dostęp do potężnego systemu analitycznego wielokrotnie okazał się pomocny.

Szrem wpisał swoje dane do logowania i wprowadził w wyszukiwarkę zapytanie, które automatycznie stawało się informacją dla wszystkich innych użytkowników KSIP o odpowiednim poziomie dostępu. Otworzył okno drugiej przeglądarki i zalogował się w terminalu Interpolu, powtarzając podobne czynności i składając niemal identyczne zlecenie. Następnie wszedł do Aplikacji Nadzoru Giełdy, która została niedawno połączona z wszystkimi

* *KSIP - Krajowy System Informacji Policji.biurami maklerskimi w Polsce.*

Kilkoma stuknięciami w klawisze mógł wyszukać historyczne transakcje dokonywane za pośrednictwem biura maklerskiego każdej osoby w kraju. Zgodnie z prawem, wolno mu było korzystać z tego narzędzia jedynie w określonych sytuacjach - odbiegających od normy wzrostów czy spadków kursu lub innych cech wskazujących na manipulację. W praktyce mógł sprawdzić każdego. Biura maklerskie współpracowały chętnie, bo nie chciały kłopotów.

Ponownie zerknął na kartkę, którą otrzymał od Kozłowskiego. Widniały na nim trzy nazwiska. Tylko jedno znał dość dobrze. Dwa po -zostałe nic mu nie mówiły. Dziwne - przemknęło mu przez głowę - myślałem, że znam wszystkich przestępców giełdowych w kraju. Wpisując ponownie dane w wyszukiwarce rzucił niby od niechcenia:

- Jesteście pewni, że dobrze robimy? Kozłowski uśmiechnął się. Nie miał cienia wątpliwości.

- To przestępcy. Słyszałeś, co powiedział Szef. Przecież sobie tego nie wymyślił.

- Uhm - przytaknął Szrem.

Nie zamierzał dyskutować z poleceniami, nawet wydawanymi poza oficjalnym trybem i za pośrednictwem kolegi. Kozłowski jasno dał do zrozumienia, że działa na polecenie Szefa. A naczelną zasadą urzędnika jest nie wychylać się. Szrem bardzo lubił swoją pracę. Nie zamierzał szukać innej.

Kozłowski zaraz po wyjściu od Szrema zadzwonił do gabinetu Przewodniczącego KNF, jednak sekretarka poinformowała go, że Szef „uciekł” już na posiedzenie rządu. Mieli dziś omawiać rekomendację „K”, która powinna nieco przyblokować bankom możliwość udzielania kredytów w walucie obcej. Zadłużenie Polaków we frankach wzrosło do bardzo niebezpiecznego poziomu i groziło katastrofą w przypadku nagłego osłabienia złotówki.

Kozłowski rozumiał, że to priorytet. Sprawa Consulting

Partners była jednak równie poważna. W końcu, jeśli ich podejrzenia okażą się słuszne, kolejny raz może dojść do kompromitacji całego rynku kapitałowego. Bananowa giełda; Burundi Warszawa, jedna sprawa - to najłagodniejsze z komentarzy na forach internetowych, które pojawiały się przy takich okazjach. Gdyby nie działania zaradcze podjęte przez Kozłowskiego, oczywiście z aprobatą i wsparciem Szefa, za chwilę mogliby się obudzić z ręką w nocniku. Tłumaczenie takich skandali wcale nie było przyjemną rzeczą.

Kozłowski pośpiesznie przeszedł korytarzem wyłożonym zielonym dywanem. Przed jego gabinetem czekała już kolejka prawników, ze stertami pism do podpisania. Hossa. Mieli w departamencie prawie 50 prospektów do zaakceptowania. W trybie pilnym - naciskali ich brokerzy, zarząd giełdy, która połykała łączywie każdą nową ofertę, czasem politycy. No i przepisy, które obligowały urząd do zakończenia prac nad każdym dokumentem w ciągu niespełna miesiąca. Istne szaleństwo.

Każdy z jego ludzi musiał jednocześnie obrabiać pięć, sześć dokumentów ofertowych, z których część potrafiła mieć po 500-00 stron. Samemu Kozłowskiemu już mieniło się w oczach od składanych podpisów. Mimo że brali pracę do domu, harowali za dwóch, nie wyrabiali się. A zarabiający dziesięć razy więcej prawnicy z domów maklerskich i spółek dostarczali im pełne wad stopy nieobrobionych dokumentów oraz zasypywali pytaniami: dlaczego są tak duże opóźnienia w ich sprawach.

Nasyłali też dziennikarzy, którzy kompletnie nie rozumieli, jaka odpowiedzialność ciąży na Komisji.

- To nie nasza wina, że taki syf do nas trafia. W każdym dokumencie błąd na błędzie. - przekonywał przewodniczącego po kolejnym telefonie z „Gazety Wyborczej”. - Ja tam mógłbym to puścić, tylko kto potem

będzie się tłumaczyć, jeśli jakąś ofertę trzeba będzie zablokować z powodu niezgodności prospektu z przepisami.

Nie mówiąc już o tym, że trzy czwarte tych spółeczek kompletnie nie nadawała się na giełdę. Błędy rachunkowe, wyceny od czapy, niezrozumienie międzynarodowych zasad sprawozdawczości MSSR, kompletna amatorszczyzna w zakresie obsługi prawnej, brak procedur obiegu dokumentów i bezpieczeństwa informacji. Dno. Po wejściu na parkiet takie akcje stałyby się w przeciągu kilku dni pożywką dla spekulantów i manipulatorów. Kozłowski znów uśmiechnął się do siebie.

Nie dalej jak pół roku temu znaleźli sposób na tę plagę. Sposób bezpieczny i prosty, na dodatek bez ryzyka odpowiedzialności po stronie Komisji. Zasypywali po prostu podejrzone spółki gradem pytań, z podtekstem w tle.

Czy zdajecie sobie Państwo sprawę, że za braki w prospekcie grozi odpowiedzialność karna?

Jakie procedury obiegu informacji stosuje spółka? Kto za nie odpowiada? Czy jakiś dom maklerski odmówił współpracy z Państwem? W pytaniach sugerowali, że mają wiedzę o nielegalnych lub nieetycznych działaniach zarządu, co skutecznie odstraszało połowę chętnych. Dla drugiej połowy mieli kolejne, jeszcze ostrzejsze pytania. Z biurokracją rzadko kto wygrywa.

Szef wydawał się być bardzo zadowolony z tego powodu. To rozładowywało nieco kolejkę i pozwalało z czystym sumieniem odpowiadać Komisji: to nie nasza wina, opóźnienia są też po stronie firm. Właściwie tylko po stronie firm.

Kozłowski usiadł za szerokim dębowym biurkiem i przez otwarte drzwi machnął w kierunku kolejki.

- No dalej, wchodźcie!

Z każdym starał się pożartować, zapytać co słychać u dzieci, żony, dziewczyny. Dzięki temu pracownicy lubili go.

A Kozłowski lubił fakt, że go lubili. Był dobrym szefem.

Tuż przed 16. pojawił się wreszcie jego zastępca - Staszek Mohr. Wyczekał aż chłopaki z departamentu poskładają dokumenty i zamknął drzwi rzucając do sekretarki, żeby im nie przeszkadzano. Był jedynym pracownikiem departamentu wtajemniczonym w sprawę Consulting Partners.

-I jak? - zapytał.

- Jarek sprawdza konta tych gości. Czekamy jeszcze na odzew z Interpolu i systemu policyjnego. Wciąż nie mamy też informacji do Generalnego Inspektora Informacji Finansowej i ABW, ale to raczej bez znaczenia. Właściwie to już ich mamy. Gdyby jeszcze pojawiło się coś dodatkowego, to będę -dą ugotowani - powiedział z uśmiechem Kozłowski.

- Całe szczęście - westchnął zastępca - Gdybyśmy puścili tę ofertę, byłaby afera.

- Najważniejsze, że zorientowaliśmy się w porę.

- Fakt. Darek już wie?

- Tak. Jest przygotowany. Jeśli zajdzie taka potrzeba, dziennikarze na pewno nam pomogą.

- Taka sprawa to dla każdego pismaka nie lada gratka - Staszek pokiwał głową z uznaniem. Po raz kolejny Kozłowski stanął na wysokości zadania. Staszek był pewien, że kiedyś jego przełożony i przyjaciel zostanie szefem całej Komisji. I będzie to najlepszy szef w historii, choć do niedawna wszyscy w KNF byli przekonani, że nikt nie może być lepszy od jednego z poprzedników, który potem został ministrem skarbu, by w końcu - jak każdy - trafić do biznesu.

Zastanawiał się tylko, co przyjaciel czuje, gdy staje do potyczki z takimi gangsterami, jak ci z Consulting Partners.

- Nie boisz się, szefie?

- Czego?

- No wiesz. W końcu nie wiadomo, do czego tamci są zdolni. Każdy z nas ma rodzinę, dzieci...

- Nie ma to jak dać się zabić za kilka tysięcy miesięcznie - odpowiedział żartobliwie Kozłowski -Atak na poważnie... Byliby idiotami, gdyby próbowali coś nam zrobić. Nie musisz się obawiać.

Po wyjściu Staszka, Kozłowski chwilę zastanawiał się nad słowami zastępcy. Może warto się ubezpieczyć? Potem zadzwonił do Dariusza Woźniewicza, który był dyrektorem działu relacji zewnętrznych i rzecznikiem prasowym KNF. Rzecznik odebrał telefon po trzecim sygnale. Teodor zrelacjonował mu wydarzenia dzisiejszego dnia, po czym zasugerował:

- Chyba możesz już uruchamiać maszynę.
- Muszę mieć parafkę Szefa - odparł Darek.
- Jak chcesz.

Rozłączył się, wstał od biurka i zerknął przez okno. Na Placu Powstańców tworzył się korek aut omijających zator w Alejach Jerozolimskich. Pracownicy biur, urzędów, ministerstw rozjeżdżali się na Pragę i Wolę. Jeśli ruszali w kierunku ulicy Tamka, mieli wpaść w jeszcze większą blokadę przed Mostem Świętokrzyskim. Gdy wybierali Marszałkowską, mogli utknąć w morzu klaksonów i nerwusów nawet na godzinę.

Kozłowski czuł jak opada z niego napięcie ostatnich tygodni. Zerknął na ścianę. Herb Polski - orzeł - odzyskał swą królewską koronę zaledwie dwadzieścia lat temu. Komuniści odebrali mu ją na długie 45 lat, oni - pokolenie Kozłowskiego - tę godność mu przywrócili.

W przypiływie dobrego nastroju postanowił wykonać jeszcze jeden telefon. W końcu osoba, która ostrzegła ich przed zagrożeniem, także zasługiwała na informację.

- Cześć, to ja - rzucił krótko - Wszystko idzie zgodnie z planem.

Wietnam? Jakub Zimny patrzył na mapę świata wiszącą

przed wejściem do gabinetu prezesa. Dlaczego właściwie nie pojechałem do Wietnamu? Słyszący z wiatrów, fal i wojen kraj na południowo-wschodnim skraju mapy, tuż przed oceaniczną przepaścią na drodze do amerykańskiego snu.

Dlaczego, u licha, nie wpadłem na to wcześniej?

Kuba miał kaca i zupełnie nie miał ochoty na rozmowę ani z prezesem ani z naczelnym. Ani tym bardziej z obydwoma naraz. Teraz debatowali ze sobą a Kuba zastanawiał się, co jest grane, choć nietrudno było się domyślić. Tylko dlaczego musieli wybrać akurat dzisiejszy dzień na rozmowę?

Wypił wczoraj cztery piwa z kumplami w Jazz Clubie, dwa drinki na dyskotecce i pół wina z eksdziewczyną w kuchni jej wynajętego mieszkania. Poinformowała go, że znalazła sobie kochanka i dlatego zrywa z Kubą. Ich związek zresztą i tak nie miał przyszłości.

Rano obudził go ból głowy. W pośpiechu zebrał się i spóźniony dotarł do redakcji, w sam raz, by dowiedzieć się na recepcji, że prezes i naczelny już na niego czekają. Na szczęście woleli najpierw obgadać coś między sobą, dzięki czemu mógł złapać oddech i wychylić filiżankę kawy.

Drzwi pokoju Dawida Nowaka, prezesa polskiej spółki córki wielkiego duńskiego koncernu Bernstein Business, który wydawał Express Finansowy, uchyliły się i prezes uśmiechając się czule wprowadził Kubę do swojego gabinetu. Pokój miał około 40 metrów kwadratowych, przy oknie stało duże biurko z Ikei, na ścianach wisiały dwie tandetne podróbki Immendor -fa, a w rogu naprzeciwko drzwi niewygodna ława i kilka skórzanych foteli dla gości. W jednym z nich tonął Tomasz Urbaniak, pięćdziesięcioletni naczelny Expressu Finansowego. Miał posiwiałą brodę, okulary o grubych denkach i ciepły uśmiech na twarzy. Kuba cenił go za sarkastyczny dystans do problemów, nie znosił za kompletny brak organizacji i bałaganiarstwo, przez które często jego współpracownicy musieli po trzy razy wykonywać

te same polecenia. Poza tym był stuprocentowym profesjonalistą, od którego Kuba nauczył się wiele pokory i szacunku do tematów.

- Siadaj - polecił prezes.

Był znacznie młodszy od naczelnego, wyglądał nawet na młodszego od Kuby. Lалуś w garniturze od Armaniego, ze sztucznym uśmiechem na gładkiej gębie i kilkanaście dyplomami MBA, zarządzania i innych pierdół w aktówkach. Wcześniej był audytorem Ernst & Young zatrudnionym przez Duńczyków do zbadania kondycji polskiej części BB. Wygryzł poprzednie go prezesa, dzięki śmiałości programowi cięcia kosztów i używaniu całej masy tubek z wazeliną przy każdej rozmowie. Kuba jednak zdawał sobie sprawę, że w swoim przypadku nie może liczyć na podobne względy. Przechodząc koło biurka, kątem oka dostrzegł na blacie wydruk tekstu o Geneticu. Mógł się tego spodziewać.

Cały rynek (analitycy, dziennikarze ekonomiczni) cieszy się z akwizycji polskiej firmy w dalekim Wietnamie. Szczególnie, że branża biotechnologii jest obecnie bardzo sexy. Problem polega na tym, że po bliższym przyjrzeniu się biznesowi, który kupuje „PKB” Polski Koncern Biotechnologiczny, pojawiają się pytania. Na ile biznes położony tak daleko może być zintegrowany z polską organizacją, która nie ma mocnej międzynarodowej struktury? Jakie są korzyści z tej akwizycji? Czy przypadkiem wybór nie padł właśnie na Wietnam, ponieważ znajduje się tak daleko od Polski? I kto dokładnie jest właścicielem Geneticu? Co ma do ukrycia większościowy akcjonariusz PKB, znany biznesmen i rekin giełdowy, Zenon Maciarz? Trudno coś w tej sprawie przesądzać, jednak na podstawie dostępnych obecnie informacji, wbrew powszechnej opinii, sprawa wcale nie jest oczywista.

- Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz? - zaryczał prezes. - Sprawa wcale nie jest oczywista? Wbrew powszechnej opinii?

Naczytałeś się Fredericka Forsytha? Chcesz nas wysadzić w powietrze?

- To pierwsza wersja - zaczął nieśmiało Kuba.

- Totalnie spaprana - wtrącił się naczelny, uznając chyba, że opieprzanie dziennikarza to jego rola. - Pomijając błędy warsztatowe, to jest stek pomówień.

- Stawiamy pytania - Kuba wołał nie dać rozkręcić się naczelnemu.

- Takie pytania doprowadzą nas do wielomilionowych odszkodowań, nie mówiąc już o konsekwencjach dla budżetu reklamowego wynikających z konfliktu z Maciarzem. Zdajesz sobie sprawę, ile naszych przychodów pochodzi z reklam zlecanych przez spółki Maciarza? - prezes wykladał kawę na ławę. Naczelny nigdy nie odważyłby się powiedzieć dziennikarzowi, że przez jego tekst wydawnictwo może mieć kłopoty finansowe.

- Sami kazaliście mi zająć się Geneticem - mruknął Zimny.

- .. .ale delikatnie. To miał być mały granat, a nie bomba atomowa.

No tak - pomyślał Kuba - wpuściliście mnie w kanał, żebym narobił syfu, który pomoże wam wynegocjować z Maciarzem lepszy kontrakt, ale nie spodziewaliście się, że szambo wyleje i nie będzie już o czym rozmawiać?

Od początku miał przecucie, że to zlecenie do zajęcia się tajemniczą inwestycją polskiej spółki w Wietnamie, nie jest do końca czystą sprawą. Dziennikarze przygotowywali teksty ze spraw sądowych, dokumentów prokuratorskich, śledztw służb specjalnych, a potem - jeśli sprawy dotyczyły wpływowych i bogatych firm - działań reklamy je łagodził i negocjował z bohaterami ostateczną treść lub brak kolejnych części serii w zamian za zle -cenia reklamowe. Oczywiście fakty te były zupełnie ze sobą nie związane.

Zdarzały się oczywiście i wyjątki, ale w dużych tematach zawsze wszystko rozbijało się o kasę. Murzyn-dziennikarz

robił swoje, a potem prezesi siadali do stołu.

- Ile tracimy w tym roku? - zapytał nagle.

- Jak to, ile tracimy? - prezes powoli się uspokajał. - O ile spadła sprzedaż? - doprecyzował Zimny.

- Jakies trzydzieści procent - wyrwało się naczelnemu.

- Trzydzieści procent, ale z uwzględnieniem dużych umów, z których i tak byśmy rezygnowali - poprawił prezes - W sumie wcale nie mamy spadku tylko wzrost mniejszy od oczekiwań.

Pieprzenie w bambus. Jeden z głównych sponsorów wydawnictwa - Global Telecom - po zmianach w zarządzie ostro ciął koszty i wypowiedział umowę partnerską z BB. W redakcji panowało przekonanie, że Global Telecom kupuje połowę nakładu Expressu Finansowego i dwóch innych gazet wydawanych w Polsce przez Duńczyków. Pewnie to była przesada, ale rzeczywiście kontrakt był dla redakcji ważny. Tajemnicą poliszynela było, że o tej korporacji nie można napisać ani jednego złego słowa. Ale czy było się czego wstydzić? W końcu żadna inna gazeta też ich nie atakowała, zbierając zapewne podobne kokosy, w tym samym albo zbliżonym stylu. Tak wyglądała niezależność dziennikarska w świecie kapitalizmu. Za komuny przynajmniej było wiadomo, o czym nie można pisać i co trzeba próbować wydać w podziemiu. Cenzura ekonomiczna była znacznie bardziej nieprzewidywalna i drapieżna.

- Jak chcecie ratować gazetę bez mocnych tekstów? Ludzie nie kupują prasy, bo nie potrafimy dostarczyć im własnych, ciekawych tematów. O pier -dołach mogą poczytać w internecie. Jeśli będziemy unikać odważnych treści, to za dwa lata wygryzą nas blogerzy - wyrzucił z siebie Kuba.

- Od kiedy to bawisz się w stratega?

- Dobra - naczelny klepnął się po kolanach dając znać, że powinni skończyć z wymianą uprzejmości i przejść do meritum. - Trzeba zastanowić się, czy coś jeszcze możemy zrobić z twoim tekstem, bo w tej formie nie pójdzie.

- OK. - Kuba poprawił się na fotelu zajmując pozycję do ataku - To wyślijcie mnie do Wietnamu.

- Co? - rzucili zaskoczeni.

- Dajcie mi pojechać do Wietnamu. Zrobimy reportaż o Geneticu. Pokażemy te ich warte miliardy fabryki, pracowników i kontakty z Chinami. Żadna gazeta nie wpadła na to, żeby pokazać „naszą” inwestycję od tamtej strony. Nie sądzicie, że to dziwne?

- Bo nikt nie chce wydawać kasy. I słusznie. Kogo to zainteresuje?

- Wszystkich. A jak okaże się, że tam są tylko krzaki i pola ryżowe zamiast nowoczesnych fabryk? Będziecie mieli skandal z kryzysem parlamentarnym w tle. Zdaje się, że inwestycja ma rządowe gwarancje. Ile kasy utopiły w tym fundusze emerytalne i drobne płatki? Pamiętacie aferę z metalami szlachetnymi w Kazachstanie albo ropę w Kongo, z której zostały tylko opary i puste portfele inwestorów?

- Zapomnij o aferze - powiedział z naciskiem prezes. - Jak chcesz jechać na wakacje do Wietnamu, to sam sobie kup bilet.

-Ażebyście wiedzieli, że kupię - Kuba poderwał się i zamierzał wyjść, ale naczelny zatrzymał go stanowczym gestem dłoni.

- Jeśli teraz wyjdiesz, możesz już nie wracać. Kuba zawałał się. A jednak jestem tchórzem.

Przypomniał sobie, jak kilka lat temu, przy okazji podobnych „negocjacji” na temat tekstu o Polskich Liniach Lotniczych prezes BB urządził mu pokaz siły dzwoniąc do szefa konkurencyjnego wydawcy i omawiając „po przyjacielsku” ewentualne roszady kadrowe. Radzę nie zatrudniać tego, bo jest taki a taki. A tamtego możesz wziąć. Potrafi być dyspozycyjny, choć nie grzeszy sprawnym piórem. To było wyraźne przesłanie: jak będziesz podskakiwał, damy ci wilczy bilet i taką rekomendację, że

pozostanie ci szukanie pracy co najwyżej na platformach wiertniczych w Norwegii.

Kuba myślał wówczas, że mogą mu naskoczyć - w końcu jest dobry, ma niezłych informatorów, ciekawe tematy, zdobywa nagrody, a jego teksty zajmują czołówki i są czytane przez największą liczbę czytelników. Jednak nie zaryzykował, mając w pamięci historię jednego z przyjaciół, który też myślał, że zawojuje świat, a skończył jako niewiarygodny bankrut z opinią szurniętego czubka.

Jeśli chcesz kogoś pozbawić wiarygodności, powiedz o nim, że jest wariatem. Tego nie sposób sprawdzić, a skoro tak mówią, to coś jest na rzeczy.

Nikt go nie będzie chciał słuchać. Im mocniej będzie się bronił, im głośniejsze mówił, tym mniej będzie słyszalny. Tym bardziej ludzie będą uważać go za wariata. To działa i - wbrew pozorom, ofiarą tego schematu padają często ludzie doświadczeni i inteligentni, czasem najwięksi stratedzy - twierdził przyjaciel Kuby - Dlaczego? Człowiek w konflikcie analizuje swoją sytuację, przygotowuje strategię, dobiera środki, zwykle uznając, że warto najmocniejsze atuty zostawić na koniec. To sprawia, że przypierwszym starciu sam ustawia się w równej pozycji na wojennej mapie ze znacznie potężniejszym przeciwnikiem. Słowo przeciwko słowu. Musi przegrać. Każdy kolejny argument nie jest już w stanie odwrócić sytuacji. Gniew jest złym doradcą, pamiętaj!

Pamiętał. Choć nie do końca zgadzał się z przyjacielem. Mamy tylko jedno życie, żeby pozostać sobą.

Kuba wrócił powoli do stolika. Przemyśli to sobie wszystko w domu i wtedy zdecyduje. Na chłodno.

- Co mam robić? - zapytał niepewnym głosem. Zbity pies, pokonany przez przeciwnika kuli ogon i biegnie za nowym panem. Choć głos mu drży.

- Zostaw na razie Genetic. Poprosimy Maciarza o spotkanie i wtedy porozmawiamy o naszych wątpliwościach.

- Przecież z nim rozmawiałem. Nie zamierza nic wyjaśniać. Roześmiał mi się w twarz.

- Wyjaśni, a ty zrobisz z nim wywiad, który też będzie ważnym, przełomowym tekstem.

- Już to widzę?!? To znaczy, pełna zgoda, Towarzyszu Pułkowniku. Naczelný poczerwieniał ze złości.

- Nie zgrywaj się! No dobra, na razie odłóżmy to. Mamy coś lepszego.

- Zamieniam się w słuch - mruknął Kuba. Naczelný chrząknął.

- Co wiesz o Sławomirze Klasyku? Kuba wzruszył ramionami.

- Prezes Komisji Nadzoru Finansowego, były wiceminister finansów w rządzie Buzka, bankier i makroekonomista. Podobno wyjątkowy mózg, liczy w myślach jak Rain Man.

- Wszystko się zgadza. Otrzymaliśmy informacje z wiarygodnego źródła, że szykuje się u niego megaafera. Ma to być rzekomo temat dnia na czołówkach w każdej telewizji.

- Co zrobił? Zgwałcił własną matkę?

- Blisko, blisko... - zaśmiał się naczelný - Tu masz streszczenie tematu i telefon do rzecznika, który ponoć chętnie będzie gadać. Zadzwoń do niego jak najszybciej. Tylko udawaj, że o wszystkim wiesz, tak żeby nie pierdolił o tajemnicy zawodowej.

- Temat na wczoraj?

- Na wczoraj - przyznał naczelný - nie ma tutaj mowy o żadnej wyłączności, być może inni też przy tym chodzą. Hubert i Bernard wiedzą, żeby cię nie obciążać, że to priorytet. Także bierz się do roboty! Jutro rezerwujemy na to „jedynekę”.

- To za wcześnie. Nie zdążę - westchnął Kuba. Naczelný nic nie odpowiedział.

- Musisz nauczyć się pracować szybciej, cut corners -

upomniał prezes. Zimny poczuł, że się rumieni. Nie był tylko do końca pewien, czy ze złości czy wstydu?

Wychodząc rzucił zaczepnie:

-A jeśli ta afera też będzie prowadzić do Maciarza?

Redakcja Expressu Finansowego mieściła się w budynku Millennium Plaza w Alejach Jerozolimskich. Nowoczesny budynek został zaprojektowany przez kontrowersyjnego tureckiego biznesmena i architekta Vahapa Toya, który chciał też wybudować w Polsce tor Formuły 1 i Las Vegas z lotniskiem i kompleksem sportowym w Białej Podlaskiej. Zimny kiedyś przeprowadzał z nim wywiad. Turek malowniczo opowiadał o miliardach dolarów, które jest w stanie sprowadzić na niebotyczne inwestycje. Plany brzmiały tak fantastycznie, że Kuba o mało co w nie nie uwierzył. Nie był jedyny. Z tego co słyszał, w inwestycjach Turkowi miał pomagać sam premier lewicowego wówczas rządu.

Jak się jednak okazało, że wielkie plany są marzeniami ściętej głowy i żerowaniem na naiwności, Vahapa po cichu pozbyto się z Polski. Od sześciu lat słuch o nim zaginął. A może to wcale nie Toy był szurnięty, tylko cały świat próbował go tak przedstawić i podkładał nogę? W każdym razie pozostawił po sobie Toi Toia, jak czasem nazywano budynek Millennium ze względu na podobieństwo do charakterystycznych (bądź co bądź) przenośnych toalet.

Sam Express zajmował trzy piętra w 28-kondygnacyjnym budynku mierzącym blisko 112 metrów wysokości. Wydawnictwo podnajmowało też gabinet prezesa na najwyższym piętrze z tarasem i widokiem zapierającym dech w piersiach, część liczącego trzy kondygnacje podziemnego garażu i pół piętra dla innych gazet branżowych wydawanych przez Bernstein Business. Na 15. piętrze mieściła się część redakcji dodatków, księgowość, cały dział reklamy i telemarketingu. Dwa wyższe piętra zajmowała redakcja - od reportażu przez dział biznesowy, sekcję motoryzacyjną aż do

Szarków

- sekcji rekinów gospodarki, działu organizującego najbardziej prestiżowy krajowy konkurs dla firm. Na samej górze newsroom. Połączenie działu newsów z sekcją portalu internetowego - najważniejsza i najbardziej prestiżowa część gazety świadcząca o jej sile. Albo słabości. Ostatnio raczej o słabości.

Zimny wjechał windą na 17. piętro, otworzył kartą zbliżeniową drzwi i wparował do piekiełka - newsowej części redakcji, która ciągnęła się przez całe pomieszczenie. Porozrzucane w pozornym chaosie biurka i wysepki dla grup dziennikarzy, żadnych ścian, oddzielnych pomieszczeń. Wyjątkiem były znajdujące się na końcu korytarza dwa pokoje na spotkania oraz gabinety naczelnych i komentatorów.

Kuba przeszedł koło działu foto, tabelarzy odpowiedzialnych za zestawienia giełdowe, grafików i składaczy męczących się nad wykresami. Zwolnił przy „długim stole”, gdzie zawsze kręciło się dużo osób. To było prawdziwe centrum redakcji. Przy stole siedzieli zazwyczaj dwaj wydawcy odpowiedzialni za wydanie internetowe i drukowane, redaktorzy dokonujący pierwszej oceny i korekty tekstów oraz fotoedytor. Obok ścianka z kilkudziesięcioma białymi tablicami oznaczającymi poszczególne kolumny gazety, czyli szpigel w skali makro, na bieżąco uzupełniany czarnymi i czerwonymi markerami. Wydawcy i naczelnicy kilkanaście razy dziennie nanosili na nim poprawki, aż do deadline pierwszego - przeznaczonego do wysyłki na cały kraj, wydania gazety, który mijał o godzinie 18.30. Praktycznie po 18. nie było można już wprowadzać większych zmian, choć oczywiście gazeta żyła jeszcze do 22.30 - zamknięcia wydania stołecznego. Jeśli następowało jakieś duże wydarzenie, wydawcy czekali z jedyneką maksymalnie długo. Czasem na drugie wydanie podmieniano fragmenty tekstów z autoryzacjami czy innymi

elementami, a czasem nawet zamieniano całe teksty, jeśli zaistniała taka konieczność. To nie było nic nadzwyczajnego. Wszystkie dzienniki tak robiły. Stąd czytelnik w Szczecinie i Warszawie mógł tego samego dnia przeczytać zupełnie inną gazetę, włącznie z pierwszą stroną. Mało kto zdawał sobie sprawę, jak dobrze zorganizowana musi być ta cała machina i jak potrafi być krucha i podatna na błędy. Naszą siłą są nasze sła -bości. Albo odwrotnie.

- Co mamy na jedyńce? - rzucił Kuba.

Gosia uniosła zmęczone oczy i uśmiechnęła się do niego.

- Mięso. Decydenci trzymający łapę na dotacjach unijnych ograniczają dostęp do pieniędzy firmom ze spożywki, szczególnie mięsnym.

- Afera - mruknął Kuba.

Temat ważny dla kilkuset, maksymalnie kilku tysięcy osób. Oczywiście wzmacniający pozycję gazety, ale żyjący jeden dzień. Gazeta coraz częściej skupiała się na tematach lobbujących, a nie misyjnych. Dawno już nie mieliśmy porządnego śledczego materiału, który tak naprawdę poprawiłby sprzedaż.

Gdyby zdecydowali się na puszczenie tekstu o Geneticu gazeta błyskawicznie zniknęłaby z kiosków. Maciarz wzbudzał emocje.

Prawdę mówiąc jednak Kuba cieszył się, że tekst nie poszedł do łamania, bo był kompletnie nieprzygotowany. Kazali mu go szybko skończyć, to skończył, ale potrzebował jeszcze sporo danych, opinii i komentarzy. No i ten Wietnam - to byłby news, gdyby tylko mógł tam pojechać. Wyobrażał sobie, jak zostałyby przyjęte zdjęcia fabryk Geneticu pod Ho Chi Minh czy Hanoi. Fakt, że dostał już na tym etapie blokadę od najwyższych, mocno podciął mu skrzydła. Pracował nad tematem blisko trzy miesiące, a tu nagle taki numer. Nawet nie ma co próbować. Trudno.

Kurwa mać. Takie życie.

- Nie masz co robić? - wicenaczelný Expressu odwrócił się do niego.

- Już idę - Kuba uchylił się przed rzuconą w jego kierunku zmiętą kulką papieru.

Biurko Zimnego stało zaraz za długim stołem, ukryte po drugiej stronie ścianki ze szpiglami. Naprzeciwko grzał miejsce inny dziennikarz śledczy, piszący głównie o hazardzie i przekrętach na foreksie Roman. Z tyłu biurko zajmowała Wiera, specjalistka od integracji europejskiej, a tuż za nią Marta pisząca o strefach ekonomicznych.

- Co słyhać? - rzucił Kuba na powitanie Romana, ale ten burknął coś na odczepkę wyraźnie nie w sosie.

- Przeliczyli mu franki po wczorajszym kursie - wyjaśniła Wiera - jest w plecy jakieś trzydzieści tysięcy. Jak my wszyscy.

Szczęśliwi jesteście, że macie te swoje kredyty - pomyślał Kuba - on przepuszczał całą kasę na piwo i dziewczyny. No i na wakacje. Nie ciągnęło go do dzieci i rodziny, ale chyba jednak czegoś w tym jego życiu brakowało.

- Muszę lecieć - Roman zabrał papierzyska do torby, chwycił kask motocyklowy i ruszył do wyjścia.

Kuba włączył komputer, sprawdził e-maila, uruchomił Mozillę i wpisał w wyszukiwarkę nazwisko Klasyka. Trzydzieści dwa lata, jeden z najmłodszych ministrów IV RP, były ekspert ekonomiczny i zarządzający funduszami. Zdjęcia przedstawiały misiwatego młodzieńca z brodą, wyraźną nadwagą i oczami bez wyrazu.

Na kartce, którą dostał od naczelnego, o samym Klasyku było jednak niewiele. Bardziej wskazówka, że może mieć on duży problem z jakąś spółką, której nazwa nic Zimnemu nie mówiła. Consulting Partners. Nazwa dobra dla przekrętaczy. Nic nie produkujemy, nic nie mamy, za to wszystko potrafimy skonsultować.

Consulting Partners wchodzi na giełdę. Spółka jest mała i

niewiarygodna, a Komisja zamiast ją powstrzymać, daje zielone światło do emisji publicznej. Być może sam Klasyk jest w to wszystko umoczony. Może wziął łapówkę, albo ma jakieś konszachty z nimi. Spółka wycenia się na prawie 100 mln zł, choć nie posiada żadnego majątku, a w praktyce tworzą ją trzy osoby, konsultanci biznesowi. Na dodatek niewykluczone są powiązania ze światem przestępczym.

Urywane zdania na kartce były wyraźnie spisane na komputerze naczelnego. Dużo literówek, brak dbałości o formę. Pewnie ktoś do niego zadzwonił i nadał temat, a on jak najszybciej chciał go opisać i zepchnąć to na Kubę lub Romana. Pech chciał, że padło na mnie - pomyślał Kuba. Consulting Partners? Kogo to obchodzi. I co do tego ma sam Klasyk?

Wpisał w wyszukiwarkę nazwę firmy i jednocześnie wybrał wewnętrzny do naczelnego.

- Tomasz - odezwał się naczelny po kilku sygnałach.

- Przepraszam, że ci zawracam gitarę... - rzucił Kuba - skąd masz właściwie to info o Consulting Partners i Klasyku?

-A co?

- Nic. Po prostu jestem ciekaw. Naczelny nie odzywał się dobre pół minuty.

- Nie mogę ci powiedzieć - rzekł w końcu. - Wiem, że to wbrew zasadom, ale potem ci wytłumaczę. Wybacz.

- Kolejny Genetic?

- Zrób, co uważasz.

Naczelny odłożył słuchawkę. Kuba miał do niego pretensje za rozmowę z prezesem, bo w końcu odpowiadał za bezpieczeństwo dziennikarzy, zawsze powinien brać ich stronę. Z drugiej strony wszyscy wiedzieli, że Tomasz jest na wylocie, bo nie dogaduje się z prezesem. Kolejny naczelny wisiał nad nimi już od roku. Nie znali tylko jego nazwiska. W internecie o Consulting Partners znalazł niewiele. Na stronie bardzo ogólne informacje, coś o wierzytelnościach, re

-strukturyzacji, upadłościach. Jacyś cwaniacy. Dokładniej sprawdzi potem. Wykręcił podany na kartce numer do Dariusza Woźniewicza. Rozmawiali już wcześniej kilkakrotnie, ale zwykle te rozmowy się nie kleiły. Kuba nie tęsknił za rzecznikiem KNF.

- Witam, Jakub Zimny, Express Finansowy. Czy pan Dariusz Woźniewicz?

- Przy telefonie - odparł nieco wystraszony głos po drugiej stronie

- Dzień dobry.

- Nie wiem czy pan pamięta, rozmawialiśmy dawno temu o sprawie kontroli w Banku Staropolskim - Zimny zawiesił głos, ale ponieważ Woźniewicz nie odpowiedział, postanowił kontynuować: - Przygotowuję artykuł na temat spółki Consulting Partners, która właśnie wchodzi na Giełdę. Mam parę pytań, możemy porozmawiać?

- Proszę.

- Więc, hmm, mamy wątpliwości, czy ta spółka powinna wejść na rynek publiczny. Z moich informacji wynika, że jest nierzetelnie wyceniona i ma problemy z prawem. Jak pan to skomentuje?

- Nie potwierdzam, nie zaprzeczam.

Kuba był nieco zaskoczony. Z tego, co mówili prezes i naczelny, Woźniewicz powinien współpracować.

-A jak pan skomentuje wątpliwości, co do postawy pana przewodniczącego Klasyka przy tej sprawie?

- Jakie wątpliwości?

- Według moich informacji pan Klasyk mógł pomóc Consulting Partners przejść procedury.

- Bzdura - rzucił Woźniewicz. - Pan Klasyk zrobił wszystko, żeby Consulting Partners nie przeszli procedur. Mogę panu zaufać? Nie zacytuje mnie pan?

- Oczywiście.

- Przewodniczący Klasyk zalecił specjalną procedurę wobec

tej firmy, w związku z podejrzeniami licznych przestępstw dokonywanymi przez jej przedstawicieli. Nie możemy jednak oficjalnie tego powiedzieć, bo obowiązuje nas tajemnica zawodowa. To przestępcy. Próbują się bronić dyskredytując przewodniczącego. A my możemy tylko powiedzieć: nadzór musi być odporny na wszelkie naciski.

- Nie mogą was dyskredytować, bo jeszcze z nimi nie rozmawiałem

- burknął Zimny - Co im zarzucacie?

- To nie jest rozmowa na telefon.

- Mogę podjechać do pana w każdej chwili.

- Obawiam się, że to też nie będzie możliwe.

- Więc jak mam napisać tekst na ten temat?

- Pojutrze wystosujemy specjalny komunikat. Może pan go dostać wcześniej, ale nie może zacytować lub przyznać, że go czytał. Wchodzi pan w taki układ?

- Po co mi tekst nie do wykorzystania?

- Nie powiedziałem, że nie może pan wykorzystać informacji. W komunikacie będzie opisany cały proceder. Wszystko, o co ich oskarżamy. Pan nie może tylko przyznać, że informacje pochodzą z naszego komunikatu. Otrzyma pan informacje jako pierwszy, a potem Komisja potwierdzi, że pana tekst jest oparty na faktach. To jak, zgoda?

Kuba zdziwił się propozycją, ale w sumie nie był zaskoczony. Nie raz korzystał z informacji z urzędów, które oficjalnie nie mogły być przekazywane prasie. Dawano je dziennikarzom w różnej formie - głównie ksero z wyciętymi nagłówkami i datami, żeby nie można było oskarżyć urzędu o wyciek. Raz dostał kopię części akt prokuratorskich od samego szefa prokuratury krajowej. Dał mu je i zaraz kazał zniszczyć. Innym razem zadzwonił szef policji i nadał temat na swój własny departament, z którym nie mógł sobie poradzić. Nie raz do redakcji podrzucano strategie, masterplany i inne oficjalne, częściowo kompletnie niedostępne dla innych osób.

Zimny był za pełną jawnością życia publicznego, więc nie ganił w żaden sposób urzędników za przekazywanie informacji prasie. Tym bardziej, że prawie nigdy nie oczekiwali za to gratyfikacji i równie rzadko próbowali ukierunkowywać teksty. Macie, róbcie z tym, co chcecie. Z drugiej strony łamanie tajemnicy służbowej było przestępstwem. Kuba nie tyle był zwolennikiem rygorystycznego przestrzegania prawa, ale obawiał się, że przez współpracę z nim informatorzy mogą ponieść konsekwencje. Część dziennikarzy miała w nosie los rozmówców. Liczył się tekst, temat. Kuba nie zgadzał się z nimi. Uważał, że najważniejsze jest bezpieczeństwo informatora, bo to pozwala zbudować długotrwałe relacje. Ich bezpieczeństwo oznaczało jego spokój wewnętrzny. Czuł się za nich odpowiedzialny, nawet jeśli kłamali. To dziennikarz jest od weryfikacji danych. Nie może winić informatora za napisanie nieprawdy, pod którą się podpisał. Prasa nie powinna służyć załatwianiu interesów lokalnych kacyków czy urzędników. Nawet informacje od samego premiera powinno się weryfikować, a nie bezgranicznie im ufać.

- Zgoda - rzucił teraz do słuchawki, choć zdawał sobie sprawę, że brak możliwości zacytowania dokumentu oznacza dla niego znacznie więcej pracy i wymusi ostrożność.

- Jutro z samego rana prześlę panu e -maila. Proszę o jego usunięcie zaraz po pobraniu wiadomości.

- Dobrze - Kuba uśmiechnął się. Zrobi zgodnie z obietnicą, bo w razie czego e -mail i tak pozostawał do dyspozycji na serwerze głównym redakcji jeszcze przez paręnaście miesięcy. Mimo że nie miał zamiaru działać przeciwko informatorowi, to nie wolno mu było usuwać dowodów, które mogły być potrzebne w wypadku procesu sądowego czy innych nieprzewidzianych zdarzeń.

Spojrzał na zegarek. Mijała właśnie 16., koniec pracy

wszystkich urzędów. Za oknem redakcji rozpoczęła się ucieczka z biurowców do sypialnianych dzielnic Warszawy: Ursynowa, Białołęki, Żoliborza. W redakcji większość ludzi pracę kończyła około 18.30. On zwykle zostawał jeszcze dwie, trzy godziny. Sprawdza tę społeczkę, o której ma pisać i przygotowuje research. Koledzy z większych gazet mieli zawsze do pomocy praktykantów, którzy przeczesywali internet i archiwa w poszukiwaniu danych dla autora. Zimny nie miał tak dobrze, ale i tak wolał wszystko robić sam. Nie lubił pracy zespołowej.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Teodor Kozłowski i Kuba Zimny wyglądali z okien swoich biurowców, w niewielkim secesyjnym pałacyku przy ulicy Emilii Plater koło hotelu Marriott, rozpoczynała się narada zarządu spółki Consulting Partners. Andreas Holdner, obywatel Niemiec, największy akcjonariusz i wiceprezes zarządu, poprosił o zajęcie miejsc za stołem konferencyjnym Pawła Kutza i Witolda Stypułkowskiego, pozostałych członków zarządu. Holdner był odpowiedzialny za wprowadzenie akcji CP na Giełdę Papierów Wartościowych w Warszawie.

- Nie udało mi się skontaktować z GPW - zaczął bez wstępu czystą polszczyzną.

- Nie udzielili informacji? - zapytał Stypułkowski.

-W dziale emitentów w ogóle nie chcieli połączyć mnie z kimś decyzyjnym, a potem po prostu nie odbierali telefonów.

-A co z KNF-em?

- Także nic. Prawdopodobnie coś szykują, bo dostaliśmy informację od brokera, że kazano przygotować pełną dokumentację do kontroli.

- Znowu?

- Tak.

- Pytałeś o opinię profesora?

Andreas zacisnął zęby ze zdenerwowania. Na sugestię

zarządu wynajął profesora prawa i jednocześnie członka rady giełdy, jednego z najlepszych prawników z koneksjami w KNF. Profesorowi jednak nawet nie chciało się kiwnąć palcem. W ramach konsultacji miał do powiedzenia jedynie parę zdań. Andreas nie lubił wyrzucać pieniędzy w błoto.

- Wziął sto tysięcy i wrzucił ramionami. Powiedział, że powinniśmy się dogadać.

-A co innego robimy?

Andreas nie odpowiedział. Witold Stypułkowski miał ochotę trzasnąć pięścią w stół. Pomyślał jednak, że może wyolbrzymiają problem.

- Co nam mogą zrobić? - zapytał - Przecież już zakończyliśmy zapisy i przydział akcji.

- Teoretycznie mogą nawet wstrzymać ofertę.

- To jakieś żarty.

- To nie żarty. Mogą nas nawet posadzić.

Kutz, który dotąd się nie odzywał, westchnął ciężko.

- Andreas, czy myślisz, że znów wraca tamta sprawa?

- Szczerze? Niestety, ale chyba tak.

- Przecież rozmawialiśmy z nimi. Mówili, że to nic osobistego. Tylko biznes.

- Co mam ci odpowiedzieć?

- Wybronimy się?

Andreas pobałdł na twarzy. Ktoś, kto w tym momencie spojrzałby w jego oczy, mógłby wyczytać w nich kilka rzeczy: nienawiść, desperację, wolę zemsty. Może nawet uznalby, że widzi w nich strach. Tak naprawdę jednak pomyliłby się, bo dla wszystkich, którzy go znali, obecny wyraz oczu Hold-nera oznaczał jedno: determinację. Zimny upór. Niemiec, choć niewielkiej postury, z charakteru przypominał bawoła. Nigdy nie schodził z drogi, parł do przodu i miał twardą głowę, którą potrafił walić w mur aż do skutku.

- Zapytaj lepiej, kto ich obroni przed Andreasem - szepnął Stypułkowski do Kutza.

Rozdział 2

*Pieniądze robią zarówno
wrogów jak przyjaciół.*

Graham Greene

Zimny obudził się kwadrans przed szóstą, włączył radio, umył zęby i zaparzył podwójną kawę. Był mocno podekscytowany. W nocy właściwie drzemał a nie spał, nawiedzany przez demony nowego tematu, który po wczorajszym nocnym researchu zaskakująco zyskał na znaczeniu.

Zamierzał pojawić się w redakcji przed porannymi korkami i przygotować się do kilku zaplanowanych rozmów w związku z tematem Consulting Partners. Wieczorne surfowanie po internecie nie przyniosło przełomu, co do jego wiedzy na temat samej spółki - znalazł niewiele. Jakies awantury przy upadłościach, restrukturyzacji długów, informacje o złożonych wnioskach do sądów, negocjacjach z syndykami. Nawet na stronie internetowej samej spółki opis jej działalności był dla Zimnego mało zrozumiały.

Consulting Partners jest firmą doradczo-inwestycyjną, której działalność obejmuje zarówno doradztwo w dziedzinie Corporate Finance jak i aktywne inwestowanie w projekty restrukturyzacyjne. Firma specjalizuje się w inwestowaniu w przedsiębiorstwa, akcje lub inne aktywa, które ze względu na problemy formalne, organizacyjne, operacyjne lub inne (np. upadłość) wymagają gruntownej restrukturyzacji („distressed assets”).

Corporate Finance? Distressed assets? Ogólniki i slogany. Na stronie znalazł za to sporo informacji o planach wejścia spółki na GPW, w tym prospekt emisyjny zatwierdzony przez KNF 30 września, dwa miesiące temu. Sam dokument informował, że spółka zamierza wyemi -tować dla

inwestorów, czyli giełdowych ciułaczy, do 100 tys. nowych akcji, a środki pozyskane z emisji zostaną przeznaczone głównie na inwestycje w katowicką spółkę produkującą sprzęt do wydobywania węgla. W kolejnej zakładce znalazł informacje z przebiegu book buildingu, czyli procesu zapisów na oferowane akcje. Zakończyły się 99 proc. redukcją, co oznaczało, że jak ktoś zapisał się na 100 akcji dostawał tylko 1. Spółka cieszyła się sporym wzięciem i ludzie, którzy w nią zainwestowali, mogą liczyć na duże wzrosty przy debiucie na GPW.

Zarząd Spółki Consulting Partners SA informuje, że w dniu dzisiejszym podjął uchwałę o dokonaniu przydziału akcji. Zapisy prawidłowe złożono na 1.338.244 akcji o łącznej wartości 80.300.440 złotych. Stopa redukcji wyniosła 99%.

Istne szaleństwo. Mała firma mogła w porywie wyciągnąć od naiwniaków nawet 80 baniek. Uff! Przydziału akcji dokonano 5 listopada, wniosek o dopuszczenie do obrotu złożono tego samego dnia. Dlaczego więc wciąż, po miesiącu, nie znalazły się na GPW? Rzeczywiście jest afera!

Zimny powpisywał jeszcze nazwiska członków zarządu firmy do wyszukiwarki i dopiero wtedy poczuł, że krew tężeje mu w żyłach. O ile o Kutzcu i Stypułkowskim w sieci było niewiele, o tyle Andreas Holdner w internecie miał kartotekę niemal tak bogatą jak sam Bill Gates. Okazało się, że Holdner był prezesem banku ABC w Londynie, maklerem City zarządzającym portfelami klientów na emerging markets, wprowadzającym ofertę Barclaysa na rynki Chin i Azji, wreszcie negocjatorem przy restrukturyzacji Elektrimu w Polsce. Zdjęcia z Markiem Mobiussem, George Sorošem, a nawet z Silvio Berlusconim. Co ktoś taki robi w niewielkiej polskiej spółeczce? Na dodatek w towarzystwie przestępców. A może sam jest przestępcą? To rzeczywiście może okazać się ciekawsze niż Genetic. Sam Consulting Partners to pikuś, ale jeśli oprzeć się na gościu z takim życiorysem jak Holdner i

napisać, że jest o coś podejrzany, to może być główny news dnia dla świata finansowego. Nie tylko w Polsce. Nawet jeśli zarzuty okażą się niesłuszne. Temat dnia, może nawet roku. Jeśli oczywiście znowu prezes nie dostanie te -lefonu od zatroskanego klienta, prenumeratora czy reklamodawcy.

Czyżbym trafił na swojego Gordona Gekko*?

Kuba dopił kawę i ruszył do samochodu. Stara honda crx stała na parkingu pod wynajmowanym przez niego domem przy Czeskiej, na Saskiej Kępie. O szóstej dziesięć zjeżdżał już z Mostu Poniatowskiego. Ruch był niewielki, skrzyżowania mijał na pierwszych światłach. W pół do siódmej minął dawny budynek Ikei i parkował przy Toi Toiu.

W redakcji siedział już Bernard - kierownik działu newsów i kilka innych zbłąkanych dusz. Nie wdając się w zbędne dyskusje włączył Maca i uruchomił skrzynkę pocztową. E-maila z KNF spodziewał się później, ale czekała go miła niespodzianka. Z adresu sxc@gmail.com napisano do niego już o .30 rano. Wiadomość zawierała dwa krótkie zdania: Wysyłam z prywatnego adresu. Proszę o poufność. D. W.

W załączniku znajdował się dokument roboczy bez żadnych nagłówków, pieczętek czy innych insygniów wskazujących, że jest oficjalnym stanowiskiem urzędu. Nie było jednak najmniejszych wątpliwości, że to autentyczne pismo.

KNF wszczęła dziś postępowanie w sprawie zakazu dopuszczenia do obrotu na rynku regulowanym akcji spółki Consulting Partners SA w związku z uzasadnionym podejrzeniem naruszenia obowiązku przedstawienia w prospekcie prawdziwych, rzetelnych i kompletnych informacji. Jednocześnie KNF przekazuje do publicznej wiadomości informację o zaistnieniu okoliczności wskazujących na popełnienie przestępstwa zatajenia prawdziwych danych.

** Finansista-przestępca z filmu Wall Street, jedna z najlepszych kreacji Michaela Douglasa.*

Poniżej następował opis proceduru. Jeśli Kuba dobrze zrozumiał, to spółkę oskarżano o próbę manipulacji, ukrycie przed inwestorami ważnych danych dotyczących transakcji pomiędzy zarządem, firmą i spółkami powiązanymi oraz nierzetelne wyceny.

Kurwa mać! Andreas Holdner, mój prywatny Gordon Gekko, podejrzany o przestępstwo finansowe.

Jeśli darmozjady z działu promocji nie spartolą swojej roboty, to taki news mógłby pojawić się nawet w BBC albo CNN. Trzeba szybko dać znać koncernowi Bernsteina, żeby to wrzucił jutro z samego rana do własnych serwisów i puścił w świat. Trzeba przygotować krótkie depeche dla Bloombergaii Reutersa - myśli Kuby biegały jak szaleni hokeiści od bandy do bandy. Już widział te tytuły: Afera finansowa w Polsce, Znany światowy finansista oskarżony o malwersacje, Guru rynku emerging markets przestępcą? Zimny wierzył, że każdemu kiedyś trafia się temat życia. Wcześniej dwa czy trzy razy miał wrażenie, że puka do jego drzwi, ale ostatecznie okazywało się, że rakieta - i owszem - startowała z wielkim hukiem, ale potem znikwała w ko -smosie wielu podobnych, mniej lub bardziej ważnych newsów. Na temat ży -cia musiał wciąż czekać.

Było za wcześnie na dzwonienie z prośbą o komentarz do sprawy, Zimny postanowił więc zacząć spokojnie pisać główne tezy tekstu. Co prawda wypadało poczekać na głos Holdnera czy choćby stanowisko jego spółki, ale cóż mogli mu powiedzieć: Jesteśmy niewinni, padliśmy ofiarą pomówień? To jakaś pomyłka? Stanowczo zaprzeczamy zarzutom? To właściwie bez znaczenia. Dostaną miejsce na komentarz, ale przecież nie można zaburzyć konstrukcji tekstu. Urząd stawia zarzuty, przestępca je odpiera, ludzie wierzą urzędowi, przestępca idzie do piekła. Taka jest normalna kolej rzeczy. Zimny zaczął pisać.

Depesza:

ŚWIATOWEJ SŁAWY MAKLER PODEJRZANY O OSZUSTWA W POLSCE (tytuł roboczy)

- Express Finansowy,

Polska Znany finansista Andreas Holdner jest podejrzewany przez polską Komisję Nadzoru Finansowego o malwersacje dokonywane w spółce Consulting Partners, która ubiegała się o wejście na warszawską Giełdę Papierów Wartościowych. Założona i finansowana przez Holdnera spółka miała dokonać szeregu manipulacji i fałszowania danych w prospekcie emisyjnym oszukując inwestorów, którzy łapczywie rzucili się na oferowane przez nią akcje. Sprawa może zakończyć się wielkim skandalem, gdyż według informacji Expressu Finansowego, spółka próbowała przez media atakować samego przewodniczącego KNF - Sławomira Klaszyka i lobbować przeciw niemu. KNF podjęła decyzję o zablokowaniu debiutu CP na giełdzie. Sprawą już zajmuje się prokuratura.

Zadowolony z treści wyszedł na papierosa. Dwa Marlboro spłonęły jeden po drugim w zaledwie minut. Jerozolimskie były już totalnie zapchane przez sznur samochodów. Na przystanku autobusowym stała grupa sześciu kieszonkowców, którzy czasem bawili się też w napady na auta osobowe. Obstawiali głównie autobusy linii 175 dowożące do centrum pasażerów z lotniska Okęcie. Wszyscy mieli duże puste torby, po których można było ich po -znać. Jak napadali na samochody, pakowali do nich ciężkie metalowe narzędzia, i taką bronią wybijali boczne lub przednie szyby w autach, których kierowcy nieostroźnie pozostawiali nesesery czy torby na przednich siedzeniach. Huk rozbitej szyby gwarantował szok. Kierowca nie miał żadnych szans, choćby był Muhammadem Alim. Zanim wychodził z samochodu i ruszał w pościg, złodzieje znikali

już w jednej z bram okolicznych kamienic.

Punkt dziewiąta pierwszy raz wybrał numer Consulting Partners i poprosił o połączenie z Andreasem Holdnerem. Sekretarka poinformowała go, że wiceprezesa nie ma. Dwie kolejne próby także nie przyniosły rezultatu.

W końcu podano mu numer telefonu komórkowego i tuż przed dziesiątą Andreas Holdner zameldował się po drugiej stronie linii. Zimny zdziwił się, że tamten tak dobrze i bez żadnego akcentu mówi po polsku. Dziennikarz przedstawił się i poprosił o komentarz finansisty-przestępcy. Holdner milczał przez kilkanaście sekund, po czym zasyczał krótko:

- To nieprawda.

- Co jest nieprawdą? Zarzuty KNF bazują na nieprawdziwych informacjach, czy też nie wierzy pan w samo postawienie zarzutów przez Komisję? - starał się doprecyzować Kuba.

- To wszystko stek kłamstw. Zostaliśmy zaatakowani z powodu konfliktu z domem maklerskim.

- Skonfliktowaliście się z własnym brokerem?

- Nie z własnym. Przepraszam, muszę to przemyśleć.

- Co mogę zatem zacytować?

Andreas Holdner rozłączył się. Kuba popatrzył zdziwiony na telefon. W sumie jednak czego się spodziewał? Może to nawet lepiej, że nie chciał gadać za dużo. Kontakt z adwersarzem odbębniiony. Wystarczy. - pomyślał Zimny i zasiadł do pisania dalszej części materiału.

Sam Holdner był kompletnie zaskoczony pojawieniem się zarzutów. W rozmowie z *Expressem Finansowym* wszystkiemu zaprzeczył i zrzucił winę na brokera, którym jest dom maklerski DMB. Następnie rozłączył się i pozostawał nieuchwytny do wieczora. Rynek finansowy przyjął informacje o zarzutach dla Holdnera z równie wielkim zaskoczeniem.

- Andreas był na rynku postrzegany jako postać kryształowa.

To szok - mówi jeden z finansistów.

Znów zaczął dzwonić wybierając numery komórkowe znajomych prawników i osób związanych z funduszami inwestycyjnymi.

Rozmówcy znali Holdnera, ale nie bardzo chcieli się wypowiedzieć. Kiedy Kuba wybierał piąty lub szósty numer, jego komórka zaskrzeczała, a na wyświetlaczu pojawiła się informacja: Dzwoni: Holdner, Andreas.

Kuba odebrał mówiąc grzecznie, że cieszy się z powodu telefonu Holdnera.

- Pan chce napisać kłamstwo - zaatakował go jednak wiceprezes CP - Jeśli pan to zrobi, wytoczę panu proces i dopilnuję, żeby pan już nigdy nie skłamał w prasie.

Kuba był tak zaskoczony, że nie był w stanie zdobyć się na jakąkolwiek ripostę.

- To pana wybór, ale jeśli zdecyduje się pan powiełać kłamstwa, musi pan zdawać sobie sprawę z ryzyka. Poświęcę cały majątek, żeby pana zniszczyć.

- Niech mnie pan nie straszy - wyjąkał Kuba, ale zabrzmiało to strasznie słabo. Kompletnie nie spodziewał się takiego obrotu sprawy.

- Ja nie straszę, - Andreas Holdner kontynuował atak - tylko informuję, że zamierza pan napisać nieprawdę i jeśli pan to zrobi, poniesie konsekwencje.

- Proszę więc się ze mną spotkać.

- Pan już wybrał sobie winnego. Jak dojdzie pan do wniosku, że chce uprawiać prawdziwe dziennikarstwo, zadawać pytania i weryfikować fakty, a nie wyłącznie prosić o komentarz, to proszę wtedy zadzwonić. Ale nie wcześniej niż w przyszłym tygodniu.

Holdner rozłączył się. Kuba czuł jak krew wylewa mu się na policzki. Ciosy maklera były solidne, celne, zbiły go z tropu. Ale Zimny nie zamierzał dać się wystraszyć. W pierwszym odruchu roześmiał się więc cynicznie. Już on mu pokaże.

Potem pomyślał, że może jednak popełnił jakiś błąd, może rzeczywiście z góry go skazał. Nie, nie zrobił nic złego; miał prawo w obecnej sytuacji dzwonić po prostu o komentarz a nie wyjaśnienia. Pies z tobą tańczył.

Tekst był gotowy o 16. Kuba dodał też kalendarium zdarzeń, które miało biec górą przez całe dwie kolumny przeznaczone na materiał. Tuż przed siedemnastą dorzucił kilka ramek i „oko eksperta” - krótki komentarz do sprawy. Znany prawnik Marek Migalski, obrońca w wielu słynnych procesach, mówił w nim, że złamanie prawa przez zarząd Consulting Partners wydaje się oczywiste, a Komisja Nadzoru Finansowego po raz kolejny stanęła na wysokości zadania chroniąc inwestorów przed przestępstwem białych kołnierzyków.

Wieczorem był totalnie wypalony. Do rana miał jeszcze czuły strach i niepewność. W nocy kręcił się w łóżku nie mogąc uniknąć pytań: czy gdzieś nie popełnił błędu? Rankiem jednak odetchnął. Komisja wystosowała komunikat dokładnie takiej treści, jak mu przesłano, a wszystkie agencje - włącznie z międzynarodowymi serwisami Reutersa i Bloomberg - cytowały tekst Zimnego. Należąca do Bertsteinów największa telewizja Danii i krajów Beneluksu - TVB4 podała informacje jako główny temat dnia w serwisach ekonomicznych i jeden z najważniejszych tekstów dziennika. Zapowiedziano specjalny reportaż na temat Holdnera i dyskusję w studiu. Globalizacja.

W redakcji przywitano go oklaskami i poklepywaniem po ramionach. Mieli w końcu jedynekę, która napędzi sprzedaż. Po południu Kuba znalazł na tablicy korkowej przy swoim biurku wydrukowane z netu zdjęcie Holdnera przebite ostrą rzutką do gry w Darta. Żartownisie.

- Nie wiecie, kto to przybił? - zapytał, ale dziewczyny były zajęte swoimi sprawami i tylko pokręciły przecząco głowami.

Tuż przed zamknięciem gazety gruchnęła zaś kolejna sensacja, która zadziałała na Zimnego jak kojący balsam.

Dziś w godzinach wieczornych funkcjonariusze ABW zatrzymali trzy osoby w związku z prowadzonym pod nadzorem Prokuratury Okręgowej w Warszawie śledztwem, dotyczącym usiłowania doprowadzenia do niekorzystnego rozporządzenia mieniem m.in. Skarbu Państwa i podejrzeniem przestępstw przeciw obrotowi kapitałowemu. Wszystkie zatrzymane osoby są związane ze spółką publiczną Consulting Partners z Warszawy. Według ustaleń poczynionych w śledztwie, co najmniej jeden z zatrzymanych jest podejrzany o udział w zorganizowanej grupie przestępczej.

Kuba odetchnął.

I co teraz pan powie, panie Holdner? Może nawet udało się panu mnie wystraszyć, ale nie dałem ciała. Za to pan ma pewnie teraz pełno w portkach.

Zabrał się do roboty. Miał kolejną jedynekę do zrobienia.

W krakowskim biurze kancelarii adwokackiej Ramstein, Hegel i wspólnicy dwaj dobrze ubrani mężczyźni w napięciu oglądali wiadomości czekając na pojawienie się komunikatu o aresztowaniach ABW. News pojawił się dopiero tuż przed końcem wiadomości.

- Czemu to nie była wiadomość dnia? - zapytał zdziwiony jeden z mężczyzn.

- Może tylko nam wydaje się to takie istotne. Ważniejszy jest przecież problem Dody z Radkiem i kwestia kolejnego przegranego meczu w eliminacjach piłkarskich. A główną wiadomość zrobili z jakiegoś polityka, który wymachuje sztucznym członkiem i pije wódkę na rynku miejskim.

- Jesteśmy przewrażliwieni - przyznał rozmówca - Te chłopaki może nawet i na taką wzmiankę nie zasłużyli.

- Czy myślisz, że to kończy cały temat?

- Tak. Z pewnością ta lekcja będzie dla nich wystarczająco pouczająca.

Rozdział 3

*Ci, którzy sądzą, że pieniądz wszystko może,
są zdolni wszystko zrobić, by go mieć.*

Dante Alighieri

Prokurator Ewelina Talar wymierzyła glocka tuż powyżej środka tarczy i powolnym, płynnym ruchem palca nacisnęła spust. Wymierzyła w drugi cel, potem w trzeci. Zebrała dwadzieścia osiem punktów za jedną dziesiątkę i dwie dziewiątki, co po raz kolejny okazało się najlepszym wynikiem serii. Strzelała od pół godziny i trochę bolało ją ramię. Tak tłumaczyła sobie te dwie dziewiątki. W dawnych czasach strzelała czasem lepiej od złotej meda -listki olimpijskiej Renaty Mauer, ale na zawodach nie wytrzymywała presji. Jej kariera legła w gruzach, gdy na turnieju przedolimpijskim, który miał dać jej bilet do Sydney, całkowicie poległa w ostatniej serii jak ostatnia amatorka. Załamała się psychicznie i zrezygnowała z kariery sportowej. Może i do -brze, bo przez nią zaniedbała studia prawnicze, które były jej drugą, równorzędną pasją. Od początku studiów wiedziała, co chce robić. Nie interesowały ją aplikacje sędziowskie, adwokackie czy radcowskie. Trzymała się z dala od całej gromady fircyków, dla których studia miały się stać trampoliną do wielkiej kasy. Ona chciała gonić i łapać przestępców.

W 2001 skończyła studia z wyróżnieniem i dzięki wstawiennictwu dziekana wydziału, otrzymała etat w prokuraturze rejonowej Warszawa Praga-Północ. Po przepisowych trzech latach aplikacji trafiła na staż asesorski, który zamiast dwóch lat trwał aż pięć, aż stała się pełnoprawnym prokuratorem. Minister nie spieszył się z nominacjami i asesory jeszcze długo po egzaminach czekali na awans. Uroda i delikatność ciała, które zwykle

pomagały jej w życiu, tym razem okazały się przeszkodą. Oddawano do jej dyspozycji głównie drobne sprawy, z reguły dotyczące lekkich przestępstw. W ciągu pięciu lat pracy trafiła może na trzy sprawy, które rzeczywiście ją zaintrygowały.

Zdławiona ambicja sprawiła, że zaczęła poszukiwać innych możliwości samorealizacji i już w 2003 rozpoczęła studia podyplomowe w Szkole Głównej Handlowej, gdzie od początku zainteresowała się rynkiem kapitałowym.

Dwa lata później docenił ją prokurator krajowy Bembenek, proponując przejście do tworzonej w prokuraturze okręgowej specjalnej grupy do ścigania przestępstw na rynku kapitałowym. Pamiętała jak dziś, co powiedział.

- Czy wie Pani jaką skuteczność ma prokuratura w sprawach giełdowych? A może lepiej powinienem być powiedzieć, jaką nieskuteczność? Bo skazań mamy mniej niż promil. Z aktami oskarżenia kierowanymi do sądów też nie jest lepiej. Rząd Prawa i Sprawiedliwości chce to zmienić.

I pani wykona dla nas to zadanie - dopowiedziała sobie sama w myślach - ku chwale Ojczyzny. I Prawa i Sprawiedliwości.

Po krótkiej chwili wahania Ewelina Talar przyjęła propozycję i od lutego 200 zameldowała się w wydziale VI do Spraw Przystępności Gospodarczej warszawskiej Prokuratury Okręgowej przy ulicy Chocimskiej. Dziś Bembenek sam był ścigany przez prokuraturę z powodu podejrzeń o spalenie jednej z akcji Centralnego Biura Antykorupcyjnego przeciwko wicepremierowi polskiego rządu. Ewelina jednak była przekorna i wciąż miała do niego dużo sympatii. Powód: praktycznie wszystkie sprawy, którymi dzięki przejściu do „szóstki” się zajmowała, były niezwykle ciekawe. Duże pieniądze, znane nazwiska, skomplikowane kwestie. Wyzwania.

Jednak po zdymisjonowaniu Bembenka zespół giełdowy przestał być tak istotny. Skończyły się wycieczki do SEC,

amerykańskiej komisji o uprawnieniach prokuratorskich, zwiedzanie Nowego Jorku, Los Angeles i przy okazji Las Vegas, wielogodzinne debaty i szkolenia organizowane w komisjach nadzorczych w Europie, a poszczególne sprawy zaczęto przydzielać prokuratorom i asesorom w normalnym trybie, bez tworzenia - jak do tej pory - zespołów operacyjno-śledczych czy grup referentów. I dobrze - podsumowywała prokurator Talar - dzięki temu mogła w spokoju robić swoje. Choć wciąż nie miała żadnego spektakularnego sukcesu, o którym skrycie marzyła, to przez dwa lata zamknęła dwa postępowania przeciw nieuczciwym doradcom, jedno śledztwo dotyczące oszustwa maklerskiego oraz postępowanie w sprawie manipulacji akcjami niewielkiej spółki informatycznej.

Wszystkie postępowania dzięki odpowiedniemu prowadzeniu zakończyły się przyznaniem oskarżonych do winy, a wyroki były tylko formalnością. Widząc jej zapał i skuteczność, szefowa „szóstki” przydzieliła ją do ciągnącej się od dziesięciu lat sprawy dwóch maklerów -oszustów z dużego banku inwestycyjnego. Doprowadziła do ich skazania, co w tej sytuacji było sporym sukcesem.

Również dzięki temu dostała następnie przydział do dwóch trudniejszych „politycznych” postępowań -sprawy rzekomej manipulacji dokonanej przez prezesa Banku ETE a obecnie szefa koncernu medialnego oraz podejrzeń zmywy dziesięciu zarządzających największymi polskimi instytucjami finansowymi. To, co działo się z tymi wciąż niezamkniętymi śledztwami, nadawało się na książkę. Na szczęście jako podległy w hierarchii jedynie oddelegowany do okręgowki prokurator rejonowy i współreferent nie musiała angażować się w „negocjacje” ze sztabem prawników, polityków i lobbystów. Czterech wyższych rangą prokuratorów mocno się od tego pocilo.

- Pamiętaj, najważniejsze, żeby móc rano spojrzeć sobie w

lustro i nie zaciąć się przy goleniu - mówił jej Piotr, przyjaciel, który robił oszałamiającą karierę w wydziale ds. przestępczości zorganizowanej gdańskiego wydziału Prokuratury Krajowej. Mimo awantur i bezkompromisowego charakteru, parł do przodu. Piotr był już legendą. Nikt - nawet minister sprawiedliwości - mu nie podskakiwał. Dostawał wszystkie najważniejsze śledztwa: pranie pieniędzy u najbogatszych Polaków, wielkie transakcje międzynarodowe, duże sprawy narkotykowe.

Ewelina marzyła, żeby kiedyś trafić do jego zespołu, ale był jeden problem nie do rozwiązania - nie mogła opuścić Warszawy na dłużej. Piotr zaś nie chciał wyjeżdżać z Gdańska.

- Zapominasz, do kogo mówisz. Ja się nie golę - odparła.

- Każdy, nawet ty, kiedyś się musi ogolić - odparł tylko Piotr i zaraz dodał równie żartobliwie - Choć współczuję mężowi.

Nie miała czasu na męża, a jej chłopaka nie bardzo interesowało, czy ona ma ogolone nogi. Był biotechnologiem specjalizującym się w rekombinacji DNA. Cokolwiek to znaczyło, było bardzo skomplikowane. Ona o swojej pracy mówiła rzadko.

O 30 listopada także nie chciała mu opowiadać. Nie chciała nikomu opowiadać. 30 listopada wolałaby przebywać na urlopie.

Od samego rana „w firmie” panowało zamieszanie i nietypowe przewożenie dokumentów. Około 10. poinformowano ją, że szefowa wydziału powołała zespół operacyjny do zbadania szczególnej sprawy, którą od jakiegoś czasu zajmowała się Kasia Wrońska. Ale gdy Ewelina próbowała porozmawiać z Kasią na ten temat na papierosie, ta zarumieniła się i nabrała wody w usta. O 12. w gabinecie szefa - prokuratora okręgowego, odbyła się narada dotycząca sprawy o sygnaturze VIDs. 40/07.

- Proszę, żebyście nie żartowali sobie ze mnie i przyjęli

poniższe polecenia. Nie życzę sobie samowolki i podważania decyzji. Mamy do czynienia z niezwykle poważnym tematem i nie możemy pozwolić sobie na żaden błąd.

- Prokurator nie owijał w bawełnę. - Za chwilę dostaniecie wszystkie polecenia na piśmie i chcę, żebyście absolutnie się do nich dostosowali. Dziś powołamy specjalny zespół operacyjny do sprawy prowadzonej przez ABW już od czterech miesięcy pod kryptonimem Stalker. Sprawę przejmujemy z prokuratury białostockiej na polecenie Prokuratora Generalnego. Szefem grupy zostaje Piotrek Jasiński, który z wami wszystko omówi. Apeluję o poświęcenie, współpracę i zaangażowanie w sprawę. Piotrek wprowadzi was w szczegóły. W sekretariacie odbierzcie polecenia na piśmie. I przypominam: wszystkich obowiązuje absolutna tajemnica.

Ewelina oniemiała. Podobne sytuacje zdarzały się tylko przy największych sprawach, jak wspomnianego Bembenka, Leppera, Szeremietiewa, FOZZ czy Papayı. Sprawy polityczne, niejednoznaczne, pełne nieudomówień i nacisków. Sprawy, od których każdy prokurator, który chciał robić po pro -stu swoje, wołał się trzymać z daleka.

- Dziewictwo można stracić tylko raz - mówiła jedna z jej koleżanek.

- Ale za to możemy za każdym razem je udawać - odpięła Ewelina

- Metoda sprawdzona, do momentu, w którym nasza ofiara nie powie: sprawdzam. Tyle że wówczas będzie to już bez znaczenia.

Na szczęście hierarchiczność prokuratury i wcześniejsze awantury wokół takich spraw spowodowały, że wszystkie polecenia wydawano na piśmie, dzięki czemu nie trzeba było potem obawiać się konsekwencji. Choć i tak, niektórzy z jej kolegów po prostu nagrywali przełożonych, żeby - w razie czego - mieć dodatkowy dowód dla prokuratora krajowego,

ministra, premiera czy prasy. Uff, paranoja.

Jasiński zwołał cały zespół niespełna pół godziny później i zreferował po części sprawę. Chodziło o trzech przestępców z jakiejś mało znanej spółki, której nazwa nie wpadała w ucho i którą Ewel zapomniała, jak tylko o niej usłyszała. ABW w sprawę zaangażowana była od dawna, prowadziła dalsze badania w różnych kierunkach, o których Jasiński nie chciał na razie mówić.

-Wkażdym razie chcę, żebyście wiedzieli, że na dziś zaplanowaliśmy za -trzymania, które zrealizuje ABW. Już podpisałem nakazy. Ponieważ to będą trzy osoby, chciałbym żebyśmy podzielili pracę i ustalili taktykę przesłu -chań. Niestety, macie mało czasu na analizę akt, pozwólcie więc, że dam wam streszczenia i przygotowane pytania.

Nie było w tym nic szczególnego. Ewel zdawała sobie sprawę, że to Jasiński jest szefem i ma prawo wszystko ustalać a nawet polecić przesłuchanie z dokładną listą pytań bez dzielenia się żadną wiedzą. Jednak coś było nie tak...

- Dlaczego aresztowanie zaplanowano na popołudnie? - zapytała.

- Słucham? - Jasiński wyraźnie został zbity z tropu.

- Dlaczego nie robimy nalotu o rano jak zwykle? Przecież te parę godzin... Nie dokończyła; zrozumiała, że popełniła błąd. Jasiński poczerwieniał na twarzy.

- Prosiłem przecież o skupienie i zaangażowanie. Tak trudno walczyć z rozkojarzeniem? To jakieś kobiece sprawy?

A to cham i prostak. Zdusiła w sobie protest. Wdawanie się w pyskówkę mogło tylko pogorszyć sprawę. Postanowiła więc, że dalej nie będzie się wtrącać i wysłuchała do końca dętych, fałszujących instrumentów Jasińskiego. Bo w tej jednej chwili zrozumiała, że wybuch prokuratora wcale nie był spowodowany jej pytaniem. Prokurator Jasiński nie miał pojęcia o całej sprawie. Co tym bardziej nie nastrajało optymizmem.

Człowiek, którego miała przesłuchać, nazywał się Witold Stypułkowski, był prezesem spółki Consulting Partners, zatrzymanym o godzinie 17.55 w siedzibie firmy przy ulicy Emilii Plater. Tożsamość zatrzymanego ustalono na podstawie dowodu osobistego. Z protokołu sporządzonego przez ABW wynikało, że nie stawiał oporu, natomiast w chwili zatrzymania był uzbrojony. Ewelina zdziwiła się, że ABW nie miała informacji, która trafiła już do akt, że Stypułkowski posiada pozwolenie na broń. Kolejny dowód na to, że sprawa była przygotowana na chybcika. Niedobrze. Używał glocka, tak jak ona.

- Po co panu broń? - zapytała chcąc nawiązać kontakt z podejrzanym. Witold popatrzył na nią zmęczonymi i zniechęconymi oczami. Jak większość ludzi doprowadzonych na przesłuchanie po skuciu kajdankami, wiele -godzinnym procesie przeszukań, odbierania odcisków palców, zdjęć, miał dość. Jeśli byłby całkowicie niewinny, wciąż jeszcze by się awanturował, krzyczał, może robił inne głupie rzeczy, które jednak spotęgowałyby wątpliwości prokuratora. Stypułkowski nie robił nic takiego. Był winny - uznała Ewel - pytanie tylko: czego? Spojrzała na kartkę z wypisanymi zarzutami. Art. 13, 28,294. Dodatkowo jeszcze „dwunastka” i rozszerzenia w kierunku ustawy o obrocie. Oszustwo, przestępstwa kapitałowe... Hmm.

- Mam pozwolenie. Strzelałam sportowo.
 - Dobrze, zacznijmy od początku - powiedziała.
 - Nie zrobiłem nic złego.
 - Rozumiem. Proszę podać nazwisko, imię, zawód.
 - Witold Stypułkowski, prawnik, prezes Consulting Partners. Właśnie zostałem bezprawnie zatrzymany z powodu skrupulatnego przestrzegania przepisów rynku kapitałowego.

Przez chwilę miała ochotę zadać mu pytanie, czy czasem nie

jest spokrewniony z tym Stypułkowskim od PZU. Może stąd ta arogancja?

- To dlaczego pan się tu znalazł? - rzuciła.

Mężczyzna zaczął opowiadać dość chaotycznie o jakichś maklerach, rzekomo nieuczciwych urzędnikach, problemach z doradcami, bałaganie z przepisami, wymogami formalnymi i interpretacjami. Ciężko było jej notować to wszystko, bo po pierwsze za słabo знаła sprawę, a po drugie mężczyzna przeskakiwał z tematu na temat. Dodatkowo pieprzony komputer zawieszał się co dwa zdania, a i ona też nie bardzo radziła sobie z klawiaturą.

Dlaczego nie można tego nagrywać? Że też technicy od roku nie mogą naprawić systemu nagraniowego.

Kiedy spisywała zeznanie, nagle dostrzegła, że Stypułkowski wpatruje się w nią intensywnie, wzrokiem zupełnie innym niż przed chwilą. Dostrzegła w nim coś w rodzaju siły. I groźby.

- O co chodzi? - zapytała.

- Pani prokurator. To jakieś totalne nieporozumienie. Nie jesteśmy przestępcami. Tak się nie robi.

- Jak się nie robi?

- Tak, żeby człowiek tracił wiarę, że jest prawda, sprawiedliwość. Przecież to wy macie o to dbać, macie kierować się kryterium prawdy a nie poleceń. Myśli pani, że potem uda się wam wyłgać. Że dostaliście rozkazy? Co mieliście zrobić? Zarzuty były poważne? Myśli pani że to przejdzie? Nic was nie nauczyły sprawy Blidy, Kaczmarka, Krauzego, Dochnała albo Wieczerzaka?

Milczała.

- Szkoda mi pani....

Ewelina Talar poczuła dreszcz. Nie była pewna, kto tu ma rację.

Budynek sądu rejonowego straszył odrapanymi ścianami,

pachniał poprzednią epoką i inspirował nocne koszmary. Dyżur aresztancki sędzi Katarzyny Gargas zaczął się od dwóch spraw młodocianych, którzy wszczęli awanturę z szalikowcami Legii. Potem z niedowierzaniem przeglądała akta sprawy złodzieja samochodowego, który włamał się w ciągu zaledwie dwóch godzin do dziesięciu aut na parkingu Galerii Mokotów.

Dzień jak dzień. Sędzia Katarzyna zerkała z niecierpliwością na zegarek. Nie zdążyła zrobić obiadu dzieciom i zastanawiała się, czy sąsiadka, która pomagała jej w opiece nad Antkiem i Zuzią, rozmrozi im jakieś pierogi czy też wstawi zupkę błyskawiczną. Jej mąż, oficer sztabu generalnego Wojska Polskiego, nie musiał się tym przejmować. Jakby to jej obowiązki nie były równie ważne. Może chociaż Antek kupił sobie w szkole pizzę, jak prosiła, a Zuzia w końcu zaczęła jeść zupę w przedszkolu.

Zbierała się już do wyjścia, gdy przyprowadzono trzech białych kołnierzyków. Prokuratura wniosła o trzymiesięczny areszt w obawie o mataczenie i uciezki zagrożonej wysoką karą. Kiedy śledczy zaczął wyjaśniać motywy i rodzaj przestępstwa, sędzia Gargas złapała się na tym, że odpłynęła. Nigdy nie rozumiała tych spraw związanych z giełdą, funduszami.

- Panie prokuratorze, może pan powtórzyć te ostatnie zarzuty?

- Zachodzi podejrzenie, wysoki sędzie, że podejrzani będą próbowali skłonić biegłych i świadków do zaświadczenia zgodności z prawem ich postępowania w sprawie braku umieszczenia w prospekcie danych dotyczących transakcji z podmiotami powiązanymi. Zachodzi też podejrzenie udziału w transakcjach insider trading, przy których bardzo istotne jest odseparowanie podejrzanych od świadków. Dlatego uważamy, że zastosowanie środka zabezpieczającego w postaci aresztu jest niezbędne.

-Oco chodzi z tym prospektem? Podejrzewacie, że to fałszerstwo?

- Nie do końca. Podejrzani nie umieścili wymaganych informacji - próbował tłumaczyć prokurator.

- Wysoki sędzie, te informacje nie były wymagane. Jesteśmy niewinni. Wysoki, sympatyczny blondyn, który poderwał się z ławki dla oskarżonych, nie wyglądał na przestępcę. Z drugiej strony przestępcy coraz rzadziej na sie -bie wyglądają. A już na pewno w środowisku finansowym. Tam pewnie znacznie trudniej znaleźć uczciwych niż nieuczciwych. Trochę pokory w areszcie mu się przyda.

Nie patrząc w oczy temu człowiekowi rzuciła w kierunku protokolanta.

- Sąd postanawia zastosować w stosunku do podejrzanych środek zabezpieczający prawidłowy tok postępowania karnego w postaci aresztu tymczasowego na okres trzech miesięcy.

Witold Stypułkowski patrzył oniemiały w twarz sędzi. Nie podniosła wzroku.

Rozdział 4

*Najjaśniejszy Panie,
do prowadzenia wojny potrzebne są trzy rzeczy:
pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze.*

Gian-Jacopo Trivulzio

Pycha dopadała go zwykle po dwóch dniach. W pierwszym czytał jeszcze dziesiątki razy napisany tekst i zastanawiał nad słabymi punktami, popadał w euforię, utwierdzał się w przekonaniu, że wszystko wyszło super, a pod koniec dnia znajdował źle postawiony przecinek i dopadały go pytania, czy z tego powodu nie stanie przed sądem? Wbrew pozorom, każdy drobiazg był istotny.

Pamiętał sprawę, w której napisał, że były prezes jednej ze spółek wyprowadzał z niej pieniądze. Opisał cały mechanizm precyzyjnie i ze szczegółami, nie popełniając żadnego błędu, ale napisał też, że prezes samodzielnie podejmował decyzje. Bohater artykułu pozwał go do sądu, argumentując, że Kuba napisał nieprawdę, bo każda decyzja była podpisywana przez prezesa i przez prokurenta. W innym wypadku byłaby nieważna, bo niezgodna z re -prezentacją. Nie zanegował ani słowa z poważnych zarzutów, a przyczepił się do szczegółu - przysłowiowego przecinka zupełnie nieistotnego dla artykułu i jego podstawowych tez. I wygrał.

Gdyby nie sędzia, który jednak doszedł do wniosku, że błąd dziennikarza jest znikomy i niezawiniony, a całość zarzutów jednak słusznym, to pewnie zostałyby w samych skarpetkach. Dostał nauczkę i ją pamiętał. Strach, że popełnił jakiś błąd, chodził za nim jak cień.

Dopiero kolejnego dnia po ukazaniu się tekstu, po przeczytaniu wszystkich komentarzy i e -maili, czuł się pewniej. Przyznawano mu rację, podpierano, jeśli trafiały się nawet słowa krytyki, to raczej należały do jakichś frustratów, którzy korzystali z okazji, żeby napisać, że wszyscy na świecie

są skurwysynami. Tak to już z nimi jest...

Paradoksalnie jednak wycieńczony organizm nie był w stanie się cieszyć i kiedy Zimny wieczorem szedł na piwo, po zaledwie dwóch kufiach zaprawionych ubotem z żołądkowej gorzkiej był zalany w trupa. Nie raz w takim stanie Wojtuś musiał go prawie odnosić do domu. Nici z dziewczyn, miłego wieczoru, a rankiem potężny kac gigant.

Trzeciego dnia Zimny czuł już tylko wypalenie. Miał dość tematu Consulting Partners i potrzebował odpoczynku. W ciągu ostatnich dni napisał dwa artykuły „czołówkowe” na „jedynekę”, masę dodatków, reportaż dla działu weekend, streszczenia dla komentatorów.

Express był jedyną gazetą, która opisała szczegóły afery. Kuba trzy razy wypowiadał się dla różnych stacji telewizyjnych, raz w radiu, a nawet zaproszono go do studia „Bilansu dnia” w TVN24. Ostatecznie jednak debata na temat przestępstw giełdowych się nie odbyła. TVN dostał niespodziewanie newsa, że od jutra „Gazeta ” rozpocznie kampanię na rzecz równouprawnienia gejów, więc telewizja zmieniła główny temat programu. Sam rozumiesz Kuba, świeży news. Kuba czuł się jak gówniarz i postanowił, że więcej nie wystąpi w żadnej telewizji. To nie był jego świat. Prowadzący program przeprosił i zaproponował:

-A może chcesz podyskutować z gejami. Będzie Hanlik, Ronald, Komorowski i dwie modelki lesbijki.

-I za kogo mam robić? Nie to, żeby miał coś przeciwko gejom.

Niech sobie robią co chcą, ale on wcale nie musi się tym interesować. Kuba nie miał ochoty chwalić się czy sypia z jedną czy dwoma panienkami na raz, czy woli Etiopki, Japonki czy Polki. Czy robią to na żyrandolu, kuchennym stole, czy może wychodzą w plener. To była jego prywatna sprawa. A nie polityki i praw obywatelskich.

Przykro mu się zrobiło, że poważna afera finansowa

przegrywa z tak banalnym, w jego odczuciu, tematem. Z drugiej strony czuł spełnienie. Temat, który go opanował na kilka dni, umierał swoim własnym rytmem. Po tygodniu już nikt go nie będzie pamiętał z wyjątkiem osób zaangażowanych w sprawę. Kuba może kilka razy zadzwoni jeszcze do prokuratury i KNF, spróbuje opisać jakieś szczegóły, za trzy miesiące może doniesie o postę - pach w śledztwie i to będzie koniec. Znając szybkość działania prokuratury, śledztwo skończy się za jakieś trzy lata, po kolejnych dwóch rozpocznie się proces. Za osiem lat goście z Consulting Partners zostaną skazani. A nikt nie będzie już pamiętał za co.

Taki mamy system. Przypomniał sobie sprawę Jachowicza. Gość, który jako jeden z nielicznych Polaków miał zdjęcie z królową Elżbietą, siedział już dobre pięć lat w pudle i nawet nie wiadomo dokładnie, jakie ma zarzuty. Jak go wypuścili, to zaraz ponownie wsadzili zarzucając, że szykował ucieczkę za granicę. Bez procesu, bez sądu. Może i był draniem, może dawał łapówki, korumpował urzędników, grał pod obce firmy, ale dlaczego siedzi

bez sądu? A masa innych niepolitycznych łajdaków za pospolite przestępstwa i oszustwa dostaje wyroki w zawiasach i śmieje się z tych, którzy mówią o uczciwości.

To ma być państwo prawa?

Co ja się będę przejmował? Zimny w sumie był anarchistą, nie uznawał państwa i jego społecznych ram funkcjonowania. Gdyby nie przypadek, nigdy nie zostałby dziennikarzem. Jego żywiołem było pisanie. Mało udane, jak dotąd bez większych sukcesów, bardziej do szuflady, ale to była jego pasja i życie. Gdyby nie spotkał kumpla, z którym kiedyś robił w działce filmowej, pewnie dziś wciąż pisałby dla kasy opowiadania dla kobiet i harlekiny, a noce zarywał tworząc swoją „Lolite”.

Kolega ze studiów pracujący w Expresie wyłapał go gdzieś w

knajpie na Nowym Mieście w 1999 i wyrwał z letargu.

- Nie szukasz roboty? Budujemy ekipę do nowego pisma ekonomicznego? -I co ja tam będą robił?

- Do sprzątnięcia też kogoś potrzeba. Czytałem twoje teksty, masz niezłe pióro, dasz sobie radę.

Powątpiewał, ale postanowił spróbować.

Pierwsze dni w gazecie były trudne, bo nie bardzo potrafił się wczuć w rolę ekonomicznego reportera.

- Interesuje nas kasa. Im więcej, tym lepiej. No i nazwiska. Jak Krauze podaruje Józefiakowi cygaro, wrzucamy to na podwał. Gdy Solorz umówi się z Kostrzewą, idzie na górę jedyńki. Kulczykiem tapetujemy całą gazetą, jeśli trafimy na newsa, że kupił sobie nowego chomika - mówił kierownik działu newsów.

Zimny nie wiedział kim jest Krauze, Solorz i Kulczyk. Ale wiedział już, że musi się tego nauczyć.

Express Finansowy był dziwną gazetą. Pomieszenie Financial Timesa z Bildem, bez wyraźnej przewagi jednego czy drugiego. Dużo później usłyszał od jednego z prezesów:

- Fajna gazeta do samolotu. W ciągu godziny możesz sobie wszystko przeczytać w pigułce, bez zbędnej publicystyki, ambicji i zacięcia. Nowoczesny produkt.

Nic dodać, nic ująć.

Kuba jednak nie bardzo rozumiał, dlaczego teksty nie mają opisywać problemów i ich wyjaśniać, główne tezy muszą być wyłożone w trzech pierwszych zdaniach, a tytuł ma wzbudzać emocje i koniecznie zawierać

czasownik. Bez czasownika nie publikujemy. No i żadnych znaków zapytania, my informujemy czytelnika, a nie pytamy.

Dostał dwa tygodnie na próbę i w praktyce zmarnował je na dzwonienie po firmach w poszukiwaniu tematu. Dzwonił i pytał:

- Cześć, jestem Kuba, szukam tematu?

Oczywiście ładniej i bardziej profesjonalnie. Ale i tak mu

odpowiadali:

- Cześć Kuba, to szukaj gdzie indziej.

Nie pomagało, że Express był wówczas praktycznie nieznany, bo dopiero wchodził na rynek z nakładem zaledwie 30 tys. egzemplarzy.

Kiedy już mieli go wywalić, setny rozmówca, którego zapytał o potencjalny temat, odpowiedział:

- Chce pan prawdziwą sensację?

- No pewnie - odparł wesoło Kuba myśląc: i tak zaraz wylatuję, więc sensacja mi już nie zaszkodzi.

- To niech pan będzie za pół godziny w McDonaldzie przy Puławskiej, tym za Geantem.

Informator sprzedał mu temat wywozu śmieci ze szpitali. Firmy wygrywające przetargi dawały niskie ceny, nawet jeśli wskazany przez nich podwykonawca życzył sobie większą sumę za spalenie śmieci.

-I gdzie tu sensacja?

- Skoro spalarnia bierze więcej, to nie można usługi wycenić niżej. Przecież dochodzi jeszcze obsługa, koszty odebrania i przewozu. Uczciwe oferty powinny być mniej więcej dwa razy droższe - mówił rozmówca.

- Wciąż nie rozumiem, gdzie jest afera - powiedział Kuba. Skoro ktoś chce dopłacać do interesu, to przecież nie jest to problem gazety. Ważne, że płacimy mniej.

Rozmówca zirytował się nieco postawą Kuby, ale łopatologicznie wyłożył mu kolejny element tematu.

- Te wygrywające przetargi firmy wcale nie spalają śmieci w specjalnych zakładach, tylko wywożą je na nielegalne wysypiska albo do lasów. Tu jest problem. Płacimy za zaśmiecanie świata.

Redaktorzy początkowo kręcili nosem. Syf, śmieci i smród - co to w ogóle za temat? Ale położył ich liczbami, które otrzymał od informatora. W grę wchodziła rzeczywiście wielka kasa, groźby ogromnych kar i dodatkowo ochrona

środowiska, co wydawało się Kubie najistotniejsze. Redaktorzy Expressu wyrzucili część dotyczącą ochrony środowiska i puścili temat na jedyńce. Zasyfione krwią tampony na pierwszej stronie gazety odpychały, ale gazeta się sprzedała. Kuba zamiast wylecieć, dostał etat.

Miesiąc później przeniesiono go do działu newsów. -A jak u ciebie z internetem? - zapytał naczelny.

Dostał do obróbki działkę internetową, która okazała się dziennikarską żyłką złota, bo akurat pompowano światowy balon z nowymi technologiami. Dzięki zainteresowaniu społecznemu, Kuba wcale nie musiał pisać o wielkiej kasie. Wystarczyło, że ktoś coś robił w internecie i już był ciekawy. Nowa ekonomia. Walnęła z hukiem po roku, ale Zimny był już na topie i nie zamierzał spadać. Trzy lata później zrobił swój pierwszy temat śledczy związany z korupcją przy dotacjach unijnych i tak wylądował w dwuosobowym dziale zajmującym się łapówkami, ustawionymi przetargami, układami i służbami specjalnymi. Po dwóch latach był już jednym z bardziej znanych śledczych-ekonomicznych.

- Młody, z perspektywami - jak przedstawiał go naczelny na różnych rautach, na których bywali - Tylko nie wolno być z nim szczerym, bo następnego dnia można o tym przeczytać.

Nie była to prawda.

Kuba kiedyś i owszem, działał jak automat i potrafił pisać po trzy teksty dziennie. Dwa lata temu zdarzyło się jednak coś, co całkowicie podcięło mu skrzydła. Stanął na krawędzi, a potem spadał w przepaść przez kilka długich miesięcy.

Zimny wyjechał z siedziby TVN24 około 19. Podjechał do domu, zjadł na szybko kolację przy okazji dokarmiając kota sąsiada, który często błędził w jego pokojach. Wykąpał się, zostawił samochód i tramwajem podjechał do centrum. W Caffè Ringo, gdzie umówił się z kolegą ze studiów, nie było jeszcze prawie nikogo, więc rozsiadł się wygodnie na kanapie, zamówił pi -wo jęczmienne i zapadł w drzemkę.

Pamiętał, że Wojtek przyszedł później niż zwykle w towarzystwie jeszcze dwóch kumpli i czterech dziewczyn, z których dwie były Japonkami z konserwatorium.

Rankiem niewiele pamiętał z wieczoru, ale obudził się w towarzystwie jednej z Japonek. Druga brała prysznic w łazience. Przy śniadaniu chichotały i wymieniały uwagi w niezrozumiałym dla Kuby języku. Rozmowa nie bardzo się kleiła. Kuba dowiedział się, że są pianistkami, które uczą się w Warszawie i zamierzają po skończeniu szkoły wrócić do Japonii. Na szczęście nie zamierzały też zbyt długo siedzieć u niego. Na pożegnanie zapytał jeszcze, jak jest po japońsku: zabić.

- Korosu - odparła jedna z Japonek. -Azięba?

- Finchi.

Szef jego działu, któremu za chwilę musiał się wytłumaczyć ze spóźnienia, nazywał się Bernard Zięba. Wybrał numer do niego i powiedział:

- Mam ci do powiedzenia tylko jedno. Korosu finchi.

- Co to znaczy?

- Że bardzo cię kocham.

- Akurat.

- Wybacz, ale muszę dziś odpocząć. Jestem kompletnie wypalony.

- Nie dziwię się. Masz wolne. Ale jutro przyjdź, bo chcielibyśmy zaplanować rozkładówkę o aferach finansowych w Polsce na tle świata. Oczywiście jako kontynuację cyklu o Holdnerze.

- Znowu?

- Twój pierwszy tekst na necie przeczytało już pięćdziesiąt tysięcy osób. -I nikogo nie interesuje moje zdanie?

- Dokładnie.

Kuba odłożył słuchawkę. Wykąpał się i około 9. położył się w łóżku z paczką papierosów pod ręką, „Cieniem wiatru” Carlosa Ruiza Zafona i piwem Koźlak. Do 10. wypalił trzy

marlboro, ale czytanie kompletnie mu nie szło.

Wstał z łóżka.

Dom przy Czeskiej, którego parter i piwnice wynajmował, miał ciekawy układ: jeden wielki pokój podzielony na poziomy tak, jakby salon, centralna część pomieszczenia, był jakąś doliną. Z czterech stron wychodziły schody: na łazienki i pralnię, na kuchnię, do szatni, a od południa, z salonu wyrastał do góry ogród, który zasłaniał mu słońce. Mroczna, ponura dziupla, w sam raz pasująca do Zimnego. Z okna łazienki można było za to popatrzeć na ulicę Czeską, jedną z wielu „światowych” uliczek barwnej dzielnicy Warszawy - Saskiej Kępy.

Kuba spojrzął na ulicę i przetarł oczy z zaskoczenia. Na chodniku, przed jego bramką stał duży terenowy volkswagen o grafitowo błękitnej barwie lakieru. Kuba nie spodziewał się nikogo. Czesław, który wynajmował mu mieszkanie, sam zajmujący górę domu, także nie miał znajomych rozbijających się takimi wozami. Może przyjechał do kogoś z sąsiadów? Dlaczego jednak nie zaparkował u nich? Wszystkie miejsca były wolne.

Zimny postanowił się tym nie przejmować i wrócił do salonu. Rozejrzał się. Pokój był praktycznie pusty. Na jego środku stało wielkie łóżko, obok na kartonach radio JVC i niewielki telewizor Samsung z wystającymi z pudła drutami, które miały robić za antenę. Typowe kawalersko - studenckie mieszkanko. Ot, co. Z tą różnicą, że miało naprawdę klimatyczny ogródek, jak z najlepszych gotyckich powieści, choć mniejszy.

I właśnie w owym ogrodzie, do którego wchodziło się wprost z salonu przez dwuskrzydłowe oszklone drzwi, stała ławeczka. Na tej ławeczce siedział zaś teraz chudy mężczyzna w garniturze, koszuli w śmieszne prążki i eleganckim płaszczyku do kolan.

Miał duże, okrągłe oczy, krótkie blond włosy i wystające

kości policzkowe. Wąskie usta rozszerzyły się w delikatnym uśmiechu.

- Ostrzegalem, zeby nie pisal pan nieprawdy. Jakim cudem? Przeciez powinienes siedziec w pudle...

Zimny widzial tego mezczyznye pierwszy raz w zyciu, ale dziki dziesiatkom ogladanych ostatnio zdjec, bez trudu go rozpoznal.

W ogrodzie siedzial bohater jego ostatnich tekstow, upadla gwiazda bankowosci inwestycyjnej, makler i finansista Andreas Holdner.

Przygotowywala sie do tego wieczora przez dwa tygodnie. Dokladnie obserwowala zachowania ochrony, szefostwa i innych pracownikow. Sama zajmowala dosc wysokie stanowisko w firmie, jednak nawet jej nie wolno bylo wchodzic do gabinetu prezesa, gdzie przechowywal wszystkie najwazniejsze dokumenty, ktorych charakter nie pozwalal na oddanie do kancelarii tajnej czy ksiegowosci. Przez wiele miesiecy dokladnie obserwowala, co prezes z nimi robi. Nie bardzo jednak wiedziala, jak moglaby je wydostac i czy gra jest warta swieczki. Na dokumentach ksiegowych znala sie znacznie lepiej, dlatego postanowila wyrzucic z myslu pokuse bardziej radykalnych dzialan i skopiowac cala dokumentacje, do ktorej miala oficjalnie dostep i ktora potwierdzala jej podejrzenia.

Codziennie wynosila po pare dokumentow - kopie faktur, dokumentow ksiegowych, maile z poleceniami wypłaty, opisem uslug, danymi osob je swiadczacych. W jej przekonaniu to wszystko juz wystarczylo do wszczęcia oficjalnego sledztwa i wlasciwie kladlo jej pracodawce na lopatki.

Wieczorami przegladala jednak dokumentacje i po poczatkowej euforii dopadaly ja chwile zwatpienia. A co zrobi, jesli jednak powiedzajej, zeby sie wynosila i nie pojda

na współpracę?

Nie raz budziła się w nocy ze snu, w którym prezes śmiał się jej prosto w twarz, po czym poważniał i rzucał groźnie:

- Wynocha. Rób, co chcesz z tymi świstkami. I tak ci nikt nie uwierzy. Zaczęła więc dodatkowo nagrywać.

Oglądała konferencje ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobro, który pokazywał dyktafon nazywając go gwoździem do trumny Andrzeja Leppera. Z wypiekami na twarzy czytała stenogramy z nagrań Rywina przez Michnika, Michnika i Oleksego przez Gudzowatego. Słuchała taśm ojca Rydzyka i zapisków z akcji CBA dotyczącej posłanki Sawickiej. Cała brudna polityka stała teraz na ukrytym nagrywaniu. Zrozumiała, co musi zrobić.

Poszła do sklepu z elektroniką i zapytała sprzedawcę o najlepszy sprzęt nagrywający.

- Chodzi pani o zwykły dyktafon czy profesjonalny sprzęt podsłuchowy? - A ile kosztuje profesjonalny?

- Od dwóch tysięcy wzwyż - sprzedawca popatrzył czujnie, a potem pośpiesznie dodał - Dyktafony mamy od stu do tysiąca złotych.

Na sprzęt podsłuchowy na razie nie było jej stać. Ludzie z miasta zabrali jej już wszystko, weszli na pensję i pilnowali, żeby słała regularnie dług. Nie mogła zaoszczędzić trzech tysięcy. Pożyczyć też nie miała skąd. Poprosiła, żeby sprzedawca wyjaśnił jej różnice pomiędzy dyktafonami i doradził zakup takiego, który byłby najlepszy do jej celów.

- A kogo chce pani nagrać?

- Męża. Zdradza mnie - skłamała.

- Ten powinien wystarczyć. Nie zatnie się, bo jest cyfrowy. No i ma wejście do komputera, co jest dodatkową zaletą. Można cały plik zapisać na dysku i dalej nagrywać - mówił.

Kobieta zapisała sobie nazwę modelu i podziękowała sprzedawcy, który odprowadzał ją wściekłym wzrokiem. - Sorry, ale muszę oszczędzać - może następnym razem dam ci

zarobić. Udała się do supermarketu i kupiła ten sam model o 100 zł taniej.

Od tego czasu nagrywała i zrzucała na komputer niemal każdą rozmowę, której była świadkiem. Ale niestety nie udało jej się nic specjalnego wyciągnąć z szefostwa, czy innych pracowników. W przypływie desperacji próbo -wała nawet podpuścić koleżankę z kadr. Przyniosła ciastka. Powiedziała, że wygrała na loterii i postanowiła postawić po ciastku.

- Ile wygrałaś?

- Trzysta złotych.

- To nie ma czym się dzielić.

- Ale ciastko można postawić - roześmiała się, po czym ściszyła głos i zapytała: - Słuchaj, myślisz, że oni nie zdają sobie sprawy z ryzyka?

Kadrowa popatrzyła spode łba. -Oco ci chodzi?

- No te wszystkie łapówki i konta specjalne, worki z kasą, które podrzuca Kropnicki, te ciemne typy, co wchodzi z walizkami i wychodzą bez albo odwrotnie. Przecież to nie jest normalne. Ja tam nie wiem, czy za to kiedyś nie bekniemy.

Kadrowa popatrzyła uważnie w jej oczy. Kobieta przestraszyła się, że może posunęła się o krok za daleko. Ryzyk-fizyk - postanowiła i dodała:

- No, a ty nie boisz się, że ktoś przyczepi się do szkoleń? Przecież to ty podpisujesz umowy?

Kadrowa odłożyła ciastko na talerz i odwróciła się bez słowa do komputera.

- Nie wiem o czym mówisz.

Kobieta spociła się z przerażenia. Bała się, że kadrowa ją wyda i powie o dziwnym zachowaniu szefom. Cały misterny plan ległby w gruzach, a ona prawdopodobnie zostałaby wylana na zbity pysk. Jednak tak się nie stało.

Przez następny tydzień nie przynosiła do pracy dyktafonu, niczego nie wynosiła, pracowała sumiennie nie unosząc

głowy znad papierów. Unikała też kadrowej. W końcu tygodnia spotkały się jednak w toalecie.

- Słuchaj Aniu, ja cię bardzo przepraszam za tamto - zaczęła, ale kadrowa przerwała jej:

- Nie ma za co. Nic się nie stało. Po prostu nie chcę o takich sprawach rozmawiać.

Wolisz nie wiedzieć, co? - pomyślała kobieta. Pewnie. Ja też wolałabym nie wiedzieć. W innej sytuacji, też bym tak wolała.

Wtedy też podjęła mocne postanowienie, że musi pójść na całość. Może dokumenty księgowe wystarczą. Może wcale nie musi tego robić, ale trudno nie skorzystać z innych potencjalnych możliwości, które mogą okazać się kluczowe. Zaczęła więc przygotowania i po dwóch tygodniach była już niemal gotowa do akcji. Rozrysowała sobie wszystko - od sposobów kontroli, obchodów i zmian na bramce ochroniarzy, poprzez potencjalne zagrożenia ze strony innych pracowników siedzących w pracy dłużej - analityków, maklerów i doradców. Zamierzała poczekać jeszcze tydzień, ale wtedy wydarzyły się te aresztowania w Warszawie i wszyscy w firmie zaczytywali się tekstem z Expressu Finansowego o Consulting Partners i Andreasie Holdnerze. Gazeta, której kilka egzemplarzy wałało się zwykle po podłodze, teraz była roz -chwytywana i nie do zdobycia. Nic dziwnego; wszyscy wiedzieli, że Holdner to ich główny wróg na rynku kapitałowym. Kobieta także przeczytała tekst, jednak nie przyjmowała go z wypiekami na twarzy jak inni. Dla niej był mało istotny, choć rozumiała jego wagę dla firmy i innych pracowników, którzy szeptali po kątach. Oto ktoś, kto odważył się postawić siłę prezesów, kończy w pudle i na okładce gazety z czarną przepaską na oczach. Ma za swoje. A inni potencjalni wrogowie powinni mieć się na baczności.

Kiedy dowiedziała się, że prezesi uciekają w piątek rano na cały weekend do Warszawy, a z nimi kilka innych szyc z

managementu, postanowiła, że to będzie ten dzień. Wóz albo przewóz. Kiedy o szóstej wieczorem prawie wszyscy z jej skrzydła udali się już do domów, kobieta rozglądając się przeszła do gabinetu zarządu. Minęła pusty sekretariat i po cichu wślizgnęła się do pokoju prezesa. Dobrze wiedziała, gdzie ma szukać i po kilku chwilach drżącymi rękami trzymała czarną teczkę pełną dokumentów wartych dla niej i dla prezesów miliony złotych. Teraz nikt jej nie powie, żeby się wynosiła. Nikt nie zlekceważy.

Opuszczała budynek z mieszanymi uczuciami. Wiedziała, że gdy jej wizyta w gabinecie szefa wyjdzie na jaw, będzie to jej ostatni dzień pracy na stanowisku głównej księgowej w tej firmie. Ale nie było jej żal. Choć jej motywacją były wyłącznie pieniądze, nie czuła żadnych wyrzutów sumienia. Zrobiła to, co musiała zrobić.

Ewelina Talar miała coraz więcej wątpliwości. Pół prokuratury postawiono na nogi żeby przygotować się przed batalią w Sądzie Okręgowym, który miał zdecydować o odrzuceniu zażalenia na zatrzymanie członków zarządu Consulting Partners oraz gdańskiego maklera obsługującego firmę. Jasiński zwołał kolejną naradę i nie owijał w bawełnę.

- Wszystkie pomysły mile widziane. Musimy przekonać sędziego, że te zatrzymania są konieczne. Jeśli zostaną zwolnieni, położy to nam całe postępowanie. Dlatego postarajcie się. Nie chcę słyszeć o porażce - mówił.

Ewelina omal nie wstała z miejsca. A niby dlaczego te zatrzymania są tak ważne? Czyżbyśmy mieli do czynienia z jakimiś gangsterami? Łatwiej wypuszczamy ludzi oskarżonych o obcinanie głów niż o machlojki? Przypomniała sobie, jak kilka lat temu sędzia zwolniła z aresztu gang obcinaczy palców - ludzi, którzy porywali dla okupu biznesmenów i nie cofali się przed ich okaleczaniem. Bezwzględni bandyci wychodzili na wolność, a nikomu w

prokuraturze nie było ich żal.

Dlaczego zatem robimy taki ferment wokół jakiś trzech malwersantów w garniturach? Może po to, żeby ich przycisnąć? - prychnęła. Stypułkowski wygrał z nią wszystkie rundy przesłuchania. Potem przyjechała adwokat, która okazała się przy okazji jego żoną. Sam Stypułkowski też był prawnikiem i potrafił z nią rozmawiać. Ale jeszcze gorzej poszło innemu prokuratorowi z Kutzem. Ten zażądał nagrywania swojego przesłuchania i nie chciał słyszeć żadnych wymówek. A potem sprowokował prokuratora do takiego zachowania, że trzeba było skasować taśmę.

Jedynie makler dał się jako tako przesłuchać i wystraszony opowiedział wszystko, oczywiście całą winę zrzucając na zarząd Consulting Partners. W końcu on tylko umieszczał w dokumentach dane i informacje dostarczone przez spółkę.

Ewelina nie mogła jednak pojąć najważniejszej rzeczy - dlaczego nie zdecydowano się zatrzymać Andreasa Holdnera, który przecież powinien być jednym z głównych „oskarżonych”? Złapała Jasińskiego na korytarzu i zapytała o to wprost.

- Czepiasz się.

- Nie czepiam się. Mów dlaczego?

- Taka była prośba ABW. Mówią, że wciąż prowadzą wobec niego działania w innej sprawie pod nadzorem apelacyjnej białostockiej.

Może i prawda. A może kłamstwo? Przecież Holdner nie jest głupi - zorientuje się, że coś w tym nie gra. Chyba że to nie przeszkadza ABW?

- Żartujesz?

- Poważnie, dostaliśmy w tej sprawie wyraźne polecenie od krajowego. Poza tym, skoro on jest głównym winnym, to pozostali łatwiej mogą na niego sypać.

- Czy to się nazywa obiektywne sprawdzenie wszystkich okoliczności przestępstwa? Zarówno tych wskazujących na

winę, jak i niewinność podejrzanego?

- Przestań się zgrywać. Jasiński uciekł.

Ewelina jednak wcale się nie zgrywała.

Jeszcze jestem z wami, ale pilnujcie się, bo mam was na oku - pomyślała. Z Chocimskiej wyszła koło 17. i podjechała tramwajem do metra. Na stacji Centrum jak zwykle panował tłok i jak zwykle nie udało jej się wsiąść do dwóch pierwszych pociągów. W trzecim wpełchnęła się pod koniec i zaraz poczuła jakąś brudną łapę na swoim tyłku. Rozejrzała się wokół siebie, choć to nie było łatwe, bo była o głowę niższa od wszystkich wokół. Dwie kobiety z przodu, z tyłu jakiś chłopak z liceum, emeryt, babka z siatami żarcia i wreszcie: bingo. Stał trochę bokiem i udawał, że patrzy w ekran monitora wyświetlającego wiadomości i reklamy City TV. Jednak gdy na niego popatrzyła, zobaczyła ruch oczami, który upewnił ją, że się nie pomyliła. Odsunęła się w bok tracąc kontakt z dłonią. Na następnej stacji część osób wysiadła, ale zastąpił je natychmiast jeszcze większy tłum. Ewelina znów to poczuła, a mężczyzna dziwnym trafem ponownie znalazł się obok niej i udawał, że patrzy w telewizor. Miał ciemne włosy, szeroki nos i brudny zarost

na twarzy. Wyglądem przypominał zapaśnika rodem z Armenii, Czeczenii czy Albanii. Macho, najgorszego typu. Ewelinie udało się precyzyjnie o dwa kroki w kierunku końca wagonu. Tym razem jednak nie traciła go z oczu. Mężczyzna uśmiechnął się nieznacznie i pozostał na miejscu. Na stacji Ratusz Arsenal w pociągu zrobiło się luźniej. Mężczyzna nie wysiadł i cały czas udawał, że na nią nie patrzy, choć ona wiedziała, że jest inaczej. Kiedy tylko spuszczała wzrok, czuła na sobie te oślizłe brudne oczy i łapska oblapiające ją od tyłu. Brr!

Na Dworcu Gdańskim szybko wybiegła i przesiadła się do kolejnego wagonu. Mężczyzna nie pobiegł za nią. Odetchnęła i w napięciu wpatrywała się w drzwi.

Plac Wilsona, Marymont, Słodowiec.

Nic się nie działo. Przymknęła oczy, a kiedy otworzyła je na Starych Bielanych, tę samą obleśną twarz zobaczyła tuż przy szybie sąsiedniego wagonu. Patrzył teraz już bez żadnej żenady, wyzywająco. Uśmiechnął się. Zobaczyła poczerwiałe zęby, a uciekając wzrokiem trafiła na jego dłonie i niemal czarne od brudu paznokcie.

Czuła strach i adrenalinę. Miała ochotę dać nogę i nie myśleć o tych wszystkich innych kobietach, które padną w przyszłości jego ofiarą. Jednak, gdy wysiadali na ostatniej stacji nie podeszła do komisariatu metra, żeby zgłosić zajście. Bo też, co mogła im powiedzieć?

Mężczyzna poszedł za nią w kierunku wyjścia. Początkowo szła szybciej, żeby sprawdzić czy ma gaz w torebce. Nie miała pistoletu, ale to nawet dobrze, bo mogłaby popełnić jakiś błąd.

Gaz wystarczy. Tylko czy aby na pewno działa? Miał z pół roku; nigdy go nie użyła.

Wybiegła przez bramkę, potem przebiegła parę kroków w kierunku lasu i odwróciła się, czekając na mężczyznę. Ten jednak nie wychodził. Stała dobre pięć minut czekając na napastnika. Potem poczuła ulgę. Chyba jednak nie chciała tej konfrontacji. Ruszyła w kierunku przystanku autobusowego.

W domu pojawiła się tuż po szóstej. Wciąż drżały jej dłonie. Radek siedział jak zwykle przed komputerem. Zatrudniająca go firma miała fabryki pod Krakowem i Wrocławiem. Często musiał wyjeżdżać do nich albo korespondować ze współpracownikami przez sieć.

Gdy weszła do pokoju, szybko zamknął okno przeglądarki internetowej. Ona też nie lubiła, jak ktoś zaglądał jej przez ramię, gdy pracowała. Wciąż jeszcze drżała z zimna i strachu. Pragnęła tylko, żeby Radek ją przytulił. - Możesz przyjść do mnie? - zawołała z kuchni.

- Po co?

- Chciałabym ci coś powiedzieć.
- Co takiego?
- Chodź tu.
- Za chwilę.
- Kocham cię - szepnęła na tyle cicho, żeby nie usłyszał. -Co?
- Chciałabym, żebyś mnie porządnie wypieprzył - warknęła pod nosem. Mężczyzna jej życia przecierając okulary wszedł do kuchni pięć minut później. Miał około metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, zarysowany brzusek, przetłuszczone włosy. Był kompletnie nieatrakcyjny seksualnie. Ale co z tego? W końcu jest z nim dla jego umysłu. Tylko co mi po umyśle w takich chwilach?
- Co mówiłaś?
- Ewelina nie potrzebowała już od niego niczego.
- Trzeba nakarmić rybki - powiedziała.
- Sama nie mogłabyś?
- To twoje rybki.
- No tak - obszedł ją i wsypał pokarm do akwarium.
- Ewelina zauważyła, że przeszedł tak, żeby nawet jej nie musnąć. Do licha, bał się jej dotknąć. Dlaczego dopiero teraz to zauważyła?

Rozdział 5

*Pieniądze zdobywa się pracą,
strzeże ze strachem i traci z wielkim bólem.*
Sacciodor

- Co pan tu robi? - zapytał Kuba.

Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien rzucić się do ucieczki czy też może chwycić pogrzebacz albo inne narzędzie, które nadawałoby się do obrony. Z drugiej strony mężczyzna był co najmniej o głowę od niego niższy, dwa razy lżejszy i nie trzymał w rękach żadnej broni. Nie wyglądałby groźnie, gdyby nie ta twarz, która jednak budziła niepokój. Była to twarz człowieka, który nie cofa się, kiedy powie pierwsze słowo. Kuba znał takich ludzi. Gdy w wyniku słownej utarczki w knajpie zdejmowali marynarkę i zakasywali rękawy, wiadomo było, że sprawa bezwzględnie zakończy się krwawą bójką. Kuba też jednak nie należał do ludzi, którzy łatwo schodzą z drogi. Choć starał się unikać konfliktów.

- Niech pan się nie boi, nic panu nie zrobię - powiedział Holdner.

- Nie boję się - Kuba twardo popatrzył w oczy mężczyzny. Tym razem to tamten uciekł wzrokiem w bok.

- Mogę wejść? - zapytał.

- Zdaje się, że już się pan sam zaprosił.

- Przepraszam - rzekł Holdner - Nie miałem gdzie pójść.

- Przecież powiedział pan, że nie chce ze mną rozmawiać i że już pana zdaniem wydałem wyrok.

-A wydał pan?

Dziennikarz zastanowił się przez chwilę, czy skłamać.

- Co tu było wydawać, napisałem prawdę.

- Więc nie chce pan usłyszeć mojej wersji?

- Tego nie powiedziałem - Kuba otworzył balkon i jednym

ruchem ręki zaprosił mężczyznę do środka.

Andreas wstał z ławki i dopiero teraz poczuł, że jest mu zimno. Przesiedział na tej ławce pół nocy oglądając żaloszny spektakl, który odstawił ten nieuczciwy, niedouczonego dziennikarzyni i dwie małe dziewczynki, w których dopiero rankiem Andreas rozpoznał dojrzałe kobiety innej rasy. Wziął je początkowo za nastolatki, nieletnie prostytutki lub jakieś galerianki, co dodatkowo negatywnie nastawiło go do Zimnego. Najpierw zrobił kilka zdjęć komórką, po czym miał ochotę wejść i udusić dziennikarza. Przez sen. Nie, zrobi to z większą przyjemnością, gdy tamten będzie w pełni sił i świadomości.

Wyrwę ci serce i pokażę jak bije! Jak w jakiejś pieprzonej grze komputerowej albo horrorze. Zobaczysz, jak to jest wypruć komuś flaki i patrzeć jak umiera. Przy czym ty zasłużyłeś, a ja nie.

Ale na zajęcie się jego sprawkami miał przyjść jeszcze czas. Andreas był wściekły na Zimnego, jednak nie przyjechał tu, żeby się z nim rozprawić. Artykułu się spodziewał, właściwie nawet nie zaskoczył go ten ton i przesadzający styl. Przesępca. To dla mediów było naturalne.

Gdy dotarła do niego wiadomość o aresztowaniu Witolda, Pawła i obsługującego ich maklera, początkowo nie wierzył. Potem postanowił natychmiast wyjść z domu, żeby utrudnić policji zadanie. Policji? Nie, sprawą zajęła się ABW - rodzaj wewnętrznej służby tajnej - Coś pomiędzy CIA i FBI. W Niemczech ich rolę spełniał BKA (Bundeskriminalamt) - Federalny Urząd Kryminalny. Dlaczego, u licha, ich niewielka, skromna firma znalazła się pod lupą kontrwywiadu? Tego Andreas nie rozumiał. Czyżby ich macki sięgały tak daleko? Nie, nie wierzę. Wsiadł do auta i ruszył bez celu klucząc uliczkami i poszukując ewentualnych oprawców. Po kwadransie jazdy uliczkami Wilanowa był prawie pewien, że nikt go nie śledzi. Nie chciało mu się

jednak wierzyć, że zostawili go w tej sytuacji w spokoju, bez obserwacji. Może więc miał pluskwę, jakieś elektroniczne świniństwo naprowadzające, może krążył gdzieś nad nim helikopter albo jakaś cholerna satelita? A może po prostu polskie służby są tak dobre, że nie dają się tak łatwo namierzyć przestępcy? Albo tak głupie, że go zgubiły?

Co zatem zrobić? Nie zważając na to, że prawdopodobnie ma założony podsłuch, zadzwonił do Niemiec do żony i zapytał o radę. Oczywiście uważała, że powinien jak najszybciej ruszyć do granicy.

- Albo jedź na lotnisko i wsiadaj do samolotu Lufthansy. Byle gdzie. Uciekaj stamtąd, póki możesz.

- To nie jest Rosja.

- Jesteś pewien?

Czy był pewien? Przez ostatnie trzy lata nabrał przekonania, że Polsce daleko do normalnych europejskich standardów. Oszustwa i bandyckie zachowania były sankcjonowane prawem, którego zresztą mało kto przestrzegał.

Niektórych wsadzano do więzienia bez procesu, przestępstw innych starano się nie dostrzegać. Poważne przekręty często uchodziły na sucho, a prokuratorzy potrafili miesiącami pastwić się nad wydumanymi wykroczeniami.

Czy był pewien, że lepiej jest w Niemczech, Europie? Może i nie, ale tam policja jak się czymś zajmowała, to rzeczywiście to wyjaśniała. W USA urzędnicy czy finansiści szli do paki nawet na 25 lat. W Polsce dostawali pół roku i to najczęściej w zawiasach. Pechowcy, jeśli nie mieli układów i nie płacili łapówek, mogli natomiast przesiedzieć pięć lat bez sądu.

A dziennikarze?

Szukali tylko haków na znane osoby, nie interesowały ich problemy, ich natura systemowa. W Polsce miał wrażenie, że są dyletantami, cynglami na zlecenie. W Niemczech ich koledzy dobrze wiedzieli, że przed wydaniem wyroku mają zadzwonić do wszystkich stron, a nie napisać sobie tekst i

poprosić ofiarę o komentarz dając jej parę minut na wypowiedź, albo wręcz dzwoniąc już po opublikowaniu materiału. Nie, to nie był cywilizowany kraj. Ale też to już nie to bezprawie jakie panuje za wschodnią granicą. Ilekroć się stawał w negocjacjach z bandytami, ilekroć wykorzystywał istniejące przepisy prawa i nie dał sobie w kaszę dmuchać, tyle razy wygrywał. I nikt nie nasyłał na niego ludzi w kominiarkach, KNF, ABW, GIIF* czy policji. Aż do teraz.

Może nigdy nie nadepnąłeś na odcisk komuś tak potężnemu?

Pragnienie rzucenia wszystkiego i wyjazdu z Polski odrzucił właściwie po kilku minutach od rozmowy z żoną.

Nie dam się pokonać, a poza tym nie zostawię przyjaciół. Oni na mnie liczą.

Witold i Paweł siedzieli w pudle m.in. przez jego ośli upór i zasady. I czekali na kawalerię. Powietrzną, morską, pancerną. Bez znaczenia. Byle z Andreasem na czele.

Zawrócił więc auto w kierunku centrum Warszawy i rozmyślał, do kogo ma się udać. Możliwości były trzy. Najbardziej właściwe byłoby podjechać do firmy i uspokoić ludzi. Mieli w końcu dziesięciu pracowników, którzy mogli się poczuć dezorientowani takim obrotem sprawy. Jeszcze kilka tygodni temu pili szampana ciesząc się sukcesem book buildingu, a teraz prezesi są aresztowani, a o ich firmie pisze cała prasa finansowa i nie tylko. Co ma im powiedzieć?

- Cześć, jak wam się podoba mój pomysł na darmową reklamę?

Do firmy jednak nie miał po co jechać, bo było za późno. Pomyślał o swoim dawnym znajomym, byłym członku kierownictwa KNF i urzędniku ministerialnym. Poznali się kilka lat temu i kilka razy współpracowali. Czy jednak on cokolwiek pomoże?

* *Generalny Inspektor Informacji Finansowej.*

Prawdopodobnie wyłga się brakiem czasu, a jeśli nawet obieca, że pomoże, to zaraz zapomni.

Trzecia możliwość, to był cichy wspólnik Holdnera w interesie dotyczącym polskich nierentownych kopalni. Jakiś czas temu doszedł do wniosku, że na tej restrukturyzacji można dobrze zarobić. To była szansa na biznes przez duże B. Gdyby tylko uporządkować sprawę ze związkami zawodowymi i zaapelować do polityków o rezygnację z populizmu. Marzenia ściętej głowy. Biznes nie wyszedł może najlepiej, za to ze wspólnikiem zaczęli długofalową współpracę.

Czy jednak mieszanie przyjaciela w takie bagno byłoby fair? Sheisse!

Wszystkie trzy możliwości były do kitu. Co więc pozostało? I wtedy właśnie Andreas Holdner wpadł na ten genialny pomysł. Naważyłeś piwa, więc teraz sam je wypij.

Na dodatek miał już w komórce wpisany adres zamieszkania Zimnego, który ten podał na jakimś portalu społecznościowym. Zaraz po pierwszym telefonie dziennikarza zlecił pracownikom CP zbadanie człowieka. Po kilku godzinach dostał analizę tekstów, adresy, kontakty, a nawet listę kochanek. Ciekawe, jak Zimny by się czuł, gdyby Andreas zaczął o nim pisać na ja -kimś blogu. Good idea.

Na Czeską dojechał koło godziny 22. Zaparkował przed numerem 10., domem Zimnego. Wysiadł z samochodu, zapukał, zadzwonił, a ponieważ nadal nikt nie odpowiadał, wszedł do środka. Obejrzał mieszkanie, nawet trochę szperając, choć czuł się niezręcznie. Po chwili namysłu wyszedł z domu i przysiadł w samochodzie nie włączając światła. Od czasu do czasu włączał silnik, żeby się ogrzać. Nie zorientował się, w którym momencie zasnął.

Obudziło go uderzenie o maskę samochodu. Jakiś pijany koleś odbił się od volkswagena, a potem z dwoma dziewczynkami ruszył do środka domu. Andreas poczekał aż

odjedzie taksówka, która ich przywiozła i ruszył za nimi.

Kilka godzin później Holdner siedział z Kubą Zimnym na pieńku drewna przed kominkiem i zastanawiał się, czy może bezpiecznie napić się kawy, którą zaparzył dziennikarz.

- Przepraszam za warunki - mruknął Zimny - Rzadko miewam gości.

- Odniosłem inne wrażenie. Ale to bez znaczenia.

- Fakt. Przejdźmy do rzeczy.

Andreas nabrał powietrza, chcąc zacząć wyjaśnienia, gdy poczuł jak wszystko miesza mu się w głowie.

- Wie pan, czym się zajmujemy?

- Głównie bankructwami - odparł Zimny z nutą odrazy w głosie. To nie był biznes, który mu się podobał.

- Restrukturyzacjami upadających przedsiębiorstw... - uściślił Holdner tłumiąc gniew, - .. .ale ma pan rację, że to trudny biznes, w którym czasem trzeba wejść w bagno.

Dziennikarz wzruszył ramionami.

- Cóż, być może to biznes, jak każdy inny, ale niech pan nie oczekuje ode mnie rozgrzeszenia czy wyrozumiałości. Dla mnie przedsiębiorczość kojarzy się z wytwarzaniem czegoś, z postępem, produkcją, a nie... żerowaniem na czyimś nieszczęściu.

Wszyscy wiedzieli, że w upadłościach jest masa przekrętów. Szczególnie, gdy bankrutowało jakieś przedsiębiorstwo państwowe. Słyszał o szacunkach mówiących, że co najmniej połowa upadłości jest sfingowana i służy oszustwom, wyprowadzeniu majątku czy wrogim lub nieuczciwym przejęciom firm na przykład przez jednego ze współników.

Holdner też to wiedział. Tyle tylko, że w ich przypadku Zimny nie miał racji.

Do diabła, to my jesteśmy tutaj ci dobrzy.

- Niech pan nie ocenia, jeśli nie wie, o czym mówi.

- To proszę mi wyjaśnić, dlaczego się myślę...

Pogarda dla dziennikarza sprawiała, że nie miał ochoty mu

się tłumaczyć. Z drugiej strony chciał, żeby pismak rozumiał ich rolę w tej grze.

Holdner przepracował blisko dwadzieścia lat w korporacjach. Doszedł na szczyt. Ścisnął dłonie największych rynkowych tuzów. Brał udział w negocjacjach fuzji wartych dziesiątki miliardów dolarów. Przygotowywał oferty publiczne, którymi ekscytował się cały finansowy świat. Flirtował z wielkimi pieniędzmi poznając ich wielką moc. Jasną i ciemną stronę.

Nigdy nie sprzeciwił się wprost przełożonym, ale też nie potrafił przymykać oka na różne odcienie szarości. Wielu uważało, że był zbyt surowy i jednoznaczny w ocenach, co wywoływało konflikty. Potrafił jednak przyciągać wielkie pieniądze i dla Rady Dyrektorów wciąż był cenny. Cholernie cenny.

Korporacja postanowiła więc go „awansować” zsyłając na rubieżę rodzącego się w krajach postkomunistycznych kapitalizmu. Dostał bilet do Warszawy, pokój w hotelu i zadanie zorganizowania przyczółka w Polsce.

Korporacja pozbywała się kłopotu, ale jednocześnie dawała szansę. Andreas starał się dostrzegać dobre strony swojej sytuacji. Miał w końcu pełną wolność wyboru i decyzji. Był szefem. Głównodowodzącym. Z władzą podobną do gubernatorów w czasach kolonialnych. Jedynym jego obowiązkiem wobec suwerena było składanie rocznych raportów, przekazywanie zysków do korporacji i podejmowanie z honorami coraz liczniejszych delegacji notabli.

Niemcowi taki układ odpowiadał. Mimo trudności formalnych i prawnych, wystarczyło pół roku na zorganizowanie biura w Polsce i wejście w pierwszy duży interes.

Tak poznał Witolda i Pawła, młodych polskich finansistów i prawników. Byli otwarci, przebojowi, pełni zapału i werwy,

ale brakowało im szerszego, globalnego spojrzenia i doświadczeń na międzynarodowych rynkach. Szybko uzyskał w ich oczach status mentora. Guru. Ale był to szacunek odwzajemniony.

Pasowali do siebie. Byli jak naczynia połączone.

Razem stworzyli jedną z najbardziej prężnych firm inwestycyjnych w regionie EMEA, wręcz wyznaczając na nowych rynkach standardy prawdziwej bankowości inwestycyjnej. Szli po cichu, w cieniu wielkich, nie rzucając się w oczy. Nie pisała o nich prasa, nie wymieniano ich nazwisk na salonach. Ale gdy tylko nadarzała się okazja na dobrą transakcję, pokazywali pazury drapieżnika.

Stał za nimi potężny kapitał spółki z londyńskiego City, co było ogromnym atutem, jednak większość transakcji dopinali dzięki elastycznemu podejściu do każdego przypadku. Pieniądze nie zawsze były najważniejsze. Stawiali na partnerstwo, nie na siłę. Szanowali i dbali o klientów.

Nie były to jakieś wielkie deale. Mimo to, co roku podwajali przychody i rośli w siłę.

Polska też się zmieniała. W kraju rosło pokolenie nowych, młodych, wykształconych drapieżców. Ludzie stawiali się coraz zamożniejsi, budowali ładniejsze domy, jeździli lepszymi samochodami, wyjeżdżali na egzotyczne wakacje. Luksus wydzierał biedzie coraz więcej przestrzeni.

Andreas w końcu mógł zjeść w Warszawie swoje ulubione sushi.

Na ich oczach rosła rola Polski na arenie międzynarodowej, co wiązało się też ze wzrostem znaczenia i wartości rynków finansowych. Polska giełda stawała się rynkiem silnym i perspektywicznym, a transakcje były już na tyle duże, że przyciągały wzrok prawdziwych gigantów rynku. Andreas zapracował na szacunek. Proszono go o rady i analizy. Zapraszano na narady i wykłady. Coraz częściej przebąkiwano, że może zostać szefem całego regionu, a

nawet wejść do Rady Dyrektorów korporacji.

Okazało się jednak, że sukcesy polskiego przyczółka nie zawsze idą w parze z korporacyjnym interesem. Kiedy Londyn zażądał od nich zlekceważenia polskiego klienta, bo korporacji bardziej opłacało się wspierać włoskiego konkurenta Polaków, wypowiedzieli posłuszeństwo.

Andreas dobrze pamiętał tę sytuację. Duża włoska firma, będąca od lat klientem korporacji, chciała kupić zakłady metalurgiczne w Kętach - lidera na rynku aluminium. Gdyby byli jedynym oferentem na tę fabrykę, mogliby przejąć ją po niskiej cenie, nie płacąc premii Skarbowi Państwa. Pech chciał, że polski klient Andreeasa znacznie wcześniej wyraził chęć udziału w przetargu...

To się nazywało konflikt interesów. W takim przypadku staje się po stronie klienta, który był pierwszy. Dziękuje się drugiemu, nawet jeśli jest stokroć ważniejszy i bogatszy.

To nie była nawet kwestia etyki czy moralności. To był... elementarz.

Pieniądze potrafią jednak łamać najtwardsze kręgosłupy.

Uśmiechnął się na wspomnienie negocjatorów, których korporacja przysłała do poskromienia jego zapędów. Byli tacy pewni swego. Nie spodziewali się żadnego oporu. Nawet znając sławę Holdnera. Bo w gruncie rzeczy, dlaczego Andreasowi miałyby zależeć na głupich Polakach? Dlaczego miałby ich bronić?

Choćby po to, żeby zobaczyć wasze miny.

- Nie - rzucił tylko - MÓJ klient złoży ofertę na Kęty.

Nie uzasadniał. Nie wyjaśniał. Nie wchodził w niepotrzebne dysputy. Po prostu potraktował negocjatorów jak powietrze.

Nieświeże powietrze.

Holdner nie jest zdrajcą. Holdner nigdy nie zdradzi swojego klienta. Nawet dla korporacji.

Andreas był lwem. Lwem, który nie wchodzi w układy z wrogami.

Korporacja próbowała przyblokować mu linie kredytowe, Andreas ich jednak przechytrzył. Zebrał konsorcjum do udziału w przetargu, zapewnił finansowanie inwestycji i złożył w imieniu Polaków najlepszą ofertę. Włosi zostali odprawieni z kwitkiem, gazety zachwyciły się sukcesem polskiej spółki, a ich klient do dziś nie dowiedział się, jak blisko był porażki. Jak niewiele brakowało, żeby zdradził go zaufany partner.

A korporacja?

Tym razem Andreasowi nie zaproponowano już „awansu”. Dyrektorzy oczywiście nie przyznali się do porażki i przelknęli gorzką pigułkę. Oficjalnie nawet pogratulowano mu „znakomitej operacji”. Miesiąc później nagrodzono go tytułem zarządzającego roku, pozbawiono funkcji prezesa i mianowano doradcą od spraw przejęć i fuzji dla wszystkich spółek z grupy. Ważna, kompletnie niepotrzebna nikomu funkcja.

Mam was gdzieś! Verpiss dich!

Oto, co im powiedział.

Narada z Witoldem i Pawłem nie trwała długo. Oni też mieli dość uśmiechania się do ludzi, których nie lubią. Odpłynęli pirackim statkiem, sami obierając kurs. Stworzyli Consulting Partners.

Jednak na rynku doradczym było coraz trudniej, a korporacja nie zapomina takich zniewag. Musieli zmienić otoczenie, znaleźć niszę.

- Dlaczego nie zabierzemy się za bankructwa - zaproponował Witold. -W Polsce duże firmy konsultingowe boją się tego rynku, jakby to był jakiś dziki zachód

Raczej wschód.

Andreas starał się nie kierować emocjami. Biznes może i był ryzykowny. Można było wejść w drogę nie tylko drobnym cwaniakom, ale i pospolitym bandytom. Okazało się jednak, że dają sobie radę nawet stawiając czoła dziwnym decyzjom

syndyków czy sądów i rywalizując z biznesmenami „na doping”.

Opowiadając o tym wszystkim dziennikarzowi starał się być rzeczowy.

- Upadłość to nie koniec świata. Dla wielu jest wręcz szansą na nowe otwarcie. Amy jesteśmy takim doktorem spółek. Kupujemy je tanio, gdy są chore, dajemy kroplówkę, leczymy i sprzedajemy, gdy wyzdrowieją. Oczywiście zarabiając na tym.

Tak - pomyślał Andreas - pracujemy dla pieniędzy. Ale gdyby tylko ten głupi pismak zechciał zagłębić się w temat, zobaczyłby dużo więcej. I nie traktowałby nas jak pasożytów.

Bo my nie jesteśmy pasożytami! Wspieramy nasze spółki portfelowe jak tylko potrafimy. Merytorycznie i finansowo. Zakasujemy rękawy i zapieprzamy, jak trzeba przerzucając przysłowiowe worki z piaskiem. Ryzykujemy własnymi pieniędzmi.

Tak trudno postarać się posłuchać i to zrozumieć?

Tak trudno nie wydawać z góry wyroków?

- W gruncie rzeczy inwestycje w bankrutujące przedsiębiorstwa są bardzo podobne do działalności typu venture capital - powiedział Andreas Zimmemu zaciskając mocno pięści i starając się mówić spokojnie, choć miał ochotę poczęstować szczeniaka prawym sierpowym. - Wyszukujemy spółki, które można postawić ponownie na nogi, które opłaca się ratować dając zastrzyk kapitału. Nie zawsze jednak da się taką firmę uratować albo jest to po prostu nieopłacalne. Wtedy rezygnujemy lub reprezentujemy wierzycieli czy dłużników jako doradca. Na tym polega konsulting. Takie są też prawa rynku, nie różniące się zresztą od praw, jakimi rządzi się ludzkie życie. Te prawa zresztą tylko w niewielkim stopniu uległy modyfikacjom w stosunku do przysłowiowego „prawa dzungli”.

Czy ten idiota zastanawiał się kiedyś dlaczego spółki

bankrutują? Pewnie powiedziałby, że przez kryzysy, albo brak finansowania? Tymczasem to Kameelenarschgeruch. Wielbłądzia dupa. Gównno prawda.

Ludzie!!! Nie kryzysy, nie problemy finansowe, nie brak kapitału. Tylko ludzie. To oni są problemem. W managementie spółek często są prawdziwi szkodnicy. Jeżeli jest ich więcej niż ludzi porządnie wiosłujących - łódź tonie. Trzeba ten stan rzeczy zmienić, a zwalnianym niezbyt się to podoba. Nie ma wyboru, jeżeli chcemy, żeby łódź z resztą załogi na pokładzie nie utonąła.

- Consulting Partners szybko zyskała sobie markę na tym rynku. Mamy renomę firmy nie zdradzającej partnerów, twardej, ale działającej fair - zakończył Holdner.

Tak? To ciekawe, dlaczego siedzi pan teraz tutaj, a pana koledzy w pudle? - pomyślał Zimny i zapytał:

- No dobrze, ale co to wszystko ma wspólnego z pana sytuacją?

- Staralem się panu wyjaśnić, że restrukturyzacja to biznes, w którym łatwo o wrogów. W którym interesy są często sprzeczne, prowokują konflikt.

- To zrozumiałem. Jednak wrogów wciąż nie dostrzegłem.

- Słyszał pan kiedyś o firmie Polbud? Zimny poszperał w pamięci.

- Taak. Chyba tak. To spółka giełdowa? Andreas pokiwał twierdząco głową.

- Specjalizuje się w dużych instalacjach: budowie dróg, mostów i innych unijnych przedsięwzięciach. Dziś całkiem prężnie się rozwija. Ale jeszcze rok temu miała ogromne kłopoty finansowe. Właściwie niewiele brakowało, żeby skończyła na złomowisku historii.

- Rozumiem, że pomogliście jej wyjść z problemów?

- Nie do końca. W tym wypadku spółka już miała inwestora, który ją prze-jął. My zostaliśmy wynajęci przez kontrahenta z Grecji, któremu Polbud był winny pieniądze za

zrealizowane dostawy surowców i nie chciał ich oddać.

- Dużo?

- To nieistotne, ale jakieś siedemdziesiąt milionów.

- Sporo.

- Nasi greccy klienci mieli pecha. Polbud w tamtym czasie był firmą właściwie państwową, nikt nie spodziewał się, że może upaść. Grecy więc się nie zabezpieczyli. Dostarczyli towar za siedemdziesiąt baniek, a w zamian nie dostali ani grosza gotówki. Informacja, że ich polski kontrahent bankrutuje spadła jak grom. Ciężko było im przelknąć taką stratę.

- Mówił pan przecież, że Polbud pozyskał inwestora. Miał więc kto spłacić długi?

- Niestety, to nie takie proste. Inwestor był znanym i sprytnym byłym bankierem. Lepszym cwaniakiem, który chciał zrobić upadłość, żeby pozbyć się długów i tanio przejąć firmę. Spółka była notowana na giełdzie. Nowy właściciel chciał wpompować trochę pieniędzy w nową emisję, stać się akcjonariuszem większościowym przy niskich kosztach, a następnie wmówić inwestorom, że Polbud to gwiazda, która będzie przynosić krocie. Jak to się mówi: come dream with me.

-Ao siedemdziesięciu bańkach niespłaconych zobowiązań po prostu zapomnimy? - Zimny pokiwał głową z uśmiechem. - Dobrze znam takich cwaniaków.

-O trzystu - poprawił Holdner. - Zobowiązań łącznie było trzysta milionów. Bankier postanowił zamienić je na akcje o znacznie mniejszej wartości. Gdy zapytaliśmy, jak sobie to wyobraża, odparł: „No cóż, nie zaprzatajmy sobie głowy szczegółami.”

- Nie zgodziliście się?

- Nie chcieliśmy dla naszego klienta roli pasażera na tym statku. Mieliśmy zresztą alternatywny plan.

- Przystawić mu do głowy rewolwer? - zażartował

dziennikarz.

- To byłoby bardziej w jego stylu - mruknął Holdner. - Nie. Chcieliśmy to załatwić w sposób cywilizowany.

- Między nami bankierami... Holdner spojrział głęboko w oczy Zimmemu. Jeszcze chwila, a rzeczywiście uda ci się mnie sprowokować...

- Nasz pomysł był prosty - powiedział. - Zaproponowaliśmy, żeby Polbud w zamian za anulowanie długu sprzedał nam jedną ze spółek zależnych zajmującą się budownictwem drogowym. Mieliśmy już na nią kontrahenta z Holandii, który akurat potrzebował w Polsce partnera o takim profilu. Ho -lendrzy byli gotowi spłacić w całości dług Greków. Nam proponowali so -lidną premię. Rozwiązanie więc było idealne: dług zniknął, nasz klient byłby spłacony, a spółka nabrałaby wiatru w żagle.

- Nie zgodzili się?

- Bankier wcale nie zamierzał nikogo spłacać. Nie chodziło o kwotę. On po prostu miał zamiar okantować kogo się da i na ile się da. Choćby na zło -tówkę. Są ludzie, którzy dla pieniędzy zrobią wszystko. Taki to polski, odro -binę gangsterski styl postępowania ze swoimi wierzycielami. Sam pan widzi, jak w rzeczywistości ma się zasada „pacta sunt servanda” *.

-I co zrobiliście? Holdner uśmiechnął się pod nosem.

- Zaczęliśmy skupywać długi, żeby mieć lepszą pozycję do ataku i czekaliśmy na błąd przeciwnika. Szybko go popełnił. Jak każdy złodziej, był pazerny. Zbyt pazerny...

Holdner wyciągnął z kieszeni monetę i zaczął obracać ją w dłoniach. Wiele razy przynosiła mu szczęście.

-W procesie upadłościowym prowadzonym pod nadzorem sądu, Polbud zgodził się spłacić większość długów akcjami - kontynuował opowieść. - To nie było dobre rozwiązanie dla wierzycieli, bo sporo tracili. Ale bankier wymyślił, że jeszcze

* *pacta sunt servanda (łac.) - umów należy dotrzymywać.*

bardziej ich okantuje. Postanowił przed przydziałem akcji wierzycielom zrobić jeszcze jedną emisję dla siebie i innych obecnych akcjonariuszy.

- Co w tym złego? Może chciał dokapitalizować spółkę?

- Emitował akcje po preferencyjnej cenie. Zwiększając liczbę walorów ograbił swoich wierzycieli. Sprawiał, że przydzielona już dla nich pula była w konsekwencji takiego ruchu znacznie mniejsza. Zamiast dostać własność w połowie spółki, dostawali tylko jedną trzecią. A bankier stawał się większością właścicielem.

Holdner chwycił długopis i narysował na kartce dwa kółka. Jedno przedstawiało akcjonariat z podziałem pół na pół. Na jednej połowce napisał: BANKIER, na drugiej: WIERZYCIELE. Drugie także podzielił pół na pół, ale dorysował jeszcze jedną kreskę odbierając z połówki WIERZYCIELE znaczną część na korzyść BANKIERA.

- Rozumie pan? Sąd kazał mu oddać połowę firmy za długi, ale on zamiast wykonać to postanowienie, postanowił oddać jedną trzecią. To tak, jakby ojciec podzielił jabłko na dwie równe części i dał synom po równo, a jeden po zjedzeniu swojej, zabrałby jeszcze część drugiej połówki bratu.

-I tak można?

Holdner nie odpowiedział. Moneta wypadła mu z dłoni.

Rozdział 6

*Pieniądz jest szóstym zmysłem,
który umożliwia uznanie dla pozostałych pięciu.*
Orson Welles

Andreas Holdner do następnej części opowieści zbierał się trochę dłużej, skorzystał z toalety, co pozwoliło Kubie na wypalenie dwóch papierosów. Potem poczuł głód i zaproponował Holdnerowi kanapki, ale ten odmówił. Zimny skazany był więc też na słuchanie o pustym żołądku, co nie przyczyniło się do wzrostu jego koncentracji. Jednak rzeczywiście, mimo skomplikowanej materii, chciał usłyszeć dalszy ciąg.

- Jak już wspomniałem, Polbud był spółką giełdową. Żeby bankier mógł zrobić przekręt, musiał przeprowadzić emisję dopełniając takich samych formalności, jak my wchodząc na giełdę. Musiał sporządzić tak zwany prospekt emisyjny. To taki dokument, w którym jest napisane wszystko o spółce. Opisani właściciele, biznes, powiązania.

- Wiem, czym jest prospekt - zaprotestował Zimny. - Proszę nie traktować mnie jak durnia.

-W tym dokumencie muszą być też opisane zobowiązania i długi - Holdner zbył uwagę Zimnego - I muszą być opisane prawdziwie. Jak ktoś skłamie w prospekcie, może nawet iść do więzienia.

-A Polbud skłamał?

- Nie napisał ani słowa o tym, że nowa emisja jest pogwałceniem układu z wierzycielami. Nie napisał, że tak naprawdę bankier kantuje wszystkich już oszukanych przez spółkę. Nie napisał, że to może doprowadzić do katastrofy. Mielśmy prawo iść do sądu z tym prospektem i przewrócić do góry nogami cały układ. To spowodowałoby ogromne

zamieszanie. Firma prawdopodobnie by zbankrutowała. Wielu ludzi mogło stracić dziesiątki tysięcy złotych.

- Skoro chcieliście dopieć bankierowi, czemu tego nie zrobiliście?

- Byłoby to wbrew interesowi naszego klienta.

- Nic nie rozumiem.

- Jeśli spółka by upadła, Grecy nie dostaliby tych siedemdziesięciu milionów, tylko znacznie mniej. W naszym interesie było zablokowanie nowej emisji, ale nie zniszczenie całej firmy.

- Pat?

- Dokładnie. Wynajęliśmy specjalistę z rynku kapitałowego, żeby ten zablokował emisję Polbudu w KNF. Byliśmy pewni wygranej. Jednak Komisja zamiast wypełnić swoją rolę, pomogła bankierowi w przekręcie.

- Jak to pomogła?

- Nic nie zrobili. Dosłownie. Za to u nas pojawił się emisariusz. Andreas wziął w dłonie leżącą na stoliku monetę i ponownie zaczął się nią bawić. Spotkanie z emisariuszem odbyło się w hotelu Marriott. Człowiek od bankiera dał mu wizytówkę i drwiąco patrzył prosto w oczy. Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym wysłannik wprost zapytał, czego tak naprawdę chce Niemiec. W co gra? Holdner wiedział już, co będzie dalej. To nie było spotkanie czysto biznesowe.

- Ten człowiek pracował dla bankiera, ale jednocześnie był człowiekiem od brudnej roboty KDI, Krakowskiego Domu Inwestycyjnego. Ten dom maklerski obsługiwał emisję Polbudu i nasze uwagi do nieprawidłowości w prospekcie były mu całkowicie nie po drodze.

- Człowiekiem od brudnej roboty? Poprosił was, żebyście się... nie wpieprzali?

- Coś w tym rodzaju. Powiedział, że jeśli dalej będziemy dymić, to nas wykończą.

Mamy układy wszędzie, przyjacielu. W prokuraturze, ministerstwach, urzędach skarbowych, sądach. Wszędzie. Nawet w KNF. Jeśli jeszcze raz wyślecie jakieś głupie pismo, wykończymy was. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak te urzędy mogą być upierdliwe. Siedziałeś kiedyś w pudle? Miałeś na księgach przemyłych inspektorów? A może wolisz, żeby wasze konta przetrzepała AB W czy CBA? Co pomyślą twoi biznesowi partnerzy z Londynu, jak nasz polski SEC oskarży cię o manipulacje? Chcesz przeczytać o tym w gazetach?

- Zaraz, zaraz - Zimny westchnął ciężko - Mówi pan, że to było rok temu?

- Nawet ponad rok.

-I myśli pan, że to ma związek? Po roku... Holdner uśmiechnął się złowroźnie.

- Chce pan usłyszeć dalszy ciąg?

- Pewnie - Zimny wzruszył ramionami.

- KDI okazało się graczem drapieżnym, ale i przewidującym. Wiedzieli, że nie zrezygnujemy z walki tylko z powodu gróźb. Dlatego zaproponowali nam nieco lepsze warunki spłaty Greków. Nasz klient je przyjął i tak zakończyliśmy spór.

- Więc pogodziliście się?

- Można tak to nazwać.

- No to dlaczego myśli pan, że to ma jakiś związek z obecnymi zarzutami KNF?

- Ja nie mogłem zostawić tej sprawy ot tak - westchnął Holdner - Być może popełniłem błąd. Uznałem, że skoro nam grożono, to musimy się na tę okoliczność zabezpieczyć. Do wszystkich urzędów, na które powoływał się emisariusz, wysłałem krótką notkę z informacją o takim fakcie.

Holdner poszperał w torbie i wyciągnął z teczki dokument na potwierdzenie. Zimny przeczytał go ze zdziwieniem. Pismo było nietypowe. Krótkie, ogólnikowe. Jakby donos, tyle że podpisany. Ale też nie było to zwyczajne zawiadomienie o przestępstwie.

- Wcale nie chciałem, żeby te sprawy zaczęły się toczyć - wyjaśnił Niemiec. - To miało być tylko zabezpieczenie. Prokuratura, Ministerstwo Finansów i resort sprawiedliwości w ogóle nie odpowiedziały na to pismo. Za to KNF po dwóch tygodniach przysłała do nas wezwanie. Tyle tylko, że w zupełnie innej kwestii. Komisja chciała, żebyśmy udzielili wyjaśnień w sprawie naszej roli przy fuzji dwóch firm z branży tekstylnej. Poszliśmy na przesłuchanie do KNF nie przeczuwając podstęp.

- Podstęp?

- Oskarżono mnie o insider trading, wykorzystanie informacji poufnych i zakup akcji jednej ze spółek, którym doradzaliśmy.

Zimny oniemiał, nie miał pojęcia o wcześniejszych oskarżeniach Holdnera, a to przy jego nazwisku był kolejny potencjalny news na jedynekę. Insider trading to gruby kaliber. Zaraz jednak opamiętał się, bo zrozumiał, że wykorzystanie tej informacji byłoby po prostu czystym świństwem.

- Ciekawe. Zrobił pan to?

- Co? Czy wykorzystałem informację poufną? Skąd. Kupiłem akcje kilkunastu spółek ze z góry założoną strategią, reagując tylko na zdarzenia makro, a nie konkretne informacje. Widziałem hossę wywołaną wejściem do Unii, a potem przystąpieniem do strefy Euro w Grecji, Portugalii oraz Hiszpanii. Chciałem przeżyć to jeszcze raz w Polsce. Nie jestem spekulantem, tylko długoterminowym inwestorem. Nie jestem Gordonem Gekko.

Kuba przez chwilę pomyślał, że Andreas czytał w jego myślach. Cóż, nie wyglądało to wszystko pozytywnie dla Holdnera, choć Zimny póki co starał się nie przesądzać sprawy. Do piętrowych intryg nie był jednak przyzwyczajony. One zwykle okazywały się podszyte kłamstwem. Tutaj dodatkowo sprawa była wyjątkowo zagmatwana. Andreas

jeszcze bardziej w niej zamieszal:

- Najciekawsze było jednak co innego. Moja transakcja, którą KNF uznał za podejrzaną, miała miejsce niemal dokładnie rok wcześniej. Rok

przed negocjacjami w sprawie Polbudu, rok przed wezwaniem z KNF. Sam już o niej nie pamiętałem. Śledztwo w tej sprawie wszczęto dość późno, nie sądzi pan? Nawet jeśli przyjmujemy, że zrobiłem coś nie tak, dlaczego czekano z wyjaśnieniem tej sprawy tyle czasu?

- Wie pan, urzędy działają powoli... Andreas zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy.

- KNF to specyficzny twór. Wszystkie sprawy związane z manipulacjami wszczyna najpóźniej do trzech miesięcy po zdarzeniu, a zwykle w ciągu miesiąca. Analizuje podejrzenia na bieżąco, chyba że ktoś na kogoś doniesie.

- Może więc ktoś na pana doniósł?

- Chyba należałoby powiedzieć: szepnął słówko? Nie było bowiem żadnego oficjalnego donosu. Dlaczego mnie zidentyfikowano po roku, przypadkowo po konflikcie z KDI? Zna pan odpowiedź na takie pytanie?

Zimny wzruszył ramionami. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Na dodatek na koniec przesłuchania pokazano nam nasze pismo o groźbach i zapytano, czy mamy jeszcze coś do dodania. Rozumie pan? Dostajemy groźbę wykorzystania KNF przeciwko nam, informujemy urząd o tym, a ten urząd wszczyna postępowanie w sprawie rzekomych nieprawidłowości mających miejsce dwanaście miesięcy wcześniej i na koniec pyta, czy mamy jeszcze coś do dodania. Dla mnie było jasne, że to ostrzeżenie - jeśli nie przestaniesz dymić, to wojna rozpocznie się na dobre. Oskarżymy cię. Może nawet wsadzimy do więzienia - To nie jest według pana dziwne?

- Jest - nieśmiało przyznał Kuba - Ale potem nic wam nie robili, aż do teraz. Dlaczego?

- No właśnie? Dlaczego nie kontynuowano śledztwa w mojej sprawie wtedy, tylko wznowiono obecnie? Może teraz ktoś uznał, że wychylając się i starając wejść na giełdę, zapominamy o swoim miejscu w szeregu? A mo -że ktoś chciał dać nam nauczkę, żebyśmy przyszli do niego na kolanach? Myślę, że to pytanie powinien pan zadać komuś innemu.

Kolejna teoria spisku?

Kuba nie wiedział, co myśleć. Była to kompletnie absurdalna teoria nie do udowodnienia. Jaki miałby być motyw działania KNF? Pośrednik mógł się rzeczywiście powoływać na wpływy, ale to jeszcze nie znaczyło, że je w rzeczywistości miał. W naszym kraju prawie wszyscy afiszują się, że kogoś znają i mogą coś tam, coś tam. Uczą się tego od dziecka.

- Przyjmijmy, że mówi pan prawdę. Ale cały czas pozostaje najważniejsze pytanie o motyw urzędników. Dlaczego KNF miałyby robić wam kłopoty na czyjeś zlecenie? Gdzie leży przyczyna?

- Może cały rynek ma wiedzieć, żeby nie podskakiwać KDI, bo jego szefostwo ma układ z KNF? - wypalił Holdner.

- Niby jaki? To niemożliwe, żeby Komisja działała przeciwko wam na zlecenie jednego z domów maklerskich. Jak pan powiedział - Krajowy Dom Inwestycyjny?

- Krakowski - poprawił Andreas - Mówi pan, że to nieprawdopodobne? To niech pan zerknie na to.

Holdner wyciągnął z torby wyświechtany egzemplarz jakiejś branżowej gazetki. „IPO -finanse i giełda ” - przeczytał Kuba.

- To branżowe piśmko. Proszę rzucić okiem na główny tekst: Urzędnicy KNF szkolili petentów. Polecam lekturę. To o szkoleniach, jakie urzędnicy KNF za pieniądze robili dla firm wchodzących na giełdę. Niech Pan zgadnie, kto za te szkolenia im płacił?

- KDI?

Holdner skinął głową.

- Przypadkowo większość szkoleniowców to pracownicy departamentu Pana Teodora Kozłowskiego z samym szacownym Panem Teodorem na czele. Pan Teodor jest zaś głównodowodzącym w sprawie przeciwko nam. Jego departament stoi na straży 300 miliardów złotych zarządzanych przez fundusze. Powinien być niezależny i bez skazy, a nie szkolić za pieniądze petentów. A potem wykańczać ich wrogów.

- Może ma wytłumaczenie? Może to był... przypadek?

- Coś za dużo tych przypadków i wszystkie spływają do jednego ścieku. Ale oczywiście dla pana to może pozostać teorią spisku, a Andreas Holdner z góry skazanym przestępcą.

Holdner zebrał swoje rzeczy. Ubrał się i wyszedł nie podając Zimnemu dłoni. Dziwny typ - pomyślał Kuba. Niemiły, nie budzący najmniejszego zaufania. Jakim cudem zrobił taką karierę? Wszyscy biznesmeni-cwaniacy, których Zimny znał, byli wylewni i przemili. Nawet kiedyś słyszał takie powiedzenie, że tylko tacy są w stanie robić dobry biznes. Holdner był inny. Nie nadskakiwał i bardziej żądał niż o cokolwiek prosił. Może jednak mówił prawdę?

- Wyjaśnię tę sprawę - rzucił, gdy Niemiec wsiadał już do swojego volkswagena.

Holdner popatrzył na niego bez specjalnej wiary.

- Zobaczymy.

Po rozmowie z Zimnym Andreas Holdner czuł, że ledwie stoi. Pojechał do domu, wziął prysznic i zaaplikował sobie dawkę amfetaminy. Nie znosił tego świństwa, ale dziś czekał go intensywny i długi dzień pracy, a przecież praktycznie nie spał w nocy, którą w większej części spędził na zimnie w ogrodzie dziennikarza. Musiał przeprowadzić wiele rozmów z partnerami, klientami i współpracownikami, zorganizować spotkanie z kancelariami prawnymi i inwestorami. Na początek jednak pracownicy. Powinien jak najszybciej

pojawić się w firmie i ich uspokoić, bo w innym wypadku są gotowi zrobić jakąś głupotę.

Jazda do siedziby Consulting Partners zajęła mu prawie dwadzieścia minut. Wychodząc z parkingu przy teatrze muzycznym Roma patrzył uważnie w twarz każdej mijanej osobie. Miał wrażenie, że wszyscy patrzą na niego bez obojętności zwykłych przechodniów. Spotkał też dwóch znajomych z funduszy inwestycyjnych, którzy nie kryli zaskoczenia widząc go. No tak, w światku finansowym pewnie huczało od plotek. W tym środowisku wieść rozchodziła się z prędkością światła. Nie trzeba było być bohaterem telewizyjnego reportażu.

Na recepcji w biurze siedziało dwóch ochroniarzy, którzy także już wiedzieli o zdarzeniach poprzedniego dnia, bo unikali wzroku Andreasa. Holdner ruszył prosto do wind i po chwili otwierał kartą chipową drzwi biura Consulting Partners. Nie musiał prosić o zebranie zespołu, bo w przeciągu dziesięciu sekund wszyscy otoczyli go już w holu. Byli przejęci, może trochę wystraszeni, ale też zdeterminowani do walki. Andreasowi przemknęło przez myśl pytanie, czy do tej pory traktował ich na tyle fair, że utożsamiają się z firmą? Chyba tak. Widać było, że czują ulgę z powodu powrotu Andreasa. Nie brakowało im siły, potrzebowali tylko wodza. Czekali teraz, co powie.

Holdner, zebrał się w sobie, jego twarz nabrzmiała i wyglądała, jakby miała zaraz eksplodować.

- Ktoś mówił, że jesteśmy mało rozpoznawalni w mediach? - rzucił i wybuchnął śmiechem starając się rozładować atmosferę i podnieść zespół na duchu.

Tak było trzeba. Kapitan zawsze wie, co robić - nawet gdy nie wie. Inaczej załoga traci wiarę w zwycięstwo, a to zawsze oznacza koniec. Zresztą ich sytuacja, choć trudna, nie była całkowicie beznadziejna. Mieli w ręku kilka kart. Może nie asy, ale też nie całkowite blotki. Jeżeli Zimny będzie miał

cohone, aby ujawnić sprawę szkoleń, będzie to oznaczać odpalenie prawdziwej torpedy medialnej w skorumpowanych urzędników.

Jestem bardzo ciekawy, jak teraz będzie czuł się pan Teodor odpowiadając na pytania dziennikarza. - Holdner uśmiechnął się do swoich myśli, co w ciągu ostatnich tygodni zdarzało mu się niezwykle rzadko. Zebrani wokół niego pracownicy oczekiwali informacji, zachęty, nadziei.

- Panowie, wypowiedziano nam wojnę. Będzie to bez wątpienia najtrudniejszy projekt w naszej dotychczasowej karierze. Dlatego bierzmy się do roboty. Zwycięzimy!

- Stalker - powiedział Agent.

- Notuję - odparła asystentka po drugiej stronie. Takie miała zadanie. Musiała zapisać godzinę kontaktu, kryptonim operacji i słowa agenta, po czym spisać to w protokole, zejść na dół do kancelarii tajnej i wrzucić do specjalnej wrzutki korespondencyjnej, skąd były zabierane i przekazywane do odpowiednich departamentów. Nie leżało w jej kompetencjach analizowanie informacji czy inna ich ocena. Lata pracy nauczyły ją zapisywać wszystko bez zapamiętywania treści.

Agent zrelacjonował wszystko, co działo się dziś po powrocie Andreasa Holdnera do firmy, używając ustalonych kryptonimów. Rozłączył się i poczuł do siebie obrzydzenie. Choć to przecież była jego robota. Nic więcej.

Rozdział 7

Pieniądze nie śmierdzą.

Cycon

Holdner jest oskarżony o złamanie przepisów giełdowych i manipulację. Jego partnerzy (i teoretycznie on sam) zostają aresztowani. KNF występuje do prokuratury. Przesiępcą tymczasem jest na wolności i pojawia się u dziennikarza. Mówi, że to wszystko zemsta KNF, a bardziej jakiegoś domu maklerskiego, z którym wszedł w konflikt. Dom finansował szkolenia urzędników - płacił porządne stawki. Ktoś to wszystko opisał, ale sprawa została zamieciona pod dywan. Na dodatek urzędnicy zamiast wszcząć postępowanie w sprawie powoływania się na wpływy przy groźbach dla Holdnera, wyszukali haki na Niemca. Uff, ale bajzel. I co zrobić z tym całym pasztetem?

Zimny próbował ułożyć sobie to wszystko ponownie w głowie. Wiedział, że wiara w teorie spiskowe powoduje, że ludzie stają się dla innych wariatami, których wynurzenia kwituje się po prostu pobłażliwym uśmiechem. Jeżeli Holdner był jednak wariatem, to naprawdę dobrze to ukrywał. Zerknął na pierwszą stronę otrzymanego od Niemca egzemplarza pisma „IPO”.

Urzędnicy Komisji Nadzoru Finansowego dostawali pieniądze z Agencji Porter należącej do Krakowskiego Domu Inwestycyjnego za szkolenie klientów tego domu maklerskiego wchodzących na Giełdę. Przelewy szły na ich konta bądź bliskiej rodziny, znajomych. Na listach płac, w e-mailach, przelewach, powtarzają się numery kont i nazwiska tych samych osób. Kasę brało całe szefostwo departamentu emitentów z Teodorem Kozłowskim na czele oraz parę innych osób z KNF i z Giełdy Papierów Wartościowych. W pełnym rozliczeniu rocznym zarobki tych urzędników w

Agencji Porter robią wrażenie. Teodor Kozłowski zainkasował w sumie o tys. zł...

W tekście było też sporo dalszych zarzutów. Według „IPO” urzędnicy dostawali prezenty do domów: wina, zegarki, telefony, laptopy. Jakim cudem tego typu materiał przeszedł bez żadnego echa? Zimny odszukał w biuletynie kontakt z redakcją i wybrał numer telefonu. Zmęczony kobiecy głos zaczął tłumaczyć, że ten numer już nie należy do gazetki, ale gdy Kuba nalegał, wyjaśniła:

- Wie pan, to była taka gazetka firmowa, ale po jakimś tekście, ktoś im zagroził wielkim procesem, a potem wykupił całe wydawnictwo i nakład ostatniego numeru.

- Nie orientuje się pani, czy może chodziło o tekst o KNF?

- Chyba tak, jakieś szkolenia czy inne przekreśły. -Anie wie pani, gdzie pracuje dziennikarz, który to napisał.

- Pewnie, że wiem - powiedziała z dumą - to mój syn.

- Czyli gdzie?

-W „Financial Times”; dam Panu jego adres. Tylko ostrzegam, jest bardzo zajęty.

Kuba zapisał i natychmiast sporządził e-maila:.

„ Witam, nazywam się Zimny i przygotowuję tekst o KNF i szkoleniach. Czytałem Pana artykuł z IPO i jestem pod wrażeniem. Będę wdzięczny za jak najszybszy kontakt”.

Wysłał list i zabrał się za przygotowywanie pytań do rzecznika KNF. Potem wyszukał bezpośredni numer do sekretariatu Kozłowskiego i wykrecił numer. Miał szczęście. Asystentka połączyła go w ciągu kilku sekund.

- Teodor Kozłowski - rzucił krótko dyrektor departamentu emitentów.

- Kuba Zimny - powtórzył Kuba - Jestem dziennikarzem Expressu...

- Tak, wiem. Czytałem pana tekst o Holdnerze. Świetny artykuł. Miał pan dobre źródła.

- Hm, dziękuję. Właśnie przygotowuję kontynuację.

- Takie teksty emocjonują cały rynek. Będę czekał z niecierpliwością. Nie wątpię!
- Mam parę pytań i prośbę o komentarz.
- Proszę pytać.
- Holdner twierdzi, że spór z KNF nie wynika ze złamania przepisów przez jego firmę, tylko z powodu zemsty.
- A to ciekawe - roześmiał się Kozłowski aż nazbyt nienaturalnie - Niby kto się na nim mści?
- Między innymi pan.
- Ja? A to dobre. Problem tylko w tym, że ja nie znam pana Holdnera. W życiu nie widziałem go na oczy. Ani żadnego z tych cwaniaków.
- Cwaniaków?
- A co pan myśli? Goście zrobili wydmuszkę, próbowali wepchnąć to naiwniakom, ale się nie udało. Chcieli się szybko skeszować i gdyby nie my, pewnie dziś byłiby milionerami.
- Skeszować?
- Wejść na giełdę i zaraz sprzedać swoje akcje, uciekając z tonącego okrętu, pozostawiając wydmuszkę dla leszczy z giełdy. Wie pan, ile mieli majątku a jak się wyceniali?
- Na sto milionów.
- Przy prawie zerowym majątku i wartości księgowej dziesięć razy niższej. Zero aktywów, żadnej produkcji, usług. Nic.
- Tylko konsulting - przyznał Zimny.
- Słowa wytrychy zaczynają mieć coraz większą wartość. Ale my nie pozwolimy, żeby za ich pomocą oszukano inwestorów.
- Mocne słowa. Więc nie mścił się pan?
- Pewnie że nie. Mówiłem już panu, że ich nie znałem.
- Holdner twierdzi jednak, że Komisja potraktowała jego spółkę w ten sposób z powodu konfliktu z Krakowskim Domem Inwestycyjnym. Słyszał pan o takim konflikcie?
- Absurd. Co tu komentować? To po prostu wierutna bzdura.

- Nie słyszał pan? - podkreślił pytanie Zimny. -Nie.

-Aczy pan brał pieniądze za szkolenia dla klientów KDI? Kuba czuł, jak Kozłowski po drugiej stronie wstrzymuje oddech. Niemal słyszał jak wali mu serce....

O co w tym wszystkim chodzi?

- Skąd pan wie o szkoleniach? - zapytał dyrektor. -Z gazetki, hm, jakieś „IPO” czy coś podobnego.

- Sam pan widzi jakie to źródło - uciekł od odpowiedzi Kozłowski.

- Ale nie zaprzecza pan? Robił pan te szkolenia?

- Proszę posłuchać - westchnął Kozłowski - W urzędzie zarabiamy niewiele, musimy sobie jakoś radzić. Komisja jest zobowiązana przepisami do prowadzenia działalności edukacyjnej. Nie wstydzę się tego, że prowadzę szkolenia. Wykładam na uczelniach, instytutach, zdarza się także, że robię szkolenia komercyjne. Ale stanowczo wypraszam sobie, żeby takie informacje podawano w podobnym kontekście.

- To znaczy jakim?

- Jak to jakim? - oburzył się Kozłowski - Myśli pan, że nie wiem, do cze -go pan zmierza. Jak tamten dziennikarzyna z tego „IPO”. Nie bądźmy dziećmi. Zarzucacie mi korupcję, a nie macie do tego najmniejszych podstaw. Działalem zawsze zgodnie z prawem i etyką.

-Ale ja panu niczego nie zarzucam. Tylko pytam. Czyli w szkoleniu petentów nie ma niczego złego?

- To już przesada.

- Zarobił pan o tys. za cztery kursy. To chyba niemało.

- Nie na rynku kapitałowym. Tu są takie stawki. Żegnam pana. Kozłowski rozłączył się. Zimny przez chwilę wpatrywał się w słuchawkę. Tego się nie spodziewałeś? Czyżby rodziła się kolejna afera? Poprzez szkolenia wyprowadzano kasę z wielu państwowych spółek i banków; takie praktyki umożliwiały opłacanie przychylności decydentów w wielu miejscach. Pamiętał, jaki skandal wywołała informacja o

szkole -niach i różnych rautach dla lekarzy opłacanych przez firmy farmaceutyczne. Przypadkowo konferencje odbywały się najczęściej w drogich zagranicznych hotelach położonych nad ciepłym morzem i naturalnie z basenem. Kozłowski brał prawie 15 tys. zł za jeden dzień pracy. A ile mógł zarobić na państwowej posadzie przez miesiąc? 5, góra tys. To musiało budzić kontrowersje. Ludzie uwielbiają czytać o takich sprawach. Czują wtedy powiew sprawiedliwości. Ja muszę mocno zaciskać pasa, ale za to nikt mnie nie opisuje w gazetach. Inna sprawa, to odpowiedź na pytanie, ilu z nich nie wykorzystałoby okazji, gdyby taką mieli?

Spojrzał na zegarek. 12. Ruszył do długiego stołu.

- Chcecie kolejną aferę na „jedynek”?

Profesor Waldemar Ruszczyński popatrzył w oczy tego młodego mężczyzny o niemieckich korzeniach. Westchnął ciężko, musząc ponownie tłumaczyć to, co przecież powtarzał od pierwszego spotkania z nim. I czego nie mogło zmienić pobrane już 100 tys. polskich złotych wynagrodzenia za jego doradcze usługi.

Profesor był dystyngowanym siwiejącym starszym panem, niekwestionowanym autorytetem w prawie rynku kapitałowego, wykładał na dwóch uczelniach, sprawował funkcję doradcy kancelarii prezydenta, był członkiem Rady Giełdy i pięciu innych ważnych gremiów. Czasem łaskawie zgadzał się na przyjęcie roli członka rady nadzorczej, a niekiedy osobiście - za drobną pięciocyfrową sumę - podpisywał się pod jakimś prospektem konkretnego klienta. Miał wszystko. Nie potrzebował problemów.

- Musi pan zrozumieć, że należy przyjmować wyroki z pokorą.

- Przecież my nic nie zrobiliśmy, a jesteśmy traktowani jak przestępcy. Tu nie chodzi o poprawienie błędów w prospekcie - tu chodzi o wolność moich kolegów i być może moją własną. To jest jakiś obłąd. Jeszcze kilka miesięcy temu

byłem uczciwym człowiekiem. Teraz jestem przestępcą, bo nasza spółka złożyła prospekt emisyjny w KNF, żeby wejść na giełdę. Nawet jeśli coś jest opisane nieprawidłowo, to na pewno nie było to naszym zamiarem

- staraliśmy się być możliwie najbardziej dokładni.
- Dura lex, sed lex - mruknął profesor i zerknął wymownie na zegarek.

- Dziwnie się panowie broniliście i to jest problem.
- To jak mamy się bronić, panie profesorze?
- Może powinniście porozmawiać z doradcą, z kimś, kto ma doświadczenie w sprawach przed komisją.

Andreas przez chwilę nie rozumiał, o co chodzi profesorowi. Cały rynek wiedział, kto ma „największe doświadczenie” w postępowaniach przed KNF. KDI. A przecież oni nie mogli do nich pójść. Zbyt wiele ich dzieliło. Chyba że... o to właśnie chodziło.

Nie, to niemożliwe.

- Ależ panie profesorze, przecież my już mamy doradcę - Pana! Profesor lekko poczerwieniał, a potem udał, że nie słyszał ostatniego zdania.

- Ja w zasadzie muszę się już zegnać - wstał dając znać, że spotkanie zostało zakończone.

O to ci chodzi? Mam oferować łapówkę czy tylko szkolenia? Komu? Jak? Andreas w porę się opanował. Nie potrzebował kolejnego wroga.

- Proszę mi wybaczyć - profesor poklepał go po ramieniu - Mam zajęcia ze studentami; będziemy mówić o etyce, rozumie pan? Takich rzeczy nie da się wyczytać z książek. Niech pan rozważy wynajęcie tego doradcy. Relacje są ważne.

0044 - numer kierunkowy zdradzał Anglię. Zimny westchnął z nadzieją, że to człowiek z Financial Timesa i nie pomylił się.

- Jan Grabski, chciał pan ze mną rozmawiać?

- Chodzi o ten artykuł o urzędnikach z KNF. Przeczytałem go i jestem pod wrażeniem.

- Dziękuję.

- Zastanawiam się, dlaczego nie było o nim głośno?

- To proste, nikomu na tym nie zależało.

- Panu też nie?

- Mnie? Oczywiście, że tak.

- To dlaczego pan z tym nie poszedł do dużych mediów?

- Poszedłem.

- I co?

- I przekonano mnie, żebym dalej nie chodził.

Zimny miał wrażenie, jakby tamten bawił się z nim w jakąś grę. Słyszał w głosie dziennikarza z FT wyraźne rozbawienie.

- Nie chciał pan powalczyć o temat?

- Ależ chciałem, tylko do walki potrzeba wroga albo przyjaciela. Kogokolwiek. Jak cię traktują jak powietrze, to nie ma z kim ani przeciw komu walczyć.

- Nie rozumiem.

- Rozmawiałem z trzema dużymi redakcjami. Z trzema kierownikami działów czy innymi redaktorami. Pierwsza reakcja była taka, że byli zachwyceni. Zapewniali, że się tym zajmują. A potem już nie odbierali telefonów. U pana w redakcji też byłem.

- Szkoda, że mnie pan nie znalazł.

- Ile pan ma lat, młody człowieku?

- Trzydzieści, z małym haczykiem - odparł Zimny, mimo że wyczuł do czego zmierza rozmówca. Zaraz potraktuje go jak główniarza.

- Pogadajmy o takich rzeczach za jakieś dziesięć lat. Nie chcę pana wyprowadzać z drogi pełnej ideałów. Każdy z nas musi przejść przez pewne przykre doświadczenia. Niech pan tylko nie wierzy, że zawsze będzie miał przyjaciół. Wielu z nich okaże swoje drugie oblicze.

- Więc postanowił pan wyjechać?

- Poniekąd. Postanowiłem sam to wydać w swojej gazecie i sprzedać cały nakład tym, którzy byli zainteresowani. Dzięki temu miałem na bilet do Anglii.

Zimny oniemiał. Facet niemal wprost przyznał, że dał się przekupić.

- Myśli pan, że to złe? Że nie można sprzedać swojej pracy? - zapytał Grabski, zanim Zimny zdążył coś odpowiedzieć. - Jak w każdym zawodzie trzeba zarabiać pieniądze.

Zimny milczał zbity z tropu. W sumie powinien czuć pogardę do takiego myślenia. Ale gdzieś w cieniu jego umysłu krążyła cała masa demonów własnych potyczek z etyką, moralnością. Nie tylko Jan Grabski chodził na skrót. Poza tym to gazety najpierw go wystawiły. On zrobił, co mógł. A potem wziął kasę od drugiej strony i zapomniał. Co lepszego mógł zrobić?

-Aw Anglii jest inaczej? - zapytał Zimny.

Redaktor Financial Timesa roześmiał się.

- Niech pan przyjedzie i sam się przekona.

Dzień gaszenia pożarów dopiero się rozpoczyna - pomyślał Holdner. Przed chwilą odebrał kolejną wiadomość od asystentki z informacją o akcjonariuszu, który domaga się natychmiastowego zwrotu pieniędzy za zakupione akcje.

To już dziesiąty.

Zadzzwoni pewnie jeszcze jakiś trzystu. I co ma im powiedzieć? Ruch KNF, żeby zablokować ich emisję już po sprzedaży akcji inwestorom był rzeczywiście perfidny. Gdyby zrobili to wcześniej, sprawa nie byłaby tak skomplikowana. A tak Consulting Partners miał na głowie nie tylko komisję, prokuraturę i ABW, ale też kilkuset kolejnych wrogów, którzy będą najbardziej zdesperowani, bo przecież chodzi o ich pieniądze. I co miał z nimi zrobić?

Pieniądzy oddać wam nie możemy, bo w ten sposób narazilibyśmy się na kolejne koszty i spory proceduralne.

Poza tym zainwestowaliście w uczciwą spółkę, a nie firmę oszustów, jak się próbuje nas przedstawić. Dlaczego mamy ponosić konsekwencje błędu KNF? Powinniście do KNF zgłaszać pretensje.

Wybrał numer do biura i poprosił, żeby asystentka przygotowała krótkie oświadczenie dla inwestorów.

- Ma się znaleźć na stronie głównej i w systemie ESPI. Proszę też przesłać do PAP i redakcji wszystkich mediów. Proszę adresować na redaktorów naczelnych za poświadczeniem odbioru.

- Jakiej treści?

- Proszę notować - Andreas naprędce obmyślił treść - Consulting Partners Spółka Akcyjna informuje, że padła ofiarą niekompetentnych urzędników, którzy podjęli w stosunku do spółki i jej nowych akcjonariuszy błędną decyzję. W wyniku niedopatrzeń ze strony urzędników, konsekwencje finansowe może ponieść ponad 300 niewinnych osób, które w dobrej wierze zainwestowały w akcje Consulting Partners emitowane na podstawie zgodnego z prawem prospektu. Decyzja o wstrzymaniu oferty jest nie tylko bezprawna, ale podjęta na szkodę nie zaangażowanych w spór prawny inwestorów indywidualnych, którym nikt nie będzie w stanie zrekompensować wszystkich strat.

Na to wszystko nie było dobrej rady. Nawet gdyby pozwolono im zadebiutować na giełdzie, to po takiej aferze ich kurs runąłby w dół z szybkością strąconego samolotu. Gdyby afera wybuchła zaraz po debiucie, skończyłoby się tak samo. Jednak Komisja przecież badała ich prospekt znacznie wcześniej. Mogli nie dopuścić do sprzedaży akcji. Dlaczego im pozwolili?

Jednak prawdziwy pożar przyszło mu gasić dwie godziny później. Pracownicy Banku Polskiej Przedsiębiorczości byli bardziej niż wściekli i nalegali na natychmiastowe spotkanie.

- Rozumiecie chyba, że w obecnej sytuacji rozważamy

rozwiązanie waszej linii kredytowej ze skutkiem natychmiastowym.

-Z jakiego powodu? - zapytał spokojnie Andreas. Siedział naprzeciwko trzech ludzi w markowych garniturach. Znał tylko jednego - osobistego doradcę od pięciu lat obsługującego ich konta. Bankier unikał jego wzroku. Dwaj pozostali mieli wizytówki ze złotymi napisami. Wiceprezesi.

Chief security officer. Risk and compliance department.
Chief financial officer.

- Niech pan nie żartuje - szef od spraw bezpieczeństwa wymownie spojrzął na stos wycinków gazetowych o aferze Consulting Partners - Procedury bankowe mające na celu zapobieganiu wykorzystania naszego banku dla łamania przepisów prawa, w szczególności prania brudnych pieniędzy, wprowadzone w ostatnich latach przez naszego właściciela (Bank Polskiej Przedsiębiorczości był spółką córka dużego banku z siedzibą w Londynie) jasno precyzują, co należy robić w takiej sytuacji. Jesteście na najbardziej czerwonym alercie i system analizy ryzyka wskazuje, że nasza współpraca musi zostać natychmiast ograniczona. Nie mamy wyjścia.

- Zamknięcie linii i konieczność uregulowania zobowiązań zmusi nas do złożenia wniosku o upadłość. Środki mamy tak zaangażowane, że straciecie co najmniej połowę kwoty. Jaki w tym sens?

- System analizy ryzyka... - zaczął szef bezpieczeństwa, ale Andreas przerwał mu gestem dłoni i zwrócił się bardziej do doradcy niż do wiceprezesów.

- Systemy nie robią biznesu. Jesteśmy waszymi klientami od pięciu lat. Nigdy nie straciliście nawet złotówki na naszych zobowiązaniach, za to dobrze zarobiliście. Procedury w sytuacjach kryzysowych nie zawsze są dobre. Spowodują straty dla banku. Nic nie zrobiliśmy i jestem gotów wytłumaczyć to panom. Tu i teraz. W najbliższych dniach

wystąpimy do sądu przeciwko niektórym urzędnikom KNF i jestem przekonany, że te procesy zostaną wygrane. Nie zasługujemy na to, żeby nas wkładać do worka złych kredytów.

Wiceprezesa spojrzeli po sobie i zerknęli na doradcę. Ten, mimo że był już mocno spocony, przytaknął.

Andreas zastanawiał się, jak powinien to wszystko spuentować. Miał wrażenie, że bankierzy wierzyli, że mają do czynienia z gangsterem. Wyprowa -dzanie ich z błędu i przekonywanie chyba nie miało sensu, a gdyby nawet uwierzyli, to mogło tylko zaszkodzić. Strach potrafi być całkiem niezłym doradcą.

- Co więc pan proponuje?

- Zablokujcie dalsze wykorzystanie linii, ale nie żądajcie jej spłaty. My damy wam dodatkowe zabezpieczenia.

Wahali się prawie kwadrans omawiając szczegóły.

- Brzmi rozsądnie.

Doradca zatrzymał go tuż przed wyjściem i wręczył coś, co zwiastowało następny pożar.

- Dostaliśmy to z KNF.

KNF wystosował krótkie pismo urzędowe informujące o wszczęciu postępowań przeciwko Consulting Partners. Podana pod treścią lista pozostałych adresatów była wyjątkowo długa: banki, ZUS, Urząd Skarbowy.... Jakim, kurwa, prawem tak nas niszczą?!?

- Niech pan zwróci uwagę, że piszą o waszych problemach też do KRS i innych banków. Sami nie wiedzieliśmy, o co chodzi, bo to pismo poza wszelkimi procedurami. Jakby donos. Na dodatek bez podpisu, za to z pieczętkami. Co wy im zrobiliście, że aż tak chcą was wykończyć?

- Może powinien pan zapytać, czego nie zrobiliśmy?

Decyzja o wstawieniu tekstu Zimnego na czołówkę gazety zapadła o 14. Poprzedziły ją dwa planowania, które miały

odpowiedzieć na pytanie, czy redakcja wyrobi się z zamknięciem tematu do końca dnia.

- Zdązysz napisać tekst? - zapytał wicenaczelny.

- Jak zajmiecie się grafikami, foto i innymi rzeczami, to tak - odparł Kuba, choć już żałował, że zaproponował tekst na dziś.

Po co się wychylałeś? Przecież tego tematu nikt ci nie zabierze. Jutro można byłoby spokojnie wszystko przygotować.

O 14. zebrali się na ponowne planowanie, wspólnie z fotoedytorem, szefem artystycznym i dyrektorem działu składu omawiając układ jedyńki. Kuba niewiele mówił.

- Jaki tytuł proponujesz? - zapytał artystyczny.

- Może po prostu: KNF szkolił za kasę petentów. Albo: Dyrektorzy z KNF i kasa ze szkoleń.

- Drugi odpada, bo nie ma czasownika - mruknął wicenaczelny.

- To może: Czy dyrektorzy KNF brali łapówki?

- Nie zadajemy pytań. Poza tym tytuł za mocny. Jakby spod ziemi wyrósł naczelny i rozstrzygnął sprawę.

- Holdner oskarża KNF. Przecież to j est wasz temat, nie jakieś szkolenia - rzucił Tomasz.

- Szkolenia są mocniejsze - bronił Kuba - Jeszcze nikt nie wie, że coś takiego miało miejsce. To będzie bomba. Holdner już został wyeksploatowany.

- Racja, ale nikt nie wie, że nie siedzi w więzieniu. Możemy pokazać jego zdjęcie w pasiaku, sugerując, że dotarłeś do niego w pudle i udało ci się zrobić z nim pierwszy wywiad. Andreas Holdner specjalnie dla Expressu, prosto z pierdła.

- Zwariowałeś - burknął Kuba.

- Dlaczego? Musisz dźwigać do końca ciężar tego tematu. Tak łatwo się nie wyłgasz. Szkolenia i owszem są ciekawe i pociągną dalszą część tekstu, ale musisz cały materiał oprzeć na emocjach związanych z konfliktem Holdner-KNF. Taka

jest prawda.

- Tylko że mogę mieć problem z autoryzacją wypowiedzi Holdnera, a po -nadto w sumie nie mam jego zgody na wykorzystanie tego, co mi powiedział. On po prostu chciał, żebym zbadał sprawę i pierwszym efektem tego badania jest temat szkoleń, kolejna bomba w cyklu. Trochę nie fair będzie ustawianie tego tematu pod tytułem konfliktu Holdnera z KNF.

- Dyskusja skończona. Idzie tytuł: Holdner oskarża KNF. Zróbcie go na całą pierwszą stronę. Niech bije po oczach. Przestępca odgryza się, grozi urzędasom i już ma na nich pierwsze haki. Ja wam jeszcze pokażę! Emocje gwarantowane.

- Tak. - mruknął Zimny - Jutro cały nakład znów zniknie z kiosków.

- Racja. - Tomasz poklepał go po plecach - Możesz do mnie wstąpić? Ruszył za naczelnym, a w jego kanciapie rozsiadł się wygodnie za zawalonym papierzyskami biurkiem. Naczelnym miał na nim jakieś 10 tys. różnych świstków, mniej i bardziej ważnych. Zimny zupełnie nie rozumiał, jakim cudem jeszcze w nich nie utonął.

-O co chodzi?

- Musisz wplątywać w tę sprawę Krakowski Dom Inwestycyjny? - zapytał nie patrząc mu w oczy naczelnym.

-A jak myślisz? Jak sobie wyobrażasz, że pominę tę nazwę?

- Nie żądam, żebyś pomijał. Pytam tylko, czy musisz ich wstawiać? Zimny przytaknął i zapytał:

- Są jakieś naciski?

Tomasz tym razem zdjął okulary i spojrzał mu w oczy. Zimny poczuł prawdziwe zimno w żyłach.

- Żebyś sobie zapamiętał to raz na zawsze: ja nie ulegam żadnym naciskom! Nikt do mnie z naciskami nie przychodzi. Naciski to mity!

-W porządku. Nie wściekaj się.

- Po prostu nie chcę mieć kolejnego procesu. Dowody na to, że oni coś mają z tym wspólnego są słabe.

- Przecież płacili za szkolenia.

- No tak. Ale to jeszcze nie jest złamanie prawa. Po prostu uważaj, żebyś nie przegiął. To groźni przeciwnicy. Tekst przed drukiem dostaną jeszcze prawnicy. Proszę, żebyś uwzględnił ich uwagi.

-OK.

Wychodził od naczelnego z mieszanymi odczuciami. Zaraz jednak zapomniał o rozmowie i wziął się do roboty. Zadzwoił do kilku analityków i podpytał o kwestie etyczne jednego znajomego maklera, który nie miał zbyt dobrego zdania o KDI, ale też nie chciał specjalnie mówić, dlaczego. Poprosił o komentarz KDI. Wiceprezes, do którego się dodzwonił, był równie zaskoczony i zniesmaczony wyciąganiem spraw jakiś szkoleń sprzed lat. Wreszcie zadzwonił do prokuratury, której rzecznik wyraźnie go zlekceważył.

Pies cię jebał!

Zimny odgrzebał numer bezpośredni do Wydziału VI Gospodarczego i wystukał cyfry na klawiaturze telefonu. Odebrała jakaś młoda laska, Ewelina Jakaśtam, co Kuba uznał za wyjątkowy fart. Starzy wyjadacze z prokuratury jak tylko słyszeli, że dzwoni pismak, zwykle odkładali słuchawki. Młodszy byli kulturalniejsi. Woleli dowiedzieć się, z czym dzwoni. Po czym też odkładali. Zdarzały się jednak wyjątki ludzi bardziej otwartych na wymianę informacji. Szansa jedna na sto, że się na taką trafi, ale to zawsze coś.

- Chciałbym prosić o komentarz do sprawy Consulting Partners - powiedział Kuba i szybko dorzucił nie dopuszczając rozmówczyni do głosu: - Jak pani skomentuje fakt, że Andreas Holdner, wiceprezes tej spółki nie został jednak aresztowany, a dodatkowo oskarża polskie władze o przeprowadzenie intrygi przeciwko niemu i działanie z

zemsty za stary konflikt?

Kobieta po drugiej stronie, po prostu zamarła. Kuba poczuł jak drży mu ręka. Był prawie pewien, że prokurator odłoży słuchawkę bez żadnego komentarza. Tymczasem wciąż tam była.

- Przecież pan wie, że nie mogę rozmawiać o sprawie - usłyszał słaby głos.

- Wiem, ale sytuacja jest wyjątkowa. Pierwszy raz spotykam się z taką sytuacją. Na dodatek Holdner ma podstawy do swoich twierdzeń. Nie jest to teoria z sufitu.

- Jakie podstawy? Jest dobrze.

Kuba aż podskoczył z wrażenia. Info z prokuratury mogło dużo znaczyć. Mogło przesądzić o dalszych losach tekstu i jego późniejszej cytowalności w innych mediach. W trzech zdaniach streścił jej zarzuty Holdnera. Powiedział o konflikcie z KDI, groźbach, donosie do KNF i realizacji gróźb. Starał się wszystko uprościć, nie pomijając istotniejszych rzeczy.

- Ma pan na to jakieś dokumenty? - zapytała prokurator.

- Właściwie tak. To znaczy w znacznej części mam potwierdzenia. Ponadto nikt nie zaprzecza tym faktom.

- Czy coś jeszcze Holdner panu powiedział?

- Dał mi gazetkę, która ujawniała korupcję urzędników z KNF.

- Korupcję? I kto miał ich korumpować?

- Niech pani zgadnie. Rzekomo KDI.

- Wie pan, że to trochę brzmi jak teoria spisku?

- Dlatego do pani dzwonię. Niech pani powie, o co w tym chodzi? Co tak naprawdę chcecie od tej spółki?

- No tak - kobieta nabrała powietrza i Kuba mocniej zacisnął palce na długopisie, ale prokurator nagle zmieniła front - Dziękuję za informację. O komentarz niech pan zadzwoni do rzecznika.

- Zaraz. To nie fair. Ja pani powiedziałem, co wiem. -Aja

panu nie mogę powiedzieć, żegnam.

-Ale...

Flądra! No i zrobiła mnie w balona.

Do ostatecznego pisania zasiadł dopiero koło 17. Być może bezwiednie starał się nie afiszować z nazwą KDI. W końcu to nie był jego temat. Miał bardzo mało czasu więc wyciszył telefon. Zrzucił materiał na serwer o 18. -jednocześnie puszczając do naczelnego, działu prawnego i składu. Wszystkie korekty i tak będziemy robić na kolumnie. Potem naczelnicy, prawnicy i artystyczni stali za Zimnym chyba w dziesięciu i przekrzykiwali się, co trzeba jeszcze zmienić, gdzie można coś dodać, zmniejszyć minimalnie font czy rozbić przerwę, żeby coś jeszcze upchnąć na kolumnie. I co poprawić. Spóźnili gazetę o prawie pół godziny, co oznaczało kary z drukarni, ale mieli powód, więc zarząd nie powinien się czepiać.

Kuba dawno już nie czuł takiego wyczerpania, ale patrząc na wydruk kolumny był z siebie dumny. Kawał porządnego tekstu. Spojrzał na komórkę i odczytał cztery wiadomości. Jedna była po japońsku. Druga dotyczyła jakiejś oferty ze sklepu z winami. Trzecia i czwarta to prośby o kontakt od rzecznika KNF.

- Dlaczego pan do mnie nie zadzwonił? - rzucił do niego wściekle Dariusz Woźniewicz

- Dlaczego pan wydzwania bezpośrednio do dyrektorów?

- Prawo prasowe, te sprawy, panie rzeczniku. Mam prawo dzwonić, do kogo chcę.

- Ale pan chce napisać bzdury, które pomogą gangsterom.

- To żadni gangsterzy. Białe kołnierzyki i to, czy oni są winni, to się jeszcze okaże.

- To są gangsterzy.

- Mam pana zacytować?

Woźniewicz zajął Zimnemu około pół godziny, przez cały czas próbując go namówić, żeby zdjął ten materiał i się z nimi

spotkał.

Za późno przyjacielu. Gazeta już się drukuje.

Tuż przed wyjściem z redakcji odszukał w starych szpargałach numer do dawnego znajomego z KNF. Tak na wszelki wypadek.

Co prawda ostatnio rozmawiali przed laty, ale nadal mu ufał. Współpracowali razem przy dwóch czy trzech tematach. Obaj byli wówczas bardzo młodzi, pełni werwy i chęci, żeby coś w tym przesiąkniętym układami kraju zmienić. Kolega odebrał i na dźwięk głosu Zimnego roześmiał się.

- Wszelki duch. Ile żeśmy się nie widzieli?

- Pracuje pan nadal w KNF?

- Jeszcze jakoś się trzymam. Przerzucili mnie do nadzoru ubezpieczeniowego, co nawet sobie chwalebę.

Że też nie pomyślałem wcześniej, żeby do ciebie zadzwonić.

- Powie mi pan, o co chodzi z tym Holdnerem i Consulting Partners?

- Tajemnica - burknął rozmówca.

- Ale ja przez ostatnie pół godziny rozmawiałem z Woźniewiczem od was. Ciągłe mówi, że to gangsterzy. Nie podając jednak szczegółów. Muszę to jakoś zweryfikować.

Urzędnik zamyślił się. Ale w końcu powiedział coś, co sprawiło, że Zimny poczuł jak blednie i w jednej sekundzie zaczął żałować, że tak bardzo zależało mu na jak najszybszej publikacji tekstu. Powinien poczekać jeden dzień.

- Może pan powtórzyć? - poprosił.

- To mafia - szepnął człowiek z KNF - Są powiązani z ruską mafią poprzez spółki na Cyprze. Dlatego nie mogliśmy ich wpuścić na GPW.

Koniec części pierwszej

CZĘŚĆ DRUGA DEMONY

Rozdział 8

*Demon nie wdaje się jednak w dysputy z ludźmi.
Jego istnienie nie wymaga racji ani dowodu,
ponieważ nie ma natury faktu.*

*Leszek Kołakowski,
Rozmowy z diabłem*

XXXVII posiedzenie Komisji Nadzoru Finansowego rozpoczęło się o godzinie 9.00, nieco wcześniej niż zwykle. Po szybkim omówieniu zatwierdzenia dwóch członków zarządu spółek ubezpieczeniowych i zmian w statusie towarzystwa funduszy inwestycyjnych Nova, komisarze przeszli do zasadniczej części dzisiejszego posiedzenia. Dla wszystkich było jasne, że debata nad sprawą Consulting Partners może potrwać do wieczora, a na -wet przeciągnąć się na następne posiedzenie.

Teodor Kozłowski siedział jak na szpilkach przed wejściem do sali obrad. Czuł, że krew szybciej krąży w żyłach, a ściśnięty przetyk nie nadaża z dosyłaniem powietrza. Teodor bał się, że zemdleje. Czuł niepokój... Może strach. Jak oni się dogrzebali do tych szkoleń?!

Po artykule w *Expresie Finansowym* sprawa nie była już taka prosta i zdania-klucze typu „Komisja musi pozostać odporna na wszelkie naciski” już mogły nie wystarczyć. Kozłowski czekał na korytarzu przed salą obrad zastanawiając się, co im może powiedzieć. Nie złamał przecież prawa, nie zrobił niczego złego, wypełniał swoją rolę edukacyjną. Za 60 tys. zł? - zapytał sam siebie.

Wysoka komisjo, na rynku kapitałowym stawki potrafią być wielokrotnie wyższe. Zresztą, kto jak kto, ale państwo powinniście o tym wiedzieć.

Tak, żeby wspomnieć, ile zarobili sami komisarze. Tylko ich nikt nie pyta. Ja mam być kozłem ofiarnym? Niedoczekanie. Jak pójdę do piachu to nie sam.

Dobrze jednak wiedział, że nie powinien poszerzać kręgu zarzutów. Nie sraj we własne gniazdo. Jeśli zacznie się łamać i sypać, wszyscy odwrócą się od niego.

Tylko co w takim razie ma powiedzieć? Zobaczymy, co będzie.

Drzwi sali obrad otworzyły się i wolnym krokiem wyszedł z nich Jarek Szrem. Był cały czerwony na gębie. Spojrzał z gromami w oczach w kierunku Kozłowskiego i odszedł bez słowa.

Ty też przeciwko mnie? Co niby ci zrobiłem? Sam się pchałeś, żeby pomóc w tej sprawie.

Przynajmniej Woźniewicz zeznający jeszcze wcześniej był wciąż po jego stronie. Zatrzymał się i opowiedział jak przebiegło przesłuchanie.

- Pan Teodor Kozłowski - drzwi do sali uchyliła asystentka. Ładna dziewczyna, z biura relacji od Beatki Jastrzębskiej, prywatnie żony jednego z komisarzy.

Dyrektor działu emitentów poprawił marynarkę zapinając ją na górny guzik, wziął ostatni głęboki wdech i wszedł na posiedzenie Komisji. Poza jego szefem, obsługą asystentek i protokolantów, na sali siedział jeszcze zastępca szefa KNF i trzech innych członków kolegium - przedstawiciele Ministra Finansów, Prezydenta RP i Narodowego Banku Polskiego. Kozłowski wielokrotnie prezentował przed nimi sprawy i miał w tym duże doświadczenie. Usiadł na miejscu przed komisją, wyjął dokumentację, której kopie wszyscy komisarze mieli przed sobą i zaczął referować. Spokojnie omówił wszystkie zarzuty w stosunku do spółki i ustalenia

wynikające z analizy dokumentów.

-W świetle opisanych ustaleń należy jednoznacznie stwierdzić, że spółka Constulting Partners złamała art. 100 ustawy o ofercie i nie dopełniła obo -wiązków informacyjnych. Dział emitentów rekomenduje wydanie zakazu wprowadzenia akcji spółki na GPW - zakończył.

Uff, dobrze poszło. Ale teraz najtrudniejsza część.

Klasyk skinął mu lekko głową, a potem poprosił o pytania do dyrektora. Przedstawiciel resortu finansów chrząknął i pokazał dobrze znaną dyrektorowi stronę z Expressu.

- Chciałby pan coś do tego dodać?

- Wystąpię na drogę sądową w sprawie naruszenia moich dóbr osobistych.

- Na razie to oni żądają odsunięcia pana od sprawy. Widział pan wnioski o wyłączenie urzędnika? Wyjątkowo bezczelny, ale musimy zastanowić się, co z tym zrobić, żeby dopełnić procedur.

- Jestem do dyspozycji Komisji - Kozłowski skłonił potulnie głowę.

I tak nie są napastliwi. Będzie dobrze.

- To zrozumiałe, że spółka łapie się ostatniej deski ratunku, ale nie możemy ulec naciskom - zauważył Klasyk - Proszę pamiętać, panie ministrze, że w sprawę zaangażowane jest także ABW, a wobec spółki już pożyły się zarzuty kryminalne.

- No właśnie, co z tym ABW? - zapytał przedstawiciel NBP.

- Na razie nic nie chcę ujawnić. Wiadomo tylko, że chodzi o działania na szkodę skarbu państwa. Mamy też informację, że dokumenty spółki sprawdza Wywiad Skarbowy i GIIF.

- Interpol... - nieoczekiwanie wtrącił Teodor, ale szybko zamilkł, widząc krytyczne spojrzenie szefa.

No tak, przecież to tajemnica...

- To co panowie proponujecie? - zapytał człowiek z Ministerstwa Finansów, nie zwracając uwagi na wzmiankę o

Interpolu.

- Znamy już wszystkie wątki - podsumował Klasyk - Propozycję komunikatu macie państwo przed sobą.

Kozłowski odetchnął. Więc nie będzie dalszych trudnych pytań. Kątem oka zerknął na tekst roboczy postanowienia KNF:

W dniu dzisiejszym Komisja Nadzoru Finansowego (KNF) jednogłośnie zakazała dopuszczenia do obrotu na rynku regulowanym akcji spółki Consulting Partners, w związku z uzasadnionym podejrzeniem naruszenia obowiązku przedstawienia w prospekcie prawdziwych, rzetelnych i kompletnych informacji.

Udało się - mruknął pod nosem Kozłowski, gdy opuszczał posiedzenie. Jeden za wszystkich wszyscy za jednego.

Pieprzony dziennikarzyna! Pieprzony Express! Pieprzony Holdner! Wysoki, przystojny mężczyzna ze związanymi w kucyk włosami, dwudniowym zarostem i wiecznie błyszczącymi ustami z zadumą wpatrywał się w leżący przed nim egzemplarz Expressu Finansowego sprzed trzech miesięcy. Gazeta odważnie i zupełnie niespodziewanie zaatakowała jego spółkę - Krakowski Dom Inwestycyjny. Dziecko, któremu poświęcił dziesięć lat życia, bezgranicznie oddając się pracy i prąc do przodu wbrew wszelkim przeciwnościom. Nie było łatwo. Lata walki z dużymi korporacjami i finansowymi grupami o miejsce na rynku obfitowały w wiele starć, zagrań poniżej pasa, momentów przykrych i beznadziejnych. Niejednokrotnie czuł załamanie i krzyczał w czterech ścianach swojego mieszkania: DOŚĆ! Miał zamiar rzucić to wszystko, odpuścić. Ale potem przychodziły czasy prosperity i siła wracała. Nie można się poddawać. Siedem lat chudych, siedem lat tłustych.

Chyba jednak nigdy dotąd nie czuł tak dużej obawy jak po tym artykule.

OSKARŻAM-*Andreas Holdner kontra KNF*

Nieoczekiwany zwrot w sprawie Holdnera i Consulting Partners (CP). Znany finansista oskarża KNF o działanie na zlecenie maklerów z Krakowskiego Domu Inwestycyjnego, który skonfliktował się z CP. Ta precedensowa sprawa może okazać się bardzo niewygodna dla urzędników Nadzoru Finansowego, którym niewielkie branżowe pismo „IPO” zarzuciło dwa lata temu działanie w konflikcie interesów i pobieranie dużych pieniędzy za szkolenia petentów. Mimo że ktoś wykupił cały nakład pisma, Holdner wszedł w posiadanie jednego egzemplarza i przekazał Expressowi Finansowemu. Okazuje się też, że niemiecki finansista - wbrew przekonaniu opinii publicznej, przebywa na wolności i w ogóle nie został aresztowany przez ABW. Express przeprowadził z nim wywiad, który opublikujemy po autoryzacji wypowiedzi. Szczegóły tej rozmowy mogą wstrząsnąć całym rynkiem finansowym i Krakowskim Domem Inwestycyjnym.

Czytał ten artykuł ze dwadzieścia razy. Każdy przecinek. Pamiętał jak o 6. rano w dzień jego publikacji zerwał go z łóżka telefon od Łukasza, przyjaciela i partnera w biznesie. Nie spodziewał się go. Co prawda rozmawiał z dziennikarzem w przeddzień publikacji, ale nie domyślali się, że artykuł może mieć taki wydźwięk.

- Czytałeś zapowiedź tekstu w „Expressie”?

- Nie. Tak szybko go puścili?

- Lepiej przeczytaj. Już.

Wybudził z uśpienia stojący koło łóżka netbook i wpisał adres http.

- O kurwa!

- Właśnie. Co robimy?

- Nie wierzę, że ten dureń to powiedział.
- A ja sądzę, że mogliśmy się tego spodziewać. Trzeba było w ogóle nie podejmować z nimi rozmów.
- Mleko się rozlało. Powiedz lepiej, co teraz zrobimy?
 - Dzwoniłem już do kancelarii Ramsteina. Obiecał na popołudnie przygotować pismo przedprocesowe. Pomyślałem, że mógłbyś zadzwonić do prezesa Bernstein Business. Znasz go.
 - Pewnie, że zadzwonię. Jaką strategię przyjmujemy?
 - Idziemy na ostro. Jesteśmy kuci na cztery nogi, żądamy odszkodowania... powiedzmy milion, albo dwa miliony. Niech oni nas proszą o wycofanie się z drogi sądowej.
 - Od dwóch milionów będziemy musieli złożyć aż 200 tys. wpisu sądowego.
 - 100 tys. - poprawił Łukasz - Co z tego, wrzucimy w koszty. Poza tym, nie bój się. Nie dojdzie do żadnego procesu. Przepraszam nas zanim założymy sprawę w sądzie.
 - Kim jest ten dziennikarz, co to napisał?
 - Nawet kiedyś go poznałem. Wystraszy się tak jak prezes, nie martw się.

Zgodnie z przewidywaniami przeciwnicy okazali się słabi i beznadziejnie nieprzygotowani do wojny. Naczelny, pieprzony nieudacznik, ciągle rzucający jakieś niezyciowe i niezrozumiałe żarciki dla rozładowania sytuacji. Prezes, drugi pieprzony kutas, z mlekiem pod nosem. I ten fiut, dziennikarz.

Strzelili na oślep, a potem nie potrafili dokończyć dzieła. Gdy ujrzeni potęgę przeciwnika, rzucili broń i z płaczem błagali o litość. Śmiecie.

Przystojne oblicze Karola rozjaśniło się na wspomnienie dalszych zdarzeń związanych z Expressem. Rozegrali to po mistrzowsku, ściskając jak w imadle każdego po kolei. Prezes wydawnictwa dał się przekonać najszybciej. Trzęsąc portkami, żeby tylko nie doszło do procesu o wysokie

odszkodowanie, niemal natychmiast zgodził się na wszystkie warunki. Naczelnego przekonali groźbą wytoczenia sześciu oddzielnych spraw, w tym procesów karnych, i skupieniu się na jego osobie za brak nadzoru.

- My wiemy, że te błędy to nie pana wina, ale to pan ponosi odpowiedzialność. Jeśli nie podpiszemy ugody, procesy potrważą do pana emerytury. Nie szkoda czasu?

Z dziennikarzem był pewien problem, bo upierał się, że napisał prawdę i może udokumentować każde słowo. Gdyby nie prawnicy Bernstaina, pewnie nawet gotów byłby się procesować. Bernstein wynajmował adwokatów na ryczałt. Płacił im taką samą kwotę bez względu na wynik i ilość rozpraw. Dlatego wygodniej było im się dogadywać w ramach umów, niż brnąć w dłu -goletnie procesy. Szybko wytłumaczyli więc dziennikarzowi, że sprawiedliwość w sądzie może przybrać różne oblicza. Szczególnie jak się zostaje samotnie na placu boju. Bez wsparcia wydawnictwa i redakcji. Bez pieniędzy na prawników i ich fachowej pomocy. Przejmująca wizja. Pamiętał, jak jeden z adwokatów Bernstein Business na koniec negocjacji w kularach za -czepił go i naśmiewał z pismaka.

- Najzabawniejsze, że on w to rzeczywiście wierzył.

-W co? - zapytał Karol.

- Że napisał prawdę i dlatego nie może przegrać.

Pismak skrzywdził ich spółkę, musiał ponieść konsekwencje. Pamiętał, jak uniósł się w rozmowie z nim.

- Myśli pan, że to jest w porządku? Obrzucacie nas błotem, zarzucacie jakieś kompletne absurdy i myślicie, że ujdzie wam to płazem, bo zapytaliście o komentarz i napisaliście gdzieś w tle dwa zdania, że naszym zdaniem to nieprawda? To nie jest rzetelność. To jest... kurewstwo.

- Podkreślaliśmy, że to zdanie Holdnera, nie nasze. On ma prawo do wyrażenia swojej opinii.

- Nawet jak kłamie w oczy?

- Nawet.

- Ale przecież pan powinien to zbadać? To pana rola, żeby ocenić wiarygodność rozmówcy.

- Cóż, Holdner to jednak postać znana, można powiedzieć - publiczna. Ma prawo się wypowiadać i brać odpowiedzialność za słowo. Nie zawsze da się zbadać, czy ktoś mówi prawdę.

- To się wtedy nie pisze. Prawda jest tylko jedna.

- Racja. Przykro mi. Postaram się sprawdzić, kto mówi prawdę.

-A jak się okaże, że napisał pan kłamstwa, to pan przeprosi?

- Przeproszę.

Trzeba było wcześniej to zrobić, teraz jest za późno.

Najgorsze, że cała sprawa nałożyła się na mały kryzys, zmianę strategii firmy i konflikt z Bašką. Karol, który sprawował funkcję wiceprezesa KDI, zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego Baška zrobiła to, co zrobiła po tylu latach wspólnej pracy. Gdyby chciała podwyżkę, przecież mogła do nich przyjść. Gdyby miała jakiś problem, zawsze by jej wysłuchali i pomogli. Dbali o pracowników, starali się im pomagać. Dlaczego więc wybrała takie rozwiązanie? Prymitywne i chyba głupie. A może po prostu ludzkie. Z drugiej strony, pomyślał Karol, czy rzeczywiście pomógłby jej, gdyby przyszła ze swoim problemem bez działań dywersyjnych? Baška była z nimi długo, zajmowała stosunkowo wysokie stanowisko, ale nie należała do kluczowego personelu. Z powodu braku zaangażowania nie mogła liczyć na opcje me -nedżerskie czy inne przywileje. Wpisywała w słupki co trzeba i szła do domu. Pracowała tyle, ile wymagali, ani więcej ani mniej. Nie wyróżniała się. Tacy ludzie też są potrzebni. Wcześniej dyscyplinarne zwolnienie oraz kilka telefonów załatwiłoby sprawę. Teraz jednak problemów jest za dużo.

W momencie, gdy zadzwonił telefon, Karol Trybuchowski

podjął decyzję, że jednak jej zapłaci.

Księgowa mocniej ścisnęła słuchawkę telefonu, starając się nie okazać przesadnie radości.

Yes, Yes, Yes!

Nicea albo śmierć! I jeszcze tysiąc wykrzykników!

Niewiele brakowało, a pogodziłaby się z porażką. W momencie, gdy ten dziennikarz z Expressu zrezygnował z pisania dalszych tekstów o KDI, wystraszyła się nie na żarty. Zadzwoił do niej i powiedział, że nie będzie dalej prowadził z nią negocjacji. Nie jest już zainteresowany jej dokumentami. Może to pieniądze były problemem? Może niepotrzebnie próbowała coś ugrać także w tej redakcji? Może przez to uznano ją za mało wiarygodną? Pokusa była jednak zbyt silna. W końcu wszędzie słyszy się, ile to media płacą za kompromitujące polityków czy gwiazdy filmowe materiały. Pieniądze rządzą wszystkim. A ona tak bardzo ich potrzebowała.

Pieniądze.

Pieniądze.

Pieniądze.

Pracowała w nich od dwudziestu lat. Miała talent do ich liczenia. Rozumiała ich język. Tak, tak. Potrafiła rozmawiać z pieniędzmi. Może dlatego nigdy nie miała z nimi problemów. Aż do tego dnia rok temu, gdy na ich działce za miastem pojawili się ci mężczyźni w dresach i wywlekli jej Januszkę do garażu nie zważając na jej krzyki. Bili go i maltretowali, a ona nawet nie starała się zrozumieć, co mówią. Nie była w stanie racjonalnie myśleć. Tylko wrzeszczeć.

- Zostawcie mojego synka.

- Twój synek narobił długów i musi je oddać - powiedział jeden z oprawców.

- Ja oddam za niego. Ile trzeba?

Boże, wciąż w to nie wierzyła. Jak jej ukochany, zaledwie dwudziestoletni syn mógł się w to władować? Wychowała go

samotnie; nie zdążył poznać ojca, który odszedł od nich jak malec miał zaledwie pięć lat, dzięki czemu nigdy nie dowiedział się, jakim tamten był draniem. Może za bardzo mu ufała, a może za mało rozmawiała.

- Jak to się stało?

- Namówił mnie kolega. Początkowo można było zagrać za darmo, bez żadnych pieniędzy. Potem pożyczali nam na obstawianie, a jak przegraliśmy, to chcieliśmy się odkuć.

- Ile jesteś winien?

- Nie pytaj mamę. Lepiej, żebyś nie wiedziała.

- To jak sobie z tym poradzisz?

- Ucieknę. Pojadę do Anglii. -I co będziesz robić?

- Nie wiem. Nauczę się pracy. Tak jak ty się nauczyłaś.

- Ile?

- Dwa miliony.

- CO?

Zupełnie nie rozumiała, jak ci bandyci mogli dopuścić, żeby ktoś się zadłużył na taką kwotę. Przecież to była totalna głupota. Przecież wiadomo, że dzieciak nie mógł mieć takich pieniędzy. Początkowo zamierzała natychmiast pójść na policję, ale syn przekonał ją, żeby tego nie robiła. Policja działa słabo, jest nieskuteczna, często pomaga windykatorom, zamiast chronić słabszych. Mogą sobie tylko zaszkodzić.

Racja.

Pomyślała też jednak o czymś innym.

Rozmawiali ze sobą. Dawno ze sobą tak nie rozmawiali. Inaczej niż zwykle. Prawdziwie. Jak prawdziwi przyjaciele, którzy mogą na sobie polegać. Jak matka z synem.

- Poradzę sobie z tym synku. Nie bój się. Poradzę sobie.

I tak wzięła sprawy w swoje ręce. Oddała im wszystkie pieniądze - uzbite -rała z oszczędności prawie 300 tysięcy i obiecała przekazywać 70 procent pensji, zostawiając tylko jej część na bieżące wydatki i potrzeby. Zgodzili się, ale pół roku

później chcieli więcej. Odsetki rosły...

Boże, co za okropieństwo.

Postanowiła więc skończyć z tym raz na zawsze. KDI była bogatą firmą. Zamierzała nawet udać się do prezesa i prosić o pomoc, jednak w ostatniej chwili się wycofała. Co będzie, jak jej nie pomogą? Nie tylko nic nie zyska, ale może stracić ich zaufanie. Będą jej pilnować, a może nawet zwolnią. Co wtedy pocznie? Jak poradzi sobie z długiem syna?

Wycofała się.

Ale był jeszcze jeden powód. W firmie były tajemnice. Kosztowne tajemnice. Warte setki tysięcy, a może i miliony. Zależy dla kogo. Dlatego zrobiła to, co zrobiła. Po kradzieży dokumentów była tak pewna swego, że postanowiła wysłać syna na wycieczkę do Kairu. Oświadczyła też oprawcom, że za chwilę spłaci cały dług, prosi tylko o odrobinę cierpliwości. A potem prezesi KDI zdecydowanie odmówili jej żądaniom. Spodziewała się tego, jednak myślała, że jak pokaże im, co ma, to zmienią nastawienie i będą woleli zapłacić. Ale oni nawet nie chcieli rozmawiać.

Artykuł w Expressie o kontrataku Holdnera spadł na nią jak objawienie. Nic nie dzieje się przypadkiem.

Podjęła negocjacje z dziennikarzem i wiedziała już, że wcześniej czy później zapłacą jej. Dla gazety materiał przez nią posiadany był nie lada gratką. Właściwie przesądzał sprawę.

Potem przyszedł strach, kiedy gazeta zaczęła wycofywać się ze sporu. Ale strach naładował ją jeszcze większą determinacją. Dobrze znała metody negocjacyjne szefów KDI. Dobrze wiedziała, że nie pozwolą na eskalację ryzyk. I przyszła nagroda.

- Podaj warunki. Sam przyniosę pieniądze - powiedział Trybuchowski.

- Kopiec Kościuszki, o 18.

- OK.

Andreas Holdner wpatrywał się przez dłuższą chwilę w pismo podpisane przez premiera rządu Rzeczypospolitej Polskiej. Nie rozumiał go. Zapewne w równym stopniu, w jakim premier - dokładnie mówiąc jakiś urzędnik, który w imieniu premiera odwaliał tę robotę - nie rozumiał rynku kapitałowego.

Jak dwóch ludzi mówiących w kompletnie różnych językach mogło się porozumieć?

On i premier RP przypominali teraz Japończyka i Amerykanina na bezludnej wyspie w czasie II wojny światowej. Japończyk machał do Amerykanina koszulą, chcąc mu dać znać, że nie ma złych zamiarów. Jankes odebrał to zaś jako sygnał do oddania strzału z karabinu. Ale w ostatniej chwili celo -wo chybił nie będąc pewien, czy Japończyk mu się do czegoś nie przyda. Ich celem było przeżycie. Wspólny cel był jeden, z zaznaczeniem jednak, że najlepiej byłoby przeżyć pozbawiając przy okazji życia drugiego.

A może ja sam jestem winny? Może zamiast koszulą przez przypadek pomachałem kataną?

Holdner pisał list do premiera przez kilkanaście godzin. Nigdy wcześniej nie poświęcił tyle czasu na jeden dokument. Ale też nigdy wcześniej jego firmy czy jego samego nie oskarżono o przestępstwo. Nie jestem przestępcą.

Chyba że uznamy, że to co robię jest jednak przestępstwem. Ale wtedy jestem superprzestępcą i żądam odpowiedniego traktowania.

Ich skarga do premiera miała trzy maksymalnie uproszczone części: opis ich sytuacji i zarzutów, opis sytuacji prawnej polskiej i europejskiej jurysdykcji, wnioski o objęcie tej sprawy szczególną uwagą kancelarii premiera.

Pismo to było autorskim pomysłem Holdnera, swoistym wunderwaffe na nierzetelnych urzędników zblatowanych z

KDI. Premier jest przecież politykiem. Czy może zignorować informację o nieprawidłowościach, gdy są one piętnowane przez prasę? Przecież media to czwarta władza. Odpowiedź okazała się całkowitym nieporozumieniem a jego „cudowna broń” * totalnym niewypałem.

Kancelaria Prezesa Rady Ministrów informuje, że w związku z poważnymi zarzutami kierowanymi przez Pana w stosunku do Urzędu Komisji Nadzoru Finansowego, zwróciła się do rzeczonoego Urzędu KNF o wyjaśnienia. Na podstawie otrzymanych wyjaśnień KPRM stwierdziła, że urząd KNF nie podziela Państwa zdania w omawianych kwestiach. W związku z powyższym nie widzimy podstaw do stwierdzenia, że Państwa informacje opierają się na prawdzie.

Czy to ma znaczyć, że urzędnicy w tym kraju są bezkarni? Kancelaria premiera, zamiast przeprowadzić kontrolę, pyta się w piśmie, czy zarzuty oponenta mają podstawy, a jak urząd pisze, że nie, to wszystko wraca do normy. A gdzie postępowanie dowodowe? Gdzie dążenie do ustalenia prawdy? Wreszcie, gdzie poważne potraktowanie podpisanej informacji o nieprawidłowościach i ochrona jej źródła?

Nie wróżyło to niczego dobrego.

Przypadkowo dokładnie w dniu, w którym pismo z białym orzelkiem trafiło na jego biurko, rozdzwoniły się telefony od dziennikarzy.

- Czy to prawda, że w państwa imieniu działa pan Rafał Zawada, syn posła na Sejm?

- Ile zapłacił pan, panie Holdner, za zajęcie się pańską sprawą Fundacji Polska Bez Korupcji?

- Czy to prawda, że chce pan reaktywować polskie przedsiębiorstwa przedwojenne i żądać astronomicznych odszkodowań?

- Czy pożyczył pan pieniądze gangsterowi Baranowskiemu?

W ciągu tygodnia skontaktowali się z nim „dziennikarze

* *Die Wunderwaffe - niem. „cudowna broń”.*

śledczy" z dwóch dużych ogólnopolskich gazet oraz telewizyjnej „jedyńki". Stawiane pytania nie zostawiały wątpliwości. Dziennikarze szukali haków, działając prawie całkowicie na ślepo. Ktoś bardzo chciał, aby Consulting Partners stał się bohaterem kolejnej afery. Wszystko jedno jakiej, to było już sprawą drugorzędną. Pytanie tylko, kto stał za tym zleceniem?

Ludzie z KNF - była to pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy. Holdner pokręcił z niedowierzaniem głową. Taka konkluzja była karkołomna nawet jak na pokręconą polską rzeczywistość. Z drugiej strony fakt pozostawał faktem, medialny młyn miał na pełnych obrotach. Wyłaniał się z tego oczywisty wniosek: jeżeli stał za tym urząd, to Holdnera czekała najtrudniejsza batalia jego życia. I jedno stawało się pewne: w tej wojnie żadna ze stron nie będzie brała jeńców.

Zimny zastanawiał się, czy jak wypije kolejnego, będzie w stanie wstać ze stołka i wytoczyć się z baru, czy też padnie plackiem na podłodze. Zdążył w ostatniej chwili, bo barman zabrał mu już butelkę i kieliszek.

- Masz dość. Idź się przespać.
- Dobra, dobra. Idę jeszcze na dziewczyny - pochwalił się.
- Akurat.

Kuba wyszedł na ulicę i zataczając się po chodniku ruszył w kierunku przystanku autobusowego.

Terenowy volkswagen zatrzymał się z piskiem opon tuż koło niego. Drzwi pasażera otworzyły się i Kuba zobaczył przechylonego w jego kie runku Holdnera.

- Niech pan wsiądzie. Mamy do pogadania. Kuba wcale nie miał ochoty rozmawiać z Niemcem.
- To już nie moja sprawa. Nie mamy o czym gadać.
- Niech pan wsiądzie. Proszę.
- Jak pan mnie znalazł?
- Pojechałem do pana domu. Sąsiad powiedział mi, gdzie

mam szukać. Kiedy usiadł przy Niemcu, w pierwszej chwili pomyślał, że powinien być na niego wściekły. W końcu przez niego przeżył tę trzymiesięczną gehennę. A wydawało się, że to będzie jego największy sukces. Publikacja tekstu o tłumaczeniach Holdnera była tak zaskakująca dla rynku, że przez pierwsze godziny portale internetowe, inne media i agencje prasowe zastanawiały się, czy przedrukowywać materiał. Niezwykle rzadko zdarza się, że gazeta atakująca jakąś osobę po paru dniach odwraca kota ogonem i prezentuje sprawę od drugiej strony. Zwykle media trzymają się ustalonej pierwotnie linii i ewentualne wyjaśnienia stron prezentują w tej konwencji. Tu nagle Express po wytoczeniu dział przeciw Holdnerowi, prezentuje zupełnie inne stanowisko, na dodatek włączając do sprawy nowych bohaterów i prezentując zupełnie nieprawdopodobne tłumaczenia, jako zdarzenia, nad którymi jednak należy się zastanowić. No i te szkolenia. Po trzech godzinach od publikacji KNF wydał pierwsze stanowisko.

Po otrzymaniu pierwszych sygnałów o nieprawidłowościach, których mogli się dopuścić niektórzy pracownicy urzędu KNF w związku z wykładami dla Agencji Porter i jej klientów, wszczęto w tej sprawie postępowanie wyjaśniające. W przypadku potwierdzenia się nieprawidłowości zaangażowanym w sprawę pracownikom grożą surowe sankcje dyscyplinarne. Urząd KNF potwierdza jednak, że ewentualne nieprawidłowości związane z wykładami dla Agencji Porter nie mają żadnego związku z sankcją administracyjną, jaka została nałożona przez Komisję na Consulting Partners ze względu na poważne naruszenia prawa, jakiego dopuścił się zarząd tej spółki.

Agencje informacyjne także w końcu wystosowały swoje komunikaty, ale telewizja do tematu już nie wróciła. No tak, aresztowanie znanego finansisty to był news, a jak się okazuje, że jest na wolności, to już nie jest temat. Redakcja

puściła jeszcze Zimmemu kolejny artykuł, w którym zapowiadał śledztwa urzędowe i dziennikarskie w celu wyjaśnienia sprawy oraz prezentował opinie z rynku, domagające się wyjaśnień. Śledztwo zapowiadało się ciekawie. Tym bardziej, że zgłaszali się do niego informatorzy z KDI, w tym kobieta na wysokim stanowisku. Kobieta jednak chciała pieniądze, co od razu podważyło zaufanie do niej. Następnego dnia ponownie zaś wezwano go do prezesa i zaprezentowano pismo od prawników KDI.

Żądamy natychmiastowego zaprzestania publikacji nieprawdziwych informacji przez dziennik Express Finansowy. Jednocześnie oczekujemy, że nieprawdziwe oszczerstwa, bezzasadne komentarze i pomówienia zostaną sprostowane przez redakcję w ciągu 24 godzin od otrzymania niniejszego pisma.

- No i co? - zapytał Zimny.

- Nic, chcieliśmy tylko żebyś wiedział - powiedział naczelny.

- Żądają dwóch milionów złotych - mruknął prezes.

- Lepiej by zabrzmiało, gdyby zażądali stu milionów. Moglibyśmy zrobić z tego newsa na jedynekę - powiedział z przekąsem Zimny.

- Nie drwij, to poważna sprawa - upomniał Tomasz.

- Wiadomo, że poważna. Stała się poważna w chwili, gdy zdecydowaliśmy się to opublikować. Przecież wiedzieliśmy, że to wywoła zadymę. Holdner nie tylko wysłał do KDI heroldów z dwoma nagimi mieczami, ale kazał też im spoliczkować przeciwnika i przy okazji okadzić wszystkich jego przyjaciół. Czego się spodziewaliście?

- No wiesz - powiedział nieśmiało prezes - Myśleliśmy, że skoro informacje są zweryfikowane, to nikt nie będzie nam wytaczał procesów i żądał milionów.

- Informacje są zweryfikowane. Tekst jest prawdziwy i rzetelny. Żaden sąd nie zasądzi im tych dwóch milionów.

- Kuba, nie rozumiesz - wyjaśnił prezes. - Nam nie są

potrzebne procesy. To kosztuje. Poza tym jak wniosą pozew o takie pieniądze, będę musiał zrobić rezerwę. Duńczycy są restrykcyjni w takich sprawach. A rezerwa oznacza kłopoty, bo zaraz będziemy mieli monit z Kopenhagi, że zamiast obiecanego zysku nagle prognozujemy stratę. Akcjonariuszy Bernstein Business nie interesuje, czy mamy rację w sporze, tylko możliwe konsekwencje finansowe.

- Za rok czy dwa po pierwszym wyroku rozwiążesz rezerwę i będziesz miał większy zysk. Akcjonariusze będą bardzo szczęśliwi - zasugerował Zimny.

- Duńczycy inwestują w nasz projekt już pięć lat. W końcu chcą mieć zysk, a nie rezerwy. W tym roku, a nie w bliżej nieokreślonej przyszłości.

- To pusta dyskusja. Co proponujecie?

- Może napisałbyś pismo do KDI i poprosił ich o wywiad?

- Przecież to nic nie da.

- Będzie to sygnał, że jesteśmy gotowi do ugody. Oczywiście nasza kancelaria przygotowuje się do procesu, jednak zależy nam, żeby nie doszło do złożenia pozwu i konieczności utworzenia rezerw na rzecz ewentualnej porażki. Bo wtedy będziemy musieli zmienić budżet i prawdopodobnie nie obędzie się bez zwolnień.

Wychodząc od prezesa Zimny postanowił na poważnie rozmówić się z Tomaszem.

- Chodź ze mną - zaproponował naczelny.

- Przecież to głupota - rzucił Zimny, jak już byli w toalecie - Zamiast pokazać siłę, okazujemy słabość. Przecież możemy ich zaatakować agresywnymi jedynekami, żądając wyjaśnień. Możemy ich zmusić do tego, żeby zaczęli cienko śpiewać.

- To nie takie proste. Gazeta nie może iść na wojnę. Musi dbać o klientów i relacje. Nawet negatywnie opisani bohaterowie muszą mieć poczucie, że chcemy z nimi rozmawiać, współpracować. Nie możemy pozwolić im na obrażenie się na śmierć. Zrozum to. Tak to działa.

- Czyli idziemy w kierunku ugody? Naczelny przytaknął.
- Nie podpiszę żadnych przeprosin - zakomunikował Zimny.
- Spokojnie, ja też. Zgodzimy się tylko na oświadczenie, które nikogo nie będzie boleć.
- OK. Ale po zakończeniu sporu pozwolicie mi tę sprawę wyjaśnić do końca.
- Oczywiście.

Naczelny może nawet nie kłamał. Może nawet chciał tego wyjaśnienia, ale bardzo szybko okazało się, że po ugodzie z KDI Zimny nie ma co liczyć na jakiegokolwiek publikacje na ten temat. Zabroniono mu nawet zbliżyć się do tematów tej spółki. Podrzucał kolejne zbierane newsy kolegom, ale one też się nie pojawiały. W końcu wezwała go do siebie kadrowa i zaproponowała nowe warunki pracy.

- Dostaniesz połowę pensji, a resztę na koniec roku jako premię od prezesa.
- Uznaniową?
- Tak. Prezes ma prawo odebrać ci ją bez podania przyczyn.
- Nie mogę się na to zgodzić.
- Tak podejrzewaliśmy. W takim razie podpisz to. Zimny patrzył ze zdumieniem na dokument zawierający jedno zdanie i masę pieczętek.

W związku z likwidacją stanowiska pracy rozwiązujemy z Panem umowę ze skutkiem natychmiastowym z winy pracodawcy.

- Dzięki takiemu rozwiązaniu, dostaniesz wysokie odszkodowanie. Proponujemy ci trzymiesięczną pensję, zadośćuczynienie i odszkodowanie. W su -mie jakieś 0 tysięcy. Będziesz mógł sobie spokojnie szukać nowej pracy.
- To jest moja praca.
- Przykro mi.
- Mam jakiś wybór?
- Możesz odmówić przyjęcia warunków. Wtedy zwolnimy cię w normalnym trybie bez odszkodowania. Będziesz mógł

zaskarżyć nas do sądu pracy, ale raczej nie wygrasz.

- Ile czasu mam na zastanowienie?

- Podpisujesz albo nie.

Podpisał. I tak miał dość. Postanowił wygarnąć jednak naczelnemu, co o nim myśli, ale zastał go pakującego swoje manatki.

- Co się stało? - zapytał zaskoczony.

- A jak myślisz? Koniec przygody.

- Zwolnili cię?

- Tak jak ciebie. Zaraz poinformuję zespół. Tylko morda w kubeł. Oficjalna przyczyna to wybór nowej drogi życiowej i umożliwienie realizacji ambicji zawodowych moim następcom.

-Aprawda? Nie liczy się?

- Prawda jest tylko jedna. Trzeba ją szanować i czasem zachowywać dla siebie.

Zawahał się, zanim wrócił do tematu, który ich pogrążył albo przeważał szalę.

- Słuchaj, nie pytałem cię o to, ale w tej sytuacji... - Zimny szukał odpowiednich słów, a naczelny popatrzył uważnie - Nie chciałeś powiedzieć, skąd miałaś pierwszego newsa o Consulting Partners i ich problemach z Ko -misją? Dlaczego? Naczelny wzruszył ramionami.

- Proszono mnie, żebym nie mówił, więc uznałem, że mam obowiązek chronić źródło. Sam zawsze powtarzałeś, że źródło informacji w sumie nie jest istotne, jeśli zweryfikujemy same informacje. Można było to potraktować jak anonim. Zweryfikowałeś dane i wszystko się potwierdziło. Więc nie ma co szukać problemu.

- Problem chyba jednak jest. Czy to był ktoś z KNF?

- Nie. Z agencji PR.

Zimny nie krył zaskoczenia. Agencje wynajmowały prywatne firmy, a nie urzędy. I nie do takich zleceń. Może więc działała na zlecenie...

- Czy agencji płaciło KDI?

- Moim zdaniem nie. Agencja miała umowę z KNF na zupełnie inny temat. Przypadkiem poproszono ich o przysługę i sprzedanie tematu do mediów.

- Przysługę?

- To i tak nie ma znaczenia. Zimny poszedł swoją drogą.

Czy właściwie miał prawo mieć do nich pretensje? Dostał dużą odprawę. Żadnego wilczego biletu. W przeciwnym razie nie dzwonili by do niego z innych gazet z propozycją pracy. W sumie był pewien, że znajdzie sobie nowe miejsce. Może nawet będzie mógł skończyć ten temat. Ale w jednym z dzienników od razu postawiono sprawę jasno.

- Kim jest właściwie ten Teodor Kozłowski? Zresztą nawet gdyby chodziło o samego Klasyka to i tak nas to nie interesuje. Jest za mało ważny. Nic nie znaczy.

- Przecież to szef KNF.

- Politycznie kompletnie nieinteresujący. Siedzi cicho i robi swoje.

- Rynek, który nadzoruje wart jest jakieś trzysta miliardów złotych. Albo i więcej.

-I kogo to obchodzi? Dla nas temat musi ociekać krwią. Bohater musi mieć jaja, jacht na Karaibach, rznąć dziwki w hotelach. Musi być skurwysynem. Znienawidzonym oligarchą, który sra kasą podczas gdy masa biedaków nie ma na chleb. To się sprzedaje! Walka z takim gościem ma sens! Klasyk z tym swoim oślim spojrzeniem nie jest żadnym bohaterem.

- To co miałbym robić?

- Dorwać Dionizego.

Zimny popatrzył zaskoczony. Nie myślał, że od razu na pierwszej rozmowie o pracę sprawa zostanie postawiona tak jasno. Poznał kiedyś Romana Dionizego i miał o nim wyrobione zdanie. Człowiek dorobił się na kontraktach z państwem miliardów i należało przeświecić jego działalność.

Ale miał też inne oblicze. Był ujmujący, otwarty i pełen wigoru. Zimny nawet robił podchody pod reportaż o nim, ale gdy go poznał i usłyszał roztaczane przez niego wizje, nie chciał mu szkodzić. Miał poczucie, że to jednak nie bandyta. A jeżeli drań, to w końcu to jest nasz drań. Tylko w polskim piekle jest możliwe, że polski biznesem robiący interesy za granicą jest celem ataków swoich rodaków oraz swojego rządu. W innych krajach sytuacja ma się dokładnie odwrotnie. Rządy wspierają rodzime biznesy, a brudy pierze się w domu.

Zresztą dyskusja była bezprzedmiotowa, bo Express miał z nim ogromny kontrakt reklamowy. Nie puszczono by żadnego mocniejszego tekstu na jego temat.

Teraz roztaczała się przed nim szansa na rozwikłanie tej sprawy.

- Macie jakiś konkretny cel? - zapytał.

- Dionizy ma jakąś spółkę w Szwajcarii i ponoć pierze przez nią pieniądze. Kasa idzie do funduszy inwestycyjnych utrzymywanych przez bank izraelski dla ukrytego klienta, a potem wraca do Polski na łapówki jako inwestycje zagraniczne. Chcemy go dorwać.

Kuba znał sprawę i od razu zrozumiał, dlaczego przyszli do niego. Kilka lat temu przez przypadek odkrył powiązanie Dionizego ze szwajcarskim partnerem i opisał to bez aferalnego kontekstu. Samo poruszenie tematu mogło jednak świadczyć, że ma większą wiedzę albo przynajmniej potrafi się w tym temacie poruszać. Teraz oczekiwano od niego, że tę wiedzę wykorzysta. Zim -ny jednak miał przeczucie, że to może być podobna sprawa do tematu Ma-ciarza w Expressie. Postraszyć trochę gościa, a potem wycofać się z całej sprawy podejmując perspektywiczną współpracę na wielu polach.

Odmówił.

Miesiąc później gazeta zrobiła zadymę z Dionizego, a zaraz po tym wydawnictwo podpisało z biznesmenem duży

kontrakt reklamowy i zapomniało o sprawie nieprzejrzystej kasy. To nie było dziennikarstwo w stylu Zimnego. W sumie może w ogóle nie nadaje się na dziennikarza. Za często odpuszcza tematy, bo szkoda mu ludzi. Za często stara się zrozumieć bohaterów przyszłych tekstów. Za długo nad nimi pracuje. Przecież naczelną zasadą tego zawodu jest zakaz utożsamiania się z bohaterami. Ocena nie należy do nas. Tylko do czytelników. Ale jeżeli tak, to dlaczego najwyżej w dziennikarskiej hierarchii stoją publicyści?

Machnął na to wszystko ręką.

Poszedł w cug i z tym było mu dobrze.

Postanowił też, że jak kasa się skończy wyjedzie do Egiptu i popracuje jako instruktor nurkowania. To by było życie.

Życie, w którym nie było miejsca dla Andreasa Holdnera.

- Nie za dużo pan pije? - zapytał Niemiec.

- Nie pana sprawa.

- Racja. Nie moja - przyznał biznesmen.

- Pana koledzy wyszli już z pudła? - odgryzł się Zimny.

- Jeszcze nie. Więc może jednak są z tej mafii, o której panu mówiono. Zimny albo zasnął w samochodzie finansisty albo urwał mu się film, bo świadomość odzyskał dopiero rano. Holdner siedział na poduszce i oglądał telewizję.

- Głowa boli?

- Boli - przyznał Zimny.

Andreas podsunął mu pod nos ciastko francuskie i butelkę kefiru.

- Kupiłem rano. Ma pan tu fajny sklep z miłą ekspedientką. Dużo dobrego o panu mówiła.

- Niech pan nie wierzy. Nic miłego o mnie nie można powiedzieć.

- Pewnie ma pan rację. Co nie zmienia faktu, że jest mi pan coś winien.

- Niby co?

- Wyjaśnienie sprawy. I przepraszam.
 - Wyjaśnienie, w porządku, ale za co miałbym pana przeproszać?
 - Publicznie nazwał mnie pan malwersantem. To się nazywa naruszenie dóbr osobistych. W niektórych krajach, w tym w Polsce, można pójść za to do więzienia.
 - Przepraszam. W porządku?
 - Przeprosić trzeba w gazecie. Tam, gdzie pan napisał kłamstwa. Zimny nakrył głowę kołdrą.
 - Niech mi pan da spokój. Proszę sobie pójść.
 - Nie zamierzam. Chciałbym, żeby pan czegoś posłuchał. Holdner wyjął z kieszeni niewielkie urządzenie, które okazało się magnetofonem cyfrowym. Wyjaśnił, że dźwięk jest słabej jakości, ale Zimny powinien wszystko zrozumieć. Przez następną godzinę słuchali pięciu nagrań rozmów Holdnera z dziennikarzami. Napastliwi reporterzy mieli w dupie, co może im odpowiedzieć Holdner na pytania. Ich celem było jedynie dopełnienie formalnego obowiązku kontaktu z „ofiara”.
 - I co pan na to?
 - To świństwo, ale dlaczego pan przychodzi z tym do mnie?
 - Bo jest pan dziennikarzem. Chcę, żeby pan to wyjaśnił.
 - Nie jestem już dziennikarzem.
 - Mówił pan wcześniej, że to nie zawód tylko powołanie.
 - Pieprzyłem głupoty.
 - W takim razie wynajmę pana. Zapłacę za zbadanie tej sprawy.
 - Ja nie jestem cynglem do wynajęcia. Poza tym mam co robić. Nie mam ochoty wracać do tej sprawy.
- Twarz Holdnera lekko poczerwieniała.
- Trudno. Jeśli pan zmieni zdanie, proszę zadzwonić. Zostawił wizytówkę i wyszedł.
 - Nie zmienię zdania, panie Holdner - mruknął Kuba i wrócił do łóżka.

Musiał się wyspać przed wieczornym tournée po knajpach. Nie mógł jednak odzyskać spokoju. Czy Holdner mógłby być gangsterem powiązany z ruską mafią? Jak dotąd nikomu nie wyjawiał tego, co powiedział mu przyjaciel z KNF. Nie chciał wtopić kumpla informatora. Nie było też żadnego potwierdzenia tego faktu, choć delikatnie próbował go wy badać. Wydawnictwo ponadto zaczęło wycofywać się ze sprawy. W czym mógł pomóc taki tekst?

Ruska mafia na parkiecie. Dobry tytuł. Tylko chyba nie na czasie. Gdy trzy miesiące temu zadał Holdnerowi pytanie o mafijne powiązania, Niemiec wydawał się początkowo mocno zaskoczony, a potem zaczął się śmiać.

-W tej sytuacji chciałbym, żeby to była prawda. Gdybym miał za sobą mafię, z pewnością wszystko byłoby prostsze.

Zimny strząsnął z siebie resztki snu i sięgnął po nową powieść, którą kupił w księgarni zachęcony wcześniej internetowym komentarzem. Stieg Lars-son. Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet. Dlaczego on nigdy nie wpadł na pomysł tak znakomitego tytułu?

Po rozmowie z Zimnym, Holdner kompletnie załamany wrócił do biura. Jeżeli w jakiś cudowny sposób mieli tę wojnę wygrać, to ofensywa pancerna musiała nadejść naprawdę szybko. Na razie Consulting Partners było w głębokiej defensywie.

Po artykule w Expressie Finansowym wydawało się, że wyjaśnienie sprawy jest na wyciągnięcie ręki. Jednak po kilku dniach z balona uszło powietrze. Żaden inny dziennikarz, poza Zimnym, nie chciał zainteresować się tematem. Kozłowski zbył wszystkie zarzuty w ten sposób, co zawsze.

Jestem znanym wykładowcą. Czy jest coś złego w tym, że edukuję uczestników rynku kapitałowego. Byłem wykładowca na wielu seminariach naukowych, jestem

współautorem komentarza do ustawy o ofercie publicznej. Fakt, że KDI płaci mi za moją pracę, nie ma żadnego wpływu na mój stosunek do KDI - zapewniam, że nie ma żadnej taryfy ulgowej przy podejmowaniu czynności nadzorczych. Nie może co do tego być najmniejszych wątpliwości.

Wkrótce wystąpię przeciw Consulting Partners na drogę sądową - zapowiedział też Kozłowski w mediach.

Co ma mówić? Że pieniądze, jakie dostawał, miały kupić jego przyjaźń? Że szkoleni mieli gdzieś to, co mówił?

Dobrze wiesz, Teodorze, że chodziło o to, żeby się napić wódki na bankiecie, zbudować relację - mruknął pod nosem biznesmen - Dobrze wiesz, że gdybyś nie był szefem działu emitentów, pies z kulawą nogą nie wynająłby cię na szkolenie, chyba że za stawkę dziesięć razy niższą.

Ale to była walka Kozłowskiego; rozumiałe, że się bronił wszelkimi możliwymi sposobami. Kręactwem, groźbą, udawanym zgorznięciem.

Gorzej, że rozsyłane przez Holdnera skargi pozostały w zasadzie całkiem bez echa: sprawa nie interesowała ani premiera ani szefa KNF, mimo że czuć było, że coś śmierdzi na kilometr. Jak mam to rozumieć?

Afera szkoleniowa, to jednak wszystko co mieli. To był ich jedyny trop. Andreeasa zaczęło nachodzić zwątpienie. A może zaczynam już wariować? Może to oni mają rację? Ot, urzędnik dorobił do pensji. Może czas zmienić otoczenie - przecież nigdy nie planowałem przyjazdu do Polski na stałe. Może czas podjąć długo odkładaną decyzję.

E-mail od jednego z pracowników wyrwał go z letargu. List zawierał tylko link do skompresowanego pliku wideo o tytule: „Wywiad z Rostowskim, prezesem KDI”. Uruchomił plik i już po chwili cały ekran pokrył się pikselami z Media Playera.

„Rozmawiamy dziś z prezesem Krakowskiego Domu Inwestycyjnego, panem Łukaszem Rostowskim” - mówił

dziennikarz prowadzący - „Witam panie prezesie.”

„Dzień dobry państwu” - Rostowski niezręcznie poprawił się na fotelu udając, że jest rozluźniony.

„Ostatnio głośno o KDI. Stajecie się gorącą spółką” „Cieszy nas to, że inwestorzy interesują się naszymi akcjami. W ciągu roku zyskaliśmy już...”

„Kurs od roku ciągnie informacja o dużym przejęciu” - wyjaśnił prowadzący - „Mówi się nawet o jednej z większych instytucji. Jesteście na finiszu rozmów?”

„Dobrze pan wie, że nie mogę ujawniać szczegółów. Takie informacje można przekazywać tylko w raportach bieżących”

„Mógłby pan uchylić rąbka tajemnicy. To nic złego.” „KNF by mnie rozstrzelał”

„Pana?”

Rostowski wyraźnie się zmieszał. Z jego oczu były takie gromy, że redaktor pospieszył czym prędzej z wyjaśnieniem.

„KDI jest przecież liderem rynku. Macie doskonałe relacje z KNF. Zasłużenie.”

„Dziękuję. Urzędnicy KNF po prostu wypełniają rzetelnie swoje obowiązki.”

„Tak, choć i oni mają swoje kłopoty. Pamięta pan jeszcze tę aferę z Consulting Partners? Jak pan skomentuje zarzuty Andreasa Holdnera?” Rostowski skrzywił się. „Nie znam. Kto to?”

Komuś musiał nie spodobać się kierunek, w którym zmierzała rozmowa, bo nagle prowadzący obejrzał się przez ramię, przycisnął dłoń do ucha, w którym miał małą słuchawkę do kontaktu z realizatorem i z nieco skrzywioną miną zaprosił widzów na reklamy. Po przerwie rozmawiali już tylko o sukcesach KDI i planowanych akwizycjach.

Holdner wpatrywał się przez dłuższy czas w ekran. Kim jestem? Jakim prawem ten kutafon traktuje mnie jak powietrze? Mam to olać i uciec? Niedoczekanie.

Przeciągnął pasek odtwarzania do momentu, w którym

dziennikarz dziwił się, że Rostowski boi się sankcji ze strony KNF.

Macie doskonałe relacje z KNF...

Tak, nie musicie obawiać się kar - pomyślał Niemiec.

Holdner wiedział już, co powinien zrobić. Nacisnął klawisz interkomu i poprosił asystentkę o zwołanie zebrania całego zespołu.

Wpatrując się w zatrzymaną na stopklatce twarz Rostowskiego wyszeptał:

- Panie Prezesie, to Pana firma jest kluczem do rozwiązania zagadki i to Pan pcha się w moje ręce. Musimy dowiedzieć się wszystkiego o KDI: waszych klientach, biznesie, powiązaniach, na czym tracie a na czym zarabiacie pieniądze. Coś mi mówi, Łukaszu, że jeszcze będziemy mieli okazję bliżej się poznać.

Rozdział 9

*...rozpoczęło się od przypadku,
od pewnego zupełnie przypadkowego przypadku,
który w najwyższym stopniu mógł być i mogło go nie być.*

*Fiodor Dostojewski,
Zbrodnia i kara*

„Była to niedziela, 13 lutego. Poczulem potrzebę dźgnięcia kogoś. Poszedłem na Kopiec Kościuszki, bo wiedziałem, że jest tam dużo miejsc, gdzie można spotkać samotną osobę. Miałem zamiar w ogóle kogoś zabić. Zauważyłem wylaniającego się z mgły chłopca ciągnącego sanki. Powoli szedłem w jego kierunku. Zapytałem go o coś, on odwrócił głowę, chwyciłem go lewą ręką za szyję a prawą zadawałem ciosy. Po szóstym ciosie poczułem, że leci mi z rąk. Dziwię się ludziom, że unikają 13-tego, a tymczasem okazuje się, że 13-ty może być wspaniałym dniem. ”*

Nadkomisarz Olgierd Stańczyk zadrzał na wspomnienie Karola Kota. Była to jedna ze spraw, które przyciągnęły go do tego zawodu. Ojciec, dziś już emerytowany, złożony alzheimerem patolog sądowy, pracował z ekipą śledczą przy sprawie tego mordercy. Ona go zmieniła. Stał się zimny, zamknięty w sobie, aż w końcu zdradził matkę i odszedł od nich. Zło zwyciężyło. Tak to później tłumaczył sobie Olgierd. Karol Kot wygrał z Tadeuszem Stańczykiem. Olgierd uważał się za najważniejszą ofiarę całego starcia. Gdy ojciec opuszczał matkę, chłopak miał dwanaście lat i wtedy najbardziej go potrzebowal. Potrzebował kogoś, kto wyjaśni mu: czy dziewczynę wypada całować na pierwszej randce, czy

** Z zeznań Karola Kota, seryjnego mordercy. Zabił 2 osoby, co najmniej 10 innych próbował zamordować. Mroczna legenda Krakowa.*

Amerykani rzeczywiście napadli na Wietnam albo czy strajkujący robotnicy mają rację czy jednak partyjni dygnitarze. W końcu sam znajdował na wszystko odpowiedzi. Dziś wcale nie wiedział, czy ojciec w czymkolwiek mógłby mu pomóc. Ale wówczas bardzo go potrzebował. A on krążył po mieście z morderczymi wizjami w głowie, z którymi nie mógł sobie poradzić. Dużo później wybaczył ojcu i nawet zaczęli częściej się kontaktować, ale rana w sercu pozostała. Przez nią, a może dzięki niej, Olgierd Stańczyk z wielką determinacją wspinał się po drabinie policyjnej kariery począwszy od zwykłego krawężnika, przez posterunkowego i dzielnicowego, w kierunku wydziału dochodzeniowo-śledczego. Nie było mu łatwo. W dzień jednak pracował za dwóch, a nocami czytał książki z zakresu kryminalistyki i akta spraw. W końcu wzorowa służba i dbałość o szczegóły zwróciły na niego uwagę przełożonych. Gdy zapytali, czego chce, poprosił o przeniesienie do kryminalnych.

Pierwszą sprawą, którą dostał było morderstwo 10-letniej dziewczynki.

O mało co nie załamał się tak, jak ojciec trzydzieści lat wcześniej. Ale był twardszy. Nie pozwolił, by sprawa go pokonała. Złapał zabójcę i patrząc na wymierzaną sprawiedliwość zrozumiał, że los go wreszcie nagroził. Czuł spełnienie i radość, które przykryły żal za ofiarą. Na nią nie miał wpływu. Nie zmienił świata, jego okrucieństwa. Mógł za to naprawiać go, łapiąc winnych. Co jakiś czas myślami wracał do sprawy Kota, rozpatrując ją wciąż i na nowo. Czy po pierwszych napadach na starsze kobiety w kościołach, jego ojciec mógł naprowadzić na ślad milicję, żeby odkryła sprawcę? Czy mógł zrobić coś, co powstrzymałoby śledczych od umorzenia tamtej sprawy? Co nie pozwoliłoby mordercy na powrót po trzech latach, okrutniejszego, bardziej zdeterminowanego, odbierającego życie najmłodszym i

najbardziej bezbronnym?

Ta sprawa ciążyła mu jak ciężki kamień u szyi. Kiedy więc dyżurny zrzucił dziś na niego sprawę zasztyletowania przy Kopcu Kościuszki, Olgierd Stańczyk nie zaprotestował, choć sprawa powinna trafić do innego śledcze-go, bo on właśnie kończył służbę.

Był 13 lutego. Czy to mógł być przypadek? 13, luty i na dodatek trafiło na niego. Tak jak czterdzieści lat temu Karol Kot zabił swoją czwartą ofiarę, siejąc w Krakowie strach i terror, i tym razem zabójca posłużył się nożem. To zarejestrował z rzucanych szybko przez dyżurnego informacji. Kopiec Kościuszki, od strony Lasu Wolskiego, bliżej kompleksu leśnego niż krakowskich Błoni. Musieli przejechać na sygnale pół miasta. Jeszcze z radiowozu poprosił dyżurnego o przygotowanie wyjazdu ciężarówki specjalnej do zabezpieczenia śladów. Nie miał uprawnień do wydania takiego rozkazu, ale jeśli przecucie go nie myli, nie mogą niczego zaniedbać. Nie mogą pomi-nąć żadnego śladu i dowodu. Nie mogą pozwolić wymknąć się mordercy.

- Staszek! - rzucił do radiotelefonu - Jadę na miejsce zdarzenia!

- Tego przy Kościuszcze? Są tam już chłopaki z „dwójki”. Pilnują, żeby nikt się nie zbliżał i wiedzą, że mają niczego nie ruszać.

- Hmm... Dobrze. Ale myślę, że trzeba by jak najszybciej dać znać Staremu.

-O czym?

- Wiesz, to może być wyjątkowa sprawa, lepiej niech się przygotuje.

- Niby na co? Ktoś zakatował jakąś laskę, gdzie tu wyjątkowość?

- Dziś jest 13-tego.

- No i?

-I niedziela. I Kopiec Kościuszki. Jak w 19...

- Ech, ty znowu o tym...

Właśnie dlatego, drogi Staszku, nigdy nie będziesz dobrym śledczym - westchnął w myślach Stańczyk, ale nie chciał podnosić głosu na kolegę. Nie pomogłoby, a zaszkodziło. Staszek był typem olewusa. Mściwego ole-wusa. I nie bał się konsekwencji swoich wpadek. A tu może miał trochę racji. Czemu mają wyjątkowo traktować takie morderstwo i to zanim Stańczyk zobaczył ciało?

- Posłuchaj - spokojnie ważył słowa - Każdy przypadek naśladownictwa tego typu, a z pewnością musimy traktować to jak naśladownictwo, należy przyjmować z należytą powagą. Nie ma ważniejszych śledztw, niż dotyczących seryjnych i nie ma ważniejszych spraw dla nikogo. Jak myślisz, co się stanie, jak przeszkodzisz Staremu w dłubaniu w herbacie z powodu takiego podejrzenia?

- Wkurzy się.

-A jak to podejrzenie się potwierdzi?

- No, nie wiem.

- To ja ci powiem. Nie tylko się nie wkurzy, ale w pośpiechu będzie szukał autorów sukcesu, czyli tak szybkiego skojarzenia spraw. Będzie miał dla mediów nie lada gratkę. Piszesz się na listę czy nie?

Staszek przemyślał sobie to dość szybko. Jak na niego.

- Czego chcesz?

- Daj znać Staremu, poproś o gotowość powołania zespołu operacyjnego, wyślij mi techników z psami i potwierdź skierowanie na miejsce specjal -nego ambulansu technicznego.

- No nie... - zaczął, ale Olgierd przerwał mu:

- Dawno nie trenowali, nie będą źli. Poza tym, niech Stary rozważy zamknięcie ulic naokoło, skierowanie całej prewencji w teren i legitymowanie wszystkich samotnych przechodniów w okolicy.

- Ocipiałeś?

- Niech dadzą, kogo mogą. Musimy działać szybko. Może złapiemy go, zanim zdąży się gdzieś zaszyc. Przydałby się też helikopter...

Staszek rozłączył się.

Gdy tylko Olgierd dotarł na miejsce zrozumiał, że przesadził i całe zamieszanie jest niepotrzebne. Ofiara była około 40-letnią kobietą. Leżała na plecach ze skrzyżowanym tułowiem i rozrzuconymi nogami. Miała nagie krocze. Wełniane rajstopy i majtki zostały jej ściągnięte do kolan. Poplątały się i tworzyły teraz oszroniony splot. Olgierd szukał wzrokiem śladów spermy; nie znalazł ich. Kobieta została uderzona czymś w głowę, a dopiero potem pchnięta nożem. Dwa lub trzy razy. Niewprawnie. Widać było, że pierwszy cios mordercy nie wyszedł. Zbyt płytko wbił ostrze. Pewnie zdziwił się, że trzeba mocniej. Dopiero drugie uderzenie zostało zadane z pełną siłą, może furją. Kobieta nie żyła od co najmniej czterech czy pięciu godzin, więc zarządzenie całej akcji przeszukiwawczo-poszukiwawczej nie miało teraz większego sensu. Może więc dobrze, że Staszek nie usłyszał tej prośby z helikopterem. Ciężarówka specjalna z całą obsadą techników była już jednak w drodze. Nie zaszkodzi, przynajmniej dobrze zabezpieczą ślady. Co bardziej go niepokoiło, to przecucie.

Wyjeżdżając, był pewien, że ma do czynienia z naśladowcą Kota, równie groźnym a może i groźniejszym. Był pewien, że w Krakowie, ktoś taki pojawi się wcześniej czy później, że przeznaczenie go doścignęło. Teraz zaś - jak tylko zobaczył ciało - był prawie pewien, że się pomylił. Nie tym razem. Może to nie jest zwyczajne morderstwo, ale na pewno nie jest to zabójstwo seryjnego mordercy.

Odrzucił myśli o Kocie i wziął się do roboty. Spokojniejszy, działał mechanicznie i precyzyjnie, wzbudzając uznanie u podwładnych. Wiedział, że ma dar. Wiedział, że wszyscy patrzyli na jego robotę z nieskrywanym po -dziwem. Miejsce

zbrodni zostało już otoczone taśmą, ale kazał poszerzyć krąg. Następnie zaczął badać ślady poczynając od ciała idąc po spiralnej linii, od centrum do obrzeży. Oznaczał ponumerowanymi tabliczkami każdy napotkany ślad. Odcisk stopy, chusteczka, kawałek ubrania, plama krwi, do połowy wypalony papieros, żółte plamy na śniegu, złamany patyk. Zanim pojawili się technicy, znalazł 44 ślady. Najważniejszy ślad - odcisk na krwi na brzuchu ofiary. Po pierwszym, nieudanym ciosie prawdopodobnie zwinęła się, może chwyciła napastnika za ubranie, a ten, broniąc się przed upadkiem, podparł się ramieniem na zakrwawionym brzuchu. Będzie miał krew na ubraniu. Po pierwszych oględzinach, obszedł miejsce zbrodni przeszukując je centymetr po centymetrze, ze wschodu na zachód. Następnie obchodząc kwadrat od zewnątrz do środka. Znalazł dodatkowe dwa ślady.

Wtedy zobaczył, że nadjeżdża cała kawalkada policyjnych pojazdów z ra -diowozem wiozącym „Starego” na czele. Kolumnę zamykała furgonetka z logiem TVP na boku.

Telewizja? No to się wpakowałem. - pomyślał.

Stary i jego piarowcy przygotowali się do ujęcia na dole Kopca. Ludzie z „telewizora” porozstawiali światła i czekali chuchając w dłonie. W końcu zaczęli nagranie. Reporter kilkakrotnie powtórzył:

„ W tym miejscu niemal 40 lat temu znaleziono ciało czwartej ofiary legendarnego krakowskiego mordercy Karola Kota. Okrutną zbrodnię popełnił 13 lutego, w niedzielę. Ofiarą mordercy był kilkunastoletni chłopiec. Po latach, także w niedzielę i także 13 lutego popełniono podobną zbrodnię. Czy to naśladowca Kota? Czy to początek kolejnej serii? Co łączy obie te sprawy? Pytamy o to komendanta głównego krakowskiej policji... ”

Olgierd odwrócił się od przedstawienia i wrócił do pracy. Jakoś się z tego wyłgam - pomyślał. Gazety trochę ludzi

postraszą. Nikomu jednak nie zaszkodzi, że będą ostrożniejsi. Komendant tymczasem chwalił się, że dzięki jego przenikliwości tak szybko trafili na powiązanie tej sprawy i właściwie od razu skierowali śledztwo na właściwe tropy. Gdyby to słyszał jakiś kryminalistyk, złapałby się za głowę. Żaden śledczy nie ma prawa zdradzać hipotezy przed zbadaniem miejsca zbrodni i autopsji. No i trzeba postawić wiele hipotez i wszystkie zbadać. Ale komendant ma prawo gadać bzdury.

- Mamy na miejscu najnowocześnieszą technikę. Powołaliśmy specjalny sztab kryzysowy. Kieruje nim najbardziej doświadczony krakowski policjant - trajkotał Stary.

Może właśnie dzięki zażenowaniu postawą Starego, Stańczyk zauważył jeszcze coś. Niewielki metalowy przedmiot - wygięta w tulejkę blaszka o długości centymetra i średnicy dwóch milimetrów. Leżała jakieś dwa metry od ciała. Chwycił blaszkę pęsetą i schował do foliowej torebki.

Barbara Ochnik, była księgowa KDI, bardzo chciała powiedzieć temu policjantowi, kto ją zamordował, ale nikt nie słyszał jej głosu. Życie uchodziło z niej zadziwiająco powoli, przez co długo przyglądała się twarzy mordercy i temu, co z nią robił dalej, pozorując zabójstwo na tle seksualnym. Potem widziała, jak zabójca odchodzi w dół z boczna trzymając w prawym ręku walizkę z pieniędzmi. Jej pieniędzmi.

Rozdział 10

*Człowiek byłby zaiste żalowaną istotą,
gdyby kierował się w życiu
wyłącznie strachem przed karą
i nadzieją na nagrodę po śmierci.*

Albert Einstein

Kobieta przyglądała mu się. Spotkał ją drugi raz i był już pewien, że to na niego patrzy. Trzeci raz natknął się na nią przy wyjściu z Saturna. Chciał ją sprowokować, ale minęła go bez słowa. Potem zjeżdżał ruchomymi schodami w dół Złoty Tarasów i znów - czując, że jest obserwowany - zerknął do góry. Stała na antresoli i patrzyła. Bez wyrazu, bez emocji. Wyzywająco, z ciekawością. A niech mnie!

Zimny porzucił zamiar zejścia do parkingu i wbiegł ruchomymi schodami na górę, ale na antresoli już jej nie było. Szkoda. Kobieta była ładna, nawet bardzo ładna. Mała, drobna, z mądrymi, przenikliwymi oczami. Intrygująca. Może to było jego przeznaczenie.

Ale przeznaczenie umknęło i może nigdy go już nie spotka. Kuba wściekły na siebie, że nie zdecydował się zaczepić jej wcześniej, wszedł do windy i wysiadł na drugim poziomie parkingowym. Nacisnął guzik w pilocie, żeby odnaleźć hondę. Nigdy nie potrafił zapamiętać, gdzie zostawił auto, tak jak miał problemy ze znalezieniem drogi, rozpoznaniem miejsc, w których bywał. Miał fatalną orientację i cierpiał na syndrom funkcjonalnego analfabety. Dziennikarz, też mi coś.

- Czy pan Zimny?

Kobieta wychynęła zza filara. Patrzyła wprost w jego oczy. Badawczo. Ani zimno ani ciepło. To nie był flirt. Bardziej ostatnie spojrzenie przed wydaniem wyroku.

Zimny wzdrygnął się.

- Kim pani jest?

- Możemy porozmawiać w pana samochodzie?

Ewelina Talar przeszła dwoma krokami do drzwi pasażera. Nie czekając na zgodę otworzyła drzwi i wsiadła do hondy. Zimny wzruszył ramionami i także zajął miejsce.

- Gdzie panią podwieźć?

- Nie. Porozmawiajmy tutaj. Nazywam się Ewelina Talar i jestem prokuratorem z wydziału VI „okręgówki”. Rozmawialiśmy jakiś czas temu na temat sprawy Constulting Partners. Pamięta pan?

- Pewnie. Dlatego wyleciałem z roboty.

- Jestem panu coś winna. Tyle, że mnie ta sprawa już nie interesuje.

Nie powiedział jej tego. Chciał usłyszeć, co ma do powiedzenia. Być może po prostu chciał, żeby mówiła. Ewelina wyjaśniła, że od początku miała duże wątpliwości związane z tą sprawą. Zarzuty były niejasne, podejrzani nie przypominali prawdziwych przestępców, a podejście prokuratury do sprawy było sterowane przez kogoś z góry.

- Przez kogo? - wtrącił Zimny.

- Tego nie wiem. Ale „podejrzanych” nie ma wielu. Może minister, może generalny, może premier. Takie sprawy rozgrywają się na tym poziomie. Lepiej zostawić to w spokoju.

- A co z tymi aresztowanymi?

- Całkowicie niewinni być nie mogą. Musieli wejść komuś w drogę i płacać cenę. Potem, jak wyjdą będą się mścić, zyskają pewnie sprzymierzeńców w opozycji, a kolejna ekipa może powoła komisję śledczą. Społeczeństwu to nic nie przyniesie. My nie możemy tego zmienić. Możemy jedynie dbać o własne tyłki.

-Ajeśli jednak są niewinni i padli ofiarą nagonki ze strony tych maklerów?

- KDI? Wątpię. To zbyt nieprawdopodobne. Oczywiście

czytałam te pana artykuły, jednak to brzmi trochę, proszę mi wybaczyć, niedorzecznie.

- Niby dlaczego?

- Gdyby nawet chcieli im zaszkodzić, nie zorganizowaliby aż tak piętrowej intrygi. KNF mógł ich pognębić, ale nie wymyśliłby sprawy do prokuratury, to zbyt niebezpieczne. Poza tym jest jeszcze coś,... ale o tym nie mogę mówić.

- To nie fair.

- Już i tak za dużo panu powiedziałam.

- To po co pani do mnie przyszła? Ewelina Talar straciła ten swój zimny wzrok.

- Już powiedziałam, byłam coś panu winna.

- Tylko co ja mogę z tym zrobić?

- Wbrew pozorom ma pan więcej możliwości niż my. Żyjemy w takim świecie, w którym to, czego nie ma w telewizji, nie istnieje.

Wysiadła z samochodu. Kiedy odeszła na jakieś pięć metrów Zimny postanowił jeszcze spróbować szczęścia.

- Piła pani kiedyś Erdingera?

Alkoholik i piniacz. W sumie chyba postać nieciekawa. Wyobrażała go sobie zupełnie inaczej. Jako niskiego, lekko otyłego, kuśtykającego na jednej nodze okularnika. Tymczasem Zimny był szczupły, wysportowany i opalony niemal jak Lepper. Siwiejące włosy w nieładzie i pozornym chaosie sprawiały, że wyglądał intrygująco. Ale twarz raczej brzydka: za duży nos, nijaki wyraz, no i te zęby. Zaniedbane i pożółkłe od papierosów.

Dlaczego wy, faceci, nie dbacie o takie sprawy?

Zimny zabrał ją do niewielkiej knajpki w budynku kina Iluzjon, gdzieś na Mokotowie, kilka przecznic od siedziby prokuratury. Porozrzucane w nieładzie po sali stoliki, skrzypiące krzesła, stare plakaty na ścianach i kilkoro lekko wczorajszych stałych bywalców. Ewelina poczuła specyficzny

zapach kurzu, tytoniu i taśmy filmowej. W rogu lokalu stało pianino, przy którym siedział i brzdąkał jakiś podstarzały meloman. Prokurator Talar poczuła się, jakby odwiedziła miejsce, w którym zatrzymał się czas. Jakieś 30 lat temu. Tu nikt się nie spieszył, nikt nie szukał życia w krótkich kadrach, nie ekscytował się spotkaniami na 40. piętrze Hotelu Mariott. Co robił tu ktoś taki jak Zimny?

Wypili po kuflu ciemnego piwa. Zimny szybko zaczął jej mówić po imie -niu, opowiadając o swojej miłości do kina. Wyjaśnił, że kilka lat temu Iluzjon był jednym z nielicznych miejsc w Warszawie, gdzie można było wypić Erdingera. Piwo było mniej cierpkie, ale mocniejsze niż zwykłe jasne z pianką. Kiedy Zimny mówił o filmach i piwie, widać było jak twarz mu jaśnieje. Ewelina zmieniła zdanie co do niego. Może jednak był przystojny, może nawet pociągający?

Co ty z nim tu robisz idiotko? Nie dość, że ryzykujesz karierę, to jeszcze może zobaczyć cię jakiś znajomy Radka i co wtedy mu powiesz? Że miałaś przesłuchanie?

Po drugim piwie Zimny wyglądał już na wstawionego, ale nagle spojrział na nią trzeźwo i wrócił do tematu, który ich zetknął ze sobą.

- Mogę ci zaufać? Jeśli coś ci powiem, zachowasz to dla siebie? Ewelina nie miała prawa złożyć takiej deklaracji. A jednak skinęła głową.

- Mam przyjaciela, może bardziej dobrego znajomego w KNF - zaczął Zimny - W każdym razie kogoś, komu ufam. Tuż przed publikacją materiału

o obronie Holdnera, zadzwoniłem do niego z prośbą o opinię. Powiedział mi, że Holdner to mafioso. Jest powiązany z ruską mafią poprzez spółki na Cyprze - dokładnie tak się wyraził.

Ewelina nie dała po sobie poznać, że ta informacja wywarła na niej wrażenie.

A więc to dlatego ABW prowadzi dalej jakąś operację i nie

aresztowała Holdnera. Rуска mafia? Hmm, że ja na to nie wpadłam!

- No i czego oczekujesz ode mnie? Potwierdzenia, zaprzeczenia? Zimny wzruszył ramionami.

- Może i tak - powiedział - Ale tak naprawdę po prostu chciałem ci o tym powiedzieć, bo nie bardzo mam komu. Muszę zachować w tajemnicy nazwisko informatora, ale mogę weryfikować informacje. Problem w tym, że jak dzwoniłem po rynku, wyśmiewano mnie. Nikt tego nie potwierdził. Mówili: owszem, grają ostro w dziedzinie, gdzie stosuje się masę chwyków poniżej pasa, może czasem na granicy prawa czy faulu, ale nie mają nic wspólnego z gośćmi w kominiarkach i bronią w ręku. To młodzi maklerzy

1 prawnicy, chytry, może pazerni, może bez skrupułów, ale na pewno nie gangsterzy.

- To jeszcze nie znaczy, że twój informator z KNF kłamał.

- Nie. Ale sama wiesz, że jak ktoś jest kojarzony ze światkiem przestępczym to szybko się taka wieść roznosi. Mieszkałem kiedyś koło gangstera Masy. Cały Komorów wiedział, kim on jest. Kumpel miał też sąsiada gangstera i także była to postać znana w całej okolicy. Jak to się dziś mówi: celebryta. Jak wymienia się nazwiska gości związanych z aferami, pseudonimy gangsterów i typów spod ciemnej gwiazdy, to wszyscy odwracają głowę. W środowisku finansowym jest podobnie. Jak ktoś robi lewe interesy, cały rynek o tym wie. Wszyscy się znają.

- No i?

- No i wszyscy znają Holdnera. Ale nikt nie powiedziałby o nim, że to mafioso. Wychodziłem na idiotę, gdy o to pytałem. Dlatego nie wiem, komu wierzyć i skąd się wzięła ta informacja.

- Może powinieneś jeszcze raz porozmawiać z informatorem.

- Pewnie bym tak zrobił. Ale to już nie moja sprawa.

- Czego się boisz? - zapytała Ewelina.

Zimny zawahał się. Cóż miał jej powiedzieć? Że wypadł z gry? Że interesują go już tylko butelka, nocne anioły i Liga Mistrzów?

- Nie chciałem oskarżyć niewinnej osoby - mruknął. - Tylko tyle. A więc o to chodzi. Co ukrywasz?

Zanim zdecydowała się spotkać z dziennikarzem, dokładnie przeanalizowała jego karierę i teksty. Internetowe archiwum Expressu Finansowego było dość dobrze zorganizowane. Bez trudu można było wyszukiwać teksty poszczególnych autorów z zachowaniem chronologii. Dzięki temu miała ułatwione zadanie. Zimny napisał kilka tysięcy tekstów dla tej gazety. Przeczytała wrywkowo kilka z nich, a potem zaczęła analizować archiwum jak zbiór dowodów. Zwróciła uwagę na jeden szczegół. Na początku pracy dziennikarz pisał regularnie jak w zegarku - dwa materiały w tygodniu, czasem więcej. Dwa lata temu zdarzyło się jednak coś, przez co Zimny zamilkł niemal na trzy miesiące i nigdy już nie wrócił do poprzedniej formy. Teksty ukazywały się znacznie rzadziej. Początkowo pomyślała, że może wyjechał na jakiś staż zagraniczny albo zrobił sobie dłuższe wakacje, lecz wtedy zauważyła, że w tym okresie pojawiały się notki podpisane jego inicjałami. Pisał krótkie materiały za PAP czy Reutersem. Najwyraźniej ktoś go odsunął od poważnej tematyki albo sam się od niej odsunął.

Co żeś zmagistrował?

Spodziewała się jakiejś poważnej wpadki, błędu. Ale nie znalazła w sieci żadnych informacji o sprostowaniach z tamtego okresu, pozwach do sądu czy innych oskarżeniach o nierzetelność. Ostatni materiał sprzed okresu ciszy dotyczył handlu bronią. Przeczytała go z uwagą. W wyszukiwarkach nie było żadnych złośliwych komentarzy czy sprostowań. Przedostatni materiał także nie wzbudzał wątpliwości. Cofnęła fotel dalej od monitora i spojrzała na całą listę materiałów z tamtego okresu.

Nic.

Nic nie rzuciło jej się w oczy. Poddała się.

- Zdarzyło ci się to? - zapytała teraz. - Oskarżyłeś kogoś niesłusznie? Zimny popatrzył na nią w zamyśleniu. Chyba miał ochotę zaprzeczyć,

wzruszyć ramionami i pokręcić przecząco głową. Wiedziała, że to byłoby kłamstwo.

Nie skłamał. Ale i nie powiedział prawdy.

- A ty? - zapytał zamiast odpowiedzieć. - Oskarżyłaś kogoś niewinnego?

- Każdy popełnia błędy - szepnęła.

- No właśnie.

Spacerowali potem chwilę po Kazimierzowskiej, aż w końcu Zimny odprowadził ją do stacji metra przy Szkole Głównej Handlowej. Zimny w czasach studenckich często bywał w tym gmachu na mrocznych dyskotekach w klubie Hades. Może nieprzypadkowo taki klub został założony u finansistów?

Ewelina podała mu dłoń robiąc krok do tyłu, jakby obawiając się tego dotyku. Miała mocny, szorstki uścisk dłoni.

- Mam prośbę - powiedziała na koniec - Gdybyś do mnie dzwonił, przez telefon zwracaj się do mnie oficjalnie. Nie chcę stracić pracy.

- Jawohl, pani prokurator!

-I zostaw samochód w spokoju - dodała czując wciąż od niego zapach piwa.

- Tak zamierzam.

Po przejściu dwudziestu kroków odwróciła się. Zimny stał i patrzył na nią. Pomachała dziennikarzowi ręką i uśmiechnęła się. Zachowujesz się jak jakaś stuknięta małolata.

Do domu dotarła koło 19. Radek musiał wrócić niedawno, bo jego torba podróżna leżała nadal nierozpakowana w przedpokoju. Zdziwiła się, że jest w domu, bo miał zostać w

Krakowie jeszcze przez kilka dni.

Siedział przy swoim komputerze. Jak tylko usłyszał, że ktoś wchodzi, poderwał się z miejsca wygaszając monitor. Miał rumieńce na policzkach. Oglądałeś pornosy czy co? Uśmiechnęła się do swoich myśli. Radek i pornosy, też mi coś.

Jej chłopak był ostatnią osobą, którą powinna o to posądzić. Zawsze kochali się przy zgaszonym świetle, w najbardziej klasyczny z możliwych sposobów. Zaspokajało to jej potrzeby i było wystarczająco przyjemne, by nie zaprzętać sobie myśli głupotami. Jednak te rumieńce na twarzy mężczyzny jej życia świadczyły o tym, że prowadzi podwójne życie. Może dla żartu czatował z jakąś nastolatką?

Przez chwilę nawet pomyślała, że w wolnej chwili włamie się do jego komputera i sprawdzi, na jakie strony wchodzi, ale zaraz porzuciła tę myśl.

Niech te tajemnice pozostaną z tobą.

- Co tak długo? - zagadnął Radek, starając się ukryć drżące dłonie. Nie bój się! Nie będę cię pytać o to, co robiłeś i dlaczego jesteś tak podekscytowany.

Powiedziała mu, że przesunęły się przesłuchania. -A jak było w Krakowie? - zapytała.

- Awaria za awarią. Myślałem, że nie uda mi się wrócić. Dziś, tuż przed moim wyjściem na pociąg, w laboratorium zepsuł się dyfraktometr.

- Ze co?

- Dyfraktometr. To takie urządzenie do analizy struktury monokryształów.

- Aha.

Usiedli razem przed telewizorem. Po wiadomościach z Afganistanu i Iraku przyszła informacja o spadkach cen domów na Florydzie. Tuż przed sportem podano zaś newsa o wczorajszym zabójstwie jakiejś kobiety w Krakowie.

Tajemnicze zabójstwo w rocznicę okrutnego mordu Karola

Kota sprzed czterdziestu lat. Czy seryjny zabójca wrócił?

Kolejny telewizyjny wymysł. Dlaczego pisownicy w każdym morderstwie próbują doszukiwać się sensacji? Zabójstwa seryjne zdarzają się niezwykle rzadko. Mało kto wie, ale większość morderstw to bardzo proste i prymsy sprawy. Ktoś pokłócił się przy wódce, a młotek był akurat pod ręką. Tak, tylko skąd się biorą tacy goście jak Ted Bundy czy Marchwicki? W tej samej chwili odezwała się jej komórka, a na wyświetlaczu pokazał się napis: Dzwoni Zimny, Jakub, dziennikarz. Czego, u licha, może on chcieć?

Agent zamierzał wieczorem umówić się z koleżanką z biura, ale tuż przed wyjściem z pracy zadzwoniła do niego pani z agencji turystycznej Apollo Line i poinformowała, że planowany na lipiec wyjazd na Malediwy został odwołany.

- Może pan pojawić się u nas, żeby odebrać dokumenty? Jeśli to możliwe, jak najszybciej.

- Oczywiście. - odparł Agent i odłożył słuchawkę. Wszyscy na niego patrzyli. W Consulting Partners nawet jak mówiło się po cichu, to wszyscy słyszeli. Siedzieli w jednym niewielkim pokoju i czasem przekrzykiwali się w rozmowach z syndykami, adwokatami, sędziami, maklerami. Może dzięki temu tak dużo nauczył się w tej pracy. Gdy pojawił się w firmie miał nie najgorsze przygotowanie prawne, ale był zupełnym laikiem w kwestiach finansowych. W ciągu roku nauczył się w CP więcej niż przez pięć lat studiów. Po dwóch latach czuł się na siłach samodzielnie po -kierować taką firmą.

Ale ich prawdziwą siłą była praca zespołowa.

Świetnie się uzupełniali i w razie konieczności tworzyli niezwykle zgrany zespół. Wszystko konsultowali i nie mieli przed sobą tajemnic. I on się w tym wszystkim odnajdywał.

- Malediwy - cmoknął jeden z analityków. - Hula kula, te sprawy. Hmm!

- Nie nabijajcie się. I tak pewnie nic z tego nie wyjdzie - burknął agent.

Począł przepisowe pół godziny, zabrał kurtkę i wolnym krokiem ruszył do wyjścia.

- Wychodzę. Trzymajcie się - rzucił do recepcjonistek, z których jedna wyjątkowo wpadła mu w oko.

Przyspieszył dopiero przy Dworcu Centralnym. Zastanowił się czy nie wziąć taksówki, ale stwierdził, że o tej godzinie taka podróż potrwa krócej tramwajem. I taniej. Choć dzięki pracy w Consulting Partners zarabiał trzy razy więcej niż w Agencji, co zgodnie z prawem zachowywał dla siebie, to stare nawyki pozostały. Zawsze musiał być oszczędny.

Tajnym agentem był już od prawie dziesięciu lat. Wybrano go do tej roli jeszcze w szkole policyjnej w Szczytnie. Początkowo miał rozpracowywać środowisko gangsterów z Mokotowa, ale ostatecznie wysłano go do Szczecina, a potem do Gdańska, do rozpracowania grupy Nikosia. To tam o mały włos nie zabił po raz pierwszy człowieka. Chłopakowi z gangu nie spodobał się jego wyraz twarzy. Starał się uniknąć starcia, co jeszcze bardziej rozsierdziło „żołnierza”.

Prymityw i dureń popełnił wielki błąd.

Agent nie wyglądał na herosa, można było łatwo się pomylić. W rzeczy -wistości od dziecka trenował sporty walki, a na szkoleniach policyjnych i agencyjnych nauczył się jeszcze brutalnych i nieczystych chwytów rodem z kursów Krav Magi, capoeiry, ju jitsu i ulicznych bijatyk. Potrafił zabić człowieka jednym ciosem. I potrafił to kontrolować.

Po sprawie Nikosia przyszły kolejne zadania związane z gangiem złodziei samochodów i turecko cygańską grupą stręczycieli w Szwecji. Sukces tej ostatniej sprawy mógł zrujnować mu życie, bo chcieli wziąć go na gryziopórka do Komendy Głównej. Na szczęście pojawiła się ABW i wyrwała go do zadań kontrwywiadowczych i związanych z bezpieczeństwem państwa. To była elita a jego praca miała

należać do elitarnych. Przypisano mu nową legendę; już w trakcie pracy odbębniał studia prawnicze, które swoją drogą robił też w Szczytnie, wysłano na kursy na członków rad nadzorczych spółek skarbu państwa. Dzięki kursom głębinowego nurkowania poznał jednego z najbogatszych przedsiębiorców, przed którym go ostrzeżono, że jest by -łym agentem służb PRL.

- Za to odmówił współpracy we współczesnej Polsce, więc może ma coś na sumieniu.

Ale przedsiębiorca okazał się uczciwym i niezwykle porządnym człowiekiem. Po tej sprawie agent wiele miesięcy musiał walczyć ze swoim sumieniem i wiarą w to, co robi. Szpiegowanie przestępców było OK. Tam jasno wiedział, kto jest zły, kto dobry. Gdzie jest czarne a gdzie białe. I potrafił

odpowiednio segregować wszystkie odcienie szarości. W świecie biznesu było inaczej.

Odchodził z firmy miliardera wbrew agencji i wbrew przedsiębiorcy. Leszek długo patrzył mu w oczy, gdy agent oznajmił, że muszą się rozstać. A potem minął go bez słowa pożegnania. Trudno było o większą karę. Tak jednak musiało być.

W końcu wylądował w Consulting Partners i początkowo miał wrażenie, że jest to zsyłka. Kolejna kara.

Zbadaj środowisko finansowe. Wkradnij się w ich łaski. Typowe białe kołnierzyki. W Stanach setki z nich wsadza się do pudła za malwersacje. Mogą pójść siedzieć nawet na kilkadziesiąt lat. W Polsce jest znacznie trudniej.

Nie bardzo potrafili mu wytłumaczyć, co ma robić w firmie. Nie znał żadnych zarzutów i celów, co nie było takie dziwne, bo wielokrotnie wcześniej miał po prostu obserwować.

Apollo Line była agencją turystyczną założoną przez Abwerę jak nazywano ABW, w celach kontaktowych już jakieś dziesięć lat temu. Agencja miała kilka takich firm, ściśle tajnych, chronionych największą tajemnicą państwową.

Działy na rynku jak normalne spółki, generowały zlecenia i zyski, ale cel ich istnienia był daleki od komercyjnego. Apollo Line organizowała tylko specjalne imprezy: przejazdy autokarowe lub lotnicze na konferencje europejskie, bilety na mecze Mistrzostw Świata. Była świetną przykrywką kontaktową.

- Stalker. O co chodzi? - zapytał Agent.

Dziewczyna żuła gumę z wyrazem twarzy mówiącym: i co się tak gapiasz? Miała wielkie cycki i wyraz bezgranicznego znudzenia na twarzy. Boże, co ty tu robisz, dziewczyno?

- Masz tu jakieś świstki z góry - wyjęła kopertę z szuflady i dodała z sarkazmem - Zdaje się, że możesz zapomnieć o Malediwach.

To się jeszcze okaże.

Wziął od dziewczyny kopertę z dokumentami. Uważnie je przeczytał, a potem odłożył na stół. Kobieta bez zainteresowania wrzuciła plik papierów do niszczarki.

- Dzięki, co robisz wieczorem?

Wzruszyła tylko ramionami. Przecież i tak nie wolno im było się spotykać. Nawet, jeśli nikt by się nie dowiedział.

Agent jechał do domu z mieszаныmi odczuciami. W teczce była informacja, że zamordowano w Krakowie jakąś kobietę. Barbarę Ochnik. Księgową z domu maklerskiego KDI. Miał zrobić wszystko, żeby zbierać ewentualne dane do tej sprawy. Polecenie było oczywiste.

Rzuć wszystko i skup się na powiązaniach z morderstwem.

Co robi, jeśli rzeczywiście takie powiązania się znajdują? Hmm... Andreas, Witold i Paweł. Który z nich byłby zdolny do zabójstwa? Kilka miesięcy temu dałby głowę, że żaden. Dziś już nie był taki pewien. Tylko dlaczego miałyby im zależeć na pozbyciu się księgowej KDI? To nie miało sensu.

Sytuacja zaczęła go przerastać.

Rozdział 11

*Tylko więc anioł upadły
upadłego anioła pokonać może.*

*Leszek Kołakowski,
Rozmowy z diabłem*

Łukasz Rostowski wysiadł z Bentleya Continentala GT rocznik 2003 i wbiegł do biura mijając po drodze zdziwionych pracowników. Łukasz był zdecydowanie mniej prostolinijny niż Karol. Ale zwykle zatrzymywał się, żeby zamienić dwa, trzy słowa z pracownikami. Nie potrafił, tak jak Karol, objąć kogoś za szyję i szepnąć coś o wspólnych planach na wieczór. Nie pił, nie palił, nie chodził na dziewczyny, nie podszcypywał asystentek i nie łąpał za policzki analityków. Za to potrafił słuchać. I wzbudzać szacunek.

-Z drogi - przepędził grupkę maklerów stojących na korytarzu prowadzącym do gabinetu zarządu i wbiegł prosto do pokoju Karola, nie zważając na protesty asystentki.

- Prosił, żeby mu nie przeszkadzać - rzuciła dwudziestolatka o kruczoczarnych włosach. Kamila czy Aldona? Nie pamiętał. Karol często zmieniał asystentki.

Karol Trybuchowski z przyklejonym do ucha aparatem komórkowym odwrócił się ze złością do drzwi, ale jak zobaczył Łukasza, jego twarz rozjaśniła się. Pokazał gestem, że prowadzi ważną rozmowę i żeby Łukasz usiadł. Rostowski zamarł w pół słowa i już zamierzał postąpić za radą przyjaciela, ale zdenerwowanie wzięło górę.

- Skończ rozmawiać. Natychmiast!

Trybuchowski dał znak, że to naprawdę ważna rozmowa, ale widząc minę Łukasza przeprosił rozmówcę:

- Zadzwoń za pół godziny. - dodał na zakończenie, po czym zwrócił się do Łukasza - O co chodzi? Wyglądasz, jakbyś

zobaczył kobietę z trzema piersiami.

- Zobaczyłem to - rzucił wydruk strony z portalu Onet. pl.

Karol Kot znów morduje? W niedzielę na zboczu Kopca Kościuszki zamordowano 40-letnią kobietę. Policja podejrzewa zabójstwo na tle seksualnym i nie wyklucza, że mordercą może być naśladowca Karola Kota, najsłynniejszego krakowskiego zabójcy grasującego w tym mieście w latach 60-tych.. Ofiara, Barbara O. była księgową w jednej z krakowskich instytucji finansowych.

Trybuchowski westchnął, przez chwilę rozważał, co powiedzieć przyjacielowi. W końcu zrezygnował z pozorów.

- Widziałem to. Oglądałem też wiadomości, w których wypowiadał się komendant. Nie chciałem cię denerwować, dlatego nie dzwoniłem.

- Wyłączyłeś komórkę - powiedział z wyrzutem Łukasz - próbowałem dodzwonić się ze dwadzieścia razy.

- To prawda. Wyłączyłem.

- Nigdy nie wyłączasz. Nawet jak... - Łukasz niekontrolowanie zerknął w kierunku drzwi prowadzących do pomieszczenia asystentki.

- Musiałem coś załatwić i nie mogłem mieć ze sobą telefonu.

-Ale nie chcesz chyba powiedzieć... Boże, powiedz, że nie mamy z tym

nic wspólnego.

- Skąd - Karol spojrział w oczy Rostowskiego - Łukasz, musisz mi uwierzyć. Nie sądzisz chyba, że mógłbym coś takiego zrobić.

- Ty nie - Łukasz wcale nie był taki pewien - Ale może uznałeś, że ktoś może nam pomóc. A ten ktoś, no wiesz...

nam zaszkodził? Nie, Łukaszu! Dobrze wiesz, że to zabójstwo to dla nas tylko kłopot. Nie popełniłbym takiej głupoty. Łukasz nie wydawał się przekonany.

Pamiętał zdjęcia z telewizji, które piętnaście lat temu obieły całą Polskę. Jakiś młody, wysmarowany pastą do zębów na

twarży chłopak bił policjanta. Uderzał go najpierw po głowie, potem koszem na śmieci po całym ciele, wreszcie kopał.

- Leżeć psie!!! - rzucał do kamery.

To była demonstracja socjalistów za rządów prawicy. Jego obecny przyjaciel, przez ostatnich 15 lat zmienił się nie do poznania.

- Przesiedziałem wtedy na dołku całą noc. Dostałem porządny wpierdol za tego kolesia, a potem jeszcze spędziłem parę godzin w celi z jakimś jełopem, który chciał mnie przelecieć. Na szczęście mu nie stanął. Za brzydki jestem. Tatuś wyciągnął mnie rano i dał w pysk za to, co zrobiłem. Ale potem pomógł zatuszować cały temat. Gdyby nie on, miałbyś za partnera recydywistę.

Nie miałbym partnera - odparł w myślach Łukasz. Dziś wcale nie był pewien, czy Karol nie mógłby stracić nad sobą panowania. Baśka w końcu chciała zniszczyć ICH firmę.

- Powiedz mi prawdę... Po prostu to powiedz. Karol popatrzył badawczo i usiadł za stołem.

- Mówię: ja tego nie zrobiłem. To ktoś inny.

- Dzięki - powiedział Łukasz i wyszedł.

Karol długo wpatrywał się w zamknięte drzwi, za którymi zniknął jego biznesowy partner...

A więc nasza firma się sypie. Jej filary zaczynają podchodzić pleśnią. Woda dostaje się we wiązania. Jak nie zrobimy remontu, to wszystko runie. Może jeszcze nie dziś, nie jutro. Ale ile może wytrzymać taki kolos na glinianych nogach? Karol nie powiedział mu, że widział się wczoraj z Bašką. Nie powiedział, że wręczył jej dwa miliony złotych. Nie powiedział, że wracając ze spotkania włączył w samochodzie nasłuch w CB -radiu na policyjny kanał i usłyszał o morderstwie. Nie powiedział, że zaraz po tym, niewiele myśląc zadzwonił do swojego przyjaciela komendanta i poprosił go, żeby miał oko na to zabójstwo, bo chodzi o ich pracownicę. Jak mógł opowiedzieć to wszystko Łukaszowi?

Przecież ja sam bym w to nie uwierzył.

Karol Trybuchowski pod maską uśmiechów, pewności siebie i wielkiej charyzmy skrywał teraz strach. Bał się, że ten cały nieszczęśliwy zbieg okoliczności może jednak skończyć się tragicznie.

Jak mam się wytłumaczyć?

- Ja naprawdę jej nie zamordowałem - wyszeptał do siebie. W myślach jednak krzychał. Wrzeszczał, jakby sam chciał się przekonać

o prawdziwości tego stwierdzenia.

Nie zabiłem jej! Kurwa! Przecież jej nie zabiłem! Zerknął jeszcze do szuflady; na jej dnie leżały dokumenty, które wczoraj odebrał Barbarze Ochnik.

Zimny zbierał do kupy wszystkie artykuły o morderstwie w Krakowie. Masa bałaganu, wiele nieprawdziwych informacji i insynuacji. Jedna z gazet nawet pokusiła się o napisanie tekstu od strony mordercy.

Jestem Karol Kot. Wróciłem. I znów zabijam.

Zimny jednak wiedział, że to żaden Kot. Mało tego. Wiedział, kim był morderca. To nie mógł być przypadek. Dlatego, jak tylko zobaczył w wiadomościach informację o Barbarze O., od razu wykręcił numer do Eweliny Talar. Nie miał do kogo zadzwonić. Nie odebrała i nie miała automatycznej sekretarki, więc nie mógł się nagrać. Pomyślał, że wyśle sms-a, ale postanowił jeszcze raz spróbować.

- Tak - odezwał się w końcu stłumiony głos.

- Słuchaj, oglądałaś może wiadomości i informacje o morderstwie w Krakowie? - mówił Zimny, ale kobieta milczała - Jeśli nie, to włącz komputer i przeczytaj info na necie.

- Panie Zimny, wyjaśniłam już panu, że pana teorie są - delikatnie mówiąc - kontrowersyjne.

Zimny ugryzł się w język. Jeśli już miał do niej dzwonić,

powinien zachowywać się tak, jakby się nie znali.

- Racja, przepraszam.

- Widziałam te wiadomości. O co chodzi?

- Podejrzewam... Nie, właściwie to jestem pewien, że ta kobieta, to była moja informatorka. Pracowała w KDI.

Ewelina Talar milczała przez dłuższą chwilę.

- No i?

- Została zamordowana.

- Ale do czego pan zmierza?

Ugryzł się w policzek ze złości. Przecież ona nie wiedziała tego, co on.

- Barbara Ochnik ukradła dokumenty świadczące o przestępczej działalności KDI i próbowała sprzedać je Expressowi Finansowemu. Teraz została zamordowana.

- Czy Express kupił te dokumenty?

- Nie i nie był zainteresowany. Ale jestem pewien, że ona próbowała je dalej jakoś wykorzystać. Była bardzo zdeterminowana. Jak się nie zgodziliśmy na zapłacenie jakiegokolwiek kwoty, była gotowa pokazać je nam za dar -mo, udostępniać nawet w częściach.

- Nie poszłście na to?

- Było jasne, że chce szantażować KDI. Ale nawet jakby tak nie było, Express by tego nie kupił ani nawet nie wziął za darmo. Już nie byliśmy za -interesowani. Zmierzałyśmy ku ugodzie z KDI.

- Wie pan, że nie może tego zachować dla siebie?

- Oczywiście. Po to do pani dzwonię.

- Proszę więc się przygotować na wezwanie. Niestety będę musiała też zrelacjonować przebieg całej naszej rozmowy.

- Erdingera też?

- No, prawie całej. - poprawiła się prokurator Talar. Rzeczy, które pan zastrzegł, a które wydają się nieistotne dla tej sprawy, pozostawię do swojej wiadomości. Co mogę powiedzieć?

- Cóż, w tej sytuacji... proszę tylko zachować w tajemnicy kwestię informatora z tej instytucji, o której mówiliśmy.

- Zgoda. To nie ma związku ze sprawą. Zimny nie był taki pewien.

- Tylko proszę pamiętać, że w sprawie o zabójstwo nie może zasłaniać się pan tajemnicą dziennikarską. Na przesłuchaniu musi pan ujawnić źródła, jeśli mogą mieć związek ze zdarzeniem.

W nocy Zimny miał jakieś serie koszmarów, które wyobrażnia serwowala mu, jakby zamówił seans spirytystyczny. Nigdy nie spotkał Barbary Ochnik, nie widział jej zdjęcia, znał tylko głos. To wystarczyło, żeby nocne mary wzięły się za jego umysł i stworzyły w nim masę przejmujących obrazów pobitego, obdartego z ubrań ciała.

Od rana wziął się do roboty. Włączył iMaca, zaparzył kawę i zabrał się za pracę. Jednocześnie zebrał wszystkie dokumenty z pulpitu ekranu i wpakował je do teczki Archiwum. Potrzebował dużo miejsca i porządku. I so-juszników. Sięgnął do pudełka z wizytówkami i wybrał tę z nazwiskiem Holdnera. Rozpoczynał nowe życie.

Wiadomość o morderstwie księgowej KDI rozniosła się w środowisku finansowym lotem błyskawicy. Andreas Holdner pierwszego sms-a na ten temat dostał późnym wieczorem po telewizyjnych Wiadomościach. O . rano w skrzynce odbiorczej jego Nokii tkwiło 20 wiadomości. Wszystkie od przyjaciół z rynku.

Słyszałeś, co stało się w Krakowie?

Wkurzyłeś się i zaczynasz ich wykańczać?

Twoi „przyjaciele " mordują pracowników?

Nikt oczywiście nie brał na poważnie sugestii, że zabójstwo może mieć jakikolwiek związek z działalnością gospodarczą KDI, ich partnerów czy przeciwników biznesowych.

Miło było jednak pobawić się w insynuacje. Każdy lubi

plotki, a biznesmeni i finansisci w nich przodują.

Przy kawie spokojnie przejrzał serwisy internetowe i gazetowe. Papierowe gazety nie miały czasu na rozpracowanie tematu. Ale na portalach biznesowych wiadomość szybko zyskiwała na znaczeniu.

Tajemnicze morderstwo w domu maklerskim.

Prasa biznesowa rzadko ma szanse pobawić się morderstwem.

Po południu spodziewał się jakiegoś oświadczenia z KDI, a może też z policji czy prokuratury. Zamiast tego stała się rzecz zadziwiająca. Tekst o morderstwie zaczął znikać z serwisów internetowych. O ile rozumiał, że tak dzieje się na portalach typu Onet, WP, Interia czy serwisach telewizyjnych, o tyle było to zaskakujące na stronach biznesowych. Mimo wielu komentarzy i wyraźnego zainteresowania czytelników, około 13. tekst o morderstwie został usunięty także ze strony www Expressu Finansowego. Na dodatek nie mógł go znaleźć przez żadną z wyszukiwarek. Kurwa, co to za kraj?

Wezwał do siebie specjalistę w firmie od spraw internetowych. Chłopak pogmerał w komputerze i wyjaśnił, że ktoś trwale usunął materiał.

- Czy to normalne?

- Nie. Tekst można usunąć ze strony, zastąpić innym, ale usunięcie z bazy to kwas.

- Kwas?

- Tak się mówi, jak ktoś dał dupy i chce to ukryć. Pewnie coś w tym tekście było nie tak, jakaś gruba pomyłka i dlatego go zdjęli zamiast sprostować.

Holdner podziękował i zamyślił się.

Najpierw ten atak na spółkę przez państwowe urzędy, potem kolejna jego odsłona, na koniec aresztowania Witolda i Pawła. Dlaczego u licha nie aresztowano mnie?

To nie było tak, że Andreas przyjął ze spokojem i

zrozumieniem ten fakt. Był dziwny. Bardzo dziwny. Kiedy próbował odpowiedzieć sobie sam na to pytanie, przeanalizował kilka możliwości.

1. Albo chcą mnie wsadzić w sposób jeszcze bardziej spektakularny? Może jednocześnie próbując złamać naszą solidarność i poróżnić z Witoldem i Pawłem.

2. Może czekają, aż popełnię jakiś błąd, spróbuję uciec i wtedy np. mnie zamordują? Wiedząc, że w sądzie mam znacznie więcej atutów od nich, mogą być do tego zdolni.

3. Wciąż prowadzą w mojej sprawie jakieś dochodzenie i czekają na zebranie dowodów.

4. Po prostu boją się konsekwencji.

Andreas był obywatelem Niemiec. Bogatym i cieszącym się szacunkiem obywatelem Niemiec. Nie był postacią bardzo sławną - tu ten dziennikarz zdecydowanie przesadził nazywając go znanym finansistą i guru rynku emerging markets, ale rzeczywiście w świecie finansów dał się poznać jako gracz ostry, nieustępliwy i zapadający w pamięć. Może więc polskie władze uznały, że aresztowanie kogoś takiego może im się odbić czkawką i grozi konfliktem z władzami Niemiec.

Noty dyplomatyczne, telefony z ambasady, może jakaś zadyma w Reich

stagu czy nawet Parlamencie Europejskim? Andreas sam nie wierzył, że ktokolwiek mógłby się za nim wstawić, ale polityka bywa nieprzewidywalna. Można stać się bohaterem całkiem wbrew sobie.

Jednak prawdziwy powód jego wolności tak naprawdę był mało istotny. Andreas zdawał sobie sprawę, że musi teraz wszystko uporządkować i przystąpić do kontraktaku.

Dlatego między innymi poprosił klientów o odłożenie na bliżej nieokreślony czas wszelkich negocjacji i operacji poza Polską. Doradził też wyczyszczenie wszystkich niepewnych inwestycji i przekazanie maksymalnej ilości środków na

lokaty bankowe i zakup obligacji skarbowych. Od dziś żadnych niebezpiecznych inwestycji.

Był człowiekiem, który lubił dogłądać wszystkich spraw. A kiedy idzie się na wojnę, czasu na dogłądanie zaplecza pozostaje niewiele.

Teraz najważniejsze było KDI. Zaraz po odsłuchaniu obraźliwego wywiadu Rostowskiego w telewizji, Holdner zlecił swoim ludziom zebranie wszystkich dostępnych informacji na temat przeciwnika, jego powiązań z KNF, biznesu, planów giełdowych oraz przygotowanie raportu na ten temat.

Ślęczał teraz nad lekturą dokumentu przygryzając nerwowo ołówek, awjego głowie zaczął kiełkować plan. Rozmyślenia przerwał telefon, a asy -stentka poinformowała go, że dzwoni dziennikarz - Jakub Zimny.

- Połącz - rzucił krótko Holdner.

Rozdział 12

*Wszystko będzie, jak być powinno,
tak już jest urządzony świat.*

*Michaił Bułhakow,
Mistrz i Małgorzata*

Wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Po oficjalnej części, na której zarząd spółki Helios zaprezentował prognozy przychodów i zysków oraz pozostałe dane finansowe, prezynter podziękował za uwagę i zaprosił na pokaz możliwości firmy.

- Szanowni państwo, proszę o szczególną uwagę - zaintonował barytonem prowadzący - Wszystko, co zobaczycie, dzieje się naprawdę, choć trudno w to uwierzyć.

Światła przygasły, a Helios w morzu niebieskich halogenów i stetosko-powych przerywników rozpoczął pokaz możliwości komputerów firmy. Nowe serwery, laptopy i netbooki wypływały zza kotary w asyście urodziwych hostess, a spiker omawiał szczegóły każdego modelu.

Helios Inspire zapewni państwu niezapomniane wrażenia multimedialne. To produkt wyprzedzający o epokę konkurencyjną ofertę, oparty na procesorze Titanium, wyposażony w sprzężone dwie karty graficzne Gforce i pojemny dysk twardy. Jego wyjątkowość podkreśla opcja zastosowania trójwymiarowych okularów Nvidia...

- Komputery to przeżytek. Za dwa lata na tym rynku zostaną tylko Chińczycy; lokalni gracze nie mają żadnych szans. Po co się w to bawicie? - niski mężczyzna musiał stanąć na palcach, żeby wypowiedzieć te słowa do ucha Karola Trybuchowskiego.

- Dla pieniędzy - wzruszył ramionami Karol - Kogo obchodzi przyszłość za dwa lata? W komputerach to cała epoka albo i dwie.

-I co? Przystawia się na produkcję baniek mydlanych? Zmienia się w wydumuszki jak te wszystkie firmy w czasie bańki internetowej?

- Internet jednak okazał się strzałem w dziesiątkę.
- Po dziesięciu latach. A może epokach, jak to mówisz.
- Nikt nie zmusza cię, żebyś inwestował. Twój wybór.

Karol poklepał w ramię analityka, przeprosił i ruszył do wyjścia. Pokaz właśnie się kończył, a on chciał dopilnować, żeby na zakończenie coś nieprzewidzianego nie zepsuło imprezy. Agencja Porter, która obsługiwała konferencję, zwykle go nie zawodziła, ale czasem zdarzały jej się zupełnie idiotyczne wpadki, jak niewystarczająca ilość prezentów dla gości czy zamówienie autokaru z hostessami do innego miasta.

- Wszystko gra? - zagadnął dziewczynę stojącą przy drzwiach. Marta, Kaśka czy jakoś tak. Nie pamiętał.
- Oczywiście, panie prezesie.
- Już mówiłem, żebyś mi mówiła Karol.
- Tak - skinęła głową nieśmiało dziewczyna. Nawet ładna, młoda. Może kiedyś...

Helios był najnowszym dzieckiem wprowadzanym przez KDI na GPW. Spółka sprzedawała komputery i dzięki staraniom maklerów i doradców prezentowała się świetnie, niczym technologiczny rodzynek, który jest w stanie rywalizować z HP czy IBM. Oczywiście była to nieprawda. Właściciele Heliosa tak naprawdę byli zwykłymi handlarzami, a gdyby ktoś zobaczył tę ich „linię technologiczną” bardziej przypominającą taśmę do składania odkurzaczy niż nowoczesnych technologii, to nigdy nie wyłożyłby grosza na akcje tego debiutanta. Helios to był biznes niskomarzowy i nieciekawy. Ale dobrze opakowany mógł się sprzedawać. I to była rola KDI oraz Agencji Porter. Czy to oszustwo? A czy jak Koreańczycy podrabiają Mercedesa to też jest oszustwo? Przecież nikt nie mówi, że Helios to

Lockheed Martin. A czy HP i IBM są takie święte? Za dwa lata pewnie i tak nie będą w stanie rywalizować z Chińczykami, pewnie dlatego ograniczają swój udział w produkcji na rzecz zwiększenia przychodów z usług. Czy to przypadek, że Lenovo odkupiło od amerykańców linię produkcji pecetów, a właściwie cała globalna produkcja odpłynęła do Azji?

Helios za to przybił z chłopakami z Pekinu sztamę i robił składaki licen -cyjne na minimalnej, ale stałej i pewnej marży. Żeby trochę podreperować sytuację finansową, zrobili mały szachermacher z leasingiem zwrotnym nieruchomości i transakcjami ze spółkami zależnymi, ale w gruncie rzeczy spółka nie była zła. Przez pierwsze dwa, trzy tygodnie da zarobić inwestorom. A potem? Potem to już będzie historia. Choć gdyby ludzie z Heliosa byli mądrzy, utrzymaliby wysokie notowania jeszcze przez długie miesiące. KDI specjalizowała się w „stabilizowaniu” kursów.

Tak naprawdę jednak poddenerwowanie Trybuchowskiego wynikało z czegoś innego. Helios był tylko pretekstem do omówienia znacznie ważniejszych, strategicznych planów.

Karol spojrzął na zegarek.

Za godzinę wszystko się rozstrzygnie.

Zaraz po prezentacji Heliosa wraz z Łukaszem mieli rozpocząć wstępne negocjacje z funduszami na temat zupełnie nowej, przełomowej oferty.

- Karol, pozwól na chwilę - w ciemności zamajaczyła jakaś znajoma sylwetka, czyjaś dłoń zaczęła odciągać go na korytarz.

- Teodor? Co ty tu robisz?

Dyrektor Departamentu Emitentów KNF zrobił skwaszoną minę, ale dopóki nie znaleźli się w cichym zakątku korytarza, nie odezwał się słowem. Potem niemal wykrzyknął do ucha Trybuchowskiego:

- Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Ja już dłużej nie

mogę milczeć. Co dwa dni mam gości z ABW u siebie, a Holdner pisze niemal codziennie pisma z wnioskami do wszystkich świętych. Adresuje je do dyrektorów, ko -misarzy, kancelarii premiera. To jakiś wariat.

Wiceprezes KDI westchnął z ulgą.

- To przecież dobrze. Robi z siebie czubka. Chyba nikt nie bierze go na poważnie.

- Tak? Wiesz, że wczoraj dostaliśmy pismo podpisane osobiście przez George'a Sorosa z prośbą o wyjaśnienie problemu Consulting Partners i „je -go przyjaciela Andreasa Holdnera”.

Karol nie dał poznać, że zaskoczyła go ta wiadomość.

- Soros to spekulant.

- Nie żartuj, wiesz przecież jakie ma wpływy i możliwości. Poprosił, żeby całą dokumentację przesłać do jego fundacji zajmującej się korupcją. Chcą zbadać sprawę spółki i podejrzeń korupcyjnych dotyczących szkoleń. Kurwa, będzie mnie badać jakaś fundacja.

- Może ich też przeszkolimy - roześmiał się Trybuchowski - Spokojnie, nic nie mogą ci zrobić. Nie złamałeś prawa.

- Nie rozumiesz. Zwykli ludzie nie są przyzwyczajeni do stawek obo -wiążujących na rynku kapitałowym. Zgadnij, co sobie pomyśli jakiś górnik, gdy dowie się, że ja za godzinę szkolenia brałem jego miesięczną pensję.

- Fakt, to problem. Ale na razie panujemy nad sytuacją.

- Wątpię. Dwa tygodnie temu dostaliśmy też pismo z wnioskiem o udostępnienie informacji publicznej z Transparency International.

-A to co za licho?

- Błagam cię, przestań się nabijać. Będziemy się musieli tłumaczyć.

- Posłuchaj Teodorze - Trybuchowski chwycił Kozłowskiego za ramiona i przybliżył twarz na tyle, że ich nosy niemal się dotykały. - Nie panikuj. Panika zabija. Nic się nie dzieje,

rozumiesz? Nic ci nie grozi.

Przez chwilę panowało niezręczne milczenie. Trybuchowski puścił dyrektora, a ten otarł sobie czoło chustką.

- Dlaczego Holdner wciąż jest na wolności? - zapytał. - Mówiłeś, że jak dobrze to zorganizujemy, to wszyscy pójdą siedzieć na długie lata i nie będzie żadnej sprawy.

- Nic takiego nie mówiłem - syknął Trybuchowski, rozejrzawszy się nerwowo, a następnie chwycił Kozłowskiego za marynarkę i wepchnął do toalety.

- Posłuchaj idioto, to nie gra dla małych dzieci - wiceprezes KDI przycisnął rozmówcę do ściany i drugą ręką zaczął go obmacywać.

- Co ty robisz? - zawołał oniemiały i przerażony urzędnik.

- Nie masz dyktafonu? Nie zwariowałaś do reszty?

- Skąd.

Trybuchowski nie znalazł podsłuchu.

Jeszcze rok temu taka sytuacja była nie do pomyślenia. Obaj uznawali się za przyjaciół. Ale to Karol płacił za przyjaźń Teodora. Teraz przyszedł czas na rewanż, a nie płacz i lament.

- Teodorze. Powiem to ostatni raz. Dzięki twojemu profesjonalizmowi groźni przestępcy zostali zatrzymani i nie oszukali inwestorów. Również dzięki twojemu profesjonalizmowi ABW w porozumieniu z Interpolem zlikwiduje wkrótce niezwykle sprawną szajkę oszustów, a może nawet odrąbie mackę międzynarodowej ośmiornicy. Nie oczekuj, że wszystko, co się zdarzy będzie takie przewidywalne i po twojej myśli. Ale możesz być pewien, że ty jesteś po właściwej stronie.

Teodor chyba czekał właśnie na takie słowa. Zaraz zresztą w myślach do -powiedział sobie co trzeba. Przecież on tylko wykonuje rozkazy, robi co do niego należy, a błędy sprzed lat już się nie liczą. Tamto było dawno i nie -prawda. To oni są dobrzy, a tamci źli. Karol ma rację. Jak on mógł w ogóle

zwątpić w niego.

W tej sytuacji niezręcznie było pytać o to morderstwo księgowej. Jakby to odebrał jego przyjaciel?

- Przepraszam.

- Każdy ma prawo mieć wątpliwości.

Odprowadził Teodora do wyjścia, a potem odszukał Łukasza. Miał mu tylko jedno do powiedzenia.

- Trzeba dyskretnie skontaktować się ze Sławkiem. Teodor pęka.

Rozdział 13

*Nikomu z ludzi nie może się udać zbrodnia doskonała;
potrafi jednak dokonać tego przypadek.*

Vladimir Nabokov, Lolita

Olgierd Stańczyk pracował przez ostatnie trzy dni bardzo intensywnie. Komendant jasno dał znać, że sprawa zabójstwa Ochnik jest priorytetowa i ma być tak traktowana w całym wydziale. Laboratorium, zespół śledczy, a nawet tajni agencji mieli być do jego dyspozycji w każdej chwili.

- Daj tylko znać, jeśli uznasz, że trzeba powołać grupę operacyjną - rzucił Komendant – I w razie czego nie krępuj się, żeby korzystać z helikoptera czy prewencji.

Stańczyk początkowo zamierzał od razu powiedzieć komendantowi, że to nie żaden seryjny, ale Stary praktycznie nie dopuścił go do głosu. Poza tym specjalny statut śledztwa mógł znacząco przyspieszyć rozwiązanie zagadki. Dzięki niemu już mieli wiele danych.

Zabójstwo nastąpiło pomiędzy 18 a 20. Przyczyną zgonu były obrażenia głowy spowodowane uderzeniem tępym narzędziem. Według patologa uderzeń było pięć lub sześć. Zostały zadane ze średnią siłą, co mogło świadczyć o kilku rzeczach:

- zabójca mógł być osobą słabą fizycznie, np. kobietą
- zabójca nie działał pod wpływem emocji, tylko z pełną premedytacją i wyrachowaniem
- mogło to być elementem gry w kierunku zacierania śladów.

Wszystkie ewentualności były prawdopodobne i wzajemnie się nie wykluczały. Późniejsze obrażenia były dokonane już na martwym ciele w celu zmylenia tropów. Z pewnością mieli do czynienia z zabójcą zorganizowanym. Do tej kategorii należeli przestępcy dokonujący mordów na tle seksualnym, rabunkowym lub na zlecenie.

Stańczyk wykluczył raczej motyw seksualny - zbyt wyraźnie działania sprawcy były pozorowane i oparte na wiedzy książkowej. Zabójca na zlecenie raczej nie popełniłby takich błędów. Pozostawało więc zabójstwo z motywem ekonomicznym. Kobieta nie wyglądała na osobę bogatą. Zabójca zatem ją znał lub obserwował przez jakiś czas.

Co miałaś takiego cennego?

Policyjny profiler nie wniósł na razie do sprawy za wiele nowego.

Na podstawie oględzin zwłok, miejsca zbrodni, raportów Stańczyka i spisu dowodów zapisał kilka zdań charakteryzujących prawdopodobny profil sprawcy.

Mężczyzna, lat 30-35, zamożny lub średniozamożny, porusza się samochodem, dobrze zorganizowany, związany z partnerką, ukończona szkoła średnia, studia lub kilka lat studiów, mógł być karany za akta przemocy i przestępstwa seksualne (raczej nie, ale doradzam sprawdzenie baz danych w tym kierunku!). Zachowuje się jak myśliwy, stara się kontrolować sytuację, przewidywać zdarzenia, działa zgodnie z ustalonym planem, z mocnym postanowieniem dokonania zbrodni.

- Sylwetka: dobrze zbudowany, schludny, typ macho. Pracuje umysłowo, uczęszcza na siłownię, basen, możliwe inne aktywności, jak gra w tenisa czy squash.

- Inteligencja: ponad przeciętna, zimny emocjonalnie, opanowany. Odważny, wyrachowany.

- Wiele partnerek seksualnych, lubi opowiadać o podbojach.

- Nie znosi krytyki, sprzeciwu; impulsywny, łatwo się obraża, skłonny do zemsty.

- Nie ma poczucia winy, lubi obarczać innych winą za swoje przewinienia.

- Może udawać osobę etyczną, głęboko moralną, nawet tym motywować swoje zbrodnie.

- Może mieć na koncie sporo mandatów i wykroczeń

drogowych.

Trele morele - mruknął Stańczyk. Charakterystyka profilera nie odbiegała od schematu książkowego. Pewnie tak było łatwiej. Od kiedy Witold Ressler, Ann Burges i John Douglas opisali charakterystyczne profile zabójców, profilowanie w policji stało się modne, ale w gruncie rzeczy do charakterologicznych klisz nietrudno było dostosować późniejsze wyniki. Właściwie każdy detektyw zaraz po pierwszych oględzinach zwłok wiedział, z czym ma do czynienia, czy sprawa będzie trudna czy też zabójcy należy poszukać w sąsiedztwie.

Mimo to nie zlekceważył profilu i podzielił pracę w zespole.

- Romek wyselekcjonuj z bazy PESEL wszystkich mężczyzn w granicach 30-35 lat z Krakowa i okolic, sprawdźcie ich rejestry z mandatami, samochody, pracę, obecność w kraju w tym czasie, służbę wojskową...

Wrzućcie to do systemu analitycznego, niech wam porówna z dostarczonym profilem.

Stańczyk jednak miał przeczucie, że znacznie lepsze efekty przyniesie wywiad środowiskowy. Szczególną uwagę laboranci zwrócili na jeden z odcisków butów. Na miejscu zdarzenia zabezpieczono ślady obecności kilku mężczyzn i kobiety, ofiary. Prawdopodobnie część śladów nie miała związku z zabójstwem. Jeden z nich jednak był dość szczególny, dlatego laborant jeszcze przed sporządzeniem opisu zadzwonił do niego.

- Mieliliśmy tam jakiegoś milionera.

- Skąd ten wniosek?

-A kogo innego stać na buty za 10 tysięcy.

- Są takie buty?

- Dolarów - dodał ze śmiechem laborant - Koło miejsca zbrodni na Kopcu Kościuszki przechadzał się jakiś skurwiel w butach z krokodylej skóry, za które można zamordować. Wiemy to praktycznie w stu procentach z po -zostawionych

śladów. Oczywiście ostateczne będzie porównanie wzorca z materiałem dowodowym, ale to dopiero jak złapiecie delikwenta. Tak czy inaczej, to nie może być przypadek. Wiesz, gdzie pracowała ta baba?

Naturalnie, że wiedział. Była księgową w biurze maklerskim. KDI czy jakoś tak.

Stańczyk założył zatem wstępnie, że mordercą może być osoba w super drogich butach, co znacząco zawęzi krąg podejrzanych. Jak do tego doda jeszcze wyniki z analiz połączeń komórkowych i pozycjonowanie oparte na logowaniu się zarejestrowanych telefonów komórkowych, to zabójca trafi w jego ręce zapewne w ciągu tygodnia.

Stańczyk jednak wiedział, że to dopiero początek. Tym bardziej, że sprawa zapowiadała się na wielowątkową. Wczoraj odbył niecodzienną rozmowę z prokuratorką z Warszawy. Poprosiła o zachowanie jej w poufności, ze względu na dobro świadka w innej sprawie (co w tym wypadku wydało mu się akurat dziwne) i wyjawiała, że ma parę informacji, które mogą pomóc w śledztwie.

- Zadzwoił do mnie dziennikarz, którego przesłuchiwałam i poinformował, że znał pańską ofiarę i że przypuszcza, że mogła ona zginąć z powodu posiadania informacji, którymi szantażowała swoich szefów. Proponowała sprzedaż tych materiałów gazecie, Expressowi Finansowemu, jednak nie zdążyli czy też w ogóle nie zamierzali tego kupować.

- Co to za materiały?

- Podobno jakieś dokumenty świadczące o szwindlach w firmie.

- Jak się nazywa ten dziennikarz?

- Zimny. Jakub Zimny.

Stańczyk nie lubił dziennikarzy. Sprowadzali tylko kłopoty i rzadko pisali prawdę. Dwa razy wypowiadał się dla prasy i w obu przypadkach jego słowa przekręcano. Czy tak trudno zapamiętać kilka zdań?

Zapisał numer, dane dziennikarza i pani prokurator, podziękował i poczuł moc adrenaliny.

Pieniądze, szantaż, drogie buty, kompromitujące dokumenty, prasa. Klocki zaczęły do siebie pasować.

Pozostało jak najszybciej pogadać z zarządem KDI i tym dziennikarzem.

Rozdział 14

Współpraca z demonem działa inspirująco.

Karen Blixen,

Głos naszego cienia

- Co pan wie o KDI? - zapytał Holdner.

Po raz pierwszy spotkali się w biurze Consulting Partners. Zimny był zdziwiony, że firma wciąż działa i to - na pierwszy rzut oka - pręźnie. Po afe -rze takiego kalibru, mało kto byłby zdolny się podnieść. Kilkanaście osób żwawo przemieszczało się po korytarzach. Holdner wprowadził go do salki konferencyjnej: duży stół, kilkanaście krzeseł, w rogu rzutnik z laptopem, a po przeciwnej stronie - stojak z białą tablicą gęsto zapisaną różnymi wzorami i planami.

Na stole stały dwie filiżanki z kawą. W powietrzu unosił się aromat świeżego i mocnego espresso.

- Tak naprawdę niewiele - odparł Zimny - Dom maklerski średniej wielkości, notowany na naszej giełdzie. Gdyby nie te korupcjogenne szkolenia, pewnie nie wyróżniliby się z tłumu. Z mojego researchu nic nie wynika, ale przerwałem go z powodu nacisków prezesa Expressu. Także Ochnik nie przekazała nam żadnych dowodów na poparcie swoich oskarżeń, a trudno bezkrytycznie powtarzać twierdzenia szantażystki. Wie pan, może gdyby to całe KDI było większe, bardziej znaczące, bardziej medialne, to wszystko zakończyłoby się inaczej.

- Wtedy, żeby bronić słabszego, stanęlibyście po naszej stronie? - zadrwił Holdner.

- Albo przeciw wam - sprostował Zimny - byle tylko podczepić się pod medialny tramwaj. W każdym bądź razie KDI działa głównie na rynku pierwotnym, nie liczy się praktycznie na wtórny, opanowanym przez banki. Ujawnienie szkoleń za bardzo im nie zaszkodziło. W gruncie

rzeczy cieszą się dobrą opinią, poza nielicznymi wyjątkami.

-Ate wyjątki?

- Cóż, na rynku plotkuje się, że mają specyficzny sposób działania, że wynajmują agencje towarzyskie na imprezy z zarządzającymi i analitykami, przekupują ludzi z funduszy, żeby ci angażowali się w ich oferty...

- Plotki? - uśmiechnął się Andreas.

- Bez poparcia w dowodach, poza wypowiedziami zbuntowanej księgowej - szantażystki oraz anonimowymi twierdzeniami ludzi z rynku. Nie odważyłbym się powtarzać ich publicznie. Skoro jednak zamordowali księgową...

- Myśli pan, że to oni?

-A kto inny? - Zimny wzruszył ramionami. - Więc może, jak w każdej plotce i w tych jest ziarno prawdy. Nie jest tajemnicą, że firmy wynajmują dziwki na imprezy integracyjne czy organizowane dla klientów. Decydentów przekupuje się na różne sposoby. Jak kupuje pan system informatyczny, modne są wyjazdy referencyjne do RPA, Konga, Meksyku czy Indii. Farmaceuci raczej wolą bardziej cywilizowane miejsca, ale za to z klasą. Kasyna czy katamarany w Malibu i Cannes. Sprzęt medyczny ostatnio jest prezentowany na bizantyjskich imprezach w pięknym mieście Petersburgu, a zbrojeniówka tradycyjnie baluje w Bangkoku.

- Pana to nie oburza? Zimny wzruszył ramionami.

- Niespecjalnie. Lepiej zabrać potencjalnego klienta na taki raut niż wybudować mu dom czy beczelnie wręczyć walizkę z kasą.

-Ajaka to różnica?

- Bo ja wiem - Zimny nie bardzo wiedział, jakie argumenty przywołać. Różnica jednak chyba była. Chyba - Może pozory. Taki decydent subtelnie przekupywany może sobie tłumaczyć, że jednak w tym działaniu nie ma niczego złego, a przez to nie przekroczy jakiejś granicy. Nikt nie stawia

warunków wprost.

- Pana zdaniem więc takie środki dopingujące są w porządku?

- Tego nie powiedziałem.

-A ja sądzę, że są jeszcze gorsze niż zwykła łąpówka - rzekł Holdner - Niech mi pan wierzy, że ten, kto decyduje się na wyjazd na Bali, żeby obejrzeć prezentację polskiej firmy komputerowej, którą równie dobrze mógłby obejrzeć w Warszawie, podpisuje taki sam pakt z diabłem, jak osoba przyjmująca kopertę. Dobrze wie, że za imprezą będzie stała transakcja, a on powinien wywiązać się z takiego honorowego zobowiązania. Koperta to przestępstwo. Jednak ten, co organizuje wyjazdy, wręcza prezenty, szuka sposobów na opłacanie klientów za pomocą szkoleń czy zamawiając u nich jakieś wypracowania, jest trudniejszy do złapania i z każdym razem coraz bardziej przebiegły. Wszyscy na to przyzymkają oko, dopóki nie padną tego ofiarą. Przerwał na chwilę, po czym powiedział z naciskiem:

- To patologie. Należy z nimi walczyć.

- Ok. - mruknął Zimny po chwili zastanowienia - W sumie mamy podobne zdanie, na co więc czekamy, dobierzmy się do nich.

Holdner klasnął z radością w dłoń.

- Niedawno poleciłem mojemu zespołowi przygotowanie raportu na temat KDI. Nie ma co ukrywać: nie zależało mi na obiektywnej ocenie spółki, tylko na znalezieniu jej ciemnych stron. Uznałem, że KDI wypowiedziało mi wojnę, więc nie mam powodów do żadnych skrupułów. Ale może wyraziłem się niezbyt jasno, bo moi ludzie przygotowali dość szczegółowy i szeroki materiał analityczny. Teraz myślę, że dobrze się stało, bo on daje do myślenia. Prezentacja trochę potrwa, ale warto ją obejrzeć. Ja sam jestem mocno zdziwiony, jak niewiele wiedziałem o przeciwniku, a wcześniej - bądź co bądź - kontrahencie. Gotów?

- Proszę zaczynać.

Wiceprezes Consulting Partners ruchem ręki przypomniał o kawie, a następnie włączył projektor i uruchomił prezentację.

Krakowski Dom Inwestycyjny - analiza SWOT by CP

- To trochę żartobliwy tytuł - wyjaśnił Holdner i nacisnął na pilocie przycisk przewijania jednocześnie omawiając wyświetlane skrótory - KDI powstała w 2000 r. Trybuchowski i Rostowski przejęli niewielki dom maklerski Victoria zajmujący się głównie inwestycjami walutowymi. Początki mieli naprawdę trudne. Na rynku opanowanym przez banki byli rodzyńkiem. Banki patrzyły na nich z niechęcią, a klienci nieufnie. Żeby zaistnieć potrzebowali sporych inwestycji. Kilka chudych lat przeczekali na uboczu starając się podpinać pod większych w różnych ofertach oraz nawiązując relacje. To wtedy wpadli na pomysł organizacji różnego rodzaju szkoleń i rautów, na których mogli opłacać wpływowych wykładowców. Zamiast rywalizować niską marżą, upustami i zachętami, budowali relacje.

-Z urzędnikami?

- Wówczas nie odważyli się jeszcze na to. Pierwszym krokiem było zbudowanie relacji z autorytetami i osobami medialnymi. Także z dziennikarzami. Zatrudnili kilka osób chętnie wypowiadających się w mediach, sponsorowali programy telewizyjne, zapraszali dziennikarzy na rauty. Chodziło o stworzenie atmosfery liczącego się na rynku gracza.

Na ekranie pojawiły się cytaty z mediów z tamtych lat z podpisami i tytułami:

Dom maklerski z wizją; O dwóch takich, co weszli na szczyt; Łowcy giełdowych rekinów; Czterolistna koniczynka finansowa.

- Zamówiliśmy możliwie jak najdalej historycznie sięgający monitoring mediów. Proszę zwrócić uwagę jak nagle, w tym czasie gdy organizują szkolenia i inne imprezy, zmienia się

opinia o nich w prasie, pojawia się coraz więcej tekstów, pozytywnych wypowiedzi. Trybuchowski trafia na okładkę Forbesa jako nadzieja polskiej bankowości, a Rostowski w co drugim numerze Rynków Finansowych widnieje w tak zwanych wektorach, gdzie przy jego zdjęciu pojawia się zielona strzałka w górę i pozytywny opis. Jego zapowiedzi i opinie zwykle są dalekie od rzeczywistości, ale nikt tego nie dostrzega.

- Teraz łatwo to oceniać. Każdy ma prawo się pomylić. -W efekcie - Holdner zbył uwagę Zimnego - rynek finansowy zaczyna

ich badać, dając szanse w różnych miejscach. Budowanie relacji się opłaciło, więc KDI poszło o krok dalej. Mniej więcej z 2003 znaleźliśmy pierwsze relacje z bankietów, jakie organizowali. W prasie bulwarowej można znaleźć wiele tekstów dotyczących hucznych imprez. Proszę zwrócić uwagę na jeden przypadek - Holdner wskazał na slajd przedstawiający zdjęcie siedmiu mężczyzn i jednej kobiety unoszących w górę kieliszki szampana - To zdjęcie z Nowin Mikołajskich do tekstu o bankiecie w Starym Zamku, na którym bawiła się śmietanka finansowa Polski. Poznaje pan kogoś? Zimny przyjrzał się.

- Ten tutaj, to chyba Trybuchowski?

- To prawda - przyznał Holdner - Obok niego stoi dyrektor inwestycyjny Credit Suisse, dalej dwóch zarządzających funduszami NFI, główny ekonomista Banku Gospodarczego. Ta kobieta i dwaj pozostali zarządzają do dziś pieniędzmi emerytów w średnich funduszach. Niech pan zwróci uwagę na datę - wrzesień 2003. W październiku instytucje kierowane przez tych ludzi zainwestowały spore pieniądze w producenta papieru toaletowego... Zgadnie pan, kto był oferującym akcje?

- KDI? Sądzi pan, że to był doping?

- Papier toaletowy i fundusze? - głośno zapytał Holdner -

Trzeba było się mocno postarać, żeby im to wcisnąć. Budowanie oskarżeń na tak nikłych przesłankach byłoby jednak nieodpowiedzialne. Ale dało nam podstawę do przyjrzenia się ruchom na rynku kapitałowym tych ludzi i tu ma pan zestawienie - Holdner skinął na kolejną stronę z prezentacji - Oferty KDI vs decyzje inwestycyjne bohaterów z tego zdjęcia w latach po 2003 r. do dziś.

- Pokrywają się - Zimny pokręcił głową z niedowierzaniem - Kurwa mać! Praktycznie wszyscy uczestniczą w każdej ofercie.

- To prawda. Są wierni - przyznał Holdner, ale uniósł jednocześnie dłoń w geście, który oznaczał, że Zimny nie powinien wyciągać pochopnych wniosków - Gdyby KDI nie przynosiło zysków, to „ich przyjaźń” szybko by się skończyła. Fundusze muszą wykazywać zyski.

- Więc nie powinniśmy się czepiać?

Holdner nie odpowiedział na to pytanie wprost.

- KDI musiało wymyślić sposób zapewnienia swoim przyjaciółom z funduszy godziwych zysków, najlepiej większych niż konkurentów z innych in -stytucji finansowych. I wpadli w sumie na genialny pomysł, jak upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Piramida finansowa.

- Co?

-Z nieco udoskonalonym modelem. Wymyślili, że każda firma wprowadzana przez nich na giełdę musi zobowiązać się do inwestycji w następnego oferenta-klienta, zapewniając mu sukces emisji albo popyt na akcje w ciągu pierwszych tygodni notowań. Jeśli spółka była kiepska, fundusze wychodziły z zyskiem w ciągu tych pierwszych dni.

-A najwięcej tracił klient KDI zabezpieczający ofertę? - domyślił się Zimny.

- Nie do końca. Bo jemu też rekompensowano straty, poza tym miał zysk na swojej ofercie.

- To kto tracił? Przecież nie zawsze mogli wszyscy zyskiwać?

- Maluchy. To oni omamieni magią dużego, sponsorowanego zainteresowania funduszy i dużych inwestorów, tłumnie wchodzili w oferty KDI, nierzadko podpierając się kredytami. Jak się orientowali, że zostali z akcjami sami, to następowała paniczna wyprzedaż. A orientowali się późno, bo dopytywali analityków i maklerów, co mają robić, a ci uspokajali obawy, przekonując, że powinni myśleć długoterminowo. Ostatni, najmniej doświadczeni, tracili najwięcej. A wtedy KDI czasem odkupywało od nich akcje.

- Jak to możliwe?

- To się nazywa trzepanie leszcza. Dmucha się ofertę, zachęca do zakupu, prezentuje super informacje, daje ostro zarobić w ciągu paru pierwszych dni. Potem następuje tzw. dystrybucja, czyli oddanie towaru ulicy. Magia zarobku z pierwszych dni działa na niedoświadczonych. Myślą, że po pierwszych spadkach spółka odbije. Nie sprzedają i czekają, licząc na zmianę trendu. Jeśli mają akcje kupione za gotówkę, to pół biedy. Mogą poczekać. Jeśli nie, w pewnym momencie bank informuje ich, że trzeba uzupełnić depozyty, czyli wpłacić więcej gotówki. I tracą setki tysięcy. Czasem miliony. Tacy bankruci nigdy nie wrócą na giełdę. I dobrze. Dla nich giełda to rodzaj kasyna, a hazardzista rzadko cieszy się z wygranej w dłuższym terminie.

- Mnie się to specjalnie nie podoba - mruknął Zimny.

- KDI opracowało prawdziwe perpetuum mobile, samonapędzającą się maszynkę giełdowego sukcesu. Dzięki dużej liczbie uczestników piramidy oraz obecności w niej bogatych funduszy, mogą niemal dowolnie manipulować kursem.

- To już chyba nie jest legalne?

- Chyba nie. Ale nikt ich nie ściga. Za to każda spółka wchodząca na giełdę musi rozważyć, czy uczciwie przeprowadzić ofertę z ryzykiem jej niepowodzenia, co wiąże

się ze stratą kilku milionów złotych i prestiżu....

- Czy? - ponaglił Zimny, bo Holdner przez kilka sekund nie kontynuował myśli.

-...czy skorzystać z dopingu KDI i mieć pewność sukcesu w zamian za nieco wyższą prowizję i zobowiązanie udziału w sieci powiązań i piramidzie. Co by pan wybrał?

- To zależy, co bym oferował.

-W każdym razie ta strategia przyniosła im w ciągu trzech lat pozycję zdecydowanego lidera na rynku pierwotnym. Wprowadzili na giełdę więcej spółek niż wszystkie pozostałe biura razem wzięte.

-Z tego wniosek, że każdy chce mieć gwarancję sukcesu.

- Na dopingu. I tu dochodzimy do sedna. Bo trudno nie zadać pytania, dlaczego KDI jest tak skuteczny nie tylko na rynku, ale i w urzędzie KNF, co zresztą rozpowszechnia wszem i wobec pocztą pantoflową? By skutecznie i szybko uzyskać wszystkie zgody, trzeba być poukładanym w KNF.

- Szkolenia?!? - bardziej stwierdził niż zapytał Zimny.

- Chyba nawet nie trzeba tutaj przeprowadzać żadnego dowodu.

- No nie wiem. Co prawda stawki były wysokie... ale na tym rynku to normalne. W końcu urzędnicy tłumaczyli się, że tylko dorabiają, że nie ma to wpływu na ich pracę, że robili dziesiątki szkoleń dla wielu instytucji.

- Ciągłe słyszymy tę płytę - Andreas podniósł się z krzesła i ciężko westchnął.

- Jak namówić kogoś, kto był w łańcuszku, żeby o tym opowiedział ryzykując, że sam będzie ponosił odpowiedzialność karną? - Zimny pokiwał głową ze zrozumieniem.

-W średniowieczu załatwiono by to inaczej. *Confessio est regina pro-bationem** - Holdner przez chwilę zamarzył się

* *łac. „przyznanie jest królową dowodów”; dowód ten często wymuszano torturami.*

wyobrażając sobie wrzeszczącego Kozłowskiego rozciąganego na hiszpańskim krzeselku. - No cóż, były w tej idei również wypaczenia - przyznał ze zgryźliwym uśmieszkiem - musimy więc sobie radzić inaczej. Naszym celem jest zdobycie mocnych dowodów lub poszlak, które pokażą niedowiarkom, że sprawa szkoleń to nie jest problem nieprawidłowości w dorabianiu do pensji przez urzędników ale czubek góry lodowej, która może doprowadzić do zmiany nawet na stanowisku premiera polskiego rządu.

- Nie przesadzajmy - mruknął Zimny

- No dobrze, niech pan spojrzy na to - Holdner wyświetlił kolejną planszę. Tym razem był to skan jakiegoś dokumentu z wielką tabelą - To raport z kontroli szkoleń, jaka została przeprowadzona kilka lat temu.

WYKAZ ODPŁATNYCH SZKOLEŃ REALIZOWANYCH
PRZEZ URZĘDNIKÓW KOMISJI NADZORU
FINANSOWEGO

Lp.	-	1
Imię i nazwisko	-	TEODOR KOZŁOWSKI
Tematyka zajęć	-	Regulacje rynku kapitałowego
Organizator	-	Agencja Porter

2
TEODOR KOZŁOWSKI
Regulacje rynku kapitałowego
Agencja Porter

3
TEODOR KOZŁOWSKI
Rynek kapitałowy
Agencja Porter

4
TEODOR KOZŁOWSKI
Regulacje rynku kapitałowego
Agencja Porter

5

TEODOR KOZŁOWSKI
Spółka na rynku kapitałowym
Agencja Porter

6

TEODOR KOZŁOWSKI
Obowiązki informacyjne
Centrum Edukacji Europejskiej

7

TEODOR KOZŁOWSKI
Regulacje rynku kapitałowego
Centrum Edukacji Europejskiej

8

TEODOR KOZŁOWSKI
Obrót publiczny
Centrum Edukacji Europejskiej

9

TEODOR KOZŁOWSKI
Regulacje rynku kapitałowego
Centrum Edukacji Europejskiej

10

TEODOR KOZŁOWSKI
Regulacje rynku kapitałowego
Centrum Edukacji Europejskiej

11

TEODOR KOZŁOWSKI
Spółka akcyjna na rynku
Instytut Maklerów

12

TEODOR KOZŁOWSKI
Regulacje rynku kapitałowego
Centrum Edukacji Europejskiej

13

TEODOR KOZŁOWSKI

Regulacje rynku kapitałowego
Centrum Edukacji Europejskiej

14

TEODOR KOZŁOWSKI
Regulacje rynku kapitałowego
Agencja Porter

15

TEODOR KOZŁOWSKI
Regulacje rynku kapitałowego
Centrum Edukacji Europejskiej

16

TEODOR KOZŁOWSKI
Regulacje rynku kapitałowego
Centrum Edukacji Europejskiej

17

TEODOR KOZŁOWSKI
Regulacje rynku kapitałowego
Centrum Edukacji Europejskiej

18

STANISŁAW MOHR
Regulacje rynku kapitałowego
Agencja Porter

19

STANISŁAW MOHR
Regulacje rynku kapitałowego
Agencja Porter

20

STANISŁAW MOHR
Regulacje rynku kapitałowego
Centrum Edukacji Europejskiej

21

STANISŁAW MOHR
Regulacje rynku kapitałowego
Agencja Porter

22

STANISŁAW MOHR

Regulacje rynku kapitałowego
Agencja Porter

23

STANISŁAW MOHR

Regulacje rynku kapitałowego
Centrum Edukacji Europejskiej

24

STANISŁAW MOHR

Regulacje rynku kapitałowego
Centrum Edukacji Europejskiej

25

STANISŁAW MOHR

Regulacje rynku kapitałowego
Centrum Edukacji Europejskiej

26

STANISŁAW MOHR

Regulacje rynku kapitałowego
Centrum Edukacji Europejskiej

27

STANISŁAW MOHR

Regulacje rynku kapitałowego
Centrum Edukacji Europejskiej

- Jak Pan to znalazł?

- Proszę się nie obawiać. Całkowicie legalnie. Pamięta pan, że Kozłowski odgrażał się krokami prawnymi. No więc pozwał nas do sądu. Zażądał odszkodowania zarzucając nam, że szkolenia dla Portera to zaledwie niewielki ułamek jego działalności dydaktycznej. To był jego ogromny błąd. Przy okazji tego procesu zdobyliśmy dużo informacji, ponieważ sąd zażądał ich od KNF. Raport, który pan widzi, jest najciekawszym z tych papierów. - Andreas prezentował właśnie tabelę z rozbiem szkoleń zrealizowanych przez

Teodora Kozłowskiego i jego zastępcę Stanisława Mohra. - Na tej podstawie udało nam się dojść do kilku naprawdę ciekawych konkluzji. A co pan powie na to?

Zimny zaczął głośno się zastanawiać...

- Wygląda na to, że Kozłowski był wyjątkowo aktywny. Jednak agencja Porter stanowiła tylko jakieś 30 procent jego zaangażowania. Dużo więcej poświęcał Centrum Edukacji Europejskiej. Może jednak mówił prawdę? Został przez KDI wmanewrowany, okazał się nieroztropny, ale nie nieuczciwy.

Holdner przerwał mu niecierpliwie:

- Centrum Edukacji Europejskiej to nie jest żadna uczelnia, tylko mała spółka z o.o. z siedzibą na Bielanach. Przyjrzelśmy się też jej prezesowi -jego PESEL zaczyna się od cyfr 86. Prezes urodził się w roku 86 - ma dopiero 24 lata. W sumie jeszcze do przyjęcia, gdyby nie następny zbieg okoliczności. Nasz Prezes jest jednocześnie aplikantem radcowskim w sporej kancelarii. Tak się składa, że Kancelaria, w której Prezes terminuje oraz jego spółka miały siedzibę pod tym samym adresem.

Zimny powoli zaczynał rozumieć, do czego zmierza Holdner. Czuł przypływ podniecenia. Jak myśliwy, który wie, że nie straci już tropu.

- Czy mam rozumieć, że ta kancelaria zajmuje się rynkiem publicznym i prospektami emisyjnymi?

- Trafił pan w sedno. Nawet na swojej stronie internetowej chwalą się, że są w tym najlepsi na całym rynku.

Kawa całkowicie wystygła.

Schemat stawał się czytelny. KDI miało swojego prekursora. Doświadczony prawnik zbudował przybudówkę w celu płacenia urzędnikom. Zimny wątpił, aby były to transakcje typu „konkretna sprawa za konkretne pieniądze” - raczej chodziło o ogólne nastawienie do sprawy i relacje: „bezcenne”. Zimny postanowił jednak trzymać się jeszcze

przez jakiś czas roli adwokata diabła.

-A jeśli..., jeśli jednak te szkolenia skutkowały? Jeśli to dzięki dobrym wykładowcom spółki potrafiły lepiej pisać prospekty i to dlatego KDI była tak skuteczna w ich procedowaniu w KNF? Ich praca była obiektywnie perfekcyjna.

- Myśmy również się nad tym zastanawiali - Holdner poszperał w aktówce i wyciągnął gruby plik wydruków

- To wykaz błędów w prospektach

po dość pobieżnej analizie. Prawie każdy z tych prospektów jest sporządzony niezgodnie z przepisami. Dokumenty przygotowywano niestarannie, wręcz niechlujnie. Nie powinny ukazać się w tej formie, bo mają masę braków. U rekordzisty znalazłem prawie 50 błędów.

- Trzeba dotrzeć z tym do Klasyka - rzucił dziennikarz.

-A myśli pan, że tego nie zrobiliśmy? Niestety bez efektu. Klasyk nam nie odpisał. Ma to w nosie.

- Nie wierzę. Musi coś zrobić!

Rozdział 15

*Są trzy rodzaje kłamstw: kłamstwa,
przekłète kłamstwa i statystyki.
Benjamin Disraeli*

Stańczyk wylądował w Warszawie około 14. Helikopter PZL W3 „Sokół” „zaparkował” na lotnisku Warszawa-Babice - zajmującym powierzchnię 258 ha specjalnym porcie utrzymywanym na potrzeby policji i służb podległych Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Stamtąd komisarza zabrała nieoznakowana policyjna KIA. Kierowca próbował go zagadywać, na co Stańczyk odpowiadał grzecznie, ale potem zagłębił się w lekturze najnowszych raportów, których wstępne wyniki już znał. Z uzyskanych od operatorów komórkowych danych wynikało, że w promieniu 100 metrów od miejsca zbrodni w czasie jej popełnienia zetknęły się trzy numery telefonów. Jeden należał do Ochnik, drugi do wiceprezesa KDI - Karola Trybuchowskiego, trzeci był numerem pre-paid i mógł należeć do każdego. Numer ten był już nieaktywny, a aparatu nie można było zlokalizować. Jak tylko Stańczyk otrzymał to ustalenie, pojechał z jedną z współpracownic do siedziby KDI z zamiarem przeprowadzenia jak najszybszego przesłuchania świadka, który prawdopodobnie zaraz po tym spotkaniu awansuje na podejrzanego. Buty milionera, jego telefon, szantaż. Mamy i motyw, i wszystkie okoliczności. Będąc w drodze do KDI zadzwonił do prokurator przydzielonej do tej sprawy i poprosił o przygotowanie nakazu zatrzymania podejrzanego i wniosku do sądu o tymczasowe aresztowanie.

Była to młoda dziewczyna, z którą jak dotąd nie współpracował i której imię i nazwisko, ciągle wylatywało mu z głowy. Zdziwił się, że nadzór nad takim śledztwem został przydzielony tak młodej osobie, ale uznał, że to kolejna

przysługa Starego.

Pewnie chce, żebym sam prowadził śledztwo i żeby młoda nie przeszkadzała. I rzeczywiście, nie przeszkadzała.

Jak dotąd akceptowała wszystkie posunięcia Stańczyka, podpisywała wnioski bez żadnych pytań, upominając tylko, żeby dbał o formalności. Wie -dział, że muszą dopiąć sprawę na ostatni guzik, szczególnie jeśli podejrzany i późniejszym oskarżonym okaże się jakiś milioner. W sądzie będzie go bronił sztab prawników, który wykorzysta każde potknięcie. Generalnie

prokuratorzy i policjanci woleli trzymać się z dala od bogatych osób, których stać na obsługę prawną.

Stańczyk pamiętał, jak padały głośne sprawy z powodu błędów w zbieraniu dowodów. Wszystkie najgłośniejsze afery kończyły się umorzeniem albo przedawnieniem śledztw trwających po kilka lub kilkanaście lat. Tam, gdzie oskarżonych bronili znani adwokaci, prokuratura ponosiła często bardzo dotkliwe porażki. W sprawach o morderstwo było podobnie. Pamiętał też, jak w jednym z takich postępowań zabójca przyznał się początkowo do winy, więc policjanci zrezygnowali z przeprowadzenia dodatkowych badań genetycznych czy innych ekspertyz ograniczając się do wizji lokalnej, na której morderca z pewnością popełnił kilka drobnych i zapewne świadomych pomyłek, a potem na procesie odwołał przyznanie się do winy i powiedział, że go do tego zmuszono. Oskarżenie zostało bez dowodów i bez winnego.

Gdy powiedział pani prokurator o ustaleniach związanych z Trybuchowskim, ta przez chwilę wstrzymała głos.

- Proszę nie nie robić, dopóki się nie naradzimy - powiedziała.

- Dobrze - skłamał.

W siedzibie KDI nie było jednak szefostwa. Recepcjonistka poinformowała, że udali się do Warszawy na prezentację

jakiejś komputerowej firmy. Stańczyk zapisał w notesie potrzebne informacje. Hotel Sheraton, godzina 13-1, prezentacja Helios. Pół godziny później startował już z krakowskiego lotniska Rakowice-Czyżyny, a teraz jechał policyjną „taksówką” zakorkowaną ulicą. Do Sheratona dotarł już po 15. i bał się, że może nie zastać na miejscu prezesów KDI. W obrotowych drzwiach hotelu znajdującym się przy Placu Trzech Krzyży potracił go spocony i wyraźnie poddenerwowany mężczyzna.

- Spokojnie - próbował go zatrzymać i uspokoić, ale mężczyzna odepchnął go i odburknął:

- Uważaj, jak chodzisz.

Warszawska uprzejmość, psia wasza mać! W recepcji dziewczyna o słonecznym uśmiechu poinformowała komendanta z naturalnym wdziękiem, żeby nauczył się czytać, bo wszystko jest napisane na tablicy ogłoszeń.

-A lobby konferencyjne jest na pierwszym piętrze. Od zawsze i na zawsze. Stańczyk popatrzył po sobie.

Dlaczego wszyscy są dla mnie niemili? Może wyglądam jak łobuz albo jakiś menel?

W lobby odetchnął z ulgą. Przed salą z napisem: Konferencja Helios wciąż stała ładna hostessa, na stoliku leżały materiały reklamowe i wielka szklana bania na wizytówki. Przy ścianie poustawiano torby z podarunkami. Stańczyk wyjął swoją policyjną wizytówkę i wrzucił ją do bańki. Wszedł do zaciemnionego pomieszczenia i stanął obok dwóch mężczyzn w dobrych garniturach, którzy szeptali coś do siebie.

- ...Teodor pęka - usłyszał końcówkę zdania.

Mężczyźni spojrzeli na niego badawczo, a on ukłonił się. Stańczyk wiedział, że patrzy prosto w zdenerwowane twarze Karola Trybuchowskiego i Łukasza Rostowskiego.

Co za palant? Co za dranie? Dlaczego wszyscy są przeciwko mnie? Teodor Kozłowski w drzwiach Sheratona zderzył się z

jakimś misiowa-tym baranem, który jeszcze próbował go uspokajać. Miał szczęście, że Teodorowi się spieszyło.

Dzień ułożył się wyjątkowo podle. Najpierw to morderstwo, ogólne poddenerwowanie złą sytuacją na rynkach, na koniec telefon z prokuratury. Jakaś paniusia wzywała go na przesłuchanie w związku z Consulting Partners. Zeznawał już trzy razy, co jeszcze mógłby dodać?

- To my decydujemy, co pan może nam jeszcze powiedzieć - powiedziała oschle.

Zwykle byli miłsi. Uzgadniali z nim terminy wezwań, działali partnersko. Teodor miał złe przeczucia. Dlatego postanowił udać się do Karola i się z nim rozmówić. Reakcja przyjaciela jednak była daleka od oczekiwań.

Czyżbym zostawał sam na tonącym okręcie?

Wiceprezes KDI także poznał policjanta. Widział jego zdjęcia w internecie, gdy przeglądał materiały na temat śledztwa w sprawie Ochnik. Chcąc uniknąć zamieszania i ewentualnych nerwów Łukasza, złapał komisarza za ramię i pociągnął na zewnątrz.

- Czy możemy porozmawiać spokojnie na uboczu? Nie chciałbym wzbudzać niepotrzebnej sensacji - rzucił Karol.

- Oczywiście - Stańczyk wrzucił ramionami, choć był zaskoczony obrotem sprawy. Gdy stanęli w ustronnym miejscu, sięgnął do marynarki w celu okazania policyjnej legitymacji, ale Trybuchowski powstrzymał go.

- Wiem, kim pan jest. Wiem też, dlaczego pan tu przyszedł.

- Hmm. No więc???

- Chce się pan dowiedzieć, co robiłem przy Kopcu Kościuszki w czasie, gdy zamordowano Barbarę Ochnik.

Policjant wolno skinął głową.

- Ochnik ukradła z firmy pewne dokumenty. Szantażowała nas żądając dwóch milionów okupu. Pojechałem tam.

- Nie chciał pan zapłacić i wywiązała się kłótnia? - dokończył

Stańczyk.

- Przeciwnie. Pojechałem tam, żeby wręczyć jej pieniądze. I zrobiłem to.

- Po czym pan odjechał?

- Po czym odjechałem.

-I rano dowiedział się pan, że Ochnik została zamordowana, ale postanowił nie ujawniać swojej roli?

- Nie do końca. Usłyszałem o zabójstwie w CB Radiu. Zadzwoiłem do pana szefa, komendanta KWP w Krakowie, i poprosiłem, żeby wyznaczył do niej jakiegoś doświadczonego policjanta. Nie mam nic do ukrycia, ale muszę chronić firmę. Wie pan, jaka byłaby reakcja giełdy, gdyby ktoś rzucił cień podejrzenia, że mógłbym mieć z tą zbrodnią coś wspólnego? Samo zamieszanie z zabójstwem spowodowało spadek kursu o 4 procent. Gdyby ktoś podał informację, że podejrzanym może być wiceprezes KDI, kurs runąłby w dół.

- Ale pan zgłaszając się do nas nie byłby podejrzanym. Przynajmniej nie w takim stopniu jak teraz, gdy sami dotarliśmy do związku pana z tą sprawą.

- Nie zabiłem jej. Stańczyk puścił to mimo uszu.

- Co to były za dokumenty?

- Ochnik ukradła raporty kasowe i wewnętrzne sprawozdania stanowiące tajemnice przedsiębiorstwa.

- Raporty przecież miała jako księgowa.

- Nie wszystkie. Nie mogłem dopuścić, aby te dokumenty wpadły w łapy naszej konkurencji.

Kreći.

- Przecież jesteście spółką publiczną. Nie macie nic do ukrycia. Trybuchowski uśmiechnął się i trochę rozluźnił.

- Nie mamy, ale nawet spółka publiczna nie może ujawniać wszystkich informacji.

- To są dowody w sprawie morderstwa. Nie macie wyboru.

- One nic nie zmieniały. Przekazałem pieniądze, w zamian

dostałem do -kumenty. Tu moja rola się kończy. Proszę zauważyć, że nie mogłem być pewien, czy gdzieś nie ma ich kopii, więc taki motyw morderstwa nie wchodzi w grę. Ktoś inny ją zabił.

- Są jednak dowodem w sprawie. Będę zmuszony naciskać. Jeśli pan sam ich nie odda, zrobimy przeszukanie w firmie. To nie wyjdzie na dobre dla waszej reputacji.

- Przygotuję panu całą teczkę dokumentów. Proszę je przyjąć i nie robić nam i sobie kłopotu, ale ostrzegam....

- Grozi mi pan?

- Skąd. Dokumenty, które dostałem od Barbary zniszczyłem do razu po przyjściu do domu. Nie mogłem na nie patrzeć, a poza tym nie chciałem ryzykować ich ponownego zagubienia. Dlatego jestem szczerzy.

- Ja mam tylko zebrać dowody.

-A ja panu stanowczo mówię - zmienił ton Trybuchowski - że dobro -wolnie przekazuje Panu wszystkie fakty dotyczące tej sprawy.

- Zostawmy to. Czy ma pan pomysł, kto mógł to zrobić?

- Holdner. Andreas Holdner - wypalił.

Stańczyk szukał w myślach tego nazwiska. Coś mu mówiło.

- To makler, dość znany, w Polsce prowadzi spółkę Consulting Partners, która jest zamieszana w jakąś aferę w KNF.

- Już kojarzę. Zdaje się, że w tę aferę jesteście razem zamieszani. Express podawał...

- Express skłamał i odwołał swoje kłamstwa - przerwał Karol

- Ten tekst stał się przedmiotem sprostowania.

- Nie kojarzę.

- Oczywiście. Nikt nie zwraca uwagi na sprostowania. Są drukowane małym drukiem, gdzieś pod koniec gazety, a nie na pierwszej stronie, jak ich przedmiot. Ale proszę mi wierzyć, Express odwołał kłamstwa i napisał, że nie ma żadnych dowodów na potwierdzenie stawianych wcześniej

hipotez.

- Dlaczego zatem Holdner miałby zabijać waszą księgową?
- Dowiedział się o szantażu i próbował odkupić dokumenty. A kiedy Ochnik zdecydowała się je sprzedać, wkurzył się, zamordował ją i próbuje teraz to wykorzystać przeciw nam.

- To brzmi jak teoria spisku.

- Jak pan widzi prześcigamy się w takich teoriach. Taka już nasza finansowa natura.

- Ktoś jeszcze?

- Co ktoś jeszcze?

- Czy ktoś jeszcze pana zdaniem może być podejrzanym?

- Ten dziennikarz... - mruknął niegrzecznie Karol i kontynuował z przesadną wiarą we własne słowa - wie pan, próbował kupić materiały, a jak się nie udało, to stuknął nierzetelnego informatora. Żartuję. Nie wiem, czy miała wrogów. W pracy była spokojna, rzeczowa, pracowita. Nie wiem, dlaczego to zrobiła.

- Skąd pan wziął pieniądze na zapłatę okupu?

- Jak to? Jestem bogatym człowiekiem. Dwa miliony to bolesna strata, ale do przeżycia.

- Chodzi mi o to, jak je pan wyprowadził z systemu bankowego? Wypłacił z własnego konta czy firmowego?

- Może powinienem w tej sytuacji wezwać adwokata?

- Proszę bardzo. - Stańczyk wyciągnął komórkę - Chce pan kogoś z urzędu?

- Niech pan nie żartuje. Dobrze, adwokat nie będzie potrzebny. Pieniądze mieliśmy odłożone od dłuższego czasu na „czarną godzinę”.

- Proszę przygotować szczegółowy wykaz wypłat z tej puli. - zakończył Stańczyk - I proszę o dostarczenie dokumentów do nas. W przyszłym tygodniu oficjalnie wezwiemy pana na przesłuchanie.

Drzwi sali, w której odbywał się pokaz Heliosa otworzyły się i na korytarz wypłynęła fala ludzi w drogich garniturach i

krawatach. Każdy otrzymał torbę z prezentem. Większość przystawała jeszcze przy stołach z jedzeniem lub rozpoczęła kularowe rozmowy.

- Przepraszam, muszę lecieć - powiedział Trybuchowski. Komisarz skinął głową i podał mu dłoń.

- Proszę coś zjeść i wziąć torbę z winem. Prezent od firmy - zachęcił wiceprezes KDI.

- Dziękuję, ale wolę kebab.

Trybuchowski odszedł wyjmując z kieszeni telefon komórkowy i przykładając go do ucha.

Młodszy inspektor Stanisław Bełza, szef krakowskiej policji, musiał się bardzo starać, żeby nie nakrzyczeć na Karola Trybuchowskiego. Wiceprezes KDI od rana nie odbierał telefonów, nie odpowiadał na sms-y i nie próbował uspokoić jego obaw. Inspektor przez chwilę pomyślał, że zaufanie Karolowi było największym błędem jego życia.

- Przepraszam, ciągle mam spotkania - starał się uspokoić go przyjaciel - Właśnie skończyłem rozmawiać z twoim asem.

- Właśnie w tej sprawie dzwonię.

- Jest rzeczywiście dobry, tak jak mówiłeś. Bardzo szybko skojarzył wszystkie fakty.

- Nie wiem, czy uda mi się coś jeszcze zrobić w twojej sprawie - powiedział nieśmiało komendant.

- Jestem niewinny - zapewnił Karol.

- Wiem, ale nie wygląda to wszystko dobrze.

- Co masz na myśli?

Komendant nie mógł powiedzieć tego, co powinien. Ostrzeżenie przed możliwością tymczasowego aresztowania czy innymi działaniami, mogło zakończyć jego karierę. Ale milczenie także nie było najlepszym wyjściem..

- Musisz współpracować z policją w każdym zakresie. Nie daj nam pretekstu, żebyśmy traktowali cię jak podejrzanego.

Trybuchowski zrozumiał przekaz.

Przyjaciół poznaje się w biedzie. Szczególnie takich, od których zależała czyjaś fortuna.

- Mam wrażenie, że martwisz się bardziej niż ja sam - mruknął do mikrofonu - Jestem niewinny. Musisz mi pomóc.

Bełza miał rzeczywiście powody do zmartwienia. Sprawa Barbary Ochnik groziła wszystkim jego oszczędnościom.

Rozdział 16

*Obojętność to paraliż duszy,
to przedwczesna śmierć.
Antoni Czechow*

Prokurator Ewelina Talar prowadziła prywatne śledztwo. Przeglądając po raz kolejny akta sprawy Consulting Partners i robiąc w myślach notatki czuła się jak dziennikarz, któremu ktoś patrzy na ręce. Nie robiła notatek w komputerze firmowym ani w laptopie. Uznała to, w obecnych czasach, za zbyt niebezpieczne. Kupiła sobie za to porządny, gruby notes. Podzieliła go na części i co wieczór robiła spis ustaleń w odpowiednich rozdziałach. I wyciągała wnioski.

Niestety nie były one optymistyczne.

Zgodnie z jej obawami sprawa tych finansistów była nie tylko szyta grubymi nićmi, ale też prowadzona w wielu częściach z pogwałceniem prawa. Jeśli nawet była sprowokowana politycznie czy też stanowiła element jakiegoś większego śledztwa prowadzonego gdzieś w prokuraturze krajowej, ABW, Interpolu czy przez inne święte krowy, to nie powinno to tak wyglądać. Bo jak przyjdzie co do czego, to jej wydział beknie za braki. Ewelinie wcale nie marzyło się zesłanie do jakiejś prokuratury rejonowej i powrót do obrabiania drobnych, upierdliwych śledztw.

Dlatego wzięła sprawy w swoje ręce i postanowiła przygotować raport dla prokuratora generalnego. Zapiski z notesu miały jej pomóc, podobnie jak prywatne śledztwo.

Skupiła się na trzech rzeczach:

- zbadaniu podstaw zarzutów prokuratury w stosunku do Witolda Stypułkowskiego i Pawła Kutza, ewentualnego przebiegu sprawy, jej postępów i możliwości oskarżenia;
- rozwoju śledztwa w nieujawnionych dotąd kierunkach, co miało związek bezpośredni z zaangażowaniem ABW;

- zarzutów i możliwych późniejszych postępowań i śledztw w związku z zarzutami Holdnera i dziennikarza Zimnego.

W pierwszym punkcie, w którym pozornie powinna poczuć się najmocniej - ku własnemu zaskoczeniu pojęła, jak miałki są podstawy nie tylko aresztowania, ale i samych zarzutów czy też prowadzenia postępowania. Jeśli już, mogło ono być prowadzone w sprawie, a nie przeciwko konkretnym osobom, a już na pewno nie powinno być prowadzone z zastosowaniem środków przymusu bezpośredniego. Zarzuty realnie nie groziły wysokimi karami, bo do udowodnienia na obecnym etapie postępowania był właściwie tylko zarzut braków w prospekcie.

W historii Polski nikt nigdy jeszcze nie został skazany za nie umieszczenie jakiś wymaganych prawem informacji w prospekcie czy nawet kłamstwo. W tej sytuacji ewentualna kara nie uzasadniała użycia tak drastycznych środków. Obaj aresztowani wygraliby sprawy przed Europejskim Trybunałem Sprawiedliwości, a zważywszy na to, że byli bogaci, taki proces Polska miała jak w banku.

Aż dziw, że sędzia zgodziła się na zastosowanie aresztu. Gdyby wniknęła głębiej, od razu by się zorientowała, że działanie na szkodę skarbu państwa i podejrzenia manipulacji praktycznie nie mają żadnych podstaw. Z akt wynikało, że pierwszy z tych zarzutów opierał się na domniemaniu zaniżania wartości przejmowanych przedsiębiorstw. Problem w tym, że w każdym z wymienionych wypadków, Consulting Partners płaciło więcej niż inni oferenci, a czasem więcej niż żądali przedstawiciele skarbu. Druga sprawa manipulacji była poważniejsza, ale także szyta grubymi nićmi i praktycznie nie do udowodnienia. Obaj panowie mieli - według tego, co było napisane w aktach - doprowadzić serią nieuzasadnionych zleceń kupna sprzedaży do wzrostu wartości akcji spółki z branży chemicznej. Problem w tym, że ich linia obrony

trzymała się kupy. Kupowali akcje w celach długoterminowych inwestycji, a ewentualne korekty w postaci sprzedaży części akcji były ustalone z góry u brokera w obranej strategii in -westycyjnej. W żaden sposób nie można było tego zakwalifikować jako manipulacji, gdyby nie zeznania wystraszonego brokera, który powiedział to, co chcieli usłyszeć prokuratorzy. „ Tak, kazano mi tak dobrać strategię, bo klienci chcieli doprowadzić do sztucznego wzrostu. " To były jednak tylko jedne zeznania. A fakty nieubłagane świadczyły na korzyść podejrzanych. Ich zlecenia nie mogły samodzielnie wywołać wzrostu kursu. Wcale nie były znaczące. I najważniejsze: do dziś nie sprzedali tych akcji. Oczywiście to dla samego faktu manipulacji (gdyby nastąpiła), nie miało znaczenia, ale pojawiało się pytanie o motyw. Dla każdego sędziego brak motywu w tej sytuacji oznaczał dowód na niewinność!

Na dodatek postępowanie było jakby celowo prowadzone przewlekłe w celu jego przedłużania i nie miało praktycznie sensu. Czula się niezręcznie oceniając pracę własnego wydziału, ale nie miała wyjścia. Tylko w ten sposób ona sama mogła się obronić.

Jedyną szansą dla nich było postępowanie „świętych krów", ale ono mogło trwać latami. Ewelina wcale nie była pewna, czy coś przyniesie. Mało tego, wcale nie była przekonana, czy ono także nie jest jakimś mitem. Którejś soboty zadzwoniła do przyjaciela z Gdańska i poprosiła o pomoc. Piotr nie dopytywał o powody konspiracyjnego tonu.

- Sprawdź to proszę dla mnie. Zadzwonię za tydzień. Jednak on nie czekał tygodnia. Oddzwonił następnego dnia.

- Pytałaś mnie kiedyś: czy powinnaś sobie kupić książkę do nauki brydza czy też możesz zacząć grać bez przygotowania? Chciałbym ci powiedzieć tylko tyle: trzymaj się z dala od tej gry. To nie jest gra dla kobiet. Przepraszam za szczerość, ale taka jest prawda.

- Zapominasz chyba mój drogi, że w akademiku mieszkałam z mistrzynią Europy w brydżu i że ty z nią nigdy nie wygrałeś.
- Odpuść sobie. Nie rób absolutnie nic. Nic. Rozumiesz?
- Rozumiem.

Po kilku dniach otrzymała anonim wysłany - jak wynikało z pieczętki pocztowej, z Pruszcza Gdańskiego. Nadawca napisał:

„Sprawa wyjątkowo podejrzana i upolityczniona. Coś jest, ale wszyscy przerzucają się papierami z biurka na biurko. Każdy boi się podsłuchów i nie chce mieć z tym nic wspólnego. Wygląda na to, że ktoś puścił coś w obieg, a potem natychmiast zatarł ślady, żeby nie było wiadomo, że to on. Jest postępowanie na Mokotowie i jest coś u płatników, może być też jakiś nadzór z Lyonu. No i wszyscy następni orientowali się, że nadawca jest duchem, więc sami też starali się zostać duchami. W ten sposób powstał temat widmo. I tyle. Natomiast proszę pamiętać, że jak pojawia się morderstwo, to temat widmo może nagle szybko zyskać swoich protektorów, którymi wcale nie muszą być pierwotni nadawcy”.

Na Piotra zawsze mogła liczyć.

Mokotów to było ABW, płatnicy to albo wywiad skarbowy albo generalny inspektor finansowy, Lyon to Interpol. Temat widmo. Ewelina aż za dobrze wiedziała, o co chodzi w takich tematach. W sprawach trwających latami, które nigdy nie miały doczekać się rozwiązania. Czyli ABWtakże mogła to dmuchać... List spaliła w kominku.

Kilkakrotnie wybrała numer Zimnego, ale ostatecznie do niego nie zadzwoniła. Jeszcze nie teraz. Poczula dziwnie przyspieszone bicie serca na myśl o rozmowie z dziennikarzem i sama nie bardzo wiedziała, jak to sobie wytłumaczyć. Wieczorem, kiedy kochali się z Radkiem, złapała się na tym, że i wówczas też pomyślała o Zimnym. Miała poczucie winy. Chyba jednak nie kochała Radka. W

nocy w szlafroku wyszła na balkon i zapaliła pierwszego od dwóch lat papierosa. Potem usiadła przy komputerze domowym i po chwili wahania zalogowała się jako administrator z dostępem do wszystkich danych. Weszła do internetu. Czekając na uruchomienie przeglądarki przeszła na palcach do sypialni i sprawdziła czy jej mężczyzna śpi. Upewniwszy się co do tego, wyświetliła historię jego aktywności w sieci. Zobaczmy, jakie stronki cię rajcują?

Ale ani dziś ani w ciągu tygodnia Radek nie wchodził na strony pornograficzne. W historii odwiedzanych witryn z całego miesiąca także nie znalazła jakiegokolwiek podejrzanego aktywności. Najczęściej odwiedzał strony związane z biotechnologią, Onet i Wirtualną, kilka informacyjnych serwisów zachodnich, TVN24, jakąś internetową gazetkę, strony sklepów muzycznych. Nic specjalnego. Czegoś się spodziewała?

Przecież jej chłopak był najporządniejszym i najlepiej ułożonym mężczyzną jakiego w życiu знаła.

- Co ty robisz o tej porze?

Aż podskoczyła ze strachu słysząc jego głos i zaraz dostrzegając na ekranie odbicie sylwetki wpatrzonyj w jej plecy.

- Przepraszam, nie mogłam spać.

Wyłączyła komputer i wróciła do łóżka. Rano czekało ją dużo pracy związanej z trzecim wątkiem śledztwa.

Zimny starał się rozpisac najpierw zdarzenia na zasadzie schematu. Ale niewiele z tego wyszło. Przystąpił więc od porządnego wygooglowania Sławomira Klasyka. Szef KNF mógł liczyć nawet na ponad 18 tys. rekordów w globalnej sieci. Zimny zaznaczył opcję wyszukiwania grafik i obejrzał sobie zdjęcia przewodniczącego. Nigdy wcześniej nie przyglądał mu się specjalnie i teraz poczuł się nieco zbity z tropu. Zwykle politycy na takich stanowiskach mieli

wypisaną na twarzy profesję i kunktatorstwo. Klasyk nie wyglądał na polityka czy szefa. Niski, wystraszony, z uciekającymi w niebo oczami. Miał owalną twarz, wąskie usta, krótkie, przyлизane do głowy włosy, gęstą brodę. Trudno było przypisać mu jakiegokolwiek cechy przywódcze. Zwykły, szary, przeciętnie wyglądający urzędnik. Za to w dokumentach już było znacznie lepiej. Trzy książki z zakresu ekonomii, masa opracowań o tytułach trudnych do wymówienia dla przeciętnego zjadacza chleba. Opis w Wikipedii był krótki i rzeczowy. 35-letni były wiceminister, ekonomista, menadżer i szef KNF nie wyglądał na bandytę. Katolik, bezpartyjny fachowiec, może trochę technokrata. Żona i piątka dzieci. Kuba jeszcze raz popatrzył mu w oczy i westchnął ciężko:

Proszę mi wybaczyć panie Klasyk, ale muszę poszperać w pana życiu. Utworzył na pulpicie komputera teczkę o nazwie „klasyk”, a w niej trzy dokumenty. Otwierał poszczególne linki z wyszukiwarki i wklejał do odpowiednich zbiorów. Następnie utworzył teczkę „klasyk i kasa”, do której postanowił wrzucić wszystkie dokumenty finansowe. Oświadczenia majątkowe znalazł na stronie Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. W sumie cztery sztuki dokumentów: stan na dzień przed objęciem urzędu oraz coroczne sprawozdania. Pobieźnie przejrzał je, czując lekki wzrost ciśnienia przy rubryce dotyczącej posiadanych akcji. 8,9 mln zł w pierwszym roku, 10,2 mln zł w drugim, 9, mln zł w trzecim roku urzędowania. Hmm, rzeczywiście dużo. Klasyk był chyba najbogatszym aktywnym obecnie politykiem. Natknął się również na niepozornie zapowiadający się tekst z brukowca, który donosił wielkim na całą stronę tytułem:

SŁAWEK „KASA” KLASYK

W tekście opis oświadczenia majątkowego, akcji i milionów na koncie. Dlaczego jednak nie było tego w innych mediach?

Hmm, dziwne.

W przypadku osób znanych takie finansowo-aferalne newsy wyskakiwały na początku. Tym bardziej, jeśli pisała o tym prasa bulwarowa. Wrzucił zapytanie szczegółowe Klasyk+Fakt+giełda+miliony i także nie znalazł żadnych wyników. Zmodyfikował pytanie; ciągle nic. Chwycił za telefon i wybrał numer do jednego z redakcyjnych kolegów zajmujących się notowaniami na GPW.

- Cześć, czy wiesz coś na temat majątku Klasyka - zapytał bez zbędnego wstępu.

- Ty też? - zdziwił się kolega - Spokojnie, to nic nowego.

- Ja nie pytam czy nowego, po prostu chcę wiedzieć. Na czym tyle zarobił?

- Zainwestował na giełdzie.

-W jakie akcje? Miał rachunek w Krakowskim Domu Inwestycyjnym? Chwila milczenia.

- To całkiem możliwe. To znaczy tak pisano, ale z jego ust raczej nie padło potwierdzenie, choć pewien nie jestem.

- Ale pisano o tym?

- Tak. Zdecydowanie. Były co najmniej trzy albo cztery artykuły. Klasyk wszystko wyjaśnił i na tym sprawa się skończyła.

-Apamiętasz, kto pisał?

- Fakt i... Może coś skrobnął nawet Newsweek....

- Coś więcej, jakiś tytuł?

- Nie wiem. Ale mówię ci, nie ma co szukać... Kuba rozłączył się.

Niedobrze panie Klasyk, ktoś panu czyści pozycjonowanie, żeby rzeczy drażliwe nie wyskakiwały na początku.

Kuba pomyślał chwilę nad kolejnym zapytaniem i wpisał ciąg Klasyk+za-robil+giełda+uczciwie. Jest. Dopiero na trzeciej stronie wyników znalazł tekst z Super Nowin.

Minister milioner zarobił na giełdzie

Jeden z najmłodszych ministrów w historii Polski jest

zdecydowanie najbogatszym członkiem rządu i jednym z najzamożniejszych parlamentarzystów. W ubiegłym roku jego majątek był szacowany na - bagatela - 10 milionów złotych. Minister przez dwa dni nie chciał nam ujawnić, w jaki sposób zgromadził taki majątek. Potem przesłał krótkie oświadczenie, że jest ono wynikiem inwestycji giełdowych. Odmówił podania bliższych szczegółów...

Zimny szukał dalej. Co ciekawe Superak kontynuował temat przez trzy dni, żądając wyjaśnień i w końcu się ich doczekał. Klasyk wyjaśniał, że zainwestował w akcje jednej ze spółek, których wartość potem niebotycznie wzrosła. Bez szczegółów. Prawie 500oprocent zysku?

Takiego zarobku nie osiągały najlepsze giełdowe rekiny. Zwykle napastliwy dziennik, tym razem jednak nie atakował ministra i nie dociekał, dlaczego zysk z akcji był tak duży. Co ciekawe też całkowicie zmienił ton. Nie pisał: Klasyk tłumaczy się, bo gazeta tego się domagała, tylko: Klasyk ujawnia nam tajemnice swojego majątku. W treści sugestie, że skoro tak dobrze inwestował swoje pieniądze, to można mu ufać także w sprawach publicznych. Czyli nie ma afery.

Zimny nie doszukiwał się tu jednak jakiegoś spisku. Po trzech atakujących artykułach Klasyk odkrył karty, uchylił rąbka tajemnicy, a gazeta uznała, że to jej wystarczy. Dlaczego jednak żadne inne media się tym nie zainteresowały? Kuba próbował sobie przypomnieć, co robił w tamtym czasie, że zupełnie nie zwrócił uwagi na ten temat. To było jakoś w maju lub czerwcu. Afer mieliśmy dosyć - PZU, Starachowice, Olewnik, Mazur i Papąła. On zajmował się sprzedażą za bezcen spółek przetwarzających aluminium. Prywatyzacja dla wybranych. Późniejsze artykuły na temat Klasyka to już sam miód dla uszu. Ulubieniec premiera. Superfachowiec w supernadzorze. Przestępcy drżą przed Klasykiem. Inspektor Klasyk.

Wszystko na pierwszych stronach wyszukiwarki. Bohater

pozytywny. Może nawet przyszły prezydent albo premier.

Zimny wybrał numer do Grubego, przyjaciela z dawnych lat, który specjalizował się w sprawach internetowych. Gruby był jednym z pierwszych twórców stron www w Polsce i miał internet w małym palcu. Kuba podejrzewał też, że kumpel czasem zabawia się w hakera, ale Gruby zawsze zaprzeczał.

- Co tam, Zdzychu? - ucieszył się Grubas. Zawsze tak nazywał Kubę, chociaż ten nigdy nie dowiedział się dlaczego.

- Czy można tak pozycjonować informacje o sobie, żeby Google podawały tylko pozytywne wyniki?

- Hmm..., można. A co, chcesz się komuś przypodobać? Zimny zignorował żart.

- To prosta sprawa?

- Nie do końca. I do tego kosztowna.

- Jak to? Google to sprzedaje?

- Nie. Działają uczciwie, choć oczywiście można też wykupić pozycjonowanie. Jednak to nie działa na zasadzie usuwania innych wyników. Ale można zatrudnić firmę, która specjalizuje się w takich usługach, a ona czyści mu internetowe kartoteki.

- Myślałem, że jak coś weszło do internetu, to już nie przepadnie.

- Wszystkim da się manipulować. Są sposoby.

- Jakie?

- Można na przykład nastawić roboty spamowe, żeby atakowały artykuł, którego byśmy więcej nie chcieli oglądać. Wyszukiwarka Google przestaje taki tekst indeksować. Można też zatrudnić hakera, żeby delikatnie zmieniał tagi w kodach czy same kody stron.

-A można sobie z tym poradzić, ot tak, z marszu albo czy może to się stać przypadkiem?

- Wykluczone. Uff!

Zimny zostawił na chwilę Klasyka. Chwycił za telefon i wybrał numer do kolejnego ze starych przyjaciół.

Informator Zimnego z KNF na pierwsze spotkanie w ogóle nie przyszedł. Zadzwoił po tygodniu i przeprosił. Umówili się kolejnego dnia w jakiejś mało uczęszczanej spelunie i tym razem jego znajomy się pojawił. Przez telefon rozmawiali oficjalnie, ale gdy spotykali się osobiście szybko przechodzili na ty. Nie kryli do siebie sympatii. Sześć lat temu odwiedzili wspólnie nawet parę knajp, a jego nowy znajomy umówił się z siostrą Zimnego na randkę. Dziś, z tego co wiedział dziennikarz, facet był już szczęśliwym małżonkiem i ojcem dwójki dzieci. Zaszedł też dość wysoko w strukturach Komisji, choć starał się nie rzucać w oczy.

- Zawód dyrektor to nie dla mnie. Jestem fachowcem. Lubię swoją robotę - mawiał.

Wymienili trochę uprzejmości, pożartowali, ale rozmowa nie kleiła się. Zbyt dużo czasu upłynęło. Zbyt wiele zaczęło ich dzielić. Zimny postanowił więc przejść do rzeczy.

- Skąd miałeś informacje, że Holdner to gangster?

- Przecież wiesz, że nie mogę ci powiedzieć.

- Nie wiem. Wszyscy w tej sprawie zasłaniają się tajemnicą, a ja błędzę jak dziecko we mgle. Nie wiem, komu ufać i w co wierzyć. Bo... ja po prostu wam nie wierzę.

- Dlaczego?

- Poznałeś Holdnera?

- Nie - przyznał przyjacieli.

-I tak łatwo ci przyjąć, że to gangster? Człowiek mafii? Ruskiej mafii? Urzędnik wzruszył ramionami.

- Powiedziałem ci, co słyszałem. Wiara tu nie ma nic do rzeczy.

- Powiedziałeś to tak, jakbyś był tego pewien. A ja poznałem Holdnera i jego ludzi.. Wyglądają jak ty i ja. Niczym się nie różnią.

- Gdyby mafiozi mieli wypisane na czole kim są...

- Chyba jednak często mają wypisane. Ale niemożliwe, żeby

taka informacja w tym wypadku się uchowała, żeby nie było plotek, insynuacji, podejrzeń. Po prostu niemożliwe.

- Do czego zmierzasz?

- Skąd miałeś taką informację?

Kolega zamyślił się, potem spojrział prosto w oczy Zimnemu.

- Nie nagrywasz?

- Nigdy nikogo potajemnie nie nagrywam. A już na pewno nie ciebie.

- Klasyk zorganizował spotkanie dyrektorów i powiedział im, że takie info ma z ABW. Mieliśmy zrobić wszystko, żeby nie doszło do oszukania niewinnych inwestorów. Ale było za późno, żeby przerwać zapisy na akcje, więc powstrzymano ich debiut giełdowy. To była pierwsza taka sytuacja w historii giełdy. Szef oczekiwał od nas działań pozaproceduralnych i... tak się stało. To wszystko. Działaliśmy w dobrej wierze.

- Jak dokładnie wyraził się przewodniczący?

- Dokładnie tak, jak ci powiedziałem. Że to przestępcy powiązani z ruską mafią przez spółki na Cyprze.

-A co ty o tym sądzisz?

- Pytasz mnie o prywatne zdanie?

- Prywatne.

- Chyba trochę przesadził. Co nie znaczy, że to postaci kryształowe. Holdner ma coś za uszami. Ale z ruską mafią chyba nie ma wiele wspólnego. Niemniej jednak nie miałem podstaw do kwestionowania tego, co mówi przewodniczący. Poza tym zablokowaliśmy tę emisję nie bez przyczyny. Postępowanie nie wzięło się z niczego.

- Więc po co Klasyk to powiedział? To był... wyrok. Bez sądu.

- Jego zapytaj.

Nie było sensu dalej pytać. Przyjaciel nie mógł pomóc.

- Dzięki. Doceniam to, co zrobiłeś.

- Słuchaj. Przepraszam cię bardzo, ale... nie dzwoń do mnie przez jakiś czas. Zimny doskonale rozumiał, że tamten wiele ryzykował.

Nad Warszawą zapadał już zmrok, gdy Andreas Holdner parkował swojego volkswagena na Polach Mokotowskich, jakieś sto metrów od lokalu Jeff's, w pobliżu bocznego wejścia na ogromny teren klubu sportowego Skra.

Osoba, z którą się umówił znalazła miejsce tuż obok niego. Człowiek ten poruszał się po Warszawie luksusowym, ale nie rzucającym się zbyt w oczy modelem Peugeota. W przeciwieństwie do wielu innych milionerów nie afiszował się pieniędzmi, kobietami i nie miał ambicji, by kupić sobie Chelsea czy choćby Legię Warszawa. Przywitał się z Niemcem jak zwykle wylewnie, ale był wyraźnie nie w sosie.

- Męczy mnie już ta twoja sprawa - wyznał w końcu - Rozumiem, że chcesz ją doprowadzić do końca, ale powinienes to jakoś przyspieszyć.

- Robię, co mogę - rzucił krótko Andreas.

- Tylko co mi z tego? Nasze sprawy w Berlinie stoją w miejscu. W Szwajcarii dwa razy odwoływałeś spotkanie z Marcellem. Dzwonił do mnie. Już nie chcę wspominać, że mieliśmy na poważnie wziąć się za sprawy w Londynie. Jak ty masz kłopoty, to i ja mam kłopoty. Pozwól sobie pomóc. - I co zrobisz?

- Poproszę kogo trzeba, żeby się tym zajął.

- To tylko pogorszy sprawę - pokręcił głową Andreas - Jeszcze popełnią jakiś błąd i będzie podstawa do ataku na nas. Prasa będzie miała używanie. Zobaczcie, jednak mieliśmy rację. To pograży Witolda i Pawła.

- Nic mnie nie obchodzą Witold i Paweł.

- To moi przyjaciele.

- Za droga ta twoja przyjaźń. Za wysoko cenię twoje umiejętności. Nie powinienes ich marnować na jakieś osobiste utarczki z polskim rządem.

- To nie rząd ze mną walczy. To kilku skurwysynów, drobnych urzędasów - łapówkarzy i biurokratów. Oni nie

mają nic wspólnego z rządem.

- Ok. Rób jak chcesz. Ale proszę, żebyś ten problem zamknął w ciągu miesiąca.

Holdner skinął tylko głową.

- Dobrze. Przejdźmy do naszych spraw.

Rozmowa trwała jeszcze około godziny. Zmęczony i wyraźnie nie usatysfakcjonowany przyjaciel powolnym krokiem odszedł w stronę peugeot. Andreas poczekał aż ten odjedzie, a potem wysiadł z samochodu i ruszył w głąb Pól Mokotowskich.

Dobrze znał ten park. Był stosunkowo bezpieczny nawet w późnych godzinach nocnych, dlatego Andreas nie obawiał się spaceru bez broni czy gazu w kieszeni. Potrzebował chwili na zastanowienie.

Co jeszcze mogę zrobić?

Przypomniał sobie jak po naradzie z Zimnym z zapalem przystąpili do ataku. Czuł, że wstępują w niego nowe siły. Nowa wiara. Choć dziennikarz nie wydawał mu się specjalnie istotnym sprzymierzeńcem, Niemiec nie czuł się aż tak strasznie osamotniony i zlekceważony. Niestety, musiał jeszcze natchnąć zapalem pracowników.

- Walczymy z hydrą, co jest naszym głównym problemem - Andreas łypnął na zgromadzonych wokół niego pracowników, w ramach kolejnej sesji burzy mózgów.

Hydrze odrastają wciąż nowe głowy; udupili nas, dwaj członkowie zarządu siedzą w pierdłu, rynek boi się robić z nami transakcje - zespół Consulting Partners zaczął przekrzykiwać się, wrzucając coraz większy ciężar na plecy Holdnera.

Dlaczego tak szybko rezygnują z walki?

- Łatwo być szydercą, jednak dużo trudniej o konstruktywne rozwiązanie problemu. Nie jesteśmy w przedszkolu. Przypominam, że stawiamy sobie za cel zatrudniać wyłącznie osoby, które są w stanie samodzielnie rozwiązywać

problemy. Myślcie i działajcie! Nie czekajcie na polecenia.

Nikt się nie odezwał. Holdner westchnął ciężko.

- Żeby znaleźć właściwą odpowiedź, konieczne jest postawienie właściwych pytań. No więc wracamy do pytania - co jest naszym największym problemem? Moim zdaniem problemy są trzy:

Po pierwsze - urzędnicy wiedzą, że tematyka informacji zawartej w prospekcie jest zawikłana. Co jest istotne a czego nie da się ocenić? Wtedy władza oceniającego urzędnika rośnie. Oni o tym wiedzą i dlatego starają się z tego uczynić sprawę prawie tak skomplikowaną, jak latanie w kosmos. W efekcie, gdy chodzi o nasze przewinienia, roztrząsany jest każdy najbardziej bzdurny szczegół, a KDI nie musi się takimi sprawami w ogóle przejmować jadąc ostro, po drugiej stronie bandy.

Z drugiego problemu zdałem sobie sprawę niedawno. Nasze zarzuty są tak poważne, że aż absurdalne. Problemem jest wiarygodność. Czy nie znając tematu potrafcie sobie wyobrazić, że urzędnicy w takim urzędzie jak KNF mogą być tak nieuczciwi? To nie mieści się w polskiej mentalności, która zawiera w sobie wiele uległości wobec władzy. Niemcy uczą się w szkole świadomości obywatelskiej, wiedzą że władzę trzeba kontrolować. Polacy widzą to inaczej - psioczą na władzę, ale rzadko decydują się na realną kontrolę jej poczynań..

No i po trzecie: brakuje nam sojuszników. Przecież nie wszyscy urzędnicy są źli i skorumpowani. Ludźmi łatwo manipulować; są z natury leniwi, nie zawsze chce im się dociekać prawdy. Często obawiają się zadawać pytania. Mamy więc za mało sojuszników w tej walce.

- Rozwiązania? - zapytał jeden z prawników.

- Życie samo nam je podsunie... Mój pomysł to benchmarking..

Zarządzający portfelem zawsze używają tego narzędzia. To,

ile zarobiłeś w bezwzględnych liczbach, to jedna kwestia. Jednak gdy jest hossa, każdy zarabia, a gdy jest bessy, prawie każdy traci. Żeby więc móc ocenić wyniki zarzą -dzających, wynik portfela często porównywany jest do określonej klasy aktywów - najczęściej jest to indeks giełdowy. Wtedy łatwiej o obiektywne porównanie. Żeby uciec od arbitralności, my również musimy znaleźć nasz benchmark. W zasadzie już go znaleźliśmy.

- To KDI - pracownicy szybko zrozumieli myśl wiceprezesa.

- Właśnie. KDI to przecież lider rynkowy - twarz Andreasa rozświetlił grymas uśmiechu - Tak przeszkolony, że śmiało można zakładać, że to, co oni robią, jest wzorem do naśladowania. W porównaniu do tego, co wyprawia KDI, nasze wydumane naruszenia nareszcie zostaną włożone w jakąś sensowną perspektywę. Albo Consulting Partners jest dobre albo KDI stokroć gorsze i wtedy urzędnicy będą musieli atakować swoich pupili.

- Ich relacje mogą zostać wystawione na naprawdę ciężką próbę.

- Chcę, by na biurka wszystkich osób zaangażowanych w tę sprawę po stronie urzędów trafiły pisma z opisem działań KDI - polecił pracownikom. - Mają dostawać krótkie, rzeczowe pisma, z jasnym opisem działań podejmowanych przez KDI. Jeden problem - jedno pismo z ogólnym przesłaniem, że to nie my tu łamiemy prawo. Do każdego pisma ma też być dołączona parafka, kto jeszcze je otrzymuje.

- Mamy opisywać każde ich naruszenie? - skrzywił się główny analityk - Będzie tego dużo. Uznają nas za pieniaczy i szaleńców.

- Nieprawda. Walczymy ich własną bronią. Biurokracją. My każdym pismem od nich możemy podetrzeć sobie tyłek, bo dla nas nie mają już żadnego znaczenia. Doszło do piramidального nieporozumienia, przez które musimy

walczyć z urzędem. To chore, ale nic na to nie poradzimy. Skoro nas do tego zmusili, walczmy najlepiej, jak potrafimy.

-A jak po prostu przestaną czytać.

- Wątpię. Urzędnik, co najmniej w teorii musi reagować na nieprawidłowości. Więc nie reagować to ryzykować. Z drugiej strony KDI i ich przyjaciele z urzędu, zbyt dużo o sobie wiedzą. Nie będą więc mogli zrobić im krzywdy. Ale inni urzędnicy, rynek, ludzie z wymiaru sprawiedliwości z czasem zaczną nabierać wątpliwości. Nie ma przecież dymu bez ognia.

Analitik pozostawał nieprzekonany.

- Ty tu rządysz - jęknął. Andreas popatrzył na niego zimno.

- Jak chcesz coś zrobić, żeby tylko zrobić, to nie ma to najmniejszego sensu. Masz patrzeć przez pryzmat celu i efektu. I działać zgodnie z założonym planem.

- Przepraszam - pracownik podniósł ręce w obronnym geście

- Od czego zaczynamy?

Tego samego dnia Holdner poprosił o pomoc ambasadę Niemiec w Warszawie, kilku przyjaciół w Berlinie i Bonn. Napisał krótkie pismo, które asystentki miały rozesłać do wszystkich fundacji i organizacji pozarządowych zajmujących się łamaniem prawa.

Na koniec zdecydował się zawrócić głowę Sorosowi, którego poznał jakieś piętnaście lat temu. Wszystko na nic. Na razie.

Do tego zadałeś się z dziennikarzem, który cię źle opisał.

Czy można mu ufać? - tego jeszcze nie wiedział. Wyjaśni się to jednak dość szybko. Konfrontacja z faktami jest najlepszym testem dla ludzi i papierkiem lakmusowym ich charakteru - zobaczymy.

Kurewski świat!

Witold i Paweł wciąż siedzieli w pudle. Przez niego. Przez jego nieostrożność.

Idąc teraz przez Pola Mokotowskie Andreas poczuł chłód i zerknął na piękne, czyste niebo.

Niebo gwiaździste nade mną i prawo moralne we mnie* - uśmiechnął się do własnych myśli. W XVIII wieku proste myśli sprzedawały się równie dobrze jak teraz.

Minął jakąś parkę gorąco obłapiającą się na ławce i pijanego studenta wracającego do akademików Uniwersytetu Warszawskiego przy Żwirki i Wigury. Andreas odprowadził go wzrokiem. Dwa smutne, szare wieżowce szpeciły cały krajobraz jednego z największych zielonych kompleksów Warszawy.

Kiedy już zamierzał ruszyć w drogę powrotną zobaczył trzech lekko podchmielonych dresiarzy zmierzających w stronę Alei Niepodległości. Chcąc uniknąć spotkania z nimi skręcił w ślepą uliczkę, ale ruszyli za nim.

- Hej gościu!

Andreas nie odwrócił głowy. Zszedł ze ścieżki w kierunku drzew. Może odpuszczą.

- Gościu - powtórzył wołający - Kopsnij szluga.

Andreas zatrzymał się. Kątem oka zobaczył, że jeden z mężczyzn podbiegając zablokował mu drogę do najbliższej uliczki, odcinając ewentualną drogę ucieczki. Drugi okrążył go z drugiej strony. Ten, który krzychał, wyszarpnął coś spod dresu i powtórzył.

- No już, wyskakuj ze szlugów.

Andreas zatrzymał się i ocenił sytuację. Każdy z tych trzech mężczyzn był mniej więcej o trzydzieści kilo cięższy od niego. Najgłośniejszy z nich wyglądał na przywódcę, ale człowiek z prawej miał zdecydowanie więcej „mięśni” i zapewne najmniej rozumu. Wszyscy byli krótko ostrzyżeni i mieli wypisane na twarzy: nie zadzieraj z nami!

I nie próbuj stawiać oporu!

Andreas nie zamierzał zadzierać. Było jednak jasne, że jeśli nawet odda im wszystko co ma, sprawa i tak zakończy się mordobiciem. Poza tym, nie mógł oddać im tego, co miał.

* *myśl Immanuela Kanta, niem. Filozofa (1724-1804).*

Po prostu.

Wołający miał do niego jakieś dziesięć metrów, ten po lewej jeszcze więcej. Najbliżej, bo na pięć kroków był mięśniak. I nie miał bronii. Rozłożył ręce szeroko i uśmiechnął się złowieszczo, gdy Andreas zrobił dwa kroki w jego kierunku. Sekundę później Niemiec zanurkował pod silnym prawym sierpowym i wymierzył z byka w klatkę piersiową osiłka. Łysy zachwiał się, ale nie upadł. Andreas kopnął go dwa razy pod lewe kolano i potężnie uderzył w policzek, wbijając niemal po rękojęść w jego twarz kluczyk od volkswagena. Przeraźliwy skowyt zatrzymał tego z lewej, który ruszył na pomoc koledze. Andreas odwrócił się do napastnika i z szybkością dobermana znalazł się na odległość ciosu. Zaatakował bez wahania, pierwszy, tym razem kopnięciem w okolice mostka. Nie był w stanie ocenić precyzji ciosu, ale usłyszał wyraźnie pękające kości, co oznaczało, że drugi przeciwnik także został wyeliminowany z gry.

Ostatni osilek stał na ścieżce i patrzył oniemiały, jak jego dwóch kolegów zwija się z bólu, rażonych ciosami tego cherlawego gogusia w okularach i garniturze, który mógł mieć co najwyżej metr siedemdziesiąt wzrostu i sześćdziesiąt kilo wagi. Co jest, do cholery?

Andreas okrążył go i zbliżał się od strony ulicznej latarni. Przypominał drapieżnika szykującego się do ataku. Teraz zobaczył, że przedmiot, który trzyma napastnik, to młotek. On miał tylko kluczyki od samochodu. Kiedy podbiegł na dwa, trzy metry, dresiarz zrobił w tył zwrot i rzucił się do panicznej ucieczki. Andreas gonił go jakieś dwadzieścia kroków i pewnie by mógł dopaść, ale zrezygnował.

Dalsza walka nie miała sensu i była niepotrzebnym ryzykiem. Andreasowi bardzo dużo płacono za właściwą ocenę ryzyk i ich ograniczanie. Dlatego odpuścił.

Szybkim krokiem ruszył w kierunku swojego samochodu.

Rozdział 17

*Prawda leży pośrodku
- może dlatego wszystkim zawadza.*

Arystoteles

Gdy Jakub Zimny nie wiedział, jak rozwiązać problem, odkładał go po prostu na później. To była szczególna cecha jego charakteru. Cecha, której nienawidził i przez którą czuł się podle. Jak ostatni szubrawiec.

Nie był bohaterem. Nie był rycerzem w lśniącej zbroi. Starał się być dobrym człowiekiem, ale ilekroć napotykał problem, dylemat moralny czy etyczny, po prostu uciekał. Brzydził się potem sobą przez miesiąc, następnie starał się naprawić błąd, a kiedy występował kolejny problem, znów uciekał. Cynik. Egoista. Padalec. Twoje życie jest nic niewarte. Tak samo chciał uciec od Holdnera, KNF, księgowej i całego tego baj-złu. Pech polegał na tym, że z problemu uciekł w książkę i że akurat w jego rękach znalazła się powieść Stiega Larssona. Każdy kolejny rozdział przemawiał do niego, zdając się mówić, że to nie przypadek zetknął ich ze sobą.

Niezwykłe wciągająca historia dziennikarza niezależnego pisma Millennium - Mikaela Blomkvista, który przegrawszy proces o zniesławienie ze znanym przedsiębiorcą - oszustem bierze na siebie zlecenie zbadania historii pewnego zaginięcia, które zapewne jest morderstwem. Ma za to otrzymać sowite wynagrodzenie, ale znacznie bardziej przemawia do niego obietnica pomocy w przyszłej walce ze wspomnianym przedsiębiorcą - oszustem, którą składa zleceniodawca.

Wiele różniło go od Blomkvista, ale Zimny czytając książkę zaczął odnosić nieodparte wrażenie, jakby czytał swoją historię. Także trafił na intrygujący temat związany ze

znanym przedsiębiorcą Maciarzem, który skończył się dla niego kłopotami. Także „wszedł” po tym w inną sprawę, która oka -zała się po części sprawą o morderstwo księgowej, a jej wyjaśnienie mogło doprowadzić do wielkiego skandalu na rynku finansowym. Oczywiście, książkowa, szwedzka rzeczywistość znacznie się różniła. Nie miał też do pomocy Lisbeth Salander, która przesądziła o sukcesie dziennikarskiego śledztwa Blomkvista i samej książki Larssona.

Chyba że to Holdner będzie moją Salander?

W gruncie rzeczy Niemiec miał wiele wspólnego z bohaterką książki Larssona. Choć daleko mu było do hakerki, był równie - w oczach Zimnego

- aspołeczny, pełen tajemnic i trudny we współpracy. Czy zatem Andreas Holdner na końcu tej opowieści okaże się przestępcą? Zimny czuł jednak instynktownie, że to jemu należy pomagać, a nie dybiącym na Niemca urzędnikom czy maklerom z KDI.

Może to będzie moja największa życiowa pomyłka, ale w końcu muszę wybrać stronę szachownicy i kolor pionków.

Cała sprawa wciąż była trudna do logicznego wyjaśnienia - wielowątkowa i skomplikowana. Trudno było ocenić, kto jest zły a kto dobry. Czy chociaż oddzielić szarość od całkowitej czerni. Zimny mógł polegać w wielu kwestiach tylko na własnej intuicji.

Mylić się jest rzeczą ludzką. Ale w tym wypadku pomyłka mogła zaprowadzić go nawet do pudła za utrudnianie śledztwa czy też współpracę z prze -stępca.

Kurwa. Nie robisz nic złego. Nikt nie może ci zabronić dążeń do wyjaśnienia sprawy człowieka, który nie siedzi w więzieniu i - o ile wiesz - nie jest oficjalnie ścigany przez prawo.

Holdner. Cała ta historia miała pełno dziur?

A zapowiadało się tak prosto - mruknął pod nosem Zimny,

układając sobie to jeszcze raz w myślach.

Spółka giełdowa trafia pod lupę organów ścigania za oszustwa. Jej zarząd zostaje aresztowany. Wszystko wydaje się takie proste. Ale pojawia się Holdner, który powinien siedzieć w pudle a nie siedzi i twierdzi, że ta cała akcja - może nawet włącznie z tekstem Zimnego jest elementem jakiejś prywatnej wojny toczonej od lat z Krakowskim Domem Inwestycyjnym. Gdyby to była prawda, a przeciwnik do prywatnych sporów wykorzystał wysokich urzędników państwowych i niezwykle ważny urząd centralny o uprawnieniach prokuratorskich, to oznaczałaby niewyobrażalny skandal.

Ale przecież nie może być prawdą. Teoria spisku bez żadnych podstaw. Czyżby? To skąd groźby i potwierdzające je donosy od Holdnera do KNF, na które nikt nie reaguje, za to wszczyna postępowanie przeciwko Holdnerowi poniekąd wykonując wcześniejsze groźby (chyba że to przypadek?) Skąd te przekłete szkolenia za grubą kasę i cała nagonka w sprawie? Skąd informacja o nie do końca uzasadnionych lub nieudokumentowanych pomówieniach o gangsterskich powiązaniach Holdnera i jego przyjaciół? No i wreszcie clue sprawy - morderstwo księgowej, która chciała ujawnić rzekome machlojki KDI.

Być może Consulting Partners mieli coś za uszami, być może Holdner nie był świętoszkiem, ale ich zarzuty brzmiały znacznie poważniej. I się potwierdzały. Poza tym Holdner nikogo nie zamordował. Przynajmniej Zimny nie

o tym nie wiedział. Holdner miał zdecydowanie rację z prospektami. To było dziwne, że jedna spółka ma takie fory w komisji. Zimny z mozołem zaczął sprawdzać dokumenty dotyczące samego sporu CP z Komisją. Analiza dokumentacji nie pozostawiała wątpliwości. Urzędnicy wyraźnie atakowali spółkę, zamiast rozpatrywać jej sprawę. Działo się tak już od wielu miesięcy przed aresztowaniem prezesów. Dlaczego?

Dlaczego Consulting Partners nie interweniowała wcześniej, nie próbowała pisać skarg czy też pójść do mediów?

Łatwo powiedzieć. Pewnie nie wiedzieli, że tak się to skończy.

Zimny, nie chcąc się rozpraszać, dopiero koło czwartej po południu wszedł do skrzynki e-mailowej i natychmiast zamarł. Wśród kilkudziesięciu nowych wiadomości jedna szczególnie rzuciła mu się w oczy, z ozna -czeniem „pilne” i wpisem w oknie tematu: pozdrowienia z zaświatów

W liście nie było żadnej treści poza załącznikami: kilkoma dokumentami w pdf i spakowanymi zipem plikami „ważącymi” kilkanaście megabajtów.

Czuł jak drży mu ręka. Dobrze znał adres moneyroot8@wanadoo.ffr

To właśnie z niego kilka razy pisała do niego zamordowana księgowa KDI, Barbara Ochnik.

Mężczyzna był wyraźnie zdenerwowany, co Ewelina Talar wzięła za dobrą monetę. Nie uzgodnione z „górami” dodatkowe przesłuchanie Teodora Kozłowskiego mogło zakończyć się dla niej bardzo źle. Jednak jeśli dobrze to rozegra, Kozłowski nie będzie miał podstaw do protestów czy interwencji, więc może nikt się nawet o tym nie dowie. Oczywiście sporządzi protokół i dołączy go do akt, ale za kilka tygodni tylko ktoś bardzo skrupulatny bę -dzie mógł się zorientować, że czwarte przesłuchanie nie powinno mieć w ogóle miejsca. Śledztwo wyraźnie stanęło i mało kto się nim już interesował.

-O co chodzi? - zapytał Teodor Kozłowski poprawiając się na niewygodnym krześle.

- Chcieliśmy doprecyzować parę kwestii związanych z waszymi zarzutami.

- Przecież wszystko wiecie - powiedział niegrzecznie Kozłowski. Macie tezy, do was należy zebranie dowodów.

- Wiem, co do nas należy. Jednak podejrzani bronią się, że

wcale nie musieli ujawnić transakcji z podmiotem związanym z członkiem rady, bo to nie było wymagane prawem. Powołują się na jakiś unijny dokument i zapis mówiący, że te przepisy nie dotyczą dawców kapitału tylko osób, do których trafiają pieniądze ze spółki.

- To bez znaczenia. Naszym zdaniem wymogi są jasne.

- Oni twierdzą, że mają chronić przed wyprowadzaniem pieniędzy z firmy, a nie są tak istotne, w wypadku pozyskania finansowania, bo tu nie ma ryzyka malwersacji.

- To kpina! Tworzą zobowiązania na 20 milionów i nie mają tego ujawniać?

- Zobowiązania przecież ujawnili. Nie ujawnili tylko, w stosunku do kogo je mają. Co to ma za znaczenie czy pożyczyci od znajomego czy od banku PKO.

- Powinni wszystko ujawnić. Prawo jest prawem.

- Oczywiście. Po prostu chcemy to doprecyzować. Ewelina jeszcze przez parę chwil starała się uspić jego czujność, ale było jasne, że z czasem zdenerwowanie dyrektora może tylko wzrosnąć.

- Chcemy też zapytać o to - wypaliła, wyjmując na stół archiwalny numer Expressu Finansowego z tekstem Zimnego o kontrataku Holdnera - Co pan może nam o tym powiedzieć?

Dyrektor pobladł.

-A co tu mówić? Czytała pani sprostowanie?

- Chodzi panu o wyjaśnienie w ramach ugody procesowej?

- No, tak.

- Czytałam, ale tam nie ma żadnego sprostowania w sprawie szkoleń.

- Nie złamałem prawa i wykonywałem swoje obowiązki edukacyjne.

- Szkoląc petentów za takie pieniądze?

- Nie będę odpowiadał na takie insynuacje - Kozłowski poderwał się z miejsca.

- Niech pan usiądzie. To luźna rozmowa. Chyba, że woli pan, żebyśmy wydzielili tę sprawę do oddzielnego postępowania.

Kozłowski zawahał się..

- Chcieliśmy trochę dorobić i tak wyszedł ten temat szkoleń. Spółki składały dokumenty pełne błędów, chcieliśmy im pomóc. A że przy okazji można było trochę zarobić, to przecież nic złego. Myśmy naprawdę nie mieli zamiaru nikomu odpuszczać czy brać pieniądze za przepuszczanie byków w prospektach. Chcieliśmy działać dla rynku i jego rozwoju.

- Co tydzień?

- Sytuacja wymknęła się spod kontroli - przyznał Kozłowski - Trudno było to potem przerwać. Jednak nie znajdzie pani żadnego dowodu, że te szkolenia przekładały się na nasze decyzje. Wręcz przeciwnie. Pamiętam, że sam kiedyś ukarałem jedną ze spółek, które szkoliłem.

- Zapamiętał to pan? - zdziwiła się Ewelina. Kozłowski zrozumiał, że popełnił błąd.

- Prześledziłem swoje decyzje sprzed lat, żeby się upewnić, że nie mam się czego wstydzić.

-I upewnił się pan?

- Tak.

-Aten zarzut o działanie na zlecenie?

- Chyba pani żartuje. Przecież to insynuacja na poziomie bulwarówki. Trudno sobie wyobrazić, żeby nagle trzy czy nawet cztery działy Komisji zaczęły nielegalnie współdziałać przeciwko komuś na czyjeś zlecenie. To absurd. Jak niby mieliśmy to skoordynować?

Talar bardzo powoli skinęła głową.

Po co się tak pieklisz? Wystarczy powiedzieć jedno zdanie. Chyba że masz co tłumaczyć?

- To wcale nie jest takie nieprawdopodobne - zablefowała - Umówmy się, cała ta sprawa - ruchem ręki wskazała na akta, nadaje się na śmietnik. Niczego im nie udowodnimy.

Kozłowski milczał, więc Ewelina grała dalej.

- ABW także jest zdania, że ci goście są czyści. Za chwilę będziemy prowadzić postępowanie w sprawie fałszywych oskarżeń.

- Jak to?

Ewelina Talar wyjęła z szuflady kopie doniesienia Andreasa Holdnera z wnioskiem o wszczęcie śledztwa prokuratorskiego w sprawie nielegalnych działań KNF przeciwko Consulting Partners. Prokuratura oczywiście odmówiła wszczęcia postępowania, ale ani Holdner ani Kozłowski tego nie wiedzieli. Ewelina także przez przypadek dowiedziała się o doniesieniu. I wcale nie była pewna, czy apelacyjna lub sąd jednak nie nakazą prowadzenia śledztwa.

Kozłowski przeczytał tytuł doniesienia i pieczętki prokuratorskie; spoił się w pięć sekund tak, że koszula przyłgnęła mu do ciała.

- Nie chce pani chyba powiedzieć, że prowadzi sprawę przeciwko nam?

- Cóż - Ewelina wzruszyła ramionami i odwróciła się na obrotowym krześle. Nie zamierzała nic więcej mówić. Niech zadziała czas.

Złapał przynętę. Nie schrzań tego!

- To jakieś jaja. To oni są przestępcami. Nie my.

- Skąd ta pewność?

- Jak to skąd? Przecież macie czarno na białym, że oszukiwali w prospekcie i działali na szkodę skarbu państwa. Przecież nie wymyśliliśmy sobie tego wszystkiego, tych manipulacji i wykorzystania informacji poufnych.

- Nawet jeśli to prawda, to przy morderstwie to nic nie znaczy.

- Morderstwie?

- Poznał pan Barbarę Ochnik?

- Kogo?

- Ochnik. Księgowa KDI zamordowana w Krakowie.

- Chyba pani nie sądzi... Podobno zamordował ją jakiś seryjny zabójca.

- Znał pan ją?

- Spotkałem może raz czy dwa.

- Czy to ona rozliczała szkolenia? Kozłowski nie odpowiedział.

- Niech pan lepiej powie prawdę. Dlaczego zawzięliście się na tych gości? Dostał pan... hmm, powiedzmy, prośbę a może cynk od KDI? Oni donieśli, że to - jak pan to ujął - gangsterzy?

- O nie, nie - Kozłowski poderwał się z miejsca - nie dam się w to wpuścić. Pani powinna wiedzieć, że cała sprawa wyszła wyżej. Ja dostawałem wyraźne polecenia, a nie żadne cynki.

- Od kogo te polecenia? Dyrektor po raz kolejny zawahał się.

- Sygnał przyszedł od ABW. Otrzymał go sam szef, przewodniczący Klasyk i to on powołał specjalny zespół, żeby nie doszło do kompromitacji.

- Oficjalny zespół? - zdziwiła się Ewelina.

- Wiem, wiem, nie ma tego w aktach, ale... taka była prośba ABW. Po -dobno. Nie chcieli ich wystraszyć. Klasyk poszedł im na rękę.

Kłamie.

Ewelina Talar dobrze znała się na kłamstwach. Dobrze wiedziała, że ten spocony i rozdygotany mężczyzna walczy teraz o swoje życie. Czyżby więc spiskowa teoria dziejów tym razem okazała się znacznie bliższa prawdy? Ale jaka w tym rola Abwery?

Postanowiła nie pytać o Klasyka i jego ewentualne związki z KDI, bo to mogło sprawić, że Kozłowski poczułby się zbyt osaczony. A taki przeciwnik potrafi być groźny i zaatakować nawet wbrew rozsądkowi.

- Na dziś może wystarczy.

- Nie wierzę, że możecie nam robić coś takiego. Przecież stoimy po jed -nej stronie. To tamci są ci źli.

- Spokojnie. Nie ma jeszcze żadnego postępowania. Kozłowski jeszcze bardziej poczerwieniał.

- Wyjaśniamy sprawę, bo nie możemy pozwolić sobie na błąd - skłamała Ewelina. - Proszę spojrzeć na decyzję o odmowie wszczęcia śledztwa.

Pokazała dokument, żeby uspić czujność urzędnika.

- Więc po co ta cała gra?

- My też czasem działamy nieoficjalnie - mrugnęła okiem - I sprawdzamy źródła na różne sposoby. Niech się pan nie boi. Jesteśmy po jednej stronie barykady.

Cofnęła nogi pod siebie, żeby kamień, który spadł z serca Kozłowskiemu nie roztrzaskał jej stopy. Niemal usłyszała jak spada. Śmierdzący i ciężki od kłamstw i intryg.

- Proponuję, żebyśmy nic nie spisywali z naszej rozmowy - zaproponowała prokurator Talar - Chyba że pan sobie tego życzy?

- Oczywiście że nie - uśmiechnął się niepewnie Kozłowski. Tak tak, upewnij się, utwierdź w swojej wierze.

- Mam jeszcze prośbę.

- Tak? - Kozłowski już zbierał się do wyjścia.

- Proszę nikomu nie mówić o tej rozmowie ani o tym, czego się pan tu dowiedział.

- Rozumiem, tajemnica postępowania.

- Nawet nie tyle postępowania, bo wie pan, że go nie ma. Ale ABW jednak wciąż prowadzi działania. Kto wie, kto z nas jest na nasłuchu? Głupio by było, gdyby usłyszeli jak pan zdradza jakieś tajemnice przez telefon czy na jakimś spotkaniu. Jeszcze mogliby uwierzyć w tę nieprawdopodobną teorię o skorumpowanych urzędnikach sprzedających informacje z urzędu nadzorowanym przez siebie podmiotom.

Kozłowski udał, że nie dosłyszał sarkazmu w jej głosie. A to cipa!

Dwie godziny po tej rozmowie Ewelina kupiła w kiosku kartę telefoniczną i zadzwoniła z budki do Zimnego. Rozglądała

się niespokojnie do momentu, kiedy usłyszała ciepły głos dziennikarza. I zrozumiała, że to, co ona w tej chwili robi, jest właściwe, dobre. To ona i on są po stronie prawdy. - Wiesz, kto mówi? - szepnęła.

- Pewnie - odparł równie cichym głosem. Poczul jak serce dryfuje mu niebezpiecznie w kierunku przetyku utrudniając oddychanie - Wiele razy miałem dzwonić. Ale nie wiedziałem, co mogę ci powiedzieć.

- To, co czujesz...

Zawsze mogę powiedzieć, że to na użytek ewentualnych podsłuchów. Lepiej zrobić z siebie potencjalną kochankę-idiotkę niż informatorkę. Taka kasetka raczej nie trafi do akt.

Zimny nie odpowiedział od razu. Zrozumiał, że to może być jednak tylko żart.

- Taki sentymentalny to ja nie jestem.

- Może powinienes. Boże, co ja gadam.

- To flirt? Podrywasz mnie? Milczała.

- Chyba musimy powtórzyć tego Erdingera.

Stańczyk przysypiał w radiowozie kolegów ze Stołecznej, gdy wybudził go telefon od speców z działu przestępczości komputerowej, których włączył do sprawy seryjnego od samego początku.

- Co macie?

- Nie zgadniesz, szefie. Tak jak prosiłeś, monitorujemy wszystkie linki denatki, w tym używane przez nią adresy mailowe. I nie dalej jak kilka godzin temu dostaliśmy ciekawy alert. Ktoś włamał się do niej na konto na Wanadoo. To taki francuski serwer, który wybrała pewnie dlatego, że bardziej czaiła francuski niż angielski.

- Użył hasła czy to był jakiś chamski włam?

- Po kilku próbach wpisano właściwe hasło, więc pewnie włamywacz miał potencjalną listę loginów.

- Skradł jakieś dane?

- Wręcz przeciwnie. Dołożył. Wykorzystał konto do przesłania z niego grubszego pliku z dokumentami. Dokumenty łączyły się z serwera na rootnode. To taki holednerski serwis naszych chłopaków znany w świecie informatycznym i hakerskim. Chłopaki robią tanio i dobrze, nie ograniczają klientów, chronią prywatność, a jednocześnie wszędzie dają do zrozumienia, że zależy im na działaniach na legalu.

- Jest szansa, że namierzemy tego, co przesyłał pliki z Polski.

- Minimalna. Prawdopodobnie w Polsce znajdziemy jakąś kawiarenkę i to w najlepszym razie. Obawiam się, że to mogło być załatwiane z jakiegoś dopiero co kupionego laptopa zalogowanego w sieci publicznej. Taki właściciel będzie praktycznie nie do znalezienia.

- Co to za dokumenty i do kogo poszły?

-W treści nie wnikaliśmy. Drukują się dla ciebie. A poszły do jakiegoś pismaka.

- Niech zgadnę. Jakuba Zimnego?

- Skąd wiesz?

- Możecie zrobić coś dla mnie? Załatwcie podsłuch na telefon tego chłopaka. Dziewczyny ode mnie zajmą się wszystkimi formalnościami.

- Tylko komórkę?

- Domowy i komórkę. No i monitorujcie go w sieci.

- Dobra, szefie. Aha, mamy coś jeszcze.

- Co takiego?

- Prosiłeś o sprawdzenie, kto w ciągu tygodnia szukał w necie informacji o Karolu Kocie i innych seryjnych mordercach związanych z Krakowem. Jak wiesz, mieliśmy dwóch takich gagatków, co mordowali seriami i właściwie tylko Kot wchodził w grę, więc skupiliśmy się na nim. Aż do dnia przed zabójstwem nie mieliśmy ani jednego zapytania o Kota.

Stańczykowi mocniej zabiło serce.

- Aż do dnia przed zabójstwem. A tego dnia, kto szukał informacji?

- Spokojnie, na razie mamy tylko IP - zaśmiał się informatyk.

- Ale jedno? Dwa? Ile? - Stańczyk miał ochotę krzyknąć na chłopaka po drugiej stronie linii, żeby nie błaznował, bo to może być kluczowa informacja. Gdyby tylko jedna czy nawet kilka osób szukało w sieci informacji o Kocie, a wśród nich był podejrzany, to byłaby bardzo ważna poszlaka w sprawie. Wręcz dowód dla sądu.

- Niestety, szefie. Będzie kilka tysięcy. Tego dnia poszedł w telewizji film dokumentalny o Kocie. No i w sieci zaroilo się od zapytań. Mamy kilka worków „ajpów”.

- Sprawdziliście chociaż, czy wśród nich był Trybuchowski.

- Był - przyznał informatyk - Wchodził na stronę z filmem, a potem na youtube i przejrzał artykuł w Wikipedii.

Zawsze to jakaś poszlaka, choć bez znaczenia w tej sytuacji.

- Dzięki.

Komisarz rozłączył się i wyszukał numer do dziennikarza Zimnego.

Skoro już był w Warszawie...

Rozdział 18

*Gdy mówisz prawdę,
nie potrzebujesz sobie niczego przypominać.*
Mark Twain

Przewodniczący Urzędu Komisji Nadzoru Finansowego Sławomir Klasyk zakończył swój wykład o etyce w biznesie i zasiadł koło Ojca Macieja, zaprzyjaźnionego zakonnika prowadzącego szkołę dla trudnej młodzieży. Nie słuchał praktycznie kolejnych wystąpień i zbywał franciszkanina, który starał się nawiązać z nim rozmowę. Był zmęczony. Wręcz wyczerpany. Zgodził się na udział w tym, w pośpiechu przygotowanym wykładzie, tylko z jednego powodu.

- Sławek, pozwolisz - Karol Trybuchowski klepnął go w ramię, uśmiechając się przepaszająco do ojca Macieja - Porywam na chwilę naszą gwiazdę.

- Może nauczy cię trochę skromności - odparł franciszkanin
- Przydałoby się.

Uśmiechając się przeszli do ogrodu i ruszyli wolnym krokiem alejką prowadzącą nad jezioro. Wyglądali jak dwaj dawni znajomi dyskutujący o sta-rych dobrych czasach.

- Mieliście nie dzwonić do mnie przez najbliższe pół roku. Mieliście dać mi spokój. Mieliście moje pieniądze włożyć na normalną lokatę, a nie kupować za nie akcje w ofertach pierwotnych.

- Dobrze na tym zarobiłeś.

- Nie chciałem dobrze zarobić. Czy ty naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, że przez takie głupie posunięcia możesz nas wszystkich pograżyć? Ta agencja twojej żony i te szkolenia, na dodatek Teodor skarży mi się, że nie możecie zapanować nad prospektami i popełniacie więcej błędów od innych. Co ty sobie, kurwa, myślisz?

- Nie przeklinaj. Obiecaliśmy przecież, że się poprawimy. A

twoje pieniądze umieściliśmy w bezpiecznym funduszu. Nikt ci nic nie zarzuci.

- Pod warunkiem, że nie sprawdzi zapisów tam, gdzie ze swojej głupoty i pazerności powstawialiście moje nazwisko.

- Zarobiliśmy dla ciebie miliony. -I co, chcecie mnie teraz szantażować?

- Nie żartuj. Jesteśmy przyjaciółmi.

- Moi przyjaciele nie ładują mnie w kłopoty.

- To się więcej nie powtórzy.

- Mam nadzieję. Więc dlaczego prosiłeś o spotkanie?

- Chodzi o Teodora. Martwimy się z Łukaszem, że może przysporzyć nam problemów. Zaczyna panikować. Trzeba go uspokoić.

-I co ja niby mogę z tym zrobić?

- Może byś go wysłał do Rumunii czy Czeczenii. Mówiłeś, że macie jakieś unijne programy wspólnotowe. Daj mu super premię i poślij w diabły, a my pošlemy za nim kogoś, żeby się nim zaopiekował.

- Teodor nie wyjedzie. Za dużo trzyma go w Warszawie.

- Mógłbyś choć spróbować. Ale jeśli masz rację, to chociaż z nim porozmawiaj. Jeśli będzie spokojny to nic nam nie grozi. Klasyk zatrzymał się i spojrzął twardo na człowieka, którego znał od dwu -dziestu lat. Przyjaźnili się. Obaj wiele sobie zawdzięczali. Ale teraz Klasyk nie ufał Karolowi. Zbyt dużo się wydarzyło w ciągu ostatnich miesięcy.

- Czy ten cynk o Consulting Partners to było kłamstwo?

- No co ty - Karol nie uciekł wzrokiem - nigdy cię nie okłamałem.

- Uruchomiłem całą machinę przeciwko nim a okazało się, że mieliście ze sobą na pieńku. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Myślałem, że wiesz. Przecież Teodor pomógł nam już rok temu, gdy pisali te idiotyczne donosy, że niby im groziliśmy.

- ABW nic nie znalazła. GIIF też. Wszyscy twierdzą, że oni są

czyści i zastanawiają się, o co w tym wszystkim chodzi. Na szczęście dzięki tym skandalom z CBA nikt nie wie, kto kogo szpieguje i do czego może doprowadzić dane śledztwo. Nie zmienia to jednak faktu, że twierdzą, iż nic na nich nie mają. Karol zmarł.

- To niemożliwe. Nasz konflikt nie miał tu nic do rzeczy. Mieliśmy in -formację z pewnego źródła, że to gangsterzy.

- To stuprocentowe źródło radzę ci poddać karencji.

- Przecież my też mieliśmy z nimi do czynienia. Mówiłem ci, jak działają. To metody gangsterskie.

- Nic na nich nie mamy. I mówię ci, że inni też nie mają. Wasza zemsta może kosztować nas bardzo wiele.

- To nie była nasza zemsta. Naprawdę chcieliśmy wam pomóc. Może Interpol się wychyli i coś powie o tych spółkach z rajów podatkowych.

- Nawet do tego nie możemy się przyczepić. Cypr to kraj unijny. Jak nazwiemy go rajem podatkowym, możemy wywołać niezły skandal.

- Ładna mi Unia. Chyba złodziei. Klasyk odsunął się na krok od Karola.

- Tak czy inaczej, teraz jedziemy na jednym wózku. Ale jak ta sprawa się zakończy, nie chcę mieć z wami nic wspólnego. Koniec ochrony. Kolejne prospekty mają być dobre, bo inaczej będziecie płacić kary.

- Jasne.

-I nie odprowadzaj mnie.

Sławomir Klasyk, pierwszy raz od dwudziestu lat, nie podał na pożegnanie dłoni swojemu niegdyś najlepszemu przyjacielowi.

Zimny wychodził właśnie na spotkanie z Ewelina, gdy zadzwonił Olgierd Stańczyk. Wyraźnie zależało mu na jak najszybszym spotkaniu.

- Rzadko bywam w Warszawie. Chciałbym sam z panem

porozmawiać, zamiast zlecać przesłuchanie komendzie stołecznej - wyjaśnił - Prowadzę sprawę zabójstwa Barbary Ochnik. Poznał ją pan, prawda?

- To chyba za dużo powiedziane. Ale rzeczywiście powinniśmy porozmawiać. Problem w tym, że jestem umówiony.

- Proszę mi dać godzinę.

- Zgoda. Ale pod warunkiem, że spotkamy się natychmiast i w okolicach Rakowieckiej.

- Niech będzie. Zna pan tam jakiś lokal?

Dwadzieścia minut później siedzieli naprzeciw siebie. Zimny z rozbawieniem zastanawiał się, na czym będzie polegać ten rekonesans i który wy -ciągnie więcej z rozmówcy.

- To nieoficjalna rozmowa?

- Całkowicie. Choć do oficjalnego przesłuchania też dojdzie. Zimny próbował wyciągnąć od niego obietnicę, że w zamian policjant opowie o śledztwie, ale jej nie uzyskał.

- Zobaczmy, co pan ma do powiedzenia.

Zrelacjonował mu całą sekwencję zdarzeń, począwszy od pierwszego kontaktu ze strony Ochnik, próby sprzedaży kompromitujących materiałów, aż po wycofanie się gazety z negocjacji, ugody i jego podejrzeń, że zabójstwo może mieć związek z tymi materiałami.

- Wie pan, co w nich było?

- Poniekąd. Ogólnie chodziło o malwersacje finansowe i korupcję w KDI. Zimny streścił główne wątki omawiane z księgową. Pomiął jednak informację o otrzymaniu zbioru materiałów z adresu wykorzystywanego przez Ochnik za życia. Policjant, choć już o tym wiedział, także nie zamierzał poruszać tej kwestii.

Stańczyk właściwie chciał tylko spojrzeć w oczy Zimmemu. Dotknąć go. Był typem detektywa, który wierzył przeczuciom i potrafił znajdować drogę ku prawdzie na węż. Nie sądził, by dziennikarz mógł być ważnym świadkiem w sprawie, choć

z pewnością dostarczył istotnych poszlak. Dlatego mogli się spotkać i spokojnie porozmawiać. -Apana zdaniem? Kto ją zabił?

Stańczyk wzdrygnął się. Był już mocno zmęczony i pytanie dziennikarza wyrwało go z pierwszej fazy zapadania w śpiączkę.

- Na pewno nie seryjny - powiedział - Ale też nie stawiałbym na kogoś z KDI.

- Sądzi pan, że to nie ma związku z szantażem?

- Uhm. To byłoby zbyt ryzykowne i - mówiąc szczerze - bez sensu, kompletnie bez analizy konsekwencji. Przecież zabójca musiał się spodziewać, że zainteresujemy się odejściem jej z firmy. Nie mógł wiedzieć, komu powiedziała o szantażu. Za to mógł się domyślić, że poszła do prasy.

- Wiedzieli - przyznał Zimny.

-W takim razie ten motyw odpada. Chyba, że któryś z nich zrobił to dla pieniędzy?

- Szefowie KDI śpią na kasie.

- Zdziwiłby się pan. Bogaci potrafią wiele zrobić dla pieniędzy. Ale rzeczywiście to chyba nie oni. Choć motyw finansowy wydaje się całkiem prawdopodobny.

- Więc kto?

Stańczyk wzruszył ramionami. - Tego nie wiem.

W rzeczywistości jednak policjant nie mówił dziennikarzowi prawdy. Był prawie pewien, że poznał już mordercę i że tylko kwestią czasu będzie udowodnienie mu winy.

Zaraz po pożegnaniu z Zimnym zadzwonił do prokurator prowadzącej sprawę i poprosił o przygotowanie zatrzymania i wniosku o aresztowanie wiceprezesa KDI, Karola Trybuchowskiego.

Dziennikarz tymczasem ruszył biegiem w kierunku Iluzjonu, gdzie od pół godziny powinna czekać już Ewelina Talar. Był na siebie zły. Po pierwsze za spotkanie z policjantem, bo ono

nic nie wniosło. Gliniarz zrećnie wy -kręcił się od odpowiedzi. Po drugie z powodu swojej kondycji.

20 lat palenia dawało mu się we znaki.

Muszą rzucić to gówno!

Zamiast tego biegnąc zapalił jeszcze papierosa. Zauważył bowiem, że podczas wysiłku fizycznego palenie tytoniu działało na niego - na swój sposób, jak środek dopingujący.

Wbiegł do kawiarni z dokładnie czterdziestopięćminutowym spóźnieniem. Ewelina nadal siedziała przy „ich” stoliku w towarzystwie pustej butelki Erdingera..

- Czy według ciebie moja szklanka jest do połowy pełna czy od połowy pusta?

- Przepraszam za spóźnienie.

Przy pianinie Harold, podstarzały amant, zabierał się za kolejną profanację Gershwinia.

- Dobrze mi zrobiło posiedzenie samej ze sobą - mruknęła Ewelina -I posłuchanie tego... wirtuoza.

- Ja ze sobą wytrzymuję tylko po pijaku - Zimny przeprosił Ewelinę i zamówił przy barze dwie butelki. Piwo pienilo się gęstą jasnobrazową pianką.

- Pozbywasz się dylematu? Uniósł brwi.

- Nie odpowiedziałeś mi na pierwsze pytanie. Zimny zamyslił się.

- Pamiętasz, jak pytałaś mnie, czy kogoś oskarżyłem nieuczciwie? Ewelina skinęła tylko głową.

- Dwa lata temu napisałem tekst o wiceministrze, który odpowiadał za zakup dla Polski systemu radarów. Według moich informatorów wiceminister wpływał na komisję przetargową, żeby wybrać ofertę pewnej amerykańskiej firmy, podczas gdy lepsze były co najmniej dwie inne propozycje: Niemców i Finów. Analiza dokumentacji wydawała się nie pozostawiać wątpliwości. A wiceminister zaczął nagle jeździć drogim mercedesem.

- Oskarżyłeś go o korupcję? Zimny zagryzł wargę.

- Chyba... tak. Express przechodził wtedy lifting, zmianę layoutu. Z badań naszych czytelników wynikało, że oczekują więcej mięsa i tekstów o ludziach. Zamiast więc pisać o zjawiskach, systemie i problemach ogólnych mieliśmy personalizować informacje, szukać winnych i wywieszać ich gęby na tablicy ogłoszeń. Miałem fart. Mój materiał trafił na czołówkę pierwszego numeru gazety po liftingu. Uznano, że wiceminister jest na tyle ważny, że może stać się kozłem ofiarnym i na tyle słaby, że nie będzie w stanie zagrozić gazecie i się zemścić.

- Nie miałeś racji? Pomyliłeś się?

- Wtedy myślałem, że nie - odparł Zimny. - Tak jak mówiłem: przyłożyłem się do weryfikacji informacji. Nie napisałem nieprawdy. Fakty się zgadzały. Gorzej z interpretacją. Nie miałem żadnego dowodu, żeby tego człowieka oskarżyć. Miałem materiał, by opisać brudne gierki przetargowe, ale nie powinienem wskazywać winnego. Wiedziałem to, a mimo wszystko nie zaoponowałem i zgodziłem się, by zamiast przetargu bohaterem tekstu został człowiek. Powiesiłem go na jedyńce. Wydałem na niego wyrok.

- Pewnie nie miałeś wyjścia. Jeśli tekst był prawdziwy, to nie rozumiem, co cię gryzie?

- Nie rozumiesz - przyznał Zimny. - Ja nie zrobiłem tego, bo musiałem. Ja chciałem, żeby to mój tekst zdobył pierwszy numer gazety po liftingu. Zrobiłem to z próżności i z ambicji, a nie dlatego, że musiałem. Miałem gdzieś los tego człowieka, chciałem na jego plecach wejść na szczyt. Nie interesowało mnie tak naprawdę, czy on jest winny czy też nie. Interesowało mnie to, że w telewizji pokażą nowy layout gazety z moim tekstem, a nie materiałem innego dziennikarza.

- Jak to się skończyło?

- Sprawą zajęła się prokuratura, wiceministra wywalili z

urzędu następnego dnia po publikacji. Na konferencji prasowej po prostu wstał, uklonił się i wyszedł. Patrzył mi cały czas w oczy. Nie uciekł wzrokiem ani razu. A ja, do kurwy nędzy, nie byłem w stanie wytrzymać tego spojrzenia i ciągle gapilem się gdzieś w bok tylko zerkając na niego i innych notabli. Ministerstwo zapowiedziało kontrolę całej procedury, ofertę Amerykanów odrzucono, walka rozegrała się pomiędzy Niemcami i Finami.

- Więc może miałaś rację?

Zimny roześmiał się nienaturalnie i z kwaśną miną kontynuował opowieść.

- Przetarg wygrali Niemcy. Zainstalowali radary, które pięknie wyglądały, ale miały jeden feler: nie wykrywały małych i nisko latających obiektów. A sieć radarów miała służyć uszczelnieniu unijnej granicy, wykrywać właśnie niewielkie łódki i małe samoloty - to był główny wymóg, na którego spełnienie naciskał „mój” oskarżony wiceminister. Rok później musieliśmy dodatkowo kupić radary od tych Amerykanów. Niemcy bez protestów wymienili sprzęt pobierając dodatkową opłatę. Cały projekt kosztował dwa razy drożej. Wiesz, kto przywiózł mi do redakcji informację o umowie z Amerykanami?

- Wiceminister?

- Wręczył mi te dokumenty i powiedział, że powinienem o tym poinformować opinię publiczną, bo ministerstwo chce to zatuzszować.

Pokazał mi też wyciągi z konta z informacją o ratach za mercedesa, którego kupił za własne pieniądze, a nie Amerykanów czy innych cwaniaków. No i decyzję prokuratury o umorzeniu śledztwa wobec niego. Uklonił się i wyszedł. Okazałem się kanalią.

- Błędy się zdarzają.

- Ale trzeba umieć się do nich przyznać. Gazeta nie zgodziła się, żeby wybielić wiceministra. Podaliśmy informację o

kontrakcie z Amerykanami gdzieś w środku, nie „chwaląc się” nią na jedynce. Już nie personalizując. Na domiar złego wpatając w tło zdanie, że jako pierwsi informowaliśmy o nieprawidłowościach w przetargu. Ironia losu - doprowadziliśmy do złego wyboru, a potem chwalimy się, że już o tym pisaliśmy. I ja się na to wszystko zgodziłem. Choć mogłem się postawić. Mogłem zażądać, żeby tym razem też poszło to na pierwszej stronie. Z kurewsko wielkim tytułem: PRZEPRASZAMY! Wygodniej było nie przeproszać. Wygodniej było tego dnia wypić dwa piwa więcej niż zwykle.

Ewelina milczała dłuższą chwilę.

- Oni to zrobili - zmieniła nagle temat - Nie chce mi się wierzyć, ale chyba jestem pewna, że to była z góry zaplanowana prowokacja.

Zimny z początku nie złapał, o co dokładnie może chodzić i czy Ewelina czasem nie wypila za dużo.

- Musimy coś zrobić. Na Rakowieckiej siedzi dwóch niewinnych ludzi, których wsadzono tam z powodu chorych z ambicji, przekupnych urzędasów.

Koniec części drugiej

CZEŚĆ TRZECIA WŁADZA

Rozdział 19

*Przyjąć raczej trzeba, że władza nie od Boga,
ale od szatana pochodzi.
Antoni Kępiński, Lęk*

Drukarka zasyczała głośno kończąc pracę. Zimny zebrał gorący jeszcze plik stron i przekartkował je zatrzymując się kilka razy na poszczególnych wydrukach.

W większości były to wewnętrzne dokumenty KDI. Problemem był jednak ich źródłowy charakter. To nie były opracowania czy dokumenty z opisem, tylko czysta „surówka”. Zimny wiedział, że e-mail, w którym jest mowa o przelewie na konto urzędnika KNF może być bulwersujący, ale bez opisu okoliczności trudno uznać go za dowód. Dobrze - KDI płaciło urzędnikom, ale to przecież już wiedział. Potrzebował znacznie więcej, by dobrać się do maklerów.

W spakowanych folderach przesłanych z konta Ochnik znalazł opasły katalog dość szczególnych zdjęć. Przeładowany folder nie chciał początkowo otworzyć się na jego komputerze i Zimny podświadomie zaczął wmawiać sobie, że to właśnie tu znajdzie najciekawsze dane. Może kopie jakiś tajnych umów, deklaracje niezgodne z prawem. Gdy folder w końcu się otworzył, Zimny wypuścił z ust papierosa na pościel wypalając w niej czarną śmier -dzącą dziurę.

W katalogu pełno było zdjęć porno. Niska jakość fotografii sprawiła, że początkowo myślał, że to jakieś stare archiwalne fotografie z lat osiemdziesiątych. Przypadkowo zawieruszyły

się w tym e-mailu albo zawierały jakąś zakodowaną informację. Dopiero po dłuższym przeglądaniu zdjęć zrozumiał, z czym ma do czynienia i o mało co nie podskoczył z triumfalnym okrzykiem do góry. Mam ich!

Zdjęcia były słabej jakości, ale przedstawiały prawdziwe, funkcjonujące na rynku finansowym osoby. Zrozumiał to, gdy rozpoznał na jednej z nich znanego maklera. Inna fotka przedstawiała zarządzającego znanego funduszu. Na kolejnej, bez wątpienia, widniał sobowtór szefa klubu parlamentarnego jednej z partii. Na jeszcze innej - znany bankier. To nie był przypadek.

A więc o to chodziło? Dlatego uważałaś, że masz materiał wart miliony. Szefowie KDI robili zdjęcia swoim klientom korzystającym z usług prostytutek. Dla szantażu albo na wszelki wypadek. Bez znaczenia.

Księgowa zapewne uznała, że tak pikantny materiał sprzeda bez trudności mediom. Była pewna swego, ale nie wiedziała, jak to najlepiej rozegrać. A może nie chciała niszczyć życia tym wszystkim wpuszczonym w kanał ludziom mającym swoje życia i rodziny, i dlatego najbardziej zależało jej na tym, by materiały odkupiło KDI?

Tylko co ja mam z tym zrobić?

Seks się dobrze sprzedaje. Komu jednak to sprzedać. To afery, ale dla tabloidów. A one zrobią z tego jeden tekst, którego pewnie nikt nie zauważy. Albo skupią się na poszczególnych bohaterach zdjęć, jeśli oczywiście uznają ich za celebrytów. W innym wypadku materiał może trafić nawet na pół -kę. Bo w sumie, co te zdjęcia oznaczały? Że na imprezach finansiści dobrze bawią się z panienkami? Afery pożyje jeden dzień i zostanie na dłużej w sypialniach tych, których dotyczy. Ich żony, dzieci, kochanki na długo będą ją pamiętać. A rynek finansowy? Może nawet nie zauważy, a komentować bę -dzie jedynie w zaciszu kularów. Głupie uśmieszki, niewybredne żarty - ot, co może to wszystko

przynieść. Inne gazety? Czy tego rodzaju fotkami może być zainteresowany którykolwiek z poważnych dzienników lub tygodników? Raczej nie. A kto wie, czy takie gazety nie wezmą go za szantażystę? Entuzjazm przygasł. Zimny poczuł się jak don Kichot.

Walczę z wiatrakami. Jeśli to wszystko, co miałas do zaoferowania...

Dziennikarz po chwili zastanowienia postanowił schować zdjęcia głęboko w folderach archiwalnych i ich nie wykorzystywać. Z ociąganiem. Ale tak było lepiej.

Nie jestem kutafonem.

Na szczęście kolejny folder zawierał kilka wskazówek, które mogły pociągnąć śledztwo w zupełnie innym kierunku. Właściwym.

A więc jednak może coś miałas...

W folderze zatytułowanym VIP znalazł listę klientów KDI wraz z deklaracjami, opisem portfeli i wybranymi transakcjami. Nie trzeba było być geniuszem, żeby szybko skojarzyć te nazwiska. Znalazł byłego szefa Komisji Papierów Wartościowych, członka Rady Giełdy, prezesów spółek giełdowych, znanych prawników, kilku polityków. Zrobiona w Excelu tabelka zawierała poza personaliami, numerami PESEL, informacjami identyfikacyjnymi i numerami, także wielkość portfeli i statystyki efektywności. Wszystkie miały zielony kolor.

KDI świetnie sobie radziło z kontami VIP-ów?

A nawet jeśli, to czy to coś złego? - uspokoił początkowe podniecenie. Być może nie powinno tak być, że szefowie giełdy czy politycy są szczególnymi klientami KDI, ale jak udowodnić, że rzeczywiście byli wyjątkowo traktowani. Czy w innych bankach czy domach maklerskich także nie mogli na to liczyć? Czy to coś złego, że składają swoje pieniądze na koncie KDI? Chyba, że nie wpłacali tych pieniędzy realnie, tylko wirtualnie? Ale w to Zimny nie wierzył. Na pewno

każdy ma jakąś podkładkę.

Punkt zaczepienia jednak jest.

Kolejny, ostatni już folder o nazwie AUDYT zawierał 30-stronicowy dokument podpisany przez Macieja Kasprzyka, audytora i biegłego rewidenta firmy B&D. Audyt dotyczył kontroli wewnętrznej KDI. Na każdej stronie przybito czarne wyraźne pieczętki:

TYLKO DO UŻYTKU WEWNĘTRZNEGO, ŚCIŚLE TAJNE.

Hmm, firma audytorska? Po kiego licha zarząd firmy sam zleca audyt? Ściśle tajny?

I do tego audytorem jest B&D, firma znana na całym świecie z prowadzenia śledztw w korporacjach, gdy te podejrzewają, że ich pracownicy są zamieszani w jakieś szwindle nieznanego zarządowi. Albo znane.

Właśnie - pomyślał Zimny - A może oni chcieli wyczuć, czy jakiś przekręt da się im udowodnić, znaleźć na podstawie dokumentów oficjalnych, gdyby doszło do - dajmy na to - kontroli nadzoru czy prokuratury? Może chcieli podkładkę potwierdzającą że wszystko jest dobrze?

Zaraz, a kiedy to było?

Zimnemu zaświtała pewna myśl i porównał datę audytu z datą publikacji tekstu o szkoleniach. Różnica była niewielka. Może więc rzeczywiście zarząd KDI obawiał się jakiejś kontroli i dlatego chciał się przygotować. Na co? Na odpowiedzi na trudne pytania albo do zatuszowania spraw, które dałoby się zatuszować.

Zobaczmy, co tu mamy.

Pierwsze strony raportu nie wносиły niczego nowego do sprawy. Opis zle -cenia, stanu faktycznego, statystyki. Ciekawie zaczęło się robić od strony 10, gdy audytor porównał przeciętnych klientów do VIP-ów, sprawdzając skuteczność zarządzania pieniędzmi poszczególnych grup. Okazało się, że klienci „szczególnej troski” mieli znacznie wyższy wskaźnik efektywności. Opis zjawiska przez audytora,

nie pozostawiał wątpliwości:

„ O ile zrozumiałe jest, że grupa wyselekcjonowanych klientów może otrzymywać specjalne oferty, znacznie bardziej ryzykowne, a co za tym idzie zyskowniejsze niż pozostałe grono, o tyle trudno nie zauważyć rażącej dysproporcji w skuteczności zarządzania portfelami. Klienci VIP mieli znacznie lepsze wyniki nawet w tych samych transakcjach, w których uczestniczyli klienci z normalnej puli. Nie da się ponadto wytłumaczyć, dlaczego w przypadku gorszych transakcji opiekun portfela przenosił gorące aktywa na inne portfele chroniąc klientów VIP. Kategorycznie niedopuszczalne były zaś transakcje z udziałem zarządu spółki. ”

Zarządu spółki?

Zimny ze zniecierpliwieniem przeszukał cały dokument w poszukiwaniu szczegółów i rozwinięcia tego ostatniego zdania, ale ich nie znalazł. Przeczytał cały dokument dwukrotnie, a potem wynotował z niego najważniejsze wnioski.

- KDI miało specjalną listę klientów VIP;

- Klienci VIP byli traktowani w sposób szczególny;

- Wśród klientów byli członkowie zarządu KDI, co powodowało ewidentny konflikt interesów.

Audytor krytykował wszystkie te zjawiska i podawał rozwiązania, jakie powinna wdrożyć spółka, żeby nie narazić się na odpowiedzialność karną. Radził natychmiastową likwidację specjalnej puli oraz wycofanie się szefostwa z aktywności inwestycyjnej.

Maciej Kasprzyk? Warto byłoby z tobą porozmawiać...

Zimny wstukał nazwisko audytora w Google, jednocześnie wybierając numer do B&D.

Witamy w B&D, światowym liderze audytu, consultingu oraz wywiadu gospodarczego. Dla twojego bezpieczeństwa wszystkie rozmowy są nagrywane - podała anonimowa

spikerka.

Zimny wybrał wewnętrzny numer do działu audytu, a kiedy w końcu odezwała się żywa osoba, poprosił o połączenie z Kasprzykiem.

- Chwileczkę - poprosiła asystentka i po pięciu minutach odezwała się znowu - Awżakiej sprawie pan dzwoni?

- Chciałbym zlecić audyt w swojej firmie. Podejrzewam, że pracownicy mnie okradają.

- Rozumiem, proszę o jeszcze chwilę cierpliwości. Trzy minuty później usłyszał głos innej kobiety. Był lekko zmęczony, ale kobieta starała się być wyjątkowo uprzejma.

- Witam pana, w czym możemy pomóc?

Opisał swój zmyślony problem, po czym z naciskiem powiedział, że chciałby zlecić to panu Kasprzykowi.

- Dlaczego panu zależy tak bardzo na Kasprzyku. Mamy wielu świetnych audytorów.

- Polecił mi go znajomy.

- Rozumiem - kobieta zawahała się - Jednak to niemożliwe. Pan Kasprzyk już u nas nie pracuje.

Zimnego zbila ta informacja z tropu, gdyż w wyszukiwarce Google audytor widniał wciąż jako pracownik B&D.

- Kiedy rozstał się z waszą firmą? - zapytał.

- Nie mogę udzielać takich informacji.

- Ma pani do niego kontakt?

- Mogę przekazać informację - powiedziała po dłuższej chwili wahania.

- Proszę powiedzieć, że dużo dobrego słyszałem o panu Kasprzyku i chciałbym, żeby mi pomógł w rozwiązaniu problemów mojej firmy. Mój numer telefonu...

- Nazwa firmy? - zapytała kobieta.

Podał fałszywą nazwę i jeszcze raz powtórzył, że bardzo zależy mu na kontakcie.

Rozmowa z audytorem dużo by mu dała, szczególnie, że Kasprzyk w raporcie zauważył też coś, co początkowo

umknęło Zimmemu. Jednym z klientów VIP w domu maklerskim KDI był Sławomir Klasyk - szef KNF. Aktywa nadzorcy lokowano wyjątkowo skutecznie.

Olgierd Stańczyk miał ochotę przetrzeć oczy ze zdumienia. Prokurator prowadząca siedziała koło niego; także się nie odzywała. Po przeciwnej stronie stołu siedzieli: prokurator okręgowy, komendant wojewódzki policji, naczelnik wydziału dochodzeniowo-śledczego i prezydent miasta. Stańczyk z trudem przelykał ślinę. Chyba już wiedział, jak to się zakończy, choć próbował jeszcze się oszukiwać.

- Czy pan zdaje sobie sprawę, o co prosi? I jak wątle ma podstawy do takiego wniosku? Zatrzymanie wiceprezesa KDI może wywołać prawdziwą lawinę nieobliczalnych zdarzeń. Podważymy zaufanie do spółki publicznej, które może skutkować ogromnymi stratami wielu ludzi. Nie do odrobienia.

- Narazimy się też na procesy odszkodowawcze, a jak znam prawników KDI to mają duże szanse na zwycięstwo w takiej sprawie.

Jakoś wam to nie przeszkadzało, gdy za rządów prawicy kazaliście zatrzymać Filipiaka i to z zupełnie banalnego powodu, rzucając na - Bogu ducha winnego faceta - cień udziału w wielkiej aferze korupcyjnej, w której nie miał udziału. A przecież Filipiak też był wielkim prezesem, właścicielem chyba jeszcze większej marki niż KDI. Znacznie bardziej znanej w świecie, zatrudniającej kilka tysięcy więcej osób niż głupie KDI. To chore! W zamówieniu politycznym wystarczy do zatrzymania spór prawny z piłkarzem, a gdy chodzi o prawdziwe morderstwo, polityczne plecy są gwarancją ochrony? Kurwa, kurwa, kurwa!

- Nie mówiąc już o tym - dokończył myśl prezydent - że KDI jest jednym z największych pracodawców w regionie i znaczącym inwestorem. Czy pan wie, że za tydzień mam

przeciąć wstęgę otwarcia nowego centrum finansowego w Krakowie, właśnie wspólnie z Karolem Trybuchowskim? Jak mam mu spojrzeć w oczy, jeśli pan go aresztuje?

- Zatrzyma - poprawił Stańczyk. - Ja tylko staram się robić wszystko zgodnie z procedurą. Jeśli mamy podejrzanego, to należy go zatrzymać i przedstawić zarzuty. Przecież nie musimy ani informować mediów ani tego rozgłaszać.

- Już widzę, jak media się nie dowiedzą. Sam Trybuchowski pewnie do nich zadzwoni i powie: patrzcie, jak traktują inwestora i przedsiębiorcę. Jak dziękują biznesmenowi, który z Krakowa chce uczynić drugie po War -szawie centrum finansowe w Polsce. Chyba pan nie wierzy, że on mógłby kogokolwiek zamordować?

- Dowody...

- Dowody nie raz nas zwodziły - przerwał komendant wojewódzki. Stańczyk zdziwił się. Dotąd atakowali go prezydent i prokurator okręgowy. Jego bezpośredni przełożeni powinni być z nim. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Tymczasem Bełza kontynuował:

- Prawdę mówiąc, bardzo dobrze znam Karola. Można powiedzieć, że się przyjaźnimy. Mogę ręczyć za niego. On tego nie zrobił.

- Ja także mogę zaręczyć - poparł prezydent.

Stańczyk wzruszył ramionami. Słowo prezydenta, który sam miał mocno na bakier z prawem i wiele zarzutów w różnych postępowaniach, znaczyło dla niego tyle, co nic. I tak dobrze, że jeszcze nie oskarżono go o żadne przestępstwo kryminalne a jedynie machlojki gospodarcze. Gazety pisały, że taki prezydent Zabrza miał na karku proces karny o zabójstwo szantaży -sty, u którego się zadłużył.

Świat jest chory. Jaki sens ma praca w policji, jeśli jej przełożeni i decydenci sami są przestępcami? Często na większą skalę niż ci, których policja może łapać bez obaw?

- Nie dacie zgody na zatrzymanie? Więc jak mam przedstawić zarzuty? Faksem?

- Nie będzie żadnych zarzutów - uciał prezydent i spojrzał wymownie na komendanta.

- Właściwie chcieliśmy omówić z tobą jeszcze kilka kwestii.

- Chcecie odebrać mi sprawę? - Stańczyk poderwał się z krzesła.

- Usiądź - poprosił Belza - Mamy tu nie lada orzech do zgryzienia. Poza tym, że nie wierzę w winę Karola, to wpłynęła do nas skarga od niego. Na pół oficjalna. Nie chce wytaczać przeciw tobie żadnych działań. Mówi, że jego zdaniem jesteś świetnym policjantem, ale jeśli będziesz działał impulsywnie, to jego kancelaria wykorzysta twoje działania przeciw policji ze wszystkimi konsekwencjami. Olgierd, nie zdajesz sobie sprawy, jak ciężki może to być przeciwnik.

- Jakie niby działania?

- Byłeś u niego w Warszawie?

- No i co z tego.

- Przesłuchałeś go?

Stańczyk nagle pojał. Zrobił błąd. I za niego zapłaci.

- To nie było przesłuchanie, tylko rozmowa.

- On twierdzi inaczej. Kancelaria przygotowuje odpowiednie wnioski, włącznie z wystąpieniem o twoje zawieszenie i wyłączenie ze sprawy. To niestety może być skuteczne. Dodatkowo zaczną cię nękać osobiście, może nawet pozwą personalnie, a my nie będziemy w stanie ci pomóc.

- Są jeszcze związki zawodowe - rzucił poddenerwowany Stańczyk.

- Kurwa, Olgierd! Próbujemy cię ratować.

Stańczyk wiedział, że nie ma sensu już nic mówić. Wiedział, że to koniec. Mógł się postawić i skończyć na bruku. Tylko komu przyniosłoby to korzyść?

Jak nie możesz być lwem bądź lisem.

- Poza tym prokuratura skarży się, że całkowicie zaniedbałeś

drugą linię śledztwa związaną z rodziną Ochnik. Jej syna przesłuchał posterunkowy zamiast śledczego? Totalnie odpuściliście sąsiadów. Wywiad środowiskowy woła o pomstę. Sędzia rozjedzie akt oskarżenia, jeśli tego nie uzupełnimy.

- Tak - mruknął z nieukrywaną ironią Stańczyk - zapewne syn zabił matkę. Bełza uniósł ręce w obronnym geście.

- Przesłuchać trzeba go jednak porządnie. Poza tym mamy sprawę seryj -nego gwałciciela w Katowicach i dwa doniesienia o podobnych zachowaniach w Krakowie. Chciałbym, żebyś skoordynował sprawę. A śledztwo w sprawie Trybuchowskiego poprowadzi bezpośrednio pani prokurator.

Stańczyk odruchowo zerknął na siedzącą obok niego dziewczynę. To była porządna kobieta. Poczerwieniała ze wstydu.

Rozdział 20

*...dla królów świat jest bardzo uproszczony.
Wszyscy ludzie są poddanymi.
Antoine de Saint-Exupéry,
Mały Książę*

Mało się do siebie odzywamy - pomyślał Karol Trybuchowski, ukradkiem zerkając na swojego partnera z zarządu KDI. Mimo jego zapewnień, Karol miał wrażenie, że Łukasz Rostowski nie do końca wierzy w jego niewinność. Poza tym ma pretensje do sposobu przeprowadzenia kilku spraw. Gdyby nie to, dziś nie byłibyśmy tu, gdzie jesteśmy - miał ochotę mu przypomnieć. Z drugiej strony Łukasz miał trochę racji.

Zbyt dużo błędów popełniłem! Stanowczo zbyt wiele.

Na tym spotkaniu musieli jednak zapomnieć o problemach i niesnaskach. Stawali prawdopodobnie przed jedyną w życiu szansą, żeby przeskoczyć z ligi okręgowej do ekstraklasy. I być może od razu, bez żadnych eliminacji, zagrać w Lidze Mistrzów.

Biznesmen, z którym mieli się spotkać, przyjmował gości nawet do północy, ale rzadko kiedy miał dla petenta więcej niż pół godziny. Na spotkanie z nim czekało się tygodniami, a potem jeszcze godzinami przed samym gabinetem. W towarzystwie uroczych hostess i dobrych trunków, ale w napięciu i strachu, że cała sprawa może zakończyć się poniżeniem i porażką, do czego i tak będzie trzeba robić dobrą minę.

Z kimś takim nie wchodziło się w konflikty.

Na spotkaniach z takimi gośćmi wszystko musiało być dograne i dokładnie przemyślane. Dlatego Karol zrobił nawet dokładny plan rozmowy i szczegółowo opisał w notesie punkty, które należy omówić.

- Nie mogę uwierzyć, że chce pchnąć tę ofertę przez nas - szepnął Karol do ucha Łukasza, gdy już siedzieli w pokoiku czekając, aż asystentka wezwie ich do pokoju prezesa.

Było to niewielkie pomieszczenie w jasnych barwach, urządzone skromnie, ale stylowo. Z sufitu sączyła się spokojna muzyka, a oni otrzymali po szklaneczce dobrej whiskey. Na stoliku leżała paczka cygar. Drogich, ale średniej jakości - uznał Łukasz. Nie wszystko złoto, co się świeci.

-Aja sądzę, że to nie przypadek. Zwykle korzystał z PKO albo Unicre-dit, ale ta oferta jest specyficzna. Dlatego nas potrzebuje. Nie zapominaj o tym.

Tak, nikt nie daje nic za darmo. Nikt nie robi prezentów, jak nie potrzebuje usług obdarowywanego. Relacje są grą interesów. Mimo to Karol nie do końca zgadzał się z przyjacielem.

- Nie żartuj. Wszyscy pogubiliby gacie, żeby tylko zdobyć ten deal. Nasze relacje mają znaczenie, ale na pewno nie są decydujące. Musimy potraktować to jak szansę dopiero do wykorzystania. Anie jak efekt naszych starań. Przecież to będzie prawdziwy hit. Megaoferta. Może największa w historii.

- Dlatego potrzeba mu wsparcia - mruknął Łukasz - Także w komisji.

- Ciesz się, że je masz - odburknął Karol. I nie zapominaj dzięki komu.

Wezwano ich pół godziny później. Biznesmen wstał na ich widok i przywitał się wylewnie. Gabinet prezesa zajmował pół piętra, miał obszerny taras, ogromne biurko na środku. Na ścianach kolekcja obrazów, której pewnie nie powstydziliby się Muzeum Narodowe. Pachniało cygarami. Biznesmen był znany z zamiłowania do nich. Ponoć nauczył też palić samego prezydenta, który wypowiedział się kiedyś o przedsiębiorcy, że jest jedynym biznesmenem w Polsce, za którego głowa państwa mogłaby oddać dostojną głowę.

Wszystkie spółki przedsiębiorcy po tej wypowiedzi zyskały na giełdzie ponad 5 procent.

- Witam, witam. Mam nadzieję, że nie czekaliście za długo - drobnej budowy Łukasz o mało nie krzyknął z bólu, gdy dwumetrowy „przyjaciół” ścisnął jego dłoń i poklepał po plecach. Karola potraktował jeszcze bardziej wylewnie. W końcu byli do siebie bardzo podobni. Niemal równego wzrostu. I obaj kiedyś grali zawodowo w piłkę ręczną.

Drań udaje dobrego kumpla, ale biada temu, kto da się zwieść pozorom. W interesach nie ma przyjaciół. Dziś jesteśmy po jednej stronie, jutro możemy skoczyć sobie do gardeł. Oby jutro nie nastało.

- Karolu, jak podoba ci się moja nowa asystentka?

- Pierwsza klasa, prezesie.

- Wierz mi, w pewnych sprawach ustępuje tylko jednej Szwajcarce, którą poznałem, gdy zabrałem na ekstremalne narty prezesa Société Générale. Musisz spróbować.

-Z wielką chęcią.

-W razie czego, służę apartamentem na czterdziestym piętrze. Biznesmeni roześmieli się rubasznie, po czym gospodarz spoważniał i przeszedł do rzeczy.

- Mam rozumieć, że oferta trafiła już do prawników?

- Oczywiście - przytaknął Karol. - Pełna dokumentacja została przesłana do was rano, tak jak prosiłeś. Mamy tylko wątpliwości w kilku punktach, które mogą wpłynąć na wycenę naszych usług. Dlatego myślę, że powinniśmy omówić szczegóły twoich oczekiwań...

- Nie obrażaj mnie - przerwał ich klient. - Nie mam czasu na zastanawianie się nad drobiazgami. Wierzę, że potraficie wycenić to szacunkowo tak, żebyśmy nie mieli potem żadnych sporów.

- Oczywiście.

- Następny punkt?

- Termin. Sądzymy, że wakacje nie są najlepszym terminem na tego typu ofertę. Pod koniec roku wszystko się sprzedaje...

Przedsiębiorca poprawił się na swoim fotelu i Karol zrozumiał, że popełnił błąd.

- To nie jest zwykła oferta. Mam nadzieję, że to rozumiecie?
- rzucił biznesmen.

- Oczywiście - przytaknęli szefowie KDI.

- Ta oferta zmieni obraz naszej giełdy. To będzie pierwszy prywatny projekt porównywalny z takimi gigantami jak Orlen, PKO czy PZU. A potem ich przerośnie.

- Też tak myślimy.

- Taka oferta nie musi czekać na dobry czas. To inwestorzy na nią czekają. I nie zawiodą się. Dlatego termin jest tak naprawdę mało istotny, przy właściwie przeprowadzonych przygotowaniach. Mam nadzieję, że macie odpowiednie zdolności organizacyjne, żeby poradzić sobie z tym wyzwaniem. No i pamiętajcie, że tylko kierujecie konsorcjum obsługującym ofertę i nie jesteście sami. W razie czego, zawsze możecie liczyć na pomoc chłopaków z Unicredit.

- Poradzimy sobie.

- To się cieszę - biznesmen wstał dając znać, że audyencja dobiegła końca, ale podchodząc do nich powiedział lekko stłumionym głosem - Czy ta sprawa z Expressem i Consulting Partners już została zamknięta?

Łukasz zamarł. A więc to był prawdziwy powód dzisiejszego spotkania. Klient chciał się upewnić, jak mocno stoją na nogach.

- Definitywnie - przytaknął.

- Mamy wszystko pod kontrolą - dodał Karol - Nie musisz obawiać się żadnych niespodzianek.

-A to wasza księgowka?

- Już znaleźli mordercę - skłamał Karol. - Sprawa jest zamknięta.

- Chyba powinniście dogadać się jakoś z Consulting

Partners. Konflikty nikomu nie służą.

- Problem w tym, że oni siedzą w pudle - Karol próbował zagrać wyluzowanego żartownisia - Nam się do nich nie spieszy.

Biznesmen popatrzył badawczo i powiedział z naciskiem:

- Jeśli jednak wyjdą, pamiętajcie, że nie chcemy żadnych niespodzianek. Po prostu się dogadajcie.

- Oczywiście.

- No i ten Zimny... Musicie go także trzymać na smyczy. Nie może zacząć dymić, jak rozpoczniemy road show po funduszach. Każda fałszywa karta może kosztować ułamek procenta. A w naszym wypadku ułamek oznacza miliony, dziesiątki milionów. Pamiętajcie o tym. Nie warto oszczędzać na długopisach. Dajcie mu sto tysięcy. Albo dwieście. Niech sobie jedzie na wakacje.

- Mamy wszystko pod kontrolą. Zimny już dawno nie pracuje w gazecie. Jest niegroźny.

- Mam nadzieję - biznesmen objął maklerów potężnymi ramionami i dodał szepcząc - Gdyby jednak coś miało pójść nie tak, mam nadzieję, że nie zgubiliście kontaktu do tej wiedeńskiej kancelarii, z której usług już korzystaliście?

Trybuchowski zbladł jak ściana. Łukasz spojrział na niego z wyrzutem. Dobrze znał ten wzrok.

Skąd on u licha się o tym dowiedział? I czy to ma oznaczać, że ma na nas jakieś haki?

Kiedy Karol Trybuchowski i Łukasz Rostowski opuścili gabinet, biznesmen podszedł do okna. Warszawa leżała u jego stóp. Jego gabinet był najwyższym położonym prywatnym miejscem w tym kraju. Wyżej niż gabinety Kulczyka, Krauzego i Solorza. Zenon Maciarz był na szczycie. I tak musiało pozostać.

Holdner poderwał się z miejsca wyraźnie zdenerwowany lekceważącym tonem jednego ze współpracowników.

- Panowie. Ponownie przypominam, że wypowiedziano nam wojnę. Ta sprawa jest dla nas walką o byt. Pomijam już to, że walczyliśmy o dobre imię naszych przyjaciół, którzy wciąż tkwią w areszcie.

- Przepraszam - rzucił jeden z pracowników - Nie miałem nic złego na myśli.

- Musimy być maksymalnie skupieni - Holdner usiadł - i działać

planowo. Plan jest podstawą. Tylko przemyślane działania mogą przynieść efekt.

Chaos, nawet jeśli przynosi sukcesy, działa jak morska fala. Jest nieprzewidywalny.

Nie można pozwolić, by końcowy efekt był nieprzewidywalny!

- To najtrudniejszy projekt w naszej historii, ale ja wierzę w sukces. Wy też musicie.

Holdner doskonale wiedział, co myślą chłopaki. Niemiec zdawał sobie sprawę, że jedną z najważniejszych zasad biznesowych dużych przedsiębiorstw jest unikanie konfliktów z państwem. Jesteśmy w stanie pokonać każdą biurokrację, ale to nam jest niepotrzebne. Należy tego unikać jak ognia. To ostateczność.

Dziś sytuacja nie przedstawiała się aż tak źle. Dzięki znalezieniu tych dokumentów o szkoleniach, potrafili zasiać pewne ziarno wątpliwości. Wystraszona Komisja zaczęła nawet wysyłać sygnały o możliwości ewentualnego porozumienia.

Za późno. Wojny nie da się zakończyć tak szybko po wystrzeleniu pierwszego pocisku z jednej strony. Musi dojść do kontraktacji i dopiero wówczas można wrócić do rozmów. Tylko taki rozejm może być podstawą paktu pokojowego. Ich pozycja polepszała się z dnia na dzień.

Mimo braku politycznej reakcji osiągnęli efekt zmęczenia, a sam urząd tracił powoli poparcie różnych środowisk, które

wolały usunąć się w cień i poczekać, która strona osiągnie przewagę. Założona strategia okazała się skuteczna. W prokuraturze ich sprawa straciła sponsora i protektora, automatycznie w ABW i policji wszyscy podpierali się rozkazami i zaczęli szukać wymówek. Nikt już nie prowadził sprawy Consulting Partners „przeciw” komuś, tylko „w sprawie”, a każde przesłuchanie zaczynało się od deklaracji, że wykonująca je osoba otrzymała rozkaz. Hitlerowcy też dostawali rozkazy.

Sprawa księgowej KDI była niczym potężna eksplozja w obozie przeciwnika. Jakby wysadziło im cały arsenał. Na dodatek dziennikarz także powoli zaczął przechodzić na ich stronę, ba, nawet wykazywał się skutecznością w samodzielnym zdobywaniu i weryfikowaniu materiałów. Tak, zdecydowanie nie stali już na straconej pozycji.

- Wiktor... Co u ciebie? - Holdner przeszedł do podsumowania.

- Jak wiesz, nie ma jeszcze terminu rozprawy w sądzie administracyjnym. Biorąc pod uwagę skalę naruszeń prawa, jakie miały miejsce przy podejmowaniu decyzji przez Komisję, uważam, że szanse są spore. Niestety, materia jest skomplikowana, więc wynik nie jest przewidywalny. Na to zresztą grają nasi przeciwnicy. Jeżeli ktoś czegoś nie rozumie, to się do tego nie przyznaje i idzie za głosem „autorytetu”. I to jest nasze największe ryzyko.

- Tyle że Urząd nie jest już autorytetem.

- Nie dla wszystkich. Powinniśmy dalej grać na zwłokę licząc, że inne kwestie rozjaśnią nieco cały temat i dadzą sądowi do myślenia, o co w tym wszystkim chodzi.

- Andrzej, a co z naszą akcją Poznaj Twojego Brokera?

- Bardzo źle. -???

Andrzej wyszczerzył zęby w krzywym uśmiechu. Bad news is a good news.

- Bardzo źle dla KDI i dla ich inwestorów, ale dla nas chyba

dobrze. Zaczęliśmy wgryzać się w ich finanse, które nawiasem mówiąc - nie są przed -stawione w najbardziej transparentny sposób. Myślę, że jest coś, o czym naprawdę powinienes wiedzieć.

Agent podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer. Zamierzał opowiedzieć o dzisiejszym podsumowaniu sprawy i przekazać kompletny raport do centrali. Kiedy jednak usłyszał w słuchawce głos sekretarki z ABW, nie odezwał się.

- Halo, kto mówi? Agent milczał.

- Proszę mówić - ponagliła asystentka. Agent bez słowa odłożył słuchawkę.

Rozdział 21

Nie należy mylić prawdy z opinią większości.

Jean Cocteau

- Szukał mnie pan?!

Męski głos był szorstki i chłodny. Rozmówca nie przedstawił się, ale Zimny szybko zorientował się, kim jest.

- Pan Kasprzyk? Bardzo się cieszę, że pan dzwoni.

- Dlaczego podał pan fałszywą nazwę swojej firmy? Zimny nie był zaskoczony, że tamten wcześniej to sprawdził. Ale podanie fałszywej nazwy i tak dawało większą szansę na kontakt, niż gdyby wyjawiał, kim w rzeczywistości jest.

- Jestem dziennikarzem - wyjaśnił - Zależy mi na rozmowie z panem. -W jakiej sprawie? Uznał, że nie ma co dalej ukrywać.

- KDI.

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Zapewniam anonimowość i ochronę źródła informacji - szybko dodał Zimny. - Nigdzie i nigdy pana nie zacytuję. Wykreślę też pana nazwisko z audytu wewnętrznego, który i tak mam. Rozmowa ze mną w niczym panu nie zagraża.

To był dobry ruch. Kasprzyk najwyraźniej uznał, że więcej sobie nie może zaszkodzić.

- Ma pan samochód? Niech pan przyjedzie do mnie do Zakroczymia. Z audytora zmieniłem się w rolnika. Hoduję strusie.

Strusie?

Półtorej godziny później Zimny przechadzał się już z Maciejem Kasprzykiem koło boksów ze strusiami. Ogrodzony teren był ogromny. Same ptaki jednak wydały się Zimnemu mniejsze niż to sobie wyobrażał.

- To ponad trzy hektary terenu - wyjaśnił Kasprzyk widząc zaskoczoną minę dziennikarza. - Kupiłem parę lat temu za grosze. Myślałem, żeby za dziesięć lat sprzedać jakiemuś deweloperowi i zarobić krocie. Niedaleko, w Modlinie, ma powstać duże lotnisko, więc ceny wzrosną. Kasprzyk wyglądem nie przypominał biznesmena, finansisty czy audytora. W gumiakach, kufajce i skórzanym kaftaniku spokojnie mógłby się starać o sesję fotograficzną na okładkę kwartalnika Rolnik Polski. Z drugiej strony - młoda, inteligentna twarz w okularkach z cienkich oprawek i białe ręce gryziopiórka. Mimo to Zimny miał wrażenie, że dobrze mu z jego strusiami.

- Na strusiach można zarobić?

- Pewnie - uśmiechnął się Kasprzyk. - Mięso jest drogie a jaja smaczne i rozchwytywane w restauracjach. Z jednego można zrobić jajecznicę dla dziesięciu osób. Jajko kosztuje 70 zł. A jedna samica może znieść nawet do 120 jaj w sezonie.

- Sprzedaje Pan mięso?

- Tylko jaja. Nie zabijam moich zwierząt, choć na tym można najlepiej zarobić. Nie potrzebuję pieniędzy.

Kasprzyk wyjaśnił mu, że przez dziesięć lat pracy w firmach audytorskich zarobił dość pieniędzy, by wystarczyło mu do końca życia.

- Nagle zdałem sobie sprawę, że przez te lata tylko pracowałem. Nie miałem czasu na wydawanie pieniędzy. Zawsze sobie mówiłem, że w kolejnym roku w końcu wyjadę na jakieś ekskluzywne wakacje, ale jak przychodziło co do czego, to nie miałem ochoty. Mam ten komfort, że nie muszę już pracować. Ale coś robić przecież trzeba. Strusie to mój pomysł na życie.

Zimny pomyślał, że może Kasprzyk też został sownie wynagrodzony, żeby zapomnieć o problemach KDI, jednak nie odważył się zadać takiego pytania. Na tym etapie

rozmowy nie chciał zrazić do siebie rozmówcy. Zresz -tą, czy to ważne?

- Więc przygotowuje pan tekst na temat KDI - zagaił Kasprzyk uznając, że wstępne rozpoznanie mają za sobą. - I jest pan zainteresowany moim raportem z audytu wewnętrznego?

- Otrzymałem go od... informatora.

- To wie pan wszystko. Ciekawy materiał, prawda?

- Istotnie. Ale wszystkiego nie wiem. Na przykład w raporcie krytykuje pan inwestycje zarządu KDI, a potem już o tym nie wspomina.

-W MOIM raporcie był dokładny opis procederu, ale być może, że do KDI nie trafił MÓJ raport.

- Pan jest pod nim podpisany.

- Tak podejrzewałem, ale nie skończyłem pracy. Zwolniono mnie przed oddaniem ostatecznej wersji dla klienta.

- Zwolniono? Chce pan powiedzieć, że to z powodu tego raportu?

- Dokładnie. Zostałem zwolniony i na tym zakończyła się moja przygoda z rynkiem finansowym w Polsce. Miałem co prawda propozycję pracy ze Szwajcarii, ale wybrałem strusie.

- B&D to renomowana firma - wolno podsumował Zimny. - Czy dobrze zrozumiałem, że zwolniono pana z powodu rzetelności w pracy?

Kasprzyk uśmiechnął się zagadkowo.

- B&D to renomowana firma, która jak każda bardziej ceni klientów niż pracowników. Przez dziesięć lat uczono mnie, że mam być wyjątkowo skrupulatny w ujawnianiu nieprawidłowości, bo na tym przecież polegała rola firmy, aż przyszedł kryzys finansowy i nagle trzeba było być już mniej skrupulatnym. Przynajmniej w pewnych zakresach i na specjalne życzenie. W przypadku KDI po przekazaniu wstępnego raportu pojawiły się takie życzenia.

- Usunięcia pewnych fragmentów?

- Pominięcia. To lepsze słowo. Właściwie kazano mi napisać laurkę. Jak się nie zgodziłem, wylądowałem na bruku.

- Ale przecież to bez sensu - Zimny nie bardzo rozumiał. - Po co pa -na zwolniono, skoro raport i tak był krytyczny i nie miał ujrzeć światła dziennego?

-Askąd pan wie, że raport, który miał pan w ręku jest jego finalną wersją? Może B&D po zwolnieniu mnie przeprowadziła inny audyt, z którego wnioski były zupełnie inne? -Aprzeprowadziła?

Maciej Kasprzyk wyjął z kieszeni kubraczka paczkę papierosów, poczęstował Zimnego i palił bez słowa przez minutę.

- Pomogę panu - zdecydował w końcu. - B&D wynajęto zaraz po tej aferze ze szkoleniami. W mediach i dla opinii publicznej sprawa nie istniała, ale szefowie banków i grup finansowych dostali informację o publikacji w IPO i aferze związanej z KDI. Na to dodatkowo nałożyły się plotki o ich specyficznym sposobie działania i korumpowaniu wielu osób na rynku. Po cichu mówiło się, że to koniec tych maklerów, bo tego typu afery często kończą się wykluczeniem. KDI wynajęło jakiegoś specja od wizerunku i ta osoba poleciła im zaangażowanie firmy audytorskiej.

- Chcieli się wybielić... - szepnął pod nosem dziennikarz.

- Cel był prosty; raport miał udowodnić, że KDI jest świetną firmą. Doradzono im, żeby wynajęli renomowanego audytora, który będzie firmować to katharsis. Dla B&D był to podobno najważniejszy kontrakt w całej historii. Mieliśmy zbadać kompleksowo KDI i to zrobiliśmy. Na pewnym etapie zmieniono jednak nasze ustalenia na życzenie zarządu. Z tego co wiem, oficjalny raport, laurka, trafił na biurka wszystkich ważnych osób w Polsce. Pan musiał dostać część wersji nieoficjalnej.

- Prawdziwej?

- Zależy dla kogo.

- Zły jest pan na nich? Na swoich szefów?

- Jestem - przyznał Kasprzyk.- Wierzyłem w to, co robiłem. Wierzyłem, że moja praca jest ważna, pożyteczna dla klientów. A nagle się okazało, że na pewne sprawy powinniśmy być ślepi. Nawet pan sobie nie wyobraża, ile syfu jest w tych wszystkich giełdowych spółkach.

- Mogę pana zacytować?

-I co to panu da? Przecież druga strona zdecydowanie zaprzeczy. Ośmieszą i mnie, i pana. Hodowca strusi kontra szefowie wielkiej spółki, znanej międzynarodowej korporacji zajmującej się audytem. Jak pan myśli, komu uwierzy czytelnik?

- Może jednak dajmy mu szansę?

- Zbyt dużo widziałem złamanych kręgosłupów, karier i zmienionych nie do poznania charakterów, by mieć złudzenia. Tacy ludzie jak ja, to wyjątki, wyrzutki. Nikt nad nami nie chce się ani litować, ani pochylać i zastanawiać. Jak podnosimy głos, to zaraz wrzuca się nas do worków pełnych oszołomów i wariatów. W konfrontacji z tzw. autorytetami nie mamy szans i jak zaczniemy walczyć, jak nie pogodzimy się ze swoim miejscem w szeregu, to szybko zepchnie się nas na margines, oskarży o omamy, teorie spiskowe.

- Są media, dziennikarze... Kasprzyk roześmiał się.

- Niech pan spojrzy na siebie. Czy jest jeszcze ktoś, kto chce pana zatrudnić?

Zimny nic nie odpowiedział. Kasprzyk miał rację; nawet jeśli dziennikarz nie chciał tego dostrzec. W mediach obiektywne materiały prezentujące dane wydarzenie z różnych punktów widzenia i dające czytelnikowi możliwość oceny praktycznie się nie zdarzają. Każdy materiał musi mieć tytuł, który nadaje ton dalszej treści. Musi być zapowiedziany w odpowiedni sposób. Każdy komentarz powinien podkreślać dramaturgię. Co do niej nie pasuje, łąduje w ścinkach.

- Kiedyś rozmawiałem z jednym dziennikarzem na temat

pewnego wybitnego człowieka z rynku, który był super uczciwy. I wie pan, co na ko -niec powiedział mi ten dziennikarz? Ano spytał: „a nie ma pan przypadkiem na niego jakiś haków? Wszyscy o nim mówią tylko dobrze. Taki cukierkowy obraz tego człowieka jest nieprawdziwy. Nie, to chyba nie przejdzie.”

- Dziennikarz po prostu się bał, że go pan wyprowadza na manowce. Bał się, że przedstawi tę postać w zbyt pozytywnym świetle - próbował tłumaczyć Zimny, ale sam zdawał sobie sprawę, że to żadne tłumaczenie.

- Tego dziennikarza nie interesowała prawda. To jest problem. Jego interesował obraz, który ma być wiarygodny, a nie prawdziwy. Niech pan zobaczy, w ilu aferach finansowych kompromitowały się autorytety. I co? Nadal nimi są. Nikt ich nie rozliczał. Nikt nie pociągnął do odpowiedzialności. A i oni sami się także do niej nie poczuwają. Bo przecież oni tylko dawali nazwisko aferzystom... Właśnie. Tylko dawali nazwisko. I pan chce mnie konfrontować z tymi autorytetami? Nie może pan widzieć we mnie sojusznika.

- Nie mogę - przyznał Zimny.

- Przynajmniej oficjalnego - dodał zagadkowo Kasprzyk.

- Co pan ma na myśli?

Kasprzyk skończył palić i klepnął mocno Zimnego w plecy.

- Zapraszam na kawę. Mam w domu parę dokumentów, które mogą się panu przydać.

Morderca Barbary Ochnik czuł podniecenie. Pierwszy raz zamordował człowieka. Wielokrotnie wcześniej o tym myślał, może nawet marzył, planował a wyobrażenia podsuwała mu ociekające krwią i emocjami obrazy. Nigdy dotąd nie znalazł w sobie dość odwagi, by je urzeczywistnić.

Choć raz był wyjątkowo blisko. Dotykał śmierci drżącymi palcami. Z emocji, podniecenia, rozkoszy...

Rzeczywistość przerosła oczekiwania. TO było jak spóźniony orgazm - najwspanialszy, jakiego doznał ze względu na swoją wielowątkowość i dowolność interpretacyjną. Już w domu po zabójstwie wymiotował; nie był w stanie pić ani jeść. Miał dreszcze, czuł zimno, strach, ale i błogość. Huś -tawka nastrojów unosiła go do niebios, po czym strącała w piekielne czeluści. Z ramion anioła spełnienia trafiał w gorące objęcia demonów cuchnących siarką i truchłem. Organizm odwodnił się i buntował prowadząc prawdziwą batalię z umysłem.

A ten płonął z emocji.

A więc to tak. To jest TO uczucie. Już wiem Karolu, co mogłeś czuć. Dlaczego nie mogłeś przestać.

Morderca myślał racjonalnie. Zdawał sobie sprawę ze swoich prowadzących nad przepaść wyborów. Wiedział, że nie będzie potrafił przestać. Że będzie musiał ponownie zamordować. Jeśli nie dziś i nie jutro, to może za miesiąc albo dopiero za rok. Kiedy wszystko przycichnie, kiedy będzie mógł już to zaplanować i przeprowadzić tak, żeby ograniczyć do minimum ryzyko. Karol Kot był w stanie wytrzymać trzy lata. Dlaczego ja nie mógłbym być równie dobry? Kot był jego idolem.

Morderca znał wiele historii seryjnych zabójców. Był prawdziwym ekspertem w tej materii, zaczytywał się w książkach na temat seryjnych morderców od wczesnych lat młodości. Prawdopodobnie w Polsce nikt tak dobrze nie zgłębił tego tematu. Dzięki wyjątkowej inteligencji, zdolnościom manualnym i psychologicznym oraz znajomości języków, w ciągu kilku lat stał się chodzącą encyklopedią w zakresie wielokrotnych morderców.

Wśród przyjaciół zyskał respekt. W internecie określano go pseudonimem KilerTale. KilerTale stał się legendą portali społecznościowych, które poruszały wątki wszelakich samobójstw i morderstw. Starał się dopisywać do

najważniejszych dyskusji, przejmować nad nimi kontrolę i wywierać wpływ na wszystkich blogerów. Kto wie, czy dzięki dosłownym opisom tego, co dzieje się z ciałem po śmierci czy też sposobów uśmiercania nie uratował komuś życia. Udzielał się na Twitterze i Blipie. Zawsze zachowując należyty dystans i pozory. Kiedy redaktor „Dużego Formatu” zaproponował mu wywiad na temat fascynacji śmiercią, on zamiast szybko uciąć temat, zaczął się drażnić z rozmówcą i wodzić go za nos.

- Ktoś z moją pozycją nie może pokazać prawdziwego oblicza.

- Zapewniam anonimowość - pisał redaktor.

- Anonimowość nie istnieje. Gdyby pan dowiedział się, kim jestem, nie dotrzymałby pan słowa.

- Zapewniam, że dotrzymam. Obowiązuje mnie ochrona źródeł.

- Nie wierzę. Po rozmowie musiałbym więc pana zabić.

- Byłby pan do tego zdolny? -Adlaczego nie?

- Co innego zabić, a co innego mówić o zabójstwach. Psycholog nie musi być dewiantem.

- Ja jestem.

- Więc jest pan osobą publiczną? -W pewnych kręgach pozostają znany.

Dziennikarz wyciągnął ile mógł, a morderca pozwalał mu na tę grę jed -nocześnie starając się wyprowadzić go w pole. Dlatego napomknął, że jako bankier analizuje przyczyny i skutki oraz zna się na rachunkach. Choć prze -cież nie był bankierem. Nie przewidział, że powstanie z tego artykuł. Dlaczego sądził, że dziennikarze bardziej weryfikują informacje?

Bloger zabójca ze świata finansów

Znanym internetowym ekspertem od morderstw i samobójstw jest prawdopodobnie finansista, wysokiej klasy specjalista, być może nawet prezes jednego z banków.

Zbrodnia może być równie fascynująca jakpiei niądze?

Tekst w „Dużym Formacie ” początkowo go zdenerwował, gdyż bał się, że może prowadzić do dalszej nagonki na jego osobę. Na szczęście okazało się, że artykuł nie został dostrzeżony przez innych łowców sensacji i dziś morderca z drwiącym uśmiechem wygrzebywał go z szuflady w piwnicy.

Po artykule przez jakiś czas mniej udzielał się w sieci. Zaczął też korzystać z dwóch innych pseudonimów: PoisonBleu i VenomTrack. W ten oto sposób w Polsce zaczęło działać wielu świetnych ekspertów od spraw seryjnych morderców. Czasem nawet prowadzili ze sobą ożywioną dyskusję. Iw tych debatach morderca czuł się jak ryba w wodzie, starając się dzielić jedną własną osobę na cztery różne, ale uzupełniające się osobowości. Człowiek ma wiele twarzy. Oto dowód.

Zabójcy fascynowali go od dzieciństwa. Zaczytywał się historiami morderców z USA, Francji, Hiszpanii, Włoch. W Polsce znał wszystkich zabójców. Niemal na pamięć potrafił podać daty morderstw od wczesnych lat dwudziestych aż do współczesności. Na jednej z półek pamięci złożył wszystkie wyroki śmierci wydane na seryjnych morderców, daty, miejsca i sposoby wykonania kary. Największe sprawy - jak Kota, Knychały, Staniaka, Tuchlina czy grupy Trojanki. Dokładnie prześledził najbardziej zagadkową i tajemniczą sprawę Zdzisława Marchwickiego, Wampira z Zagłębia, czytając także dostępne w Bibliotece Narodowej materiały ze śledztwa.

Jak mogli się tak pomylić?

Przez chwilę, gdy doszedł do wniosku, że skazano za te zabójstwa niewinnego człowieka, poczuł radość. Może mógłby sam odnaleźć prawdziwego Wampira i z nim porozmawiać? Ale to było tyle lat temu. Nawet jeśli żył, to będzie niedołącznym staruszkiem.

Zadziwiająco, że policja nie wierzyła tak naprawdę w seryjnych zabójców, nawet jeśli przyjmowała takie hipotezy.

Właściwie tylko ta jedna sprawa -wa została tak przeprowadzona i zakwalifikowana. A przecież mieliśmy co najmniej dwudziestu seryjnych. Z tego ponad połowa skończyła na stryczku. A ilu nie wykryto?

Tak czy inaczej, Karol był mu najbliższy. Dokładnie planował wszystko i nie dał się zaszufłakować do jednego portretu psychologicznego. Latami wodził za nos policję nie dając się złapać. Był wyjątkowy. Obaj byli.

Stańczyk przez dwa dni chodził jak struty. Potem przez tydzień celowo nic nie robił. Ze zdziwieniem zauważył, że nikogo to nie obchodzi. Pewnie mógłby się tak prześlizgać do emerytury. Wniosek był taki, że łatwiej jest nic nie robić, byle się nie wychylać, niż dobrze wypełniać swoje obowiązki.

Za długo tak jednak nie potrafił.

Z drugiej strony doszedł do wniosku, że rzeczywiście źle poprowadził śledztwo i może nie bez racji zarzucono mu odpuśczenie pozostałych dowodów i innych hipotez do weryfikacji. Przejrzał zeznania syna Ochnik, z których nic nie wynikało i postanowił, że odwiedzi chłopaka jeszcze raz. Przeanalizował też dokumentację śledztwa wypisując słabsze punkty i wytyczne. Potem zszedł do magazynu i obejrzał wszystkie dowody rzeczowe. Na szczęście nic nie zginęło. Był odcisk buta, były materiały do analizy genetycznej, ślady zapachowe. Był też przedmiot, który najwięcej dawał mu do myślenia. Niewielka blaszka, na którą przeczucie kazało mu zwrócić szczególną uwagę. Już wiedział, co to jest. Choć jeszcze nie był pewien czy ta wiedza może się przydać, to sukcesem było wyodrębnienie materiału genetycznego ze śliny pozostawionej na przedmiocie. Jeśli oczywiście miał on jakikolwiek związek z mordercą. Pozostawało czekać na rozwój wypadków. Cierpliwie. Przypomniawszy sobie motto, które jego ojciec miał wypisane na opasłym zeszytzie z zapiskami.

Cierpliwość. W pracy detektywa najważniejsza jest cierpliwość.

No, cóż. Mamy co robić.

Zacniemy od syna Ochnik.

Telefon zadzwonił o godzinie 2.30 w nocy. Andreas Holdner przygotowywał się do snu, ale widząc nazwisko rozmówcy, postanowił odebrać. Dzwoniący nie bawił się we wstępy.

- Mamy ich!

Rozdział 22

*Być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo,
zwyciężyć i spocząć na laurach - to klęska.*

Józef Piłsudski

Dom Macieja Kasprzyka z zewnątrz przypominał inne budynki we wsi. W środku jednak został mocno przerobiony i sprawiał wrażenie nowoczesnego i przemysłowego urządnego. Salon połączono z dwoma innymi pomieszczeniami szerokimi przejściówkami bez drzwi czy innych zasłon. Na ścianie wisiała ogromna plazma, w rogu pokoju stało nowoczesne hi-fi.

Audytor posadził Zimnego przy dębowym stole i zaproponował espresso.

- Ostrzegam, podaję tylko czarne i nie znoszę jak ktoś słodzi.

- Nie słodzę - uspokoił go Zimny i zerknął znacząco na zegarek. - Co pan ma na KDI?

- Jak pan nie ma czasu, to nie mamy co zaczynać. Nasza rozmowa może się przeciągnąć do późnej nocy.

Zimny westchnął. Taki już mój los.

- Mam czas. Zaczynajmy.

Kasprzyk poprosił go o chwilę cierpliwości i zniknął. Wrócił kwadrans później z dwoma segregatorami dokumentów i kartonowym ozdobnym pudłem z Ikei.

- Wiedziałem, że to nie może się zmarnować - powiedział. - Powiem panu, że miałem w sobie dużo jadu i samozaparcia po zwolnieniu z pracy. Początkowo zamierzałem przemaglować KDI na wszystkie strony, sporządzić z tego raport i rozesłać swoją wersję po rynku. Kilka miesięcy siedziałem nad dokumentacją i myślę, że dziś znam KDI lepiej niż jego szefowie.

- Jednak raportu pan nie sporządził?

- Należę do osób zawziętych i upartych, byłem więc pewien,

że im się odpłacę. Zaangażowałem się w to w stu procentach, ale kiedy już byłem gotów, nienawiść odpłynęła, zająłem się strusiami, a potrzeba zemsty i rewanżu gdzieś odeszła. Dziś sobie tłumaczę, że może to wynik moich ustaleń.

- Niewiele pan znalazł? - zdziwił się Zimny.

- Przeciwnie, - roześmiał się Kasprzyk - odkryłem chyba wszystkie ciemne zakamarki KDI, wymiotłem każdy brudek spod dywanu, zburzyłem ostatnie mury zakłamania. Byłoby tego wszystkiego na porządną kontener śmieci. Myślę, że mógłbym zakończyć ich kariery raz na zawsze, tak jak oni skończyli moją. Ale... , kiedy już to wszystko odkryłem, poczułem coś jak spełnienie. Poczułem, że moja zemsta się dokonała przez to, że udało mi się znaleźć to wszystko i nie potrzebuję kontynuować wendetty. Czuję się jak japoński wojownik, dla którego wewnętrzne zwycięstwo jest znacznie ważniejsze od sławy i oficjalnych laurów. Miałem jeszcze ochotę zadzwonić do Rostowskiego albo Trybuchowskiego i powiedzieć im krótko: wiem o was wszystko.

- Uff - mruknął Zimny. - Nie mogę się doczekać, co pan tam ma. Boję się tylko, żebym też nie poczuł spełnienia...

- Pana zawód jest inny niż mój. Ja przez lata uczyłem się cieszyć ze swojej skuteczności i sukcesów w cieniu. Panu spełnienie odkrycia kart nie wystarczy. Pan musi dopełnić dzieła, a potem pokazać je tłumom. Pana taki ekshibicjonizm napędza. Ale przejdźmy do rzeczy...

Kasprzyk otworzył segregator i powyjmował na stół dokumenty.

- Historię powstania KDI, te wszystkie akcje z tworzeniem łańcuszków klientów, wynajmowaniem agencji towarzyskich na imprezy integracyjne, opłacaniem urzędników pan doskonale zna. Nie ma co do tego wracać, choć w tej części dokumentacji - Kasprzyk wskazał Zimnemu ozdobne pudełko - znajdzie pan dużo ciekawych analiz i dowodów. Ma pan tam zestawienie wydatków na prezenty i gąże

poszczególnych urzędników, zbiorczo i w ujęciu jednostkowym. Wydatki na „reprezentację” w tym kolacje w nocnych klubach, gdzie nie podaje się żadnych kolacji, pozwoliłem sobie włożyć do różowych koszulek - Kasprzyk uśmiechnął się znacząco. - Niesamowite, że wynajmowali agencje przy prawie każdej ofercie. Seks pomaga w sprzedaży. Tak jak przyjaciele w funduszach. Dalej, w koszulkach zielonych są dokumenty świadczące o relacjach z zarządzającymi funduszami, także wyniki osiągnięte na kontach tych zarządzających.

- Chce pan powiedzieć, że zarządzający robili front running? Prywatnie wyprzedzali inwestycje zarządzanych przez siebie funduszy?

- To nie takie proste. Przecież nikt nie przelewał pieniędzy na ich pry-watne konta. Czy słyszał Pan o tzw. emisjach Pre-IPO? Initial Public Offering - to pierwsza oferta publiczna. Pre-IPO to oferta realizowana dla wybranych inwestorów przed upublicznieniem spółki. W sumie nic złego. Zależy tylko, po jakiej cenie akcje są oferowane i komu. Wygląda na to, że KDI robiła Pre-IPO dość często, po niskiej cenie, a wybrańcami byli właśnie zarządzający funduszami. Chyba nie ma Pan wątpliwości, że taki pracownik funduszu jest osobiście zainteresowany tym, aby emisja się udała, a cena akcji szła w górę. Jeżeli używa do tego pieniędzy klientów swojego funduszu, to co najmniej naraża się na zarzut działania w poważnym konflikcie interesów. Jak pan widzi obraz nie jest czarno-biały. Jest w nim miejsce na wiele odcieni szarości. Na rynku wszyscy wiedzą, jakie są spółdzielnie zarządzających. Kto z kim gra i w jakich uczestniczy ofertach. Wszystkie te sojusze są mocno podejrzane, ale nie każdy opiera się na korupcji.

-W przypadku KDI też wiadomo, jakie fundusze z nimi grają, jakie zawsze wchodzą w ich oferty.

- Czy to wynik korupcji? Ja bym powiedział, że bardziej

zbudowania relacji, wzajemnych powiązań i zależności biznesowych. Ale to, że część zarządzających założyła sobie konta w KDI i zyskuje więcej niż inni klienci, nazwałbym dużą nieostrożnością. Na każdym cywilizowanym rynku to byłby koniec zawodowy tych ludzi.

- Ale nie u nas?

- Nie wiem. Skoro już jesteśmy przy tych portfelach VIP, które pana do mnie przyciągnęły, to w tych dokumentach - tu Kasprzyk wskazał na leżące przed nim materiały - ma pan dokładnie rozpisany każdy portfel, jego analizę i porównanie do kont innych klientów. Zarówno VIP, jak i zwykłych inwestorów.

- Preferowali część klientów?

- Analiza nie jest dla nich zbyt korzystna. Ja gdybym był super autorytetem, członkiem rady giełdy czy znanym z obrony słabszych mecenasem, wstydziłbym się, że kosztem innych klientów pomnaża się moje miliony. KDI nie przebierało w środkach. Opisana grupa osób praktycznie zawsze zyskiwała, a jeśli traciła na jakiejś transakcji, to osoba zarządzająca portfelem szybko znajdowała sposób, żeby przywrócić zyski VIP-om. Trefne ak -tywa przerzucano na mniej świadomych klientów, a w ostateczności na prezesów.

- Rostowski i Trybuchowski brali na siebie straty? - zdziwił się Zimny.

- Pozornie, bo zaraz przerzucali je na innych klientów lub na koszt samego KDI, na czym przecież tracili inwestorzy giełdowy.

- Czy analizował pan legalność tego wszystkiego?

- Cóż. Przepisy są skomplikowane i wątpię, żeby za to groziła odpowiedzialność karna. Jednak to działanie nieetyczne i podlegające kontroli KNF. Tylko jak KNF ma kontrolować własnego szefa? - Kasprzyk z błyskiem w oku pokazał Zimmemu jedną stronę opatrzoną pieczętkami KNF.

Decyzja o wszczęciu kontroli w Krakowskim Domu

Inwestycyjnym

- Niech pan zwróci uwagę na zakres. Kontrola prawidłowości zarządzania portfelami klientów.

-Ocholera! - zaklął Zimny - Czyli jednak KNF wszczął oficjalną kontrolę w tej sprawie.

- Wszczął, bo nie wiedział, co znajdzie. Urzędnik, który podpisał decyzję, nie miał pojęcia, że jego szef jest jednym z klientów, których ma kontrolować. Jak się dowiedział, to pewnie nie bardzo mu się chciało wykazywać nieprawidłowości...

- Więc kontrola nie potwierdziła pana wniosków?

- Co to, to nie. - zaproponował Kasprzyk - Moje wnioski są prawidłowe, a dom maklerski powinien stracić za takie działania licencję. Urzędnicy-kontrolerzy nie mogli tego przepuścić.

- Nie rozumiem. Co zatem zrobili?

- Mogę się tylko domyślać. Moim zdaniem po prostu zostawili kontrolę niezamkniętą. Odłożyli, jakby jej nie było. Bez żadnych wniosków i efektów. Tak więc portfele VIP pozostały zgniłym jajkiem w koszyku i nikt z tym niczego nie robił. Pan ma teraz szansę na przeanalizowanie tego wszystkiego i rozprawienie się z instytucją ślepego portfela?

- Co to takiego?

- To instrument dla osób, które mogą być posądzone o konflikt interesów, gdyby inwestowały prywatnie na giełdzie. Taka osoba może założyć sobie ślepy portfel oddając środki w zarządzanie fachowcowi. Żeby uniknąć insynuacji, klient nie jest informowany o decyzjach zarządzającego.

- Brzmi w porządku - uznał Zimny.

- Teoretycznie, tak. Jednak w przypadku KDI, a szczególnie Klasyka, istnieje olbrzymi problem. Klasyka zna w KDI zarząd i pewnie większość pracowników. Przecież to jest małe biuro a nie wielka instytucja, gdzie nawet taki klient rzeczywiście pozostaje anonimowy, gdzie procedury nie

pozwalają na odstępstwa i preferowanie kogokolwiek. Jaka ma pan pewność, że zarządzający jednak nie konsultowali decyzji z klientem, a ślepy portfel był ślepy tylko z nazwy? Uważa pan, że to fair wobec ludzi, którzy nie nazywają się Klasyk?

Argumentacja Kasprzyka brzmiała rozsądnie.

- Jan Pan widzi jest duża różnica między: zarobił, zarobił nieuczciwie i dano mu zarobić. Zresztą Klasyk nie jest jedynym problemem. VIP-y KDI to ludzie z pierwszych stron gazet - wielu działających na rynku finansowym. Patrząc na wyniki tych portfeli, ciężko oprzeć się wrażeniu, że skuteczność zarządzania pieniędzmi zależy od ważności

VIP-a.

Kasprzyk przerwał na chwilę, uporządkował dokumenty i kontynuował:

- Pamięta pan na czym polega emisja Pre-IPO? Mam tutaj taką spółkę Tryton ze Szczecina, której akcje najpierw zaoferowano VIP-om. Późniejsza emisja w ofercie publicznej była prawdziwym sukcesem. Klienci zarobili krocie. Proszę zobaczyć, kto jest na liście szczęśliwców, którzy kupowali akcje wcześniej: ludzie z KNF, politycy, pracownicy giełdy. Ani jednej przypadkowej osoby. Oczywiście zapisywały się na tę emisję wszystkie najważniejsze „ślepe portfele.”

- Boże - Zimny pokręcił głową z podziwem, ale też nabrał pewnych wątpliwości. - Pan to wyniósł z KDI? Nie obawia się pan, że jak to wykorzystam, to dojdą, że to pan mi dał?

- Szanowny panie redaktorze - rzekł Kasprzyk z rozbawieniem. - Lista, którą panu daję, jest informacją jak najbardziej publiczną. Polski Kodeks Handlowy wymaga, aby takie dokumenty złożono w aktach sądowych Trytona. Każdy może te akta przeglądać. Trzeba tylko podjechać do Szczecina.

- Chce pan powiedzieć, że można zebrać takie informacje dotyczące również innych spółek.

- Oczywiście. Analizę zarządzania przeprowadziłem sam. Nie czuję się jednak w obowiązku zachowania tajemnicy w tym zakresie, skoro uznano, że moje ustalenia są... że właściwie ich nie ma. Skoro ich nie ma, to jakby to była jakaś fantastyka. Niech pan pobawi się w kosmonautę.

- Pobawię się - zapewnił Zimny.

-W tym kosmosie radzę też zwrócić uwagę na planety pod tytułem Trybuchowski i Rostowski - dodał Kasprzyk. - Prezesi KDI są aktywnymi in -westorami giełdowymi. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie konkurowali poważnymi środkami z własnymi klientami.

- Nie rozumiem...

- Należą do klientów VIP - wyjaśnił Kasprzyk. - Jeśli oferta cieszy się dużą popularnością i daje pewność zysków inwestorom, obaj składają ogromne zapisy w transzy indywidualnej na wiele dziesiątek milionów złotych. W ostatni dzień zapisów.

- Coś w tym złego? Może chcą pokazać, że wierzą w ofertę i także ryzykują własnymi pieniędzmi?

- To nie tak. Oni nie ryzykują, bo pakują się tylko w pewne oferty. Gdy zarząd składa swój zapis, dokładnie wie, jaki jest popyt i jaka będzie nadsubskrypcja. Jestem gotów się z Panem założyć, że zlecenia te nie miały pokrycia w rzeczywiście płaconych środkach, mimo że biuro ma taki obowiązek. Myślę, że Prezesi wpłacali tylko tyle pieniędzy, ile trzeba było, aby pokryć zakup tej ilości akcji, jaką mieli dostać po redukcji. Za to dzięki temu, że składają naprawdę potężne zapisy, inni inwestorzy-klienci otrzymują znacznie mniej akcji. To jest nieetyczne, szkodliwe dla klientów i może grozić też zarzutami karnymi za insider trading.

- Zapowiada się naprawdę długi lot...

Przez następne dni Zimny intensywnie pracował nad dokumentacją. Ustalenia Kasprzyka były tak sensacyjne, że

wręcz nieprawdopodobne. Ale dokumenty nie kłamały, nie mogły być sfalszowane. Zimny czuł, że chyba rzeczywiście otwiera się przed nim droga do tak oczekiwanego tematu życia. Duża kasa, znane nazwiska, ważne społecznie kwestie, a dodatkowo najcięższe przestępstwa z morderstwem i Bóg wie czym jeszcze w tle. Brakowało tylko mafii. I oligarchy, który rżnie dziwki na jachcie za 30 milionów dolarów i na którego widok chce się rzygać - przypomniały mu się oczekiwania szefów jednego z niedoszłych pracodawców.

Może i dla was coś się znajdzie. W końcu wykorzystywano prostytutki do sprzedaży ofert.

Zdawał sobie sprawę, że jeśli dobrze przeprowadzi całe śledztwo i zadba o szczegóły, ma szansę stworzyć jeden z najciekawszych tekstów śledczych w tym roku, a na pewno najciekawszy materiał dotyczący rynku kapitałowego. Pracy było dużo, ale czuł, że warto się jej poświęcić.

Już następnego dnia po wizycie u Kasprzyka pojechał do Holdnera, któremu przekazał wszystkie ustalenia audytora bez ujawniania źródła. Niemiec był podekscytowany, ale i ostrożny. Przestrzegał przed pochopną wiarą w twierdzenia i dokumenty bez ich weryfikacji. To ja rozmawiałem z Kasprzykiem. I wierzę mu.

Zimny jednak wiedział, że wszystko musi zweryfikować. Niemiec w rewanżu przekazał mu ustalenia swojego zespołu, które także wносиły wiele do sprawy.

- Najwięcej czasu poświęciliśmy analizie bilansów KDI - powiedział Holdner. - Nie spodziewaliśmy się uzyskać za wiele, jednak znów sprawdziło się powiedzenie: dla chcącego nic trudnego.

- Dajcie mi człowieka, a znajdę paragraf? - zakpił dziennikarz.

- Coś w tym stylu - roześmiał się Holdner. - Pamięta pan, co jest, a może raczej powinienem powiedzieć, co było najmocniejszą stroną KDI?

- Oferty pierwotne. Ale czemu były?
- Cóż. W kryzysie akcje sprzedają się trudniej. Pana artykuł w Expressie również im nie pomógł. Biorąc to pod uwagę spodziewaliśmy się, że KDI zaraportuje pogorszenie wyników. Być może straty.

- Być może w Niemczech to miałyby znaczenie... W Polsce jednak strata wygenerowana przez dom maklerski nie będzie newsem dnia.

- Pan nic nie rozumie. Jest dużo gorzej. Wyniki KDI... wcale się nie pogorszyły.

Zimny zdębiał - teraz już naprawdę nic nie rozumiał. Przez chwilę przestraszył się, że Holdner zwariował. Zbyt dużo napięcia i stresu i organizm nie wytrzymał - to się zdarza.

- Czy dobrze zrozumiałem? Cieszy pana, że wróg ma się całkiem dobrze?

- Proszę o chwilę uwagi - Holdner zaczął typowym dla siebie pouczającym tonem. Można było to nienawidzić, ale ciężko było lekceważyć. - Ostatnimi czasy KDI nie realizowała zbyt wielu ofert. W innych segmentach rynku w zasadzie nie liczy się. Mamy więc koszty, ale nie mamy przychodów. Tymczasem KDI raportuje zyski. Przyjrzeliliśmy się dokładniej, skąd te zyski się biorą. Wygląda na to, że z dokonanych inwestycji. Problem w tym, że giełda dołuje. Przy spadającym rynku ciężko jest zarabiać pieniądze.

- Może na przykład sprzedali większą ilość kontraktów terminowych?

- Teoretycznie jest to możliwe. Wygląda jednak na to, że „zyski” nie są realizowane i nie przekładają się na gotówkę. Niech pan popatrzy na bilans z ostatniego raportu rocznego - Holdner podsunął mu raport. - Rosnąca masa zobowiązań - blisko trzysta milionów złotych, a na koncie pustka. Proszę zwrócić uwagę, że mimo pozyskania znacznych środków z ostatniej emisji akcji, ta firma nie ma praktycznie żadnej gotówki na koncie - dwa miliony to dla spółki tej wielkości

praktycznie nic. W zeszły roku mieli 10 milionów, dwa lata temu było to dwadzieścia milionów. Czemu gotówka się zmniejsza?

- Może zainwestowali?

- Raczej nie - zaprzeczył Holdner. - Te pieniądze po prostu zniknęły. Pytanie tylko gdzie?

- Chce pan powiedzieć, że KDI to... że może mieć kłopoty z płynnością? Że te wyniki to kreatywna księgowość?

- Naszym zdaniem KDI to potencjalny bankrut - potwierdził finansista.

- Wyniki KDI są audytowane - odparł ostrożnie Zimny, choć zaraz przypomniał sobie, co prawdziwy audytor mówił o swojej pracy. Mimo to kontynuował słabym tonem: - Spółka jest w końcu domem maklerskim i podlega pełnemu nadzorowi.

- Jakość nadzoru już Pan zna, a co do audytowania wyników... Wyniki Enronu też były audytowane. Jeżeli majstrują przy swoich księgach,

z pewnością nie robią tego bez jakiś podkładek. Proszę zwrócić uwagę na pozycję „aktywa finansowe przeznaczone do zbycia”. Aktywa znajdujące się w tej pozycji - jeżeli nie są notowane na giełdzie - wyceniane są według tzw. rzetelnej wyceny. Ale wyceny dokonuje zarząd spółki. Trudno powiedzieć, co tam siedzi, a takiej informacji KDI nie publikuje. Teoretycznie wystarczy uznać, że aktywa nabrały większej wartości, podjąć odpowiednią uchwałę zarządu i... voilá!. Zarząd miał kolejny udany kwartał. Zresztą wycena aktywów notowanych na rynku wtórnym nie jest wolna od manipulacji. Jeżeli papier jest mało płynny, to czasem wystarczą dziesiątki tysięcy złotych, aby znacząco wywindować jego cenę. Wtedy teoretycznie posiadany pakiet akcji znacznie przybiera na wartości. Problemem jest jednak fakt, że akcji tych nie da się sprzedać po tej cenie, a czasem po żadnej innej. A faktury i pensje płaci się gotówką, nie

akcjami.

Dziennikarz popatrzył przenikliwie na Holdnera. Jego wywód miał sens. Miał cholernie głęboki sens. Poczł drzenie rąk. Poczł dziennikarską krew.

- Cóż, na razie to tylko hipoteza - podkreślił Holdner, jakby wyczuł, że dziennikarz nazbyt się podpala. - Może jest inne wytłumaczenie... Myślę jednak że nasz trop, mimo że wymaga dokopania się do szczegółów, okaże się prawdziwy.

Po wyjściu z Consulting Partners, Zimny usiadł na ławce przed Kościołem św. Apostołów Pawła i Piotra i zapalił papierosa..

Musiał to sobie wszystko dobrze poukładać. Powinien działać szybko, żeby nie stracić zapału i zakończyć temat zanim ktoś mu go ukradnie. Z drugiej strony musi być skrupulatny i wytrwały przy weryfikacji materiału. Zdawał sobie sprawę, że jako wolnemu strzelcowi, będzie mu znacznie trudniej uzyskać komentarze i dojścia do źródeł.

Dlatego postanowił jak najszybciej znaleźć redakcję, która będzie go wspierać w śledztwie. Bez żadnych zobowiązań.

Wybrał na komórce numer wicenaczelnego Expressu. Gdy po drugiej stronie usłyszał głos dawnego przyjaciela, szybko wyłożył sprawę.

- Mam temat na jedynekę i chcę go wam sprzedać, oczywiście bez żadnych zobowiązań. Zdecydujecie, jak go zobaczycie. Jesteście zainteresowani?

- Czego dotyczy?

- Utajnionej kontroli w jednym z urzędów i łapówek.

- Pewnie, prześlij.

- To gruba sprawa. Przygotowanie tekstu może potrwać nawet miesiąc.

- Rozumiem. Jeśli materiał będzie dobry, wycenimy go w najwyższym przedziale. Z premią.

- To chciałem usłyszeć.

- Podeślij może jakiś draft, jak znajdziesz chwilę.

- Nie ma sprawy.

Drugą sprawą, którą musiał załatwić, był dostęp do Lexa*. Musiał go mieć w domu. Chodzenie z każdą sprawą do kumpli było zbyt czasochłonne i jednak ryzykowne. Szczęśliwie kumpel z tygodnika leciał do Hurghady i zgo -dził się pożyczyć mu notebooka.

- Tylko błagam cię, pilnuj go i nie korzystaj z sieci wydawnictwa. Jeśli ktoś cię złapie na próbie logowania, to jestem trup, a ty razem ze mną.

- Będę tylko sprawdzał Lexa. -OK.

Już następnego wieczora apartament Zimnego przypominał pokój jakiegoś stukniętego tropiciela teorii spiskowych. Masa drukowanego materiału porozrzucanego na łóżku i walającego się po podłodze i dwa komputery pracujące niemal non stop. Na jednym - własnym laptopie, pisał i przygotowywał pytania do stron, które zamierzał opisać w tekście. Na drugim - wchodził do bazy Lex i sprawdzał dane osób i spółek.

Weryfikacja danych wprowadziła go w osłupienie. Numery PESEL wszystkich osób z listy VIP zgadzały się z PESEL-ami notabli. Zimny spodziewał się przynajmniej kilku zbiegów okoliczności. Nie było żadnego. KDI strzelało bez pudła.

To niemożliwe.

Członkowie zarządu giełdy, córka przewodniczącego Rady Rynku Kapitałowego, dwóch byłych szefów nadzoru, kilku polityków, prezesi spółek skarbu państwa, a nawet zaufany doradca premiera. Być może wielu z nich nie zdawało sobie sprawy, że robią coś złego korzystając ze specjalnej ofer -ty. Mogli nawet nie wiedzieć, że są w jakikolwiek sposób preferowani, że ktoś próbuje sobie z nimi zrobić relacje. Ale dla domu maklerskiego taka lista była niczym stryczek na

** Polski system informacji prawnej, umożliwiający m.in. dostęp do danych spółek kapitałowych, weryfikację właścicieli, zarządów i powiązań pomiędzy nimi.*

szyję. Po pierwsze narażali na wielkie ryzyko swoich klientów, bo ujawnienie listy mogło równać się z zarzutem przyjęcia łapówki w postaci dużo korzystniejszej oferty niż dla innych klientów. Jak śmietanka polityczno-ekonomiczna miała się wytłumaczyć, że nagle zainteresowali się maleńką spółką ze Szczecina i w nią zainwestowali nie wiedząc, że zaraz dostaną ofertę znacznej przebitki za te akcje, bo spółkę chce przejąć giełdowy gigant?

Tym bardziej, że na liście szczęśliwców nie było ani jednej przypadkowej osoby.

To co mają pomyśleć inni wasi klienci? Dlaczego takie oferty macie tylko dla wybrańców?

Taka sprawa mogła zakończyć się niewyobrażalnym skandalem. Ale im dalej w las, tym bardziej Zimmemu włosy stawały dęba. Gdy wpisał w bazie Lex nazwę spółki Centrum Edukacji Europejskich, w polu „właściciele” pojawiły się nazwiska osób związanych z jedną z kancelarii prawnych specjalizujących się w postępowaniach przed KNF - co już wiedział od Holdnera. Ale dalsze badanie powiązań przyniosło jeszcze bardziej nieoczekiwane wyniki. Osoby te miały luźne, dalekie powiązania z grupami przestępczymi działającymi na rynku kapitałowym. Tych przestępców nikt dotąd nie złapał za rękę, ale wszyscy na rynku wiedzieli, że zajmują się manipulacjami. Języczkiem u wagi był zaś fakt, że Lex wśród osób zarządzających spółką Centrum Edukacji Europejskich wskazał kogoś o nazwisku Kozłowski.

Renata Kozłowska. Lat 37, jak wynikało z PESEL. Nazwisko takie samo jak Teodora, dyrektora departamentu emitentów w KNF.

Szybko znalazł jej profil na Naszej-Klasie. Znajomi, rodzina, zdjęcia z wakacji pod palmami. Obok roześmiany Teodor z drinkiem w rękę. Zona!!!

Ale jaja.

To już chyba przesada: urzędnicy KNF szkołą za kasę

petentów i klientów dwóch podmiotów o wątpliwej reputacji. W jednej z tych spółek na wysokim stanowisku pracuje żona dyrektora z KNF, a szefem nadzoru jest gość, który dorabia się w domu maklerskim organizującym to wszystko. Wobec którego na dodatek wszczęto poważną kontrolę. Czy na pewno nie jesteśmy w Afryce?

A może Afryka wcale nie jest taka zła? Zimny przypomniał sobie, jak Mark Mobius mówił o rynkach afrykańskich jako najbardziej perspektywicznych, zmieniających się i przyjmujących standardy europejskie. Może to jest pomysł? Wysłać do giełd w Afryce pytanie: czy u nich podobna sytuacja byłaby dopuszczalna? Niech odpowie chociaż jeden. Już widział ten tytuł: W Namibii opisane przez nas konflikty interesów nie mogłyby się zdarzyć. Jednak było mało prawdopodobne, żeby ktoś odpowiedział, bo przecież tamci nie są w ciemności i dobrze wiedzą, jaka jest o nich opinia w Europie. A co za tym idzie, nietrudno im będzie odgadnąć motywy Zimnego. Dlaczego mają dawać się ośmieszać białemu człowiekowi?

Spróbować nie zaszkodzi.

Jednak to wszystko było niczym w porównaniu z jedną kartką papieru, którą znalazł przeglądając po raz kolejny dokumenty sądowe KDI otrzymane od Kasprzyka. Oniemiał. A potem chwycił za telefon.

Ewelina Talar próbowała uspokoić Zimnego i skłonić go do odłożenia spotkania na przyszły tydzień, ale gdy dziennikarz nalegał, zgodziła się przyjść wieczorem do Iluzjonu.

Dziennikarz praktycznie od razu przeszedł do rzeczy.

- To jest jakiś kurewski spisek o niebywalej bezczelności. Pierwszy raz widzę coś podobnego. Jeśli to wypłynie za granicę, możemy wrócić do ligi krajów trzeciego świata, jeśli kiedykolwiek z niej wyszliśmy.

- Spokojnie. Opowiedz po kolei.

Mówił, a Ewelina po początkowym potakiwaniu głową, wyjęła notes i zaczęła zapisywać. Czasem przerywała, zadawała dodatkowe pytania i kreśliła coś w notesie lub dopisywała na marginesach.

- To nieprawdopodobne. Chcesz powiedzieć, że masz na to dokumenty?

- Wszystko jest udokumentowane.

- W takim razie mamy swoje Watergate - uśmiechnęła się - Co chcesz, żebym zrobiła?

Zimny wzruszył ramionami i spojrzał jej w oczy. Podobała mu się. Czy powinien ją w to wciągnąć? Taka sprawa mogła poważnie jej zaszkodzić.

- Nie wiem. Na pewno musimy zrobić coś, żeby wyciągnąć tych niewinnych ludzi z pułki. Nie może być tak, że z powodu zemsty skorumpowa -nych urzędników gniją w pierdlu.

- Pełna zgoda, ale prawnie będzie to możliwe dopiero przy sprawie prze -dłużenia aresztu.

- Poza tym chyba bym chciał, żebyś trzymała się z daleka.

- Dlaczego?

- To sprawa dla mediów. Jak powiedziałaś - nasze Watergate. Jeśli po -dejmiesz jakieś działania zanim powstanie tekst w gazecie, możesz przekre -ślić swoją karierę.

- Mam to w nosie.

- Nie ma potrzeby ryzykować.

- Pozwolisz, że sama to ocenię. Mówiłeś, że pierwszy twój tekst na ten temat powstał po donosie z KNF?

- I tak i nie. Zrobili to cwaniak, bo ktoś zgłosił się do naczelnego, a dopiero ten poprosił mnie o kontakt z KNF. A urzędnik zastrzegł, że żąda ochrony źródła, więc nie mogę go ujawnić. Nawet jak jest świnią, muszę go chronić.

- To głupie. Ale rozumiem. Jednak możesz powiedzieć, że to ktoś z KNF?

- Źródło zbliżone do KNF - przytaknął Zimny. - Tak, to mogę powiedzieć.

- Awiesz, że urzędnicy przekazujący dane urzędowe mogą zdradzać tajemnicę służbową?

- Oni zdradzali tę tajemnicę wielokrotnie. Tylko co z tego? Zawsze myślałem, że robią to w dobrej wierze. A teraz nie wiem, co mógłbym zrobić, żeby temu przeciwdziałać.

- Ty nic nie musisz, to prokuratura jest od tego.

- Musisz jednak wiedzieć, że ja niczego ci nie przyznam. Będę musiał zasłaniać się tajemnicą zawodową.

- Tak jak oni powinni się zasłaniać.

Zimny nieśmiało pocałował ją w policzek na pożegnanie i poczuł zapach nagietka i lawendy. Ewelina patrzyła zaś z niepokojem na dziennikarza i zastanawiała się, czy nowy przyjaciel sypia choć trochę. Bo jeśli nie, to ta przyjaźń może szybko się skończyć. Patrząc na oddalającego się Zimnego, wiedziała już, co powinna zrobić.

Następnego ranka w kancelarii i biurze podawczym prokuratury okręgowej zapanowała lekka konsternacja, gdy Ewelina Talar składała informację o wszczęciu śledztwa w sprawie ujawnienia tajemnic zawodowych przez pracowników KNF osobom trzecim oraz próbie wywierania wpływu na działania prokuratury okręgowej w Warszawie.

Szef wezwał ją do siebie godzinę później. Uprzejmie kiwnęła głową wchodząc do gabinetu Najwyższego. Bez zbędnych ceregieli wyjęła dyktafon i położyła go na biurku prokuratora okręgowego.

- Ponieważ sprawa dotyczy możliwości bezprawnego wpływania na prokuraturę, pozwolisz, że będę nagrywać.

Prokurator zmieszał się, ale po chwili odpowiedział:

- Oczywiście. Dobrze, że o tym wspominasz na początku rozmowy. Poprzedni szef prokuratury wyleciał na podstawie nagrań, które jego podwładny robił ukrytym dyktafonem.

Tamto było świństwem, bo podwładny specjalnie prowokował przełożonego. Ewelina chciała się tylko bronić.

- Nie dopuszczałam innej ewentualności - wyjaśniła.

-A więc... Jakie są podstawy do wszczęcia postępowania? Bez zbędnych szczegółów opisała sekwencję zdarzeń i ustalenia Zimnego, nie podając nazwiska ani nawet charakteru pracy dziennikarza.

- Kim jest informator?

- Nie mogę na razie ujawnić źródła.

- Będziesz się starała o status świadka koronnego.

- Nie ma potrzeby. To nie przestępca. Prokurator westchnął ciężko.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz?

- Wiem.

-W takim razie powodzenia.

- Dziękuję.

Rozdział 23

*Jeśliby karać każdego,
kto ma charakter przewrotny i zły,
to kara nie ominie nikogo.
Seneka*

Jan Maria Ochnik, syn zmarłej tragicznie Barbary Ochnik, przywitał się z kilkoma żułami stojącymi pod sklepem osiedlowym i ruszył w kierunku domu. Olgierd Stańczyk obserwował go ukradkiem od dłuższego czasu. Wyczekiwał na odpowiedni moment do rozmowy, choć nie bardzo wiedział, jak ma ją zacząć. Może powinien wyłożyć kawę na ławę i powiedzieć, że za chwilę chłopak stanie się podejrzanym, bo ktoś bardziej pasujący do pro-filu sprawcy ma więcej kasy i jest nie do ruszenia?

Ochnik na widok legitymacji Stańczyka uśmiechnął się smutno i - ku zdziwieniu komisarza - od razu przejął inicjatywę.

- Cieszę się, panie komisarzu, że pan przyszedł. Zamierzałem sam się do was zgłosić.

- Chciał pan ze mną rozmawiać?

- Oczywiście. Nie sądzi pan chyba, że zamierzałem siedzieć z założonymi rękami? Zamordowano moją matkę.

- Rozumiem - spuścił wzrok Stańczyk.

- Chcę dorwać tego drania. Albo tych drani.

- Ja też.

- Dlatego pomyślałem... Bo ja myślę, że wiem, kto to zrobił.

- Tak - Stańczyk tłumił w sobie emocje. Coś było nie tak.

Przede wszystkim cierpliwość.

-Z mediów dowiedziałem się - mówił tymczasem Ochnik - że myśleliście, że to jakiś seryjny, potem, że ktoś z KDI. Ja uważam, że ten ostatni trop jest fałszywy. Sądzę, że to jednak

seryjny.

- Skąd taki wniosek?

- Obejrzałem sobie ten film o Karolu Kocie, słucham, co ludzie mówią. To nie jest zwyczajny seryjny, ale jednak chyba należy szukać w tym rejonie.

- Wiedział pan - zmienił temat Stańczyk - że pana matka szantażowała KDI? I że próbowała wyłudzić pieniądze z mediów?

Ochnik zmieszał się.

A może jej pomagałeś? - Tak, wiedziałem - przyznał Ochnik.

-I wie pan, że Trybuchowski poszedł do niej, żeby wręczyć pieniądze, po czym w przeciągu trzydziestu minut dokonano morderstwa? Ochnik przytaknął.

Stańczyk przyglądał mu się przez chwilę. Chłopak miał dwadzieścia lat. Nie pracował. Uczył się zaocznie. Wyglądał na inteligentnego i sprytnego, ale nie na cwaniaka. Robił dobre wrażenie. Grzeczny chłopiec. Choć teraz wyraźnie zdenerwowany. Ale kto by nie był w jego sytuacji? Stańczyk zauważył poobgryzane paznokcie dłoni młodzieńca, nerwowe tiki i gesty. Korzystał z każdej okazji, żeby przygryźć końcówkę długopisu, kciuk czy wargę. Co masz do ukrycia?

Seria pytań nie dała jednak żadnego efektu. Może nie możesz mi czegoś powiedzieć, a może nie chcesz? Stańczyk po wyjściu od chłopaka popytał o niego na osiedlu, odwiedził kilka osób przepytanych już wcześniej jako znajomych rodziny. W sumie nic szczególnego. Zwykły chłopak, bez nałogów, spolegliwy, grzeczny, żadnych większych awantur. Nic. Chyba nie ma czego szukać - pomyślał, wchodząc do nieco zapuszczonego sklepu osiedlowego.

Zimny zaczął pisać w piątek wieczorem i skończył w niedzielę rano. Konspekt tekstu był tylko wstępem do pracy, ale pozwalał już na precyzyjne sformułowanie pytań do bohaterów artykułu lub osób, które mogły lub chciałyby się w

nim wypowiedzieć. Całą niedzielę przygotowywał serie pytań, które zamierzał wysłać w poniedziałek rano. Do części adresatów zamierzał wysłać tylko kilka krótkich pytań, do innych zestaw nie mieścił się na dwóch stronach. Starał się, by każde pytanie było dodatkowo opisane i ujawniało kontekst tak, żeby rozmówca wiedział, jakie są jego intencje. Zestaw pytań do Komisji Nadzoru Finansowego oraz przewodniczącego KNF zawierał listę 2 pytań. Podobna ilość miała trafić do KDI oraz prokuratury okręgowej. Poza tym na liście mailingowej znajdowało się wiele innych instytucji, jak Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Generalny Inspektor Informacji Finansowej czy Kancelaria Prezesa Rady Ministrów. Pytań była masa. Łącznie Zimny zamierzał zadać ich około 420. Jak mam zebrać to potem w jednym tekście?

Zimny wiedział jednak, że nawet bardzo obszerny materiał uda się skrócić albo wykorzystać do kolejnych tekstów. Jasne było dla niego, że nie zmieści wszystkiego w jednym artykule.

Ciekawe, co powie redaktor Expressu, jak zobaczy materiał nadający się na książkę, a nie jeden reportaż?

Poniedziałek miał być wyjątkowym dniem. Ciężkim, ale wyjątkowym.

Bełza zadzwonił z jakiegoś telefonu na kartę. Karol Trybuchowski słysząc głos policjanta ucieszył się. Fakt, że śledztwo w sprawie księgowej skręcało we właściwym kierunku, znacznie poprawił mu humor.

- Kogo słyszają moje...

- Przestań się zgrywać - przerwał mu jednak komendant.

- I nie wymieniaj nazwisk.

Kurwa, a więc znowu coś nie tak. Dlaczego teraz, kiedy mają taką szansę?

- Tylko mi nie mów, że ten twój AS się jednak nie posłuchał.

- On posłuchał. Ale mamy inny problem.

- Niby jaki?

- Masz na karku kolejne paragrafy? Ktoś w Warszawie wszczął śledztwo w sprawie przecieków z KNF do was.

- To niemożliwe.

-Ajednak. Dostaliśmy prośbę o przekazanie części akt w waszych sprawach. Nie mogliśmy odmówić.

- Rozumiem.

- Musisz sobie poradzić sam - powiedział komendant z wyraźną ulgą. - Moje wpływy do stolicy nie sięgają.

Karol Trybuchowski popatrzył bezmyślnie w ścianę. Kto za tym stoi?

Mimo że sklep z zewnątrz wcale nie zachęcał do wejścia, w środku było czysto i przytulnie. Na półkach towary były dobrze poukładane i świeże, a ekspedientka - zadbana kobieta w wieku 40 lat, która prawdopodobnie była jednocześnie właścicielką sklepu - uśmiechnęła się do nowego klienta. Stańczyk wybrał parę bułek i poprosił o podanie kefiru z lodówki.

- Ukroi mi pani parę plasterków szynki? Ekspedientka skinęła głową.

- Polecam staropolską z tłuszczkiem. Smakuje jak za dawnych lat.

- Co ostatnio rzadko się zdarza. Poproszę.

Stańczyk przeszedł się jeszcze po sklepie zbierając z regałów paczkę orzeszków i czekoladę.

- Widzę, że lubi pan słodczyce. Mamy pyszne ciastka z czekoladą domowej roboty - sklepowa wyciągnęła w jego kierunku talerzyk z próbkami do posmakowania. - Proszę spróbować.

- Dziękuję - Stańczyk sięgnął po ciastko i z przyjemnością stwierdził, że kobieta nie przesadzała. - Proszę zważyć 20 deko. Zostawię u pani całą pensję.

- Damy rabat - także z uśmiechem odparła ekspedientka.

Hmm. Tacy ludzie, przyjacielscy i uprzejmi dla obcych, zdarzają się coraz rzadziej. A może tylko dla obcych są tacy?

Zamierzał już wychodzić, gdy przypomniał sobie, że w gruncie rzeczy wszedł tu po informacje a nie przekąski.

- Znała może pani Barbarę Ochnik?

- Basię? - twarz ekspedientki na chwilę spochmurniała i poszarzała.

- Oczywiście. To straszne, co się stało. Dlaczego pan pyta?

- Jestem policjantem - Stańczyk wyjął legitymację i pozwolił ekspedientce dokładnie jej się przyjrzeć. - Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa.

- Ma pan jakiś podejrzanych?

- Na pewno złapiemy zabójcę.

- Ja myślę, że to się wiązało z tym draństwem - kobieta wskazała na prawo.

Stał tam niewielki 14-to calowy telewizor, z włączonym kanałem TVN24. Dźwięk był wyciszony, więc Stańczyk wcześniej go nie zauważył. Ekspedientka wzięła do ręki pilota i włączyła dźwięk.

Afera zatacza coraz szersze kręgi i trafiła już na Wiejską (pokazano budynek Sejmu). CBS sądzi, że automaty do gier hazardowychprzeprogramowano tak, żeby mogły wypłacać znacznie większe wygrane niż to jest dozwolone prawnie, co skutkowało większą popularnością tego typu gier i większymi wpływami z nich. Według szacunków śledczych obroty z nielegalnego hazardu w ciągu roku wzrosły z niespełna jednego do pięciu miliardów złotych. Na ten rok szacuje się dalszy znaczący wzrost przychodów branży. Wraz ze wzrostem wartości rynku jest on coraz mocniej penetrowany przez grupy przestępcze, które lobbują dodatkowo nad zapisami ustawowymi w sejmie. Dochodzi też do walki gangów i morderstw na zlecenie.

- Sądzi pani, że Ochnik była zamieszana w hazard?

- Nie, to była porządna kobieta.

- Więc skąd taki wniosek? - Stańczyk wskazał na telewizor, gdzie wciąż nadawano reportaż o rynku hazardowym.

Ekspedienta zawahała się.

- Właściwie nie powinnam panu tego mówić... - powiedziała nieśmiało.

- Jeśli to może pomóc w śledztwie, nie powinna mieć pani skrupułów

- Stańczyk postanowił na razie nie straszyć konsekwencjami prawnymi ukrywania ważnych dowodów.

- Tak, hmm... To już chyba nie ma znaczenia, skoro Basia nie żyje.

- Proszę mówić - zachęcił Stańczyk wyjmując notes.

- Znam, to znaczy znałam Basię od 15 lat, od kiedy z mężem zaczęliśmy rozkręcać ten sklepik. Byłyśmy przyjaciółkami, choć ostatnio coraz rzadziej mogłyśmy się spotykać. Mój mąż za nią nie przepadał. Tak więc głównie rozmawiałyśmy tu, w sklepie. Ale kilka tygodni temu Baśka poprosiła mnie o radę. Kazała mi obiecać, że nikomu nie powiem i zdradziła, jaki ma kłopot.

Sklepową zaczerpnęła powietrza i kontynuowała.

- Baśka wyjawiała, że jej syn popadł w długi, właśnie dając się wkręcić w jakiś hazard i nachodzą ich różne podejrzane typy żądające zwrotu długów. Dreszcze mnie przeszły. Oglądał pan ten film „Dług”? Przestraszyłam się też, że Baśka może będzie chciała pożyczyć pieniądze, a mój mąż by mi na to nie pozwolił. Ale nie. Jak się zapytałam, jak mogę jej pomóc, tylko westchnęła i powiedziała, że sama się z tym upora, ale komuś musiała się wygadać, zwierzyć się. Jak już to wszystko mi powiedziała, to lżej jej się na duszy zrobiło i poszła.

- Mówiła, komu dokładnie byli winni pieniądze i ile?

- Nie. Powiedziała tylko, że strasznie dużo Janek przegrał.

- Potem jeszcze o tym rozmawialiście?

- Tak, całkiem niedawno. Przybiegła do mnie do sklepu i powiedziała, że znalazła chyba sposób. Poza tym

powiedziała, że w sumie to dobrze, że to się tak stało, bo dzięki temu odzyskała Jaśka.

- Odzyskała? Musiała go odzyskiwać?

- Chłopak był niby ok. Nie włóczył się, nie awanturował. Ale miał trudny charakter. Z Baśką rzadko o tym rozmawiałam, bo nie chciałam jej robić przykrości, ale na osiedlu ludzie gadali...

- Dziwne, bo nikt mi nie mówił, że z chłopcem działo się coś złego.

- Ludzie nie chcą kłopotów.

- Więc co się mówiło?

- No..., że Janek wychowywany bez ojca, jest ekscentryk. Kiedyś, ktoś podobno złapał go jak maltretował żaby na strzelnicy wojskowej, strzelał do psów z procy i męczył inne zwierzęta.

- Wiele dzieci to robi.

- Jednak on potrafił być szczególnie okrutny. Moja córka opowiadała mi, że w szkole go się boją, bo potrafi wyprawiać różne dziwactwa. Na wycieczce szkolnej nad morzem w knajpie na plaży wabił koty, a potem wrzucał je do morza. Kiedyś chciał się z nią umówić na randkę, ale na szczęście po odmowie nie próbował. Ja też go się bałam.

Kot też maltretował zwierzęta. Ochnik jest do niego nawet podobny. Jednak dzieciak ma przecież żelazne alibi. Nie mógł być przy Kopcu Kościuszki. Ma wielu świadków.

- Dlaczego?

- Spotkał go pan kiedyś?

- Tak, całkiem niedawno. I nie odniosłem wrażenia, żeby był szczególnie dziwny.

- Bo to się teraz zmieniło. Te jego wąskie usta. Brr!! - wzdrygnęła się - Ale jak tu Baśka była ostatni raz, to właśnie na ten temat zaczęła mówić, że chłopak się otworzył i zaczął z nią rozmawiać. Mówiła, że dawno nie była taka szczęśliwa. I że to wszystko musiało się tak potoczyć, żeby Bóg mógł jej

przebaczyć i oddać jej syna. Wierzy pan w Boga?

Stańczyk wzruszył ramionami. -W coś tam wierzę.

- Ja wierzę - zakończyła sklepowa. - I myślę, że za kłopotami tej rodziny wcale nie stoi Bóg. Tylko diabeł.

Stańczyk ze sklepu ruszył z powrotem do domu Ochnika. Chłopak otworzył drzwi zanim komisarz zdążył w nie zapukać. Tak jakby na niego czekał. A może czekał?

- Już pan wie?

- Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Jak powiem, że nie myślałem, że to ważne, to pewnie mi pan nie uwierzy? Pewnie, że wiedziałem, że to ważne, ale oni twierdzą, że nie mają z zabójstwem nic wspólnego. Byli u mnie właściwie zaraz jak się dowiedzieli i przestrzegali, żebym nie wam nie mówił, żebym nie donosił. Twierdzą, że mają w policji wtyki i mnie wykończą..

-Kim są ONI?

- Nie mogę powiedzieć, załatwią mnie. Poza tym, ja im wierzę. -W co wierzysz?

- Że nie zamordowali mamy. Nie mieli powodu. Gdyby odebrała kasę i tak by im ją oddała. Po co mieliby za nią chodzić i jej ją odbierać? Mama by im oddała forszę, nie bronilaby jej. Więc to nie oni.

- Sam to ocenię. Kto to? Komu wisiałeś forszę i kto ją odzyskiwał? Jan Maria Ochnik westchnął ciężko, a potem powiedział:

- Jak mnie za to zamordują, to będzie to pana wina.

- Nie bój się, nie zamordują.

- To bracia Skrzeczowie.

Rozdział 24

Wina sama przyciąga sąd.

Franz Kafka, Proces

Posiedzenie sądu odwoławczego, któremu przewodniczyła sędzia Anna Rakowska, zaczęło się standardowo. Dobrze jej znane, wyjęte żywcem z wielu spraw formułki o mataczeniu, zagrożeniu wysoką karą, groźbie wpływania na świadków tym razem nie bardzo mieściły się w prokuratorskich ustach. Jasiński był wyraźnie poddenerwowany.

Dlaczego?

Rakowska dobrze go знаła.

Dlaczego ten wyrachowany sukinsyn boi się o werdykt? Jeszcze raz zerknęła do akt jednocześnie oddając głos obrońcy.

- Panie mecenasie - zakręciła dłonią młynka dając znać, by obrońca się pospieszył.

Sprawa była jej znana. Nawet z mediów. Co prawda nie bardzo chciało jej się czytać ten brukowiec ekonomiczny, ale generalnie znała wszystkie tezy. W aktach sporo było podejrzeń bez pokrycia, jednak w sprawie głównej - dotyczącej kłamstw w prospekcie - materiał wydawał się wiarygodny. Problem w tym, czy z tego powodu można kogoś trzymać przez trzy miesiące w pudle?

-A więc, wysoki sądzie - zaczął obrońca - podejrzani może i popełnili błędy, może nawet są winni naruszeń, jednak kara, jaka im grozi nie uzasadnia tak drastycznych środków zapobiegawczych. Podejrzani są gotowi współpracować z prokuraturą, nie zamierzają wpływać na świadków, a ewentualna kara... cóż, grozi im jedynie kara w zawieszeniu. Dlatego...

Nieoczekiwanie Witold Stypułkowski przerwał obrońcy.

- Panie mecenasie, niech pan nas broni.

Adwokat uniósł uspokajająco dłoń dając znać, że ma wszystko pod kontrolą. Tylko oczy były nieco bardziej zdenerwowane i strzelały piorunami. Zamknij się, jak chcesz wyjść!

- Wysoki sędzisz, proszę wybaczyć podejrzanemu... - zaczął adwokat, ale Stypułkowski poderwał się z miejsca i nie dając się uciszyć powiedział:

- Cofam panu pełnomocnictwo. Wysoki sędzisz, czy mogę zabrać głos we własnym imieniu?

Rakowska uśmiechnęła się zachęcająco. Nareszcie coś się dzieje! Nawet jeśli ten człowiek właśnie zakłada sobie stryczek na głowie.

- Proszę mówić.

Stypułkowski zawahał się, układając w myślach dłuższy monolog.

- Nie popełniliśmy żadnego wykroczenia. Nasz prospekt nie ma błędów, a my niczemu nie jesteśmy winni. Padliśmy ofiarą pomówienia i spisku, w który zamieszani są urzędnicy nadzoru finansowego oraz przedstawiciele domu maklerskiego, z którym się skonfliktowaliśmy. Przygotujemy odrębne zawiadomienia do prokuratury w tej sprawie, ale z tego co wiem, sama prokuratura wszczęła już postępowanie sprawdzające z własnej inicjatywy w sprawie ujawniania tajemnic przez urzędników, spisku i nielegalnego wywierania wpływu na prokuraturę w naszej sprawie. Nie z naszego doniesienia.

Sędzia nie kryła zaskoczenia.

- Panie prokuratorze Jasiński?

- Słucham, wysoki sędzisz?

- Byłby pan łaskaw odnieść się do tego, co powiedział podejrzanym?

- Cóż, nie widzę powodu, by...

- Czy to prawda? - przerwała sędzia - Czy u was wszczęto to

śledztwo? Jasiński pobladł.

- No... tak. Jednak uważam, że nie ma to związku ze sprawą. Witold Stypułkowski i Jarosław Kutz patrzyli na zmieniające się kolory

na twarzy sędzi Anny Rakowskiej i mieli ochotę rzucić się sobie w ramiona. Wiedzieli już, że za chwilę będą wolni.

- Nie widzę powodu, by przedłużać areszt na kolejne trzy miesiące. Zasądzam kaucję wysokości stu tysięcy złotych dla każdego z podejrzanym.

Karol Trybuchowski do niedawna starał się być wytrawnym i wytrwałym kochankiem. Jeszcze kilka lat temu do każdej zdobyczy podchodził niczym indiański myśliwy. Składał dziękczynną modlitwę przed ciałem, które miał osiąść, po czym oddawał się całkowicie miłości z szacunkiem i uwielbieniem dla ofiary.

Pieniądze go zmieniły.

Ilość kochanek oraz kontakty wynikające ze sposobu uprawiania biznesu wymusiły zmiany. Rozpusta przestała być przyjemnością. Stała się częścią zawodu. Coraz częściej traktował więc kobiety przedmiotowo i korzystał z ich usług jak korzysta się z bankomatu czy automatu biznesowego. Wrzucał monetę i zamawiał usługę.

Jego przyjaciel i wspólnik miał zupełnie inne podejście. Karol nigdy nie widział, żeby Łukasz zdradzał żonę; w pewnym sensie z niego drwił, gdy na przygotowywanych przez nich imprezach integracyjnych z paniami do towarzystwa odmawiał skorzystania z darmowej przeciw usługi. A czasem się wściekał. Gdy kiedyś zarządzający zignorowali ich imprezę, dając tym samym wyraz braku zaufania, Karol musiał sam zabawiać się z sześcioma prostytutkami, bo Łukasz nie miał ochoty.

- Daj spokój - namawiał przyjaciela - Już zapłacone, trzeba skorzystać. Przecież nie możesz zapakować na wynos.

Aż pewnego dnia Łukasz zaskoczył go i innych przyjaciół i znajomych przyprowadzając na urodziny jednego ze wspólnych przyjaciół jakąś małą dziewczynkę. Była to najwyżej osiemnastoletnia blondynka o szalenie ponętym ciele i dziewiczym umyśle.

- Boże, jest chociaż pełnoletnia? - zapytał.

- Skąd mam wiedzieć? - Łukasz spojrzał na przyjaciela zaskoczony - Miałem ją pytać o wiek?

- Żartujesz, prawda? Nie słyszałeś o przygodach Polańskiego? W dzisiejszych czasach dzieciaki szybko dojrzewają, trzeba uważać.

- Ja nie uważam. Zamierzam się z nią ożenić. Najwyraźniej nie żartuje. Czyżby zwariował? -A co z twoją uroczą małżonką?

- Znajdzie sobie kogoś. Czyżbyś nie pamiętał, że zawsze namawiałem mnie, żebym się trochę rozerwał.

- Cóż, nieco inaczej to sobie wyobrażałem

Karol patrzył zdumiony na Łukasza, który przez cały wieczór nie odrywał wzroku od dziewczyny, wywijając z nią na parkiecie i generalnie robił z siebie idiotę.

Kurwa, Łukasz! Wszyscy patrzą.

Przyjaciel się tym kompletnie nie przejmował. Miesiąc później był już blisko rozwodu, ale na szczęście nie pokłócił się z żoną o podział majątku (a co ważniejsze, nie pokłócił się o podział akcji, które posiadali). Bo to mógł być prawdziwy problem.

Odbierając telefon Karol patrzył na przyszłą żonę Łukasza, która w bikini przechadzała się nad basenem. Gdy wzięła słomkę do ust, zaczął mieć grzeszne myśli. Na dodatek miał wrażenie, że ona też..

O nie kochana, nie pozwolę ci nas poróżnić. Co to, to nie! W słuchawce usłyszał głos asystentki.

- Prosiłeś, by informować cię, gdy będą jakieś wieści na temat Consulting Partners.

- Oczywiście, co nowego? - zapytał Karol a potem przez dziesięć sekund w zdumieniu słuchał asystentki.

- Jak to ich wypuścili? To niemożliwe.

Karol odłożył telefon i uśmiechnął się wymuszenie do wybranki Łukasza.

Kurwa, a więc tu też zaczyna wszystko się walić. Musimy zorganizować spotkanie z Holdnerem. Trzeba to odkręcić. Cóż, panie Holdner, po co mamy się bić, skoro możemy wspólnie zarabiać pieniądze.

Tak - pomyślał Karol Trybuchowski - w biznesie nie ma wrogów i przyjaciół. Są tylko interesy. Raz robi się je z jednym, innym razem z drugimi.

Andreas patrzył na przyjaciół. A potem bez słowa uściskał najpierw Witolda, a następnie Pawła. Czuł teraz wielką siłę.

To jest przełom. To musi być przełom. Każdy wódz musi trafić na swoje Borodino. I to ja jestem tu Kutuzowem. Czas posłać Napoleona na Elbę.

- Co dalej? - zapytał Witold w samochodzie.

- Dopiero teraz nas poznają. Pora żebyśmy pokazali, kim naprawdę jesteśmy. Pora na oddzielenie szarości od czerni i bieli.

Piotr i Paweł Skrzeczowie ćwiczyli na siłowni osiedlowej codziennie między 1 a 18. Sami zorganizowali całą tę zabawę. Załatwili lokal na strychu jednego z budynków przy Hucie i włożyli kupę kasy w zrobienie z niego Gymu z prawdziwego zdarzenia, dla ludzi z jajami, a nie dla leszczy i japi -szonów. Tylko swoi mieli tu wstęp, nie było żadnych kart, opłat czy innych głupot. Każdy, kto chciał ćwiczyć, musiał się dołożyć i pomagać w interesach. Piotr i Paweł byli zaś znani w całym Krakowie z robienia interesów. Na co dzień pracowali w agencji ochrony Książ, wieczorami w soboty stali na bramce w mordowni Królewskiej, w tygodniu zaś po pracy w agencji

ochrony chodzili na fuchy zlecane przez „Pyzę”, „Lutka” czy samego „Kaczora” - bossa światka przestępczego na południu Polski, od Krakowa aż po Śląsk.

Obaj umieli się bić. Piotr w młodości miał szansę trafić do kadry polski w boksie, ale nie pasował trenerowi, który wolał posłusznych lalusiów. Pa -weł bawił się w hokeistę i przez kilka lat uchodził za największego twardziela w polskiej lidze. Do czasu kontuzji kolana, która wykluczyła go z gry. Na dwa lata trafił do policji, skąd wyleciał za dawanie cynków grupie „Krakowiaka”. Ciekawe, że nie wsadzili go do pudła, a nawet nie zwolnili dyscyplinarnie, tylko za porozumieniem stron. Co to za państwo, które złapanym na gorącym uczynku cwaniakom pozwala sobie pluć w gębę? Sam często się nad tym zastanawiał.

Piotr i Paweł byli twardzielami. I nie bali się niczego, do czasu, gdy trafili na sprawę tej księgowej. Dopóki nachodzili ją tylko w domu, było miło. Jak zwykle. Bała się o synalka, płaciła i zbierała większą kasę, byle tylko się ich pozbyć. Nawet nie musieli specjalnie się wysilać i straszyć. Było miło. Aż do chwili, gdy ktoś ją wykosił, a oni zdali sobie nagle sprawę, w co wdepnęli. Od tego dnia niemal codziennie powtarzała się ta dyskusja.

- Myślisz, że ten kutas chce nas w to wrobić? -A co innego mam myśleć?

- No to trzeba go odstrzelić.

- Założymy sobie stryczek na szyję.

- Racja. Więc co robić?

- Musimy czekać. Na razie on jest górą. Może do nas nie dojdą. Ale Piotr sam w to nie wierzył.

Według niego ta intryga została przez kogoś uszyta i skomplikowana tak, by właśnie na nich trafiło. By to oni stali się w pewnym momencie podejrzanymi. By musieli się tłuc z glinami za nieswoje sprawy. O nie, nie dadzą się tak wyrolować. Ale co mieli zrobić? Iść do glin?

- Co w tym strasznego? Mamy przecież tam jeszcze kumpli.

- No tak, ale co innego pogadać z kumplem, a co innego wsypać klienta. Na dodatek klienta, który to wszystko opracował i prawdopodobnie zamordował Ochnik, opłacając ich usługi zaraz po jej śmierci. Wywiązał się. 200 tys. zł znaleźli wieczorem w torbie w umówionym miejscu. Na tym temat miał się skończyć.

-W końcu na razie gliny do nas nie doszły - mruknął Paweł. Jak tylko to powiedział, w Gymie rozległ się dźwięk dzwonka. Była już 18. Nie spodziewali się nikogo. Czyżby glinom udało się ich w końcu namierzyć?

- Trzeba otworzyć - mruknął Piotr.

- Ja pójdę.

Paweł lekko kołysząc się na boki z powodu zawiązanego na talii pasa ćwiczebnego ruszył do drzwi. Westchnął chwytając za klamkę, zwolnił elektroniczny zamek bezpieczeństwa i otworzył drzwi. Za nimi jednak nikogo nie było.

Ki diabeł?

Paweł wyjrzał ostrożnie na klatkę, a potem podszedł do schodów i zerknął w dół. Nikt z nich nie zbiegał. W windzie także nikogo nie było. Wzruszył ramionami i już miał wrócić do siłowni, gdy nagle zgasło światło i cały budynek ogarnęła całkowita ciemność. Paweł starał się przeniknąć wzro -kiem ciemności, ale przyzwyczajone do światła oczy potrzebowały do tego dużo więcej czasu. Ostrożnie zrobił krok w kierunku ściany i wyciągnął rękę, żeby jej się chwycić. I wtedy jakaś gwałtownie uruchomiona masa uderzyła z wielką siłą w jego pierś spychając go po schodach. Paweł poczuł straszliwy ból w piersiach i zimno błyskawicznie ogarniające całe jego ciało. Zanim zrozumiał, że to ostatnie chwile jego życia, odnalazł jeszcze fragment ułamanego ostrza noża tkwiący z jego brzuchu tuż poniżej żeber. Chciał jeszcze krzyknąć i ostrzec brata, ale nie był już w stanie wydusić z siebie głosu. Światło zgasło na zawsze.

Olgierd Stańczyk nie zastanawiał się ani chwili, gdy zrozumiał, że ma do czynienia z podwójnym morderstwem braci Skrzeczów. Komunikat podany przez dyżurnego zastał go właśnie w drodze do siłowni założonej czy też może zagrabionej przez braci-gangsterów. Wiedział, że tamci kiedyś muszą tak skończyć. W świecie gangsterów dochodziło się na szczyt powoli, ale spadało szybko. Zabójcy znajdowali swoich pogromców, zanim zdążyli nacieszyć się władzą i pieniędzmi. Zawsze znajdowali się lepsi.

Tylko dlaczego bracia Skrzeczowie wybrali się w podróż łodzią Charona akurat w chwili, gdy Olgierd wyjaśniał ich udział w morderstwie Ochnik?

Odebrał komunikat i poprosił o przydzielenie sprawy. Następnie zwrócił się do dyżurnego o wysłanie patrolu do domu Jana Marii Ochnika, choć był prawie pewien, że policjanci z prewencji go tam nie zastaną.

Rozdział 25

*Jeśli się dobrze zastanowić,
zdrada ma szczególnie smak dla jej ofiary.*

*Arturo Pérez-Reverte,
Cmentarzysko bezimiennych statków*

Dzwonek telefonu długo dźwięczał mu w uszach, zanim Zimny zwłókł się z łóżka i odnalazł komórkę zagrzebaną w ciuchach.

- Słucham?

- Cześć, tu Bernard. Żyjesz jeszcze?

Zięba? Zimny zdziwił się. Jego były szef, kierownik sekcji informacyjnej Expressu Finansowego, nie odzywał się do niego od czasu odejścia z redakcji.

- Jak słyszysz. Wszystko OK.

- Wciąż w redakcji krążą o tobie legendy. Czasem warto sprawdzić, czy nie obcuje się z duchem. Dobrze cię słyszeć.

- Ciebie też. Z czym dzwonisz?

- Cóż, mam chyba nie najlepsze wieści.

- Pamiętaj, że dawniej złych posłańców wieszano na haku. Albo pozbawiano głowy.

- Dlatego wołałem zadzwonić - kierownik zbierał się w sobie przez chwi -lę, a potem wypalił. - W sprawie tego tekstu, który proponowałeś naczelnemu... polecono mi powiedzieć, że jednak Express nie będzie zainteresowany.

A więc jednak was wystraszyli? Ktoś ma długie ręce.

- Przecież nawet nie wiecie, o co chodzi? - blefował. Bernard westchnął.

- Ja tylko przekazuję wieści. Ale jak chcesz znać moje zdanie, to nie dziwię się zarządowi i naczelnemu. Mamy sporo kłopotów, nie potrzeba nam kolejnych konfliktów.

- Chociaż zobaczcie tekst. Nikt was nie zmusza do jego kupna. Zresztą oddam go za darmo.

- Nie o to chodzi. Musisz zrozumieć. Nie możesz się też na nas powoływać. Nie masz mandatu na reprezentację Expressu.

- Zabrzmiało to strasznie oficjalnie. Co wam zależy, żeby...

- Już ci mówiłem, że nie potrzebujemy konfliktów. Nie powołuj się więcej na Express.

Po odłożeniu słuchawki, Zimny zaczął się zastanawiać, czy to źle czy dobrze, że usłyszał to, co usłyszał. I tak raczej wolał ten temat sprzedać innej gazecie. Ale niepokojące było to, że tak szybko zareagowali.

Jeden kłopot z głowy. Nie będę miał wyrzutów sumienia, że mojego Pu-litera sprzedają konkurencji.

Podszedł do komputera i uruchomił skrzynkę e-mailową. Wiadomość od rzecznika KNF była krótka i na temat.

Ponieważ nie mamy informacji, czy nadal jest pan dziennikarzem, odmawiamy udzielenia odpowiedzi na pytania do czasu dostarczenia dowodu, że reprezentuje pan redakcję prasową, radiową lub telewizyjną.

A więc o to chodzi - pomyślał Zimny. - Chcecie się wyłgać od odpowiedzi. Szybko sklecił dwa zdania.

Zapewniam pana, że działam w porozumieniu z redakcją prasową. Proszę o odpowiedzi.

A jeśli zadziałali też u innych? - Zimny zawahał się, a potem napisał e-maila do redaktora z gazety, z którym rozmawiał o przygotowywanym materiale.

Proszę o informację, czy nadal jesteście Państwo zainteresowani moim tekstem? Chciałbym mieć też pewność, że mogę informować rozmówców, że przygotowując materiał działam w porozumieniu z Państwa redakcją. Będę wdzięczny za szybką odpowiedź.

Kliknął „ wyślij ” i poszedł zrobić kawę. Następnie zabrał się do pisania kolejnego rozdziału tekstu. Dwie godziny później i przez resztę dnia komputer uparcie powtarzał „nie masz nowych wiadomości” . Wieczorem zadzwonił do Eweliny i

umówił się z nią, tym razem na ustronnym parkingu na Bielanach.

- Obawiam się, że ktoś może nas potraktować jak kochanków - szepnął do niej wskazując sąsiednią zatoczkę, gdzie w cieniu drzew jakaś para obściskiwiała się w aucie.

- Skąd wiesz, że to kochankowie a nie jakaś para?

- Ona przyjechała tym seicento. On na nią czekał. Teraz się całują. Za chwilę być może zrobią coś jeszcze, a potem ona pojedzie do domu by przygotować kolację dla męża i poczytać dzieciom do snu. Założysz się?

- Może to i lepiej, żeby wzięli nas za kochanków. Za to co robimy, ja mogę iść do więzienia.

- Nic ci nie zrobią. Jak sprawy?

Ewelina przez kilkanaście minut relacjonowała mu postępy w śledztwie.

- Prawdę mówiąc, nie mam złudzeń, że cokolwiek im udowodnimy. Obawiam się też, że mogą mnie zaszczyć totalnie. Albo dostanę jakiś awans, na przykład do prokuratury krajowej.

- Awans?

- Nie wiesz, że to najlepszy sposób na pozbanienie prokuratora kontroli nad sprawą. Nie może odmówić awansu, nie może też się skarżyć w mediach, bo przecież zarzut, że awansowano go z powodów spiskowych wygląda niedorzecznie.

Zimny przytaknął. To było powszechne.

- Ja jednak myślałem, że to rzeczywiście jakaś spiskowa teoria.

- Sam widzisz. Musimy uważać.

-Z drugiej strony cieszyłbym się, gdybyś dostała awans. Parę takich spraw i może zostałąś ministrem sprawiedliwości. A wtedy mogłabyś coś zmienić. Myślisz, że ktoś na samej górze mógłby przerwać tę znowę, odrzucić zakłamanie i zachować się po ludzku?

- Wątpię. Pierwszy raz jest awans, ale przy kolejnej sprawie można tra- fić pod ciężarówkę. Żeby zostać ministrem trzeba być politykiem. Politykiem o wielu twarzach. To trudne dla ludzi, którzy nie mają parcia na szkło. A ja nie mam.

- Ile, z tego co mi powiedziałaś, mogę wykorzystać do tekstu?

- Nic. Pamiętaj, że to wszystko jest objęte tajemnicą.

- Ale sam fakt wszczęcia śledztwa?

- Postępowania przygotowawczego toczącego się w sprawie - poprawiła. - Masz sygnaturę. Zadzwoń przed publikacją do rzecznika. On zada mi pytania, ja odpowiem ci trzema ogólnikami. Tyle możesz. I tyle powinno wystarczyć ci do zbudowania tego wątku.

- To prawda. Pociągniemy temat później.

Szyby w samochodzie kochanków w sąsiedniej zatoczce całkowicie już zaparowały, a pojazd zaczął poruszać się w charakterystyczny sposób. Zimny poczuł przeszywający go dreszcz podniecenia i jakiś ciężar w przelyku. Ewelina jakby poczerwieniała.

- Pójdę już.

Jednak nie poszła.

Jestem zdrajcą! Albo zdrajczynią! A więc to jest to uczucie. Czy jednak tak czuje się zdrajca?

Prokurator Ewelina Talar, w głębi duszy, nie miała poczucia, że zrobiła coś złego. Nie miała poczucia, że dokonała zdrady. Nie miała poczucia, że popełniła błąd.

Do licha, nie upiłam się i nie zrobiłam jakiejś głupoty. Po prostu... zakochałam się.

Wiedziała, że musi jak najszybciej porozmawiać z Radkiem. Nie mogła dalej go zwodzić. Przyzwyczajenie, które ich przy sobie trzymało, już nie wystarczy. Magnesy zmieniły biegun i zaczęły się odpychać.

Radek pośpiesznie wyłączył ekran monitora, gdy weszła. Dostrzegła to kątem oka. Jednocześnie nacisnął na

klawiaturze przycisk wyłącznika. Był czerwony na twarzy i znacznie bardziej zdenerwowany niż ona. A przecież to ona właśnie go zdradziła. To ona powinna czuć się jak zbrodniarz. Czego, u licha się wstydzisz? Jaką zbrodnię popełniłeś?

- Dwa piwa i dwa uboty - powiedział Zimny do barmana. - Muszę się szybko upić.

Jednak nie upił się. Nagle wpadł na pewien pomysł i postanowił jak najszybciej go zrealizować, żeby nie zapomnieć. Wyciągnął komórkę i zadzwonił do Grubego.

- Cześć Gruby. Czy myślisz, że mógłbyś mi trochę pomóc w przygotowaniu jednego tematu?

- Nie pracuję dla pismaków. Sami sobie wymyślajcie te bzdury.

- Ale tu chodzi o gangsterów. I morderstwo. Gruby zawahał się. -W co się wpakowałeś? Zimny pokrótce opisał mu sytuację.

- Czego ode mnie chcesz?

- Chciałbym, żebyś spróbował namierzyć te agencje PR -owskie, które działają na rzecz KNF i mogą mi robić koło pióra.

- To pikuś.

-I jeszcze jedno. Czy myślisz, że byłbyś w stanie ustalić, skąd dokładnie dostałem pewien e -mail? - Zimny opowiedział mu o informacji przekazanej z konta Ochnik.

- Raczej marne szanse, żebyśmy znaleźli konkretną osobę. Chyba, że była nieostrożna.

- Ja też sądzę, że nie ma na to szans. Ale chciałbym opisać jak najwięcej ustaleń w tej sprawie.

- Spróbuję - wycedził Gruby.

Gdy dziennikarz wrócił do domu, jeszcze włączył komputer. Z nadzieją oczekiwał odpowiedzi z gazety. Na próżno.

Rozdział 26

Kto sieje sprawiedliwość, ma zapłatę stałą.

Salomon

Ta ruska mafia wcale nie jest taka straszna - pomyślał Zimny patrząc na Stypułkowskiego, Kutza i Holdnera. Spotkali się wcześniej rano w biurze Consulting Partners.

- Myślę, że jesteśmy panu winni podziękowania. W dużej mierze to pańska zasługa, że udało nam się uniknąć przedłużenia aresztu - zaczął Stypułkowski.

- Jeśli możemy panu w czymś pomóc, jesteśmy do usług. Mamy u pana dług - dodał Kutz.

Holdner nie odezwał się. Zimny miał wrażenie, że wcale nie jest mu wdzięczny. A chyba, do cholery, powinien.

- To moja robota. Nie zrobiłem nic więcej.

- Zamierza pan kontynuować ten temat?

- Dzięki informacjom od pana Holdnera i... z własnych źródeł mam sporo danych, więc myślę, że stworzę ciekawy reportaż - powiedział ostrożnie.

- Więc uważa pan, że te informacje są ciekawe? - dopytywał Stypułkowski.

- Niech pan nie żartuje. To może być jeden z najciekawszych tematów medialnych w tym roku.

- Pulitzer? - w głosie Stypułkowskiego dało się wyczuć ironię. No tak. Dla mnie to ciekawy temat, a dla niego trzy miesiące pułda, a właściwie znacznie więcej. Przecież ta sprawa, jeśli nie zostanie wyjaśniona, na zawsze zaciąży na ich wizerunku. Zawsze będą figurować w środowisku jako oszuści, których nie wpuszczono na giełdę. To nie ułatwi im działań w biznesie. Chyba że z jakimiś gangsterami.

- U nas można zdobyć nagrodę Grand Press - rzekł.

- Życzę więc panu, żeby pan zdobył tego Grand Pressa -

powiedział Sty -pułkowski.

- Dziękuję. Problem w tym, że nagrody przyznawane są za opubliko -wane materiały. A może się okazać, że ja nie będę miał gdzie tego opublikować.

- Przecież mówił pan, że to ciekawy temat?

- Nie każdy ciekawy temat ukazuje się w gazecie. Polityka redakcji może sprawić, że nawet zakupiony tekst stanie się współczesnym półkownikiem.

- Co to oznacza? - zapytał Holdner.

- Półkownikami nazywano filmy, które wstrzymywała nasza komunistyczna cenzura - wyjaśnił Stypułkowski Holdnerowi.

- Więc wciąż macie cenzurę? - udął zdziwienie Holdner. -W jakimś sensie - przytaknął Zimny.

- Nie rozumiem. Dlaczego ktoś nie chce opublikować tekstu, który mógłby przyciągnąć czytelników? Przecież każdy biznes polega na tym, żeby pozyskać klienta na towar. U was klientem jest czytelnik.

- To nie takie proste. Moja poprzednia gazeta nie chce tekstu, inna redakcja nie odpowiada na maile. Spróbuję pewnie zwrócić się do kilku innych, ale już widzę, że będzie problem, bo ktoś działa, żeby to przyblokować. Co mi pozostaje? Może będę musiał założyć swoją gazetę.

- To niech pan ją założy - powiedział Holdner. Zimny uśmiechnął się z politowaniem.

- Dla jednego tekstu?

- Mówił pan, że dziennikarstwo to pana pasja. Niech więc pan założy swoją gazetę, żeby ją realizować. Sam pan będzie decydować, czy coś cenzurować czy nie.

- Pan nie rozumie. Koszty uruchomienia gazety...

- Wy Polacy, macie bardzo zły nawyk - wyolbrzymiania problemów. Dlaczego nie bierzecie przykładu z Amerykanów?

-A jak to robią Amerykanie?

- Amerykanin z najbardziej podłej sytuacji wyciąga same

pozytywy i na nich się skupia, w ogóle unikając dyskusji na temat problemów. Co nie znaczy, że ich nie widzi. Dlatego potem może skończyć jako skandalista lub przestępca. Ale na początku idzie mu świetnie.

- Ja nie chcę skończyć jako skandalista.

- To niech pan postąpi jak Niemiec - powiedział Holdner. - Niemiec robi tabelkę, w której umieszcza „za” i „przeciw”. Gdy więcej przemawia „za”, realizuje projekt. Nie może pan z góry skazywać się na porażkę.

- Słyszałem o pomysłach gazet internetowych - wtrącił Stypułkowski.

-W Stanach powstał Huffington Post. Podobno jest też coś podobnego w Rosji - slon. ru. Takie projekty powstają wszędzie na świecie. Gazeta internetowa na pewno ma mniejsze koszty. Może pan spróbować skorzystać z funduszy albo znaleźć inwestora. Myślę, że sami moglibyśmy zaangażować się w taki projekt.

Zimny zamyślił się. Sam kiedyś myślał o stworzeniu gazety internetowej, ale brakowało mu zapału i raczej były to plany nierealne. Nie był gotów zaryzykować pieniędzy i czasu. Teraz pomyślał, że to wcale nie jest głupi pomysł. Koszt stworzenia strony już badał - pięć do dziesięciu tysięcy było do zaakceptowania, utrzymanie jej na serwerze kosztuje grosze - na to wystarczy kilkaset złotych rocznie. Pracować można wirtualnie, bez biura. Gdyby zebrać zespół złożony z zapaleńców i studentów, można to ruszyć praktycznie bez kosztów osobowych, które są największe w takich projektach. Są też fundusze unijne.

Do diabła, to właśnie zrobiliby pewnie Mikael Blomkvist, gdyby nie miał swojego Millennium.

- Pomysł nie jest zły - przyznał. - Ale jeśli będę pisał o waszej sprawie, to nie mogę prowadzić z wami interesu. To byłby konflikt interesów.

- Urzędnicy mogą szkolić petentów i nie widzą konfliktu, a

pan widzi konflikt w pasywnym inwestorze bez wpływu merytorycznego na redakcję i kierunek działalności pańskiego projektu?

- Niestety tak.

- Jesteśmy inwestorem finansowym, tym się zajmujemy - wzruszył ramionami Holdner, choć chyba doskonale rozumiał, że to nie jest dobry pomysł.

- To niech pan odpuści ten temat, a zajmie się innymi - zaproponował Stypułkowski. - Chętnie zaangażujemy się w taką inicjatywę. I nie będzie konfliktu interesów. Tekst o nas proszę przekazać do innej gazety albo innemu dziennikarzowi do zrobienia. Mnie zależy, żeby w Polsce pojawiła się gazeta, która opublikuje każdy temat, bez względu na to, czy narazi się przez to jakiemuś biznesmenowi czy politykowi.

- Nie zrezygnuję z tego tematu - zaprotestował Zimny - To mój temat. Za dużo w niego włożyłem. Za dużo na nim straciłem. Już wam mówiłem, że to prawdziwy hit. Ale przemyślę sprawę. Może będę w stanie pociągnąć gazetę z własnych funduszy do czasu aż nie zacznie przynosić dochodów i jak nie skończymy tej sprawy.

- Jak pan woli - przytaknął Holdner. - Możemy panu pomóc we wszystkich formalnościach i obsłudze biurowej. Robimy to dla naszych spółek portfelowych.

- Pod warunkiem, że zrobicie normalną wycenę, a ja zapłacę za usługi.

- Zgoda. Jeśli jednak uzna pan, że potrzebuje inwestora pasywnego, możemy negocjować. W żaden sposób nie będziemy wpływać na pana działania. Jeśli uznamy, że gazeta nie spełnia naszych oczekiwań, po prostu wycofamy się z finansowania. Może pan nam też przyznać mandat na poszukiwanie inwestorów dla projektu po jego uruchomieniu. Takim doradztwem inwestycyjnym także się zajmujemy.

-OK.

- Dobrze, przejdźmy do ustaleń naszego śledztwa - Holdner klepnął dłońmi o kolana i podsumował dotychczasowe ustalenia bardziej dla Stypułkowskiego i Kutza niż dla Zimnego.

- Większość już znacie, ale to tak nieprawdopodobne, że warto sobie wszystko poukładać. Więc dwie firmy załatwiły sobie układy w KNF za pomocą opłacania urzędników, dzięki czemu ci preferowali ich sprawy i dokumenty. Co z kolei spowodowało cichą famę na rynku, że jak ktoś chce mieć pewność przejścia bez kłopotu procedury dopuszczeniowej na giełdę, to należy skorzystać z jednej z tych dwóch firm. Pan Jakub na dodatek ustalił, że w jednej z nich pracuje na stanowisku kierowniczym żona dyrektora KNF - niejakiego Kozłowskiego. Wszystko to wpływa na kontroli kilka lat temu, ale zostaje zatuszowane przez szefostwo. Pytanie dlaczego? Może także szefostwo było dopuszczone do udziału? Dodatkowo dochodzimy do wiedzy, że sporo notabli jest na garnuszku KDI, dzięki czemu prawdopodobnie maklerzy robią sobie wpływy w różnych środowiskach. Budują relacje. To może być odpowiedź. Ale nie na wszystkie pytania. Rok po zatuszowanej kontroli na jej ślad trafi dziennikarz, który opisuje część szkoleń w swojej małej gazetce. Psa z kulawą nogą to nie interesuje. Szefem KNF zostaje Klasyk i on jest kolejną osobą która nie wyjaśnia sprawy, za to zataja następną kontrolę, tym razem związaną już bezpośrednio z nieprawidłowościami w KDI. Dlaczego? Jak pamiętacie, znaleźliśmy jego konto w KDI, na którym zarabiał lepiej niż inni. Być może więc była to łapówka w zamian za pozytywne zatuszowanie kontroli?

-Amy pisaliśmy do niego donosy na działania KDI. Naiwniacy - dodał z przekąsem Stypułkowski.

- To ewidentny konflikt interesów - przyznał Holdner. - Jednak to nie wyjaśnia wszystkiego. Czy Klasyk byłby tak

głupi, żeby dla marnego miliona ryzykować aż tak mocno, skoro już jest milionerem? Poza tym, dlaczego oddał pieniądze w zarządzanie właśnie KDI? Po co się uzależnił? Moi informatorzy donosili, że w relacjach z KDI jest coś więcej, co powoduje, że Klasyk chroni ten dom maklerski. Pytanie tylko co?

- Na to powinniśmy spróbować znaleźć odpowiedź - przytaknął Stypuł-kowski.

Zimny uśmiechnął się.

- Myślę, że wiem dlaczego - wyciągnął z torby część materiałów, które dostał od Kasprzyka i odszukał jedną kartkę papieru.

Holdner popatrzył na nią z uwagą, ale przez chwilę wydawało się, że nie dostrzega jej znaczenia. Stypułkowski i Kutz spojrzeli przez jego ramię.

- Co to? - zapytał Holnder.

- Wykaz akcjonariuszy i transakcji na akcjach KDI sprzed pięciu lat. Zanim jeszcze weszli na giełdę - powiedział Zimny.

- Skąd pan to ma? Czy źródło jest pewne? - zapytał Holdner.

- Najpewniejsze - przytaknął Zimny. - To z wyciągu badania audytorskiego dołączonego do raportu rocznego w Krajowym Rejestrze Sądowym. Łatwo mogło to umknąć uwadze. To w końcu tylko jedna kartka. A na niej - o tu, drobnym drukiem - informacja o transakcji pomiędzy Karolem Trybuchowskim a Sławomirem Klasykiem. Trzymacie przed sobą dowód na to, że Sławomir Klasyk stał się milionerem dzięki zakupowi akcji bezpośrednio od prezesów KDI, a nie dzięki giełdowym inwestycjom, jak mówił w mediach.

Gruby miał jedną żelazną zasadę: każde zlecenie należy zrealizować maksymalnie szybko, zanim ktokolwiek zorientuje się, co jest grane. Element zaskoczenia w jego pracy był niezwykle istotny. Tylko dzięki niemu, Gruby mógł wielokrotnie myszkować po sieci policyjnej Polwan,

wchodzić do systemu SIS - włącznie z dostępem do danych o osobach poszukiwanych międzynarodowym listem gończym, czy cieszyć się danymi wywiadu wprost z serwera Wojskowych Służb Informacyjnych. Wszystko to było możliwe tylko dlatego, że korzystał z danego kanału dostępowego tylko raz. Po udanym złamaniu zabezpieczeń rozkoszował się dostępem do poufnych danych najwyższej godziny, a następnie niszczył wszelkie dowody swoich czynów. Nie robił szkód, nie wykorzystywał informacji.

Zabawa w hakera była w istocie podobna do krótkofalarstwa, którym bawił się w młodości, gdy jeszcze komputery nie były dobrem ogólnie dostępnym. Tam też chodziło o nawiązanie egzotycznej znajomości, złapanie i zarejestrowanie najtrudniejszego połączenia. Nic więcej.

W hackingu wszyscy ci, którzy próbowali kraść dane, zmieniać je, wykorzystywać do celów przestępczych, kończyli w pudle. Albo z kamieniem u szyi.

Gruby był jedną z nielicznych osób na świecie, która włamała się do we -wnętrznej tajnej sieci włoskiej Camorry. I natychmiast zapomniał, że „nawiązał to połączenie”.

Zlecenie od Zimnego wydawało mu się początkowo trudne do realizacji. Podejrzał, że znalezienie sieci powiązań pomiędzy ewentualnymi

połączeniami agencji PR, urzędników Komisji Nadzoru Finansowego, prokuratury i maklerów będzie bardzo trudne ze względu na stosowane już powszechnie środki bezpieczeństwa. Jeszcze trudniejsze wydawało się znalezienie osoby, która przesłała Zimnemu materiał z konta Barbary Ochnik.

Gruby zamówił dwa pudełka pizzy, kilka puszek coli oraz dużą paczkę orzeszków i o godzinie 23.00 przystąpił do pracy.

Dla chcącego nic trudnego. W końcu dwadzieścia lat temu też wszyscy twierdzili, że za pomocą mojej słabej anteny nie

będę w stanie nawiązać łączności z Australią czy Nową Gwineą.

- To sensacja - przyznał Holdner.
- Klasyk nie zainwestował na giełdzie, jak wcześniej twierdził
- podkreślił Zimny - tylko kupił akcje od jakiegoś kumpla. Pojawia się pytanie: dlaczego to ukrywał? Przecież nie musiał, mógł otwarcie powiedzieć, wyłączyć się ze spraw KDI i nie mieć problemu.
- Może nie zapłacił i miał dług wobec KDI? - zastanawiał się Stypułkowski
- A może po prostu koleś z KDI wstawili go do KNF właśnie po to, żeby pilnował interesu - powiedział Holdner.
- Być może była to łapówka za coś - Stypułkowski obracał w dłoniach monetę. - Kim był wówczas Klasyk?
- Zimny pokręcił głową przecząco.
- Raczej wątpię, żeby to była łapówka. Bardziej mogła to być koleżeńska przysługa. Klasyk poznał się z Trybuchowskim w Wyższej Szkole Biznesu, gdzie obaj swego czasu dorabiali. Według jednego ze wspólnych znajomych uważano ich za przyjaciół. Dlatego może dostał ofertę.
- Holdner podliczał transakcje na kartce papieru.
- Cóż. Tuż przed IPO Klasyk dostał możliwość zarobienia kilku milionów złotych przy minimalnym własnym wkładzie na taki poziom inwestycji. Gdyby to zrobił korzystając z nowej emisji, bym zrozumiał, choć także miałbym prawo mieć wątpliwości w sprawie konfliktu interesów. Ale to szło znacznie dalej. Ktoś się z nim podzielił. Nawet jeśli to przyjaciel, to dziwne. Czy pan by oddał przyjacielowi cały swój zarobek? Ja nie.
- Nie wiem - wzruszył ramionami Zimny.
- Sprawdzał pan, co robił wtedy Klasyk?
- Tak. Pracował w funduszu inwestycyjnym. Specjalizował się w inwestycjach w nieruchomości.

Holdner i Stypułkowski popatrzyli po sobie.

-I nie zastanawia się pan, czy nie robił wówczas interesów z KDI?

- Oczywiście, ale fundusz już odpowiedział na moje pytania. Nie było żadnych interesów z KDI.

Holdner skinął głową.

- Mogę założyć się, że coś było.

- Wątpię - zaprzeczył Zimny - Nie kłamałoby.

-A pytał pan o bezpośrednie interesy TFI z Trybuchowskim lub z tym drugim pajacem?

- Nie - dziennikarz zanotował sobie, żeby to sprawdzić. To rzeczywiście mogło być istotne.

Kutz nieco zdeprymowany ich drobiazgowością westchnął ciężko.

- Nie bardzo rozumiem, po co wam te wszystkie szczegóły. Przecież wystarczy to, co mamy już ustalone. Koleś kupił akcje od kumpla, a teraz go nadzoruje i tuszuje afery z nim związane. Po co zastanawiacie się nad jakimiś historycznymi zdarzeniami, które może mają, a może nie mają znaczenia?

- Bo wszystko, co się dzieje, można racjonalnie wyjaśnić - mruknął Holdner. - Ja bym chciał poznać cały schemat, ze skutkami i przyczynami, a nie tylko efekt końcowy.

- Ja też - dodał Zimny.

- Cóż, chyba będzie pan musiał założyć tę gazetę. Myślał już pan o nazwie?

Rozdział 27

*Bóg jest martwy! Bóg pozostaje martwy!
I my go uśmierciliśmy!
Jak pocieszymy się,
mordercy nad mordercami?
Fryderyk Nietzsche*

Morderca braci Skrzeczów musiał dość dokładnie to sobie zaplanować. Ślady wskazywały, że zadzwonił dzwonkiem do drzwi, cofnął się do skrzynki z bezpiecznikami i w momencie otwarcia zamka elektrycznego przez pierw -szego z braci, wyłączył prąd. Musiał mieć jakieś gogle noktowizyjne lub inny sprzęt, bo raczej Skrzecz nie dałby się zaskoczyć koleśowi z latarką. Potężny facet. Zaprawiony w bojach. A skończył z nożem w brzuchu. Morderca złamał ostrze prawdopodobnie celowo. A potem zepchnął ofiarę ze schodów. Następnie przypuszczalnie szybko wbiegł do środka i, korzystając z efektu zaskoczenia, zaatakował drugiego z braci czymś w rodzaju toporka.

- Co sądzisz? - zapytał Stańczyk jednego z patologów, którego znał dość dobrze z poprzednich spraw.

- Dziwne. Nie wygląda to na robotę zawodowca. Jak chcesz znać moje zdanie, to stawiałbym na kogoś, kto się naoglądał filmów. Ta złamana rękojeść noża... A toporek wyraźnie został użyty przez osobę niewprawną. To oczywiście nic nie znaczy, bo przecież gangsterzy rzadko kiedy rąbią drewno.

- Jednak stawiałbyś na amatora.

- Zdecydowanie.

Stańczyk nachylił się nad ciałem Pawła Skrzecza i odsłonił brezentową pelerynę, którą było przykryte.

Nie myślałeś, chłopcze, że jakiś szczeniak może wam tak dać w kość. Żaden z sąsiadów nie widział napastnika. Nie było

żadnych świadków. Trzeba było jednak spokojnie poczekać. Być może później zgłosi się ktoś, kto widział mordercę. Jeśli będzie miał powyżej piętnastu i poniżej siedemdziesięciu lat, będzie można nawet mu uwierzyć.

Olgierd pomagał jeszcze przez godzinę w zabezpieczeniu śladów na miejscu zdarzenia, a potem zadzwonił do dyżurnego.

- Zatrzymano Jana Ochnika? - zapytał bez wstępu.

- Jak prosiłeś. Chłopak był w domu. Właśnie wrócił z turnieju szachowego.

-Z turnieju?

- Tak. Sprawdziliśmy. Rzeczywiście w osiedlowym domu kultury odbywał się turniej szachowy, a twój dzieciak nawet go wygrał. Odbierał puchar godzinę przed tym, zanim go zgarnęliśmy.

- Potrzymajcie go jeszcze trochę. Będę niedługo.

- Jasne.

A więc to nie Ochnik. On nie mógł zamordować Skrzeczów, ma zbyt mocne alibi na czas zbrodni. Znów się pomyliłem. Przez chwilę miał ochotę poprosić o wysłanie patrolu do siedziby KDI i doprowadzenie na przesłuchanie Karola Trybuchowskiego. Ale właśnie w tym momencie zwrócił uwagę na zdjęcia w telewizorze. Drugi raz TVN24 pomagało w jego śledztwie. Na zdjęciach Karol Trybuchowski wspólnie z Łukaszem Rostowskim prezentowali na konferencji prasowej projekt ze znanym milionerem Zenonem Maciarzem. Relacja była na żywo, z Warszawy. Żaden z prezesów KDI nie mógł więc w ciągu ostatnich kilku godzin znaleźć się w krakowskiej siłowni, żeby zamordować braci Skrzeczów. Może więc to przypadek? Może zabójstwa te nie mają związku ze sprawą Ochnik? Sam jednak w to nie wierzył. Gangsterzy nie mordowali za pomocą noża i toporka. Gangsterzy strzelali z kałasznikowa lub podkładali C4. To nie były mafijne porachunki. Gdzieś można znaleźć

klucz. Gdzieś tkwi rozwiązanie. Trzeba tylko je przemyśleć i rozważyć kilka ruchów wstecz i w przód. Jak w szachach.

Jestem Bogiem!

Daję i odbieram. Przechodzę przemianę. Łaknienie i pożądanie - tak silne - ustępują powoli miejsca ukojeniu. Bóg tworzył świat przez sześć dni, a siódmego odpoczywał. Po co? Żeby nasycić się pięknem stworzenia. Pięknem swego dzieła. Własną próżnością.

Ja też jestem próżny. A moja próżność łąduje moją moc.

Morderstwo tych dwóch opasłych steroidowych buców było zadziwiająco łatwe. Plan zadziałał w stu procentach, a każdy ruch odbył się zgodnie z przewidywaniami. Jak w szachach.

Nie to, żeby się nie bał.

Oczywiście, że się bał.

Zabójstwo czterdziestoletniej drobnej kobieciny to było coś zupełnie innego niż załatwienie groźnych gangsterów. I to dwóch naraz. Ileż to razy zastanawiał się, czy jeśli do tego dojdzie, nie zawiedzie go sprzęt? Czy kupione w sklepie internetowym gogle, które rzekomo przeszły testy w czasie ataku Amerykanów na Irak, nie okażą się zwykłą zabawką? Czy będzie w stanie na tyle silnie i precyzyjnie uderzyć nożem, by ten wbił się w umięśnione ciało? Mimo że przecieź długo się przygotowywał. W internecie przeczytał setki instruktarzy wbijania noża w ciało. Wybrał odpowiedni nóż, tak jak radzono - krótki i o wąskiej klindze. Potem przeprowadził próby w rzeźni, katując wiszące na hakach tusze, niczym Rocky przed walką z Apollo CreDEM.

Plan nie zawiódł.

Z drugim z braci Skrzeczów poszło już zupełnie gładko. Mięśniak spanikował; zaczął krzyczeć, przeklinać, wymachiwać na oślep rękami. Gdyby cofnął się w kąt, czego morderca się obawiał, i próbował przyzwyczać wzrok do ciemności byłby kłopot. Mógłby zacząć się bronić, a

przewaga fizyczna mogłaby okazać się nie do pokonania nawet przy użyciu toporka. Morderca był na to przygotowany i wówczas użyłby gazu, ale to nie byłoby już to samo. Na szczęście przerażony Skrzecz zataczał się po siłowni, podczas gdy morderca zaszedł go od tyłu.

Przyglądał się ofierze przez chwilę jak rasowy drapieznik, a potem uderzył. Raz, drugi, trzeci...

Pierwszy cios jakby zamroził ofiarę. Dwa kolejne przechodziły przez zaciśnięte na głowie ramiona. Jeden z nich odrąbał dwa palce u prawej dłoni. Seria kolejnych uderzeń zakończyła sprawę. Karolu, tobie to dedykuję!

Kot zabił raptem dwie osoby. Dziesięć innych próbował. Ja mam już trzy ofiary. I stuprocentową skuteczność. A dopiero zaczynam.

Ogromna dłoń Zenona Maciarza miała miazdzącą siłę. Karol Trybuchowski wytrzymał uścisk z uśmiechem wytrenowanym na potrzeby telewizji i reporterów.

- Dziękujemy - powiedział szef działu relacji inwestorskich Maciarza do zgromadzonych w sali hotelu Mariott dziennikarzy.

- Teraz zapraszamy na mały poczęstunek.

Maciarz poprowadził maklera do maleńkiej salki obok.

- Ścierwa! - rzucił szeptem do ucha Karola - Dziennikarze to straszne sukinsyny. Nigdy im nie ufaj. Uśmiechają się do ciebie, a jak tylko odwrócisz się plecami, zaraz podkładają świnie.

- Bad news is a good news.

- Właśnie. Tylko dlaczego ja mam za to jeszcze płacić.

- Gdybyś zechciał skorzystać z naszej agencji PR, myślę, że bylibyśmy w stanie ograniczyć do minimum ryzyko pojawienia się złych newsów.

- To ta agencja twojej żony? Trybuchowski zmieszał się. Do diabła, aż tak mnie sprawdzałeś?

- Cóż...

- Spokojnie - roześmiał się Maciarz. - Nie zamierzam stawiać cię w kłopotliwej sytuacji. Oczywiście możesz dopisać agencję swojej żony do kon -sorcjum przygotowującego ofertę. Ale w zakresie relacji prasowych jednak bardziej ufam moim ludziom. Więc cokolwiek będziecie robić, musicie konsultować z Kamilem, Robertem, a w sprawach kryzysowych z K&G.

No tak, wciąż uważasz nas za beniaminków w ekstraklasie.

Jednak Karol zdawał sobie sprawę, że Maciarz ma rację. Jego żona obsługiwała dotąd małe oferty i małe problemy. Ludzie Maciarza pracowali dla partii politycznych i największych koncernów, a do premiera, prezydenta i większości posłów dzwoniли na komórkę.

- Oczywiście - zgodził się Trybuchowski.

- Wierz mi, oni mają ogromne doświadczenie w tych sprawach. Kamil jest byłym naczelnym Tygodnika Polskiego, a Robert prowadził Wiadomości.

- Tak, wiem. K&G także są dość znani z załatwiania trudnych tematów. Słyszałem, że tę sprawę z problemem polskiego rządu w Kongo załatwili na medal. Sprawy dotyczące ropy i gazu także trzeba uznać za świetnie poprowadzone. A akcja z wyciszeniem skandalu dotyczącego choroby filipińskiej marszałka sejmu to prawdziwy majstersztyk.

- Bez dwóch zdań. Zapewnią nam pełną ochronę medialną inwestycji i oferty.

- Rozumiem.

- Bardziej mnie interesują strategie związane z inwestorami. Masz już plan road show i innych działań?

- Tak, dołączyłem do prezentacji, którą otrzymałeś w materiałach. Zrobimy w sumie siedem eventów i dwie imprezy pokazowe przed główną kam -panią. Indywidualne rozmowy mamy zaplanowane z dwudziestoma inwestorami. Potem zaprosimy wszystkich na pikantne party w

Medalionach.

- Pikantne? - uśmiechnął się Maciarz.
 - Bardzo pikantne - Karol także się uśmiechnął.
 - Z pieprzykiem. A nawet kilkoma pieprzykami.
- Maciarz spojrział na Karola przenikliwie.
- Chcecie wynająć dziwki na imprezę? - zapytał bez ogródek.
- Cóż to, ciągniesz mnie za język? Udajesz, że nie wiesz, jak to się robi?
- Jak zawsze. Oczywiście wszystkie będą opłacone i ze sprawdzonego źródła.
 - Nie mam nic przeciwko, ale nie sądzisz, że to ryzykowne?
 - Tak działaliśmy wcześniej. Nie było żadnych problemów. Nikt się nie dowiedział. A inwestorzy byli zadowoleni. Zadowolony i rozluźniony zarządzający znacznie szybciej i sprawniej podejmuje decyzje o dużych zapisach.
 - Jak chcesz, ale uważajcie.
 - Zapewniam, że nie będzie żadnej wpadki.
 - Nie potrzebuję zdjęcia w Fakcie czy Super Expressie z tytułem: Prostytutki dla inwestujących twoje emerytury.
 - Jasne.
- Maciarz klepnął Karola po plecach. -A jak sprawa z Zimnym?
- Wszystko pod kontrolą.

- Może Interceptor albo Investigations? - zaproponował Stypułkowski - To ma być przecież dziennikarstwo śledcze.
 - A musi być angielska nazwa? - zapytał Holdner - Nie możemy wymyślić czegoś po polsku?
- Zimny wzruszył ramionami.
- Polskie nazwy jakoś nie wpadają w ucho. Poza tym może być problem z rezerwacją domeny.
 - A może Insider? - poddał Holdner. Zimnemu to się spodobało.
 - Insider news.

- Lepszy jest krótszy tytuł, ale rzeczywiście mógłby być problem z domeną.

- Sprawdzimy.

Gruby pracował od czterech godzin. Właściwie teraz nadszedł czas na przełom. Czas wyczekiwania. Albo zdarzy się coś, co pozwoli mu kontynuować pracę albo wszystko diabli wezmą. Jakies trzy godziny temu udało mu się włamać na serwer Komisji Nadzoru Finansowego, dzięki furtce w module komunikacji z platformą usług administracji publicznej. Szyna komunikacyjna IBM była co prawda trudna do złamania, ale modyfikacje oprogramowania wprowadzone przez kilka firm na zlecenie urzędników okazały się nieszczelne. Szybko odszukał w bazie danych warstwę odpowiedzialne za zamówienia publiczne i skopiował rekordy kontrahentów. Nie było tego dużo, dlatego bez trudu wyselekcjonował nazwy pasujące do opcji działalności PR i podobnych usług. Następnie jak najszybciej uciekł z serwera rządowego, żeby nie prowokować szpicli z ABW czy innych służb, pozamykał wszystkie połączenia, wyłączył laptopa i pożegnał się z nim. Dobry, stary Acer. Szkoda, że pójdzie na przemiał. Ale nie mógł ryzykować, że gliny namierzą komputer. Wyjął nową zabawkę Lenovo, którą dostał od kumpla z kółka miłośników fantastyki naukowej. To już nie to, co stary IBM.

Jak oni mogli sprzedać całą linię produkcji sprzętu komercyjnego Chińczykom?

Notebook Lenovo, choć ładnie wyglądał, był źle skonfigurowany, przeciążony zbędnymi programami i miał dodatkowo wyjątkowo kiepski system operacyjny Vista Microsoftu.

- Gówno - szepnął Gruby, gdy po pięciu minutach sprzęt wciąż nie potrafił odpalić systemu z pełną dyspozycyjnością.

Po wejściu do sieci skopiował adresy IP używane przez

wszystkie wyselekcjonowane firmy zajmujące się PR i kontraktujące w KNF. Wrzucił je do napisanego przez siebie programu wyszukującego na podobieństwo ripe. net czy innych programów śledzących. Zapisał wyszukiwanie i po pięciu minutach wrzucił do arkusza kalkulacyjnego wyniki poszczególnych ścieżek z ich całą historią. Robił to setki a może tysiące razy, dlatego potrafił dość szybko oddzielić ziarno od plew. Ciekawe. Bardzo ciekawe.

Uznał, że na tym etapie ta część pracy została zakończona i zabrał się za drugi, trudniejszy element zlecenia Zimnego. Znał adres Barbary Ochnik, ale nie miał hasła. Wanadoo stosowało odpowiednie zabezpieczenia, więc „zatrudnienie” robota do rozszyfrowania hasła nie miało sensu. Postanowił zagrać najprościej jak tylko się da.

Poza Lenovo uruchomił dwa inne komputery i za pośrednictwem stron pozwalających na wysyłanie maili z fałszywych adresów e-mail zaatakował świeżo utworzone na swoje nazwisko konto na gmail.com

Po serii e-maili z pornografią, dodał parę mniej szkodliwych wirusów, odpowiedział kilka razy na konto Ochnik, po czym z pomocą tłumacza Google napisał do Wanadoo informację, że Barbara Ochnik atakuje jego konto spamem z pornografią. Dlatego prosi o podjęcie interwencji i uniemożliwienie użytkownikowi Ochnik dalszego prowadzenia tej działalności.

Wpisał w polu adresu wiadomości abuse@wanadoo.fr i nacisnął klawisz wyślij.

Powtórzył podobną czynność tworząc kolejne konta na gmail.com, po czym odczekał kilkadziesiąt minut i ponownie napisał do administratora

Wanadoo, w imieniu Barbary Ochnik, która zastanawia się, dlaczego ktoś namieszał na jej koncie, a ona próbując zmienić hasło doprowadziła do zablokowania jej adresu. Administratorzy Wanadoo zrozumieli już, że to atak z

falszywych kont i odblokowali e-maila Ochnik, przesłali też na podany adres nowe hasło do konta.

Cóż, administratorzy Wanadoo nie mogli wiedzieć, że pani Ochnik nie żyje.

Uff, teraz się zacznie!

Gruby wszedł na konto, szybko skopiował dane, po czym otworzył folder wysłane i zapisał na pendrive e-mail, który ktoś wysłał z tego konta do Zimnego. Po chwili wiedział już, że osoba ta zalogowała się w kawiaren -ce internetowej w Warszawie i tego dnia skorzystała z konta Ochnik wyłącznie w tym celu. Ale nie była to jej jedyna aktywność. Tak jak przypuszczał, włamywacz działał bardzo nieostrożnie i pozostawił po sobie wiele śladów. Kiedyś kryminalistyka będzie w ten sposób szukać morderców. Może już powinna?

Pół godziny później zapisał na karteczce nazwisko osoby, która przesłała Zimnemu wiadomość z konta Ochnik. Sprawdził to nazwisko w sieci i pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Skąd ty znasz takich gości? - mruknął pod nosem i po kolei powyłączał komputery, których nigdy więcej nie zamierzał już użyć. Komputerów zresztą mu nie brakowało, odkąd pracował w supermarkecie, który je sprzedawał.

Rozdział 28

Jeżeli normą jest patologia, to świat zwariował.

Leszek Balcerowicz

Bycie przedsiębiorcą w Polsce to nie jest łatwy kawałek chleba - uznał Zimny już w pierwszym tygodniu rozpoczęcia działalności gospodarczej. Początkowo zamierzał działać jednoosobowo, ale potem doszedł do wniosku, że założenie spółki z ograniczoną odpowiedzialnością daje znacznie więcej korzyści dla gazety i brzmi poważniej. Nie myślał jednak, że będzie to aż tak skomplikowane.

Wszystko szło dobrze do momentu zetknięcia się z biurokracją. Bez problemu zarejestrował domenę, zamówił serwer internetowy i kilka wersji layoutu witryny, kupił od kumpla z byłej redakcji system zarządzania treścią CMS. Potem zaczęły się urzędowe schody.

Pech chciał, że trafił akurat na zmiany prawne, które miały ułatwić zakładanie spółek. „Jedno okienko” tak reklamowane przez rząd, gdzie przedsiębiorca zamiast chodzić do trzech różnych urzędów mógł wszystko załatwić w jednym, okazało się porażką. Bałagan jak cholera.

No tak, ponoć w Anglii spółkę można założyć w 15 minut, w Polsce trzeba było tygodni.

Nie lepiej szło ze sprawami redakcyjnymi.

Napisał na szybko coś w rodzaju biznesplanu i strategii oraz zaczął przygotowywać dokumenty o dofinansowanie unijne. Po kilku dniach rozpoczął też poszukiwania ludzi do redakcji.

Na pierwsze kolegium przyszło kilka niezbyt rokujących ofiar kryzysu i kulawy reporter z telewizji.

- Przepraszam - burknął kładąc kule w ciasnym pomieszczeniu redakcji, wynajętym za grosze w budynku Akademii Sztuk Pięknych.

- Przejechał mnie samochód przy robieniu reportażu na

temat szwedzkiego przeterminowanego mięsa sprowadzanego do Polski.

Trzy dziewczyny i dwóch chłopaków, którzy co nieco znali media pisane oraz kulawy cwaniak. W sumie - jak na początek - wcale nie najgorzej.

Po pierwszych szlifach poszukamy jeszcze studentów i kilku doświadczonych redaktorów do współpracy.

- Słuchajcie. Pomysł jest taki, żeby zrobić niezależną i odważną gazetę w internecie. Chcemy być obiektywni, szczegółowi, nienapastliwi i nowocześni. Tworzyć nową jakość - mówił Zimny.

Słuchali go jak proroka, który wypił o co najmniej jedną flaszkę za dużo. Nie mógł zaproponować za dużo, pieniędzy prawie w ogóle, ryzyk znacznie więcej.

Jakiś kosmos!

Spisał możliwe tematy i podzielił pracę pomiędzy dziennikarzy. Gazeta nie mogła przecież zajmować się jednym tematem, a miał w zanadrzu parę ciekawych pomysłów.

Jak sobie to ułożył na papierze, sam był zaskoczony, że jest tego tak dużo. Sprawa agentów służby bezpieczeństwa w największym polskim banku, oszustwa podatkowe w firmie ubezpieczeniowej, łapówki i zawyżanie cen przez technologicznego giganta, proces o wielkie odszkodowanie od OFE w związku z doprowadzeniem firmy przedsiębiorcy do upadłości, paliwowe oszustwa znanego producenta mebli, insider trading przy transakcjach na akcjach spółki gazowej, bezprawne polecenia dla funduszy przy fuzji dużych banków, afera w koncernie paliwowym spowodowana przez interwencje ministra skarbu...

Masa roboty do zrobienia. Aż dziw, że nikt mu tych tematów nie „ukradł”, że żaden z dziennikarzy na nie jak dotąd nie wpadł.

Wiele zachomikował podczas pracy w Expressie, nie

nadążając z robotą. Każdy z tych tematów był potencjalną jedyneką w dużej gazecie. Gdyby oczywiście nie było cenzury ekonomicznej.

- Do roboty - rzucił i z zadowoleniem zauważył, że ludzie uwierzyli. Zdali się na mnie, widzą szansę, sens w tym wszystkim. Damy radę. Dla siebie zarezerwował dwa tematy.

Poza KNF i Klasykiem pozostał mu jeszcze jeden dług do rozliczenia. Odetchnął głęboko i zaczął pisać e-maila do biura prasowego Zenona Maciarza.

Stańczyk patrzył przenikliwie w oczy Jana Ochnika. Czy ten chłopak byłby w stanie zabić własną matkę i dwóch napakowanych osiłków od wymuszania długów?

Chłopak starał się unikać spojrzenia detektywa. Stańczyk nie był w stanie go rozgryźć. Coś w tym wszystkim było nie tak.

- Pytam jeszcze raz. Gdzie przegrałeś te pieniądze? Komu byłeś winny? Na czyje zlecenie działali Skrzecze?

- Dobrze... - wydusił dzieciak i pobladał jeszcze bardziej - Wymyśliłem to. W końcu. Jest jakiś przełom.

Przesłuchiwał chłopaka szóstą godzinę. Dzieciak cztery razy zmieniał wersję wydarzeń. Najpierw twierdził, że przegrał w kasynie, w black jacka i ruletkę. A kiedy dowiedział się, że to musiałoby być zarejestrowane, wymyślił kolejną bajeczkę.

- To było jakieś podziemne kasyno. Wchodziło się normalnie głównym wejściem, a potem poprowadzili mnie do podziemi, gdzie można było grać bez żadnego limitu.

- Po co? - zapytał Stańczyk szczerze rozbawiony.

- Jak to po co?

- Po co mieliby się z tobą tak męczyć? Po co mieliby prowadzić cię do podziemi, kiedy ciebie nie było stać nawet na flaszkę szampana w kasynie.

- Podejrzewałem, że mnie specjalnie wrobili. Wiedzieli, kim jest moja mama i dlatego mnie wybrali.

Kiedy okazało się, że wszystkie kasyna mają wystarczająco

mocne „alibi”, chłopak wzruszył ramionami.

- Przecież i tak mi pan już nie uwierzy.

- To prawda. W kasynie nie da się zapożyczyć, żeby przegrać milion. Lepiej żebyś wymyślił jakieś zakłady bukmacherskie. Albo nielegalne walki. Ale musiałybyś wiedzieć, gdzie się one odbywają. I kto je organizował. Musiałbyś choć raz w tym uczestniczyć, a i tak marne szanse, żebyś to wiarygodnie sprzedał.

- Więc nie ma sensu ściemniać?

- Nie ma - przyznał Stańczyk.

Chłopak wypił ciurkiem szklanekę wody i westchnął.

- Wymyśliliśmy to ze Skrzeczami. Jakiś rok temu. Skrzeczowie też nie mieli na koncie żadnych gangsterskich akcji. W gruncie rzeczy to się przeżyli na osiedlu, jacy to oni ważni. Paweł rzeczywiście potrafił przypierdolić każ -demu, ale mało wiedzieli o chłopakach z miasta. Jak im kazano brać bejsbo -le i jechać się napierdalać, to tak robili. Nie wiedzieli po co, dla kogo i za ile. Potem dostawali ochłapy. No i od zawsze pytali mnie, dlaczego, skoro moja matka robi w banku jako główna księgową, to nie mam nawet na motor. Nie chciało mi się im wyjaśniać, że to nie bank tylko dom maklerski, bo dla nich nie było różnicy. Poza tym mieli rację, przecież na takim stanowisku kosiło się straszłą kasę. Przynajmniej powinno się kosić. Moja matka była frajerką, zarabiała znacznie mniej niż mogła. Wtedy właśnie wpadliśmy na pomysł, żeby sfingować szantaż, a nawet moje porwanie. Ale okazało się, że nie było potrzeby wdrażania dalszej części planu. Mamuśka zgodziła się zapłacić nam bez żadnych ceregieli. No i wymyśliła, jak to zrobić. Gdybym wiedział, że ktoś ją kropnie, na pewno bym na to nie pozwolił.

- Nadal sądzisz, że Trybuchowski nie miał z tym nic wspólnego.

- Nie zrobił tego. Ktoś albo wiedział o całym naszym planie

albo przez przypadek wpadł na mamę.

- Za dużo tych przypadków. Komu mówiłeś o Skrzeczach? Komu mówiłeś, że ich sypnąłeś?

- Nie sypnąłem.

- To po co mi powiedziałeś? Co chciałeś osiągnąć?

- Nie miałem pomysłu, co zrobić. Postanowiłem zrzucić na nich odpowiedzialność. Sam byłem ciekaw, jak z tego wybrną. Nie mogli się za bardzo dać wtopić, bo oni tego nie zrobili.

Stańczyk uważnie patrzył na chłopaka zadając mu następne pytanie: gdzie był w czasie zamordowania Skrzeczów, choć przecież znał odpowiedź.

- Na turnieju szachowym - odparł chłopak bez wahania.

- Gdzie?

- Grałem w szachy w osiedlowym domu kultury. Mam całą masę świadków. Dobrze o tym wiem. Jednak czegoś nie chcesz mi powiedzieć. Co ukrywasz?

Gruby nie zastał Zimnego w domu. Nie odbierał też telefonu. Kurwa!

Nie lubił takich sytuacji. Miał wrażenie, że gdy ma jakąś tajemnicę w zanadrzu, to jest zagrożony. W horrorach i sensacyjnych książkach, które uwielbiał, zawsze tak było. Dla stopniowania napięcia autor zawsze decydował się poświęcić jednego lub kilku bohaterów drugoplanowych, żeby przyspieszyć akcję i podsypać trochę napięcia do przepisu na konfiturę. Dlatego Gruby wolał pozbywać się tajemnic od razu. Pakował je razem do worka ze strachem, oddawał i zapominał.

Cóż, poczekam gdzieś w knajpie, najlepiej na widoku. Zimny na nieszczęście mieszkał w dość niebezpiecznej dzielnicy. Co prawda na Saskiej Kępie było pełno ekskluzywnych willi i nowobogackich, ale też w pobliżu był Jarmark Europa, masa handlarzy, gangsterów i zwykłych złodziei i bandytów.

Wszedł do jakiejś arabskiej knajpki i zamówił dwie porcje obiadowe. Jak się boisz, musisz dużo jeść.

Był w połowie pożerania kuskusu i ociekającego tłuszczem kebaba, gdy znów coś go zaniepokoiło. Rozejrzył się po sali i zamarł. Facet siedzący trzy stoliki dalej robił mu zdjęcia. Bez żadnej krępacji celował w niego wielkim obiektywem i strzelał fotkę za fotką. Co jest?

Przestraszył się nie na żarty. Nikt nigdy nie robił mu zdjęć. Zapłacił i wyszedł z knajpy. Ruszył pośpiesznie w kierunku Stadionu. Oglądał się dwa razy. Faceta od zdjęć zobaczył, gdy już miał ze sto metrów przewagi.

Ucieknę mu. Dam radę.

Przyspieszył kroku. Gdyby miał dość siły, puściłby się biegiem. Ale nie miał. Musi dotrzeć tylko do miejsca publicznego - dopingował się, czując pot we wszystkich zakamarkach ciała. Jak będzie wśród ludzi, nic mu nie zrobią. Zszedł do przejścia podziemnego i wtedy poczuł za plecami jakiś szybszy ruch, jakby ktoś do niego podbiegał. I to nie było złudzenie.

Ktoś położył mu dłoń na ramieniu i mocno ścisnął.

Osiedlowy klub kultury o tej godzinie świecił pustkami. Jakieś dzieci grały w karty przy jednym ze stolików, ktoś niewprawnie rzępolił na gitarze.

- Mogę rozmawiać z kierownikiem? - zapytał gitarzystę. Był to niski, chudy mężczyzna około pięćdziesiątki. Jego spięte w kok długie włosy wyglądały jak wyciosane w srebrnej masie. Wspaniały okaz przejrzałego dzieciaka, który nie potrafi dorosnąć.

- Kierownikiem? - uśmiechnął się - Tu nie bawimy się w dyrektorów. Klub jest wszystkich i nikt nie rządzi.

- Ktoś jednak musi być szefem. To pan? Mężczyzna uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Powiedzmy. O co chodzi? Stańczyk wyciągnął zdjęcie

Ochnika.

- Poznaje go pan?

Tamten spojrział z udawaną uwagą, po czym pokręcił głową przecząco.

- Pierwsze widzę. Nie wiem, kto to.

-A to ciekawe, bo on mówił, że pan mu da alibi. Rzekomo był tutaj na turnieju szachowym w chwili, gdy popełniono morderstwo w innej części miasta.

- Trzeba było tak od razu - roześmiał się hipis. - To Jasiołek Ochnik. Biedak niedawno stracił mamę. Przepraszam, nie mówię nieznanym, że kogoś znam czy też nie znam. Pan jest z policji?

- Tak - Stańczyk wyjął legitymację, którą hipis uważnie obejrzał.

- Coś się stało? Dzieciak wmieszał się w jakieś gównno?

- Pozwoli pan, że to ja będę pytał.

- Oczywiście. Po prostu... mi zależy na nim. Jest świetnym szachistą. Zresztą wszystko co robi, robi świetnie. To wyjątkowy mózg. Umysł ścisły.

- Lubi go pan?

- Jak każdego chłopaka i każdą dziewczynę, którzy tu przychodzą. Choć muszę przyznać, że z Janką jest trochę dziwak. Przypomina mi Rain Mana. W mig potrafi policzyć każde równanie, ale jak zapyta go pan, co trzeba zrobić z ptakiem, który leży ranny na ulicy, zastanawia się przez kilka minut. A ja mam wrażenie, że chciałby odpowiedzieć: dobić.

- Jest typem socjopaty?

- Nie nazwałbym tego w ten sposób.

-A jak?

- Po prostu inny.

-Z kim grał podczas tego turnieju?

-Z kilkoma osobami. On zawsze wygrywa. Tym razem także.

- Odebrał puchar czy coś podobnego?

- Tak.

-I nie mógł was oszukać. Wymknąć się z zawodów a potem wrócić?

- Niby jak? Musiałby dostarczyć sobowtóra albo stworzyć androida na swoje podobieństwo. A pan gra w szachy?

Ewelina Talar nerwowo rozglądała się po peronie dworca Warszawa Centralna. Umówiła się z przyjacielem z Gdańska bliżej czoła pociągu, gdzie było znacznie mniejsze ryzyko, że ktoś ich zobaczy.

To chore, żeby dwóch prokuratorów musiało spotykać się w konspiracji. Nie mieli dużo czasu. Piotr korzystał tylko z przerwy na przesiadkę do pociągu do Wrocławia. Ewelina ucieszyła się, że przyjaciel pamięta o niej i chce się spotkać, jednak w głosie Piotra nie było radości.

- Musisz przyjść. Uwierz mi, że to ważniejsze niż cokolwiek innego.

- Dobrze.

Ewelina wiedziała, że nie ma sensu pytać przez telefon. Piotr był zbyt ostrożny, by cokolwiek mówić, gdy istnieje choćby hipotetyczna możliwość podsłuchu. Ostatnio kontaktowali się tylko w jednej sprawie, więc prawdopodobnie miał dla niej jakieś dodatkowe informacje. Teraz nie mogła się już doczekać. Co to jest, u licha?

Pociąg z Gdańska dotarł z piętnastominutowym opóźnieniem. Mieli przez to znacznie mniej czasu. Żeby zdążyć na przesiadkę do Wrocławia Piotr musiał się spieszyć. Będą mieli jakieś piętnaście, może dwadzieścia minut.

Jest!

Wyskoczył jako pierwszy z wagonu numer 12 i podbiegł do niej chwytając za ramię i odciągając w głąb peronu, gdzie nikogo nie było.

- Pięknie wyglądasz... wspaniale się trzymasz... cóż za radość cię widzieć. Tego chyba oczekiwałam, a nie zaciągania od razu w ciemny kąt - zażartowała.

Piotr uśmiechnął się z przymusem.

- Chciałbym, ale nie mamy czasu. Bardzo się o ciebie boję. -Z powodu jakiś białych kołnierzyków?

- Nie takie one znowu białe - szepnął Piotr, otworzył aktówkę i wyjął kilka kartek maszynopisu, które wręczył Ewelinie. - To zbiór moich przemyśleń, ale popartych faktami. Masz tam trochę odnośników do materiałów dowodowych, ale nawet jeśli ich nie ma, weź to na poważnie. Pisałem tylko to, czego jestem pewien.

Ewelina przeczytała trzy pierwsze zdania i pobladła.

- Czy nie przesadzasz?

- Nie przesadzam - warknął, chwycił ją za ramiona i potrząsnął silnie. - To nie są żarty. Weszłaś na pole pełne min. I to nie jest poligon doświadczalny. Tu jeden błąd może kosztować życie.

Ewelina wiedziała, że Piotr nie straszyłby jej bez powodu. Rozmawiali z ożywieniem przez kwadrans, po czym Ewelina odprowadziła przyjaciela na peron z podstawionym już pociągami do stolicy Dolnego Śląska.

- Chciałbym mieć cię przy sobie. Może jednak przejdiesz do nas? Weźmiemy się za tę sprawę na poważnie. A będziesz miała ochronę...

Ewelina pokręciła głową przecząco.

- Coś mnie jednak trzyma w tej Warszawie. Piotr uśmiechnął się niepewnie.

- Trudno. Jakby coś, to dzwoń śmiało. Poproszę też chłopaków od Konrada, żeby w miarę możliwości mieli na ciebie baczenie.

Konrad był ich przyjacielem z dawnych lat, obecnie oficerem GROM-u.

- To nie wojna.

- Obawiam się, że nie masz racji. To wojna. Na śmierć i życie.

Rozdział 29

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu *powiedzenie*

Zimny trzymał Grubego za ramię tak mocno, jakby się obawiał, że mu ucieknie albo osunie się na ziemię ze strachu.

- Co się dzieje, Gruby? To ja.

- Boże, Zimny! - przyjaciel wyraźnie odetchnął, ale nadal rozglądał się ze strachem - W coś ty mnie wpakował?

- Spokojnie, nic ci nie grozi.

- Łatwo ci mówić. Przed chwilą jakiś gościu robił mi w knajpie zdjęcia. Takim wielkim aparatem. To nie przypadek. Ja nie wierzę w przypadki.

- Dobra, chodźmy do mnie pogadać - zaproponował Zimny.

- Co to, to nie. Masz tu wszystko, co zebrałem i postaraj się nie zawracać mi głowy przez następne pół roku - Gruby wręczył mu plik wydruków i wyraźnie się uspokoił. - Jeśli ktoś cię zamorduje, nie przysyłaj mi zaproszenia na pogrzeb.

Właśnie pozbyłem się tajemnicy.

- Znalazłem ci te agencje i parę innych kwiatków. Wiesz, że KNF wynajmuje także kancelarie prawne?

- Nie wiedziałem, a to ciekawe.

- Mnie to także zdziwiło. Przecież w KNF jest cały dział prawny. Po co im dodatkowo kancelarie zewnętrzne i to te najdroższe, po 100 euro za godzinę?

- OK. A co z kontem Ochnik? Pewnie nic się nie dało zrobić? Gruby wyraźnie się odprężył - zaczął też nabierać właściwych dla siebie kolorów.

- Za kogo ty mnie masz? Za jakiegoś fucking campera?

- Tylko mi nie mów, że ci się udało? Gruby zrobił dumną minę i oblał się rumieńcem.

- Na ostatniej stronie - odpowiedział. - Tam poszukaj.

Dziennikarz przerzucił szybko kartki i przebiegł wzrokiem przez ostatnią stronę.

- No i kto tu rządzi? - zapytał Gruby.

Zimny nie odpowiedział. Głos zamarł mu w gardle.

Stańczyk zaparkował samochód na parkingu szkolnym, minął grupkę zaczepnie patrzących na niego dzieciaków i zapytał woźną o pokój nauczycielski.

- Na drugim piętrze, ale o tej godzinie już pan tam nikogo nie zastanie.

- Jestem z kimś umówiony.

- Chyba że tak - mruknęła woźna.

Nauczycielka języka polskiego - Iwona Szwed - okazała się być jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu widział. To przekleństwo, ale zawsze zwracał na to uwagę. Piękne kobiety go zniewalały. A było ich tak dużo.

Miała długie, kręcone włosy, kocie oczy, a jej skóra była lekko opalona i pełna blasku. Wyglądała jak Halle Berry, tylko o niebo lepiej. I można było jej dotknąć.

Stańczyk nieco za długo przytrzymał dłoń kobiety. Uśmiechnęła się do niego z politowaniem.

- Słucham pana, poruczniku Borewicz?

Stańczyk udał, że nie dosłyszał sarkazmu w głosie nauczycielki.

- Nazywam się Stańczyk i jestem nadkomisarzem.

- I pewnie nie ma pan licencji na zabijanie?

- Raczej staram się pozbawiać jej innych.

Kobieta wskazała mu miejsce za stołem i sama usiadła.

- Czego komisarz z wydziału kryminalnego szuka w naszej szkole? - zapytała.

- Jan Ochnik - szepnął Stańczyk. - Była pani jego wychowawczynią? Na twarzy Iwony Szwed nie drgnął nawet mięsień.

- To prawda. Co zrobił?

- Jeszcze nie wiem, czy cokolwiek. Słyszała pani, że jego matka została napadnięta i zamordowana w okolicach Kopca Kościuszki?

- Tak - nauczycielka kiwnęła wolno głową. - Było o tym głośno. Nawet zastanawiałam się, czy nie odwiedzić Jaśka i nie porozmawiać z nim. Ale znając go...

Nie dokończyła.

- Znając go... - zachęcił Stańczyk.

- To dziwny chłopak. Bardzo inteligentny, uprzejmy, ale jednocześnie zamknięty w sobie i wyrachowany. Nie lubił rozmawiać o problemach. Jakby go nie dotyczyły. Wątpię, żebym mogła coś dobrego zrobić, idąc do niego po takim wydarzeniu.

- Myśli pani, że byłby w stanie sam to zrobić? Byłby w stanie kogoś zamordować?

- Matkę? - zapytała nauczycielka, jakby chciała zaraz zaprzeczyć, ale jednak zawahała się na dłużej - Nie, chyba nie. Chociaż muszę przyznać, że tuż przed maturą Jaś zmienił się. Moim zdaniem pod czyimś wpływem. Nawet chyba wiem, czym.

- Tak?

- Na studniówkę Janek Ochnik przyprowadził koleżankę. Myślałam, że z tego coś będzie, bo Jankowi związek z dziewczyną dobrze by zrobił. Ale nie. Szybko się rozstali, a jakiś czas później Kasia, ta dziewczyna, próbowała popełnić samobójstwo. Policja prowadziła nawet śledztwo w tej sprawie - okazało się, że ktoś opublikował w internecie jej nagie zdjęcia. Podejrzenie padło na Janka i oczywiście trudno było go nie podejrzewać. W końcu byli blisko ze sobą. Ale dziewczyna zaprzeczyła. Twierdziła nawet, że Jan w ogóle nie interesował się nią w tym sensie. Kiedy wszystko ucichło, wzięłam Kaśkę na spytki i po długich płasach wydobyłam, o co chodziło.

-O co?

Nauczycielka zawahała się.

-W sumie powinien pan chyba wiedzieć. Kaśka powiedziała, że po studniówce umówiła się z Janem kilka razy, aż któregoś dnia on zapytał ją, czy chce poznać kogoś wyjątkowego. Była ciekawa, więc się zgodziła. Janek zaprowadził ją do jakiejś kamienicy na Kazimierzu, gdzie była knajpa, w której siedziało się w łózkach i można było nawet pobaraszkować. Tam czekał na nich mężczyzna. Był starszy i -ztego co zdążyła zapamiętać, zaimponował jej wiedzą, obyciem, inteligencją. Jak się wyraziła, „był prawdziwym mężczyzną”. Sama jest sobie winna, że z nim poszła.

-A co z Ochnikiem?

- Wie pan, to była taka relacja bez szczegółów. Zorientowałam się tylko, że Kaśka dała się uwieść przyjacielowi Janka, co ją zawstydziło. Niewiele pamiętała z wieczoru. Ale zdjęcia mogą pochodzić właśnie z tej nocy. Nie sądziła, by Janek miał z tym coś wspólnego.

- Może podali jej jakieś świństwo?

- Wątpię. Kasia po prostu przeholowała z alkoholem. Na studniówce też jej się przytrafiła mała przygoda. Próbowwała sprowokować dyrektora szkoły. Ale on na szczęście był trzeźwy.

- Uff! Młódzież. Interesowała się pani, kim mógł być ten starszy mężczyzna?

- Cóż, któregoś dnia przyjechał do niego do szkoły. Widziałam go. To był strasznie nadziany gość.

- Skąd wniosek, że był... nadziany?

- Przyjechał pod szkołę takim samochodem, że przyciągnął do okien wszystkie dzieciaki. Maserati czy inne Ferrari. Prawdopodobnie Janek specjalnie poprosił przyjaciela, żeby podjechał pod szkołę. To był taki szpan. Przez tydzień w szkole nie było innego tematu, tylko jakich to Janek ma kolegów. Prawdę mówiąc zaniepokoiło mnie to, nawet

pomyślałam, żeby zgłosić sprawę na policję, bo może ten nadziany starszy kumpel wykorzystywał dzieciaka.

- Dlaczego pani tego nie zrobiła?

- Nie miałam podstaw do takich sądów. Poza tym... Janek był przecież pełnoletni. Miałam robić z siebie idiotkę? Dzieciaki z klasy maturalnej to już nie dzieci. Pałą, piją, uprawiają seks.

- Byłaby pani w stanie rozpoznać tego mężczyznę?

- Nie muszę go rozpoznawać. Dziś już wiem, kto to jest.

- Więc, kto to?

- Jeśli odpowiem, wpadnie pan poopowiadać trochę o pracy policjanta dzieciakom z pierwszej klasy?

Karol Trybuchowski?

Stańczyk nie wiedział już, co o tym myśleć. Historia zatoczyła koło. Albo zwariował i słyszy to, co chce słyszeć.

Dlaczego młody Ochnik kryje milionera? Dlaczego próbuje mylić tropy? Może to jednak on?

Początkowo zamierzał od razu pojechać do Trybuchowskiego i się z nim rozmówić, ale potem uznał, że to może poczekać. Ponadto miał przeczucie, że morderca Ochnik zabił również Skrzeczów. A jeśli tak, nie mogli być nim szefowie KDI, bo przecież wtedy byli na konferencji prasowej w Warszawie. Sam widział relację. Alibi nie do podważenia. Chyba, że to nie ten sam morderca albo kogoś wynajęli na drugą robotę? A może i na pierwszą? Mo -że mają jakiegoś cyngla? Może ten cyngiel współpracuje z prezesami KDI izOchnikiem? Szlag by to...

Nie działaj w gniewie. Nie kieruj się emocjami. Masz analizować, a nie strzelać na oślep.

Przespał się, a następnego dnia poprosił chłopaków z wydziału dochodzeniowego o odszukanie sprawy koleżanki Ochnika, która próbowała popełnić samobójstwo. Ale takich akt nigdzie nie było. Nic nadzwyczajnego. Od kiedy

rozpoczęli komputeryzację, wiele rzeczy ginęło. Wcześniej akta znikwały przy weryfikacji esbeków, teraz giną z powodu bałaganu. A może...

Cóż, skoro Bełza zadziałał w przypadku Trybuchowskiego teraz, to może zrobił to już wcześniej, czyszcząc jego udział w sprawie tej samobójczej próby nastolatki. W porównaniu z tuszowaniem morderstwa, to było nic. Może nawet od tego się zaczęło. Może Bełza właśnie za to dostał portfel akcji w KDI, który teraz pracował, by komendant na emeryturze stał się bogatym emerytem?

Kto mógł wtedy prowadzić tę sprawę? Rankiem następnego dnia Stańczyk poszedł do archiwum.

- Żartujesz? Wiesz, ile prób samobójczych mamy rocznie? Potrafisz chociaż podać przybliżony termin?

Hmm. To miało być po studniówce. Może luty, może marzec? Nic. Przesiedział w KSIP-ie z osiem godzin, przeszukując zasoby policyjnych baz danych na różne sposoby. Zadzwoił także do jednego z komen - dantów dzielnicowych, który zupełnie nie rozumiał, o co Stańczykowi chodzi i sam zaczął zadawać pytania. Podejrzewał, że Stańczyk może pracuje w wydziale wewnętrznym i próbuje prowadzić śledztwo przeciw jego jednostce, a może przeciw niemu samemu.

Postanowił sobie darować. I wtedy wpadł na jeszcze jeden pomysł. Sięgnął do biurka i wywalił całą zawartość szuflady z papierzyskami, które uważał za ważne i których nie wyrzucał od lat. Wiedział, gdzie szukać. Czarny notes, który rozpoczął zapisywać jakieś pięć lat temu, znalazł po pię - ciu minutach. Nazwisko i numer telefonu Anny Pałuckiej - trzydzieści sekund później. Cały rozpromieniony wybił numer na służbowym aparacie i od razu posmutniał, gdy w słuchawce usłyszał męski głos.

- Przepraszam... musiałem się pomylić... myślałem - zaczął dukać, nie bardzo wiedząc co powiedzieć.

-Z kim pan chce rozmawiać?

Zanim zdążył odpowiedzieć, usłyszał jakiś szum, a potem głos Anny Pałuckiej.

- Anna Niedzielan.

A więc wyszłaś za męża. A ten dupek nie wie, żeby nie odbierać twojego aparatu? Ciekawe, czy wie, czym się zajmujesz?

-Ania - zdążył tylko powiedzieć słabym głosem Stańczyk, gdy Niedzielan -Pałucka zasypała go gradem pytań.

Po dwóch godzinach siedzieli naprzeciw siebie w kawiarni Singera.

- Nie pracuję już dla policji, przeszedłam do biznesu. Wbrew pozorom praca wcale nie jest mniej ciekawa. Zajmuję się profilowaniem kontrahentów. To potrafi wciągnąć. Nawet sobie nie wyobrażasz ilu oszustów działa w biznesie. Trzeba bardzo uważać, żeby nie dać się naciągnąć.

- Na czym polega to profilowanie... biznesmenów? - zapytał z ciekawości Stańczyk.

- Zazwyczaj wysyłają mnie na pierwsze i ostatnie negocjacje. Siedzę, przyglądam się, a potem podpisuję kontrakt jako prokurent albo idę z nim do szefa i wskazuję ryzyka.

- Często, hmm, wskazujesz ryzyka?

- Zdarza się - kobieta wzruszyła ramionami.

Ania wyglądała jak nadziana businesswoman. Miała na sobie czarną sukienkę, drogą biżuterię, pantofle na szpilkach. Bawiła się kluczykami nowiutkiego volvo zaparkowanego naprzeciwko kawiarni.

- Co się tak gapisz?

- Zmieniłaś się - uśmiechnął się Stańczyk.

Znał Pałucką jako mocno roztrzepaną i nakręconą policjantkę z misją. Chciała łapać przestępców, a potem ich nawracać. Po skończeniu psychologii pracowała jednocześnie jako profiler, psycholog w wydziale operacyjnym oraz technik kryminalistyczny. Pięć lat temu często pracowali

razem, a Stańczyk przypomniał sobie, że Anka zawsze miała fioła na punkcie samobójstw. Starła się przeglądać sprawy i bardzo chętnie pomagała rozmawiając z niedoszłymi ofiarami własnych frustracji. Detektyw po kryjomu przeprowadził małe prywatne śledztwo; to wówczas dowiedział się, co było prawdziwą przyczyną tego zainteresowania. Siostra Ani popełniła samobójstwo, kiedy przyszła policjantka miała 14 lat. Ania bardzo to przeżyła. Stańczyk nigdy nie poruszył tego tematu, Ania zresztą też.

Gawędzili przez chwilę, aż w końcu komisarz zauważył, że jego rozmówczyni ukradkiem zerka na zegarek. Przeszedł więc do rzeczy i opowiedział o sprawie, którą prowadzi i Kasi, studniówkowej partnerce Ochnika.

- Mówiłeś, że jak się nazywała? Stańczyk sam musiał zerknąć do kajetu.

- Katarzyna Mączyńska.

- Boże - Anka złapała się za głowę. - To niesamowite, ale pamiętam ją. Cholera, to ci dopiero. Przejrzałam chyba ze sto podobnych spraw a mimo to ją pamiętam, sama w to nie wierzę.

- Rozmawiałaś z tą dziewczyną?

- Oczywiście. Standardowo połknęła prochy i nie chciała się zabić, tylko zwrócić na siebie uwagę. Może też szukała sposobu na odwrócenie uwagi od tych zdjęć, które ktoś wrzucił do netu. Dziś takie wypadki zdarzają się często, a dla wielu dzieciaków wcale nie są jakoś szczególnie bolesne, pod warunkiem, że nie kompromitują ich jednoznacznie. Ale pięć lat temu było inaczej. O tych zdjęciach mówiło pół Krakowa.

- Powiedziała ci, jak to się stało?

- Nie było łatwo, ale tak. Poszła do knajpy z tym chłopakiem... jak mówiłeś... Ochnikiem, gdzie - z tego co pamiętam - poznali nadzianego frajera, z którym wylądowała w łóżku. Niewiele pamiętała z nocy, bo była ostro wstawiona, ale chyba nie wydarzyło się zbyt wiele. Nawet nie wiedziała,

czy się z nim przespała. Gdy pojawiły się te zdjęcia, postanowiła ze sobą skończyć.

- Kim był ten facet?

- To dziwne, ale nie chciała go wydać. Mówiła, że nie wie. Że nie pamięta. Ale miałam wrażenie, że kłamie.

- Może nie pamiętasz? Mówi ci coś nazwisko Trybuchowski? Ania patrzyła na niego zdumiona.

- Żartujesz? Znam Trybuchowskiego. On nie ugania się za małolatami.

- Ja słyszałem co innego.

- Ale nie za nastolatkami z liceum - zaproponowała.

- To facet z klasą.

- Tak, wiem - przytaknął Stańczyk zrezygnowany, starając się nie ujawnić stosunku do tej postaci. Ale nie była to udana próba.

- Nie lubisz go?

- Nie lubię - przyznał Stańczyk. - Mam poważne podstawy przypuszczać, że to przestępca, a wszyscy starają się go chronić.

Anna zamyśliła się.

Co mogę ci powiedzieć? A co powinnam?

- Pracowałam dla KDI jakiś czas temu. Poprosili mnie o oceny psychologiczne pracowników, a potem zaproponowali stały kontrakt doradczy przy emisjach. Miałam przyglądać się zarządzającym na prezentacjach i oceniać nastawienie poszczególnych osób. To było nowe doświadczenie, więc się do tego zapaliłam. Siłą rzeczy musiałam nawiązać relacje z Karolem.

- Spałaś z nim? - zapytał Stańczyk. Pałucka nie odpowiedziała.

- Karol był jak dziecko. Traktował wszystkich jak zabawki. Wszystko wokół było dla niego zabawą. Potrafił świetnie nawiązywać relacje, ale potem było już tylko gorzej. Tak naprawdę niewiele umiał. Gdyby nie Łukasz, nigdy by tak

daleko nie zaszedli.

- A co sądzisz o Rostowskim? Pałucka roześmiała się.

- Zupełne przeciwieństwo Trybuchowskiego. W towarzystwie kobiet słamszony i stremowany, nie bardzo wie, jak się zachować. Karol śmiał się, że jego przyjaciel zawarł kontrakt z żoną przed pójściem do łóżka i obie strony przestrzegają go ściśle, a każde odstępstwo spisują w klauzule. Za to w pracy Łukasz jest mózgiem, zarządza całą finansową stroną firmy. Trybuchowski wybrał go sobie podobno jeszcze na studiach. Potrzebował kogoś, kto za niego zda egzaminy, kto będzie potrafił profesjonalnie zarządzić tym, co wypracuje dzięki wdziękowi i umiejętnościom osobowym. Na spotkaniach biznesowych Rostowski rzadko kiedy powie więcej niż dwa zdania. Ale potem to on odważa czarną robotę. Karol bryluje na salonach i się nim wysługuje.

- Manipuluje nim? Pałucka westchnęła.

- Też nie tak. Łukasz jest dojrzały i... mądry. Bardzo mądry. A Karol... Już ci mówiłam, że Karol to dziecko. No dobrze, spałam z nim. I był to największy zawód mojego życia. Dla Karola ważne było to, żeby mnie zdobyć, zaliczyć. Zrozumiałam to o tych kilka smutnych minut za późno, bo tego wieczora był naprawdę uroczy. On doskonale zdaje sobie sprawę ze swoich wad i zalet, więc idzie jak burza. Każdą dziewczynę próbuje zaciągnąć do łóżka od razu, żeby nie dać jej szansy na właściwą ocenę. Dużo pije, prawdopodobnie po to, żeby mu wyszło. Bo na trzeźwo jest zupełnie do kitu.

- Trybuchowski jest żonaty, prawda?

- Jego żona ma na imię Natalia - przytaknęła Anna. - To piękna kobieta. I zimna jak cholera.

- Ona wie, że Karol ją zdradza?

- Sama też pewnie nie pozostaje mu dłużna - Pałucka uśmiechnęła się na tę myśl.

- Może nawet z Łukaszem.
- Przecież mówiłaś, że on nie umie postępować z kobietami.
- Kiedyś na jakimś bankiecie widziałam, jak na nią patrzył. Wpatrywał się jak w obrazek, ale tylko wtedy, gdy był pewien, że ona tego nie widzi.
- Może coś być między nimi?
- Nie, żartowałam. Ale nawet gdyby tak było, Karol by się nie przejął. On jest zdobywcą. Wchodzi na szczyt i rzadko ogląda się za siebie.
- I sądzisz, że nie interesowały go małolaty?
- Bardzo się pilnował. Unikał kłopotów. Musiałby być dobrze wcięty, żeby się na coś podobnego zdobyć.
- Może był pijany?

Anna pokręciła głową przecząco.

- Jak chcesz znać moje zdanie, Trybuchowski nie miał nic wspólnego ze sprawą Kasi Mączyńskiej. Ani z jej samobójstwem ani śmiercią.

- Śmiercią?
- To ty o tym nie wiesz?
- Zamierzałem ją przesłuchać dopiero po analizie akt.
- No to już nie zdążysz. Mączyńska zginęła rok po tej samobójczej próbie. Wpadła pod samochód. Chyba dlatego tak dobrze zapamiętałam jej przypadek.
- Dlaczego nauczycielka nic mi o tym nie powiedziała?
- Wcale się nie dziwię - wyjaśniła Ania. - Kasia po próbie samobójczej nie wróciła już do szkoły. Przeniosły się z mamą do Rzeszowa i tam miał miejsce ten wypadek. To nie była żadna głośna sprawa. W sumie ja też dowiedziałam się o tym przypadkiem.

Czy to możliwe, żeby wypadek Mączyńskiej był morderstwem, a tamta sprawa bezpośrednio wiązała się z obecną?

Stańczyk przez cały kolejny tydzień próbował to sobie

poukładać. Z aktami wypadku Mączyńskiej nie było takiego problemu jak ze sprawą jej samobójczej próby. Dziewczyna weszła na ulicę, potrącił ją ukraiński TIR. Prowadzący samochód Wołodimir Kłycho nie był ścigany listem gończym, był trzeźwy, nie zbiegł z miejsca wypadku, próbował reanimować ofiarę. Jechał zgodnie z przepisami, to dziewczyna gwałtownie wbiegła mu przed maskę. Świadkowie? Brak.

Nie było jednak żadnych podstaw, by uznać, że to nie był wypadek. Stańczyk popatrzył na zdjęcie zmasakrowanego przez ciężarówkę ciała. Cholera!

Wpisał dane Ukrainka w policyjną wyszukiwarkę i zamarł. W systemie widniała informacja, że paszport Wołodymira Kłycho jest fałszywy, a właściciela należy zatrzymać. W czasie wypadku dokument był „czysty”, dużo później okazało się, że to „fałszywka”.

Tylko czy z tego można wyciągać jakieś wnioski? Mało to Rosjan, Kazachów, Czeczenów, Białorusinów robi sobie fałszywe papiery?

Tak, tylko tych przypadków w śledztwie jest już stanowczo za dużo. Kiedy wychodził z komisariatu była 20. W sam raz na wieczorne piwo. Spojrzał na karteczkę z nazwą lokalu, w którym Mączyńska i Ochnik spo -tkali się z nadzianym gościem.

Popatrzył na swoje odbicie w szybie wystawowej z sukniami ślubnymi. Cóż, nie wyglądasz na bywalca nocnych klubów, ale czemu nie spróbować?

Lokal nazywał się Sabat. Czerwone ściany, czarne kanapy, mało światła, niskie sufity i wielkie łóża zamiast stolików. O tej godzinie w knajpie było jeszcze pusto, więc Stańczyk mógł nieco odetchnąć. Barman popatrzył na niego znudzonym wzrokiem, który zdawał się mówić: pomylił pan lokal, biuro matrymonialne jest za rogiem.

- Co podać? - rzucił jednak oschle.

- Piwo - odparł Stańczyk i dodał szybko. - Pracował pan tu pięć lat temu? Barman roześmiał się.

- Głupie pytanie - odparł. - Obsługa lokali zwykle nie zagrzewa miejsca dłużej niż rok w jednej knajpie. Przynajmniej w Krakowie. O ile wiem, żaden z kelnerów, ochroniarzy i innych pracowników pięć lat temu tu nie pracował.

- Barmani jednak nie zmieniają się wcale tak często - mruknął Stańczyk.

- Coś w tym jest, bo akurat pan trafił. Będzie szósty rok, jak tu siedzę. Ale dopiero trzy lata za barem.

- A wcześniej?

- Różnie. Bywało się i na zmywaku, i na szmacie, trochę kelnerowałem, aż zwolniła się fucha za barem. Wie pan, że to najlepsza działka w tym biznesie?

- Wiem. Zawsze można swoją flaszkę wnieść i sprzedać dziesięć razy drożej.

Barman obruszył się.

- Ja nie oszukuję.

- Tak, tak - Stańczyk sięgnął do kieszeni i wyjął kopertę ze zdjęciami oraz policyjną legitymację. Chłopak początkowo wzdrygnął się i zaczął zwykłą śpiewkę, że on nic nie wie i nie pamięta, ale Stańczyk umiejętnie przekonał go, że nie szuka dziury w całym. Nie ma to jak powiedzieć prawdę.

- Być może sprawa morderstwa, które obecnie wyjaśniamy wiąże się z wydarzeniem sprzed lat, w którym wasz lokal też miał swój udział - wyjaśnił i zrelacjonował dokładnie, o co mu chodzi.

Barman popatrzył przenikliwie w oczy policjanta, a potem otworzył się.

- Ma pan szczęście. Pamiętam tę sytuację. Kiedy zdjęcia tej dziewczyny trafiły do internetu, a ona próbowała popełnić samobójstwo, gadaliśmy o tym z kumplami. Zapamiętałem ich dobrze, bo te dzieciaki zachowywały się dość głośno.

-A przypomina pan sobie nieco starszego faceta, który z nimi był? Rozpoznałby pan go?

- Bo ja wiem...

Stańczyk wyjął zdjęcie Trybuchowskiego i podetknął pod nos chłopakowi. Barman przyglądał się przez dłuższą chwilę.

- Nie wiem - rzucił w końcu.

- Czy to mógł być on?

- Może.... Wydaje mi się, że widziałem tę twarz. Ale może wcale nie wtedy. Mam wrażenie, że tamten jednak wyglądał inaczej - zamyślił się. - Ja naprawdę chcę pomóc, ale... Nie, to nie on. Tamten... cóż, nie mogę go opisać. Ale to na pewno nie on.

Pudło? Być może.

-A to zdjęcie? - Stańczyk pokazał fotografię wyciętą z jakiegoś kobiecego czasopisma.

Barman podrapał się po głowie z niepewnym wyrazem twarzy.

- Cóż, ten wygląda nawet podobnie.

- To ten sam gość - powiedział Stańczyk i wyjął jeszcze jedno zdjęcie wiceprezesa KDI.

- Tak? - barman nie chciał już patrzeć. - Może więc to był i on. Nie wiem. Nie pamiętam.

Chłopak jednak coś skojarzył. Poza tym w sumie to nie ma znaczenia. I tak trzeba pogadać z Trybuchowskim.

Patrząc mu głęboko w oczy położyła dłoń na jego dłoni i powtórzyła ostatnie zdanie. W takich pozach ludzie wyznają sobie miłość. Albo kłamia.

- Czy to jakaś socjotechnika? - zapytał Zimny wrywając się z uścisku Eweliny - Wiesz, o co mnie prosisz?

- Chcę żebyś zamknął tę sprawę na kilka miesięcy, dał sobie z nią spokój i pozwolił działać prokuraturze - powtórzyła.

- Żartujesz, prawda?

- Nie żartuję.

-I nie możesz mi powiedzieć, skąd ta zmiana w nastawieniu?
- Nie mogę. To poważna sprawa. Nie chcę, żeby ci się coś stało.

- Gówno - mruknął Zimny, - przecież dobrze wiesz, że nie mogę sobie darować. Wasza prokuratura już dość złego zrobiła w tej sprawie.

- Próbuję to naprawić.

- Ale nie zagwarantujesz, że coś z tego wyjdzie?

- To prawda. Jednak jeśli się nie usuniesz, to nie pomożesz w wyjaśnieniu.

- Teraz pora na dziennikarzy, pamiętasz? To nasza Watergate. Ewelina westchnęła głośno. Dobrze wiedziała, że nie pójdzie łatwo.

- Dobrze. Powiem ci co mogę, ale obiecaj, że nie wykorzystasz tego w żadnym tekście.

- Dopóki nie dowiem się tego samego od kogoś innego - zaznaczył Zimny.

- Nie dowiesz się. Jeśli więc mnie oszukasz...

- Nie oszukam. Mów, co jest grane.

Ewelina zniżyła głos do szeptu i starannie dobierając zdania opowiedziała Zimnemu część tego, czego dowiedziała się od Piotra.

- To zbyt poważne rzeczy - zakończyła. - Musisz się usunąć i poczekać, aż to wyjaśnimy. Inaczej jesteś potencjalnie zagrożoną osobą. To nie są żarty. Mamy do czynienia z prawdziwymi bandytami. Takimi, którzy nie zawahają się przed pociągnięciem za spust, jeśli zagroziś ich interesom.

- Przecież wiesz, że nie mógłbym się usunąć. Po co więc to mówisz? Twarz Eweliny wykrzywił grymas uśmiechu zmieszanego z zadumą.

- Po prostu uważaj na siebie.

Zaraz po spotkaniu Zimny ruszył do redakcji. Ładna redakcja.

Dwa małe pokoiki w korytarzu biurowca zaraz przy WC, dzięki czemu cena była o połowę niższa niż pozostałych pomieszczeń w korytarzu. W porównaniu z profesjonalnymi redakcjami, w jakich dotąd pracował, była to totalna prowizorka. Wnętrze zapełnili meblami z odzysku i paroma komputerami połączonymi w prowizoryczną sieć. Sprzęt był stary i zawodził, ale dało się pracować. Powoli też wyłaniał się obraz pierwszych numerów pisma Insider.

- Jak prosiłeś, zwróciliśmy się o komentarz do Orłenu, ale na razie nie chcą z nami gadać - wypaliła do niego jedna z młodych dziennikarek zaraz przy wejściu. - W sumie to im się nie dziwię. Proszą o podanie pisma, dla którego pracujemy, a my odpowiadamy, że jesteśmy niezależnymi dziennikarzami. To nie przechodzi.

- Może możemy się już ujawnić? - zagadnęła druga z dziewczyn - W sumie już prawie dopełniliśmy rejestracji.

- Jeszcze nie - stanowczo powiedział Zimny. - Będziemy mieli wielu wrogów, którzy będą próbowali zepsuć nasz start, jak już się dowiedzą kim jesteśmy.

- Ale przecież i tak musimy zrobić promocję. Inaczej nikt się o nas nie dowie.

- Promocja będzie.

- Już są pierwsi chętni na reklamy - wtrącił chłopak z telewizji, który zabrał się za temat służb w największym polskim banku. - Moi rozmówcy uwa-żają, że są w stanie wykupić u nas półroczną kampanię, jeśli damy im spokój.

- Nie interesuje to nas. Piszemy o wszystkim.

- Ale jeśli zrobisz sobie ze wszystkich wrogów, to nikt nie wyłoży na nas pieniędzy.

- To nie będziemy zarabiać na reklamie.

-Ana czym?

Mieli rację. Jeśli nawet wydobędzie fundusze unijne, to nie da się ciągnąć projektu bez przychodów. A reklam czy nawet płatnych serwisów nikt nie kupi, jeśli nowa gazeta będzie

zrażać do siebie wszystkich. Szybko sami się wykończą. Nikomu nie jest na rękę takie pismo. Jeszcze ta sprawa z Ewelina, no i rewelacje Grubego. Przez to, że ona tak zaczęła dzisiejszą rozmowę, Zimny postanowił nie mówić jej tego, czego dowiedział się od Grubego. W końcu ona nawet nie zajmuje się sprawą morderstwa Ochnik. Nic by to jej nie dało. Zimny najpierw musi sam poprosić o wyjaśnienia w tej sprawie. Każdy ma prawo do rozmowy i wyjaśnień.

Jeśli jednak to Holdner jest mordercą?

Przypomniał sobie o sprawie Maciarza i dziesiąty raz od tygodnia wykręcił numer działu relacji inwestorskich jego flagowej spółki, matki holdingu.

- Czy można poprosić już o państwa stanowisko w sprawie inwestycji w Wietnamie? - zapytał bez ogródek, gdy w słuchawce usłyszał głos PRowca.

- A, to pan... przykro mi, wciąż nie mamy dla pana komentarza.

- Wcale mnie to nie dziwi - powiedział z przekąsem Zimny - Proszę jedynie o podanie terminu ostatecznego udzielenia odpowiedzi.

- Mam polecenie, by przekazać panu, że prosimy o podanie redakcji, na zlecenie której pan działa. Wówczas udzielimy odpowiedzi pisemnej na adres redakcji. W innym wypadku nie będziemy panu w stanie pomóc.

- Jestem dziennikarzem niezależnym.

-W takim razie będzie pan musiał poradzić sobie bez naszych komentarzy. Liczymy, że pismo, które ewentualnie będzie zainteresowane pańską publikacją, zwróci się do nas o komentarz.

Dobrze wiecie, że nikt nie będzie zainteresowany, bo nikt nie chce z wami zadzierać!

Wybrał numer ostatniej komórki Maciarza, ale i ona trafiła już do asystenta.

- Jakub Zimny, dziennikarz niezależny. Czy mogę prosić o

połączenie z panem Maciarzem.

- Już pana prosiliśmy o zadawanie pytań pisemnie i nie dzwonienie na numery bezpośrednie do pana Maciarza - powiedział asystent oschłym głosem.

Zimny nie przejmował się odpowiedziami. W gruncie rzeczy, to bardziej chodziło mu o udokumentowanie własnych starań niż kłamliwe opinie i nic nieznaczące odpowiedzi.

Potem wybrał numer do Holdnera.

- Musimy porozmawiać.

Rozdział 30

*Ten, kto ma władzę,
nie musi nikogo za nic przepraszać.*

Niccolo Machiavelli

Na 45. piętrze hotelu Intercontinental Zenon Maciarz nalał do czterech szklanek 46 letniej whisky Glenfiddich i podał trunek swoim gościom. Z trzech siedzących przed nim mężczyzn lubił tylko jednego, polityka reprezentującego kancelarię premiera polskiego rządu. Dwaj pozostali - przedstawiciele holenderskiego konsorcjum finansowego - to byli cwani prawnicy, nie biznesmeni. Maciarz nie szanował ludzi, którzy udawali władców świata, a tak naprawdę nie rozumieli biznesu, bo pracowali dla pieniędzy. Dla nich liczyła się marka samochodu, zegarka, droga dziwka, a nie władza. On był twórcą, artystą. Oni tylko... zwykłymi trybikami w maszynie. Do wymiany, w każdej chwili. Pogardzał nimi, podobnie jak teoriami o wyższości zarządzania firmą za pomocą wynajętych specjalistów.

Nic nie zastąpi właściciela. Chyba, że jest głupi. Ale jak jest głupi, to prędzej czy później i tak wykończy firmę, bo fachowcy nie oddadzą serca głupcowi. To samo jest z Państwem. Tak naprawdę majątek państwowy należy do wszystkich, czyli do nikogo. Nikt nie czuje się właścicielem. A wynajęci polityczni aparatczycy są za słabi.

Maciarz czuł się właścicielem państwowego majątku.

- Na zdrowie - rzucił gospodarz i wychylił szklaneczkę jednym haustem. Jego goście zaledwie umoczyli usta. Ech, z Rosjanami to wy byście biznesu nie zrobili. Dwumetrowe ciało Maciarza potrzebowało zaledwie dwóch kroków, by znaleźć się znów przy barku. Nalał sobie kolejną porcję trunku.

- Czy mam rozumieć, że zapewnienia polskiego rządu uspokajają panów obawy? - zapytał bez ogródek.

Prawnicy spojrzeli po sobie.

- Poniekąd - odparł jeden z nich. - Jednak ostateczna decyzja i tak bę dzie należała do zarządu i akcjonariuszy.

Dość uprzejmości!

- Chciałbym, żeby jedna rzecz była jasna - powiedział biznesmen nie patrząc na prawników. - Konflikt reprezentowanej przez panów firmy z polskim rządem trwa od 10 lat. Doczekaliśmy się trzech sprzecznych wyroków sądów. Możemy oczekiwać kolejnych, ale biznes będzie na tym tylko cierpieł. Proszę potraktować przekazaną dziś dokumentację jako gest dobrej woli, ale radzę też zrobić analizę ryzyk. O ile dobrze policzyłem, to trzech z pięciu członków zarządu panów pracodawcy, po ujawnieniu tych dokumentów może pójść do więzienia.

- Zgodnie z holenderskim prawem... - zaczął prawnik, ale Maciarz uciszył go gestem dłoni.

- Właśnie zgodnie z holenderskim prawem. Polski rząd, tak jak zadeklarował mój przyjaciel - tu Maciarz skłonił się w kierunku czerwonego na twarzy przedstawiciela partii rządzącej - nie zamierza prowadzić agresywnej obrony. Ale wszyscy zdajemy sobie sprawę, że tylko agresywna obrona ma sens. Holenderskie więzienia są podobno łagodne, nawet dla finansistów.

- Doceniamy gest, jednak...

- Mówiąc wprost - Maciarz znów nie dał dokończyć prawnikowi - albo dogadamy się w ciągu dwóch tygodni albo zrywamy negocjacje i wdramy drugą część planu. I proszę przyjąć do wiadomości, że my już nie zaprosimy panów do stołu.

- Zawsze tak się mówi - wyrwało się drugiemu prawnikowi. Młody, niedoświadczony gówniarz.

- Polski rząd nie będzie negocjował z firmą zamieszaną w

największą aferę finansową w Europie ostatniego dziesięciolecia. Jeśli dokumenty, które panom przekazaliśmy ujrzą światło dzienne, zakończenia sporu sądowego możemy pożyczyć następnemu pokoleniu. My tego nie doczekamy.

- Koszty dla Polski będą ogromne.

- Polska potrafiła wyjść zwycięsko z opresji nawet z pozornie beznadziejnej sytuacji - zakończył Maciarz - Żegnam panów.

Gdy prawnicy wyszli, człowiek z kancelarii premiera westchnął głośno.

- Uff. Ciężko było. Myślisz, że pójdą na współpracę?

- Głupotą byłoby nie skorzystać. Impas trwa zbyt długo. Polityk uśmiechnął się. Zakończenie sporu z Holendrami w sprawie jednego z największych konfliktów publiczno-prywatnych byłoby nie lada sukcesem dla rządu.

- Jak my ci się odwdzięczymy? Cóż, będziecie mieli okazję.

- Polska jest najważniejsza - powiedział krótko Maciarz.

- Dzięki, nikt by lepiej tego nie wymyślił. Blef był doskonały. Maciarz uśmiechnął się.

- To nie był blef.

Zaraz po wyjściu polityka, Maciarz zadzwonił do doradcy odpowiadającego za przygotowanie oferty nowego dziecka przedsiębiorcy - GreenTechu. Od tego sukcesu mogło zależeć powodzenie następnego, kluczowego projektu.

- Na 90 procent mogę cię zapewnić, że instytucje publiczne złożą zapisy po najwyższej cenie, co najmniej na połowę oferowanej puli akcji. Mamy też gwarancje ochrony podatkowej i inwestycyjnej.

- Jesteś cudotwórcą. Pamiętaj, że wszyscy mają dobrze na tym zarobić. To tylko biznes. Nic więcej.

Maciarz wyjrzał przez okno swojego gabinetu. Znów pojawiły się te niepokojące pytania: Gdzie jest granica? Gdzie kończą się te szczebelki na jakubowej drabinie? Czy na pewno u Boga? Co jeszcze musi zrobić, by do Niego dotrzeć? I co będzie dalej?

Z biegiem lat beztrudnie do niedawna życie biznesmena zmieniało się. Świat się zmieniał. Było tysiące wytłumaczeń jego nowych radości i smutków. A jednak pytania o sens całego tego bytu pojawiały się częściej.

Mały, słaby punkcik na mapie Wszechświata. Ale chce być jego centrum. Nawet najślabsza część materii jest dla niej ważna. A może nawet najważniejsza. W końcu wszystkie porażki wynikają z uderzenia w słaby punkt.

Od kiedy dziesięć lat temu przebył stan przedzawałowy, pytania pojawiały się częściej. I już nie tak łatwo było zastąpić odpowiedzi kolejnymi spotkaniami. Już nie tak łatwo było odpowiedzieć:

Panie Boże, nie mam dziś czasu, żeby się nad tym zastanowić. Może jutro. Z drugiej strony, czy cokolwiek musiał jeszcze udowadniać? Pierwsze kroki w biznesie zaczynał jeszcze w latach osiemdziesiątych. Podobnie jak Kulczyk, Solorz, Wejchert czy Krauze potrafił się odnaleźć w niełatwej rzeczywistości lat 80. XX wieku, w których upadająca komuna nie była już w stanie jasno precyzować swojej ideologii i ram prawnych, a co mądrzejsi przedstawiciele reżimu szukali okazji do ewakuacji z tonącego okrętu.

To były dzikie czasy. A może właśnie znacznie prostsze niż obecne? Łatwo można było zbić fortunę i to zupełnie nie ryzykując. Można też było ją szybko stracić, jeśli nie miało się odpowiedniego nastawienia. Cech lisa i tygrysa.

Przebiegłość i siła. W odpowiednich proporcjach. Dzielone i łączone. Wstrząśnięte, nie mieszane.

Maciarz, co prawda, nie miał tak łatwo w początkach biznesowej kariery jak inni dzisiejszy notable. Niemal wszyscy mieli rodziny na zachodzie, pieniądze na start, pewnie też większość musiała iść na układ ze służbami specjalnymi lub bandziorami. Biznes Maciarza rósł od zera, nie wybijał się i nie rzucał w oczy, dzięki czemu smutni

panowie z blachami byłego SB czy wywiadu wojskowego pojawili się u niego dopiero, gdy on już miał swój pierwszy milion.

Był niezwykle dumny, gdy jednym z pierwszych zdań, jakie powiedział do niego zapijaczony esbek było:

- Jak pan się uchował przez tyle lat, żeśmy nic o panu nie wiedzieli?

Esbek nie żył od wielu lat. A szkoda, bo łebski był z niego facet. Drugi ze smutnych panów jeszcze do niedawna szefował siatce informacyjnej, jaką obaj stworzyli w przedsiębiorstwach Maciarza.

Wiedza to siła. Jeśli nie chcesz się obudzić z ręką w nocniku, powinieneś kontrolować samego siebie.

Potem przychodziły setki kolejnych przyjaciół. Polityków, policjantów, agentów, prawników, doradców, lobbystów. Porządni i świnię. Jedni chcieli tylko pojedynczą działkę, inni pracy, wstawiennictwa, dobrego słowa.

Dzielił się, dopóki nie przekraczali granicy.

A gdy przekraczali...

Maciarz rzucił okiem na tablicę pamiątkową na lewej ścianie jego gabinetu. Miała jakieś trzy metry wysokości i cztery i pół metra szerokości. Były tam zdjęcia z Billem Clintonem, Andrzejem Wajdą, Tomaszem Stańko, Robertem Redfordem, księciem Karolem oraz wieloma innymi znanymi osobistościami ze świata kultury, show-biznesu, polityki, w tym ze wszystkimi prezydentami i premierami Polski. Maciarz od lat hojnie obdarowywał cennych przyjaciół, stowarzyszenia i fundacje charytatywne, kościoły, kluby, instytucje kultury. W zamian oczekiwał tylko jednego: osobistego podziękowania od najwyższych władz. I je uzyskiwał.

Działalność dobroczynna to też świetny biznes. Dający przy okazji masę satysfakcji.

Zdjęcie z Papieżem wisiało najwyżej, mimo że Maciarz był

osobą niewierzącą. Ale spotkanie z Janem Pawłem go odmieniło, bo wyjątkowość tego człowieka była bliska boskości.

Jednak najczęściej zerkał na mało wyeksponowane zdjęcie z balu po posiedzeniu Polskiej Rady Biznesu. Na zdjęciu uśmiechnięte twarze biznesmenów z pierwszej ligi. I on - Zenon Maciarz, wreszcie dopuszczony do elitarnego grona najważniejszych osób w państwie. Pociągających za sznurki.

Co z tego, że zaczynał od produkcji konserw?

Kulczyk handlował samochodami, Solorz sprowadzał wartburgi i przewoził paczki z Niemiec, Krauze pierwsze kroki w biznesie stawiał w firmie handlującej skórą, Wejchert najpierw założył myjnię samochodową, a potem wyrabiał chipsy.

A teraz?

Telewizje, informatyka, biotechnologia. Tworzyli prawdziwe blue chipy.

Maciarz dobijał się do tego grona przez lata. Przebył długą drogę. Pełną upokorzeń i wyrzeczeń.

Rozdział 31

*I jeśli rodzą się potwory,
należy mniemać, iż są dziełem natury,
choć wyglądają inaczej niż człowiek.*
Paracelsus

Stańczyk miał wrażenie, że morderca wymyka mu się z rąk. Nic nie było proste. Nic już nie było oczywiste. Dowody zamiast uzupełniać się, zaprzeczały wszelkim możliwym wytłumaczeniom. Historia z tą dziewczyną jeszcze bardziej skomplikowała śledztwo, które zaczęło brnąć w jakąś fantasmagorię. Sądy nie lubią miraży, nie lubią zagmatwanych opowieści.

Może to jednak przypadek? Może to kolejny Kot? Albo zupełnie inny psychopata niosący kolejne przesłanie?

Doświadczenie nauczyło go, że nawet najbardziej nieprawdopodobnych teorii nie należy od razu lekceważyć.

Ludzie są nieprzewidywalni. Jak zwierzęta. I potwory. Przypomniawszy sobie sprawę Bogdana Arnolda, mordercy, który w latach 60. mordował kobiety w Katowicach. Ciało rąbał na kawałki i ukrywał w swoim mieszkaniu, zupełnie nie przejmując się smrodem, który w końcu sprowadził na niego zainteresowanie ludzi i milicji.

Albo Fantomas - milicjant, gwałcieciel i zabójca kobiet, któremu udawało się długo unikać pojmania dzięki milicyjnemu mundurowi.

No i Marchwicki, polski rekordzista.

Zamordował dwadzieścia kobiet. Jego sprawa była jednocześnie historią jednego z najciekawszych śledztw w dziejach kryminalistyki, do dziś pozostawiającego wątpliwości co do winy oskarżonego. Stańczyk kilkakrotnie czytał te akta i powstałe po nich zestawienia, biuletyny i swoiste milicyjne podręczniki kryminalistyczne. Sprawa

niemal jak gotowy scenariusz filmowy. Krwawy i brutalny, z wieloma zwrotami akcji, wieloletnim śledztwem, ale też do dziś niewyjaśnionymi wątpliwościami i zdarzeniami na pograniczu horroru, fantastyki i mistycyzmu. Jedna z teorii głosiła, że Marchwicki został niewinnie skazany, a prawdziwym mordercą był ktoś inny. Pod koniec śledztwa podejrzewano w końcu niejakiego Piotra Olszowego, który wypuszczony z braku dowodów zamordował potem dzieci młotkiem, żonę nożem, a potem wszystkich podpalił we własnym domu.

I jeszcze ten Knychala, który chodził na procesy Marchwickiego i tak się nimi zainspirował, że aż zabił kobiet. Ileż zła w jednym miejscu? I w podobnym czasie.

Czy ktoś by uwierzył wtedy w taki nieprawdopodobnie okrutny, brutalny i niesamowity ciąg zdarzeń? A jednak życie samo napisało nieprawdopodobny scenariusz.

W Polsce w XX wieku prowadzono kilkadziesiąt śledztw dotyczących seryjnych zabójców. 21 osób zostało skazanych za morderstwa seryjne.

Klasyczne, nie związane z porachunkami mafijnymi czy tragediami rodzinnymi. A mimo to w policji panowało przekonanie, że zabójstwa seryjne (podobnie jak sprawy zabójców na zlecenie nie związanych z gangsterami) to mit. Śledczych, którzy poważnie traktowali takie możliwości uważano za mitomanów i podśmiewano się z nich. Nawet szef kryminalistyków policji ostatnio wypowiedział się w mediach, że seryjnych zabójstw praktycznie nie ma, a on nie zna ani jednego przypadku takiego śledztwa. Mało wiedział.

Tymczasem to nie były mity. Tych 21 skazanych na śmierć naprawdę istniało, żyło, zabijało. Okrutnie, jak Ted Bundy, Manson, nieuchwytny Zodiak czy Kuba Rozpruwacz. Owszem, lepiej było udawać, że ich nie ma, bo śledztwa trwały latami i nierzadko kończyły się klapą.

Karol Kot, zabił zaledwie dwie osoby. Ale gdyby go nie

złapano, gdyby był choć trochę ostrożniejszy, zapewne dokonałby jeszcze wielu morderstw. Przecież próbował zabijać na każdym kroku. Truł kolegów, podpałał, wsypywał truciznę do cukru w knajpie. Zmieniał też modus operandi*, co było niezwykle rzadkie w przypadku seryjnych zabójców i co pozwalało mu kilka lat zwodzić śledczych, którzy nie byli w stanie powiązać ze sobą morderstw i prób zabójstw.

Czy więc moja sprawa nie może być podobna? A jeśli...

Pomyśl przyszedł zupełnie niespodziewanie.

Wszedł do internetu i przez chwilę przygryzał wargę próbując przypomnieć sobie szczegóły historycznych przypadków.

Bianchi i Bruno w latach 70-tych zawiązali „spółkę” by mordować prostytutki i studentki. Jeszcze dalej poszli Sabato i Mortensen, którzy „wymieniali” się ofiarami.

Mordercy poznali się na jakimś zjeździe komiwojażerów, korespondowali ze sobą, by w końcu opracować strategię, w której jeden drugiemu wyszukiwał ofiary i zapewniał alibi. Mylili tropy policji przez wiele lat. Sabato zabijał osoby z otoczenia Mortensena, gdy ten miał świadków potwierdzających, że był w zupełnie innym miejscu. A Mortensen po jakimś czasie odwdzięczał się tym samym. Zabili po dwanaście osób. Policja pewnie nigdy by nie doszła do tego, gdyby nie odnaleziono listów, w których mordercy dzielili się wrażeniami. Jeśli dawniej przestępcy mogli odnaleźć się w wielkim świecie, to co dopiero teraz. Dziś wystarczyło założyć profil na jakimś forum frustratów czy pomyleńców, by odnaleźć inne schorowane lecz bratnie dusze. Trybuchowski i Ochnik mogli więc mieć alibi, ale czy to był wystarczający dowód ich niewinności? Czy jeśli jednak mieli współnika, Stańczyk będzie w stanie go namierzyć? Kim jesteś?

* *modus operandi (lac.) - sposób działania.*

Mężczyzna dotykał bielizny Eweliny Talar.

Zapach kobiety szybko go podniecił i musiał iść do łazienki. Wszedł po kilku minutach pozornie zaspokojony, jednak zmaltretowany psychicznie. Nie czuł spełnienia. Jego dusza była wypalona jak ziemia po wielkim pożarze.

Był niewolnikiem chorego umysłu. I własnych obsesji. Przetarł zaparowane okulary. Poczł smutek i strach. Wszedł do internetu i opisał swoje wrażenia. Wysłał e-maila do przyjaciela i ponownie poczuł podniecenie, czekając na wieści od bratniej duszy. Jednak przyjaciel nie odpowiadał.

Mężczyzna wszedł na kilka dobrze mu znanych stron, ale starał się nie przebywać na żadnej z nich zbyt długo. Od dłuższego czasu obawiał się, że ktoś może go namierzyć. Doniesienia o nalotach policji na przestępców internetowych pojawiały się coraz częściej. Nie potrafił jednak przestać.

Po skończeniu surfowania wyczyścił w komputerze wszystkie ciasteczka, tak żeby nikt nie mógł ruszyć jego tropem.

Wszedł pod prysznic i po raz trzeci tego dnia onanizował się.

Zimny początkowo zamierzał rzucić się na Holdnera i wycisnąć mu z gardła wyjaśnienie. Na szczęście biznesmen nie spodziewał się go i dziennikarz musiał czekać na spotkanie prawie godzinę. Obojętnym wzrokiem odprowadził trzech ludzi w garniturach wychodzących z gabinetu Niemca i bez zaproszenia ruszył do niego, ignorując nawoływania asystentki, że powinien poczekać.

Holdner odprawił sekretarkę i poprosił Zimnego, żeby ten usiadł.

- Nie zamierzam siadać. Zaraz wybieram się na policję, żeby złożyć zeznanie w sprawie pańskich poczynań, ale najpierw postanowiłem poprosić jednak pana o wyjaśnienia.

-O co chodzi? - zdziwienie Holdnera nie było zbyt naturalne.

Wie. Skurwysyn, wie. A więc Gruby nie pomylił się.

- Włamał się pan na konto Ochnik i przesłał do mnie materiały, którymi szantażowała Trybuchowskiego.

- Oczywiście - przyznał Holdner.

Zimny zdziwił się. Spodziewał się jakiegoś zaprzeczenia, czegokolwiek.

- Dlaczego?

- Dlaczego panu wysłałem te materiały czy dlaczego wysłałem je z konta Ochnik? A może dlaczego starałem się te materiały pozyskać i dlaczego nic panu o tym nie mówiłem?

- Cóż - spokój, z jakim Holdner zadawał pytania, nieco ochłodził zapędy dziennikarza. Może jednak warto posłuchać. - Chciałbym poznać odpowiedzi na wszystkie te pytania.

- Nie ma sprawy - rzucił Holdner. - Proszę więc usiąść. Nie rozmawiam z osobami, które stoją, gdy ja siedzę.

Zimny usiadł.

- Pani Ochnik zwróciła się do mnie, podobnie jak do pana i Trybuchow-skiego, z propozycją sprzedaży materiałów, które ukradła z firmy. Zażądała miliona dolarów i wysłała kilka próbek materiału starając się udowodnić, że ma on dla nas dużą wartość.

- Kupił je pan?

- Niestety, próbki okazały się niewystarczająco interesujące i miały znikomą wartość dowodową. Pani Ochnik znacząco przeszacowała ich cenę. Niemniej jednak sam materiał naprowadził nas na kilka ciekawych wątków, więc postanowiłem negocjować z panią Ochnik. Chciałem jej zapłacić, ale nie tak ogromną kwotę. Niestety jak pan wie, pani Ochnik została zamordowana.

- Nie przez pana?

- Mogę panu zaręczyć, że nigdy nie widziałem pani Ochnik, a jej śmierć byłaby ostatnią rzeczą, której bym chciał.

- Może chciał pan rzucić podejrzenie na pańskiego wroga,

Trybuchowskiego?

- I ryzykowałbym zamieszanie w zabójstwo ratując się przed aferą finansową? Myli pan priorytety.

Zimny stwierdził, że tamten ma rację.

- Więc co pan zrobił?

- Po zabójstwie zrobiłem wszystko, żeby odnaleźć te materiały i wynająłem hakera. Bez trudu włamał się on na konto Ochnik i udostępnił mi dane. Ochnik z panem korespondowała z Wanadoo. Ze mną wymieniała e-maile poprzez Wirtualną Polskę. Na tym konczie były też skany materiałów, które chciała sprzedać. Haker znalazł listę jej haseł i loginów oraz używanych adresów. Postanowiłem to wykorzystać, żeby zatrzeć ślady. W każdym bądź razie tak, jak się spodziewałem, wartość dowodowa materiału była znikoma, jednak pozwoliła na naprowadzenie na pewne wątki sprawy.

- Dlaczego jednak pan mi to wysłał?

- Pomyślałem, że może będzie się pan chciał zapoznać z tym materiałem. Może znajdzie pan coś więcej niż my. No i pan znalazł. Po nitce do kłębka.

- Mógł pan to mi przekazać osobiście. Po co ten cyrk?

- Przekazujemy panu tylko oficjalne dokumenty i ustalenia. Nie łamiemy prawa. Nie mogłem przekazać panu tych dokumentów oficjalnie.

- Jednak pan przyznaje, że je przekazał?

- Jak pan się dowiedział, że to ja? - odparł pytaniem Holdner.

- Też wynająłem hakera. On znalazł osobę, która logowała się na konto Ochnik z kawiarenki internetowej.

Holdner uśmiechnął się.

- No właśnie. Skoro z kawiarenki, to jak mógł mnie namierzyć.

- Bo ta sama osoba, która logowała się na konczie Ochnik, zaraz potem wchodziła też na inne serwisy, w tym zalogowała

się na firmowym koncie Andreasa Holdnera. Trudno o taki przypadek.

- No tak, muszę pamiętać, żeby nie popełniać takich głupstw. Mnie też mówiono, że anonimowość w sieci jest złudna.

-A więc pan potwierdza.

- Nie - Holdner uśmiechnął się. - Przekazuję panu jedną z możliwych wersji wyjaśnienia. Niczego nie potwierdzając, nie autoryzując. Proszę ocenić jej prawdziwość i wyciągnąć wnioski. Oficjalnie mogę panu powiedzieć, że nie znam pani Ochnik i nigdy nie miałem z nią niczego wspólnego. Poza tym, że ta pani próbowała wyłudzić ode mnie pieniądze w zamian za bez -wartościowy materiał dokumentacyjny z firmy KDI.

Zimny westchnął.

Wierzył mu. Nie miał powodów, by nie wierzyć. A może tak było łatwiej.

Koniec części III

CZEŚĆ CZWARTA WOJNA

Rozdział 32

*Uderzaj, gdy (wróg) nie jest przygotowany;
zjawiaj się tam, gdzie się tego nie spodziewa.*

Sun Tzu, Sztuka Wojny

Machina ruszyła. Wydawnictwo Insider zostało zarejestrowane przez Sąd Okręgowy w Warszawie w piątek. Zimny tego samego dnia zdjął zabezpieczenia hasłowe ze strony internetowej i uruchomił serwisy z przeglądami prasy i najnowszych informacji zbieranymi od prawie miesiąca. Dzięki temu serwis szybko zapełnił się treścią i nie raził amatorszczyzną.

- Wygląda tak, jakbyśmy wystartowali dawno temu - powiedział na popołudniowym spotkaniu zespołu w news roomie.

Mimo skromnych możliwości i ograniczeń miejsca pracy, udało im się zorganizować redakcję sprawnie i całkiem schludnie. W jednym z pokoi zestawili ze sobą biurka tak, by tworzyły jeden wielki stół, na którym komputery ułożono w okręgu. Dzięki temu mogli wymieniać się informacjami na bieżąco i konfrontować opinie.

Podzielili się równo dyżurami, obserwując depesze z serwisów agencji, systemu Emitent, serwisy gazet i telewizji oraz inne portale.

- Głupio pracuje się „na sucho” - powiedziała jedna z dziewczyn. Zimny pokiwał głową. Świadomość, że nikt - poza paru wtajemniczonymi przyjaciółmi - nie przeczyta ich gazety przez najbliższe dni, nie działała motywująco. Co

prawda, wszystkie nowe gazety startując potrafiły miesiącami wydawać tzw. numery zerowe, które w ograniczonym nakładzie trafiały do grupy sondażowej, jednak... to było co innego. Można było egzemplarz takiego numeru wziąć na pamiątkę, poza tym był jednak oceniany przez grupę czytelników.

Tutaj informacje żyły kilka godzin i czasem znikwały w sieci nie czytane przez nikogo. Jednak trzeba było tak działać, licząc na to, że Google zacznie indeksować ich strony zaraz po oficjalnym starcie.

Zimny otworzył folder KNF i przez następne parę godzin starał się wyłapać błędy, nieścisłości czy braki przecinków. Wszystko wydawało się dopięte na ostatni guzik. Przygotowali bazę adresową prawie 3 tys. adresów e-mailowych do wysyłki, specjalny komunikat prasowy dla mediów, zaproszenia do nawiązania współpracy, ewentualne gotowe wypowiedzi.

Pierwszy ważny tekst śledczy Insidera ukaże się w poniedziałek, wtedy gazety dowiedzą się o wejściu na rynek nowego gracza. Małego, ale ambitnego. W środę w całej Polsce pokażą się billboardy, za które Zimny zapłacił zadziwiająco mało. Jak wszystko dobrze pójdzie, w ciągu tygodnia gazeta będzie miała pierwszych kilka tysięcy czytelników.

Ostatni raz prześledził wzrokiem tekst głównego materiału. Cóż, zaczynamy.

I włączył opcję „publikuj” w aplikacji CMS odpowiedzialnej za zarządzanie treścią portalu. Insider rozpoczął działalność. Z tradycyjnym gazetowym logo, surowym layoutem i czarno-białymi zdjęciami kontrastował wesoły akcent: dostawiany do komentarzy i podpisów autorów - żółto-czerwony znaczek przedstawiający znak drogowy z przekreślonym na czerwono bananem i czarnym napisem:

STOP BANANA REPUBLIC!

W niedzielę rano obudził go telefon od kumpla z Newsweeka.

- Cześć. Rodziewicz reklamuje was na Twitterze.

Eryk Rodziewicz był znanym specjalistą od marketingu politycznego i zwolennikiem Twittera i innych portali mikroblogowych, wrzucających do sieci krótkie informacje.

- Nie dałeś mu cynku?

- Skąd. Milczałem jak grób.

- Zawsze ktoś się musi wysypać - westchnął Zimny.

Ale w rzeczywistości wcale nie był zły. Taka szeptana reklama czasem może być bardziej znacząca niż billboardy.

Zaczęło się!

Dyrektor operacyjny wydawnictwa Springer podczas niedzielnej sjesty przez przypadek uruchomił netbooka i z zainteresowaniem otworzył link przesłany mu przez Rodziewicza. Przetarł oczy ze zdumienia.

„ W poniedziałek startuje nowy tytuł. Ma to być dziennik ogólnotematyczny z mocnym nastawieniem na ekonomię. W pierwszym numerze podobno bomba, która zmiecie jednego z ważniejszych polityków. ”

Co jest, kurwa?

Wybrał numer do swojego przyjaciela z konkurencyjnego wydawnictwa. Mimo konkurencji dobrze się znali i w trudnych chwilach potrafili się wspierać czy pomagać.

- Witam ulubionego naczelnego. Słyszałeś o jakimś nowym dzienniku? - zapytał.

- Właśnie dostałem linka z Twittera i kilka sms -ów - przyznał.

- Co o tym sądzisz?

- To niemożliwe. Coś bym wiedział.

- Zgoda, nie da się wydać gazety w takiej tajemnicy.

Tego dnia wielu wydawców polskich gazet toczyło podobną

dyskusję. Żaden nie pomyślał, że nowa gazeta może ukazać się wyłącznie w internecie. Dopiero wieczorem Rodziewicz odkrył tajemnicę. To ich uspokoiło.

Lekceważyli nowe media. Wyłącznie internetowa gazeta nie mogła przecież nikomu zagrozić. Dopiero kilka miesięcy później mieli zacząć zastanawiać się, czy nowe media nie przyczyniają się jednak do znaczącego spadku sprzedaży tradycyjnych tytułów. A być może do ich końca.

Tajemnicze transakcje Sławomira Klasyka

Szef KNF przez lata ukrywał w jaki sposób dorobił się majątku. Dziś, kierując centralną instytucją nadzorczą, chroni interesy swoich byłych biznesowych partnerów, za co otrzymuje intratne oferty zakupu akcji na giełdzie. Przez te transakcje nie tylko łamie zasady etyczne, ale też przepisy prawa. Dodatkowo Insider natrafił na sensacyjne materiały z kontroli i rewiencji świadczące o zamykaniu problemów pod dywan, braku nadzoru nad rynkiem kapitałowym, fałszowaniu danych i lekceważeniu zażaleń kontrolnych własnych ekspertów. Prawdziwa stajnia Augiasza.

W poniedziałek rano Łukasz Rostowski, prezes Krakowskiego Domu Inwestycyjnego o mało nie upuścił filiżanki z kawą patrząc na monitor komputera. Czytał nie wierząc własnym oczom. Wieści o powstaniu Insidera i pierwszym artykule tego internetowego piśmka rozeszły się błyskawicznie po sieci. Niemal na wszystkich forach internetowych dotyczących giełdy i KDI internauci umieszczali przedruki. Jak mogliśmy tak to zlekceważyć?

W tej samej chwili Karol Trybuchowski w swojej podkrakowskiej willi był nieco spokojniejszy. A może sprawiał tylko takie pozory przed kochanką, która właśnie zbierała się do wyjścia. Wyłączył dźwięk w telefonie zaraz po tym, jak dostał na komórkę sms z informacją o tekście Zimnego w jakimś nowym piśmie. Uśmiechał się sztucznie,

dopóki mercedes dziewczyny nie zjechał z podjazdu na drogę w kierunku Zakopanego. Potem przejrzał listę numerów, które próbowały się z nim skontaktować. Łukasz, TVP, Rzeczpospolita, GPW, nieznany, Express, Parkiet.

Wszyscy chcecie wyjaśnień? Ja też bym chciał.

O dziwo nie dzwonił nikt od Maciarza. Karol westchnął głęboko i wybrał numer Łukasza.

- Wiem, że nie chcesz mnie słuchać - zaczął ostrożnie. - Ja też nie mam specjalnie nic do powiedzenia na swoją obronę. Wszyscy na tym korzystaliśmy.

- Do czasu - głos Łukasza wydawał się spokojny. - Zlekceważyliśmy sytuację. Ty ją zlekceważyłeś.

- Przyznaję, to moja wina.

- Teraz bardziej trzeba się zastanowić, jak to posprzątać?

- Już dzwoniłem do chłopaków z PR Crisis i C&C. -I co?

- Mówią, że da się to opanować. Na razie wszyscy zastanawiają się, o co w tym chodzi, gdzie jest drugie dno? Teraz jest najlepszy czas na działanie. Można znacząco ograniczyć skutki. No i są wakacje, więc siła rażenia jest ograniczona.

- Może wykorzystać też kontakty Maciarza?

- Żartujesz? Musimy sami pokazać, że mamy jaja. Może wcale nie pomóc, a i tak będzie potem mówił, że nas uratował i mamy u niego dług. Damy radę. PR Crisis i nasi ludzie też mają spore doświadczenie. Postaramy się, żeby to się nie rozlało.

- Trzeba by się też zastanowić, co zrobić, by zatkać dziurę, z której wylewa się ten syf. Ten kutas zapowiada, że to dopiero początek dziennikar -skiego śledztwa i że ma w zanadru kilka newsów. Nie możemy dopuścić, żeby kontynuował ten temat.

- Co proponujesz?

Pytanie zawisło w próżni. Obaj zdawali sobie sprawę, że to nie jest rozmowa na telefon.

Rozdział 33

Tylko umarli widzieli koniec wojny.

Platon

Z niedzieli na poniedziałek Zimny prawie nie spał. Bał się, że gdzieś popełnił błąd, że czegoś nie dopilnował, że z powodu jakiejś głupiej wpadki wielomiesięczna praca pójdzie na marne. Bał się, że zawiedzie pracowników, przyjaciół, ludzi, którzy mu zaufali.

A jeśli coś nie wypali? Jeśli padnie serwer, nie wytrzyma obciążenia i nikt nie będzie mógł przeczytać tekstu?

- Jesteśmy przygotowani na kilka tysięcy wejść na godzinę, może na kilkanaście. Ale jeśli za bardzo się rozniesie, jeśli pójdzie to w telewizji, jeśli ktoś mocno to wypromuje na Wykopie, to trudno powiedzieć - mówił administrator strony. - W razie czego będziemy przechodzili na serwer zapasowy, podzielimy ruch, ale to niewiele da.

Tak naprawdę, kluczowe było czy ktoś podchwyci lub przedrukuje temat, czy inne media zdecydują się go pociągnąć. Czy trafi do telewizji, choćby na biały pasek w TVN, TVP3 czy Polsat News? Zimnemu wydawało się nieprawdopodobne, żeby można było to wyciszyć, zignorować, ale kto wie. Widział już wiele rzeczy.

W poniedziałek rano odetchnął.

Express Finansowy powiesił fragment jego tekstu na stronie internetowej, a materiał błyskawicznie zaczął zyskiwać przychylne komentarze internautów. Po godzinie zadzwonił do niego kumpel z administracji serwisów biznesowych Bernstein Business.

- Coś ty za aferę wymyślił? Mamy lawinę wejść na twój artykuł. Przez godzinę pobiłeś już rekord tygodnia, szacujemy że w ciągu następnej godziny będziesz miał najpopularniejszy tekst roku. Hicior.

To działało jak domino. Media wzajemnie się cytowały, miały automatyczne systemy pobierania treści z konkurencji, więc do południa prawie na wszystkich portalach pojawiła się informacja o tekście Zimnego. Dodatkowo strzałem w dziesiątkę okazał się znaczek przekreślonego banana, który internauci zaczęli wklejać do różnych komentarzy i o którym żywo dyskutowali.

Wyglądało na to, że osiągnął cel, że jego najważniejszy temat, temat życia wywoła dyskusję i reakcje ekspertów, innych mediów, a potem decydentów z rządu.

Tymczasem koło południa nieoczekiwanie informacja o Insiderze zaczęła znikać.

Zimny z przerażeniem stwierdził, że temat umiera równie szybko jak tek-ściki o nowych majtkach Dody. Po prostu kolejno znikał z poszczególnych serwisów. Na domiar złego, gdy próbował wejść w teksty podlinkowane przez Google, pojawiał się komunikat, że przeglądarka nie może ustalić adresu serwera.

Znów ktoś działa. I to skutecznie.

Tekst na portalu Expressu także został przerzucony na mniej widoczną pozycję, żeby nie rzucał się w oczy. Dodatkowo zablokowano możliwość komentowania materiału. To już nie mógł być przypadek.

Co to ma znaczyć?

- Była jakaś interwencja z góry. Podobno zagrożono nam procesem - wyjaśnił administrator, gdy do niego zadzwonił.

W jego głosie było słycać zażenowanie. Wolał nie rozmawiać z przyjacielem w ten sposób. Udając, że nic się nie stało.

- Jak było z oglądalnością?

- Rewelacyjnie - wyznał przyjaciel. - Tylko co z tego? Tematu już nie ma. Zaraz zawiesimy informację, że nie odpowiadamy za treści zawarte w tym materiale, sugerując, że ma obniżoną wiarygodność.

- Jakim prawem? Przecież wiecie, że to wiarygodny materiał. Oparty na faktach i całkowicie udokumentowany. Tam nie ma nawet słowa, na którego poparcie nie miałbym dowodu.

- Pytaj naszych prawników? Sorry.

Zimny nie mógł dodzwonić się do żadnego z naczelnych czy szefów działów.

No tak. Udajecie, że jestem z Marsa.

Do wieczora o tekście prawie nikt nie pamiętał. Nie powtórzyła go telewizja. Nikt nie skomentował materiału. Na portalu Gazety Wyborczej pojawiła się tylko krótka notka, że KNF nie zamierza komentować zarzutów byłego dziennikarza Expressu Finansowego stawianych Sławomirowi Klasykowi.

- Nadzór musi być odporny na wszelkie próby nacisku - twierdził rzecznik, a gazeta nawet nie dopytywała, co to za brednie, o jakie próby nacisku chodzi; nie prosiła o odniesienie się do faktów.

Wolność słowa w nowych realiach.

Pozostało liczyć na billboardy. I robić swoje.

Już po paru godzinach od otrzymania zlecenia, zabójca wysiadł z pociągu relacji Wiedeń Südbahnhof - Kraków Główny. Na dworcu w Krakowie kupił wszystkie polskie gazety codzienne, potem zjadł tortillę na ostro i wypił Lavazzę w knajpce na antresoli niedawno postawionego centrum handlowego przylegającego do dworca. Kiedyś dworzec w Krakowie miał swój klimat. A teraz? Szkoda gadać.

Następnie udał się do jednego z hoteli blisko Starówki i zameldował się, używając niemieckiego paszportu na nazwisko Dominik Kruger. Recepcjonista z uśmiechem wpisywał dane wymieniając uprzejmości z gościem, który znakomicie mówił po polsku. Dominik Kruger nie wyjawiał, że urodził się w tym pięknym kraju i tak naprawdę uważał go za swoją ojczyznę. Mimo że potraktowano go tak podle po 1989.

Do późnego popołudnia spacerował po Sukiennicach, Kazimierzu, następnie poszedł nad Wisłę obchodząc majestatycznie górujący nad starym miastem Wawel. Rzeka budziła w nim wiele przyjemnych wspomnień. Ileż to razy przechadzał się tymi nadwiślańskimi alejami. Dawno temu.

Dlaczego to wszystko tak się potoczyło?

Jak każdy człowiek, w chwilach refleksji dostrzegał głównie stracone, a nie wykorzystane szanse.

Wieczorem skorzystał z hotelowej kawiarenki internetowej. Prawie dwie godziny surfował po sieci w poszukiwaniu informacji o Jakubie Zimnym, byłym dziennikarzu Expressu Finansowego, który w jakiś sposób zalał za skórę jego zleceniodawcy. Pośrednik, który wynajął zabójcę, nie wyjawiał powodów, dla których Zimny powinien zniknąć z tego świata. Już po kilku minutach surfowania w sieci Dominik Kruger nie miał żadnych wątpliwo - ści, o co chodzi. W poniedziałek Zimny opublikował artykuł o aferze gospo - darczej związanej z polskim urzędem nadzoru nad rynkiem kapitałowym i domem maklerskim. Tego samego dnia do Krugera zadzwonił pośrednik i poinformował o pilnym zleceniu. Nie trudno było połączyć te dwa fakty. Z drugiej strony...

Kruger przeczytał artykuł na stronie Insidera i nie znalazł w nim stwierdzeń, za które trafia się do piachu, chyba że w Rosji. Więc zleceniodawcy obawiali się czegoś innego. Dalszego ciągu? Zimny zapowiadał kolejne artykuły. Stąd pośpiech.

Hmm, KDI? Czy to oni są zleceniodawcą?

Kruger nie musiał wpisywać w Google nazwy Krakowskiego Domu Inwestycyjnego. Kilka lat temu sporo się o nich nasłuchał od jednego ze starych znajomych, którego spotkał w Wiedniu.

- Jak będziesz chciał wejść ze swoim „przedsiębiorstwem” na giełdę, to koniecznie musisz skorzystać z ich usług - śmiał się

znajomy.

- Mają w kieszeni połowę tego bananowego rynku kapitałowego. Prawników, maklerów, zarządzających i nadzorców. Oferują też dodatkowe atrakcje. Przy ich ofertach dziwki na imprezy dostarcza najlepszy alfons w Warszawie.

Dla porządku wpisał jednak nazwę w wyszukiwarce i przejrzał pobieżnie kilka pierwszych artykułów. Nic szczególnego.

Wrócił do przeszukiwania zasobów w kierunku Zimnego i jego najnowszego dzieła i ze zdziwieniem zauważył, że przedruki tekstu w innych mediach są niedostępne. Linki były albo nieaktywne albo po wejściu na stronę pojawiał się biały ekran.. Ciekawe.

Kruger uśmiechnął się pod nosem. Tak walczyliście o tę demokrację, tak pisaliście w pisemkach podziemnych, a teraz sami stosujecie autocenzurę, ulegacie prawnikom i piarowcom, macie w dupie wolność słowa. Kasa. Tylko to się liczy.

Kruger przez chwilę obmyślał plan działania. Życzenie klienta przekazane przez pośrednika było jasne. Żadnych sensacji, rozgłosu, spektakularnych akcji. Dziennikarz ma zginąć śmiercią naturalną, najlepiej na grypę. Mile widziany zawał serca, udar czy wylew do mózgu. Jeśli wypadek, to bez żadnych fajerwerków.

Wrócił do hotelu, wyspał się i rano wsiał w pociąg InterCity do Warszawy.

- Proponuję, żebyśmy wdrożyli jednocześnie trzy projekty. Powinniśmy jak najszybciej wystosować żądanie sprostowań zmuszając redakcję tego ku-rewskiego Insidera do podjęcia dyskusji. W drugiej kolejności należy przygotować odpowiedzi na ich artykuł nie zapominając o najważniejszym elemencie, czyli złożeniu pozwu sądowego z wnioskiem o zabezpieczenie powództwa, które uniemożliwi publikowanie

dalszych materiałów. Dokumenty są właściwie przygotowane, czekają na podpis...

Łukasz spojrzął na Karola. Ten przytaknął, choć jednocześnie napisał na kartce:

Skasują nas jak za zboże.

Siedzieli w kancelarii prawnej Dominik, Kamyk, Strucel i wspólnicy, jednej z najbardziej znanych kancelarii specjalizujących się w sprawach o zniesławienie i prawie prasowym. Reprezentowali już wielu biznesmenów i polityków. Stał cena.

- Trzeba działać szybko - powiedział Łukasz. - Kiedy uzyskamy zabezpieczenie powództwa?

- Cóż - prawnik zawahał się. - W najlepszym razie w ciągu miesiąca, realnie jednak musimy poczekać jakieś osiem tygodni.

- To za długo - rzucił krótko Karol.

- Może przestraszą się pism i sami zrezygnują.

- Nie ma takiej możliwości - zaprzeczył Karol. - Rozpoczęli wojnę, nie liczymy na to, że się przestraszą.

- Jeśli zignorują nasze działania, jest duża szansa na wygraną w sądzie.

- Nam nie zależy na wygranej w sądzie, tylko na zablokowaniu dalszych materiałów - przypomniał Trybuchowski.

- Rozpowszechniania tych kalumnii i kłamstw - dodał Łukasz.

- To zrozumiałe - prawnik wytarł czoło chustką. - Czy mam rozumieć, że akceptujecie warunki?

- Oczywiście.

Po wyjściu z kancelarii Rostowski nie był zachwycony.

- Raczej nie uda nam się tego opanować - powiedział.

- Nie martw się na zapas, poczekajmy na rozwój wypadków - uspokajał Karol.

Rozstali się na parkingu. Łukasz miał zamiar pojechać do

biura. Karol stwierdził, że musi załatwić coś na mieście. Pojechał jednak do firmy żony. Wobec nadchodzącego kryzysu powinien poprawić z nią stosunki. Został jednak uprzedzony i zaskoczony.

Ostatnią osobą, którą spodziewał się zastać u małżonki, był Olgierd Stańczyk.

Olgierd lubił patrzeć swoim rozmówcom w oczy, ale trudno było mu utrzymać spojrzenie w konfrontacji z pięknymi kobietami. A żona Karola Trybuchowskiego, Natalia Soszyńska, należała do najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widział.

Dlaczego, u licha, on ją zdradza?

- Pewnie pan się zastanawia, dlaczego noszę inne nazwisko niż mąż? Stańczyk z trudem przełknął ślinę.

-I jeszcze nad kilkoma innymi rzeczami. Więc? Dlaczego nosi pani inne nazwisko?

- Jestem niezależna i prowadzę własne życie? - bardziej zapytała niż stwierdziła Natalia. - Nie, prawda jest taka, że dzięki temu mogę ukrywać przekręty mojego męża.

- Słucham? - Stańczyk osłupiał. Spodziewał się, że to będzie rozmowa do odbębnienia do protokołu. A tu zaskoczenie.

Nie warto rozdrażniać małżonek.

- Moja firma przez lata służyła mojemu mężowi do opłacania przychylności różnych ludzi i wyciągania dodatkowych pieniędzy od klientów na prywatny rachunek. Łatwiej było to robić i ukrywać, gdy tą firmą kierowała osoba o nazwisku Soszyńska a nie Trybuchowska - powiedziała bez zająknięcia.

Stańczyk wciąż nie był pewien, czy to nie jakiś żart.

- Dlaczego mi pani to mówi?

- Prowadzi pan śledztwo w sprawie morderstwa, prawda? Więc nie powinnam kłamać, wszystko może mieć znaczenie - uśmiechnęła się.

- I tak by pan się dowiedział, jeśli by pana to interesowało.

Przekręty mojego męża są tajemnicą poliszyneła, podobnie jak jego liczne miłostki. I tak nie zrobi pan z tego użytku.

- Może jednak?

Soszyńska roześmiała się nieco zbyt wulgarnie. Nie pasowało to do jej urody. Stańczyk przez chwilę pomyślał, że ta kobieta ma na sobie maskę, a pod nią chowa się jadowita żmija. Ale zaraz zrozumiał swój błąd.

- Może? Jak pan spróbuje kiwnąć palcem w tej sprawie, to do niedzieli będzie już na emeryturze. Wie pan, ile pana szef przeprowadził u nas szkoleń i ile na nich zarobił. Nie wspominając już o rachunku, jaki ma w biurze mojego męża. Nie tylko on zresztą. Musiałam zorganizować całą sesję szkoleń, żeby opłacić większość dyrektorów z Komendy Głównej. Psa z kulawą nogą to interesowało, ale zarobek był niezły. Pan nie szkolił?

- Nie - mruknął Stańczyk. Kobieta mówiła prawdę. Gówno mógł zrobić z tą wiedzą, a ona mogła się z niego nabijać i miała rację. Kto był gorszy: ona, że tkwiła w tym układzie, czy on, który musiał teraz udawać, że to nic takiego wobec morderstwa.

-A szkoda. Może coś dla pana zorganizuję? Mały kurs z BHP za piętnaście tysięcy za godzinę? Co pan na to? - napiła się wody ze szklanki i z powagą podsumowała - Tak więc mój mąż zorganizował świetnie prosperujący biznes szkoleniowy, który pozwolił mu na upieczenie przy jednym ogniu dwóch pieczeni: pieniędzy klientów i przychylności urzędników. Żona o innym nazwisku była w tym pomocna. Co jeszcze chciałby pan wiedzieć?

- Dlaczego pani akceptuje jego zdrady?

-A mam wyjście? To jego życie. Myślę, że lepiej jakby pan z nim o tym porozmawiał. Mnie ten temat już nie interesuje.

Rozumiem - pomyślał Stańczyk. - Pewnie ty też masz swoje życie w tej materii. Stańczyk wyjął zdjęcie syna Barbary Ochnik.

- Zna go pani?

Soszyńska przyglądała się przez chwilę.

- Ładny. I ma mądre oczy. Zapamiętałabym.

- Więc nie?

- Pierwszy raz go widzę.

- To syn byłej księgowej KDI.

- Ach taaak. Basię znam. To znaczy znałam, ale jej chłopaka nie poznałam.

- Wie pani, że pani mąż się z nim... spotykał.

Soszyńska trawiła przez chwilę informację. A potem ponownie wulgarnie się roześmiała.

- Chyba pan nie myśli... Mój mąż nie jest... On zdecydowanie jest hetero.

- Więc nie ma pani pomysłu, dlaczego się spotykali? Zanim Soszyńska odpowiedziała, zadzwonił telefon na jej biurku. Kobieta przez krótką chwilę słuchała, po czym odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się do Stańczyka.

- O wilku mowa. Sam pan będzie mógł go zapytać.

Jestem Bogiem. Jednak to możliwe. Możliwa jest zbrodnia doskonała. Możliwe jest zarówno dawanie jak i odbieranie życia. Życie ludzkie to walka. Eliminacja słabszych jest konieczna. Na niej opiera się świat. Siła i łańcuch pokarmowy. I rozum, ale także jako siła. Lekarze to zło. Odbierają naturze prawo do decydowania o tym, kto ma przekazać dalej swoje geny, a kto powinien zaparkować na cmentarzu cywilizacyjnych śmieci. Mordercy naprawiają świat.

Morderca przeczytał jeszcze raz swoje wypociny. Tworzył je nocami z wielką pasją. Po czym bez żalu kasował. Zabijanie wychodziło mu znacznie lepiej.

Rozdział 34

Człowiek nie jest nigdy zły dobrowolnie.

Sokrates

W środę Zimny opublikował kolejny artykuł, tym razem skupiając się na kwestii kontrowersyjnych szkoleń i łamania regulaminów wewnętrznych przez urzędników nadzoru finansowego, za które nie tylko nie ponieśli konsekwencji, ale wręcz byli wynagradzani. Materiał porażał ilością szczegółów i dokumentacji, która jednoznacznie pozwalała ocenić zdarzenia. Insider zapowiadał też następne materiały oraz pracował nad tekstami na innych polach. Już w pierwszym tygodniu działalności udało im się zamieścić kilka ciekawych materiałów newsowych.

Zimny jednak tak naprawdę myślał zupełnie o czymś innym.

Początkowo to, co powiedziała mu Ewelina, zostało gdzieś z boku. Uznał, że nie ma specjalnego znaczenia dla już przygotowanych materiałów, więc należy się za to zabrać potem. Przemknęło mu przez myśl, że Ewelina powiedziała to tylko po to, żeby go skłonić do wycofania się ze sprawy lub chociaż do wstrzymania się do momentu bardziej zdecydowanych działań prokuratury. Jednak ufał jej. Nie kłamała. Nie wykorzystałaby sytuacji. Tym bardziej należało mieć się na baczności.

Ale czy to możliwe, żeby KDI było zamieszane w pranie pieniędzy na wielką skalę, transakcje z ludźmi mafii, wspieranie zorganizowanej przestępczości? Prokurator nie ujawniła wielu szczegółów, mówiła ogólnikowo, ale wiarygodnie. To już nie był tylko jeden przekupiony minister i kilku urzędników, to już nie były problemy finansowe i prawne jednej giełdowej spółki, ale prawdziwa mafia. I to z mackami w instytucji nadzorczej.

Takie tematy są najtrudniejsze, mogą cię zniszczyć zawodowo, wypalić, wyrzucić poza nawias. Dlatego czasem lepiej je omijać. Szczególnie, gdy szanse na publikację czy rzeczywiste nagłośnienie i obronę też tematu są znikome. Zimny już raz przeżył podobną sytuację.

Trzy lata temu natrafił na niezwykle ciekawą sprawę oszukanego przed -siębiorecy z branży spożywczej, który chciał wejść na giełdę. Specjalizował się w produkcji związanej z indykami. Jaja, drób, przetwórstwo, ale też innowacyjne technologie, wykorzystywane do tworzenia stad zarodowych uznawanych za jedno z najlepszych w Europie. Spółka generowała spore przychody i zyski, a w radzie nadzorczej zasiadali sami profesorowie. Przedsiębiorca miał pasję i wiedzę. Sukces wydawał się murowany.

Gość poszedł do jednego z doradców od spraw kapitałowych. Ten jed -nak, zamiast przygotować mu memorandum inwestycyjne i rozpocząć przygotowania do wejścia na GPW, zaproponował wpuszczenie do spółki przed IPO paru zaprzyjaźnionych funduszy inwestycyjnych.

- Tworzą grupę, doprowadzą do sukcesu giełdowego i zapewnią dalsze wzrosty na GPW. Zarobisz kupę kasy, dostaniesz kapitał na rozwój, a leszcze będą cię kochali.

- Kim są leszcze?

- Zrobimy z ciebie miliardera, jak z Jurasika.

Zimny z dystansem słuchał teorii spiskowych, ale siedzący przed nim hodowca indyków nie wyglądał na intryganta, który mógłby wymyślić podobne zdanie. Jurasik był jednym z najbardziej znanych polskich inwestorów, na liście najbogatszych zajmował miejsce tuż za Karkosikiem. Podobnie jak i on doszedł do majątku przez niezwykle trafne inwestycje mimo pozornie znikomej wiedzy o rynku. Karkosik zanim został miliardерem prowadził bar z piwem. Jurasik zamiast jasnego pełnego rozlewał do butelek wino jabłkowe - miał wiejski sklepik z winami i papierosami. Dziś

obaj rządźili giełdą, inwestowali potężne pieniądze, przy każdym ruchu ciągnąc za sobą drobnicę, tak zwanych leszczy.

Karkosik dla inwestorów był jak wyrocznia. Zyskał ich szacunek i zaufanie. Jurasika wielu podejrzewało o to, że stoją za nim służby specjalne, albo jest tak zwanym słupem, za którym kryje się bliżej nieokreślona spółdziel - nia - grupa trzymająca giełdę złożona z potężnych i wpływowych ludzi. Zimny zdał sobie sprawę, że jeśli oszukany biznesmen mówi prawdę, to jest to pośredni dowód, a przynajmniej świadectwo na to, że zarządzający funduszami wspierali tę mityczną grupę.

- Naprawdę mówili o Jurasiku? - spytał więc.

- Nawet dali mi do niego telefon, żebym sam się przekonał, że we wszystkim można im zaufać. Mówili, że mają pod kontrolą wiele firm i wszystkie wzajemnie się wspierają.

Tak, z nami nie zginiesz. Ale kij ma dwa końce, jak będziesz się burzył, to będziesz miał przeciwko sobie nie tylko nas, ale i naszych przyjaciół. Okazało się, że prowincjusz nie zrozumiał ostrzeżenia. Przedsiębiorca miał niewielkie pojęcie o rynku kapitałowym, doradcach i giełdzie. Jak potem tłumaczył Zimmemu, myślał, że jak ktoś reprezentuje znany bank inwestycyjny i czołowe fundusze emerytalne i inwestycyjne to nie może być w tym przekrętu. Zgadzał się na wszystko. Wpuścił do spółki audytorów. Powołał na członka zarządu do spraw finansowych poleconego gościa, a na menedżera od specjalnych projektów kuzyna szefa największego zaangażowanego w sprawę funduszu.

- Niby wszystko było OK, aż do czasu, gdy zaczęli kręcić nosem, że moja spółka przynosi za małe zyski, żeby zainteresować nią giełdę na poważnie - mówił Zimmemu przedsiębiorca. - Jak ma się poniżej 10 milionów złotych zysku netto, nie ma co liczyć na poważne traktowanie. Odpierałem, że przecież ciągle inwestujemy, więc powinno się patrzeć w naszym przy - padku na wyniki operacyjne a nie

netto, ale oni swoje. Analityk widzi zysk netto i dalej ma klapki na oczach. Cóż było robić, zgodziłem się.

- Na co? - spytał Zimny.

- Przyprawdzili mi firmę, która miała podnieść krótkoterminowo moje wyniki, żeby to lepiej wyglądało w sprawozdaniach dla giełdy.

- Przecież to oszustwo, poszedł pan na to?

-A co miałem zrobić. Oni tłumaczyli, że tak wszyscy robią. Że cała giełda jest skorumpowana, że są poszczególne grupy, które się dzielą wpływami, zakładają spółdzielnie i wszyscy robią przekręty. Więc jak nie podreperujemy wyniku, to potraktują nas jak naiwniaków, a wręcz mogą się starać zniszczyć. W sumie uznałem, że to nie żadne oszustwo, bo mamy dobrą spółkę, tylko zadłużoną i mocno inwestującą, więc nie pokazującą prawdziwego oblicza. Wmawiałem sobie, że podreperuję tylko lekko wynik, żeby spółka wyglądała bardziej prawdziwie. Niepokoili mnie tylko nieco branża, w jakiej działała ta spółka, co ją miałem przejąć.

- Jaka to branża?

Przedsiębiorca mimowolnie ściszył głos.

- Paliwowa. Ta spółka sprowadzała z Rosji paliwa i handlowała nimi w Polsce. Robili zyski na zwołanie. Dwóch Ruskich i jeden Polak. Podobni do siebie, jakby z jednej matki byli. Ja się zgodziłem na przejęcie, ale pod warunkiem, że przejmę pełną kontrolę operacyjną. Poszli na to, a już miesiąc później zrobili mi numer w postaci fałszywej dostawy za prawie 20 milionów złotych i wyłudzenia VAT z tego. Co miałem zrobić? Poszedłem na policję i wszystko wypaplałem.

Przedsiębiorca nigdy na giełdę nie trafił.

Chłopaki z funduszy szybko musieli uciekać z tonącego okrętu, ale powstały w wyniku całej tej sprawy syf, był wręcz nieprawdopodobny, bo dotyczył wielu renomowanych firm - polskich spółek największych światowych grup finansowych. Dodatkowo koordynatorem akcji miało być

paru ustawionych politycznie menedżerów z prawnikiem, przyjacielem samego prezydenta na czele.

I cała ta śmietanka wmieszana w taką aferę.

- Spółka hodująca indyki nagle bierze się za paliwa z Rosji i to w czasie, gdy w Polsce huczy od afery paliwowej. Lewą spółkę poleca jeden z renomowanych funduszy emerytalnych, tworzący jakąś spółdzielnię z innymi funduszami i prawnikami kierowanymi przez przyjaciela prezydenta RP - gdy Zimny relacjonował to naczelnemu, ten przecierał oczy ze zdumienia.

To była bomba. Tym bardziej, że prowadziła do innych przekrętów w spółkach giełdowych. Temat życia?

Prawie. Bo ten miał się dopiero pojawić.

Zimny w trakcie analizy materiałów, został poproszony o spotkanie przez jednego ze starych informatorów. Człowiek wielu profesji: był attaché handlowym w Chinach, oficerem WSI, prezesem spółki giełdowej, przedstawicielstwa w Polsce tajwańskiego producenta elektroniki i prawdopodobnie wciąż aktywnym współpracownikiem wywiadu wojskowego.

Zaprosił Zimnego do niewielkiej willi gdzieś w pobliżu Puławskiej, gdzie mieściła się siedziba maleńkiej spółki z kapitałem szwajcarskim. Znali się od pięciu lat i wielokrotnie współpracowali, a dziennikarz darzył go zaufaniem.

Tamten bez wstępu przeszedł do rzeczy.

- Jak bardzo jesteś przywiązany do tego tematu? -W jakim sensie? - odparł pytaniem Zimny.

- Zapytam wprost, czy jesteś skłonny do dogadania się? Zimny milczał. Tysiące myśli krążyło mu po głowie. Człowiek w końcu

jest skłonny do kompromisów...

- Twój tekst może zboleć wielu moich przyjaciół. Ci przyjaciele mają innych przyjaciół. Jest niewygodny dla całego rynku. I dla kogo to robisz? Dla jakiegoś wiejskiego głupka, który nie umiał siedzieć cicho i poleciał na policję

przy pierwszym ryzyku biznesowym.

- To nie było ryzyko biznesowe. Wplątali go w działanie z mafią.

-A myślisz, że od kogo Orlen kupuje ropę? Albo kto nam sprowadza

gaz? Polski rząd robi więcej interesów z mafią niż wszyscy prywatyzatorzy razem wzięci.

- Zrobił, co do niego należy, zgłosił oszustwo na policję.

-A ta go wydymała. Wiesz, kto ma najcięższe zarzuty w tej sprawie?

- Wiem tyle tylko, że to on poszedł na policję i jest kryty. Sąd go uniewinni.

- To się jeszcze okaże. Nie wiesz, jak to działa. Mogę się założyć, że to moi przyjaciele wyjdą bez szwanku a twój biznesmen w gumiakach wylądował w gnojówce, gdzie jego miejsce.

- On uwierzył, że współpracuje z porządnymi funduszami, firmami zaufania publicznego.

- Naiwniak. Jesteś skłonny do dogadania się czy nie?

- Co proponujesz?

- Nie ja... moi przyjaciele.

- Więc?

- Jeden z nich ma zostać za miesiąc prezesem Grupy na cały region Europy Środkowej. Jak wiesz, to szwajcarski kapitał, potężne możliwości. Również wielki sukces biznesowy Polaka, którego powinniśmy wszyscy wspierać. Ale jak go wmieszasz w to gówno, to nie dostanie stanowiska. Ani żaden inny Polak.

- Sam się w to wmieszał. Ja mu nie pomagałem.

-I teraz sam się próbuje wymieszać.

- Ile proponuje? - zapytał Zimny bez ogródek.

Rozmówca popatrzył na niego przenikliwie. A potem uśmiechnął się, kręcąc przecząco głową.

- Nie. Taki głupi nikt tu nie jest. Nie chodzi o pieniądze. Ta

finansowa instytucja, której ma zostać szefem, utworzyła niedawno subfundusz lokacyjny z przeznaczeniem dla wsparcia wybitnych dziennikarzy w całej Europie. Finansuje szkolenia, wyjazdy, bilety lotnicze, może wesprzeć inwestycje, zakup nowego domu, samochodu. Przez całe życie może wspierać dziennikarzy. Ale tylko tych wybitnych...

-I grzecznych - dodał Zimny.

- Właśnie.

- Nic z tego.

- Przemysł to jeszcze. Ale oferta jest ważna tylko dziś. Jutro będziesz miał na głowie dziesiątki prawników.

- Już przemyślałem. Dzięki, ale nie.

- Na tej liście jest wielu dziennikarzy z całej Europy. To milionowe oferty, grzech nie skorzystać.

Zimny wychodził na miękkich nogach.

W gruncie rzeczy przecież się tego spodziewał, tylko bardziej wprost. Spodziewał się propozycji łapówki, więc nie powinien być zaskoczony. Po co tam szedłeś? Może żeby się jednak przekonać? A może się zgodzić? Może masz już dość pracy za półdarmo? Czy rzeczywiście byłbyś taki święty, jeśli na stole stałaby walizka pełna dolarów?

Nie.

Wiedział, że odmówi i to nawet nie z powodu swojego nieprzejednania czy twardości. Każdy człowiek ma cenę. Zimny też ją miał. Ale żadne pieniądze nie mogły przekupić go, żeby zdradził informatora, kogoś, kto mu zaufał. Nawet jak tamten był w gumiakach. Więc może jednak tej ceny nie było? W gruncie rzeczy Zimny rzadko myślał o pieniądzach. Tego samego dnia przekazał naczelnemu opis całej sceny.

- Po coś tam poszedł?

- Myślałem, że będziemy rozmawiać o czymś innym - skłamał Zimny. - Zaskoczył mnie.

- OK. Jedziemy do notariusza.

U notariusza spisali całe zeznanie Zimnego i zostawili w

sejfie. Naczelný zaproponował, że mogą spróbować zrobić kontrolowaną prowokację, ale Zimny pokręcił głową.

- Zorientują się. Potrzeba byłoby masę czasu. Poza tym musiałbym wrobić jednak informatora, a tego nie chcę.

- Zdasz sobie sprawę, co tracimy?

Zimny pokiwał głową. Do niego też już doszło, że to mógłby być wielki międzynarodowy temat. Tajny fundusz korupcyjny dla dziennikarzy z całej Europy założony przez znany szwajcarski bank. To była znacznie większa bomba niż giełdowa spółdzielnia, która nawet z udziałem doradcy czy przyjaciela prezydenta jest tylko i wyłącznie sprawą polską, lokalną. Odkładany na bok temat był jak afera z funduszem korupcyjnym Siemens'a czy wielkie śledztwo w sprawie korupcji międzynarodowych korporacji obsługujących hazard.

Kurwa.

Ileż razy potem śnił mu się ten temat.

Sprawa mazurskiego hodowcy indyków przeszła niemal niezauważona przez media.

O godzinie 17. Dominik Kruger wysiadł z pociągu InterCity na Dworcu Centralnym w Warszawie. Nad peronem wisiała reklama zbliżających się Mistrzostw Europy w piłce nożnej Euro 2012. Brud peronu i dworcowy smród był tak odpychający, że Kruger z trudem powstrzymał się, żeby nie przycisnąć chusteczki do nosa.

W tym popieprzonym kraju nic nie jest normalne. Jak można tolerować na najważniejszym dworcu kolejowym w kraju taki smród? Chyba, że potraktujemy to jako koloryt lokalny i na rozgrzewkę będziemy podawać pięćdziesiątkę Wyborowej.

Albo Stolicznej. To by bardziej pasowało.

Kruger był miłośnikiem dobrych trunków. Pił dużo i miał mocną głowę, którą mógł rywalizować nawet z radzieckimi

kolegami. I to bez żadnych sztuczek w postaci zjadania tłustych mięs czy masła.

„Papierowym nie zakuszają. ”

Wyszedł z podziemi dworca przy hotelu Marriott i ruszył Alejami Jerozolimskimi w kierunku Polonii. Mimo wczesnej pory, podstarzałe dziwki na Poznańskiej licznie oblegały rogatki słynnego hotelu. Godzinę później spoglądał na tę ulicę z okna pokoju na trzecim piętrze. Następnie wyjął na łóżko wszystkie materiały dotyczące dziennikarza Jakuba Zimnego i zaczął obmyślać plan działania.

Trybuchowski, totalnie zaskoczony, mierzył ich wzrokiem, jakby zastał żonę w towarzystwie kochanka a nie detektywa. Natalia z zalotnym sarkazmem uśmiechnęła się fałszywie do męża i położyła dłoń na ramieniu Stańczyka przedstawiając go sztucznym głosem:

- Detektywa Stańczyka zapewne już znasz, kochanie? Poinformowałeś go już, że jest podwładnym twojego serdecznego przyjaciela, komendanta wojewódzkiego, którego oszczędności pomnażasz w asset management?

- Nie zgrywaj się - mruknął Trybuchowski. - Co pan tu robi?

Stańczyk poczerwieniał. Nie lubił takich sytuacji, nie był dobrym aktorem i nie potrafił udawać twardziela, szczególnie przez przypadek wchodząc między wódkę a zakąskę, na dodatek w dość skomplikowanych sytuacjach rodzinnych. Wykonywał tylko swoją robotę.

- Prowadzę śledztwo, zapomniał pan?

- Mój adwokat informował mnie, że znalazłem się już poza podejrzeniem. Komenda zapewniała go, że nie będę niepokoiony. Prokurator podobno nakazał panu zbadanie innych hipotez niż z góry założonej absurdalnej teorii, że mam coś wspólnego ze śmiercią jednej z pracownic.

- Jest pan dobrze poinformowany - westchnął Stańczyk. - Szkoda, że co niektórzy nie wiedzą, co oznacza pojęcie

tajemnica śledztwa.

- Może dzięki temu nie będą tracić czasu na chore urojenia i spiskowe knowania.

Stańczyk zacisnął pięści.

-Apropos absurdalnych teorii i innych hipotez, to właśnie one sprowadzają mnie do pana.

- Co pan znowu wymyślił?

Patrzyli sobie prosto w oczy. Stańczyk był nieco niższy, więc musiał zadzierać głowę.

- Nie wspomniał pan, że znał syna Barbary Ochnik. Trybuchowski zbladł, szybko uciekł wzrokiem w sufit. Na lewo. Potem

w prawo. Stańczyk wyraźnie widział, że fakt odkrycia przez komisarza znajomości wiceprezesa KDI z młodym Ochnikiem, zrobił na nim wrażenie.

- Skąd pan o tym wie?

- Aż tak bardzo chciał pan ukryć tę znajomość? - odparł pytaniem śledczy - Może pani prokurator jednak zmienić zdanie, co do pana roli w całej sprawie, gdy dowie się, że starał się pan zataić pewne fakty?

- Nie starałem się - Trybuchowski pokręcił głową. - Po prostu... tak wyszło. Ale to długa historia i bez znaczenia dla pana śledztwa.

- Pozwoli pan, że sam się o tym przekonam. Chętnie posłucham.

- Posłuchamy - dodała Soszyńska, wskazując mężczyznom fotele w rogu gabinetu.

- Napijcie się czegoś?

Rozdział 35

Życie? To wojna i przystanek chwilowy w podróży.

Marek Aureliusz

Późnym wieczorem Zimny wziął się wreszcie za rozjaśnienie mafijnych powiązań KDI.

Ewelina nie zdradziła mu zbyt wielu szczegółów. Jedno jednak było pewne. KDI weszło już dawno albo zaczynało wchodzić w interesy z ciemnymi typami, a może samą mafią. Nie mógł pociągnąć Talar za bardzo za język, bo ta była i tak mocno rozdrażniona. Oczekiwała, że Zimny się odsunie, a nie zacznie szperać wchodząc bardziej w paszczę lwa. To nie są żarty.

To prawda. Żarty się skończyły.

- Ta sprawa dotyczy olbrzymich pieniędzy - powiedziała mu Ewelina podczas ostatniej rozmowy.

- Zrozum, tam gdzie w grę wchodzi interesy z hazardem i paliwami, gdzie ludzie nie mają skrupułów i zabijają bez mrugnięcia okiem, tam dziennikarze nic nie pomogą, za to mogą zaszkodzić i śledztwu, i sobie. Ty na dodatek nie reprezentujesz już żadnej silnej redakcji. Mordercy nawet przez chwilę się nie zawahają, jeśli wejdiesz im w drogę.

- Co KDI może mieć wspólnego z mafią? Przecież Trybuchowski czy Rostowski nie są mordercami?

- Oni nie - przyznała Ewelina.

- Więc kto?

- Proszę, zostaw tę sprawę i tak powiedziałam już za dużo...

- Kto?

- Przejrzyj ostatnie materiały, które ukazały się w mediach. Znajdziesz odpowiedź.

- Ale czego mam szukać?

- Pieniądzy, jak zwykle. I ryzyka. Przejrzał. I nie znalazł.

Zrezygowany sięgnął po telefon. Holdner odebrał po

drugim dzwonku.

- Myślę, że domyślam się, o co może chodzić. Pamięta pan naszą rozmowę o konieczności umieszczania w prospekcie informacji o aktywności

władz w innych biznesach? Zaczęliśmy przyglądać się tym inwestycjom. Wygląda na to, że Rostowski i Trybuchowski weszli kilkanaście miesięcy temu w hazard.

-W hazard? - zdziwił się Zimny.

- Ciekawe.

- Nawet bardzo. Kupili udziały w spółce o nazwie Impetus. Od kilku miesięcy wokół niej trwa niezłe zamieszanie. Impetus to spora firma. Okazuje się też, że potrafi inwestować z prawdziwym rozmachem. I to na Węgrzech. Kupił dwie niewielkie firmy, za - uwaga - dwadzieścia milionów euro.

- Za ile? - powtórzył zaskoczony Zimny.

- Dobrze pan usłyszał. Dwadzieścia milionów euro czyli jakieś osiemdziesiąt polskich złotych. Te dwie firemki prowadzą małe kasyna nad Balatonem.

- Nie za dużo, skoro to są niewielkie firmy?

- Właśnie. Nie tylko my mieliśmy wątpliwości. Inni akcjonariusze również. Karol i Łukasz byli w Impetusie inwestorami pasywnymi, ale mieli jakiś wpływ na ówczesny zarząd. Jak większościowy właściciel zobaczył tę transakcję, wywalił wszystkich na zbity pysk. Zrobiła się z tego awantura, a udziałowcy zobowiązali zarząd do wynajęcia audytora, żeby wycenił zakupione aktywa.

- Może partnerzy też mają dosyć naszych znajomych - uśmiechnął się Zimny pod nosem. - Czy audytor zrobił te wyceny?

-W dokumentach nie ma o tym niestety śladu. A chętnie bym to zobaczył.

- Mimo wszystko, gdzie tu mafia? - zapytał Zimny.

- Hazard nie jest branżą pierwszej czystości - to wszyscy

wiemy. No i jeszcze jeden szczegół, w raporcie rocznym naszych przyjaciół znaleźliśmy informację o zakupie udziałów w kasynie w Panamie. Ciężko mi nawet powiedzieć „może to przypadek”. Po co im jedno, małe kasyno w Panamie, jeżeli nie chodzi o pranie pieniędzy, być może z handlu narkotykami?

Zimny pożegnał się z biznesmenem. Miał wrażenie, że Ewelina mówiła o czymś... hmm, znacznie poważniejszym. Poszedł do kuchni po butelkę wina.

Co, u licha, miałaś na myśli?

KDI to w końcu finansiści, a nie mafiozi. Oni mogą wyłudzać VAT, oszukiwać na prywatyzacji, kraść setki milionów naiwnym inwestorom. Ale to wciąż daleko do obcinania palców, podkładania bomb, morderstw czy porwań na zlecenie. Nawet jeśli Holdner ma rację, stawiając na prywatne interesy hazardowe Karola i Łukasza...

Pociągnął solidnie z butelki merlota i zaczął od internetowego researchu dotyczącego wątku hazardowego. Wrzucił do wyszukiwarki zapytanie, ale trudno było mu znaleźć ostatnie teksty nawet składając złożone zapytania. W końcu zdecydował się przejrzeć archiwa gazet. Zaczął, z sentymentu, od Expressu. Nic. Gazeta Wyborcza. Nic. Poza kilkoma nieznaczącymi artykułami po depeszach PAP. Rzeczpospolita. Dwa teksty, w tym jeden z rozbudowaną historią. Ale mimo wielokrotnej lektury w całkowitym skupieniu, Zimny nie znalazł ani jednego elementu, który mógłby go naprowadzić na powiązanie tej sprawy z własnym śledztwem. Telewizja zawsze była wtórna do gazet, a nawet jeśli coś odkrywała, to gazety to cytowały lub omawiały, więc tu także nie liczył na wiele.

Mylił się.

Już pierwsze zapytanie przyniosło efekt. Dziennikarze jednego z programów interwencyjnych zrobili reportaż o śledztwie w sprawie nieuczciwego prokuratora, który

przekazywał mafii tajne dane.

Toruński śledczy to mafijna wtyka

Prokurator Janusz. J. przez lata przekazywał mafii tajne informacje ze śledztw, w tym w sprawie jednego z najważniejszych postępowań w sprawie nieprawidłowości dotyczących funkcjonowania automatów do gier hazardowych dotyczących tzw. niskich wygranych. Prokuratura krajowa podejrzewa, że to właśnie działania prokuratora-kreta doprowadziły do klęski tego śledztwa. Janusz J. przyjmował za swoje usługi wiele korzyści. On i rodzina dziś należą do toruńskiego establishmentu. Nic dziwnego; głównym odbiorcą danych był jeden z najbogatszych ludzi w Polsce, ruński biznesmen, właściciel wielu firm, którego danych nie możemy ujawnić (zagrożono nam procesem). Według zeznań skruszonego gangstera Masy, biznesmen ten był rezydentem mafii pruszkowskiej.

To niemożliwe - pomyślał Zimny. - Jakim cudem to przeoczyłem. Taka sprawa powinna rozlać się na media jak wezbrana fala. Przecież to była megaafera.

I co miało znaczyć ukrywanie danych tego biznesmena? To był chyba pierwszy w historii przypadek, w którym dane znanej, publicznej osoby, chroniono w ten sposób. Przecież jeśli ktoś go pomawiał, to bez trudu by się wybronił? Cały ten burdel powinien być szeroko omówiony przez media.

Chyba, że to nie było pomówienie?

Z drugiej strony dość często zdarzało się, że ważne tematy po prostu przemykały przez media. Jeśli już ktoś je wypuścił, to natychmiast próbowano to tuszować. Przecież sprawa łapówek dla premiera czy też podejrzanych relacji biznesmenów z resortem skarbu sprzedającym im spółki państwowe powinny tygodniami być wałkowane przez wszystkie tytuły prasowe i telewizje. Tymczasem przechodziły przez ekran jak zaspany operator światła.

A kysz, już cię tu nie ma!

Společnie ważne sprawy, jak problemy służby zdrowia czy zakłady pogrzebowe, potrafiły zalegać czołówki gazet do znudzenia. Tam, gdzie jednak afera miała swoją twarz, a ta twarz miała ekonomiczne zaplecze, szybko temat okazywał się nieważny.

Zimny niewiele myśląc zadzwonił do kumpla z telewizji.

- Kojarzysz sprawę jednorękich bandytów i ostatniego materiału w TVN? - zapytał bez wstępu.

Przyjaciel nawet niespecjalnie musiał grzebać w myślach.

- Chodzi ci o ten wątek prokuratorski, wątek kreta?

- Tak. Choć bardziej jestem ciekaw, dlaczego nie chwyciliście się tematu, żeby ujawnić tego biznesmena, rezydenta mafii. Kojarzysz?

- Pewnie. Rzeczywiście zamierzaliśmy.

- To dlaczego nie pociągnęliście tematu?

- Cóż. Przyszedł nakaz z góry. Tłumaczyli, że nie będziemy promować konkurencji.

- Gówno prawda.

- Pewnie, ale co mieliśmy robić?

- Podać to nazwisko.

- Sam je podaj.

- Podam, jak tylko się dowiem.

- To akurat żaden problem - powiedział znajomy. - Facet nazywa się Jeremiasz Pludra. Jak spojrzysz na ranking milionerów z Wprost czy Forbesa, to jest na początku drugiej dziesiątki. Ma udziały w sieci stacji paliw i skle -pach dla majsterkowiczów. Nieźle jaja, co? Gość z kilkuset milionami to rezydent mafii. W prokuraturze boją się go jak diabli, bo nie wiedzą, kogo jeszcze przekupuje, a facet nie zasypuje gruszek w popiele. Wszyscy, co mu się narazili, gryzą piach. Od krajowego wiem, że jest zamieszany w co najmniej dziesięć morderstw. Chodzi za nim pół CBS i ABW, ale Pludra niczym Al Capone, wtyki ma wszędzie.

- Dzięki.

Zimny wzdrygnął się.
To chyba jesteśmy w domu.

Wrzucił nazwisko Jeremiasza Pludry do wyszukiwarki. Kolega miał rację. Liczba przedsięwzięć biznesowych tego człowieka była ogromna. Sądząc po nazwach spółek, były tam stacje paliw i sklepy dla majsterkowiczów, ale też wiele innych biznesów. Nagle w plejadzie zarządów powiązanych z Pludrą na ekranie mignęło znajome nazwisko. Przewiął obraz do tyłu. Jest.

Trybuchowski. Trybuchowski Jan.

Tylko że Trybuchowski ma przecież na imię Karol.

Nowo namierzony Trybuchowski był prokurentem w spółce Horyzont Usługi Finansowe. Z numeru PESEL wynikało także, że jest jakieś 25 lat starszy od Karola.

Tata? Trybuchowski senior i Jeremiasz Pludra razem w przedsięwzięciu biznesowym...

A więc Holdner miał rację celując w hazard. Zimny sięgnął po telefon zamierzając od razu podzielić się z Niemcem swoimi odkryciami, ale uznał, że to nie najlepszy pomysł. Poza tym powinien pojechać do KRS i sprawdzić najpierw ten Horyzont.

Tylko kiedy? Cały dzień mam zawalony.

Po chwili zastanowienia wybrał numer do Stypułkowskiego.

- Przepraszam, że zawracam głowę, ale proponował pan swoją pomoc - powiedział niepewnie.

- Oczywiście - rzucił krótko prezes CP.

- Czy moglibyście sprawdzić dla mnie w KRS jeszcze jedną spółkę?

W Departamencie Bezpieczeństwa Teleinformatycznego ABW Mikołaj Dowgielewicz szperał w bazach danych w poszukiwaniu informacji o pewnym obywatelu Niemiec, który przybył do Polski dwa dni temu, zameldował się w hotelu w Krakowie na pięć dni, a już kolejnego dnia po

przyjeździe przeniósł się do Warszawy i wprowadził do Polonii. 22-calowy ekran komputera HP Elite wyświetlał zdjęcie ciemnowłosego mężczyzny, numer jego dokumentu, sieć powiązań i historię wykorzystania dokumentu w całej Unii Europejskiej w ciągu ostatniego roku.

Dominik Kruger. Lat 52. Urodzony w Essen w Nadrenii. Obywatel Niemiec, nauczyciel matematyki. Od dziesięciu lat rencista. Numer paszportu: 1002349870.

Mikołaj wprowadził te oraz inne ściągnięte dane ponownie do programu MarcoPolo i kliknął komendę Analizuj. Wynik był podobny jak pierwszy automatyczny alert systemu.

MarcoPolo był autorskim programem Dowgielewicza, który pisał w wolnych chwilach od pięciu lat i wykorzystywał już podczas pracy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Po przejściu z tego resortu do ABW udoskonalił produkt i przystosował jego architekturę do potrzeb działającego w strukturach agencji centrum antyterrorystycznego. Dwa lata temu wygrał międzywydziałowy konkurs nowych technologii przydatnych w służbie, dzięki czemu mógł wraz z zespołem z działu IT wdrożyć produkcyjnie aplikację i połączyć ją z unijnymi systemami SIS i VIS oraz krajowymi bazami danych KSIP, KCIK i systemami operacyjnymi innych służb.

Głównym celem MarcoPolo było wychwytywanie nielegalnych imigrantów i osób posługujących się fałszywymi dokumentami. System działał na bardzo prostym algorytmie polegającym na wychwytywaniu anomalii związanych z użyciem dokumentu.

- Dajmy na to, że w ciągu dwóch dni w Hiszpanii i Polsce rejestrowane jest użycie dokumentu o tych samych cechach: numerze czy nazwisku i dacie urodzenia posiadacza. Albo, że na dyskotece dla dzieciaków zostaje wylegitymowany osobnik sześćdziesięcioletni. Oba te zdarzenia nie są niemożliwe, ale zwracają uwagę systemu, który dalej analizuje cechy dokumentu pobierając dane z baz zgonów,

zatrzymań, wyroków. W ten sposób jesteśmy w stanie automatycznie wychwytywać proste i drobne błędy fałszerzy dokumentów. Nie mówiąc już o poważniejszych wpadkach, takich jak wykorzystanie numeru zatrzymanego dokumentu czy niezgodność numeru z nazwiskiem albo błędy formalne. To działa - tłumaczył pewnego dnia na wykładzie w Wyższej Szkole Policji w Legionowie Dowgielewicz.

Każda kontrola, rejestracja, meldunek były odnotowywane w systemach Unii Europejskiej, ale jak dotąd żaden system nie analizował tego pod kątem sprzeczności. MarcoPolo miał bardzo szerokie możliwości analiz, ale jego najciekawszym elementem była funkcja automatycznego alertu, która alarmowała dyspozytora w sytuacjach szczególnych. Dzięki MarcoPolo wywiad i kontrwywiad mogły namierzać osoby podejrzane o terroryzm, a Straż Graniczna wychwytywać osoby nielegalnie znajdujące się na terenie Polski i Unii Europejskiej.

System okazał się też zmorą tajnych agentów, którzy używali sfalszowanych dokumentów, fałszywych numerów PESEL czy lewych kart ID, co niestety czasem przysparzało kłopotów. Ostatnio MarcoPolo pomógł zatrzymać na Okęciu agenta izraelskiego wywiadu, który używał fałszywych dokumentów i był podejrzany o udział w zamachu na członków Hamasu w Dubaju.

Dziś po południu MarcoPolo wychwycił na początek drobną anomalię związaną z dokumentami Dominika Krugera, a po dokładniejszej analizie wykazał, że obywatel Niemiec posługuje się prawdopodobnie fałszywym dokumentem.

Zabawne, jaki drobiazg naprowadził nas na tego Krugera - pomyślał Dowgielewicz.

Po co meldowałeś się na pięć dni w Krakowie, a potem zdublowałeś meldunek w Polonii w Warszawie? Chciałeś zmylić tropy, a tylko zwróciłeś na siebie uwagę. W dawnych czasach warto było być w dwóch miejscach jednocześnie, ale

nie w epoce komputeryzacji. Magia przegrywa z procesorami. Gdyby nie to powielenie meldunku, nigdy prawdopodobnie MarcoPolo by na ciebie nie wpadł.

Zaciekawiała go drobna nieścisłość, dzięki której Mikołaj za pomocą sys temu zrobił dalszą analizę i oto efekt.

Godzinę później Dowgielewicz otrzymał potwierdzenie z Dusseldorfu oraz standardowy komunikat od służb niemieckich.

„Dominik Kruger, lat 52, nie żyje od dziesięciu lat, a dokument jest świetną fałszywką, wyrobioną na nazwisko zmarłego przez wyspecjalizowanego fałszerza. Europejski Nakaz Aresztowania za Krugerem jest już w przygotowaniu i zostanie przesłany do Polski w ciągu 24 godzin.”

Mikołaj Dowgielewicz sięgnął po telefon i zrelacjonował sprawę szefowi, z zadowoleniem odznaczając kolejny sukces MarcoPolo.

Rozdział 36

*O wojnie wiemy więcej,
niż o pokoju, o zabijaniu więcej niż o życiu.*
Omar Nelson Bradley

Andreas Holdner i Witold Stypułkowski popatrzyli na siebie zaskoczeni. Zimny czuł satysfakcję, że udało mu się samemu dojść do nowych faktów w ich sprawie, ale gdzieś w zakamarkach umysłu czaiła się niepewność.

- Sam nie wiem, czy to dobrze, że udało się odkryć ten trop - zakończył Zimny. - Myślałem, że to będzie tylko afera finansowa. Nie spodziewałem się... hmm, kryminalistów czy regularnych mafiozów.

- Dla czytelników pana gazety to chyba dobrze? Ludzie lubią czytać takie historie - w głosie Stypułkowskiego dało się wyczuć wahanie. Prezes Consulting Partners także chyba się nie spodziewał, że konflikt z KDI może oznaczać wejście w drogę jakiemuś groźnemu gangsterowi. Stypułkowski miał dwójkę dzieci. Nie chciał kłótni z mafiozami.

- Ładny, kurwa, dom maklerski - Holdner nie tracił zimnej krwi. - Chyba powinniśmy ocenić ryzyka. Na ile to pewna informacja, że ten Pludra jest gangsterem?

- Chyba pewna, choć oczywiście zawsze należy dopuszczać pomyłkę. Jednak prokuratura jest wiarygodnym źródłem. Sam poszukałem też trochę informacji. Pludra w późnych latach 90. zaczął robić jakieś dziwne interesy, po czym porwano mu syna. Założył komitet obrony obywatelskiej, ale porywacze twierdzili, że porwanie było związane z nierozliczeniem się Pludry ze sprzedaży towarów pochodzących z napadów na tiry. Wszyscy ci gang -sterzy już nie żyją. Dotarłem do kilku innych relacji, które potwierdzają wersję, że to bardziej gangster niż obrońca niewinnych. Ale nie wykluczam też, że to pomówienia czy zemsta świata

przestępczego, bo facet okazał się twardzielem i walczy z bandziorami.

- Zabawne - Stypułkowski wstał gwałtownie i sięgnął po paczkę papierosów. - Zacząłem znów palić - dodał tonem wyjaśnienia, a potem kontynuował poprzednią myśl: - Zabawne, że chcieli z nas zrobić gangsterów....

Stypułkowski sięgnął za biurko i wyjął plik dokumentów.

- Wyciągnąłem dla pana z KRS sprawozdania finansowe Horyzontu - tej spółki, w której znalazł pan Trybuchowskiego z Pludrą - powiedział. - Trafia pan bez pudła.

- To znaczy? - Zimny zerknął na kilka pierwszych stron.

- Horyzont robi szereg transakcji z KDI. Nie rozgryźliśmy do końca ich gospodarczego sensu, ze względu na brak wszystkich szczegółów. Jednak bez wątpienia mają one znamiona oszustw, prania pieniędzy i wyprowadzania kasy ze spółki.

Zimny kręcił głową z niedowierzaniem.

- Kiedy zobaczymy dno?

- Najciekawsza informacja: to właśnie spółka Horyzont sprzedała Impetusowi hazardowe cuda z Węgier za te dwadzieścia milionów euro, o czym mówił panu Andreas.

- Ciekawe. Ustaliliście coś więcej?

- Horyzont kupił spółki węgierskie od ich właścicieli za 10 milionów euro. Sprzedał je Impetusowi dwa razy drożej, za 20 milionów euro. Transakcja została rozliczona w ciągu jednego dnia w ten sposób, że Horyzont nie musiał posiadać żadnej gotówki. Był jedynie pośrednikiem zarabiającym na czysto 10 milionów euro, nie inwestując i nie ryzykując.

- Horyzont okazał się wehikulem do wyprowadzenia zysku - dodał Andreas. - To zresztą bardzo mała spółka. Jej kapitały własne wynoszą zaledwie kilkadziesiąt tysięcy złotych. Typowa spółka krzak. Pośrednik.

- Już chyba rozumiem, dlaczego to nie podobało się innym

akcjonariuszom Impetusa - mruknął Zimny.

- To jednak nie wszystko, bo ta transakcja naprowadziła nas na coś znacznie poważniejszego. Spółka Horyzont zamiast zysku z tej transakcji, wykazała w całym roku olbrzymią stratę - powiedział Stypułkowski.

- Jak to możliwe?

-W tym samym czasie Horyzont kupił udziały w cypryjskiej spółce Kaldera Holdings Limited. Niech pan zgadnie, za ile?

- Bo ja wiem...

- Sto milionów złotych.

- Ile?

- Sto milionów - powtórzył Stypułkowski - za zaledwie 25 procent udziałów, co oznacza, że cała Kaldera miałyby być warta 400 milionów.

- Zaraz, zaraz - Zimny znów nic nie rozumiał.

- Zysku z tej sprzedaży węgierskich spółek mieli tylko dziesięć milionów euro, czyli jakieś 40 milionów złotych. Skąd wzięli pozostałe o baniek? Mówił pan przecież, że to spółka krzak, bez kapitału. Żaden bank by im nie dał takiego kredytu.

- Żaden bank? Ma pan rację. Nas też to zastanowiło, dzięki czemu wiedzieliśmy, czego szukać. Nie banku...

Holdner i Stypułkowski patrzyli na Zimnego z wyczekiwaniem. W końcu dziennikarz pojął.

- KDI?

- Bingo - uradował się Stypułkowski. - Całą tę zabawę włącznie z transakcją zakupu węgierskich spółek przez Impetusa sfinansowało KDI. Dom maklerski wykupił obligacje spółki hazardowej oraz Horyzontu. Ale żeby było ciekawiej, wcale nie za 100 milionów tylko za... uwaga - 300 baniek.

- To jakaś paranoja. Jak spółka krzak ma spłacić taką kasę?

- Wykup obligacji ma nastąpić dopiero po 10 latach. Zimny zaczął się śmiać, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Przecież obligacje dziesięcioletnie to jakaś fikcja? Kto zagwarantuje spłatę? Czym je zabezpieczyli? Fabryką broni czy może toną kokainy?

- Dobry pomysł - szepnął Stypułkowski. - Ale obligacje nie były niczym zabezpieczone.

-I to wszystko pod lupą KNF?

- To jeszcze nie wszystko - dodał prezes Consulting Partners.

- Moim zdaniem ta transakcja oddaje cały geniusz inżynierii finansowej KDI. Maklerzy za te wspomniane obligacje wcale nie zapłacili 300 baniek, tylko... 60. Wykupili obligacje z 80 procentowym dyskontem.

Zimny złapał się za głowę.

- Teraz to ja już nic nie rozumiem. Co to za interes?

- Słyszał pan kiedyś o kreatywnej księgowości? Ten przykład pokazuje w praktyce możliwości takiego mechanizmu. Bo nie dość, że ze spółki wyprowadzono bezczelnie o milionów złotych, a razem z kasą za węgierskie spółki - 100 milionów, to jeszcze dzięki takiej transakcji KDI tak naprawdę topiąc w błocie 100 milionów wypracowało na całej operacji papierowy zysk. I to pokaźny. KDI zaksięguje jako przychody, a następnie zyski, dużą część z tych 240 milionów złotych stanowiących dyskonto od obligacji. A tych pieniędzy przecież nigdy nie zobaczy. One są i pozostaną tylko na papierze - Stypułkowski wstał z krzeselka i rozrysował transakcję na tablicy. - Proszę się temu uważnie przyjrzeć. A od razu pan zrozumie.

Na górze tablicy, nad schematem, prezes CP napisał wiele mówiący tytuł:

Jak wyprowadzić 100 mln czystej gotówki i stworzyć przy tym 240 mln księgowych zysków?

Zimny patrzył z podziwem. Ogarnięcie tak zagmatwanej transakcji wymagało niezłego umysłu.

- Wciąż nie wiemy, po co wpakowali się w to gówno - mruknął Zimny.

-I kto stoi zaKalderą, do której wyprowadzono zyski?

- Ależ wiemy - odpowiedział Stypułkowski. - Wystarczy spojrzeć na sprawę od końca, jak ma pan na rysunku. Szeffowie KDI potrzebowali 100 milionów gotówki. Po co? Może jako haracz dla mafii albo opłatę za partię narkotyków sprowadzanych przez Panamę. Postanowili je wyprowadzić z firmy na koszt inwestorów. Zrobili emisję akcji udając, że mają na oku jakieś fajne przejęcie.

-W tym czasie ogłosili, że chcą przejąć spółkę budującą stadiony pod EURO 2012 - wtrącił Holdner. - Inwestorzy giełdowi uznali, że to dobry biznes, więc ochoczo dali pieniądze. KDI ma dobry PR. Maklerzy jednak zamiast przejąć firmę budowlaną, zainwestowali w hazard. O czym już nikogo nie poinformowano. Co ciekawe, ta firma budowlana nie miała zielonego pojęcia, że ma zostać przejęta. Karol i Łukasz puszczali do gazet przecieki, że prowadzą negocjacje, żeby zachęcić inwestorów, a tak naprawdę, żadnych negocjacji nie prowadzili. Kłamali.

- Skąd pan wie?

- Tak się składa, że wtedy doradzaliśmy tej firmie budowlanej. Stypułkowski pokiwał głową.

- Tak więc wiemy, że potrzebowali tych 100 milionów na coś innego, na pewno nie na tę firmę. Emisja jednak się udała. Ale do dziś, przez prawie dwa lata inwestorzy nie doczekali się realizacji celów emisji. KDI nie tylko nie kupiło tej firmy budowlanej, ale też żadnej innej. Pieniądze zaś zniknęły. Teraz wiemy jak.

- Uff. Nikt nie pytał o tę kasę?

- Ależ owszem, jednak KDI tłumaczyło, że zainwestowało na giełdzie. Przyszedł kryzys i nie może wyjąć pieniędzy. Zrobili prawdziwy majstersztyk, wyprowadzając kasę i kreując sztuczny zysk. Apieniądze na Cyprze są czyste, wyprane, do wzięcia. Na co pan chce.

- Cały deal to zero podatku w Polsce - westchnął Holdner, -

ponieważ Horyzont wygenerował stratę.

Zimny czuł, jak drżą mu ręce.

- To oszustwo na szkodę wszystkich inwestorów. Nikt tego nie widzi?

- KNF bez trudu by zobaczyła, ale woli nie widzieć. Klasyk dobrze pilnuje interesów swoich kumpli.

- Możemy dojść, czym jest ta Kaldera Holdings Limited? Skoro jedna czwarta spółki kosztowała 100 milionów, to może ma jakieś kopalnie złota na Cyprze?

- Ja mogę się założyć, że nie ma nic. Pewnie nawet nie ma biura, tylko jest zarejestrowana w jakiejś kancelarii prawnej.

- Ktoś jednak musi być jej właścicielem.

-A jak pan myśli, kto? - zachęcił Holdner gestem ręki. - Niech pan obstawia bez obaw. Ja bym nie wierzył w przypadki...

- No dobrze, a możemy udowodnić, że kryją się za nią Karol i Łukasz?

- Być może - wzruszył ramionami Holdner. - Ale trzeba by pojechać na Cypr. Mogę się z panem tam wybrać.

- No tak - mruknął Zimny i przez chwilę zapadło milczenie. Dziennikarz nie myślał teraz o takiej wyprawie.

- To może poczekać - wtrącił Stypułkowski. - Papierowe zyski na dłuższą metę nie wystarczą. KDI żeby przeżyć, musi zarobić pieniądze. No i już wiemy, jak chcą to zrobić.

Prezes Consulting Partners zawiesił głos.

- Więc? - ponaglił Zimny.

- KDI będzie wprowadzał na giełdę najnowsze dziecko Maciarza. I to dopiero będzie geszeft.

Dominik Kruger założył okulary i ruszył śladem Jakuba Zimnego. Dziennikarz godzinę wcześniej zaparkował samochód koło Dworca Śródmieście i skierował kroki do przejścia podziemnego przy Centralnym. Kruger zamierzał poczekać na niego na zewnątrz. Cały Marriott był

monitorowany przez kamery, a zabójca nie chciał, żeby któryś z dawnych kolegów pracujących obecnie w ochronie go rozpoznał. Nie obawiał się, że zgubi Zimnego.

Wcześniej rano w samochodzie dziennikarza bez trudu zainstalował nadajnik GPS, który mógł lokalizować przez prostą aplikację zainstalowaną na iPhone korzystającą ze zwykłych map Google. Zresztą obecną obserwację traktował bardziej jak zabawę, niż przygotowanie do realizacji zadania.

Wcześniej rozważał różne opcje wykonania zlecenia włącznie z zaaranżowaniem wypadku samochodowego czy wrzucenia ofiary pod tramwaj lub pociąg. Jednak takie rozwiązania były ryzykowne i nie bardzo odpowiadały zleceniodawcy. Przy obecnym stanie techniki kryminalistycznej bez trudu śledczy mogli wpaść na trop zabójstwa, jeśli próbowaliby majstrować przy podzespołach hondy Zimnego. Zleceniodawca wyraźnie zaznaczył, że zabójca powinien zastosować środki, które wykluczają wszczęcie oficjalnego śledztwa w sprawie ewentualności zabójstwa. Zabójca znał się na swoim fachu.

Jak przystało na jednego z najlepszych byłych agentów służb PRL potrafił zabijać bez zostawiania śladów. Na kursach w Moskwie czy Kiejkutach nauczono go wielu sposobów odbierania życia. W swojej karierze tylko raz musiał użyć broni palnej i zrobił to na wyraźne polecenie zleceniodawcy. Tylko jeden strzał.

Miał nawet wątpliwości, czy podjąć się tamtego zlecenia, bo przeczuwał podstęp, który mógł zakończyć się dla niego więzieniem albo śmiercią. Dlaczego u licha nie chcecie, żeby zginął jak inni? Pod ciężarówką, autobusem, z powodu ataku serca, nagle wywołanym uczuleniem, połknięcia przeterminowanej tabletki przeciwbólowej, wstrząsu anafilaktycznego, zatrucia pokarmowego, zakażenia krwi, zapalenia opon mózgowych. Sposoby równie skuteczne, szybkie i nawet jeśli pozostawiające wątpliwości, to łatwe do

zatuszowania lub wplecenia w teorię spiskową.

Wszystkie te choroby i zdarzenia zabójca traktował jak podstawowe narzędzia pracy. Ich wywołanie wymagało jedynie znajomości podstaw medycyny, chemii lub dobrej organizacji. Niczego więcej.

Zabijał cicho, bez śladów, choć czasem również spektakularnie. Przypomnił sobie sprawę kontrolera Najwyższej Izby Kontroli, który miał ujawnić jakiś groźny dla pewnego przedsiębiorcy raport, lecz nie udało mu się dojechać do stolicy z powodu zasłabnięcia za kierownicą pojazdu. Czy choćby sprawę dyrektora ośrodka analitycznego do spraw Wschodu, w którego przypadku zaaranżowanie wypadku wymagało zaangażowania czterech dodatkowych osób.

To były spektakularne akcje, które kończyły się wszczęciem śledztw umarzanych z powodu niewykrycia sprawców. Pozostawiające wątpliwości, czy -sem przyciągające dziennikarzy śledczych szukających dziury w całym lub fanatyków teorii spiskowych.

Mniej okazałe dzieła także powodowały zainteresowanie prokuratury, która była zobowiązana do wszczęcia postępowania w większości tego typu przypadków, ale zawsze okazywała się bezradna wobec profesjonalizmu sprawcy.

Więszym problemem były media. Brukowce żyły z teorii spiskowych, a główne gazety zaczęły zbliżać się do ich poziomu.

Kiedyś w Berlinie, zamordował z wyjątkową skrupulatnością byłego prezesa zakładu ubezpieczeń. Robota została wykonana bez zarzutu, najmniejszych choćby śladów, więc prokuratura umorzyła sprawę, ale media zaczęły węszyć i robić nagonkę, która zmusiła go do opuszczenia Niemiec na długie miesiące.

Dopiero rok później dowiedział się, że przez działania

mediów aresztowano podejrzanego o dokonanie zabójstwa byłego agenta Stasi, który pechowo zamieszkał w pobliżu posesji zabitego urzędnika. Biedak nie miał z tym nic wspólnego, jednak jego przeszłość spowodowała wydanie wyroku. Media zlinczowały go na kilka miesięcy przed rozpoczęciem procesu, a w dniu wydania wyroku wszystkie licytowały się co do wielkości kary. Nikt nie dopuszczał, że były esbek z DDR zostanie uniewinniony.

Na szczęście sąd okazał się niepodatny na naciski i analizował materiał dowodowy, a nie artykuły w prasie.

Kruger w przypływie impulsu odszukał kilka lat później tego agenta i sprowokował nic nieznaczącą rozmowę w sklepie spożywczym. Lubił dotykać ofiar.

Otrząsnął się ze wspomnień w momencie, gdy Zimny skręcił w przeciwną stronę niż Marriott i skierował się do kamienicy naprzeciwko hotelu. Kruger kupił w kiosku gazetę i przysiadł na ławce przy pobliskim kościele. Pomyślał nawet, że mógłby wejść się pomodlić, ale w ten sposób zwróciłby na siebie niepotrzebnie uwagę.

Zresztą od dawna nie wierzył w Boga.

Trybuchowski westchnął ciężko i zaczął mówić, początkowo drżącym głosem, szukając słów i starając się kontrolować, żeby przypadkiem nie powiedzieć zdania, którego będzie potem żałował.

- Trzy lata temu wychodząc z biura przy Szerokiej zobaczyłem chłopaka, który siedział na murku i przyglądał mi się zaczepnie. Zwróciłem na niego uwagę - ubrany na czarno i piekielnie blade. Wyglądał jak wampir. Gapił się na mnie bezczelnie i zadziornie, ale to przecież nic takiego. Dzień później ten sam chłopak siedział w tym samym miejscu. I kolejnego dnia. Potem zniknął na tydzień, ale pewnej niedzieli zobaczyłem go przez okno koło naszego domu - Trybuchowski spojrział na żonę

- Przepraszam kochanie, nic ci nie mówiłem, bo nie chciałem cię denerwować.

- Cóż za troska - Natalia uśmiechnęła się drwiąco. Trybuchowski puścił tę uwagę mimo uszu.

-W każdym razie to już nie mógł być przypadek. Wybiegłem do dzie -ciaka, ale ten zdążył odejść. Mijaliśmy się tak przez następny tydzień, aż w końcu znów zastałem go siedzącego na murku przed biurem. Tym razem nie uciekł, a nawet uśmiechnął się na mój widok. I od razu wypalił, że ma coś na mnie, więc powinniśmy porozmawiać. Początkowo chciałem dać mu w dziób i zaciągnąć na policję, ale... pomyślałem, że mi trochę przypomina mnie z dawnych lat.

- Akurat - wtrąciła Natalia,

- Mów, co chcesz - warknął Trybuchowski. - Ale naprawdę poczułem do niego nić sympatii, mimo że od razu wiadomo było, że chodzi mu o oskubanie mnie.

- Co miał na ciebie? - zapytała Natalia, przez co wprowadziła w zakłopotanie Stańczyka. W końcu to chyba on powinien prowadzić to przesłuchanie.

Trybuchowski zwiesił głowę.

- Pokazał mi jakieś zdjęcia imprezowe, na którym byłem rzekomo z jakąś dziewczyną. Ale to nie byłem ja.

- Mimo to dałeś się szantażować?

- Posłuchaj, oboje wiemy i nie ma co tego kryć przed panem komisarzem, że mam swoje na sumieniu, a nasze małżeństwo miało różne trudne chwile. Ten dzieciak pokazał mi zdjęcia, na których był jakiś facet i jakaś dziewczyna, ale zdjęcie było tak fatalnej jakości, że trudno było kogoś rozpoznać.

- Więc dlaczego nie posłałeś go w diabły?

- Już ci mówiłem, zaciekawił mnie. Poza tym... zażądał tylko tysiąca złotych za milczenie. Powiedziałem, że dam mu, jeśli przekonująco wyjaśni, na co wyda pieniądze. Powiedział, że zagra w ruletkę lub w szachy. Zdziwiłem się; myślałem że

szachy nie są trendy. Zaproponowałem mu mecz o ten tysiąc. Zgodził się i... wygrał, skubaniec. Był naprawdę dobry. Porozmawialiśmy sobie jeszcze trochę, dostał ten swój tysiąc, a potem sobie poszedł. Wrócił po dwóch tygodniach. Tym razem zażądał 10 tysięcy. Odmówiłem i kazałem dzieciakowi spadać. Poszedł sobie, ale tydzień później dostałem kopię listu do jednej z redakcji, w którym ktoś anonimowy pisze, że uwio -dłem jakąś nieletnią, na co ma dowody. Nawet jeśli to był blef, to nie potrzebowałem kłopotów z brukowcami.

Natalia pokręciła głową z powątpiewaniem, ale nie odezwała się.

- Zapłacił pan? - zapytał Stańczyk.

- Dzieciak poprosił, żebym podjechał do niego do szkoły. Chciał zaszpanować przed kolegami, że ma nadzianego kumpla. Potem pewnie naopowiadał, że jestem jakimś cholernym bandziorem albo agentem wywiadu. Dostał pieniądze, ale i tym razem mu to nie wystarczyło, bo wrócił po miesiącu. Tym razem poprosiłem znajomego detektywa, żeby zajął się sprawą. Następnego dnia ustalił, że chłopak jest dzieciakiem mojej księgowej. Jak tylko się dowiedziałem, ruszyłem do Baški, ale na szczęście jej nie było. Na szczęście, bo jak sobie to wszystko przemyślałem, to stwierdziłem, że lepiej zagrać jego kartami. Dorwałem dzieciaka i powiedziałem mu, co się stanie, jeśli dalej będzie robił takie numery. Oddał mi zdjęcia - wszystkie były

beznadziejnie złe, i obiecał, że nigdy więcej go nie zobaczę. Kilka miesięcy potem Baška ukradła dokumenty i szantaż się powtórzył. Byłem wściekły, bo trzeba było to od razu uciąć.

-I tak przekonałeś się, że dobroć serca nie popłaca - ironizowała Soszyńska i zwróciła się do Stańczyka. - Wierzy pan w tę jego bajeczkę?

-A mam wyjście?

Kapitan Hubert Rozwadowski, szef zespołu szybkiego

reagowania Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego otrzymał rozkaz zatrzymania Dominika Krugera, obywatela Niemiec, w czwartek wieczorem. Od 19. grupa złożona z sześciu funkcjonariuszy agencji miała zabezpieczyć teren przy hotelu Polonia i dokonać aresztowania. Powód zatrzymania: posługiwanie się fałszywym paszportem z możliwością podejrzenia działania na szkodę państwa lub terroryzm. Polecenia były jasne, muszą zachować wszelką ostrożność, jakby mieli do czynienia z terrorystą. Oczywiście Rozwadowski bardziej spodziewał się, że Kruger okaże się jakimś agentem obcego wywiadu, który nie będzie stawiał żadnego oporu, jak to było przyjęte w cywilizowanym świecie. Jednak ostrożności nigdy za wiele. Rozwadowski, były żołnierz GROM-u dobrze wiedział, że tylko dzięki poważnemu traktowaniu ewentualnych zagrożeń w jego byłej formacji nigdy nie było ofiary śmiertelnej podejmowanych działań. Nie lekceważyli nikogo.

W służbie ABW Hubert Rozwadowski jak dotąd także nie stracił żołnierza.

Rozdział 37

*Jeden Polak to istny czar,
dwóch Polaków - to awantura,
trzech Polaków - och, to już jest Polski problem.*
Wolter

Zimny zostawił samochód i postanowił przespacerować się do jakiejś knajpy.

Może pójdę do kina?

To, co powiedzieli Holdner i Stypułkowski, mocno nim wstrząsnęło. Historia kreatywnej księgowości była bardzo zajmująca, ale teraz myślał o kimś zupełnie innym.

Co knuje Maciarz? Gaz z łupków? Czy to naprawdę jest możliwe?

- Wbrew pozorom - przekonywali Holdner i Stypułkowski podczas ostatniej rozmowy z Zimnym - to wcale nie jest pomysł skazany z góry na porażkę. Rzeczywiście w Stanach wydobywa się taki gaz od wielu lat, a w Polsce mogą być spore pokłady surowca. Jednak sfinansowanie takiego pomysłu przez inwestorów giełdowych to przesada. Nawet z poparciem rządu i dobrego PR. Wielu ludzi może stracić przez to oszczędności życia. Na dodatek Maciarz nie ma w tym żadnych doświadczeń. Gdyby przyprowadził tu Texaco, BP czy inną korporację wydobywczą, rozpoczął inwestycję i miał pierwsze realne dane, to bym zrozumiał. Ale oni chcą zrobić skok na wielką kasę za pomocą widmowych planów.

Nie chcieli mu powiedzieć, skąd mają informacje i dane, ale zapewnili że są stuprocentowo pewne. Co z tego wynikało?

Maciarz zamierzał wprowadzić w wakacje na warszawską giełdę spółkę Polish Gaz, którą zarejestrował kilka miesięcy wcześniej w KRS i której udziałowcami został m.in. fundusz z Izraela, niewielki szwajcarski holding finansowy oraz dwie spółki zarejestrowane na Cyprze. I Maciarz, który

kontrolował 20 proc. udziałów, jednocześnie w statucie zapewniając sobie głos kontrolny.

- Spółki ze Szwajcarii i Izraela też działają na jego zlecenie, więc praktycznie ma kontrolę nad kapitałem. Nic nie wiem o Cyprze, jednak podejrzewam, że prawnicy z Limassol są również dobrze opłacani przez Maciarza.

- Albo naszych przyjaciół maklerów - wtrącił Stypułkowski.

- Możliwe.

Struktura holdingowa spółki sprawiała, że przepływy finansowe w grupie Polish Gaz były nieprzejrzyste, wysokość środków w kasie trudna do ustalenia, rzeczywiste przychody i realne zyski mogły zaś wynikać ze zdarzeń jednorazowych lub kontraktów przeprowadzanych przez pośredników ze spółkami zależnymi.

- To jednak nic. Takie problemy miały wszystkie korporacje, wielkie firmy medialne, a nawet prywatyzowane spółki skarbu państwa. Jest jednak jedna różnica. Oni mieli fabryki, funkcjonujące telewizje, struktury sprzedażowe i wielkie organizacje, zdolne do przekształceń i ewentualnych działań restrukturyzacyjnych - mówił Holdner zawieszając głos.

-A Maciarz? - zapytał Zimny. -A Maciarz sprzedaje marzenia.

Polish Gaz planował w przyszłym roku rozpocząć próbne odwierty, a za pięć lat eksploatować większość złóż gazu łupkowego w Polsce. Z szacunków firmy wynikało, że w końcu dekady będzie ona największym dostawcą gazu dla Polski, czyniąc z naszego kraju drugiego po Rosji eksportera tego surowca w Europie.

- Wyprzedzimy nawet Norwegię - powiedział ze śmiechem Holdner. - Plan iście mocarstwowy.

- Gdzie jest haczyk?

- Wierzenia i cała strategia Polish Gaz wymagają inwestycji na poziomie 10 miliardów złotych. W pierwszym etapie, nie gwarantując praktycznie żadnych zysków, bo może się

okazać, że z powodu nieopłacalności wydobywania, plan zostanie porzucony.

- Więc to ściema?

- Wielka ściema. A wie pan, dlaczego im się tak spieszy z tą giełdą?

- Dlaczego?

- Rząd od kilku miesięcy potajemnie negocjuje z Rosją specjalną wielką umowę gazową. Odwilż w stosunkach z Białym Niedźwiedziem już widzimy, jak okaże się, że podpiszemy dwudziestoletni kontrakt z Moskwą na dobrych warunkach, nikt nie będzie chciał słyszeć o sześć razy droższym wydobywaniu z łupków. Trzeba się więc spieszyć ze sprzedażą marzeń sennych. Świt jest blisko.

- Przecież to oszustwo. Maciarz nie jest tak głupi, żeby jawnie przekreślić się w oczach inwestorów giełdowych.

-A to dlaczego?

- Choćby z powodu forsy - powiedział Zimny, choć mimo bardzo negatywnego stosunku do Maciarza nie sądził, by ten chciał się tak oficjalnie skompromitować - Nigdy więcej nie dadzą mu kasy.

- Dostanie 10 miliardów. Za to zbuduje inne biznesy bez żadnej kontroli. Nie będzie już potrzebował pańskich inwestorów. A jeśli będzie, to coś wymyśli. Poza tym, łupkami można grać wiele lat, robić wiele intryg, a w tle podejmować działania, które w przyszłości wyjdą na pierwszy plan. Kiedy już nikt nie będzie pamiętał o łupkach.

-Z wyjątkiem tych, którzy tracą oszczędności życia - przypomniał Zimny.

- Tak - przytaknął prezes CP.

Zimny szedł teraz Marszałkowską i zastanawiał się nad słowami Holdnera. Jeśli Niemiec miał rację, to w wakacje kilkaset tysięcy ludzi zostanie zrobionych w balona przez jego ulubionego biznesmena. Z wydatną pomocą maklerów-cwaniaków wyrobionych w kreatywnej księgowości.

Gaz z łupków. Co to w ogóle jest?

Zobaczył obok kawiarenkę internetową i wszedł do niej wykupując godzinę przy komputerze. Sprawdził pocztę, otworzył okna największych portali i gazet, po czym wpisał w wyszukiwarce hasło.

Gaz ziemny, uzyskiwany z łupków osadowych. Eksploatacja złóż tego typu staje się coraz poważniejszym źródłem gazu ziemnego w Stanach Zjednoczonych w ostatnim dziesięcioleciu. Spore zasoby tego surowca czekają na eksploatację w Kanadzie, Europie, Azji i Australii. Jako że łupki zwykle mają przepuszczalność niewystarczającą do zapewnienia przepływu do odwiertu, dotychczas nie wykorzystywano ich jako źródła gazu.

Tak podawała Wikipedia. Czytał dalej o trudnościach i technologicznych barierach wydobywania.

Pozyskiwanie gazu ze skały o niskiej przepuszczalności wymaga jej perforacji. Gaz łupkowy produkowany był z łupków z naturalnymi szczelinami; W ciągu ostatnich lat rozpracowano technologię kruszenia hydraulicznego, w celu stworzenia sztucznych pęknięć w okolicy odwiertów. Dla szybów łupkowych często stosuje się otwory kierunkowe, o długości odgałęzień do około 3 km, w celu maksymalizacji powierzchni obsługiwanej przez odwiert.

Zimny westchnął ciężko, a potem na chwilę oderwał wzrok od komputera i postanowił podzwonić w tej sprawie do przyjaciół. Wyjął komórkę i ze złością dostrzegł, że po wizycie u Holdnera i Stypułkowskiego zapomniał włączyć telefon. Włożył baterię, uruchomił aparat i wpisał kod PIN. Jak tylko to zrobił telefon zabrzączał, dając znać, że ktoś próbuje się z nim połączyć. Ewelina?

- Tak - odezwał się do słuchawki.

- Gdzie jesteś?

- Cóż, siedzę sobie właśnie przed komputerem i zastanawiam, co ja tu robię, zamiast popijać Erdingera z

moją ulubioną panią prokurator.

- Proszę, odpowiadaj na pytania. Gdzie jesteś?

W głosie Talar słychać było napięcie. Nie żartowała.

- Co się stało? Siedzę na Marszałkowskiej, w kawiarence internetowej.

- Posłuchaj uważnie. Grozi ci wielkie niebezpieczeństwo...

Kruger niecierpliwił się widząc, że Zimy wcale nie zbiera się do wyjścia z kawiarenki.

Siedział dwa rzędy dalej i grał w sieci w Pac-mana ukradkiem obserwując dziennikarza.

Pół godziny wcześniej zdarzyło się coś, co mocno zaniepokoiło zabójcę.

Zimny odebrał telefon komórkowy i po krótkiej rozmowie zaczął się zachowywać zupełnie inaczej. Wyraźnie pobladł i zdradzał objawy zdenerwowania. Krople potu na czole, gęsia skórka. Dodatkowo zaczął ukradkiem oglądać wszystkich sąsiadów, co spowodowało zapalenie czerwonej lampki alarmu w głowie Krugera.

Czyżbyś mnie szukał?

Spokojnie wyczekał, aż Zimny otaksuje jego postać i uzna ją za nie wartą zainteresowania. Kruger nie wyglądał na zawodowego zbójcę. Z łysiną, grubymi okularami i nadwagą, bardziej przypominał nauczyciela czy urzędnika.

Z drugiej strony, czy filmowi aktorzy jak Fox czy Malkovich pasowali do obrazu zawodowych zabójców? A zagrali ich znakomicie, kreując wyrazisty wizerunek i wzbudzając znacznie większe przerażenie niż wielu umięśnionych herosów kina razem wziętych.

Zabójca uśmiechnął się pod nosem.

Dużo poświęcił, by jego ciało, sylwetka i twarz nie zdradzały umiejętności, inteligencji i wewnętrznej siły. Dzięki temu wszyscy przeciwnicy go lekceważyli. Popelniając ostatni błąd w życiu. Nieodwracalny.

Kilkanaście minut później Kruger posłyszał w oddali syrenę policyjną. Dobrze znał ten sygnał i potrafił odróżnić go od syreny strażackiej czy pogotowia ratunkowego. Kiedy trzy minuty później radiowóz parkował piętnaście metrów od kawiarenki, Kruger zareagował błyskawicznie, choć z wyrachowanym spokojem. Sięgnął po marynarke, plastikowy kubek z kawą i ze zwieszoną głową, udając zabieganego urzędasę, który nagle przypomniał sobie o konieczności wysłania jakiegoś pisma faksem, wyszedł z kawiarni. Policjanci z radiowozu właśnie meldowali przybycie na miejsce. Nie wychodzą. Czekają na kominiarki?

Jeśli policjanci rzeczywiście czekali na ekipę uderzeniową w czarnych mundurach i kominiarkach na twarzach, to Kruger miał jeszcze sporo czasu.

Przeszedł pośpiesznie w kierunku pasów i korzystając z zielonego światła przebiegł na drugą stronę Marszałkowskiej. Przy Placu Defilad wybrał najbliższego od ulicy fast fooda i zamówił kebab.

Pochłaniając baraninę przyprawioną na ostro sosami z kwaśnej śmietany i orientalnymi przyprawami obserwował, jak sto metrów dalej przy kawiarence internetowej pojawia się bmw z kilkoma funkcjonariuszami ABW i kolejna furgonetka policyjna.

Zabezpieczyli miejsce akcji, starając się nie wzbudzać sensacji i wyprowadzili dziennikarza z kawiarenki, legitymując jednocześnie wszystkich gości w lokalu oraz wyrzykowo osoby zgromadzone wokół.

Kiedy policjanci pakowali Zimnego „na pakę”, Kruger zrozumiał, że zadanie skomplikowało się bardzo mocno, a może nawet stało się niewykonalne. Zabójca wiedział też, że jego tożsamość właśnie została spalona. Jak na mnie trafiliście?

Pytanie ważne, ale tak naprawdę bez znaczenia.

Wytarł chusteczką resztki mięsa i sosu z okolicy ust i

wyrzucił do kosza na śmieci opakowanie, wkładając wcześniej do niego niepotrzebny już paszport na nazwisko Kruger.

Ewelina z ulgą przyjęła wiadomość, że Zimny został zatrzymany i przewieziony na Rakowiecką. To były wyjątkowo ciężkie godziny jej życia. Wciąż nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Dwie godziny temu zadzwonił do niej Piotr i bez żadnych wstępów zaczął wypytywać o Zimnego.

- Masz jakiś kontakt z nim? Zawahała się, ale przytaknęła.

- Więc dzwoń i przekonaj pismaka, żeby jak najszybciej udał się na najbliższy komisariat albo - jeśli tylko jest w miejscu publicznym - niech pozostanie na miejscu i poczeka na naszych ludzi. Musimy go natychmiast zatrzymać.

- I ja mam ci w tym pomóc?

Wtedy Piotr powiedział jej o dziwnym osobniku, którego ABW wychwyciło z fałszywym paszportem na nazwisko Kruger i międzynarodowym śledztwie, wszczętym już w tej sprawie. Prokuratura krajowa otrzymała natychmiast informację o zdarzeniu, a godzinę później powołano specjalny zespół roboczy.

- Pech chciał, że zostałem szefem - rzekł Piotr.

- Pech?

- Cóż, zważywszy na okoliczności, może to i szczęście. Ale ja mam na głowie już cztery duże śledztwa, więc po co mi kolejne?

- Co ten Kruger ma wspólnego z Zimnym?

- Ewi, to nie jest zwykła sprawa.

- Mów otwarcie!

- To nie takie proste. Zadzwoni najpierw do Zimnego...

- Już dzwoniłam. Ma wyłączoną komórkę.

- Cholera!

- Co jest grane, Piotr?

- Kruger może być zawodowym zabójcą, który ma za zadanie zlikwidować Zimnego.

Ewelina zaniemówiła. Wiedziała, że Piotr nie żartowałby w takiej sprawie.

- Technicy w hotelu w Krakowie zabezpieczyli ślady po Krugerze i przesłali je do laboratorium. Przed chwilą dostaliśmy wstępne dane. Wskazują jasno na związek tej osoby z kilkoma a może nawet kilkunastoma zabójstwami w całej Europie. Między innymi u nas - Piotr zawahał się, ale dodał: - Być może miał coś wspólnego ze śmiercią Generała.

- To niemożliwe. Przecież trwa już proces zabójców.

- To prawda, ale wiesz, że mamy w tej sprawie wiele wątpliwości. Przybyła nam jedna dodatkowa. Ten Kruger był na miejscu zbrodni. Był tam, gdzie zamordowano Generała. Wierzysz w przypadki? Bo ja nie.

- Rozumiem.

- Był też w kilku innych miejscach, przez co ma swoją dość znaczącą pozycję w kartotekach Interpolu. Ale do dziś to były tylko ślady, bez postaci, nazwiska, personalizacji. Choćby fałszywej. Pan X. Policja w kilku krajach ściagała ducha.

- Skąd przyszło wam do głowy, że dostał zlecenie na Zimnego?

- Zalogował się w hotelowej kawiarence w internecie i szukał w sieci informacji o Zimnym. W Polonii znaleźliśmy materiały na temat tego pismaka. To właściwie pewne. Musimy jak najszybciej go złapać. Chłopaki z ABW już namierzają jego komórkę. Ale jeśli wyjął baterię może być problem. Ewelina przez cały czas trwania tej rozmowy, wybierała z drugiego aparatu numer Zimnego. Ciągłe był niedostępny. Nie mogąc pozbierać myśli i czując coraz większe zdenerwowanie, klikała przypadkowo na foldery komputera. Niespodziewanie wyświetliła historię przeglądania stron w Firefoksie, zawahała się, ale potem wyświetliła na pełnym ekranie drzewko z historią

przeglądania stron. Tak jak dostrzegła wcześniej, jej chłopak kasował pliki cookies i historię przeglądania. O dziwo był w tym bardzo skrupulatny. Zbyt skrupulatny.

Ewelina uruchomiła specjalny program do odczytywania zmian w komputerze, który zainstalowała bardzo dawno temu, lecz nigdy nie używała. Była przekonana, że nie będzie tego potrzebować, ale postanowiła mieć w zapasie, na wypadek działań służb kontrolnych czy własnego niedbalstwa. Uruchomiła program, wpisała komendę skanowania przeglądarki Firefox i oniemiała.

Miała przed sobą pełną historię aktywności Radka w sieci. Nie trzeba było dalej się w nią wczytywać, by zrozumieć, dlaczego starał się ją ukryć.

Zanim zdążyła zawyć z wściekłości, rozplakać się czy rzucić z okna, ustawiony na automatyczne wybieranie numeru telefon dał znać, że Zimny znajduje się po drugiej stronie linii.

- Kruger użył karty kredytowej w kawiarence Helios - rzucił jeden z techników z Centrum Operacji Antyterrorystycznych.

- Zapłacił za godzinę ko -rzystania z komputera.

- Wyślij tam radiowóz - rzucił Piotr do oficera łącznikowego.

- Adres?

- Marszałkowska, numer... - technik wpatrywał się przez chwilę w ekran, a potem szybko podał właściwe namiary.

W ciągu trzech minut na Marszałkowską jechała też ekipa uderzeniowa ABW i dwa inne radiowozy. Kwadrans później Piotr przyjął z satysfakcją i odrobiną niepokoju informację od Eweliny. Zimny znajdował się w tej samej kawiarence.

- Nie pomyliliśmy się, chłopcy - podsumował.

Efekt akcji rozczarował go. Zabójca zdołał się wymknąć. Przez chwilę prokuratorowi przemknęła myśl, że gdyby Kruger zdążył zamordować Zimnego, ekipa dochodzeniowa mogłaby go złapać na gorącym uczynku.

Rozdział 38

*Miliony ludzi ma płytką,
ale dość komfortową egzystencję
– nic nie podnieca ich bardziej,
niż oglądanie lub czytanie o zabijaniu.*

Erich Fromm

Stańczyk podejrzewał, że w wielu miejscach opowieść Trybuchowskiego może być ubarwiona, zmyślona lub nieprawdziwa, ale w sumie trzymała się kupy. Zbyt inteligentny, osamotniony i zdeprawowany przez własny umysł dzieciak mógł wymyślić i zrealizować podobną intrygę przy pomocy swojej dziewczyny. Pytanie: czy ona z nim współpracowała, czy była podobnie jak Trybuchowski ofiarą mogło okazać się szalenie istotne dla sprawy.

- Nie chciałem pana pytać o tę dziewczynę przy żonie - zagaił Trybuchowski, gdy wyszli sami na zewnątrz.

- Ale czy to pan wrzucił jej zdjęcia do sieci?

- O jaką dziewczynę pan pyta?

- Tę ze zdjęć, którymi szantażował pana Ochnik. Nazywała się Katarzyna Mączyńska.

- Ja jej nie znałem. Nie wiem, o czym pan mówi. Jestem też prawie pewien, że na tych fotkach Ochnika to nie byłem ja tylko ktoś inny.

- To po co pan płacił? Trybuchowski wzruszył ramionami.

- Już panu mówiłem. Nie były to kwoty, których było mi żal za święty spokój, a chłopak mnie początkowo intrygował.

- I to nie pan przekupił Belzę, żeby ten zatuszował śledztwo w sprawie samobójczej próby Mączyńskiej?

- Kogo?

- Tej dziewczyny ze zdjęć - cierpliwie przypomniał Stańczyk.

- Próbowwała popełnić samobójstwo, bo ktoś umieścił jej fotki

w negliżu w internecie.

- To jakieś koszmarnie bzdury - Trybuchowski był autentycznie wzburzony. - Nie znam tej dziewczyny, nie umieszczałem żadnych zdjęć. Nie przekupywałem Bełzy, żeby ten cokolwiek tuszował. Nie mam z tym nic wspólnego!

- Mączyńska zginęła niedługo potem w wypadku samochodowym w Rzeszowie. O tym też pan nic nie wie?

Trybuchowski złapał się za głowę. O ile Stańczyk znał się na ludziach, tym razem wiceprezes KDI nie kłamał. Komisarz miał wrażenie, że biznesmen jest gotów przyznać się do wielu innych, prawdziwych przestępstw, byle tylko nie posądzano go o coś, czego nie zrobił.

- Proszę posłuchać - powiedział powoli. - Mogę panu przysiąc na wszystko, co dla mnie najświętsze, że nie mam z tym nic wspólnego. Jeśli... na tych zdjęciach to byłem nawet ja, to to też był jakiś podstęp. Ja tego nie pamiętam. Ktoś musiał to uknuć.

Stańczyk zastanawiał się przez chwilę, na ile może osłabić pozycję procesową ujawniając i konfrontując dotychczasowe ustalenia z podejrzanym. Coś go jednak niepokoiło. Wyjął wizytówkę baru Sabat i pokazał ją Trybuchowskiemu uważnie obserwując reakcję.

Nic. Biznesmenowi nie drgnęła nawet powieka.

- Nie zna pan tego lokalu?

- Słyszałem o nim, ale nigdy tam nie byłem.

- To dziwne, bo w tym lokalu czekał pan na Ochnika i jego dziewczynę, a potem ją uwiódł, co chłopak udokumentował i czym pana potem szantażował. W lokalu nawet dziś pana rozpoznają - komisarz mówił jednostajnym tonem, bez emocji. Tym samym tonem zablefował: - Obsługa nie zauważyła, żeby tego wieczora był pan specjalnie wstawiony czy otumaniony jakimiś środkami. Powinien pan to pamiętać.

-Ale to nie byłem ja - krzyknął na cały głos Trybuchowski.

Świat wokół nich zamarł, ludzie patrzyli z ciekawością na tych dwóch jakże różnych mężczyzn gotowych za chwilę rzucić się sobie do gardeł. - Nigdy nikogo nie zabiłem, nigdy tak naprawdę nie zrobiłem nikomu krzywdy, staram się być uczciwy, choć w biznesie jest to trudne. Wiele mi pan może zarzucić, ale nie morderstwa. Nie jestem zabójcą.

- Ale zabójcy pana pociągają? - zmienił nieco front Stańczyk.

- Co to za kolejne bzdury?

- Po co pan szukał w sieci informacji o Karolu Kocie tuż przed morderstwem Ochnik?

- To jakaś kolejna prowokacja. Nigdy nie szukałem żadnych informacji o żadnym Kocie. Gdyby nie ta sprawa, nawet bym nie wiedział, że ktoś taki istniał. Mimo że jestem Krakusem, takie ludowe legendy o jakimś mordercy mam w nosie.

- Kłamie pan - Stańczyk patrzył biznesmenowi prosto w oczy. Nie czuł nienawiści ani złości. Ale chciał zobaczyć strach i porażkę w tych nie tak daw -no pewnych siebie, nawykłych do oglądania luksusu oczach. - Nasi eksperci sprawdzili wychodzące z pana komputera pytania. Mamy twarde dowody, że przeszukiwał pan sieć pytając o Kota.

- To jakieś jaja? To nieprawda. Rozumie pan: NIEPRAWDA! Stańczyk zawahał się, a potem nagle, w jednej chwili zrozumiał. Zrozumiał jak bardzo się pomylił, jak wiele błędów popełnił i co musi zrobić, żeby je naprawić. Zadał Trybuchowskiemu dla niepoznaki jeszcze parę pytań, po czym pożegnał biznesmena i ruszył w przeciwnym kierunku. Śpieszył się. Wiedział już, kim jest morderca.

Wsadzili go do jakiegoś pokoju i przez godzinę nie dali nawet szklanki wody. Potem pojawiła się babka w mundurze i zapytała czy chce kanapkę.

- Przydałaby się szklanka wody.

- Na korytarzu stoi dystrybutor.

Zimny wyszedł z pokoju zdziwiony, że nikt go nie pilnuje.

Gliniarze, którzy wyciągnęli go z baru, sami nie wiedzieli co się dzieje, więc na razie musiały mu wystarczyć wyjaśnienia przekazane telefonicznie przez Ewelinę.

- To piekielnie ważne, żebyś słuchał się policjantów i nie sprzeciwiał poleceniom. Wkrótce wszystko ci wyjaśnimy - zakończyła.

Ok. Wierzę jej. Ufa. Nie ma innego wyjścia.

Teraz mógł nawet czmychnąć z tego ogromnego budynku, tylko co by to dało? Na pewno nie przybliżyłoby go do wyjaśnienia całego incydentu. Pozostało czekać.

Wyjrzał przez okno na dziedziniec, przed którym panował ruch jak w ulu. Większość przechodniów miała na sobie mundury różnych formacji lub garnitury. Co chwilę sprzed budynku wyjeżdżała rządowa lancia czy skoda. Z okna widział też jedną z głównych dyżurek ze szlabanem i dwoma uzbrojonymi żołnierzami.

Nie było wątpliwości, że jest w jednym z budynków kompleksu rządo -wo -policyjnego w kwadracie ulic: Rakowieckiej, Wiślanej, Batorego i Pu -ławskiej. Mieściła się tu główna siedziba MSWiA oraz ABW, dziesiątki przybocznych budynków, komórki policyjne, wewnętrzna poczta służb. No to trafiłem do paszczy lwa.

Był też ciekaw, dlaczego nie umieścili go w Areszcie Śledczym znajdującym się na terenie, który był jednym z najbardziej znanych takich miejsc w Polsce? Trzymano tu kiedyś więźniów politycznych, teraz znanych aferzystów i rozpracowywanych przez służby specjalne zbrodniarzy. Zimny wziął szklankę wody i wrócił do pokoju. Daliby chociaż gazetę.

Po następnej godzinie oczekiwania do pokoju wszedł wysoki 30-latek w garniturze, ale z wojskową postawą.

- Kapitan Jońca - przedstawił się.

- Jestem oficerem prasowym MSWiA. Poproszono mnie, żebym dotrzymał panu towarzystwa. Za kilka minut

powinien przyjechać prokurator i wszystko panu wyjaśnić.

Kruger kupił w Złotyach Tarasach lornetkę, wjechał schodami ruchomymi na trzeci poziom i przyjrzał się okolicom Polonii. Kwadrans obserwacji wystarczył, by zlokalizować trzech funkcjonariuszy polskich służb specjalnych obserwujących wejście. W środku prawdopodobnie czekał jeszcze jeden albo dwóch, a na górze w wynajętym przez niego pokoju roilo się pewnie od techników zabezpieczających ślady. Przez chwilę zastanawiał się, czy mogą znaleźć coś, co powinno go niepokoić? Co poszło nie tak?

Schował lornetkę do torby i ruszył na dół. Miał kłopot. Musiał postarać się o dodatkową fałszywą tożsamość, przycząić na kilka dni, opracować szczegółowy plan ucieczki z Polski, a być może nawet z Europy.

Zleceniodawca słuchał z przerażeniem relacji kreta, którego opłacał od pięciu lat podobnie jak kilkudziesięciu innych prokuratorów, funkcjonariuszy służb, lobbystów i asystentów poselskich. To była prawdziwa armia darmozjadów.

Nieocenionych jednak w sytuacjach kryzysowych. Kiedy kret wyszedł, połączył się z gabinetem i poprosił sekretarkę o przysłanie jednego z najbliższych asystentów. Tylko oni dwaj wiedzieli o zleceniu.

- Trzeba odwołać akcję - powiedział Zleceniodawca. - Nie możemy te -raz pozwolić sobie na taki skandal.

Przedstawili mu się, ale Zimny nie zapamiętał nazwisk. Naprzeciwko dziennikarza siedziało sześciu facetów i jedna kobieta. Tylko z zapamiętaniem jej imienia i funkcji nie miał kłopotu. Ewelina uśmiechnęła się nie -znacznie, gdy Zimny drapał się po głowie i starał zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Chcecie mi powiedzieć, że ktoś dybie na moje życie? Na

dodatek wynajął zawodowego zabójcę i był gotów za to zapłacić?

-I to całkiem sporo - powiedział facet siedzący przy Ewelinie.

- Taki zabójca jest bardzo drogi.

- Mogli mi zapłacić, sam bym się zamordował - mruknął pod nosem. Oficjele pominęli tę uwagę.

- Jak pan myśli, kto może być zleceniodawcą?

- Tylko jedno przychodzi mi do głowy - Zimny opowiedział o konflikcie z KDI oraz sprawie KNF, ale zauważył, że żaden z obecnych nie przysłuchuje się jego wywodowi.

- Mamy propozycję, żeby został pan pod naszą ochroną. Możemy przydzielić panu funkcjonariusza i postawić radiowóz koło domu. Jednak najlepiej będzie chronił się pan sam. Proszę zmienić przyzwyczajenia. Najlepiej, jakby pan wyjechał na jakiś czas.

Zimny pokręcił głową.

- Nie chcę ochrony.

Po godzinnej naradzie, która właściwie nic nie przyniosła, pięciu facetów wyszło z sali i została tylko Ewelina i prokurator z Prokuratury Krajowej, do którego Talar zwracała się per Piotr.

- Powinieneś zgodzić się na ochronę - skarciła Zimnego Ewelina. - Ten zabójca to może być naprawdę groźny gość.

Piotr potwierdził skinieniem głowy.

- Mamy co do niego pewne podejrzenia. Dla pewności tylko uprzedzę, że wszystko o czym rozmawiamy, stanowi tajemnicę śledztwa. Nie może pan tego ujawnić.

- Mam gdzieś tajemnice. Jestem dziennikarzem.

- Ale masz też obowiązek chronić źródła i informacje z klauzulą tajności - przypomniała mu Ewelina i dodała uspokajająco: - Nie kłóćmy się, jesteśmy po jednej stronie.

- To prawda - potwierdził Piotr nieco chyba zaskoczony, że Talar zwróciła się do dziennikarza po imieniu. - Mamy do czynienia prawdopodobnie z wytrawnym zabójcą

wyszkolonym przez polskie służby specjalne jeszcze w czasach PRL. To nie przelewki. Prawdopodobnie zorientował się już po Pana zatrzymaniu, że jesteśmy na jego tropie i zmieni wszystkie plany, być może nawet zrezygnuje z wykonania zlecenia.

- Możliwe też, że zleciodawca cofnie je w obecnej sytuacji - wspomniała Ewelina. - Ale nie możemy za bardzo na to liczyć. Poza tym, za dwa miesiące znów może cię zacząć ścigać jakiś zabójca.

- Kurwa, to jakieś bzdury - warknął Zimny. - Przecież u nas nie zabijają dziennikarzy. To nie Rosja.

Piotr skrył twarz w dłoniach ze zmęczenia.

- To nie do końca tak. Dziennikarze może i u nas nie giną dla przykładu, ale jeśli chodzi o dziwne wypadki lub zaginięcia, to mamy niestety czym się martwić. Pewnie nikt pana nie zastrzeli ani nie podłoży bomby, ale może się panu przytrafić zawał, wylew czy nagły atak epilepsji.

- Co mogę zrobić?

- Najlepiej zmienić zawód.

Rozdział 39

*Największa wina jest w tym,
kto nie chce słuchać prawdy.*

Cycon

Stypułkowski zagryzł wargi z wściekłości. To nie może tak być.

Trudno było mu pogodzić się z aresztem, atakiem na ich spółkę i działaniami prokuratury, ale jeszcze trudniej zrozumieć brak zainteresowania mediów całą sprawą, postępowanie oficjeli, polityków i urzędników oraz reakcję na ich działania prawne. A właściwie brak reakcji.

Gdyby nie Zimny, dziś nikt by nie ujawnił tych machlojek. Może gdyby nie dziennikarz, zgniłbym w więzieniu. Ale dlaczego wielkie media to olewają? Przecież to temat dnia, materiał niemal na Pulitzera.

Epilog sprawy nawet dla niego był zaskakujący. Oczywiście dobrze znał KDI. Dobrze wiedział, że postępują nieetycznie, płacą łapówki i wynajmują prostytutki, żeby uatrakcyjniały przeprowadzane przez nich oferty publiczne. Tak naprawdę jednak nie spodziewał się znaleźć w dokumentacjach KDI niczego istotnego. W sumie nawet wydawało mu się, że są do siebie podobni, że mają podobne podejście do świata i najwyżej stawiają te same wartości.

Tymczasem maklerzy okazali się wilkiem w owczej skórce. Na dodatek wyjątkowo nieostrożnym, niechlujnym, a rzeczywistość przyniosła zaskakujące ustalenia. Mafijne powiązania, inwestycje hazardowe, wyrok za oszustwa, udział w gangsterskich rozgrywkach.

Niemal jak z tej książki, którą polecił mu Zimny. Co za kraj?

Stypułkowski zawsze starał się postępować fair. Nie znaczy to, że nie chodził na skróty czy też nie wykorzystywał prawa

w celach moralnie wątpliwych. Ale zawsze był w porządku wobec własnego wewnętrznego dekalogu zbliżonego do kościelnych przykazań.

Prawo istnieje po to, żeby je przestrzegać. Co nie znaczy, że nie można go wykorzystywać. Ale są rzeczy, których nie można robić.

Taka jest pomiędzy nami różnica, panowie. Ja nie posunę się do przekroczenia granicy, żeby zarobić kasę.

Stypułkowski spojrział na zdjęcie żony i dzieci. Nie można tego tak zostawić. Coś trzeba zmienić.

- Więc to nie KDI? - zdziwił się Zimny, gdyż prokurator zasugerował, że zleceniodawcą Krugera jest prawdopodobnie ktoś zupełnie inny.

- Nie - Piotr pokręcił głową z ironicznym uśmiechem.

- Zdaje się, że ci maklerzy nawet nie wiedzą w jakie gówno wdepnęli. Nie mają pojęcia, że jeden z ich koleś dla rozrywki wyrzuca żony przez okno, drugi nazywa się zupełnie inaczej niż w papierach, a w firmie trzeciego jest więcej agentów WSI i SB niż ziarenek w piaskownicy.

- Myślałem, że to pravicowcy? Wspierają kościół, media religijne...

-I co z tego? Właśnie do takich zaciętrzewionych patrzących ciągle

w przeszłość baranów najlepiej się przykleić dla niepoznaki. Agenci śpiochy. Wie pan ilu ich jest w Opus Dei? Niemniej jednak to wszystko to niegroźna zabawa w porównaniu z tym, w co się wpakowali.

- To znaczy?

- Mówi panu coś nazwisko Maciarz?

Roman Gutek wrzucił ostatnią monetę do automatu i pociągnął za ramię jednorękiego bandyty. To już ostatnia.

Obiecał sobie, że dziś nie przegra więcej niż tysiąc. A to dobre. Obiecał sobie, że dziś w ogóle nie przegra. To miał być

jego szczęśliwy dzień, dzień, w którym będzie mógł się w końcu odkuć. Ale nie był. Ostatnia moneta zniknęła w maszynie, a Roman nie miał już ani grosza, żeby się odegrać. Znowu przegrał wszystko.

Ale nie zawsze tak było.

Kiedy jeszcze miał żonę i dzieci, zdarzało mu się wygrywać. I to duże sumy. Kiedyś po sesji pokera przyniósł do domu kwotę, za którą można było kupić samochód. I kupił. Dużą, przestronną hondę legend, którą pojechali całą rodziną na wakacje. Ale wracać musieli już pociągiem, gdyż Romek przegrał samochód u miejscowych.

A tak dobrze mu szło.

Od pięciu lat nie miał już żony, a po tym jak zwędził synowi odkładane na motocykl kieszonkowe, nie miał też dzieci. Nie chciały go znać.

Pogodził się z tym, ale kiedy nocami przebywał sam ze sobą, tłumaczył że to tylko przejściowe. Że jak w końcu uda mu się trafić „szóstkę”, to wszystko się zmieni. Wtedy docenią to, co robił i zrozumieją.

Roman oszukiwał się tak od wielu lat. Do ostatniej złotówki. Automat połknął ostatnią monetę i zaśmiał się z niego szyderczo pokazując napis Game Over. Barman popatrzył krytycznie i pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: Chłopie, spójrz na siebie.

Kiedy Roman wychodził z baru zobaczył jakiegoś gościa, który mu się intensywnie przypatrywał.

Czy my się znamy? Nie, chyba nie.

Odwrocił głowę i ruszył do wyjścia, ale tamten go dogonił.

- Hej, Romek. Poczekaj.

Roman wzdrygnął się. To nie mogło być nic dobrego. Może był mu winien jakąś kasę?

- No, cześć - ponownie zagaił tamten. - Nie uciekaj.

- Jestem spłukany. Nic nie mam.

- Ale ja nic od ciebie nie chcę. Wręcz przeciwnie. Masz

ochotę na partyjkę? - wskazał na automat.

- Mówiłem ci, że się splukałem.

- Ja stawiam.

Roman popatrzył podejrzliwie. Przeczucie podpowiadało mu, że nie może zaufać temu gościowi. Mimo to zawahał się. Wyglądał podobnie do niego. Około 50 lat, łysiejący, lekka nadwaga i ten sam błysk w oku. Błysk nałogowca. Byli do siebie podobni. Cóż, przeczucie wiele razy go myliło.

Kapitan Hubert Rozwadowski zarzucał sieć.

W ciągu kilku godzin po zatrzymaniu Zimnego zorientował się, że nie ma co liczyć na pojawienie się Krugera w Polonii. Mimo to zostawiono tam jednego agenta i poinstruowano personel na wypadek powrotu gościa. Jednak Kruger był na to za sprytny. Tak łatwo nie dasz się złapać?

Rozwadowski wiedział, że muszą działać szybko a i tak szanse na zło -wienie ptaszka były coraz mniejsze. Agenci ABW obstawili wszystkie warszawskie dworce, wzmożono kontrolę na lotnisku i na drogach. Monitorowano kradzieże pojazdów, analizowano drobne kradzieże - szczególnie portfeli i toreb z dokumentami - oraz rozboje i inne zdarzenia, które Kruger mógł wykorzystać do wymknięcia się z sieci.

- Co byś zrobił na jego miejscu?

Rozwadowski oderwał wzrok znad komputera w centrum dowodzenia i popatrzył na dowodzącego operacją głównego specjalistę z Rządowego Centrum Bezpieczeństwa.

- Zaszłybym się i przeczekał.

- Przecież nikogo nie znasz w mieście albo nie możesz szukać znajomych, więc?

- Najlepiej znaleźć jakiegoś pedała albo innego dewianta. -A może ma drugi paszport i już dawno go u nas nie ma? Rozwadowski pokręcił głową przecząco.

- Jest zbyt ostrożny. Noszenie ze sobą dwóch dokumentów

to zbyt duże ryzyko. Prawdopodobnie był stuprocentowo pewny dokumentów na nazwisko Kruger.

- Dewianta mówisz?

Rozwadowski pokiwał smutno głową. Nie widział wielkich szans na złapanie Krugera.

- Maciarz? Gdzieś chyba słyszałem to nazwisko? - zażartował Zimny. Piotr westchnął ciężko.

- Jeden z najbogatszych Polaków, w rankingach biznesowych tuż za Kulczykiem, Krauze i Karkosikiem. Gigant miedziowy i chemiczny, jeden z naj-większych inwestorów na giełdzie, zaangażowany w piętnaście spółek o łącznej kapitalizacji ośmiu miliardów złotych. Absolutnie pierwsza liga biznesowa.

- Tak. A do tego koneser sztuki, filantrop, mecenas i dobroczyńca - Zimny uśmiechnął się złowieszczo. - Trudno zliczyć przedsięwzięcia, które wspiera?

-W kościele, kulturze i sporcie - przytaknął Piotr - chyba wszystkie organizacje społeczne dostały od niego mały procent. Zna większość polityków, ich córki i synów zatrudnia w sześćdziesięciu czterech firmach, które kontroluje. Ochroną spółek zajmuje się dziesięciu byłych agentów wywiadu, w centrali pracuje dwóch byłych generałów, dawni szefowie Urzędu Ochrony Państwa a nawet agent CIA. Chronią jego interesy, jak tylko potra -fią. Używając nabytych umiejętności, wykorzystując doświadczenie i znajomości.

- Wszyscy tak robią. Wszyscy zatrudniają byłych agentów i robią sobie relacje. Czy rzeczywiście jest w tym coś złego? Co macie na Maciarza?

Piotr przez chwilę szukał słów.

- Dwadzieścia pięć lat temu Zenon Maciarz wyjechał z Polski do Niemiec bez grosza przy duszy. Zaraz po transformacji wrócił z milionem dolarów. Do dziś nie udało nam się ustalić,

jak do niego doszedł, ale na pewno nie miał tych pieniędzy ze źródeł, o których mówi oficjalnie.

- To znaczy?

- Nieważne. Jego opowieści to bajki, bez znaczenia dla sprawy. Przez kolejne dziesięć lat staje się jednym z najważniejszych ludzi w Polsce. Zna prezydenta, premierów, polityków, prokuratorów, sędziów, księży. Wszystkich. Takich ludzi się nie tyka.

- Więc co pan tu robi?

- Dziesięć lat temu byłem młodym prokuratorem w Gdańsku, który dostał polecenie zbadania podejrzanych transakcji pomiędzy jedną ze spółek energetycznych a charytatywną organizacją kościelną. Na moje biurko trafiła teczka, którą miałem przerzucić do akt nierozwiązanych. No, bo kto by się czepiał franciszkanów, którzy jeśli zrobili coś złego, to pewnie z powodu niewiedzy. Akta miały kilkanaście stron, więc przeczytałem je dość uważnie. I sprawa szybko przybrała zupełnie inny obraz.

- Fundacja Deus? - Zimny przypomniał sobie tamtą głośną sprawę

- To pan prowadził to śledztwo?

- Tak - powiedział Piotr i uściślił - Ja wciąż je prowadzę. Choć nieformalnie, bo prowadzenie poszczególnych postępowań przejęli inni prokuratorzy. Mnie awansowano.

Deus była fundacją franciszkanów, którą pięć lat temu oskarżono o handel fałszywymi fakturami VAT. Fundacja stworzyła spółkę, która zamiast zajmować się działalnością statutową wystawiała fikcyjne faktury na firmy, które chciały wyprać jakieś lewe fundusze. Szybko okazało się, że w obrót lewymi fakturami była zamieszana cała masa firm w Polsce: od największych korporacji po maleńkie jednorodzinne spółki. Wielu polityków robiło, dzięki lewym papierom, znakomite interesy a Polska szybko stawała się krajem bogaczy. I podziałów.

Zimny jak dotąd nie wiedział, że Maciarz odegrał w tym jakąś rolę.

- Nie wiedziałem, że i on się w to zaplątał.

- Zaplątał? On to wymyślił. Był spiritus movens całej tej akcji prania kasy na wielką skalę. To od niego szła cała masa fikcyjnych transakcji, które kończyły się zyskami dla rodzin czy spółek powiązanych z premierem rządu, prezydentem i innymi notablami.

- Opremierze słyszałem, ale prezydent? Piotr pokiwał głową.

- Jak tylko zobaczyłem ten cały syf, wiedziałem, że albo to koniec mojej kariery albo wielki przełom. Niestety, okazało się, że ani to ani to.

- Jak to? Przecież sprawa stała się głośna - mruknął Zimny.

- I co z tego? Oczywiście, dostałem nagrodę i szybki awans. Równie

szybko odebrano mi tę sprawę, bo awans automatycznie tym skutkował. Słyszał pan pewnie, że awans jest najlepszym sposobem na pozbycie się zbyt dociekliwych policjantów, prokuratorów i agentów?

- Mówiłam mu już - wtrąciła Ewelina.

- Nie mogą narzekać - kontynuował Piotr - bo przecież dostali awans, czyli nagrodę, a nie naganę. Nikt im nic nie zabiera i nie karze. Tak po prostu jest. W każdym razie - przez kolejnych pięć lat kolejni prokuratorzy tuszowali, co się da. Nie mam do nich pretensji. Naciski były zbyt duże. W pewnym sensie nawet to rozumiem. Gdyby chciało się wyjaśnić tę aferę, trzeba byłoby zamieść do kosza tyle osób i układów, że całkowicie zmieniłoby to porządek społeczny i polityczny w kraju.

- Przecież są politycy z innych opcji.

- Politycy są politykami. Proszę mi wierzyć, nikt nie jest zainteresowany tym, żeby wszystko do końca wyjaśnić. To jak przechodzenie długim korytarzem, pełnym wysokich drzwi. W pewnym momencie kolejne drzwi się nie otwierają,

a pan musi stanąć i poczekać, aż ktoś je otworzy. Jak nie zna pan magicznego słowa, będzie musiał się pan wrócić do samego początku i zaczynać od nowa.

Ewelina westchnęła wyraźnie znudzona ich pustą dyskusją.

- Przejdźmy lepiej do rzeczy, bo świata nie naprawimy. Mamy pewne podejrzenia co do pana Maciarza i sądzimy, że twoi przeciwnicy zaczynają wchodzić z nim w interesy.

- Coś o tym wiem - Zimny opowiedział im, co usłyszał od Holdnera.

- Gaz łupkowy? Dobrze - roześmiał się Piotr. - Tak naprawdę jednak to bez znaczenia, w jakim opakowaniu sprzedajemy pustkę. Maciarz to jeden z większychmacherów, jakich urodziła ta ziemia. Niestety dla pana, to też zwykły morderca.

Rozdział 40

*W rzeczywistości nie poznajemy niczego, ponieważ
prawda kryje się w głębi.
Demokryt*

Komisarz miał dwie sprawy do załatwienia. Studio telewizyjne krakowskiego oddziału TVP było bliżej, postanowił więc zacząć od niego. Technik, który czekał na Stańczyka przy wejściu, jeszcze dwa lata temu pracował w Komendzie Wojewódzkiej, składając taśmy z wizji lokalnych. Skorzystał z pierwszej okazji, żeby uciec na policyjną emeryturę i złapał fuchę w TVP. Stańczyk mu się nie dziwił.

- Cześć, staruszk - technik poklepał go po plecach, a potem objął przyjaźnie.

Wspominali przez kwadrans, po czym w końcu technik wyciągnął rękę po nagranie, które Stańczyk miał w torbie.

- VHS? - zdziwił się.

- Nie chciałem nikomu zawracać głowy, dopóki nie będę pewien, że coś mam - wyjaśnił Stańczyk. - Nagrałem to na video z YouTube. To znaczy syn koleżanki mi nagrał.

- Nieźle - technik roześmiał się głośno.

- Zobaczmy, co tu mamy.

Na ekranie pojawiły się zdjęcia z konferencji, którą Zenon Maciarz odbywał w towarzystwie Karola Trybuchowskiego i Łukasza Rostowskiego w Warszawie w dniu, w którym zamordowano w Krakowie braci Skrzeczów. To było - jak dotąd, żelazne alibi prezesów KDI. Nie do podważenia.

Technik majstrował coś przy suwakach.

-I co ty chcesz wiedzieć?

- Podejrzewam tych dwóch gości, że wcale nie byli wtedy w Warszawie - mruknął Stańczyk. - Czy to możliwe?

- Chcesz obalić alibi?

- Właśnie.

- Cóż - technik uśmiechnął się zagadkowo.
- Wielu ludzi święcie wierzy, że jak na ekranie mają napisane „na żywo” albo „live” to tak jest w rzeczywistości. Przyzwyczaili się do transmisji sportowych. Po paru wypadkach telewizji niektórzy zrozumieli, że „na żywo” nie zawsze oznacza „live”, gdy puszczano na żywo wywiady nagrane dużo wcześniej.

-A więc mogę mieć rację?

Technik pokazał wskaźnikiem na ekran.

- Nie odpowiem ci na pytanie, kiedy zostało to nagrane. Ale mogę ci powiedzieć, że to nie było na żywo. To zmontowany materiał..

- Jesteś pewien.

- Na bank. Zobacz, te wstawki o tutaj mają zupełnie inną barwę niż zdjęcia z samej konferencji. Inne światło, inna pora dnia. Te zdjęcia są ze studia a te z pleneru. Nie można było tego zmontować na żywo. To musiało być sfilmowane dużo wcześniej. Małe oszustwo.

- Małe?

Technik wzruszył ramionami.

- Tak jak mówiłem, zdarza się. I rzadko wychodzi.

Barman w knajpie zapewnił Stańczyka, że bardzo chciałby mu pomóc, ale ponownie zapewnił, że nie jest w stanie sobie przypomnieć mężczyzny, z którym dziewczyna była tego feralnego dnia.

- Co to ma za znaczenie? Chyba nie oskarży pan gościa, że doprowadził dziewczynę do samobójstwa?

- Mam teraz lepsze zdjęcie - odparł Stańczyk. - Może pan zerknąć jeszcze raz?

- Pewnie - barman wzruszył ramionami a potem jego twarz nagle pobladła. - Zaraz, to nie tego gościa pan mi wtedy pokazywał.

- Tego, tego - zapewnił Stańczyk. Barman sięgnął po

kieliszek.

- No jak tego, to teraz sobie przypominam. To on.

- Jest pan pewien.

- Na stówę.

- Awidzi pan, jednak warto czasem zerknąć dwa razy.

Stańczyk wychodził z knajpy w wyjątkowo dobrym humorze. Poprawili mu go jeszcze spece od komputerów, od których telefon odebrał dziesięć mi nut później.

- Szeffie, jest pan tam?

- Pewnie. Udało się coś ustalić?

- Nie wiem, jak szef to robi, ale miał pan rację. Znaleźliśmy na kompie dokładnie to, czego pan szukał..

Stańczyk zakończył rozmowę i uśmiechnął się do własnych myśli. Pozostało jeszcze pogadać z dzieciakiem Ochnikowej i sprawdzić, czy DNA podejrzanego pasuje z zabezpieczonym na jednym z dowodów materiale.

Droga stawała się prosta.

Roman Gutek zawahał się po raz ostatni, po czym przekreślił kluczyk w zamku i otworzył drzwi swojego mieszkania na Nowym Świecie. Dostał je w spadku, po wuju. Było najcenniejszą rzeczajaką posiadał i którą zamierzał wkrótce opchnąć, by uzyskane środki pomnożyć w najbliższym kasynie i stać się milionerem.

- Ładnie mieszkasz - powiedział jego nowy przyjaciel, o zupełnie do niego niepasującym imieniu Dominik.

Roman czuł cały czas ten niepokój, dlatego wciąż odnosił się do Dominika z dystansem, ale jego obawy były głupie.

Przeżywam najwspanialszy dzień od wielu miesięcy. Dlaczego miałbym mu nie ufać.

Za pożyczone pieniądze i dzięki kilku radom Dominika, Gutek dziś nie tylko nie przegrał, ale udało mu się zarobić jakiś tysiąc złotych na czysto, po oddaniu pożyczonych pieniędzy Dominikowi. Gdy odbierał nagrodę, Dominik uważnie przyglądał się jego dowodowi osobistemu. A potem

wyjawił mu TAJEMNICĘ, która sprawiła, że Romanowi zadrżało serce.

- Chcesz wygrać naprawdę duże pieniądze? Takie, o jakich ci się nawet nie śniło?

Oczywiście, że chciał.

Dominik wyjawiał mu, że był przez lata ochroniarzem w jednym z kasyn i poznał sposób. System doskonały. Po zastosowaniu którego nie można przegrać.

- Masz może jakieś miejsce, gdzie spokojnie moglibyśmy o tym porozmawiać? - rozejrzał się znacząco - Bez świadków.

Roman początkowo chciał zapytać, dlaczego nowy przyjaciel sam nie skorzysta z doskonałego systemu, ale uznał, że takie pytanie mogłoby świadczyć o nieufności. A dlaczego miałyby być nieufny w stosunku do kogoś, kto bezinteresownie pożyczył mu pieniądze i pomógł się odegrać. Na pytania zawsze jest czas.

Zamknął drzwi na klucz i zaprosił Dominika do salonu.

- Napijesz się czegoś?

Nowy przyjaciel rozglądał się z ostentacyjnym zaniepokojeniem.

- Mieszkasz zupełnie sam w takiej chałupie?

- Tak wyszło. Spadek po wujku. Ale przynajmniej nikt nam nie będzie przeszkadzał.

- Tego właśnie mi trzeba.

Piotr rzucił na stół zbindowany zestaw wydruków. Zawierały głównie wycinki z gazet i zdjęcia.

Kontroler NIK ginie w wypadku. Nocna kraksa z udziałem oficera Centralnego Biura Śledczego. Generał Urzędu Ochrony Państwa ginie z ręki prostytutki. Minister Sportu odstrzelony na imprezie nad Wisłą. Były wiceprezes Urzędu Ubezpieczeń umiera na zawał w Niemczech. Gangsterskie porachunki w Panoramie. Klub zawodowych zabójców z Gdańska terroryzuje trójmiejskich przedsiębiorców. W Centrum Sportu powiesił się radny.

-I co? Chyba nie chce pan powiedzieć, że za tym wszystkim stał Maciarz?

Piotr milczał.

- No nie - Zimny nie bardzo to wszystko rozumiał. To przecież nie do wiary. - Pan jest gorszy niż Mel Gibson w „Teorii Spisku”.

-O ile się nie myłę, Mel Gibson w tym filmie miał w końcu rację. Ewelina kiwnęła tylko głową patrząc na Zimnego.

- To nie są spekulacje. Piotr wie, co mówi.

- Bez jaj. To dlaczego on jeszcze nie siedzi? - zapytał dziennikarz.

-I prawdopodobnie nie będzie siedział. Widzi pan, to wszystko nie jest takie proste. Maciarz prawdopodobnie nigdy nie zabił własnoręcznie człowieka, jest też raczej niemożliwe, żeby bezpośrednio zlecił komuś takie zadanie. Ma do tego kilka zaufanych osób, które szlify zbierały w dawnych służbach specjalnych. Im także najpewniej ktoś przekazuje polecenia. Jakiś consigliere, asystent, sekretarz. Podejrzewamy, że to człowiek o nazwisku Hubert Bednarz, wyjątkowo mroczny typ, osobisty ochroniarz Maciarza, który także fachu nauczył się w służbach. Kilkanaście lat temu był nawet oficerem Biura Ochrony Rządu, ale został po cichu zwolniony za gwałt na koleżance.

- Tylko zwolniony?

- Koleżanka nie chciała wnosić oskarżenia - Piotr wzruszył ramionami.

- Cóż, w każdym razie w środowisku polityków i biznesmenów od wielu lat krążą legendy na temat mocy pana Maciarza. Wiele ważnych osób i z lewa izprawa korzystało z jego usług.

- Jak u don Corleone - mruknął Zimny.

- Żeby pan wiedział. Ostatnio, w zakresie brudnej roboty, nasz don się uspokoił, mieliśmy nawet obawy, że tak bardzo stara się unormować prawnie swoją działalność, że

całkowicie wyrzuci Mr. Hyde'a ze swojego umysłu. Na szczęście dla nas i na nieszczęście dla pana myliliśmy się.

- Nie będziemy ci opowiadać wszystkich szczegółów, ale odtworzona obecnie sekwencja jest taka, że po rozmowach z twoimi przyjaciółmi z KDI, Maciarz prawdopodobnie się mocno zdenerwował i używając bezpiecznego telefonu zadzwonił do Bednarza. Potem rozmawiali około godziny w gabinecie prezesa, po czym Bednarz wyszedł na pocztę i stamtąd zadzwonił pod numer pewnej wiedeńskiej kancelarii prawnej dyskretnie obserwowanej przez Interpol i służby kilku państw. Kancelaria ta zadzwoniła do swojego zaufanego partnera, który z kolei skontaktował się z kilkoma osobami, w tym z osobnikiem, którego tożsamości nikt nie zdołał ustalić. Do czasu, gdy program szpiegujący ABW nie sprawdził pana Krugera z powodu drobnej nieścisłości - czasowego zameldowania się jednocześnie na kilka dni w hotelach w Krakowie i Warszawie. Pan Kruger przyjechał z Wiednia, wcześniej był zameldowany w hotelu Radisson. I to on spotkał się prawdopodobnie z łącznikiem z Wiednia.

- I ten Kruger ma zamiar mnie zamordować?

- Bez wątpienia tylko pana osoba w Polsce go interesowała. Teraz już chyba nie. Ale może wrócić za tydzień, miesiąc. Albo pojawi się ktoś następny.

- Dlaczego nie aresztujecie Maciarza?

- To tylko poszlaki, bardzo marne dowody - wyjaśniła Ewelina bez przekonania.

- Ja walczę z takimi mafiosami całe życie. Niech pan się nie łudzi, oni zawsze pozostają na wierzchu. Przychodzi fala, zalewa ich lub na chwilę pogrąża w odmętach, ale potem wypływają na wierzch. Jak śmieci. Śmieci zawsze pływają na powierzchni.

- Dopóki ich ktoś nie zbierze. Nie posprząta - zaznaczył Zimny. Piotr pokiwał głową i nalał sobie szklanke wody.

- Śledztwo trochę potrwa, może nawet doprowadzi do

przesłuchania Maciarza, ale konsekwencją tego będzie szybkie wzbogacenie kolejnej szczyhy w prokuraturze albo jakiegoś sędziego i być może mój kolejny awans skutkujący przejściem tej sprawy przez młodego, niedoświadczonego śledczego, który zrobi z pewnością równie oszałamiającą karierę.

- Może w końcu zrobią z pana prokuratora generalnego i wówczas będzie pan w stanie się z tym rozliczyć.

- Wątpię. Bardziej prawdopodobne, że spotka mnie jakiś nieszczęśliwy wypadek.

Hazardzista okazał się zaskakująco silny. Albo ja jestem już tak słaby.

Kruger bez trudu powalił go na ziemię i założył dźwignię na szyję. Ale mimo wielkiego wysiłku, nie był w stanie go udusić. Ofierze udało się włożyć ramię pomiędzy szyję a żelazny uchwyt Krugera, dzięki czemu morderca nie mógł skutecznie zakończyć duszenia. Przestał wkładać cały wysiłek w tę dźwignię i przez kolejne minuty odpoczywał, przygotowując plan ataku. Dawno się nie bił. Kiedyś był dobry w zapasach i walce w parterze, ale lata minęły. Mimo to błyskawicznie udało mu się przejść z poprzedniej pozycji do dźwigni nogami. Oplótl ciało ofiary zakładając trójkątne duszenie i wykręcając jednocześnie rękę Romana. To musiało piekielnie boleć. Jednak ofiara wciąż stawiała opór.

Hazardzista z czerwoną twarzą, ciężko dysząc, stawiał zaciekły opór jednocześnie patrząc z wielkim osłupieniem na napastnika. Dopiero trzeci atak przyniósł sukces.

Kruger porzucił nagle chwyt i dosiadł ofiarę w parterze rozbijając jej głowę celnymi ciosami w nos i skronie. Twarz hazardzisty pokryła się krwią, oczy - wciąż zaskoczone - zaszyły mgłą.

Jak to się mogło stać, że ten sympatyczny i przyjacielsko nastawiony człowiek okazał się bestią?

Kruger chwycił taboret i kilkakrotnie uderzył jego kantem w głowę ofiary.

Hitchcock miał rację, morderstwo gołymi rękami to wyjątkowo ciężkie zadanie.

Całkowicie wyczerpany Kruger leżał przez blisko pół godziny obok hazardzisty. Potem przeciągnął jego ciało do łazienki i wrzucił do wanny. Zanim ktoś go znajdzie, powinno udać mu się wyjechać z kraju. Dominik Kruger wyjął portfel hazardzisty i z zadowoleniem przyglądał się dowodowi osobistemu. Wklejone w dokument zdjęcie nawet bardziej przypominało jego niż zamordowanego przed chwilą człowieka.

Zabójca bez żalu zostawił w warszawskim mieszkaniu tożsamość Dominika Krugera. Dziś, na kolejne dwa, trzy dni, przyjmie nazwisko warszawskiego hazardzisty, które pozwoli mu bez przeszkód wyjechać do Niemiec. Zabójca wziął prysznic i położył się spać na dwie godziny. O godzinie szóstej trzydzieści rano, odświeżony i odmieniony Roman Gutek, wyszedł z kamienicy i wmieszał się w tłum zmierzających do pracy ludzi.

Noc w gmachu ABW była wyjątkowo abstrakcyjna. Od godziny 17. budynek powoli pustoszał. Pod wieczór przez wszystkie korytarze i pokoje przetoczyła się fala sprzątaczek. Kiwały uprzejmie głowami do Zimnego i Eweliny, którzy siedzieli w pokoju przy włączonym telewizorze. Cieszył się, że Ewelina zdecydowała się z nim zostać. Wydawała się mocno zmęczona i przybita. Czym? Na pytania dziennikarza odpowiadała półsłówkami.

Koło dziewiątej poszedł do łazienki. Korytarze gmachu były wyjątkowo przytłaczające ze względu na wysokie sufity, wielkie drzwi i nierówne ściany pokryte emalią. Każdy krok w tym pachnącym biurokracją miejscu niósł się daleko i wracał złowieszczym echem. Łazienka była przynajmniej

wyremontowana.

Za oknem także ruch powoli zamierał. Sznury samochodów mknące ulicą Batorego były coraz to krótsze i nie piętrzyły się już na światłach jak w godzinach szczytu. Ich hałas przestał być już tak uciążliwy a światła nocnej Warszawy otulały urokliwie betonowe gmaszysko.

Położył się na kanapie około północy, jednak nie mógł zasnąć. Koło pierwszej w nocy z drugiej kanapy podniosła się Ewelina i stanęła nad nim przyglądając się badawczo. Patrzyli na siebie w mroku.

- Chodź do mnie - Zimny zrobił jej miejsca, a ona wtuliła się w jego ramiona.

- Dlaczego to wszystko jest tak zagmatwane? - zapytała Ewelina - Jaki sens ma twoja praca, moja, kiedy taki Maciarz, Trybuchowski, nieuczciwi urzędnicy czy inne świny będą na wierzchu?

- Nie wierzysz, że uda się posadzić Maciarza?

- Posadzić? Nie wierzę, że ktokolwiek będzie w stanie przedstawić mu akt oskarżenia czy choćby zarzuty. Wiesz, w jaki sposób przesłuchiowano Maciarza w prokuraturze? Najpierw ochroniarze sprawdzali, czy nic mu nie grozi. Kto tu jest podejrzany? Myślę, że nie złapiemy nawet tych płotek czy gości z KDI. Sądy nie rozumieją takich spraw albo starają się nie rozumieć. Jak ktoś kogoś zamorduje, da w mordę, to jest to jasne. Przy odrobinie komplikacji, jeszcze powiązanej ze sprawami gospodarczymi, wszyscy się gubią. Po co więc mamy to robić?

- Kiedyś jeden gliniarz powiedział mi, że ważne, żebyśmy robili swoje. Mówił: moje sprawy są uczciwie robione i trafiają do szefostwa, które oczywiście może je zatrzymać. Ale gliniarz zrobił swoje, ma się z czego cieszyć. Święty spokój, zero wyrzutów sumienia, a czasem nagroda od szefostwa. I pełne zrozumienie. To szef bierze na swoje sumienie dalsze działania. Jak i on zrobi swoje, to kolejny postawiony

wyżej decydent musi zdecydować. I tak dalej.

- Uważasz, że tak być powinno?

- Sam nie wiem. Czasami myślę, że jak się robi swoją robotę, żeby ją tylko odwalić, to gdzie jest tego głębszy sens. Gdzie jest sens tracenia czasu na rzeczy, z którymi się nie utożsamiamy. Z drugiej strony, taki idealizm szybko spycha nas na margines. Zaczynamy być postrzegani jako osobnicy niebezpieczni, szurnięci. Nie warto być świętym od Papieża.

- Więc może to dobry system? Każdy z nas musi tylko robić swoje, opierać się na faktach i liczyć na to, że ci wyżej też będą robić swoje.

-A jak nie?

- To ich ścigać. Wbrew pozorom nie jest łatwo zamieść wszystko pod dywan. Poza tym ci nieuczciwi biorą na siebie coraz więcej, na swoje sumienie.

- Kiedyś demony wyjdą spod łóżka i zaczną ich dusić...

- Demony? - Ewelina zagryzła dolną wargę -Mówiłam ci o swoim chłopaku?

- Pamiętam.

- Jest... Hmm. Kochałam go chyba kiedyś, przywiązałam się, żyłam przez lata, oddawałam mu nie tylko swoje ciało. Byliśmy przyjaciółmi...

- Zdradził cię?

Ewelina pokręciła głową. Zamilkła. Widać było, że mocno walczy z sobą, żeby kontynuować ten temat.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Ale muszę komuś powiedzieć, bo zwariuję. Wczoraj, jak próbowałam się z tobą połączyć, siedziałam przy komputerze. Mój facet od dawna czyścił cookies i mnie zastanawiało, dlaczego. Myślałam, że ogląda pornosy. Uznałam, że to nic złego. Każdy ma prawo do tajemnic. Jak nie odbierałeś telefonu, denerwowałam się tak, że musiałam sobie znaleźć jakieś zajęcie. No i skorzystałam z programu do analizy komputera odtwarzając

historię jego aktywności w sieci.

Zamilkła a Zimny bał się odezwać; nie chciał jej pospieszać, choć może potrzebowała pytań, żeby wydusić z siebie resztę wyznania. Czekał.

- Rzeczywiście oglądał pornole. Ale nie tylko. Skurwiel oglądał dzieci, i zwierzęta... Boże, co za bydlę. Jak mogłam z nim żyć? A może powinnam pomyśleć, że to jakiś kurewski przypadek. Że tylko z ciekawości chciał zobaczyć? Pomyśleć tak i wyłączyć czym prędzej to szpiegowskie gówno?

Nie płakała, nie histeryzowała, jej głos był spokojny, mechaniczny. Jakby składała relację z czegoś, co jej osobiście nie dotyczyło. Ale Zimny wiedział, że w środku się gotuje.

- To nie był przypadek. Tylko w ciągu ostatnich miesięcy obejrzał setki filmów i zdjęć. To wszystko jest chore. Odkryłam dwa konta, które sobie założył i korespondował z podobnymi sobie. Opowiadał im.... Opowiadał jak

wąchał moją bieliznę. Jak się onanizował... Opowiadał, że podnieca go to, że jestem prokuratorem, a on może to wszystko robić pod moim nosem, że dzięki temu jest bezpieczny. Mało co się nie porzygałam.

- On już wie, że ty wiesz? Ewelina wzruszyła ramionami.

- Zostawiłam komputer z włączonym programem, wyszłam z domu i więcej nie chcę go widzieć. Jutro zgłoszę to na policję i złożę doniesienie w rejonowej. Zrobię swoje.

- Może on nie wie, że to przestępstwo?

- Mam to gdzieś.

Przytulił ją i w milczeniu patrzył w sufit. Popieprzony ten cały świat.

- Mam ochotę napić się - powiedziała nagle Ewelina.

- Ja też - szepnął Zimny - Ale nie mamy nic do picia.

- Szkoda...

Uśmiechnął się i poszperał w kieszeni.

-Ale mamy to!

- Co to takiego?

- Gandzia. Nie zdążyłem jej się pozbyć, zanim supergliny mnie zgarnęły. Paliałś kiedyś gandzię w budynku ABW?

- Wariat!

Gdyby ktoś o tej późnej porze przechadzał się wysokimi korytarzami, mógłby dosłyszeć z jednego z pokoi tajemnicze chichoty. Potrwały jakieś piętnaście minut.

Ewelina Talar nagle spoważniała, a potem szepnęła do ucha Zimmemu:

- A kochałeś się kiedyś w budynku ABW?

Rozdział 41

*Gdyby ludzie pragnęli bardziej
własnego szczęścia niż nieszczęścia innych,
moglibyśmy niebawem mieć raj na ziemi.*

Bertrand Russell

Ranek był chłodny jak na tę porę roku. Zimny przykrył kocem Ewelinę i poszedł do łazienki, skąd zadzwonił przez komórkę do Holdnera.

- Wspominał pan, że moglibyśmy wspólnie wybrać się na Cypr, żeby poprzeglądać akta tych spółek KDI? Propozycja jest nadal aktualna?

- Możemy lecieć choćby dziś - odparł makler.

- Nawet bym nalegał.

Około 8. w budynku już wrzało. Agenci ABW mijali się gonieni przez własne sprawy. Podano im śniadanie a niedługo potem pojawił się Piotr z propozycją narady. Zimny przekazał, że ma pilną sprawę do załatwienia i zamierza ruszyć własną drogą.

- Dziękuję za gościnę, ale mam co robić.

- Powinien pan zostać pod naszą opieką przez parę dni.

- Nie ma takiej potrzeby. Umiem o siebie zadbać.

- Niech pan chociaż zgodzi się na ochronę.

- Dziękuję - powtórzył Zimny. Ewelina zatrzymała go w wejściu.

- Uważaj na siebie i nie odwiedzaj miejsc, w których zwykle bywasz. Przynajmniej przez jakiś czas. I broń Boże, nie jedź do domu.

- Nie zamierzam. Jeszcze dziś wylatuję z Polski. -A to gdzie?

- Na wakacje - zażartował Zimny - na Cypr.

Holdner czekał na niego na parkingu przy domu studenckim Riviera. Zimny rozglądał się idąc kierunku volkswagena.

Kto wie, czy ten zabójca nie jest na tyle zdeterminowany, by czekać na mnie pod siedzibą ABW?

- Wygląda pan jak siedem nieszczęść - przywitał go Holdner.

- Torturowali tam pana?

- Prawie.

W drodze na lotnisko, Zimny opowiedział Holdnerowi o wydarzeniach wczorajszego dnia. Niemiec słuchał uważnie, zadając krótkie pytania.

Morderca działał na zlecenie Maciarza? Jak się nazywała ta kancelaria prawna? Maciarz jest zamieszany w wiele zabójstw? Jest gościem od brudnej roboty polskiego rządu? Przekupił premiera? Czy ten pana kraj na pewno nie nazywa się Namibia?

Zimny nie bardzo wiedział, co ma mu odpowiedzieć.

- Co by pan powiedział na wykupienie kampanii reklamowej pod tytułem STOP BANANA REPUBLIC?

-I co by to dało? Myśli pan, że ktoś by zrozumiał?

- Społeczeństwo w większości składa się z osób, które nie mają własnych poglądów - stwierdził Holdner. - Te 90 procent wybiera sobie autorytety lub instynktownie daje sobą manipulować przez pozostałe 10. Kampanie reklamowe produktów spożywczych czy prezerwatyw powinny być skierowane do tych 90 procent, bo one zastępują autorytety. Ale kampanie poważnych produktów i spraw mają skłaniać do refleksji całą resztę. Wie pan, co pana myślących obywateli najbardziej boli?

-No?

- Jeśli muszą wstydzić się za własną ojczyznę. Część z nich nie przyznaje się do niej za granicą, ale część po prostu wścieka się na rodaków. Pogarda ze strony innych nacji bardzo boli. Bananowa republika zaboli. I skłoni do refleksji. A o to nam powinno chodzić.

Na Okęciu czekał już na nich Stypułkowski z trzema biletami.

- Pan też leci?

- Jak mamy pana zamordować, to lepiej we dwóch - roześmiał się Sty -pułkowski. - Nasi przyjaciele z ruskiej mafii oczekują szybkich działań.

- Tak - zadrwił Holdner - Aleksiej albo inny Siergiej jest wkurzony, że nie zareagowaliśmy na prasowe oszczerstwa.

- Niech pan już przestanie.

Lot opóźnił się o prawie godzinę, ale potem przebiegał już bez kłopotów. W samolocie zamówili po szklance whiskey. Holdner rozsiadł się wygodnie w fotelu i zaczął przeglądać gazetę. Długo nie mógł jednak wytrzymać bez słowa.

- Co pan wie o Cyprze? W kontekście gospodarczym.

- Cóż - Zimny nie czuł się najlepiej w tym temacie. - Z tego co wiem, to jeden z najpopularniejszych rajów podatkowych i pralnia pieniędzy na wielką skalę.

- Kiedyś rzeczywiście Cypr był rajem podatkowym - dodał Stypułkow -ski. - Ze względu na bardzo niskie „taxy” wiele firm zakładało tam swoje spółki, tak zwane offshore, do wyprowadzania zysków. Wie pan, ile podatków się płaciło wówczas na Cyprze?

- Dziesięć procent?

- Niewiele ponad cztery. Rzeczywiście przyciągnęło to wielu milionerów, w tym Rosjan i zapewne duża część z tych napływających do Nikozji, Limassol, Pafos i Larnaki miliardów miała nielegalne źródła. Ale po wejściu do Unii przestało być tak prosto. Cypr wprowadził normalny podatek, choć wciąż na niskim dziesięcioprocentowym poziomie i wszedł do unii zwalczającej pranie brudnej kasy. To już nie jest raj podatkowy, choć to wciąż fabryka spółek -przykrywek. Może Polska też powinna wprowadzić niższe stawki. To by było lepsze niż przymykać oko na wyprowadzanie zysków przez korporacje w postaci płatności za logo, usługi marketingowe czy inne bullshity. Zastanawiał się pan dlaczego Microsoft oficjalnie w Polsce ma kilkaset

milionów przychodów, a do prestiżowych rankingów podaje kilkakrotnie więcej? Nie chcę jakoś szczególnie krytykować korporacji, ale nie przesadzajmy też z tym wrzucaniem rajów podatkowych do jednego worka z mafią, narkotykami i innymi bzdurami.

- Skoro to nie raj, to po co mamy sprawdzać te spółki KDI?

- Jak to po co?

- Jeśli sami nie widzicie w tym nic złego...

- To nie tak - zaproponował Stypułkowski. - Widzimy w tym sporo złego i wcale nie zamierzamy nikogo usprawiedliwiać. Masowość zjawiska na pewno nie jest dobra, na pewno wymaga walki ze strony władz różnych krajów, w tym Polski. My jednak założyliśmy tam spółki ze względu na międzynarodową specyfikę naszej działalności. Andreas doradza klientom z całego świata, nie tylko z Polski. KDI działa trochę inaczej. Po pierwsze skupia się na rynku polskim, po drugie założyła spółki na Cyprze z tak zwanym no -minalnym akcjonariuszem, próbując ukryć prawdziwego właściciela. A to już jest podejrzane.

- Pytanie czy rzeczywiście służą do wyprowadzania kasy a jeśli tak, to dla kogo? - wtrącił Zimny.

Stypułkowski uśmiechnął się złośliwie.

-W końcu to pan jest dziennikarzem. Czy reporter nie powinien stawiać hipotez jak prawdziwy detektyw i je eliminować, zamiast czekać na gotowy materiał? Od służb, polityków czy innych informatorów. Czy to fair wobec czytelników, że piszecie teksty z gotowców?

- Nikt nie pisze za nas tekstów - zaprotestował Zimny.

- Ale powinniście znacznie bardziej weryfikować źródła i wyciągać własne wnioski, a nie kierować się sugestiami informatorów.

Zimny popatrzył mu prosto w oczy.

- Racja. To nasz ból. Ale jest tego przyczyna. Współczesne gazety czy telewizje nie dają czasu na tak... dogłębną

weryfikację. Konfrontujemy źródła i bohaterów tekstów. Nie jesteśmy prokuratorami ani tym bardziej sędziami. Opisujemy rzeczywistość. Gdybyśmy mieli wnikać w sprawę tak głęboko, to każdy tekst powstawałby trzy miesiące.

- Czyli prawda się nie liczy?

- Jak to się nie liczy. Przecież mówię, że konfrontujemy... Holdner roześmiał się głośno.

- No tak. To wystarczy. W ten sposób z grubsza widzicie świat bliski rzeczywistości. A los jednostki? Zastanowił się pan kiedyś, jaki wpływ ma pański tekst „ogólnie postrzegający świat” na osobę, którą nieuczciwie oskarży pan o udział w takich czy innych praktykach? Czy to, że dał się pan jej wypowiedzieć, ukoi pańskie sumienie? Czy spokojnie zaśnie pan w ciepłym łóżku tłumacząc sobie: przecież powiedział, że jest niewinny?

Zimny zamyślił się. Mieli niestety dużo racji.

- Może dlatego tak dużo piję - powiedział.

- Oby pan nie znalazł kiedyś na dnie tego morza swojej Atlantydy - rzekł Holdner.

- Pełnej topielców o dobrze znanych twarzach - dodał Stypułkowski. Samolot wszedł w strefę turbulencji, a pilot poinformował ich o konieczności zapięcia pasów i wyłączenia urządzeń komputerowych.

- Za kwadrans rozpoczniemy procedurę lądowania.

Komisarz Stańczyk wyglądał na rozluźnionego. Żartował, proponował kolegom pączki i kawę, zapraszał na wieczorne piwo.

Zwykle zachowywał się tak, gdy coś zmierzało do pozytywnego końca. Tymczasem obecnie prowadzona przez niego sprawa nie wyglądała wcale dobrze. Wszyscy już wiedzieli, że góra zabroniła mu ścigać maklerów zamieszanych w zabójstwo Ochnik, z aresztu musiał wypuścić syna zamordowanej kobiety, nie miał żadnych

tropów w sprawie ukatrupionych braci Skrzecz.

Powinien być załamany.

A mimo to uśmiechał się, jakby właśnie osiągnął sukces.

- Może wybierzemy się razem na mecz - zaproponował w piątek zespołowi. - Jak myślicie, kto wygra? Cracovia czy Wisła?

Stańczyk nigdy nie typował wyników. Nie interesował się sportem. Co mu się stało?

Wielu policjantów z komisariatu zaczęło się martwić, że jeden z najlepszych policyjnych śledczych postradał rozum.

Na lotnisku w Larnace przywitał ich trzydziestostopniowy upał i ciężkie śródziemnomorskie powietrze. Wzięli taksówkę; pół godziny później zameldowali się w hotelu i poszli coś zjeść. Zimny ze smakiem spałaszował sałatkę grecką i grillowane kalamari. Do kolacji wypili dwie butelki doskonałego cypryjskiego wina Commandaria i Maratheftiko, prowadząc ożywioną dyskusję.

-W sumie to jest nie do wiary, że KNF mógł działać przeciwko wam na czyjeś zlecenie. Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

- To jak pan to wszystko wytłumaczy? Jak wytłumaczyć wyjątkową skrupulatność i zawziętość urzędu w relacjach z nami i ich opieszałość w stosunku do naszych przeciwników. Zimny nie wiedział co odpowiedzieć.

- Zobaczymy, co wyczytamy jutro w aktach. Może jednak Kaldera ma tę kopalnię złota a jej właścicielami nie są Karol i Łukasz? W rejestrze spółek w Nikozji szybko otrzymali akta Kaldery. Niestety czekało ich rozczarowanie. Zarząd stanowiły nic nie mówiące cypryjskie nazwiska. Zamiast polskich akcjonariuszy Kaldery - jakie spodziewali się znaleźć w rejestrze - akta wskazywały na kancelarię prawną Loizos Loizou jako akcjonariusza nominalnego.

Andreas wyglądał na podenerwowanego.

- Prawdziwym akcjonariuszem jest ktoś inny pragnący zachować prywatność, tzw. beneficial owner - mruknął Stypułkowski.

- Prawnik tylko go reprezentuje. Najprawdopodobniej jego firma świadczy również inne usługi związane z administrowaniem tą spółką: księgowość, płacenie cypryjskich podatków itp. Zarząd to najprawdopodobniej pracownicy jego kancelarii.

- To bez sensu - Holdner zamyślił się. - Na pewno wiemy, że KDI transferuje pieniądze, ale nie wiemy, czy dla siebie czy dla kogoś innego. Jak znaleźć odpowiedź na to pytanie?

Holdner popatrzył na Zimnego, a ten wzruszył ramionami wyrwany z letargu i poczuł, że czerwieni się zawstydzony.

To on powinien szukać odpowiedzi, a nie czekać na gotowe.

- Możemy zadać oficjalne pytania KDI - szepnął nieśmiało dziennikarz. - Albo zwrócić się do Generalnego Inspektora Informacji Finansowej.

-I myśli pan, że w ten sposób się czegoś dowie? - roześmiał się Holdner i zwrócił do Stypułkowskiego. - A ty co sądzisz?

- To duża kancelaria. Na pewno zatrudnia wielu prawników, sztab asystentek. Możemy spróbować kogoś przekupić.

-I czego zażądamy w zamian za pieniądze?

- No nie wiem, może całej teczki.

- Nie, szanse są bliskie zeru.

- Poznajmy więc wroga - zaproponował Stypułkowski. Założmy sobie spółkę w kancelarii pana Loizou.

-I co dalej? - zaciekawił się Zimny.

- Nie wiem. To zależy od rozwoju wypadków. Jest duża szansa, że jako klientów z Polski będzie nas obsługiwać ta sama osoba.

- Hmm, to się może udać - powiedział Holdner.

- To kto z nas zakłada spółkę?

- My już mamy - uśmiechnął się Stypułkowski, a potem obaj spojrzeli znacząco na Zimnego.

Rozdział 42

*Kapitalizm bez bankructwa
jest jak chrześcijaństwo bez piekła.
Frank Frederick Borman*

Mecenas Loizos Loizou był wybitnym cypryjskim prawnikiem, reprezentantem kilkudziesięciu klientów z całej Europy, którzy powierzali mu swoje pieniądze, papiery wartościowe i dokumenty firmowe. Jego kancelaria zatrudniała około 30. osób. Większość zajmowała się obsługą zagranicznych kontrahentów na zasadzie reprezentacji w spółkach prawa cypryjskiego. Dawali spółkom zarząd, tłumaczyli dokumenty na grecki i pilnowali formalności.

Andreas Holdnera znał ze słyszenia albo tylko udawał.

- Andre, czemu Pan nie zadzwonił? Przygotowałbym coś specjalnego? - ucieszył się Loizos na widok Niemca, gdy asystentka wprowadziła ich do przestronnego, ale dusznego gabinetu.

Mimo włączonej klimatyzacji upał dawał się we znaki. Holdner przedstawił Loizou dwójkę przyjaciół dodając, że rozważają założenie spółki offshorowej w jego kancelarii i proszą o wsparcie.

- To moi zaufani przyjaciele - szepnął porozumiewawczo. - Reprezentują polski rząd.

Loizos Loizou ucieszył się i skierował przyjaciół Holdnera do asystentki, której nakazał zrobić wszystko, czego mili goście sobie zażyczą.

- Przedstawiciele europejskich rządów witamy z największą przyjemnością. Sekretarka miała na oko jakieś pięćdziesiąt lat i wyglądała jak cyganka, która zamiast siedzieć w biurze powinna biegać po ulicach i namawiać przechodniów na skorzystanie z wróżb. Mówiła po angielsku z silnym akcentem, często prosiła o powtarzanie kwestii

wypowiadanych przez Zimnego i Stypułkowskiego oraz nie ukrywała niezadowolonia, gdy coś w tych wypowiedziach jej się nie podobało.

Mimo to, minęła niespełna godzina, gdy Stypułkowski i Zimny stali się właścicielami spółki z siedzibą na Cyprze. W organizacji. Zimny z niedowierzaniem wpatrywał się w dokument wydrukowany przez cypryjsko-grecką Cyganekę.

- To tak szybko?

- Nie do końca - wyjaśnił Stypułkowski. - Ma pan spółkę w organizacji. Należy dopełnić jeszcze wszystkich formalności, otworzyć konto w banku i przelać na nie pierwszą kwotę. Ale tym wszystkim zajmie się pana reprezentant, niestety słono za to kasując. Generalnie może się pan już uważać za cypryjskiego przedsiębiorcę.

- Nie do wiary. Piorę kasę w raję podatkowym.

Stypułkowski westchnął ciężko, jakby dając do zrozumienia, że ma do czynienia z niereformowalnym durniem. Spojrzał na dokumenty.

- Dobrze - westchnął Zimny. - Może mi pan teraz wytłumaczy, po co założyliśmy tę spółkę. W jaki sposób przybliży nas ona do odgadnięcia zagadkowych akcjonariuszy Kaldera Holdings Limited?

- Powoli - roześmiał się prezes Consulting Partners. - Zobaczymy, co uda się wskórać Andreasowi.

Niemiec wrócił do hotelu dwie godziny po nich.

- Chodźcie - ponaglił towarzyszy. - Nie mamy czasu. Samochód czeka. Samochód?

Holdner wynajął rozpadającego się renault. Wsiedli do pojazdu i dopiero wtedy Andreas wyjaśnił im szczegóły swojego planu.

- Macie wszystkie dokumenty? Mogą być potrzebne. Stypułkowski wskazał na teczkę.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Zimny.

- Mój „serdeczny przyjaciel” Loizos Loizou jest człowiekiem ostrożnym i przewidującym - wyjaśnił Holdner. - Dlatego codziennie dokonuje backu -pu swoich danych na serwerach w Nikozji, a także raz w tygodniu przesyła zbiory informacji do zapasowego centrum w Limassol. W ten sposób ma pewność, że gdyby doszło do jakiejś poważnej awarii, pożaru czy wojny turecko - greckiej, źródło jego dochodów nie zostanie zniszczone.

- Ale co nam to daje? - wzruszył ramionami Zimny. Holdner uśmiechnął się zagadkowo.

- Powiedziałem Loizosowi Loizou, że jesteście bardzo przywiązani do bezpieczeństwa. Zasugerowałem, że jeden z was reprezentuje samego polskiego premiera. Zrobiłem z was generalnie agentów służb specjalnych, którzy muszą się upewnić, że przekazane dane będą bezpieczne. Dodatkowo poprosiłem, żeby reprezentowała nas osoba, która ma doświadczenia z polskimi spółkami. Zażądałem przedstawienia nas tej osobie.

- Dobry ruch - pochwalił Stypułkowski.

- Loizou oczywiście zgodził się, ale początkowo miałem wrażenie, że tylko po to, żeby mnie spławić. Dlatego naciskałem, że to bardzo ważne, żeby nie mieszać naszej spółki dajmy na to z firmami rosyjskimi. Zważywszy na to, kim jest naprawdę osoba, którą reprezentujemy, mogłoby to spowodować szczególne zainteresowanie i być ryzykowne dla klienta. Wciąż wydawał się mało przekonany na moje naciski osobistego zapoznania z jego pracownikiem, ale potem jakby doznał nagłego olśnienia i wysłał mnie do Limassol. Tutaj mamy adres tego jego centrum bezpieczeństwa i nazwisko osoby, która obsługiwała dotąd polskie spółki i będzie kontaktować się z nami.

Stypułkowski sięgnął po kartkę i przeczytał głośno.

- Martha Petroletou.

- Kobieta - zauważył odkrywco Zimny.

- Mamy szczęście - przyznał Holdner. - Choć u Louizou pracują prawie same kobiety. Kobiętę będzie znacznie łatwiej przekonać, że nasze intencje są czyste.

-I zaprosić ją na kawę - uśmiechnął się Stypułkowski. -I zaprosić na kawę.

Do Limassol zdążyli dojechać tuż przed zamknięciem siedziby centrum bezpieczeństwa Loizou. Na recepcji siedziały dwie znudzone dziewczyny, które uśmiechnęły się sztucznie na ich widok. Martha Petroletou zaprosiła ich do niewielkiej salki konferencyjnej. Holdner prawdopodobnie spodziewał się jakiejś młodej, ślicznej Greczynki, z którą będzie mógł poflirtować. Martha była bliżej czterdziestki i ważyła ze 100 kilogramów. Holdner nie dał po sobie poznać zawodu.

Rozmawiali z Greczynką około pół godziny, w czasie których Martha Petroletou wyjaśniła im zasady współpracy.

- Właściwie żaden klient nie wymaga specjalnych procedur bezpieczeństwa, ale jeśli sobie zażyczyć możemy je ustalić lub korzystać z jakiś szyfrowanych kanałów.

- Nie ma takiej potrzeby - odparł Holdner. - Specjalne zabezpieczenia tylko przykuwają niepotrzebnie uwagę a i tak da się je złamać. Możemy kontaktować się za pomocą e-maila?

- Oczywiście, adres macie na wizytówce - powiedziała Petroletou. Holdner zerknął na adres i zadał właściwe pytanie:

- Czy wszyscy klienci piszą na ten adres.

- Oczywiście - Martha nie wyczuwała żadnego podstępu. Holdner podziękował i kiedy już wychodzili, rzucił niby od niechcienia.

- Bardzo pani dziękujemy. Nie dziwię się, że w Polsce macie tak dobrą opinię. Szczególnie gorąco polecał mi wasze usługi Karol Trybuchowski. Myślę, że nie miałby nic przeciwko, gdybym panią od niego pozdrowił.

Martha Petroletou była profesjonalistką. Wiedziała, że nie rozmawia się o innych klientach. Nic nie odpowiedziała. Ale w jej oku pojawił się znaczący błysk. Trafili na właściwą osobę.

- Co teraz?

- Zastanówmy się, co tak naprawdę chcemy od nich uzyskać? - Holdner zamyślił się. - Wglądu do akt nie dostaniemy. Jak znam się na ludziach, ani Petroletou ani Loizou nie dadzą się przekupić. Możemy jedynie spróbować wyciągnąć od nich jakiś dokument, który mógłby odpowiedzieć na nasze pytania. Tylko jaki?

- Umowę powierniczą - odparł Stypułkowski. - W niej masz wszystkie dane, które nas interesują. Jak jednak możemy ją wyciągnąć od tej Marthy?

- Może wystarczy napisać e-maila? - zasugerował Zimny - Możemy napisać, że potrzebujemy tej umowy do rozliczenia z kimś albo z urzędem.

- Plan prosty i dobry - zaśmiał się Holdner. - Umowa prawdopodobnie jest przetrzymywana tu a nie w Polsce, więc ma to sens. Obawiam się tylko, że nie będzie prosto włamać się do skrzynki Trybuchowskiego, wysłać z niej e-maila a potem odebrać odpowiedź.

-A kto mówi o włamaniu - Zimny uśmiechnął się. - Nie słyszał pan nigdy o serwisie SarpMail?

- Co to takiego?

- Wpisuje pan dowolny adres mailowy i wysyła... Holdner patrzył na Zimnego, jakby oczekiwał, że ten będzie kontynuował.

- Pisałem kiedyś o hakerach. Gruby, jeden z przyjaciół wyjaśnili mi, że nigdy nie mogę ufać adresom e-mailowym, gdyż w bardzo prosty sposób można je podrobić. Nawet laik może sobie skorzystać ze wspomnianego serwisu i wysłać list wpisując fałszywego adresata. Fachowcy i lepiej znający się na rzeczy użyją standardowego programu Telnet albo

jakiegoś hakerskiego narzędzia do połączenia się bezpośrednio z serwerem i za pomocą odpowiednich komend wpiszą na tym komputerze e-maila z dowolnymi danymi.

-A jak zlokalizuje ten komputer do włamania?

- To najmniejszy problem. Wpisuje pan w serwisie Ripe. net lub DNSstuff domenę, w której jest zarejestrowany adres e-mailowy odbiorcy i ustala serwer MX, który odbiera listy. Odbiorca, który dostaje e-maila dajmy na to od kochanka czy ze swojego banku, nie ma świadomości, że to oszustwo.

- Nie wierzę, że to takie proste - Holdner nie był przekonany.

- Udowodnię panu.

- No dobrze, ale to nie zmienia przecież naszej sytuacji. Może pan napisać do Marthy z adresu Trybuchowskiego, ale nie dostanie pan przecież od niej odpowiedzi. Martha, jeśli nawet da się złapać, prześle umowę Trybuchowskiemu, a nie panu. Jeśli pan każe sobie przesłać umowę na inny adres, Martha z pewnością to zweryfikuje.

Zimny uśmiechnął się z pewnością siebie.

-I tu pan jest w błędzie. W e-mailu będą widniały dane Trybuchowskiego, ale za nimi będzie się krył dowolny adres, który wstawimy, a którego Martha nie będzie widziała. Martha odpowie Trybuchowskiemu, ale tak naprawdę prześle e-maila nam. Jest tylko jeden warunek.

- Jaki?

- Musi skorzystać z opcji odpowiedzi na e-maila, którego dostała. Jeśli po prostu wyśle nowego maila do Trybuchowskiego, to niestety, ale wiceprezes KDI go dostanie, a nie my.

Stypułkowski, który przysłuchiwał się dyskusji był pod wrażeniem.

- Plan jest świetny. Większość ludzi odpowiada na maila korzystając z opcji „odpowiedz” a nie pisząc nowego maila. Nic dziwnego zresztą, bo to ułatwia połapanie się w

korespondencji.

-I naszą prowokację - przyznał Zimny.

- Zgadza się - Holdner klepnął Zimnego w ramię z uznaniem. - Najlepsze są proste plany. Czytałem kiedyś o uwolnieniu Ingrid Betancourt, przetrzymywanej przez lat przez partyzantów kandydatki na prezydenta Kolumbii. Nie można było przez lata jej odbić. Każda akcja ataku na obóz była udaremniana, bo zbyt dużo ludzi musiało o niej wiedzieć. Ratownicy więc przygotowali najprostszy z możliwych plan - podszyli się pod partyzantów i polecili helikopterem, udając, że mają przewieźć więźnia w inne miejsce. I to chwyciło. Dzięki swojej prostocie.

-A więc do dzieła! Poczekajmy jednak ze dwa dni, żeby Martha nie skojarzyła dzisiejszego pytania o Trybuchowskiego z nagłym podejrzanym e--mailem.

Nie wytrzymali jednak tak długo. Kolejnego dnia przez kilka godzin siedzieli nad treścią krótkiego listu, w którym Karol Trybuchowski prosił Mar-thę Petroletou o przesłanie skanu umowy powierniczej dla spółki Kaldera Holdings Limited. Podkreślili słowo PILNE! i wieczorem przesłali ffalszywego e -maila Greczynce.

- Według mnie, szanse, żebyśmy dostali odpowiedź są nikłe - powątpiewał Holdner. Zanim jednak zdążył zaparzyć kawę oniemiał i niemal krzyknął - Odpowiedziała!

Zimny i Stypułkowski rzucili się do laptopa i patrzyli przez ramię Holdnera, jak ten odbiera wiadomość z nowo utworzonego konta na nazwisko Karol Trybuchowski na jednym z popularnych portali społecznościowych.

Wiadomość od Petroletou nie zawierała załącznika i była krótka:

„Potrzebujępan umowy z załącznikami czy tylko głównej części? " Popatrzyli po sobie.

Holdner nie zwlekając zabrał się za pisanie powtórnej fałszywej wiadomości.

Niespełna pół godziny później korzystając z uprzejmości recepcjonisty w hotelu drukowali umowę prawdziwych wspólników spółki Kaldera.

Zgodnie z treścią umowy powierniczej spółka należała do Łukasza Rostowskiego i Karola Trybuchowskiego. Tego się spodziewali. Potwierdzenie to sprawiło, że poczuli ulgę. Ale Karol i Łukasz nie byli jedynymi właścicielami Kaldery. Prawie połowę spółki kontrolował rzekomy gangster Jeremiasz Pludra. A to już była prawdziwa sensacja. Lewa firemka bez żadnego majątku, z patentem na wyprowadzania setek milionów z giełdowej spółki. Pieniądzy firmy, ale i drobnych inwestorów, funduszy, emerytów. I to na do -datek dla kogo? Dla pospolitego gangstera, rezydenta mafii pruszkowskiej.

-A kto wie, czy nie przelewają na nią pieniądze z innych firm? Przecież to może być wierzchołek góry - ekscytował się Zimny.

- Myśli pan, że teraz polskie gazety zajmą się sprawą? - zapytał Holdner z uśmiechem.

- Czy się zajmą? - Zimny roześmiał się drwiąco, jakby usłyszał jakieś dziecinne pytanie. - Rozniosą ich na strzępy. KDI, klientów, fundusze i urzędasów, którzy ich niby nadzorują. Coś takiego nie przejdzie. Za dużą kasę wyprowadzono. W tym przecież część z udziałem czy też na szkodę funduszy emerytalnych. Może pan już rezerwować czas na każdy wieczór w TVN24 przez najbliższe pół roku. Przy tym afera Rywina to mały pikus.

-Aseksafera? - zapytał Stypułkowski - Nasza afera jest od niej większa? Bardziej zainteresuje media? Zimny zamyslił się.

- Cóż, chyba jednak nie.

- Racja, tam wszystko było proste.

Tego dnia, dla bezpieczeństwa i za sugestią Zimnego

zmienili hotel.

- Na wypadek, gdyby ktoś poszukiwał internetowych włamywaczy - naciskał Zimny.

Recepcjonista znakomicie mówił po rosyjsku i zaproponował im pokój na piętrze, z widokiem na morze i hotelowe atrakcje. W nocy Zimnego obudził jakiś hałas na polu golfowym. Gdy wyszedł na taras zobaczył dwóch pijanych wariatów ścigających się wózkami golfowymi. Widać było, że dobrze się bawią. Krzyczeli coś po polsku i bardzo przypominali dwóch posłów rządzącej partii. Na zakończenie zabawy postanowili zepchnąć jeden z pojazdów ze skarpy.

- Widzi pan - mruknął Holdner za plecami Zimnego - dzięki wygłupom waszych posłów i braku standardów, tak właśnie będą was postrzegać w Europie. Jak niegroźnych szurniętych troglodytów. Rosjan przynajmniej się boją. Z Polaków tylko się śmieją.

Rozdział 43

Racja jest zawsze po stronie silniejszego.

Jean de la Fontaine

Stańczyk zaskoczył komendanta Bełzę w drzwiach gabinetu.

-A ty co tu robisz, Olgierd?

- Musimy porozmawiać.

Komendant zerknął znacząco na zegarek i zwrócił się do asystentki:

- Umów mnie z komisarzem Stańczykiem na najbliższy termin. Jutro lub pojutrze.

- Teraz - syknął Stańczyk nie schodząc komendantowi z drogi. Bełza popatrzył, jakby chciał powiedzieć:

Kopiesz sobie grób!

Napotykając twarde spojrzenie podwładnego postanowił jednak ustąpić.

- Oby to było coś ważnego.

Stańczyk przygotował zawnazs strategię rozmowy. Zaczął ostro, nie dając komendantowi dojść do słowa i rzucając na jego stół wyciągi z regulaminu i poszczególnych przepisów, które komendant złamał angażując się w sprawę, w którą zamieszane było KDI. Zarzucanie konfliktu interesów szefowi mogło co prawda zakończyć się dla Stańczyka emeryturą, ale komisarz doskonale wiedział, co robi. Komendant najpierw zbladł, potem poczerwieniał, a następnie o mało co nie wybuchnął, ale Stańczyk uprzedził atak informując, że nie zamierza wykorzystywać tych dokumentów i podważać zaufania do szefa.

-O co ci więc chodzi?

- Musisz pozwolić mi na dokończenie tej sprawy. I obiecać, że więcej się nie wtrącasz.

Następnie wyjawiał mu cały plan działania.

- Masz na to dowody? Stańczyk pokiwał głową.
 - Taką akcję musi zaakceptować prokuratura - bronił się jeszcze Bełza.
 - Prokuraturę zostaw mnie. Potrzebuję tylko jasnej deklaracji poparcia na piśmie.
 - Na piśmie?
- Stańczyk uśmiechnął się złośliwie.
- Jakoś nie miałeś oporów przed podpisywaniem wyciągów z konta KDI.

Samolot wylądował na Okęciu koło godziny 17. W Polsce panował nie mniejszy upał niż w Nikozji. Słońce ogrzewało asfalt i betonowe warszawskie bloki do ponad 50 stopni Celsjusza. Zimny pożegnał towarzyszy i jeszcze z lotniska zadzwonił do jednego z tygodników. Choć uważał, że do rozpracowania tematu najlepszy będzie jakiś dziennik, to jednak przyjaciel miał pierwszeństwo. Może będzie zajęty?

Ku zadowoleniu Zimnego przyjaciel rzeczywiście nie zapalił się do tematu.

- To prawdziwa bomba - zachęcał Zimny. Najpierw tłumaczył się natłokiem pracy, ale w końcu wyznał:

- Zrozum, nikt mi tego nie puści. Będą się wymawiać, że mało wiarygodne źródło, że to jakieś stare sprawy, że temat nic nam nie da, za to skłóci gazetę z połową rynku finansowego i nadzorem, z którym zaraz mamy organizować serię konferencji o bezpiecznym kredytowaniu. Po co to komu? Poza tym, nie gniewaj się, ale ta twoja internetowa inicjatywa wszystkim przeszkadza. Gazety nie chcą widzieć w tobie partnera. Dla nich będziesz tylko blogerem. Zagrożeniem. Wszyscy ucieszymy się, jak ci się powinie noga i nie będziemy zauważać sukcesów. Albo je pomniejszać.

- W sumie nawet nie wiesz, co mam - powiedział z żalem Zimny. -I co to zmienia? - zapytał retorycznie przyjaciel - Nawet jakbyś przyniósł dowody na korupcję prezydenta czy

premiera, to nie wiem czy by to puścili.

A może i mam takie dokumenty?

Zimny odłożył słuchawkę i przez chwilę zastanawiał się, do kogo zadzwonić. Telewizja raczej odpadała. Za dużo dokumentów, temat zbyt skomplikowany. Jak pójdzie w gazecie, otworzą się też media elektroniczne. Po kilku minutach wybrał drugi co do wielkości dziennik, w którym kiedyś poznał jedną z dziennikarek śledczych. Czekala go podobnie przykra niespodzianka.

- To naprawdę mocne materiały. Chociaż je obejrzyj - przekonywał zdziwiony, że dziewczyna nie chce się spotkać.

- Obawiam się, że to bez znaczenia. To taka sprawa jak z aneksem do raportu o WSI. Wszystkie gazety mogą go kupić, ale wolą udawać, że nie ma takiej możliwości. Są tematy, którymi media się nie interesują. Idź do jakiegoś polityka. Jak news będzie miał gębę, to może pójdzie. Ale jeśli chcesz znać moją radę, to zostaw to gównu w spokoju. Publikacja w internecie też ci nic nie da.

Trzecia z gazet także nie pozostawiła mu żadnych złudzeń od razu ucinając dyskusję.

- Przecież pan ma swoje internetowe piśmko. Niech pan to tam opublikuje.

Tego dnia próbował jeszcze zachęcić trzy tytuły, aż w końcu poczuł się totalnie wykończony. Zadzwonił do Eweliny.

- Wróciłem właśnie z Cypru. Czy myślisz, że mogę już pojechać do siebie?

- Wpadnij do mnie. Jestem sama.

- Muszę wziąć prysznic.

- Nie będę ci przeszkadzać - szepnęła Ewelina. - Chyba, że sobie tego zażyczysz.

Ewelina patrzyła zdumiona na wydruki plików jpg.

- Wiesz, co to oznacza?

Zimny siedział w damskim szlafroku na kanapie w jej salonie i poprawiał mokre włosy.

- Niby tak, ale wcale nie jestem pewien - rzucił. - Myślałem, że media rzuca się na te materiały i zrobią wielkie boom, a one nawet nie chcą tego oglądać. Nie chcą ze mną gadać.

- Spokojnie, jak tylko ukaże się to na twojej stronie, prokuratura będzie zmuszona wszcząć śledztwo.

- Sama nie wierzysz, że to coś da. Śledztwo będzie się toczyło latami i jeśli komuś nie będzie zależało, wcale nie musi wypłynąć na światło dzienne. Bez zainteresowania mediów nikt tego nie wyjaśni.

- Ale ty zrobisz swoje - przypomniła mu. - Co innego możesz zrobić? Ewelina jeszcze raz popatrzyła na plik dokumentów.

- Na dobrą sprawę mamy tu co najmniej trzy przestępstwa. Szefowie KDI nie zostaną co prawda pociągnięci do odpowiedzialności za wynajęcie prawnika, który reprezentuje ich jako akcjonariuszy spółki cypryjskiej, ale ujawnienie tego faktu automatycznie powoduje zarzut o działanie na szkodę spółki, inwestorów giełdowych, niewywiązywanie się z obowiązków informacyjnych, kreatywną księgowość i sztuczne manipulowanie wynikami i kursem. Zarzutów wystarczy na kilkanaście lat więzienia.

-W sprawach gospodarczych to fikcyjne zagrożenie.

- Ale jednak. Giełda za to powinna ich zjeść, zanim pojawi się pierwszy zarzut. Inwestorzy mają rozum, pamiętają i nie wybaczą. A my dodatkowo mamy jeszcze kradzież i wyprowadzanie zysków dla... nawet nie wiem, jak to określić.

- Specjalnych klientów? - podsunął Zimny.

- No i ten gangster... Gdybyś miał coś słabszego, to bym go nie ruszała. Ale w tej sytuacji nie ma co się bać. Jak jest mądry, to czmychnie do Pana -my i zostanie cieciem w tym kasynie, co je kupili.

To afery przez duże A. Udokumentowana tak dobrze, jak żadna inna w historii. Zimny nie mógł zrozumieć, że nie może nią zainteresować mediów.

- Po prostu nie ufają tobie, jako informatorowi.
- Coś mi się wydaje, że jak opublikujemy to wszystko nikt tego nie pociągnie. To smutne. To nie są media demokratycznego kraju.

- Myślisz, że tylko u nas tak jest? Gazety muszą dbać o interes ekonomiczny.

- Ale nie mogą ukrywać prawdy.

- Czyżby?

Ewelina nagle zatrzymała wzrok na kolejnych dokumentach i zdjęciach.

-A to co takiego? Zimny uśmiechnął się z ironią.

- Te zdjęcia mam już od dawna. Nie mówiłem ci, bo uznałem, że nie będę ich wykorzystywał. Chłopaki z KDI postanowili zrobić dokumentację wybryków swoich klientów na rautach firmowych i imprezach z zarządzającymi. Pewnie na wypadek, gdyby nagle zapomnieli, że są winni KDI przyszłą.

Większość zdjęć miała słabą jakość, ale bez trudu można było rozpoznać na nich rozbawione twarze osób zabawiających się z dziewczynami przy suto zastawionych stołach. Zdjęcia z kamer w pokojach hotelowych to było już hard -porno.

- Myślisz, że szantażowali tych ludzi? - zapytała Ewelina - Znasz ich?

- Część - przyznał Zimny.

- Ten tu to prezes Prywatnego Banku Polskiego a ten zarządza największym funduszem FIO. Tego poznałem kiedyś na sympozjum giełdowym, jest głównym analitykiem Towarzystwa Funduszy Akcyjnych. A ten z Azjatką zdobył rok temu nagrodę dla najlepszego zarządzającego OFE. O, koleś z tą blondynką przyklejoną do kolan to skarbnik Partii Katolicko-Ludowej.

- Nie wierzę... - westchnęła Ewelina.

- Ma trójkę dzieci i piękną żonę. Zresztą jak większość z tych

ludzi.

- To bombowy materiał.

- Przy przekrętach finansowych to nic - wzruszył ramionami Zimny. - Może jedynie wydruk z kosztów wynajmowania agencji towarzyskich może być dla sprawy istotny. Jak przeanalizujesz przelewy to wychodzi na to, że KDI wynajmowało agencje tuż przed debiutami na giełdzie spółek, które reprezentowali. Może nie wprost, ale można im postawić zarzut, że kupowali dziwki dla ludzi, którzy decydowali o lokowaniu pieniędzy swoich klientów.

- Przekupywali zarządzających?

- Tak bym tego nie nazwał. Zdobywali przychyłość. Budowali relacje. To właściwe określenia.

- Dziwię się. Przecież w ten sposób podejmowali ogromne ryzyko.

- Ja też się dziwię. Ewelina zagryzła dolną wargę.

- Dlaczego nie próbujesz ruszyć tego tematu od tej strony?

- Od jakiej? Mam opublikować te zdjęcia i zniszczyć życie tych wszystkich ludzi?

Ewelina pokręciła głową przecząco.

- Nie. Choć w sumie to sobie zasłużyli. Ty pokazujesz prawdę. Ale mnie chodzi o coś innego. Zadzwoń do jakiegoś tabloidu i powiedz, że masz dowody na to, że jeden z domów maklerskich wynajmuje dziwki dla swoich klientów i polityków. Nie musisz się przedstawiać. Możesz nawet zażądać jakiejś kasy za to, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Seksafera. To się sprzedaje.

- Może zorganizujemy aukcję. Kto da więcej - roześmiał się Zimny. - Ale skoro poważne gazety się tego boją, to jaką mamy pewność, że tabloidy także nie schowają tematu?

Ewelina trwała przy swoim.

- Mamy pewność. Sam wiesz, jak działają tabloidy. Interesuje je krew i zawsze chcą być pierwsze. Nie czekają na potwierdzenie, nie weryfikują informacji. Jak dostaną te

zdjęcia w poniedziałek, to na pewno opublikują je we wtorek. Nawet, jeśli ktoś chciałby to przyblokować, to nie zdąży.

-A jak skonsultują sprawę z prawnikiem?

- Nie skonsultują. Zdjęcia są zbyt wyraźne. Zbyt jednoznaczne. Nie dają żadnych podstaw do domysłów, czego jesteśmy świadkami. Dołączysz do tego wydruki z płatności dla agencji towarzyskich i masz bombę, którą chcesz mieć.

Zimny jednak przestał jej słuchać. Był jakby obok.

- Co siedzi w tej twojej głowie?

- Nic - westchnął dziennikarz. - Po prostu inaczej to sobie wyobrażałem. Mam poważny temat wielkiej afery finansowej i żeby móc ją nagłośnić muszę sięgać po jakiś seksskandal w sumie bez większego znaczenia. To nie jest mój świat.

- Cały świat idzie w tym kierunku. Weźmy Silvio Berlusconi. Albo Billa Clintona. Nie mówiąc o całym sztabie rosyjskich przeciwników Putina, innych biznesmenów czy amerykańskich senatorów i prokuratorów. Albo premier Izraela. Myślisz, że gdyby nie został on oskarżony o gwałt, wytknęliby mu przekręty finansowe? Seks rządzi światem.

- Masz rację - kiwnął głową. - Chyba nie ma kraju, w którym nie byłoby takiej afery.

- Więc wykorzystaj to. Na co czekasz?

- Przekręty finansowe to oszustwa. Zaplanowane, z premedytacją. To one zasługują na nagana.

- Nie zgadzam się z tobą. Nawet nie podejrzewasz, ile molestowanych, maltretowanych osób skrywa mroczne sekrety.

- Tak, wiem. Znacznie łatwiej ocenić gościa z siekierą stojącego nad zakrwawionym ciałem czy głupka w kominiarce kradnącego pięć stów z kan -toru niż gogusia w garniturze, który pięćset osób pozbawił oszczędności życia, robiąc przekręt na kilkaset milionów. Zgadnij, który dostanie

wyższy wyrok? Jeśli ten ostatni w ogóle dostanie wyrok. Po kilku latach przekupi dziennikarzy i będzie twierdził, że to drobna sprawa była, która nie powinna przeszkadzać w rozwoju jego kariery.

Ewelina westchnęła.

- Chcesz mieć aferę, to poślij te zdjęcia z suchym opisem do tabloidu - zakończyła dyskusję.

- Co z Krugerem? - Zimny zmienił temat - Nadal na mnie poluje?

- Wciąż go szukamy. Wątpię, żeby był dla ciebie groźny. Podejrzewamy, że gdzieś się zaszył lub ukradł jakieś dokumenty i wyjechał na nich z kraju. Na razie jednak zostań u mnie. Możesz korzystać z komputera.

- Dzięki - przytaknął Zimny, jednak po chwili wahania zapytał - Co z twoim chłopakiem?

- Dostał trzy miesiące aresztu. Teraz sypie kolesi.

- Przykro mi.

Ewelina uśmiechnęła się i mimowolnie dotknęła dłoni Zimnego.

- Niepotrzebnie. To już przeszłość.

Rozdział 44

*Interesy mają się odbywać,
jakby nie było wojny.
Winston Churchill*

Tego dnia pracownicy giełdowej spółki KDI myśleli przez chwilę, że ktoś robi im głupie żarty, albo nie poinformowano ich o kręceniu jakiegoś filmu na terenie spółki. Nawet kiedy policjanci plombowali gabinety prezesów, wcześniej wynosząc ich rzeczy w oznakowanych torbach i pudłach, oddaliby jedną pensję stawiając, że to jakiś żart Karola Trybuchowskiego. Wiceprezes był znany z niekonwencjonalnych pomysłów.

Kiedy jednak wszystko ucichło, na korytarzach zaczęto szeptać. A kilka godzin później wszyscy już oglądali TVN24 czekając na informacje o zatrzymaniu ich szefostwa.

Na próżno.

Olgierd Stańczyk przystawił do ust radiotelefon i wypowiedział kilka komend. Na życzenie prokuratora cała akcja była szczegółowo rejestrowana i koordynowana przez System Wspomagania Dowodzenia krakowskiej policji. W operacji brało udział łącznie 100 funkcjonariuszy: mundurowych, cywilnych i agentów operacyjnych policji.

Cóż, nie co dzień zatrzymuje się szefów spółki giełdowej, znanych finansistów. I to pod zarzutem morderstwa.

Generalnie prokuratura wołała zachowywać dużą ostrożność z osobami, które stać na dobre kancelarie prawne. Niestety, nawet jeśli вина tych osób była ewidentna.

Tak to jest, biedakowi zawsze pod górę albo wiatr w oczy, albo i jedno i drugie.

Jak zwykle operację przygotowano wcześniej rano. Punktualnie o . do drzwi domów obserwowanych od kilku dni Karola Trybuchowskiego i Łukasza Rostowskiego

wkroczyły grupy operacyjne. Jednocześnie policjanci pojawili się z nakazem przeszukania w siedzibie firmy i siedmiu domach użytkowanych przez prezesów KDI.

Obu zatrzymanym założono kajdanki, poinformowano o powodach zatrzymania i przewieziono do aresztu śledczego przy ulicy Montelupich. Obaj natychmiast poprosili o poinformowanie prawników firmy, ale zanim ci nadjechali, Stańczyk zdążył przeprowadzić pierwszą konfrontację.

Olgierd poprosił prokuratora, żeby prezesów KDI nie rozdzielać i żeby dokonać wstępnego rozpoznania jednocześnie łamiąc wszystkie zasady pracy śledczej.

Kiedy wszedł do pokoju przesłuchań, Trybuchowski i Rostowski patrzyli na niego z osłupieniem.

Zaskoczeni?

Stańczyk usiadł naprzeciwko i bez wstępu wypalił:

- Zostaliście panowie zatrzymani pod zarzutem zamordowania Barbary Ochnik i braci Skrzecz.

Idąc za radą Eweliny, Zimny przygotował pakiety zdjęć, które zamierzał rozesłać do tabloidów. Zawierały co pikantniejsze ujęcia z udziałem gwiazd rynku finansowego i polityków. Po zastanowieniu dołączył do nich opis z załącznikami w postaci źródłowych dokumentów, w tym listę ekskluzywnych klientów KDI. Następnie maksymalnie skrócił opis, żeby nie budził najmniejszych wątpliwości.

Maklerskie road show

Notowany na GPW dom maklerski Krakowski Dom Inwestycyjny sprzedając akcje swoich klientów organizuje imprezy integracyjne dla zarządzających funduszami emerytalnymi, analityków i ważnych osób z kręgów finansowych. Imprezy są zakrapiane alkoholem, a towarzyszą im specjalne atrakcje w postaci pań do towarzystwa. Dom maklerski rejestruje i dokumentuje późniejsze harce swoich gości i szantażuje ich, a

skaptowanym notablom przekazuje kasę wyprowadzoną przez cypryjską spółkę.

Krytycznie przejrzał tekst i uznał, że nie bardzo mu idzie pisanie takich notek. Tabloidy i tak przerobią to na swoje i zagrają zdjęciami opatrzonymi wytłuszczonymi orzeczeniami. Choć uważał, że w takich gazetach także pracują profesjonaliści, to jednak trudno było mu popierać to, co robili. Tabloidy zepchnęły dziennikarstwo do rynsztoka.

Ich język, brak obiektywizmu zaprzeczały kanonom dziennikarstwa. Mówiło się, że zatrudniają specjalnych korektorów - robotników z niskim ilorazem inteligencji, których praca pole -gała na wychwytywaniu fragmentów w tekstach, których nie rozumieją.

Gazeta dla prostych ludzi.

Z drugiej strony, trudno było nie doceniać części ich dokonań, a niektóre teksty wcale nie były takie złe. Cóż. Zobaczymy, co z tym zrobicie.. Przemyślał jeszcze raz materiał i dodał alternatywny prowokacyjny tytuł: Pieniądze emerytów wydają na dziwki!

Zarządzający funduszami emerytalnymi uczestniczą w tajnych оргietkach organizowanych przez dom maklerski, który w ten sposób przekonuje decydentów do przekazania mu pieniędzy emerytów.

Uff! Mocne.

Dowody i dokumentacje z orgii trafiają do cypryjskiej spółki, która regularnie przekazuje pieniądze wyprowadzane z polskiej giełdy kilkudziesięciu ważnym polskim osobistościom. Pieniądze to marchewka. Zdjęcia z orgii to kij.

Mała nadinterpretacja, ale dlaczego miał być taki super skrupulatny?

Może to jednak chwyć. A jeśli tak, to każdy kolejny klocek w układance będzie podsycił napięcie.

Zadziała prawo popytu i podaży. Na które nie będą mieli wpływu regulatorzy.

Zakleił koperty, pojechał na pocztę na Żoliborzu, na której nigdy nie był i nadał przesyłki priorytetem do dwóch konkurencyjnych tabloidów.

Smród.

Teresa Berger od dwóch dni czuła ten zapach. Nasilający się z każdą godziną, uciążliwy i potworny. Jakby ten stuknięty wariat na górze zostawił na stole surowe mięso albo zdechłego szczura. Smród.

Co gorsza, zapach wyczuwały też jej trzy koty, które od kilku dni chodziły wyraźnie pobudzone, by w końcu zacząć na poważnie domagać się interwencji właścicielki. Teresa już dwukrotnie pukała do sąsiada, ale ten nie odpowiadał. W końcu postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce, poszła do stróża i zmusiła go do wspólnej wizytacji.

Nie można nie reagować w takich sytuacjach. Kto wie, co mogło się stać. W końcu to hazardzista i rozwodnik.

Gdy otworzyli drzwi, smród uderzył ich w nozdrza z siłą rozpędzonego ekspresu. Ciało zamordowanego Romana Gutka znaleźli w wannie.

Tego dnia gabinet prezesa Maciarza przypominał centrum dowodzenia jakiejś poważnej operacji wojskowej. Dwa ogromne stoły obstawione były komputerami z dużymi monitorami i tonami papierów. Na ścianach trzy telewizory plazmowe emitowały programy stacji newsowych. Kilku spoconych mężczyzn biegало w tę i z powrotem z wydrukami komputerowymi pomiędzy dwoma grupami zapracowanych finansistów, doradców i konsultantów liczących sobie po 300 dolarów za godzinę.

Maciarz osobiście nadzorował prace i kontrolował postępy stworzonych w pośpiechu grup reagowania kryzysowego.

O 13. w mierzącej o metrów kwadratowych sali konferencyjnej zwołał naradę z udziałem głównego analityka, szefa maklerów, członków zarządu firmy oraz kilku doradców i prawników.

- Znacie sytuację - podsumował Maciarz. - Dziś rano aresztowano prezesów KDI, na domiar złego zanoszą się, że mogą pozostać na Montelupich dłużej niż tylko kilka miesięcy. Choć to niezręczna sytuacja, dla nas byłaby bez znaczenia, gdyby nie fakt, że złożyliśmy już prospekt w KNF.

-W prospekcie umieściliśmy KDI? - zapytał jeden prawników mniej wprowadzonych w sprawę, co od razu spowodowało zainteresowanie jego osobą.

- Oczywiście, KDI jest częścią konsorcjum oferentów i animatorem - odparł szef maklerów. - Informacja o aresztowaniu szefów tego domu maklerskiego może być znacznie istotniejsza niż się obawiamy.

- Skąd taki wniosek? - zapytał ktoś z sali - Przecież nie mamy z tym nic wspólnego. W końcu łączną nas tylko zwykłe relacje handlowe.

- Nieważne. Jesteśmy zamieszani - nie zgodził się z nim osobisty sekretarz gospodarza.

- To prawda - Maciarz popatrzył krytycznie na pracowników i uśmiechnął się złowieszczo. - Który z was polecił mi tych gości z KDI?

Na sali zapanowało milczenie.

- Ach tak, sam ich sobie wymyśliłem - przypomniał sobie miliarder i roześmiał się głośno zadowolony ze swojego żartu i wystraszenia współpracowników. - Kurwa mać, to nie klub wzajemnej adoracji tylko narada wojenna! Ja popełniłem błąd a wy macie go naprawić, a nie myśleć tylko o tym, jak tu mnie nie urazić.

- Wiemy coś więcej o zarzutach? - zapytał jeden z prawników.

- Morderstwo - rzucił krótko Maciarz. Wszyscy zamilkli i

popatrzyli po sobie.

- Co tak się gapiacie? - Maciarz walnął pięścią w stół - Przecież to nie ja kogoś zamordowałem, tylko jeden z tych gości.

- Albo obaj - mruknął ktoś z sali. - Mnie tam od dawna wyglądali na morderców.

- Cóż, w tej sytuacji rzeczywiście nazwa KDI może nam przysporzyć kłopotów.

- To prawda - powiedział szef maklerów. - Najlepiej byłoby usunąć ich nazwę, gdyby to było możliwe.

- Wszystko jest możliwe - westchnął Maciarz. - Potrzebuję tylko zgody i rady wszystkich tu obecnych.

Nikt się nie sprzeciwił. Zenon Maciarz popatrzył po obecnych i wydał wyrok.

-A więc postanowione. KDI nigdy nie należał do naszego konsorcjum.

-A kto to jest KDI? - próbował zażartować jeden z prawników.

- Zajmijcie się szczegółami technicznymi. KDI ma dostać odszkodowanie, ale nie szastajcie kasą.

Maciarz prosto z konferencyjnej wparował do niewielkiej poczekalni, gdzie od ponad godziny czekał na niego Teodor Kozłowski, szef działu emitentów KNF. Był cały czerwony na gębie i mocno zdenerwowany.

- Przepraszam Teodorze, że musiałeś tyle czekać - Maciarz uściśnął serdecznie dłoń urzędnika i poklepał go po plecach.

- Jestem zaszczycony, panie prezesie, że mogłem osobiście pana spotkać - odparł urzędnik.

- Mów mi po imieniu, Teodorze. Przecież umówiliśmy się...

- Tak - szepnął zakłopotany Kozłowski. - Ale może lepiej jak oficjalnie...

- Oficjalnie? Oficjalnie oczywiście nie mamy ze sobą nic wspólnego. Jak tam twoja żona, chwali sobie pracę w mojej spółce?

- Jest zachwycona - odparł Kozłowski. - Wspaniała praca. Jesteśmy panu bardzo wdzięczni.

- Zasłużyła. Twoja żona to wybitny specjalista.

- Nie mogłaby się realizować w zawodzie, gdyby nie pan. Po aferze ze szkoleniami mieliśmy nie lada problem ze znalezieniem czegoś nowego.

- Nie bądź taki skromny Teodorze i nie umniejszaj zasług żony. Jest świetnym pracownikiem.

- Dziękuję - Kozłowski zerknął ukradkiem na zegarek.

- Po co mnie pan... po co mnie wezwwałś?

Maciarz objął Kozłowskiego i poprowadził go do okna, skąd rozpościerał się wspaniały widok na Warszawę.

- Cóż, Teodorze, nie da się ukryć, że tym razem ja mam do ciebie interes. I to wielkiej wagi.

- Słucham - powiedział z niepokojem urzędnik.

Kiedys musiał nadejść ten moment.

- Jak wiesz, moja spółka wydobywająca gaz z łupków złożyła już u was prospekt emisyjny.

- Cały departament intensywnie pracuje, żeby jak najszybciej dokument ten uzyskał moc prawną. Nikogo nie trzeba popędzać - zapewnił Kozłowski.

- Nie wątpię. W wyniku zaistniałej dziś sytuacji mamy jednak jeden problem. Słyszałeś zapewne, co przytrafiło się szefom KDI?

- Oczywiście - westchnął Kozłowski. - Smutna sprawa.

Jeszcze tego by brakowało, żebyś zaczął mi wypominać, że od nich też brałem w łapę.

- Tak, wiem, że byliście sobie bliscy - bez złośliwości zauważył Maciarz. - Ja też im współczuję. Jednak nie mogę pozwolić, żeby sprawy maklerów spowodowały jakieś kontrowersje w mojej ofercie.

- To zrozumiałe. Na pewno nikt nie będzie wiązał tych spraw.

- Dobrze by było, Teodorze. Jednak musimy być tego pewni.

Dlatego mamy do Ciebie małą prośbę.

- Słucham?

Maciarz mocniej przycisnął ramieniem „przyjaciela”.

- Zależy nam, żeby nazwa KDI zniknęła z oficjalnych dokumentów znajdujących się w Twoim wydziale.

- Co? - Teodor miał ochotę się roześmiać - Przecież to niemożliwe. Ten dokument już jest w departamentach merytorycznych.

- Nazwa KDI pojawia się raptem na paru stronach.

- Na paru? Nazwa jest na okładce. Z logiem i znakiem firmowym.

- No właśnie. Okładka to przecież nic wielkiego. Jestem pewien, że jesteś w stanie podmienić okładki i inne strony bez zwrócenia niczyjej uwagi.

- Ale to fałszerstwo.

- Eee... tam, od razu fałszerstwo. Korekta.

- Nie możemy tego wykreślić. To tak, jakby sfalszować ustawę. Maciarz roześmiał się szczerze rozbawiony.

- Wiesz Teodorze, ile ustaw w ten sposób „sfalszowałem”? Korekty i zmiany przepisów w uzgodnieniach międzyresortowych i konsultacjach społecznych są codziennością. To żadne fałszerstwo. Ale przecież nie rozmawiamy nawet o ustawie, tylko dokumencie, którego jesteśmy autorem i za który bierzemy odpowiedzialność. Proszę, usuń nazwę KDI z naszego prospektu.

- Ale w prasie już pisano, że KDI jest w konsorcjum. Tego się nie da skutecznie usunąć bez zwrócenia uwagi - Teodor szukał ostatniej deski ratunku.

- Prasą się nie przejmuj - zapewnił Maciarz. - Jestem pewien, że żaden dziennikarz nie skojarzy tych faktów. Mamy zabezpieczone odpowiednie środki, by nie szukali dziur w całym. Możesz być zupełnie spokojny.

- Jeden z egzemplarzy może być w archiwum kancelarii premiera.

- Myślisz, że w kancelarii premiera czytają takie bzdury? Kozłowski wciąż nie był przekonany.

- To może być ostatnia moja decyzja w KNF.

- Mamy dużo pracy dla zdolnych ekspertów. I płacimy znacznie lepiej.

Po wyjściu Kozłowskiego, Maciarz udał się do wynajmowanego apartamentu w tym samym budynku. Był to pokój zarezerwowany na specjalne okazje - do spotkań z członkami rządu, znanymi postaciami, zagranicznymi gośćmi.

Tam czekał już minister spraw wewnętrznych.

Uściskali się serdecznie, choć miliarder miał dużo pretensji do urzędnika.

- Dlaczego nic nie wiedziałem o tej akcji z KDI.

- Ja też nie wiedziałem - odparł krótko minister.

- Co z ciebie za szef? Jak możesz prowadzić resort nie wiedząc o tak ważnych sprawach?

- Przesadzasz. To zwykłe zatrzymanie związane z morderstwem. Wiesz, ile morderstw rocznie popełnianych jest w kraju? Od siedmiuset do tysiąca.

- Nie każde popełniają znani finansisci.

- Minister nie musi o nich wszystkich wiedzieć - powtórzył minister.

- Przeciwnie, ci finansisci to też prezesi spółki giełdowej. Wiesz, ile osób może stracić miliony?

- Nic na to nie poradzimy. Chcesz im jakoś pomóc?

- Nie - pokręcił głową Maciarz. - Nawet bym się ucieszył, jakby na ja -kiś czas zniknęli z rynku.

- Wydałeś wyrok - zażartował minister.

- A jeśli oni są niewinni?

- Nikt nie jest bez winy...

Późnym wieczorem Maciarz odbył jeszcze jedno spotkanie w sprawie KDI. Jego rozmówcą był znany specjalista od

tworzenia wizerunków i lob -bingu. Doradca wyciągnął Maciarza już z wielu kłopotów.

- Co radzisz? - zapytał wprost miliarder.

- Oczywiście dla twojego debiutu najlepszy byłby całkowity spokój. Afery zawsze podkopują zaufanie, szczególnie jeśli są związane ze spółkami giełdowymi. Jednak w przypadku KDI nie powinno być takiego efektu. To mała spółka, nie ma wpływu na indeksy, nie wywoła krachu. Dużo bardziej giełda by ucierpiała, gdyby aresztowano ciebie.

- Nie kracz.

- Powinieneś się bardziej martwić polityką niż KDI. Tam są realne zagrożenia dla odwrócenia się inwestorów zagranicznych od naszego rynku czy do ataków spekulacyjnych na naszą walutę. Jak dojdzie do jakiejś afery na szczytach władzy, wtedy możesz mieć kłopoty z uplasowaniem emisji.

Maciarz zamyślił się i jednocześnie rzucił mimochodem.

- Słyszałeś coś o Zimnym? Doradca wzruszył ramionami.

- Tak jak prosiłeś, monitorujemy media, żeby jego teksty nie ukazywały się drukiem i na razie się to udaje. Rozpuściliśmy sporo plotek, chyba narobiliśmy mu wystarczająco koło pióra. Jest skończony na tym rynku.

-Ata jego strona w internecie?

- Ludzie tracą nią zainteresowanie. Jest coraz mniej ciekawych tekstów. Chyba nie ma zagrożenia.

- Więc co radzisz z KDI? Może nie powinniśmy blokować tego tematu?

- Paradoksalnie może to okazać się dla ciebie korzystne. Gazety zajmą się aferą z maklerami i morderstwem, a ty w tym czasie będziesz dostarczał pozytywnych newsów, którymi nikt się specjalnie nie będzie zajmował. W sumie, im szybciej gazety się za nich wezmą, tym lepiej.

- Brzmi to dobrze. Może więc powinniśmy pomóc w nagłośnieniu sprawy? Doradca rozłożył ręce w geście

oczekiwania na polecenie.

- To kosztuje. Ale skoro chcesz.
- Wyrok został wydany - żartobliwie mruknął Maciarz.
- Cóż, niech polska wolna prasa działa.

W redakcji Expressu Finansowego przygotowywano się już do zamknięcia pierwszego wydania gazety, gdy jeden z dziennikarzy przyniósł sensacyjnego newsa.

- Zatrzymano Trybuchowskiego i Rostowskiego. Pod zarzutem zabójstwa!

- O, kurwa - rzucił prowadzący. - Masz potwierdzenie z prokuratury?

- Lepiej - wyjaśnił redaktor - z Ministerstwa Sprawiedliwości. Wydawca zawahał się przez chwilę. Po procesach z KDI wszyscy mieli

absolutny obowiązek konsultacji krytycznych w stosunku do tej spółki informacji z prezesem wydawnictwa. Ten news zdecydowanie wpisywał się

w tę regułę. Przeprosił wszystkich na chwilę i wyszedł do WC, skąd zadzwonił przez komórkę do prezesa. Ku jego zadowoleniu i zdziwieniu, prezes nie miał nic przeciwko publikacji. Wydawca odniósł wręcz wrażenie, że prezes już wiedział. Na dodatek dodał:

- Dopierdolcie im porządnie.

- Więc nie mamy już stanu... zawieszenia broni?

- Powiedziałem wyraźnie. Dopierdolcie im. Wydawca postanowił dłużej się nie zastanawiać..

Lepiej tak, niż miałbym się tłumaczyć przed zespołem, że znów zamiatamy pod dywan ciekawą informację.

Wrócił do długiego stołu i klasnął w dłonie.

- Uwaga wszyscy. Mamy super info. Dziś aresztowano prezesów KDI, z którymi, jak pamiętacie, mieliśmy kiedyś na pieńku. Prośba do wszystkich. Dzwońcie po rynku i pytajcie o opinie. Szczególnie zależy nam na konkurencji KDI. Kto ma

jakieś info o problemach spółki i jej działaniach, dawajcie w krótkich notkach. Kalendarium zrobi dział śledczy. Mile widziane wszystkie brudy. Koniecznie zadzwońcie do Consulting Partners, oni na pewno będą chcieli dopierdolić wrogowi.

- Do roboty - dorzucił jeden z redaktorów i zwrócił się do wydawcy. - Taki news może wypłynąć w mediach. Może przygotujemy krótkie info do netu.

- OK - wydawca skierował się do działu foto. - Dajcie dwa zdjęcia tych kutafonów. Wielkie, na całą jedynekę. Najlepiej takie, na których wyglądają jak bandziory. I każdemu czarną przepaskę na oczy. Niech dzieci mają pamiątkę po tatusiach.

- Opanuj się. Skąd w tobie tyle zawziętości? - zwróciła się do wydawcy szefowa korekty.

- Poczulem krew - roześmiał się wydawca. - Jesteśmy przecież rekinami.

- Tak - mruknęła korektorka - które ktoś nagle wypuścił z klatki na żer. Niestety, dopiero gdy w morzu pływa padlina.

Rozdział 45

Cezarów zabijają najczęściej przyjaciele.

Bo są wrogami.

Stanisław Jerzy Lec

Stańczyk zdawał sobie sprawę, że ma niewiele czasu. Zaraz pojawią się adwokaci i rozpocznie się żmudny wielomiesięczny proces przygotowania aktu oskarżenia w sprawie morderstwa. Adwokaci zakazą mówić swoim podopiecznym i przygotują obronę, przed którą oparty na poszlakach akt oskarżenia może się nie obronić. Proces potrwa lata i zakończy się zapewne apelacją i kasacją a może też skargą do Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości. Sprawa - przekleństwo.

- Za chwilę, drodzy panowie, wpadniecie w objęcia adwokatów, którzy utwierdzą was w przekonaniu, że nic wam nie grozi. Będziecie im ufać przez dwa miesiące, po czym trudy aresztu sprawią, że zaczniecie się zastanawiać, czy dobrze zrobiliście. Wtedy ponownie was przekonają do pełnego zaufania i sytuacja się powtórzy. Po roku już takie zapewnienia przestaną wystarczać. Zacznie się najtrudniejszy okres w waszym życiu, który w większości przypadków kończy się złamaniem. Najtwardsi przetrzymają i będą dalej prowadzić tę grę. Przetrzymują też niewinni, ale tutaj wszyscy wiemy, że was to nie dotyczy. Tak, tak... Nie protestujcie, tylko posłuchajcie mnie uważnie. Ja dokładnie wiem, co zrobiliście i w jaki sposób. I udowodnię wam to.

Stańczyk napił się wody ze szklanki. Miał jeden cel, złamanie Trybuchowskiego. Pokazanie mu, że jeśli nie będzie współpracować z policją, na długie lata wyląduje za kratkami. Jeśli jednak pójdzie na współpracę, może uda mu

się odpokutować tylko za przestępstwa finansowe, a nie za współudział w morderstwie.

- To jakieś bzdury - rzucił Trybuchowski - Przecież pan wie, że my tego nie zrobiliśmy.

- My? Jest pan taki pewien? Jest pan taki pewien przyjaciela? Trybuchowski rozejrzał się niepewnie wokół siebie i natrafił na kamienną twarz Łukasza Rostowskiego. Nie było na niej nawet kropelki potu. Siedział niewzruszony.

- Jak to, przecież... - zaczął Karol, ale Łukasz przerwał mu:

- Zamknij się.

- Co ty...

- Zamknij się - powtórzył Rostowski - Nic nie mów. Niczego nam nie udowodni.

- Nam? - roześmiał się Stańczyk. - Jeszcze nie tak dawno pisał pan, panie Rostowski, że pański przyjaciel jest słaby, że stwarza problemy, że trzeba się go pozbyć. No i znalazł pan sposób.

- Bzdury - warknął Łukasz.

- Jeszcze niedawno myślałem, że wkroczył pan do akcji po spotkaniu Ochnikowej z Trybuchowskim - kontynuował Stańczyk. - Że może zamordował ją pan przypadkowo, ale kompletnie mi to nie pasowało do późniejszych zabójstw braci Skrzecz. Tłumaczyłem sobie, że może się panu spodobało i dlatego pan to zrobił, ale to też było bez sensu, bo po co wybierać sobie takich trudnych przeciwników zamiast niewinnej ofiary. Jak każdy morderca jest pan przecież tchórzem, panie Rostowski.

- Nie słucham pana - prezes KDI uśmiechnął się z pobłażaniem. - Nie skłoni mnie pan do udziału w tej pana grze.

- Pana może nie - Stańczyk włożył cały wysiłek woli, żeby jego uśmiech był równie lekceważący.

- Kontynuując, wtedy zrozumiałem, że pan tę całą akcję zaplanował na długo wcześniej. Że to pan namówił Janka

Ochnika do szantażowania Trybuchowskiego, że to pan naopowiadał mu potem te wszystkie historie a następnie skłonił braci Skrzecz do udziału w grze. Zupełnie przypadkiem dowiedziałem się, że to od pana bracia Skrzecz dostali pieniądze na otwarcie klubu. Nie zatarł pan wszystkich śladów. To jednak nie wszystko. Pan, panie Rostowski, próbował wykończyć Trybuchowskie-go już dużo wcześniej, skłaniając do samobójczej próby a następnie zlecając zabójstwo tej biednej dziewczyny. Mocno pan się zdziwił, że tę sprawę wyciszono.. A tak bardzo się pan starał, żeby go w to wplątać. Postanowił pan zadziałać na większą skalę. A Trybuchowski ciągle wymykał się z pana sieci. Być może by się panu udało, gdyby nie parę zbiegów okoliczności. Zna pan to powiedzenie, że człowiek nie jest w stanie zrobić zbrodni doskonałej, ale przypadek już tak? Oglądał pan ostatniego Woody Allena? Świetny film o zbrodni. Ale przypadek działa też w drugą stronę. Wie pan, jak trafiłem na pana trop?

Rostowski milczał nieprzerwanie.

- Zastanowiło mnie, dlaczego pana partner tak zaprzecza, że szukał informacji o Kocie w sieci, podczas gdy na komputerze są na to ewidentne dowody. I wtedy pomyślałem, że przecież jest człowiekiem inteligentnym. Gdyby zabił Ochnik i Skrzeczów, na pewno nie korzystałby ze swojego firmowego komputera dając nam poszlaki. Więc albo szukał i jest całkowicie niewinny, albo nie szukał a ktoś chce go zrobić. Jeśli ta druga hipoteza ma rację bytu, to kto, jak nie pan miałby po temu i powody i możliwości. Tylko panu wolno było korzystać z komputera Karola. Tylko pan miał do niego hasło.

- To niczego nie dowodzi.

- To jeszcze nie - przyznał Stańczyk i wyjął niewielki kartonik mleka. Odkręcił plastikowy kapsel i zerwał metalizowaną blaszkę. - Nie chce pan podlubać?

- Co pan...

- Niestety, to koniec, panie Łukaszu. Ma pan brzydki zwyczaj dłubania w zębach przedmiotami, które się panu nawiną pod rękę. Tam, przy Kopcu Kościuszki znaleźliśmy taki właśnie oderwany od pudełka z mlekiem fragment opakowania, na którym znalazł się fragment kodu DNA ze śliny. Wyniki już są. To bezsprzecznie pańskie DNA. Blaszką leżała dość daleko od ciała, ale wystarczająco blisko, żeby stanowić dowód w sprawie. Denerwował się pan czekając na Ochnik i sobie ją przygryzał? Jakim cudem panu wypadła? Przecież tak pan dba o szczegóły?

- Bzdura - warknął Rostowski, ale jego oczy były przejmująco zimne. To on!

Stańczyk był pewien. Był pewien już po ostatniej rozmowie z młodym Ochnikiem, który zaparł się i milczał jak grób. Biedny chłopak został otumaniony przez mordercę. Nawet zabójstwo matki mu nie przeszkadzało. A może wręcz było na rękę? Dokładnie wykonywał polecenia swojego mentora. Straszne.

Dranie byli wyjątkowo przebiegli. Powoli prowadzili mnie na trop Try-buchowskiego. Mylili tropy, żebym sam na nie wszedł. Poddawali na początku argumenty przeciw, żebym potem nie brał ich już pod uwagę. To przekonywanie, że tego nie zrobił Karol, że byłoby to bez sensu...

-A co do pańskiego alibi w sprawie Skrzeczów - podjął policjant - to też muszę pana rozczarować. Mamy już analizę techniczną z laboratorium, która wyklucza, żeby pan uczestniczył w konferencji w Warszawie w tym czasie. Konferencja odbyła się znacznie wcześniej niż emisja „na żywo” w telewizji, ale nie na tyle wcześniej, żeby podważyć alibi, gdyby pan był w Warszawie. Ale pana tam nie było, zdjęcia z panem nagrano tu, w Krakowie i doklejoną. Reprezentował was tylko Karol. Nie ma co zaprzeczać. Rostowski wykrzywił usta w szyderym uśmiechu. A więc to

jest to uczucie, Karolu. Tak nadchodzi wyciszenie. Tak ciało usypia po katatonii rozkoszy. Więc jednak ta gromada psycho-szczurów węszących w naszych umysłach ma rację. W pewnej chwili aż chcemy opowiadać. Chcemy, żeby wszyscy wiedzieli, co my czujemy...

Trybuchowski patrzył przed siebie w kompletnym osłupieniu. Kiedy spojrzał na Łukasza, zrozumiał.

- Dlaczego?

Rostowski nic nie odpowiedział. Ciągle się tylko uśmiechał drwiąco.

- Dlaczego? - powtórzył Karol.

- Pana przyjaciel z pewnością chciał się pozbyć pana, żeby móc rządzić samodzielnie, ale sądzę, że po prostu panu również zazdrościł; nie mógł ścierpieć, że to zawsze panu się udaje. A może po prostu jest chorym człowiekiem z chorymi planami? Jeśli nic nie powie, nie dowiemy się. Ale jeśli pan, panie Karolu, będzie z nami współpracował, to przynajmniej posadzimy go. Za zabójstwo i za inne rzeczy. Posadzimy go na długo.

Nadal nie rozumiecie. Nawet teraz nic nie rozumiecie. Łukasz Rostowski uśmiechnął się. Nie mam nic do ukrycia. Już nic.

- Chce pan posłuchać? Naprawdę chce pan posłuchać?

Miała szesnaście lat. O rok więcej niż ja. Pierwszy raz próbowałem ją zabić zimą. Szedłem za nią prawie kilometr, drogą przez park. Park był pełen cieni, mrocznych miejsc. Miałem z dziesięć okazji. Mogłem zaciągnąć ją w krzaki bez przeszkód. Gdyby tylko starczyło sił. W kieszeni trzymałem nóż, który kupiłem na targu staroci.

Zauważyła mnie, gdy już dochodziła na skraj parku. Zatrzymała się i czekała, aż przejdę. Nie spojrzałem jej w oczy, twarz wtuliłem w szal i przyspieszyłem kroku. Czułem na sobie jej spojrzenie.

Była tak blisko. Śmierć. Obejmowała mnie zimnym ramieniem. Szeptała do ucha. Kusila.

Nie odważyłem się.

Morderstwa fascynowały mnie od zawsze. Kupowałem magazyny kryminalne, szukałem seansów wideo, przeglądałem w poszukiwaniach albumy i encyklopedie. Ojciec widząc, że interesuje mnie ten temat, kupił mi książkę Thorwalda o zbrodni. Stulecie detektywów. Był naukowcem. Widać uznał, że śmierć, morderstwa i dochodzenia interesują mnie z powodów naukowych, więc warto poszerzać moje horyzonty. Nie próbował nawracać. Wręcz przeciwnie. Szanował moje wybory. Pamiętam, jak na szesnaste urodziny dostałem od niego profesjonalny mikroskop. Uśmierciliśmy kilka much i oglądałem je sobie w powiększeniu. Potem zabijaliśmy większe zwierzęta. Ojciec lubił eksperymenty. Matka nie przeszkadzała, trzymała się z daleka. Gotowała obiady, prała, usługiwała nam - władcom świata. Kiedy ojciec zaczął chorować, czułem od niego zapach śmierci. Rok przed tym, zanim odszedł.

Miałem osiemnaście lat.

Wtedy spróbowałem zabić ją po raz drugi.

Znaliśmy się już bardzo dobrze. Miała na imię Natalia. Zaczepiła mnie kilka tygodni po naszym spotkaniu w parku.

- Chodzisz za mną? - zapytała bez ogródek. Nie dała mi uciec. Chwyciła moją twarz i zmusiła, żebym popatrzył jej prosto w oczy. Zmusiła, żebym powiedział prawdę. - Podobam ci się?

Była taka piękna.

Najpiękniejsza, jaką w życiu widziałem. Ja przy niej wyglądałem jak cień człowieka, nieudany eksperyment boskiej genetyki. Nie powinienem nawet o niej marzyć. A jednak to mnie wybrała na przyjaciela. Rok później byliśmy już prawie nierozłączni. Nawet wakacje spędziliśmy razem. Na plaży leżałem koło niej. Bez przeszkód mogłem oglądać

jej nagość, bo położyła sobie na oczach plasterki ogórka. Chłonałem jej opalone piersi, pełne uda i biodra, skórę pozbawioną najmniejszej skazy. Chciało mi się płakać ze wstydu; moje ciało wyglądało jak jakiegoś starca: przeraźliwie blade, białe jak śmierć, poskręcane i pokurczone, pełne skaz. Skóra i kości, zero mięśni, zero męskości.

- Patrzysz na mnie? - powiedziała wtedy. - Czuję, że patrzysz. Jak wtedy, na tej ścieżce w lesie, w parku. Wtedy nawet pomyślałam, że chcesz mnie skrzywdzić. Dopiero jak uciekłeś, zrozumiałam, że się we mnie zakochałeś. Opowiedz mi, co czułeś. Opowiedz mi!

Nie była grzeczną dziewczynką. Trzymała papierosy w zwiniętym dywanie w rogu pokoju. I wino. Podkradła je rodzicom z barku. Po małym kieliszku dziennie. Zlewała to do butelki i jak już była pełna, zapraszała mnie. Piła za nas dwoje. Mówiła, że jestem jej najlepszym przyjacielem. Że nigdy nie знаła kogoś takiego jak ja. Jakbym był jej aniołem stróżem. Ukrytym w cieniu konfesjonału spowiednikiem. Cieniem.

Czasem wypiła zbyt dużo.

- Dlaczego nie chcesz mnie przelecieć? - zapytała kiedyś. - A może chcesz, lecz się boisz? Pokaż mi, boisz się?

Prowokowała mnie. Po chwili zrezygnowała i zasnęła.

Czy ją naprawdę kochałem? Czy jej pożądałem? Czy to był tylko naukowy napad zrozumienia miłości?

Nie podniecała mnie jej nagość. Nie podniecała mnie wulgarność. Ale gdy tylko pomyślałem, że mógłbym teraz, gdy jest pijana, zrobić z nią wszystko, że mógłbym przycisnąć do jej głowy poduszkę, to poczułem pożądanie. I spełnienie.

Nie zabiłem jej. Wiedziałem, że nigdy jej już nie zabiję. Myślałem racjonalnie. Musiałbym ją uśmiercić pozorując wypadek. Jaką wówczas miałbym z tego przyjemność?

Na studia poszła do Akademii Sztuk Pięknych, ja - rok

później, na uniwersytet, na ekonomię. Lubiłem liczby. Odnajdywałem się w nich.

Miała coraz mniej czasu na naszą przyjaźń. Zaczęła sprowadzać do siebie takie typy, że czasem nabierałem do niej obrzydzenia. W pewnym momencie pomyślałem nawet, że już jej nie potrzebuję, że wyleczyłem się.

Wtedy przyszła zima.

Wracając w nocy z jakiejś imprezy znalazłem na mrozie człowieka. Leżał na śniegu. Umierał. Czulem to wyraźnie. Czulem zapach śmierci. Wtulonej w ten wrak człowieka, w łachmanach, z fioletową gębą, paskudnym oddechem i brudem wzierającym z popękanej skóry. Spędziłem z nim tę noc. Niemal do samego rana. Do chwili, gdy miasto zaczęło się budzić. Czulem rozkosz i spełnienie.

Byłem chory.

Postanowiłem rozpoznać sam ten przypadek i się wyleczyć, lecz szybko doszedłem do wniosku, że to nie ja potrzebuję leczenia. Moje potrzeby były naturalnymi potrzebami drapieżnika. Cywilizacja je próbowała okiełznać, organizm domagał się przyjemności. Cóż miałem wybrać? Wieczne więzienie czy rozkosz? Co pan by wybrał?

Karol też żył dla przyjemności. Innego rodzaju.

Byliśmy tak odmienni i jednocześnie tak do siebie podobni. To chyba on wybrał mnie na studiach na przyjaciela. Był duszą towarzystwa, zjednywał sobie ludzi w ciągu kwadransa, mógł mieć każdą dziewczynę. Prawdziwy zdobywca, męski, dostojny, wojowniczy.

I niesamowicie wręcz podatny na manipulację.

Przez wszystkie te lata naszej znajomości i późniejszej współpracy w firmie sterowałem jego życiem. Kierowałem nim jak marionetką. Poddawałem mu pomysły i ruchy sprawiając, że myślał, że to on sam je wymyślił, a potem wdrażał. Nazywałem jego myśli, potrzeby i pragnienia. Poruszałem jak pionkiem po szachownicy.

Gdy popchnąłem go w kierunku Natalii, był święcie przekonany, że to zrządzenie losu. Natalia chyba jednak przejrzała moją grę. Nic nie powiedziała. Woląca udawać. Była już zaślepiona.

Żadne z nich nie podejrzewało, jakie mordercze myśli wywołała we mnie wiadomość o ich ślubie.

Natalia Soszyńska i Karol Trybuchowski,

Byłem szczerze zaskoczony. Okazało się, że nie zawsze moja marionetka działała tak, jak chciałem. Potem pomyślałem sobie, że sam los wymyślił za mnie tę intrygę. Byłem przekonany, że Karol wcześniej czy później złamie jej serce, porzuci, a ja będę mógł go za to z czystym sumieniem ukarać. Zamordować. Dla niej!

Jednak tak się nie stało.

Jak bardzo go nienawidziłem! Żeby pan wiedział, jakżeż go nienawidziłem! Z każdym kolejnym sukcesem, z każdym milionem na naszym wspólnym koncie. Był moim przyjacielem i najgorszym wrogiem. W biznesie byliśmy skazani na sukces. Żaden z nas osobno nie miałby szans na jego osiągnięcie w takiej skali, jednak razem stanowiliśmy duet nie do pobicia. Moja zdolność do finansów, spinania transakcji, dobierania metod i strategii nie dotarłaby na najwyższy poziom biznesu, gdyby nie jego umiejętności interpersonalne. Potrafił zjednywać do siebie ludzi, nawiązywać relacje z niezwykłą wprost łatwością, tworzyć sieci zależności i przyjaźni, co okazywało się czasem ważniejsze niż profesjonalizm.

Mniej więcej po pierwszym poważnym sukcesie sam też wziąłem ślub. Moja wybranka była cicha, niezbyt ładna, posłuszna i całkowicie podporządkowana. Doskonale rozumiała swoją rolę i wypełniała ją bez najmniejszego protestu. Była kobietą bez skazy.

Karol tymczasem zaczął zdradzać Natalię po trzech czy czterech latach małżeństwa. Prawdziwy samiec-zdobywca.

Różnął wszystko, co się rusza. Zwykle ładne, lecz gdy się upił, było mu już wszystko jedno. Moją ukochaną, której ja nigdy nie mogłem mieć, on zdradzał dla paskudnych popędów, których nie mógł powściągnąć. Nie wiedząc, jakimi naprawdę darzę ją uczuciami, nie krył się ze swoimi występkami, widział wręcz we mnie powiernika.

Gdyby tylko Natalia powiedziała, żebym coś zrobił, żebym się nią zajął, żebym uwolnił ją od tego pasożyta...

Ale nie. Ona to akceptowała. Nawet nie udawała, że nie widzi. Stała się równie cyniczna i wyrachowana. Nasze stosunki były także coraz gorsze. Może nie mogła mi wybaczyć tego wszystkiego? Mojego braku zdecydowania, mojego chłodu, Karola?

Przez lata czekałem na dogodną okazję, by mu zapłacić za te lata upokorzeń. Przygotowałem dziesiątki planów. Cieszyłem się z każdego, jak niedoświadczony pisarz, który zarywa noc płodząc kolejny pomysł na książkę, po czym rano stwierdza, że cała praca jest nic niewarta. Odkładałem je wszystkie na półkach pamięci i czekałem na okazję.

Młody Ochnik wpadł mi w oko od razu. To było na imprezie firmowej. Baśka przyszła z synem, żeby pokazać mu trochę świata. Świętowaliśmy świetny rok, więc można było zaszaleć. Na imprezie były gwiazdy telewizji i filmu wynajęte do zabawiania gości, grał zespół z pierwszej dziesiątki list przebojów, jedzenie przygotowały trzy najlepsze knajpy w Krakowie.

Ochnik jednak miał to w nosie.

Zaszły się gdzieś z boku i obserwował. Miał matematyczne spojrzenie. Taksował ludzi uważnie i wkładał do odpowiednich zbiorów. Baśka wyszła wcześniej, bo się źle poczuła. Nie wiedział kim jestem. Gdy go zagadnąłem, trochę się wystraszył, lecz nie uciekł. Nie pomyliłem się. Był mimo wieku dojrzały. Był jak ja przed laty.

- A co to za idiota? - zapytał w pewnym momencie,

wskazując Karola, który właśnie obmacywał jednocześnie dwie dziewczyny z marketingu, opowiadając jakiś strasznie wyświechtany żart.

Karol nawet nie zwrócił uwagi na Jasia. Kiedy potem ich ze sobą zetknąłem, nic nie kojarzył. Był głupi, jak zawsze.

Za to młody Ochnik okazał się prawdziwym diamentem.

Początkowo myślałem, że wykorzystam chłopaka tak jak innych. Pomoże mi wykończyć Karola, a potem pozbędę się go w ten czy inny sposób. Dzieciak był jednak jak worek z pomysłami. Przebiegły, nad wyraz inteligentny i rozwinięty. Stanowił prawdziwe wyzwanie intelektualne. Szczerze go polubiłem. Były chwile, gdy myślałem, że to on wykorzystuje mnie do swojej gry. Że to on stoi za sterem, a ja jestem tylko wykonawcą jego woli. W szachach co prawda wciąż był za słaby, lecz dziś zdarza mi się myśleć, że może specjalnie dawał mi ze sobą wygrać. Żeby móc manipulować. Żeby uspić moją czujność. Może prowadziliśmy grę dwóch drapieżców krążących nad ofiarą?

Po pół roku zacząłem go wciągać w moje... hobby. Przynajmniej mi się wydawało, że to ja go wciągam. Był pojętnym uczniem. Pokazałem mu świat, w którym poczuł się jak ryba w wodzie. W internecie razem prowokowaliśmy, szukaliśmy ofiar. Łapałem się na dziwnych myślach. Patrzyłem na zdjęcie Jaśka z imprezy i wydawał mi się strasznie podobny do Karola Kota. Gdy dodawałem swoje zdjęcie, wyglądaliśmy jak trzej bracia. Miałem wrażenie, że to los tak zdecydował. Była przecież jeszcze Natalia, której miejsce w całej naszej historii niemal w stu procentach pasowało do roli, jaką Kot wyznaczył swojej znajomej i powiernicze sprzed lat. Której zwierzał się z własnych morderczych wizji.

To nie mógł być przypadek.

Wrobienie Karola w molestowanie nieletniej wyszło trochę samo przez się. Wpadliśmy na to w knajpie, gdy Jan

przyprowadził tę dziewczynę.

Wcześniej długo ją wybierał, szukał, jak wytrawny myśliwy. Katarzyna Mączyńska była doskonałym narzędziem, podatnym na nasz dotyk, jakby była ulepiona z plasteliny. Nie wiem, w którym momencie zmieniliśmy plany. Bo początkowo zamierzaliśmy złożyć Mączyńską w ofierze bez żadnej dodatkowej intrygi. Nafaszerowaliśmy ją flunitrazepamem, rozebraliśmy i zabawialiśmy się wodząc nożem po jej nagim ciele. Skaleczyłem ją lekko na biodrze, a ona nie reagowała. Jan robił zdjęcia. Nie wiedziałem, że wrzuci je potem do sieci. Nawet przestraszyłem się trochę tego, ale nikt nie wpadł na nasz trop.

Szantażowanie Karola potraktowaliśmy jak element tej gry. Musieliśmy pozbyć się dziewczyny, żeby szantaż był skuteczniejszy i żeby nie ryzykować, że mała Kasia skieruje na nas podejrzenia. Miałem ochotę sam ją zamordować. Jednak poszedłem na łatwiznę, a może znów - jak pan powiedział - okazałem się tchórzem. Namiar do adwokata z Wiednia dostałem dawno temu od jakiegoś esbeka.

- W razie czego. On rozwiązuje problemy - polecił.

Kilkakrotnie wraz z Karolem korzystaliśmy z jego usług, ale nigdy nie zleciliśmy morderstwa.

Kosztowało to sto tysięcy dolarów. W sumie tanio, jak za życie człowieka. Podobno wynajął jakiś Rosjan czy Ukraińców. Dziewczyna miała wypadek. Nikt niczego nie podejrzewał.

Karol za to się wymknął.

Jan wpadł wtedy na pomysł, żeby wciągnąć do gry matkę. Jego brak skrupułów, cynizm i zapal nawet dla mnie był zaskakujący. Gdyby pan widział, panie komisarzu, jak wpadał na jakiś pomysł i się do niego zapalał, jak nagle doznawał olśnienia, a potem całkowicie mechanicznie realizował plan. Gdy zapytałem, jaką dokładnie rolę przewiduje dla Baśki, popatrzył na mnie kamiennym

wzrokiem. Nic nie powiedział. Jego wzrok mówił. Wyrażał nienawiść i pogardę. Wyrażał życzenie śmierci.

Wtedy, przy Kopcu Kościuszki, czekałem na nią dwie godziny na mrozie. Wiedziałem, że przyjdzie, wiedziałem, że Karol da jej pieniądze. Kiedy mnie zobaczyła, była tak zaskoczona, że nie wykonała żadnego ruchu, nie krzyknęła. Może myślała, że przyszedłem po jej pieniądze. Czy raczej: po nasze pieniądze. W swoim zaślepieniu i głupocie, nie zdawała sobie sprawy jakiego potwora wychowała i dla jakiego pracowała. Patrzyła jak podchodzę i uderzam ją w głowę. Kiedy ją rozbierałem i dźgałem nożem, cały czas na mnie patrzyła. Czulem jej ciepło. Czulem jak śmierć domaga się tego ciepła. A moje demony znajdują ukojenie.

Cwanie - pomyślał Stańczyk - będą się teraz wzajemnie obciążać. Łukasz Ochnika, Ochnik Łukasza. Czy to jeszcze jedna gra czy tylko przypadek? Zrobią mętlik, żeby sąd miał większy problem z interpretacją zdarzeń i zeznań. Ile z tego jest prawdą a ile wystudiowanym kłamstwem? A może jednak to tylko choroba?

Patrzył w oczy tego chorego człowieka i przez chwilę pomyślał, że historia zatoczyła koło. Może jego ojciec dawno temu musiał ponieść ofiarę, żeby on, po latach, wziął odwet i złapał tych przebiegłych zabójców.

Łukasz Rostowski uśmiechnął się i zakończył:

- Ale z tą blaszką z kartoniku po mleku to mnie pan naprawdę zaskoczył. Bo ja nie mogłem jej zostawić w tym miejscu, tam przy Kopcu Kościuszki. Nie byłbym tak nieostrożny.

- Analiza DNA potwierdziła...

- Nie wątpię.

Łukasz Rostowski założył ręce za głowę i próbował sobie przypomnieć, w którym momencie Ochnik zwędził mu ten nieopatrznie pozostawiony śmieć. Nie mógł sobie przypomnieć. Był to drobiazg, na który nie miał prawa

zwrócić uwagi.

Jan okazał się pojętnym uczniem. Diamentem. Kto by pomyślał, że zaplanuje to tak starannie. Jemu nikt nie udowodni.

Zimny obudził się skoro świt. Nie mógł spać w nocy i przewracał się na łóżku.

Około siódmej poszedł do sklepiku osiedlowego po bułki i gazetę. I niewiele brakowało a padłby trupem z radości. Dwa tabloidy poważnie potraktowały jego donos.. Na dodatek wcale nie patyczkowały się z ofiarami.

Wielkie rżnięcie emerytów

Skorumpowani powiernicy zamiast pilnować pieniędzy klientów wydawali je na najdroższe dziwki sprowadzane przez maklerów podejrzewanych o serię zabójstw.

Tekst był opatrzony zdjęciami dostarczonymi przez Zimnego oraz wielkim nadtytułem:

SKANDAL

Drugi tabloid poszedł jeszcze dalej. Wielki tytuł krzychał czerwonymi literami:

RŻNĄ DZIWKI ZA WASZĄ KASĘ!

Tekst zajawki także był mocny:

Maklerzy podsylali super drogie kurwy politykom i urzędnikom, żeby wyciągnąć kasę z OFE. Podatków unikali wyprowadzając kasę na Cypr. Na dodatek okazuje się, że giełdowi alfonsi są podejrzani o morderstwo własnej pracownicy i dwóch gangsterów. Czytaj, jak młodzi przestępcy robią was wbambuko na bananowej giełdzie.

- Ładnie sobie poczynają - zagaił sklepikarz widząc, jak Zimny wpatruje się w gazetę. - Ja od zawsze wiedziałem, że ta cała giełda to syf. Spekulacja i kurestwo.

- Może nie cała - zaoponował Zimny.

- Co pan tam wiesz - westchnął sklepikarz. - Grasz pan?

- Na giełdzie? - dopytał Zimny - Nie. Nie wolno mi. - Aniby dlaczego?

Zimny zastanawiał się przez chwilę, co odpowiedzieć.

- Wolę unikać kłopotów.

- Ja też. Ale kiedyś spróbowałem. I wciągnęło mnie. Nawet pierwszy rok szedł dobrze, ale potem straciłem wszystko, co zarobiłem..

- Giełda ma służyć temu, żeby pan mógł na dłuższy czas ulokować kapitał. Gra to spekulacja, ryzyko. Totolotek.

- Znalazł się mądrala. Ja tak chciałem, ale maklerzy od razu zaczęli mi robić wodę z mózgu. Na samym początku włożyłem sto tysięcy tylko w akcje spółek państwowych. PKN, KGHM... Tak, żeby nie stracić. A oni zaraz zaczęli dzwonić i przekonywać, że tu i tam mają super okazję... W końcu uległem i jak tylko trochę kasy oddałem im w zarządzanie to zaraz się pojawił u mnie taki cwaniak i mówi: „Za pięć procent tak panu będę obrabiał portfel, że zrobię z pana milionera”. Zgodziłem się i przez prawie pół roku szło dobrze, robił ze mnie milionera. A potem zrobił bankruta. Do dziś muszę spłacać te kurewskie lewary.

- Dał się pan oszukać.

- Ano dałem. Ale cieszę się, że w końcu gazety się za nich wzięły.

- Nie do końca. Ale ma pan dużo racji - Zimny wziął do koszyka oba tabloidy.

Ciekawe, jak zachowają się inne media?

Inne media przestały udawać niewidomych i niesłyszących około południa. Na głównych portalach tabloidowe teksty zaczęły śmigać na czołowych miejscach już koło 11. Ujawnienie listy akcjonariuszy cypryjskiej spółki Kaldera i specjalnych VIP-owych klientów KDI dodatkowo podsyciło zainteresowanie, choć na razie bez znaczących komentarzy. Media bały się, że w części przypadków to zbieżność nazwisk. To nie przypadek.

W TVN24 zorganizowano po południu specjalny blok programowy. TVP Info i Polsat News złamały się godzinę później. Do wieczora wszystkie media w kraju grzmiały o największej aferze seksualno-finansowej w tej części Europy, a może i na świecie. Reuters i Bloomberg tego dnia w depe szach wieczornych, zamiast krótkich skrótów informacji, nadały długie reportaże. W CNN afery stała się jednym z głównych tematów bloku poświęconego Europie. BBC o godzinie 23. nadał reportaż pełen ciekawych ujęć łó żkowych przetykanych zdjęciami budynku polskiego Sejmu i Pałacu Prezydenckiego. CNBC poczuło się w obowiązku do zaprezentowania historii całej polskiej transformacji gospodarczej i politycznej. Migawki z Okrągłego Stołu, zdjęcia Wałęsy, Olszewskiego, Kwaśniewskiego szybko ustąpiły ujęciom przekształceń polskich firm. Zaniedbane fabryki, palący fajki i pociągający z flaszek robotnicy, wie ce protestacyjne związków zawodowych zostały skonfrontowane z współczesnymi ujęciami przedstawiającymi nowoczesne budynki, przed którymi parkowały luksusowe samochody a w nich biznesmeni w drogich garniturach.

I na zakończenie: Polska Giełda Papierów Wartościowych w Warszawie.

„Polska giełda z małego, niewiele znaczącego rynku wyrosła w ciągu zaledwie piętnastu lat na lidera regionu. Dziś rangą wyprzedza giełdy Wiednia, Kopenhagi, Luksemburga, Sztokholmu, Belgradu czy Pragi i ma realne szanse na palmę pierwszeństwa w regionie. Kto wie, może kiedyś stanie się ważniejsza niż indeksy we Frankfurcie czy Paryżu.” - cedził spiker.

Dupa Jasiu - pomyślał Zimny.

- I do czego doszliśmy? Dziwki, bandyci i łapówkarze. Oto nasza elita.

W końcu cukierkowe obrazki zastąpiły okładki tabloidów,

zdjęcia nocnych klubów i stylizowane ujęcia z walizkami pieniędzy, agentami CBA i CBS zatrzymującymi przestępców na pierwszym planie.

„Przestępczość gospodarcza może jednak mocno nadszarpnąć wiarygodnością tego rynku. Znane w Polsce afery związane z wyłudzeniami podatków, mafią paliwową czy oszustwami giełdowymi dotąd pozostawały w granicach tego doświadczonego przez historię kraju” - mówił spiker. Następnie na ekranie pojawił się jakiś ekspert z londyńskiego City. „Nowa afera ma inny charakter.” - powiedział - „Jest nośna, bo ma mocne zabarwienie seksualne. I gdyby wiązała się tylko z seksem, pewnie nie byłoby problemu.”

„Może nawet przyciągnęłaby nad Wisłę więcej kapitału.” - dodał z szyderczym uśmiechem inny ekspert - „Wiadomo, że finansiści lubią się bawić, a Polki mają opinię wyjątkowo urodziwych i atrakcyjnych”.

Tak, zróbcie z Polski burdel.

„Jednak niestety” - kamera pokazała znów pierwszego eksperta - „znacznie gorsze dla postrzegania Polski, są informacje teraz nie wybijające się na pierwszy plan. Myślę tu o korupcji, braku nadzoru nad rynkiem, problemach z transparentnością, układami i nierynkowymi zachowaniami, z któ -rymi, jak się wydaje, rząd nie tylko nie może sobie poradzić, ale wręcz nie chce walczyć.”

Potem na ekranie pojawiło się kilka innych znanych postaci z Georgem Sorosem i Markiem Mobiusem na czele.

„W krajach rozwijających się problemem dla inwestorów jest przestrzeganie prawa” - mówił Mobius.

„O tym się nie mówiło, bo to temat trudny, ale teraz na pewno te kwestie będą podnoszone. Jeśli polski rząd nie weźmie na poważnie tego ostrzeżenia i nie zmieni postępowania, to kapitał zagraniczny się od niego odwróci. Pozostaną spekulanci i pieniądze wątpliwego pochodzenia” - twierdził inny ekspert.

„Cóż. Polska ma niestety opinię bliższą bananowej republice niż krajom demokratycznym” - dodał kolejny.

-A oni to mają lepiej. Jakby w Paryżu czy Londynie nie było afer - wtrąciła Ewelina.

-Ale jak u nich wychodzą na światło dzienne, to jednak ktoś z nimi walczy - zaproponował Zimny.

Ewelina, która wzięła sobie dzień wolnego, podgryzała z tacy winogrona.

- Mógłbyś na tym nieźle zarobić. Jak nie zarobić, to przynajmniej samemu napisać jakiś tekst.

- Jeszcze napiszę. A gdybym chciał zarobić, to może bym wszystko zepsuł. Przecież wcale nie wiedzieliśmy, że media się tym zajmą. Znasz moje doświadczenia. Poza tym wiesz, że tego nie popieram. To nie jest afera seksualna tylko finansowa.

- Przecież tak właśnie mówią.

- No tak. Tylko zamiast indeksów pokazują gołe dupy.

- Nie mów, że nie ciekawiej wyglądają. Dzięki temu pierwszy raz mogłam zobaczyć członka jednego z szefów partii rządzącej - Ewelina wydawała się być szczerze rozbawiona swoją uwagą.

Zimny skorzystał z jej komputera i napisał tekst na portal insidera. Początkowo zamierzał ujawnić całą swoją intrygę, ale po kilku nieudanych próbach jej opowiedzenia stwierdził, że lepiej złożyć suchą relację i poczekać, aż inne gazety się wyszumią.

To był dobry ruch, bo gazety zaczęły się same napędzać i, choć wciąż nie docierały do sedna sprawy, to praktycznie wykończyły KDI. Niedługo później Zimny z osłupieniem patrzył, jak Zenon Maciarz w TVN CNBC występuje jako ekspert od spraw giełdowych, ocenia całą aferę i tłumaczy jej specyfikę.

- KDI od dawna na rynku był postrzegany jako firma o niezbyt jasnych zasadach działania. My wielokrotnie

spotykaliśmy się z nieetycznymi działaniami wokół ofert prowadzonych przez tę firmę. Nas także próbowano oszukać. Na szczęście media spełniły swoje zadanie.

- Nie obawia się pan jednak, że to zrazi ludzi do giełdy? Że odciągnie od nas zagranicznych inwestorów.

- Wręcz przeciwnie. Widać, że i giełda i nadzór panują nad sytuacją. Jeśli się nie mylę, to prezesi KDI już są aresztowani.

- Tak, ale pod zarzutem morderstwa.

- Widzi pan, przestępcy wszędzie starają się - używając języka giełdowego - uplasować, ale na szczęście na dłuższą metę im się nie udaje. Wracając do pierwszego pańskiego pytania myślę, że po początkowych zawirowaniach rynek odzyska kondycję, a poważni inwestorzy będą cieszyć się hossą. Spekulanci zawsze tracą. Poważni inwestorzy tylko zarabiają.

- Takich inwestorów pan szuka?

- Wyłącznie. Spekulanci nas nie interesują. Przeprowadzając największą ofertę w tej części Europy nie możemy sobie pozwolić na rozgrywki ze spekulantami.

Zimny przez chwilę był zaskoczony, że Maciarz tak otwarcie atakuje KDI. Dlaczego? Przecież jesteście partnerami.

Potem z jeszcze większym zdumieniem przeszukiwał internet, w którym wszelkie związki oferty Maciarza z KDI zostały wycięte. Linki były nieaktywne a w komunikatach oficjalnych i opublikowanym już prospekcie, KDI nie występował.

Cuda?

Zimny zagryzł wargę zrezygnowany. Jednego nie udało mu się zrobić. Nie złapał Maciarza.

Za wysokie progi na nasze nogi.

Wieczorem Ewelina przez prawie godzinę rozmawiała z Piotrem.

- Możesz wracać do siebie - powiedziała Zimnemu

- Wyganasz mnie, mój aniele stróżu?

- Nie - westchnęła Ewelina. - Ale nic ci już nie grozi.

- Co się stało?

- Kruger zamordował niejakiego Romana Gutka, hazardzistę. Był nieco podobny do niego, więc wykorzystał paszport do wydostania się z Polski. Kilka dni temu kupił bilet i wsiadł na pokład samolotu do Amsterdamu. Sądzymy, że nic ci już nie grozi.

Zimny z uczuciem spojrział na jej niewielkie mieszkanie.

- Było mi dobrze u ciebie.

- Drzwi są zawsze otwarte.

- To lecę - rzucił krótko Zimny.

- To leć.

Po południu w gabinecie premiera doszło do narady najważniejszych polityków partii rządzącej. Premier miał zatroskaną minę. Za półtora roku wybory, a sytuacja w kraju stawała się coraz trudniejsza. Rosnący deficyt budżetowy, trudna sytuacja finansów publicznych, problemy z rozliczeniami unijnymi wymuszały reformy, które nie przysporzą im popularności. Jeśli dodatkowo będą zmuszeni podnieść podatki, to może to oznaczać koniec ich karier. Porażka wyborcza stawała się coraz bardziej realna. Na dodatek rząd ścigało coraz więcej afer poprzednich ekip. Część ścigała także koalicjanta. Partia nie była w stanie samodzielnie sprawować władzy. Znacznie mniejszy koalicjant był więc jej niezbędny. Niestety pierwsze sondaże przeprowadzone po wybuchu afery KDI były niezwykle niepokojące. Wyborcy obarczali rząd odpowiedzialnością. Telewizja zaczęła pokazywać harce pierwszych opozycyjnych posłów, którzy zwietrzywszy krew zaczęli coraz głośniej mówić o odpowiedzialności rządu za wieloletnie zaniedbania. Sprawa ta mogła znacząco obniżyć już i tak nadszarpnięte notowania rządu.

Premier przywitał trzech ministrów oraz dwóch doradców i

wskazał na stół, na którym leżały tabloidy i wydruki z portali.

- Co o tym sądziecie? - zapytał krótko patrząc na pełnomocnika rządu ds. korupcji, który poczuł się wywołany do tablicy.

- Cóż, monitorujemy te sprawy. Nie są takie proste, jak to opisują media. Jeden z ministrów chrząknął z rozbawieniem.

- Nie są proste? Urzędnicy dostają łapówki, szkołą za pieniądze petentów, maklerzy wynajmują... hmm, prostytutki, politycy mają jakieś tajne konta na Cyprze, gdzie są wyprowadzane pieniądze emerytów, a pan, panie ministrze, mówi, że to nie takie proste. Na dodatek podobno mieliście wcześniej o tym wszystkim sygnały - zaatakował minister spraw wewnętrznych.

- To podległe panu ABW powinno mieć o tym sygnały - odciął się pełnomocnik.

-I owszem. Wezwałem już szefów służb na dywanik. Ale tu mamy też do czynienia z sytuacją systemową, którą pan powinien monitorować. A czego się dowiadujemy? Zaraz... Gdzieś przeczytałem pana wypowiedź o kontrolach sprzed roku w tych sprawach i ujawnionych nieprawidłowościach. Jakie to kontrole, skoro nie ma efektów.

Pełnomocnik poczerwieniał i spojrzał błagalnie w kierunku premiera. Nie mógł przecież przyznać, że to kancelaria premiera wyciszyła tamtą sprawę i nie wyciągnęła konsekwencji w stosunku do winnych. Nie wiedział, czy premier sam o tym zdecydował czy to ktoś z jego najbliższego otoczenia.

- Kontrole były po donosach spółki, której prezesi siedzieli w więzieniu. Nie mieliśmy do nich zaufania.

- Dobrze sobie. Warto ufać właściwym ludziom.

- Nie kłóćcie się - uciszył ich premier. - Teraz nie ma co szukać winnych. Musimy zastanowić się, co zrobić na przyszłość. Panowie, proszę o wasze sugestie.

Doradca od PR zaczął ostrożnie:

- Afera jest zbyt poważna, żeby ją czymś przykryć. Wydaje nam się, że najlepszą strategią będzie obciążenie za KDI poprzedniej władzy. W końcu to oni mianowali Klasyka. Zaczęłam już działać, żeby myśl ta znalazła się w ważniejszych programach informacyjnych...

Premier przerwał niecierpliwie:

- Czy wśród polityków z kontami w KDI są nasi ludzie?

Szef klubu parlamentarnego poprawił się na fotelu i przez chwilę układał wypowiedź w myślach. Doskonale wiedział, że premier znał odpowiedź.

W co grasz?

- Jest tam trzech naszych ludzi - odparł. - W tym szef regionu, jak wiesz, bliska nam wszystkim osoba. Poprosiłem, żeby nie odbierał telefonów i wyjechał na parę dni. Zresztą, on występuje też na jednym ze zdjęć.

-W pełnej krasie - mruknął pełnomocnik. - Na jego miejscu też bym czym prędzej czmychnął.

- Byle nie na Cypr - zażartował minister sprawiedliwości.

- Po cichu daliśmy im znać, że mogą być pod ostrzałem służb. Poprosiłem ABW, żeby monitorowali całe stadko, wszystkich z tej opublikowanej przez media listy - powiedział minister spraw wewnętrznych.

- Dobrze. Chciałbym, żeby nasi politycy złożyli specjalne oświadczenia do mediów - powiedział premier.

- Jednakowej treści. Krótko i zwięźle mają poinformować o całkowitej gotowości lustracji majątkowej, zrzeczeniu się immunitetu i oddaniu do dyspozycji prokuratury. Ktoś ma puścić przeciek do gazet, że treść jest nieprzypadkowa, że to zostało im nakazane przez klub parlamentarny.

Pełnomocnik popatrzył na premiera ze zdumieniem.

- Mówisz poważnie.

- Tak. Przekaz ma być jasny: koniec pobłażliwości. Jesteśmy liberałami, ale nie będziemy tolerować żadnych działań z naruszeniem czy też na granicy prawa. Szczególnie surowo

potraktujemy ludzi z własnego ugrupowania zamieszanych w to wszystko.

- Genialny ruch - przyznał rozbawiony minister sprawiedliwości.

- Ja naliczyłem na tej liście dwóch posłów opozycji. Szybka nasza reakcja zmusi także opozycję do działania i wyprzedzi ich ewentualny atak. To my będziemy prowadzić grę.

Premier zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział.

- Wierzcie mi albo nie - rzucił w końcu - ale tym razem nie chodzi tylko o politykę. Tym razem musimy pokazać, że nasza reakcja jest daleka od polityki i nie ma na celu mydlenia oczu.

-Anie zawsze tak jest? - zażartował pełnomocnik. Premier zwiesił głowę w zamyśleniu. Nie powiedział politycznym przyjaciołom, że dziś przed południem odbył trzygodzinne spotkanie ze swoim prawdziwym przyjacielem z dawnych lat, który teraz był właścicielem spółki giełdowej. Poprosił go o opinię w tej sprawie.

- Nie czytałeś Insidera? Albo wcześniej tekstów w Expressie Finansowym? Szkoda, bo ta nasza bananowa giełda ośmiesza Polskę na całym świecie. Gdyby takie artykuły ukazały się w Londynie albo w Stanach, miałbyś światowy krach i cały rój agentów FBI przeszukujących biura maklerskie. Mój drogi premierze, prawda jest taka, że olewacie inwestorów giełdowych i kompletnie nie macie pojęcia o ich sytuacji. Walki i przestępstwa na parkiecie są powszechne i powszechnie ignorowane, bo nie ma politycznego wsparcia dla urzędników, którzy chcą coś zrobić. A jak go nie ma, to prezesi krętacze czują się bezkarni. Efekt jest taki, że KNF łapie plotki i ściga jakieś głupie małe wykroczenia odpuszczając rekinom. Wiesz, ile ludzie potracili na aferach? A to jest problem już setek tysięcy ludzi. Na giełdzie aktywnych inwestorów jest co prawda tylko 200 tysięcy, ale kont już ponad milion. Do tego dochodzą klienci funduszy i

OFE. Oni wszyscy oczekują, że ktoś zrobi porządek z tą stajnią Augiasza. Jak ty to zrobisz, to wybudują ci pomnik.

- To naprawdę takie poważne?

- Zastanów się, co myślą o was inwestorzy, którzy słyszą, że za wielkie przekręty u nas jeszcze nikt nie poszedł siedzieć, a sprawy z manipulacjami na giełdzie trwają po 10 lat? Co ma pomyśleć taki uczciwy gracz jak widzi, że w USA takiego Madoffa skazują w pół roku. Gdyby to u nas Madoff zrobił przekręt na tę skalę, to wyrok dostałby po trzydziestu latach. Jak uda ci się przekonać inwestorów giełdowych, że ci na nich zależy i będziesz walczył z przestępczością finansową, poparcie skoczy ci o 20 procent i wygrasz kolejne wybory. Ale co ważniejsze, zrobisz coś dobrego dla ludzi. Będziesz mógł wnukowi opowiedzieć, że ty naprawdę naprawiałeś ten kraj a nie jak inni tylko o tym mówiłeś. Pomyśl, Wałęsę zapamiętają bo obalił komunę, Kwaśniewskiego i Millera, bo wprowadzili Polskę do UE, a ciebie? Masz się czym pochwalić? Nie? To do roboty.

Patrząc na ministrów swojego rządu, premier podjął decyzję.

- Zamówcie mi czas antenowy na dziś po Wiadomościach, chcę wygłosić orędzie. Przygotujcie też ekspertyzy o możliwości odwołania szefa KNF i wprowadzenia na GPW zarządu komisarycznego.

- Zwariowałeś? - zaproponował szef klubu

- Chcesz doprowadzić do krachu? Złoty runie w dół, będziesz miał wielki skandal.

- Skandal już mamy. Trzeba coś z nim zrobić.

Rozdział 46

*Moralne zwycięstwo
w szachach się nie liczy.*

Ksawery Tartakower

Zimny przespacerował się do autobusu. Jego samochód był na parkingu policyjnym, gdzie odholowano go po akcji z Krugerem. Na przystanku spojrzął na rozkład jazdy i stwierdził, że nie chce mu się czekać.

Ale nie spieszył się. Myślał o całej sprawie i w sumie czuł coś w rodzaju dumy. Rozpierało go uczucie spełnienia; niepewność i strach ustąpiły. A przecież tak niewiele brakowało, żeby wszystkie jego dziennikarskie starania wzięły w łeb. Był na granicy. Wyczuwał tę delikatną cienką linię, po której przekroczeniu sprawa stałaby się osobista, a on straciłby jej trzeźwy osąd. Stałby się zapalonym, osobistym przeciwnikiem KDI, jego szefów, może mediów, całego świata. Zasiliby szeregi oszołomów i wariatów, którzy za swoje niepowodzenia winią układy i sieci powiązań. Czy aby nie słusznie?

Przeszedł przejściem podziemnym, gdzie jakiś siedemdziesięciolatek grał na gitarze śpiewając:

Wszystko to dla ciebie, Bo kocham cię, Kochając jak w niebie, Kocham szalenie, Z miłości łaknienie, Susza kochania rodzi się...

Boże, cóż to za tekst! Nie można było władować tam jeszcze więcej kochania? Ale grajek wczuwał się w niego z taką intensywnością, że Zimny poczuł zawstydzenie. On też ma swoją pasję i ją realizuje. Zimny nie potrafił grać; słoń nadepnął mu na ucho. Wrzucił monetę do kapelusza grajka, gdy ten śpiewał dalej.

Zerknął na zegarek. Zbliżała się 20. Zaraz sport w dzienniku.

Ciekawe, kto wygrał wczorajsze eliminacje do Ligi Mistrzów? Całkiem niedaleko był klub nocny. Siedziały w nim tylko dwie brzydkie, krzykliwe ubrane dziwki, ale za to nad barem wisiała plazma nastawiona na Jedynekę. Zamówił piwo. Diewki otaksowały go zachęcająco wzrokiem, jednak nie zaczęły widząc, jak dziennikarz unika ich wzroku.

Blok reklamowy za chwilę miał się skończyć. Zanim jednak puszczono czołówkę sportu, kamera wróciła do studia.

„Za chwilę nadamy specjalne orędzie premiera Polski w związku z sytuacją gospodarczą i ostatnimi doniesieniami mediów dotyczącymi afer na rynku finansowym” - powiedziała spikerka.

Zimny otworzył usta ze zdumienia i mimowolnie popatrzył na dziwki, szukając potwierdzenia, że usłyszał to, co usłyszał.

- Co piękny, masz jednak ochotę? - zapytała jedna z nich. Zimny pokręcił przecząco głową, po czym znów zaczął się gapić w ekran.

Zaskoczenie sprawiło, że kompletnie się wyłączył podczas sportu i nie zanotował wyników meczów. Polskie drużyny pewnie i tak jak zwykle przegrały. Wkurzony barman zamierzał wyłączyć telewizor, ale Zimny poprosił, żeby zostawił na orędzie.

- Co, interesuje cię co Cudak powie? - zarechotała dziwka - Znowu ci obieca Irlandię albo wizy do USA, jak ci przed nim.

Zimny zignorował ją. Dziesięć minut później na ekranie pojawił się premier. Jak zwykle prezentował się znakomicie, mówił bez zmrużenia oczu, sprawiając wrażenie, że słowa dokładnie odzwierciedlają jego myśli. Zawodowy kłamca. Tym razem jednak coś było inaczej. Coś przykuwało wzrok i sprawiało wrażenie, że premier jest szczery.

„Drodzy rodacy, przyjaciele! Dziś zapewne większość z was zwróciła uwagę na aferę dotyczącą rynku finansowego. Sam byłem zszokowany tymi doniesieniami i wciąż nie mogę uwierzyć, że coś takiego mogło się u nas zdarzyć. Ale nie

mogę też uwierzyć, że działo się to pod moim okiem, na oczach nas wszystkich i w obliczu całkowitej ignorancji, przyzwolenia, a może bezradności Państwa i służb porządkowych. Nie zamierzam wam mówić, że to nie nasza wina, że to wina naszych poprzedników. Że ktoś wstawił do naszej partii szpiegów, śpiochów, że to robota układu czy politycznych przeciwników. Nie. Chcę jasno powiedzieć, że mój rząd weźmie pełną odpowiedzialność za ten skandal. Tak, pełną odpowiedzialność. Ale też weźmiemy pełną odpowiedzialność za jego rozwiązanie i naprawę tej dziedziny gospodarki, którą toczy rak i zepsucie. Chcę powiedzieć, że nie będziemy się zasłaniać tajemnicami, nie będziemy szukać winnych na siłę czy zamiatać brudy pod dywan, bo sprawa jest poważna i zbyt długo była lekceważona przez nas i naszych poprzedników. Zbyt wiele giełdowych afer nie znalazło finału w sądzie, zbyt wielu z was zostało oszukanych. Powiedzmy to wyraźnie: OSZUKANYCH. Bez konsekwencji dla winnych, bez naszej ochrony. Bez sprawiedliwości. Dlatego dziś obiecuję wam, że tym razem koniec pobłażliwości. Koniec bezprawia. Mój rząd wykorzysta wszystkie dostępne środki, żeby ukarać winnych zaniedbań, żeby zapewnić rynkom finansowym bezpieczeństwo i najlepszy nadzór, surowy, ale sprawiedliwy. Koniec ze ściganiem drobnych inwestorów, którzy padli ofiarą nierobów w urzędach przez niewiedzę czy pomyłkę. Koniec ze ściganiem w świetle jupiterów ludzi oskarżonych o drobne manipulacje a zostawianie w spokoju prawdziwych rekinów. Od dziś wszyscy nadzorcy, włącznie z nadzorem skarbowym i urzędem Komisji Nadzoru Finansowego, służbami specjalnymi i prokuratorami będą w sposób właściwy ścigać prawdziwych manipulatorów i oszustów z całą surowością prawa. Weźmiemy się za giełdowe spółdzielnie i mafie, będziemy ścigać zaniedbania zarządzających i nadzorców, osoby oszukujące was

nieprawdziwymi informacjami, wyprowadzające pieniądze z waszych firm, manipulujące akcjami i wykorzystujące informacje poufne. Koniec pobłażliwości. Tak, żebym za rok mógł z dumą powiedzieć wam, że nasz rynek finansowy jest równie bezpieczny jak ten w USA czy Wielkiej Brytanii. Żebyście nie mieli poczucia, że mieszkacie w republice bananowej".

Premier podniósł ze stołu kartkę A3 z namalowanym na niej znakiem, przedstawiającym wielkiego żółtego banana przekreślonego na czerwono.

STOP BANANA REPUBLIC!

„Jutro ten znak znajdziecie we wszystkich gazetach. Wraz ze szczegółami naszych działań przeciwko przestępcom finansowym. Pojutrze znajdziecie go też w urzędach państwowych a za tydzień, mam taką nadzieję, we wszystkich domach maklerskich i prywatnych spółkach funkcjonujących na rynku kapitałowym. Biada temu, kto nosząc ten znak, będzie łamał prawo rynku kapitałowego".

- Cudak zakazuje bananów - westchnęła prostytutka. Zimny skrzywił się i wyszedł z baru czując, że za chwilę nie będzie mógł

się opędzić od telefonów. Odebrał tylko dwa. Od Andreeasa i Eweliny.

- To jeszcze nie koniec wojny - powiedział Andreasowi.

- Ale to wielki przełom. Dzięki panu.

- Przesada. Bardziej dzięki panu.

- Nie. Żadna przesada.

Ewelina mówiła urywanymi zdaniem; słysząc było, że jest wzruszona.

- Pewnie, że wolałabym, żeby powiedział, że to dzięki jednemu niepokornemu dziennikarzowi, ale chyba i tak mamy się z czego cieszyć. Już dzwonił do mnie Piotr. Mówił, że w Ministerstwie Sprawiedliwości i prokuraturze jest straszna zadyma. Dyrektorzy biegną i szukają winnych

zaniedbań. W prokuraturze krajowej powstanie specjalna komórka do zwalczania przestępczości giełdowej. To kolejny raz, ale podobno teraz na poważnie, ze środkami finansowymi i prawnymi, które umożliwią tę walkę. Błyskawicznie mają wprowadzić specjalne ustawy, przeszkolić sędziów i wdrożyć rozwiązania ze Stanów. Chyba tego się nie spodziewałeś? A to twoja robota. Dziś nikt o tym nie mówi, ale za tydzień będzie już jasne, kto to spowodował. Zresztą premier nieprzypadkowo skopiował twój znaczek. Nie musisz przedstawiać dowodów. Może za rok nakręcą o tobie film. Wygrałeś!

- Co z tego? Maciarz i tak będzie na wierzchu.

- Ale wielu mu podobnych polegnie. Poza tym nawet sobie nie zdajesz sprawy, jak takie działania mogą skutkować profilaktycznie. Nie pokonałeś jednego człowieka, tylko zwalczyłeś system. To dużo więcej. Teraz jakiś baran w TVN mówi, że to czyszczenie giełdy może ostro odbić się na indeksach, a ja sądzę, że nawet jeśli początkowo tak się stanie, to nasze GPW w końcu zyska na znaczeniu i przyciągnie kapitał zagraniczny.

- Jesteśmy chyba zbyt naiwni.

- Ale za to nie musimy się obawiać spojrzeć w lustro przy goleniu. Zimny zobaczył, że kolejne osoby dobijają się do niego. Nagle znów miał dużo przyjaciół.

- Przepraszam cię Ewelina, ale nie mogę dłużej gadać. Idę spać, wyłączę komórkę, więc nie próbuj dzwonić. Całusy.

- Całusy.

Zimy wyłączył telefon i ruszył biegiem do tramwaju jadącego w kierunku Mostu Poniatowskiego. Pół godziny później stanął przy domu na Czeskiej, którego nie widział od kilkunastu dni.

Pewnie syf i smród.

Na górze paliło się światło i grał telewizor. Dziwne, Czesław

rzadko oglądał telewizję o tej porze a prawie nigdy tak głośno. Zimny zawahał się otwierając zamek, gdyż ogarnął go jakiś niezrozumiały niepokój. Przeczucie.

Pięć minut po telefonie do Zimnego Ewelina ponownie odebrała telefon od Piotra. Była w świetnym nastroju, więc z początku powiedziała coś żartobliwego, ale zaraz spoważniała. Czuła jak z każdym słowem Piotra robi się błada i skostniała ze strachu. Bez słowa rozłączyła się i wykrcięła numer do Zimnego. Dziennikarz już jednak wyłączył telefon.

Zimny przez chwilę myślał, że w wynajmowanym przez niego pokoju na parterze siedzi Czesław. Mężczyzna na kanapie zupełnie jednak nie przypominał wysokiego, postawnego właściciela domu. Lekko otyły, łysiejący gościu tuż przed emeryturą. Może to jakiś policjant albo agent ABW - przemknęło mu przez myśl. Szybko jednak zrozumiał, kim może być nieznajomy.

Czy zdążę dobiec do drzwi i uciec?

Był tak zmęczony, że próba ucieczki była skazana na porażkę. Poza tym, coś kazało mu zostać, pociągało go do odkrycia tajemnicy. Może śmierć nas tak pociąga?

Z drugiej strony organizm potrafi wzbic się na wyżyny, kiedy walczy o życie.

A może będę w stanie z tobą wygrać?

Zimny nie widział broni w rękach zabójcy i zrobił krok w kierunku Krugera. Uśmiechnął się do niego.

- Długo na pana czekałem.

Wtedy Zimny zobaczył, że koszulka zabójcy jest zakrwawiona. Idąc za jego wzrokiem Kruger wyjaśnił:

- Ten pana kolega z góry...

- Czesław - dodał Zimny.

- Twardy gość, mało brakowało a to on by był na wierzchu.

Zimny przypomniał sobie żelazny uścisk dłoni Czesława. Jeśli Kruger z nim wygrał, to jakie ja mam szanse?

- Dlaczego pan chce mnie zabić?
 - Tego nie wiem. Po prostu dostałem zlecenie.
 - Policja myślała, że pan uciekł. Jeśli mnie pan zamorduje, będą wszędzie pana szukać. Poza tym, nie uda się już panu upozorować nieszczęśliwego wypadku.
- Kruger smutno pokiwał głową.
- Wiele się zmieniło - mruknął.
 - Ale i tak pana zabiję.

Talar pędziła Jerozolimskimi jadąc jak pirat. Jeśli się pospieszy może uda jej się złapać Zimnego zanim ten dotrze do domu. Ryzyko, że zabójca czeka na niego na Czeskiej było minimalne, ale przecucie mówiło Ewelinie, że powinna natychmiast zapakować dziennikarza do samochodu i zawieść do jakiegoś dobrze chronionego miejsca. Najlepiej do aresztu. Boże, żeby tylko zdążyła.

Wciąż krążyły jej w głowie słowa Piotra.

- Kruger rzeczywiście podszył się pod Romana Gutka, kupił bilet na samolot i nawet przeszedł kontrolę paszportową, ale... nie wsiadł do tego cholernego samolotu i prawdopodobnie cały czas jest w Polsce. A jeśli tak, wiesz co grozi Zimnemu?

Zabójca nieprzypadkowo wykonał taką akcję. Chciał wyprowadzić nas w pole i to mu się udało. Nie po to, żeby zmylić dalszy trop. Po to, żeby dalej polować. A jeśli tak, to jednak może być w domu Zimnego. Co innego miałby zrobić? Przypieszyła.

Tuż przed dziewiątą dotarła na Czeską. Początkowo zamierzała wejść frontowymi drzwiami, ale zrezygnowała uznając, że jeśli zabójca jest w środku, nie wyniknie z tego nic dobrego. Ogród.

Ogród Zimnego był zapuszczony, dawał miejsce do ukrycia a

jednocześnie duże drzwi balkonowe pozwalały na obserwację wnętrza. Nie zastanawiając się długo obiegła dom i przeskoczyła przez siatkę do ogrodu. I zamarła z przerażenia.

Zabójca nie zamierzał niczego pozorować. Zaraz po zamordowaniu Romana Gutka kupił telefon na kartę i zadzwonił do pośrednika informując o drobnych kłopotach. Pośrednik suchym głosem przekazał mu, że klient wycofał zlecenie, ale w niedługim czasie je ponowił. Nie żądał też już pozorowania wypadku, a wręcz przeciwnie.

Wszystkie chwytaki dozwolone. Akcja pokazowa mile widziana. Roman Gutek kupił więc bilet na samolot, przeszedł kontrolę paszportową, po czym ukradkiem wmieszał się w tłum pasażerów wracających z Brukseli i znalazł się w hali przylotów. Dokumenty na nazwisko Gutek mogły mu służyć jeszcze przez jakieś dwa dni. Może trochę dłużej. Tę noc przespał na Dworcu Centralnym, po czym zachowując wszelkie środki ostrożności pojechał na Saską Kępe. Kiedy był pewien, że dom Zimnego nie jest obserwowany, włamał się w nocy do niego i postanowił rozprawić z Czesławem. Nie wiedział, kim jest ten mężczyzna i nie spodziewał się tak stanowczego oporu.

Wszedł po cichu na górę, otworzył drzwi do mieszkania właściciela, mocno zacisnął palce na rękojeści krótkiego noża, który znalazł w kuchni Zimnego i nachylił się nad Czesławem. I popełnił błąd!

Powinien zabić tego wielkiego mężczyznę przez sen. Chciał jednak spojrzeć mu przedtem w oczy. Czesław nie czekał aż zabójca wbije mu nóż w szyję. Zareagował natychmiast uderzając głową w nos napastnika i zrzucił go z siebie. Oszołomiony zabójca trzymał się za nos i jęczał patrząc ukradkiem jak blisko dwumetrowy Czesław unosi się na łóżku i rechocze widząc wijącą się ofiarę.

- Co ty, kurwa, nie wiesz, że Czesława się nie okrada?

- Przepraszam - zaskomlał zabójca. - Rozbił mi pan nos.
- Czesław jest szurnięty. Nikt tu nie przychodzi. Wszyscy wiedzą, żeby się trzymać od Czesława z daleka. Czego chcesz?
- Tego - zabójca wyczekał, aż Czesław znajdzie się w zasięgu noża i skoczył na olbrzyma trzykrotnie wbijając krótkie ostrze w okolicę serca.

Czesław jęknął, jednak nie upadł. Uniósł ciężką jak głaz pięść i zdzielił nią napastnika odrzucając go na ścianę. Zabójca stęknął z bólu, leżał przez chwilę bez ruchu odpoczywając i czekając, aż Czesław znów znajdzie się w zasięgu noża. Wtedy skoczył ponownie, tym razem celując w szyję i sta -rając się rozciąć jedną z tętnic szyjnych. Udało się za drugim razem. Nóż przeciął szyję, krew bryznęła w twarz zabójcy osłepiając go. Jednocześnie Czesław trafił napastnika potężnym lewym hakiem w szczękę posyłając go na deski i pozbawiając przytomności na jakieś trzy minuty. Kiedy zabójca się ocknął, Czesław leżał w kałuży krwi już nie oddychając.

Udało się! Teraz patrząc na Zimnego zastanawiał się, czy warto silić się na pozorowanie jego śmierci w wyniku konfrontacji z Czesławem. Nie, to nie ma sensu. Od zabójstwa Czesława minęło zbyt dużo czasu a pozostawio -ne przez niego ślady w miejscu zbrodni, ciężko byłoby usunąć nawet podpalając dom. Ale podpalenie nie wchodziło w rachubę, bo od razu zaalarmowałyby sąsiadów i policję. Nie, nie ma co pozorować.

Talar wyszarpnęła z torebki glocka, odbezpieczyła broń i wprowadziła pierwszy nabój do komory. Oddychała gwałtownie, ręce drżały jej tak, że ciężko byłoby jej trafić w autobus. Myśli kotłowały się w jej głowie. Pierwsza była radość. Żyje, zdążyłam. Żyje!

Kruger-Gutek rozmawiał z Zimnym. Nie wiedziała o czym. Ale wiedziała, że za chwilę na jej oczach może po prostu

jednym ruchem zamordować jej przyjaciela. Widziała ich doskonale przez oszklone drzwi do salonu, dzięki włączonej lampce nad kuchenką. Światło było nikłe, ale wystarczało, żeby rozpoznać obu mężczyzn. Jeśli zaraz się nie uspokoję, nie będę w stanie mu pomóc. Zabije jego a potem i mnie. Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko.

Nic się nie dzieje. Nic się nie stało. Odpoczywaj. Myśl. Nie bój się. Uspokój oddech. Uspokój dłonie.

Jednocześnie zastanawiała się, czy naboje sportowe będą w stanie powstrzymać zabójcę. Z pewnością przebiją szybę, ale czy grube szkło nie zmieni trajektorii lotu pocisku, nie osłabi impetu. Glock ma spory odrzut. Nie zdoła wystrzelić dwa razy jednocześnie. Jeśli nie trafi pierwszą kulą, będzie potrzebowała sekundy może dwóch, by ponownie wymierzyć.

Pomyśl: jesteś na strzelnicy, strzelasz do tarczy. Kurwa mać! Skoro nie mogłaś zostać sportowcem, to przynajmniej zastrzel bandziora. Pamiętaj, jak cię uczyli. Celuj w środek tarczy, nie skupiaj się na punkcie. Masz trafić w światło. Nie ważne gdzie.

Wymierzyła broń. Celowała w korpus. I powtarzała w myślach modlitwę.

Kruger nagle wstał i ruszył w kierunku Zimnego. Ewelina obniżyła pistolet i pociągnęła za spust.

- Kończmy, przyjacielu.

Słowa Krugera odbiły się od mózgu Zimnego tak jak odgłos przebijanej szyby i skowyt zabójcy padającego u jego stóp. Zabójca trzymał się za rozbite kolano a Zimny wciąż nie pojmował, co się stało. Druga kula po sekundzie trafiła Krugera w ramię. Trzecia w stopę. Mężczyzna wił się jak piskorz zmuszając Zimnego do odskoczenia na dwa kroki. W końcu znieruchomiał tracąc przytomność.

Zimny - nic nie rozumiejąc, patrzył jak Talar wchodzi przez rozbite drzwi do salonu.

Epilog

Podobno wschody i zachody słońca najpiękniejsze są nad morzem. Zimny widział wiele takich wschodów i zachodów. Nad wieloma morzami i oceanami. Widział też na pustyni. W domu na Mazurach wschody są jednak najpiękniejsze. Może dlatego, że wokół widać tylko dzikie lasy i pola.

Na weekendy przyjeżdża Ewelina. W dzień przesłuchuje go, w nocy udaje dobrego policjanta. Albo złego. Zimny ma wrażenie, że ją kocha a czasem nawet myśli, że nie tak źle byłoby mieć z nią dzieci. Gdy jej nie ma, pije i pisze swoją książkę. Ma wrażenie, że dużo ma jeszcze do opowiedzenia, ale czasem dopada go zwątpienie. Czy to nie będzie kolejny byle kryminał? Czy ktoś zechce to przeczytać?

Brakuje mi warsztatu i weny. Brakuje techniki i pomysłów na uatrakcyjnienie opowieści. Może powinien to być reportaż a nie książka? Może nie będzie tak źle. Co noc podsumowuje też całą historię i wspomina ją z rozrzewnieniem.

Insider niestety nie był w stanie się utrzymać. Nikt nie chciał dać reklam, wszyscy się bali zemsty i powiązania z aferą. Nawet fundusze unijne przstraszyły się dziennikarskiego wścibstwa. Tekst ujawniający kulisy seks--skandalu finansowego, jak aferę nazwały media, spotkał się ze sporym zainteresowaniem czytelników. Jednak potem czytelnictwo Insidera stopniowo malało.

Wkrótce pozostał już tylko znany w całej Polsce znaczek: STOP BANANA REPUBLIC.

Krakowski Dom Inwestycyjny upadł jeszcze szybciej. Po aresztowaniu prezesów wszyscy klienci ruszyli jak na zawołanie, żeby wycofać środki z kont. Udało się pierwszym, pozostali wciąż czekają na zakończenie postępowania upadłościowego. Prezesa tymczasem smażą się w celi. Jeden pod zarzutem morderstwa, drugi współudziału i malwersacji

finansowych. Na rynek kapitałowy już raczej nie wróca. Nawet jeśli dziesięcioletni proces oczyści ich z zarzutów. Do mediów przeciekły zaś informacje, że Karol Trybuchowski poszedł na współpracę z organami ścigania i pogrąży Łukasza Rostowskiego. Zgodnie z obietnicą premiera, Polska powoli zaczyna oczyszczać rynek kapitałowy. Klasyka szybko zmuszono do odejścia z KNF; na jego miejscu postawiono byłego prokuratora i adwokata. Na razie robi dużo konferencji. Dominik Kruger, tak naprawdę nazywał się Rafał Tomasiak i został rozpoznany jako były agent SB do specjalnych zadań. Rany zadane przez sportową amunicję okazały się niegroźne i zabójca został wypisany ze szpitala już po miesiącu. Milczał jednak przez całe śledztwo i nie chciał współpracować z prokuraturą. Znalaziono go martwego w celi aresztu zaledwie pół roku po zatrzymaniu. Powiesił się na pasku od spodni, którego nie powinien mieć.

Consulting Partners nigdy nie odzyskało zaufania inwestorów. Przez kolejne lata firma musiała tłumaczyć klientom, że została niesłusznie zamieszana w seks-skandal na rynku finansowym, a i tak chyba nikt nie uwierzył, że nie miała z nim nic wspólnego. Być może również z tego powodu, CP straciło jednego z głównych analityków. Nieoczekiwanie, niedługo po deklaracjach premiera, złożył wypowiedzenie i poprosił o rozwiązanie umowy ze skutkiem natychmiastowym. Andreas był początkowo zły na analityka, ale potem wraz z Witoldem uznali, że pracownik zachował się w porządku i odszedł dopiero po zakończeniu kryzysu w firmie. Urządzili mu nawet pożegnalne przyjęcie.

Andreas i Witold byli mocno zdziwieni, że już następnego dnia komórka analityka została na stałe wyłączona a operator informował, że nie ma takiego numeru. Nigdy więcej nie spotkali swojego byłego pracownika.

Gdyby jednak wynajęli detektywa do śledzenia go, dowiedzieliby się, że ich były pracownik po

dwutygodniowych wakacjach w Egipcie pojawił się w centrali ABW przy Batorego, gdzie złożył podanie o przeniesienie z działu operacyjnego do sekcji analiz. Podanie zostało rozpatrzone negatywnie. Trzy mie -siące później, były analityk CP, zapuścił brodę i wystartował w konkursie na członka zarządu śląskiej spółki węglowej. Pracuje tam do dziś, ale nie jest pewne czy ten fakt ma jakikolwiek związek ze zwiększoną wykrywalnością przestępstw gospodarczych w sektorze.

Zenon Maciarz z sukcesem wprowadził na rynek spółkę wydobywającą gaz łupkowy. Na jej akcjach wielu inwestorów zarobiło krocie. Gazu, co prawda, wciąż nie znaleziono, ale Polish Gaz cieszy się doskonałą opinią i świetnym działem PR. W momentach zwątpienia inwestorów i spadku kur -su gazety zawsze znajdują dla wiernych akcjonariuszy dobrą informację, a to o odkryciu nowego, niezwykle perspektywicznego złoża, a to o bliskim przejęciu Polish Gaz przez Texaco, BP czy Shell. Podobno walka o akcje polskiej spółki idzie na noże a amerykańskie koncerny są gotowe ogłosić wezwanie dla wszystkich akcjonariuszy ze 120 procentową premią.

Ku zaskoczeniu Zimnego, Maciarz zadzwonił do niego kilka tygodni po debiucie Polish Gaz. Dziennikarz myślał, że miliarder zmiesza go z błotem, ale tamten zaczął zdecydowanie spokojnie i zaprosił go na lunch.

- Myślę, że należy zakopać topór wojenny.
- Ale ja nigdy go nie wykopywałem - odparł Zimny. - Staram się tylko wykonywać swoją pracę.
- Więc mogę liczyć na pana obecność?

Zimny grzecznie odmówił, starając się nie obrazić biznesmena. W końcu po co go przestrzegać przedwcześnie. Dopiero jak odłożył słuchawkę, mruknął:

- Na pewno będziemy jeszcze mieli okazję porozmawiać. Albo przynajmniej pokorespondować.

Kilka dni po tym, jak afera zaczęła przycichać, Zimny dostał - w odpowiedzi na prośbę o komentarz do tekstu - list z Giełdy z Namibii.

*Mr Jakub Zimny Czerska Street 10 Warsaw,
Poland*

Dear Mr Zimny,

Following your letter we would like to kindly inform you that Namibian Stock Exchange does not feel authorized to comment on securities and trading rules which apply to Polish market. Moreover, we are not in possession of sufficient data allowing us to make binding judgments on this matter. We assure you however that Namibia introduced a strict rules aiming to prevent any personal transactions of official supervising or organizing stock exchange markets which could lead to any form of conflict of interests.¹

[2] W odpowiedzi na Pana list pragniemy poinformować, że przedstawiciele Giełdy w Namibii nie czują się autoryzowani do dokonywania komentarzy dotyczących regulacji dotyczących zasad obrotu na polskim rynku. Dodatkowo nie jesteśmy w posiadaniu wystarczającej ilości informacji żeby wydawać autorytatywne wiążące opinie w tej sprawie. Zapewniamy jednakże że Namibia wprowadziła bardzo restrykcyjne regulacje mające na celu uniemożliwienie zawierania przez urzędników nadzorujących lub organizujących rynek giełdowy transakcji, które mogłyby prowadzić do jakiegokolwiek formy konfliktu interesów.

Yours sincerely, Ebue Makimba

Dopiero w miesiąc po skończeniu książki, Zimny poczuł się na siłach, by zaplanować długo oczekiwany zagraniczny urlop. Pewnej zimowej soboty spotkał się z Ewelina na lotnisku Okęcie, skąd polecili do Frankfurtu. Tam mieli się przesiąść na lot do Azji. W Wietnamie czekało na nich wiele atrakcji.

- To kraj, w którym są najlepsze wiatry do uprawiania sportów wodnych.

- Pływasz na desce?

- Nie. Ale lubię oglądać fabryki.

We Frankfurcie zjedli obiad i poszli na piwo. Na godzinę przed odlotem Zimny usłyszał za plecami znajomy głos. Za nimi stał Andreas Holdner. -A więc jednak pan sobie nie darował? - zapytał z uśmiechem.

- Wakacje w Wietnamie są wyjątkowo kuszące.

- Fabryki Maciarza w takim egzotycznym kraju też - rzekł Holdner. - Niech pan tylko się nie da zabić.

- Myślałby ktoś, że panu zależy na moim życiu.

- Zależy. Wciąż czekam na pana przeprosiny w mediach.

- Przecież już przeprosiłem.

-W gazecie, zapomniał pan? Nazwał mnie pan małwersantem. Powinien pan przeprosić. Inaczej wytoczę panu proces. Dziwny facet.

Zimny wsiadając do samolotu wciąż nie wiedział, czy tamten żartował czy mówił poważnie.

KONIEC



Mi-Baba